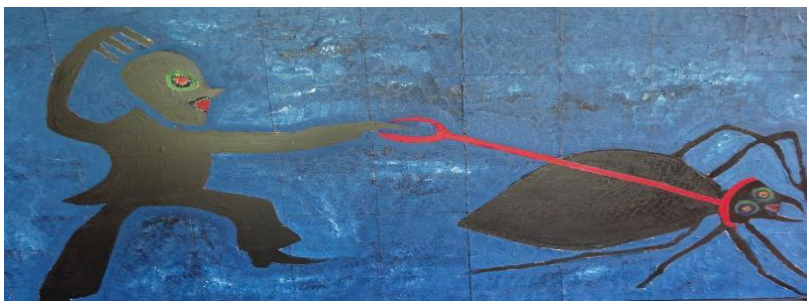

DWUKET

Tomek Wojtek Łągiewka
Dwuket

Nic nie jest takie na jakie wygląda. Dlatego też i Ty nie jesteś tym, za którego się uważasz. Bacz więc bardzo uważnie na swoją Subtelność, bowiem Subtelność, jest tutaj najważniejsze: Dlatego też, albo zapragniesz wreszcie zostać Człowiekiem Kochanym, albo… Lepiej o tym nie myśl!

Tomek Wojtek Łągiewka

DWUKET

magadura tripa

LFK
Kbylniki Małe 2026
Thenahå

Tomek Wojtek Łągiewka
Dwuket. Magadura tripa

Redakcja, grafika i skład:
Tomek Łągiewka, kk

Copyleft © by Tomek Wojtek Łągiewka
Copyleft © by LFK 2026

ISBN 978-83-9151-102-5-4
Warszawa 2026

Druk:
MCP Wojciech Hunkiewicz
ul. Ciurlionisa 4
05-270 Marki
www.drukksiążek.pl

Oświadczenie.
Żyjemy w trudnych i niebezpiecznych czasach. Ze względu zatem na spore prawdopodobieństwo posądzenia mnie o terroryzm, jak i o zachęcanie do działalności antypaństwowej, antyspołecznej i antyreligijnej, a szczególnie antysemickiej, a może nawet i antyludzkiej, kategorycznie oświadczam, iż podobieństwo moich postaci z rzeczywistymi ludźmi żyjącymi współcześnie tu na Ziemi oraz miejscami ich życia, jest dziełem niezamierzonego przypadku. Wszyscy bohaterzy tej opowieści to istoty alegoryczne, żyjące w przeszłości oraz obecnie tylko w mojej *schorowanej* wyobraźni.

Marii, Joli, Stefci, Mariolce i Majci

Pierwszą książkę, którą nazwałem Jaiwą i którą uważam do dzisiaj za najlepszą i najważniejszą ze wszystkich książek jakie napisałem do tej pory i to pomimo jej dość kulawego języka, i którą teraz trzymasz w ręku, zacząłem pisać w 1972 roku, a skończyłem po 22-ch latach w roku 1994, a wydałem po 41 latach w 2013 roku w Warszawskiej Firmie Wydawniczej, wyjątkowo wrednym wydawnictwie, które oszukało mnie brutalnie i okradło nie tylko z praw autorskich na wiele, wiele lat, ale i z pieniędzy. Pisałem ją oczywiście z długimi przerwami, nie pomogło to jej jednak ani w zdobyciu popularności ani uznania u nielicznych czytelników. Nie pomógł jej także opis zamieszczony na drugiej stronie okładki: Jaiwa to wrzask. Jaiwa to krzyk. To wrzask i krzyk rozpaczy. Gniewu, a nawet wściekłości. Uporczywie natrętne, wręcz neurotyczne nawoływanie do naprawy człowieka, którym wszyscy jesteśmy. Po części autobiograficzna, po części alegoryczno-epicka opowieść o ludziach, którzy pozbawieni Miłości, Dobroci i Współodczuwania, znajdują radość tylko w wielkiej kasie i władzy oraz brutalnym niszczeniu innych. O ich wpływie na nasze życie oraz na całe życie tu na ziemi. Także jednak i o tych, których nie tylko, że nie da się tęże chorobą zarazić, ale i do zarażania innych, żadna miarą przymusić. I o ich wpływie. I… o zarażaniu Miłością. Druga, wyjątkowo pogmatwana, wyjątkowo zakręcona, psychodeliczna część tryptyku - Zarażanie Miłością.

Nikt nie mógł jednak zrozumieć ani jej treści, ani pojąć jej Głębi, ponieważ jej tematyka była dla Polaków zupełnie obca. Ludzie jako debilne istoty pozbawione miłości, dobroci i Boga? To wywracało do góry nogami wiarę każdego Polaka oraz jego poglądy utrwalone od prawieków w umyśle naszego społeczeństwa jak żelbetowy fundament. Pomimo tego, że dzisiaj mamy rok 2026, rewolucję LGBT oraz liczne morderstwa na pracownikach kościoła na całym świecie, to nic się w tej kwestii nie zmieniło, bowiem nadal nikt nie rozumie tego, że nie jest dzieckiem boga, w którego wierzy oraz też tego, że jego bóg nie jest żadnym Bogiem, tylko podszywającym się pod

niego debilnym bandytą. A do tego język, którym była napisana nie był doskonały. W końcu nie byłem pisarzem. Nie miałem też żadnego wsparcia ani jakiegokolwiek zrozumienia u nikogo. A napisanie 500-set stronicowej książki z utrzymaną żelazną logiką przekazu, nie jest naprawdę takie proste ani tym bardziej takie łatwe. Podobnie zresztą ma się sprawa ze wszystkimi moimi następnymi książkami pomimo tego, że ich język był już dużo, dużo lepszy, lecz tematyka jednak, została ta sama.

Wydanie, które teraz trzymasz w ręku, powstało z odruchu serca zupełnie niespodziewanie. Generalnie to jest oryginał z roku 1994. Jest tylko lekko poprawiony tematycznie, zyskał nową szatę graficzną i nowy, najstarszy, tytuł: **DWUKET**. I tylko tyle. Nie mogłem się powstrzymać, ponieważ jakaś głęboka siła kazała mi to zrobić, więc to zrobiłem, lecz jednocześnie, podobnie do innych książk, jak i do oryginału, nie sądzę, żeby znaleźli się jacyć nowi czytelnicy. Społeczeństwo polskie nie zmieniło się niestety przez te wszystkie lata w dobrym kierunku. Jest zdecydowanie gorzej. Będąc od zawsze w służbie u Wredy podupadło strasznie głęboko i wydaję się, że zatraca się w *Niej* i stacza po równi pochyłej coraz szybciej ku całkowitej zagładzie. Nie masz pojęcia jakie to jest smutne.

W roku 2012 skończyłem pisanie Aberagiby, pierwszej części tryptyku, która jednak nie była epickim opisem ludzkiej sytuacji na ziemi jak w przypadku Jaiwy, prawdziwej i całkiem nieźle sfiksowanej powieści, lecz bardziej fabularyzowanym dokumentem, którą wydałem w 50-ciu egzemplarzach własnym sumptem, dzięki założonej przeze mnie Lotnej Fundacji Kultury, której celem miała być pomoc udzielana młodym, nieznanym zupełnie sztukmistrzom czy to pióra, czy to pędzla, czy też dłuta, z projektu którego, nic niestety nie wyszło. Aberagiba nie jest jednak instrukcją obsługi człowieka. I nie przewodnikiem po terapii świadomego modelowania psychiki ludzkiej. To próba uświadomienia nam wszystkim naszej strasznej, prawie nieuleczalnie patologicznej choroby - tego, że my - ludzie rozumni - jesteśmy, i to nie tylko w sensie naturalnej ewolucji darwinowskiej, lecz również nienaturalnej ewolucji biblijnej - globalnie - fizycznie, psychicznie, emocjonalnie i duchowo, utorowani aspołecznym zniewoleniem powodującym

stan, w którym możemy nie tylko ze słodkim uśmiechem na naszych boskich ustach, ale i za przyzwoleniem naszego boskiego rozumu, bez żadnych wyrzutów sumienia dopuszczać się tutaj na ziemi najstraszniejszych zbrodni. Tak- że jednak i te go, iż pomimo wszelkich wielorakich przeciwności, o ile byśmy tego tylko zapragnęli, moglibyśmy zostać uleczeni lub\oraz\i moglibyśmy uleczyć się sami. Podejmując zatem trudny temat kondycji ludzkiej nie jest więc łatwa. To nie przetrawiona papka na trzydziestu stronach z dwudziestoma znakami na stronie wielkości osiemnastu każdy. Jest rzeczywiście jak cegła: gruba, ciężka i porowata. Szoruje całkiem nieźle umysł prowokując i podważając każdy Twój posiadany pogląd i każdą z takim trudem zdobytą przez Ciebie wiedzę. Zmusza każdego do wytężonej, długotrwałej i ciągłej uwagi. Jednocześnie jednak kipi również miłością do życia, zachwytem, uwielbieniem i oddaniem. Nie reprezentuje z pewnością „nurtu radosnego uniesienia" pojawiającego się w moim malarstwie, ale jej tematyką główną nie jest jedynie ludzka mroczna paranoja, bowiem pragnienie oraz nadzieja skutecznego uleczenia nas wszystkich, jest jej tematem również. Obowiązkowa pozycja w bibliotece XXI wieku dla wszystkich myślących i poszukujących zrozumienia ludzi."

Tej książki też nikt nie chciał ani kupować, ani czytać, a po ewentualnym kupieniu zrozumieć i to pomimo tego, że język, którym była napisana był już całkiem dobry, a jej treść to nie była wyssana z palucha opowiadanka dla niegrzecznych dzieci, tylko rzeczowa opowieść dla dorosłych oparta do tego na nieskończonej ilości dowodów z wybranych prawdziwych historii ludzkich.

Pomimo tego, że w 2012 roku świat zdążał już od pewnego czasu dość szubko ku upadkowi, spodziewano się nawet jego końca, książka niestety nie podbiła ani czytelników ani tym bardziej rynku. Do dzisiaj mam jeszcze parę egzemplarzy z tamtego wydania, a na półce w Księgarni Nieznanego Świata też leży ich parę. Brak totalnego zainteresowania tym tematem i pewnie też jego moim wyjątkowo specyficznym ujęciem. Klapa słowem na całego.

W 2016 roku skończyłem pisanie 5-tej Drogi i wydałem ją ró-

wnież w 50-ciu egzemplarzach własnym sumptem, o której tak wtedy napisałem nie ukrywając już jawnego sarkazmu: 5-ta Droga to najlepszy na polskim rynku poradnik dla wyjątkowo wyedukowanych specjalistów z harwardzkich i oxfordzkich szczytów, warszawskich i krakowskich wyżyn, dla gospodyń domowych i knajpowych kucharzy z mało istotnych nizin, oraz wszystkich pozostałych mieszkańców wszelkich rodzajów depresji: „Jak korzystnie zmienić swoją świadomość, aby uczynić Tu i Teraz oraz Tam i Wtenczas, głębszym i szerszym, a przez to bardziej przystępniejszym, przyjaźniejszym i strawniejszym. Weselszym, radośniejszym i urodziwszym… Mądrzejszym i lepszym - również". Trzecia, ostatnia już, najbardziej optymistyczna część tryptyku - Zarażanie Miłością. Mem kryształowy - kosmiczny. Ja to Ty. Ty to Oni. Oni to My. Wszyscy i Wszystko jest tym samym Jednym. Pełna Wiedza, pełna Miłość, pełna Troska. Pełne Współodczuwanie. Na każdym poziomie i w każdej Rzeczywistości. W Teorii i w Praktyce. Doskonałość we wszystkich pięciu ćwiartkach. Natura nienarodzonej Uważności. Cztery postanowienia. Pięć sił. Jeden Punkt. Uniwersalność. Nieśmiertelność. Wieczność. Błogosławieństwo. Intelektualno-duchowe wyzwanie rzucone z radością nie tylko współczesnemu człowiekowi zagubionemu w meandrach jego własnej, śpiącej Świadomości, ale i nieznanym nam siłom świadomie mu ją blokującym. Obowiązkowa pozycja w bibliotece XXIII wieku dla wszystkich myślących i poszukujących lepszego Życia ludzi.

Rok 2016 był w przeciwieństwie do roku 2012, rokiem jeszcze większego upadku, ponieważ w wielu częściach tego świata dokręcono trochę bardziej śrubę a w innych, zrzucono dużo więcej bomb niewinnym ludziom na głowy. Świat nagle wstrzymał oddech i zanurzył się w bezdechu. I tak trwa w nim do dzisiaj, a mamy już rok 2026. Jeszcze nie umarł, ale jest już na najlepszej drodze do rychłej agonii, a w sytuacji, w której służba zdrowia przestała funkcjonować, czeka go zdecydowanie dość szybka śmierć. Ta książka podobnie do poprzednich nie sprzedała się wcale, ciągle mam jej egzemplarze, a pomimo tego, że pracownicy Księgarni Nieznanego Świata twierdzą, że mają jeszcze parę egzemplarzy na półkach, nie sprzedaje się wcale. Dziwny ten świat i dziwni ci ludzie. A Polacy w szczególności. Niby ciągle inni w tym Dobrym sensie ociera-

jącym się o Szlachetność, Honor, Mądrość, Miłość, Dobro i takie tam Cudowne Cechy Ludzkie, a jednak i tacy sami jak ich koledzy z zachodu i wschodu, a może nawet współcześnie zdecydowanie gorsi. Stali się bowiem znowu zawistni, nienawidzący, głupi, pozbawieni wiedzy i ochoty do jej zdobywania. Szarzy, zagubieni w meandrach własnego płaskiego rozumu oraz otaczającej ich zewsząd wrednej rzeczywistości. Nierozumiejący ani siebie samych ani tym bardziej innych ludzi. A mnie to już w ogóle.

Od zawsze niestety od kiedy pamiętam, nikt z moich rodzinnych, bardzo „bliskich" mi, jak i tych dalszych znajomych, nie myślał i nadal nie myśli w ten sposób co ja, albo chociażby choć trochę zbliżony do mojego. Nawet MaQuni nie daje rady. Nikt też w ten sposób nigdy nie zajmował się i dzisiaj też się nie zajmuje Miłością ani Bogiem, ani tym bardziej swoim własnym wewnętrznym rozwojem nieprzynoszącym żadnej kasy, żadnego rozgłosu czy też chwały. Moje idee są pewnie tak oddalone od normalnego, „zdroworozsądkowego", przeciętnego ziemskiego życia i myślenia o nim, że nie znajdują żadnego zainteresowania wśród ludzkiej rzeszy czytelników. Nie jestem do tego pisarzem, tylko raczej Mind surferem, bo taka jest moja droga: tak ułożona, tak zaklepana i w ten właśnie sposób zapluta. A zatem ładne składanie zdań nie wychodzi mi najlepiej. To nie są „pięknie" zafałszowane, nobelowskie historie pani Tokarczuk o… ani tym bardziej cudowne historie pana Michaśki też o... Ani tym bardziej wzruszająca do łez historia prezydenta Wałęsy lub podobnego do niego bohatera narodowego, generała Jaruzelskiego lub/oraz Kiszczaka. Jak widać codzienna walka o kasę, czytanie Gazety Wyborczej, oglądanie dziennika w I programie telewizji, jest znowu dla większości Polaków najważniejsze. Pandemie, manify LGBT, wielopłciowość, wielonarodowość, wspólna cudowna Europa, cudowni ludzie, dobrobyt, wyjazdy za granicę, walka o klimat, kotlety z robaczków, nasza wojna na Ukrainie lub mecz piłkarski pierwszej Ligii - to są tematy które interesują wszystkich, ich własne i bardzo głębokie problemy fizyczno-psychiczno-emocjonalno-duchowe nie interesują tu nikogo, no chyba, żeby były opisane według z górą ustalonego i narzuconego piszącym schematu. I to tylko przez polecanych w tychże mediach, skrybów. A to tak. To prosimy bardzo. Wszystko inne

natomiast należy ze wzgardą wrzucić do kosza na śmiecie, bo to są bzdury do kwadratu i kretyństwa.

Dlatego też wszystkie pozostałe książki, które napisałem, potraktowano tak jak i te poprzednie i to pomimo tego, że były już jak żylety. Cięły mózg i rozum z rozmachem. I tak to trwa do dzisiaj. Jak widzisz jednak, nie zrezygnowałem. *Duch*, składający się z dwóch części, czyli człowieka w szponach *Wredy* oraz człowieka w objęciach Cudowności, którą ciągle niestety poprawiam z pwodów częściowo ode mnie niezależnych, częściowo jednak zależnych od mojego wielce skomplikowanego, a właściwie to wyjątkowo zagmatwanego, procesu twórczego, w którym często coś piszę, a co potem muszę poprawiać, poprawiać i ciągle poprawiać… nie znalażła żadnego zinteresowania u nikogo. Nikt nie chce jej czytać, a jeżeli nawet, to zastanawiać się nad jej treścią, pomimo tego, że jest to bardzo poważne dzieło analizujące jednocześnie **UPIORNOŚĆ** jak i **CUDOWNOŚĆ** czowieka, bo i takim on może być, gdyby tylko tego zapragnął. Ale może ten wyjątkowo psychodeliczny tekst z drugiej okładki odstraszył wszystkich, kto to może wiedzieć?

A może mimo tego całego wielodziesięcioletniego olejstwa, teraz, właśnie teraz, pod koniec 2026 roku domniemanego kolejnego końca świata, zainteresuje ona większą ilość ludzi. Jeżeli czytasz teraz tę stronę i za tanawiasz się czy jakąś z moich książek przeczytać, to to, napawa mnie już niezłym optymizmem, bo może jednak coś się wreszcie naprawdę ruszyło… Jeżeli nie masz jednak aż tylu pieniążków, żeby jakąś z nich kupić, pamiętaj, że pomimo tego iż pisanie książek kosztuje wiele, wiele lat ciężkiej pracy, a przygotowanie ich do wydania oraz samo drukowanie ich, naprawdę wielkiej kasy, nawet jeżeli to robisz bez pomocy jakiegoś wielce szanowanego gremium edytorów równie wielkiego i szanowanego wydawnictwa, wszystkie moje eBooki są do pobrania z mojej strony internetowej www.tomekwojtek.pl za darmo, ponieważ moją pasją nie jest bycie wielkim i znanym pisarzem zarabiającym krocie na swoich książkach, choć jednocześnie rzetelne wynagrodzenie na pewno by mi się przydało, lecz tylko informatorem, takim Mind Surferem, kwantowym przekaźnikiem info-

rmującym każdego, kto zechce być poinformowanym, o pewnym, lecz bardzo ważnym jednocześnie, Subtelnym Przesłaniu, co też od tylu lat już czynię zgodnie z ideą, która mówi, że sprzedawanie za wielką kasę czegoś co zostało Ci ofiarowane przez Boga, jest brutalnym, bandyckim oszustwem i rozbojem jednocześnie. Obściskiwaniem się z Wredą na Boskim Tapczanie, za co jednak, o czym koniecznie trzeba wiedzieć i ciągle o tym pamiętać, każdemu takiemu głupkowi przyjdzie w odpowiednim czasie zapłacić bardzo wysoką cenę, bowiem w przypadku takim spełnia się na nich to, o czym słusznie mówi przysłowie: Pies powraca do tego, co sam wyrzygał, a świnia umyta - do kałuży błota. (2 P 2, 20-22).

DWUKET

magadura tripa

W roku 438 679 prz. Jo. podczas oficjalnego spotkania Najwyższej Rady Anunnakich z delegacją ludzką, syn Wielkiego Anu, Enlil-el, Ilu Kur Gal, Pan Wielkiej Góry, główny kreator oraz zarządca całego systemu ziemskiego, zwracając się do delegacji ludzkiej powiedział między innymi: …gdybyście przyjęli te fakty do wiadomości, gdybyście je również pojęli i zaakceptowali, że po pierwsze, na ciele sferycznym zwanym przez was samych Ziemią, jesteście podobnie do hodowanych przez was świń tylko i wyłącznie niewiele dla Nas wartym stadem hodowlanym i, że po drugie, pomimo tego, iż mimowolnie obdarzyliśmy was wyjątkowymi cechami wyróżniającymi wasz rodzaj spośród wszystkich innych istot ziemskich, to i tak nic się wśród was tam na Ziemi nie zmieni. Wszystko pozostanie tak jak i dotąd, czyli - bez zmian. Ani nie będziecie mogli, ani nie będziecie chcieli, nie będziecie również umieli wykorzystać jakichkolwiek swoich sferycznych możliwości do świadomego tworzenia czegokolwiek, nawet wówczas, gdybyście przypadkiem jakieś z tych możliwości w sobie odkryli, poza utrzymaniem siebie samych na dotychczasowym poziomie ziemskiej, fizycznej rzeczywistości hodowlanej. Tej, w którą, czy tego chcecie, czy też nie, się wradzacie, i tej, w której pomimo tego, że nie chcecie, ciągle musicie żyć. Zgodnie bowiem z wolą Rady Najwyższej nie umożliwimy wam dostępu do Nadmożliwości. Trwać będziecie więc w duchowej degeneracji i bezrozumnym życiu w fizycznej teraźniejszości po wieki wieków. Już niedługo osiągniecie taki stan rozwoju, który umożliwi wam zawładnięcie „waszą" planetą, lecz życie wasze opierać się będzie zawsze na samolubstwie oraz żądzy władzy, a więc na takich zasadach, gdzie Jakość Życia, Jedność, Miłość, Dobroć, Godność, Honor, Odwaga, Prawda czy Wgląd - możliwość poznania wszystkiego bez konieczności świadomego uczenia się czegokolwiek - będą dla was wszystkich jedynie niewiele znaczącymi, bajkowymi dogmato sloganami, a dodatkowo, pozbawione wspólnego im znaczenia i sensu oraz drzemiącej w nich olbrzymiej, twórczej mocy, to nie one, lecz ich najstraszniejsze przeciwieństwo: nienawiść i przemoc, głupota, kłamstwo, strach, zawiść, zazdrość, zemsta, podbój, wyzysk, rabunek i rzeź oraz ludzie im bezgranicznie oddani, najgorszy ludzki element oświeconej ciemniactwem hołoty - wszelkiego rodzaju i maści władcowie - traktując sie-

bie samych oraz tylko swoje życie jako bosko królewskie, rządzić będą wami tak, jak rządzić sami będziecie swoimi uprzednio ubez-własnowolnionymi stadami baranów: bez wspólnie obranego celu, kierunku oraz sensu, gdzie chęć waszej własnej korzyści i wygody będzie waszym jedynym drogowskazem…

DAŁN ŁAN PIERWSZY

Jeżeli pozostaniecie nadal w mroku swych przekonań nigdy nie dopuszczając JEJ do głosu oraz nigdy nie obdarzając wszystkiego i wszędzie właśnie NIĄ, nigdy nie zmienicie swojego losu, bowiem nigdzie ani w niczym nie znajdziecie tego, czego poszukujecie dzisiaj, lub kiedykolwiek poszukiwać będziecie.

Enki-el, 428 875 lat, 313 miesięcy i 2 dni przed JoshUą.

I teraz właśnie dereesocjalizowali zawartość jego świadomości. Na szczęście Urszyll nie czuł niczego, bowiem jego świadomość już dawno opuściła ciało, a dusza wysysana jednym z tych nadspecjalnych, nadprzewodnikowych, wirtualnych wysysaczy, kodowana była właśnie specjalną biococefication na małym, biologicznym krążku Bioartefinga: - Gdyby nie Thenahå i ból, który ONå powoduje w mym wnętrzu, gdyby nie Jej cierpkie myśli, którymi mnie bez przerwy zalewa, gdyby nie Jej ciągłe napomnienia, przypomnienia i pouczenia, zapomniałbym już pewnie dawno o moich zobowiązaniach w stosunku do Niej, pogrążyłbym się na dobre w usypiającym samozadowoleniu i gnuśnej bezczynności, uważając je jednak nie za jakieś ohydne przekleństwo z rodziny najohydniejszych przekleństw, ale z całą stanowczością za jedno z najwspanialszych i najcudowniejszych, słodziutkich, niebiańskich, błogosławieństw. A wszystko, to tylko głupi brak rozeznania. Przemożne iluzje. Praktyczne nieumiejętności. Wewnętrzny, sferyczny świat o cudownym, wielorodnym, wielorakim i wielowymiarowym charakterze zaplątany w niepojętej trójwymiarowości. Jawnie wymałpowanej szarą powtarzalnością zdarzeń. Najczęściej też przytłoczonej niepojętym ciężarem zakodowanej nukleotydowej genetyki. Lukratywną kolaboracją komórek. Sama bowiem chęć służenia Thenahå nie ma w rzeczywistości niczego wspólnego ze żmudną, często przynoszącą niewiele radości, praktyczną, codzienną, jednostajną i nudną robotą. Przecież wiem, że i Ty też, bardzo chętnie składasz przeróżne obietnice, te małe, a, i te wielkie deklaracje, w rzeczywistości jednak to wcale nie są Twoje obietnice, ani Twoje deklaracje. Dlatego też pewnie nie masz wcale zamiaru realizować ich praktycznie. Nie masz też i takiej ochoty. Ani potrzeby. No, chyba, żeby pod przymusem! Lecz któż miałby to uczynić? I kto ośmieliłby się poza tym przymusić Maryłeja Dziewica?! Nie istnieje chyba taki śmiałek… Lecz pomyśl tylko: gdyby było choć troszkę inaczej, Twoje życie byłoby też troszkę inne. Z pewnością dużo lepsze. Chęć uzależnienia mnie od Dooila nie mogłaby nigdy pojawić się w obszarze Twojej świadomości, nie musiałbyś więc świadomie i celowo uczestniczyć w tym całym procesie. Nie musiałbyś też korzystać z pomocy Przyrządu. Stało się jednak inaczej. I gdyby w końcu nie pojawiła się Thenahå i nie wybrała nas -

mnie, oraz również i Ciebie - na swoich umiłowanych adoratorów, doprawdy sam nie wiem jak by się to wszystko skończyło, lub mogło skończyć... Lepiej o tym w ogóle nie myśleć!

- Gdyby bowiem nie ONå, nie byłoby niczego. Dobrego, oczywiście. I to w niczym. Nie byłoby więc mnie. A gdyby nie było mnie dobrego, nie byłoby i Ciebie. Za żadne skarby. Tak też, nie dość, że ograniczyłbyś się pewnie, i to do tego bardzo stanowczo, tylko do ohydnego ludzkiego brudu i zgnilizmu o charakterze wchłaniającej, bagiennej destrukcji, którymi z dziką ochotą zalałbyś poza sobą samym oczywiście, pewnie i nas wszystkich, to na dokładkę jeszcze byś je rozwijał i doskonalił. Zapomniałbyś, że czego jak czego, ale brudu i zgnilizmu, to nam chyba więcej już nie potrzeba. Pozbawiłbyś nas wszelkiej nadziei. A może nawet i faktycznej możliwości. Na szczęście ONå położyła na mnie swój palec ukazując mi złożoność oraz rozciągłość Nadmożliwości. Dlatego też będę cię wyrywał. Dlatego też będę ingerował. I będę próbował. I wyślę cię w Twoją podróż. I nic, i nikt mnie od tego nie powstrzyma! Jak bowiem to widzisz i słyszysz, pomimo mojego trupiego stanu, ciągle nie poddaję się, i ciągle znajduję jakieś nowe rozwiązania. I nowe możliwości. A wszystko to tylko dzięki Niej. Bowiem gdyby nie ONå, nie byłoby niczego. Dobrego, oczywiście, bowiem w niczym ani w nikim, nie byłoby Jej. A w Tobie, nie byłoby Jej z całą stanowczością! - Nie mogłaby Ci więc za żadne skarby pomóc. Nie mogłaby w żaden sposób wypełnić Ci Twojego sponiewieranego, otumanionego, wykastrowanego i upodlonego ortodoksyjnym nihilizmem serca - Miłością, nie mógłbyś więc za żadne skarby JEJ poczuć, nawet przez najmniejszą chwilkę, ani tym bardziej JEJ istnienia sobie po prostu uświadomić. I to na pewno właśnie dlatego przyszedłby Ci do głowy ten idiotyczny pomysł, gdy zorientowałbyś się, że nie tylko, że nie umiesz, ale, że i nie możesz mnie jednak żadna miarą pozyskać, to, żeby mnie jednak jakoś sprytnie usunąć. A najlepiej zabić. No bo cóż innego mógłbyś na dobrą sprawę zrobić z taką świętą szczyną, jaką dla Ciebie jestem?! Leżałbym więc teraz nago martwy na tym zimnym, kamiennym stole klasztornego lochu, lecz Twój problem, mój miły, wcale by nie zniknął. Olbrzymiałby raczej ciągle. I jak grzyb rozrastał się. Twoja nienawiść bowiem wcale by nie zmalała. Rosła i potężniała by nadal. I to do tego nietolerancyjnie. Na samą bowiem myśl o tym, że to jednak ja, będąc już co prawda tylko zimno martwym, a nie ty, jestem jej wyjątkowym adoratorem, dostawałbyś nie tylko paraliżujących drgawek wściekłości, ale, i to chyba najchętniej, niepohamowanych

napadów szału, bo co tu mówić o jakiejś mało istotnej, niekontrolowanej, szewskiej złości? To tylko mały pikuś! Pryszcz. A nawet pryszczyk! Wszyscy więc wokół Ciebie drżąc ze strachu przemykaliby boczkiem, przesmyrgiwali się tak, aby nie padło na nich żadne z tych twoich zabłąkanych spojrzeń. A Twojego Przyrządu, to już w ogóle! Żaden cień podejrzeń! Żadne, że może jednak. Że może jednak sympatyzują się z jakąś JEJ ideą lub myślą. Nie wspominam już w ogóle o słodkimi i drżącym zachwycie. Ani o serca Głębi. Niestety. Ty zabiłeś mnie i tak. JEJ jednak na szczęście dopaść nie mogłeś! I to właśnie dlatego nie możesz mnie teraz za żadne skarby odłączyć od życia po życiu. I to pomimo tej strasznej, newtonowskiej pasji. I przeolbrzymiej ortodoksyjnej ochoty. Nie wiem jednak czy to wiesz, ale będąc w tym dziwnym stanie, widzę każdą swoją, a, i każdą Twoją myśl jak rozpalone błyskawice na wzburzonym niebie - ostro i wyraźnie. Aż do bólu. I wierz mi: czyn ten Twój niepojęty będzie teraz dla was wszystkich jak wzbierający, drożdżowy zaczyn, a od dzisiaj szczególnie i dla Ciebie: nie do zniesienia i nie do wytrzymania, bowiem nareszcie spotkasz się z NIĄ osobiście. I nie będziesz już mógł używając tych najulubieńszych przez Ciebie słów, wrzasnąć: - Fuck you, bitch! Nareszcie spojrzysz JEJ prosto w oczy. I będziesz JEJ słuchał. Uważnie i świadomie, i może w końcu nie tylko pojmiesz, co raczej poczujesz wreszcie, że różnimy się wszystkim. Tak jak woda i piasek. Jak noc i dzień. Jak Dobroć i Mi- łość, i Nienawiść. I to jest naprawdę coś! Prawdziwa kolosalność! I to do tego wielka. Olbrzymia. Moja *imaginalis mundus*, cicha i dyskretna, odniesie w końcu niebywałość, bowiem wreszcie dopadnie Twoje serce. I wsączy się w niego na stałe! W wyższych wymiarach oczywiście. A Ty, nie będziesz miał niczego do powiedzenia. Niczego, niczego, niczego! Ach, Dziewicu, gdybyś słuchał mnie uważnie i świadomie, wiedziałabyś o tym już od dawna. Niestety Ty nie umiesz słuchać nikogo. No… chyba, że samego siebie. Nie umiesz też patrzeć. Nie widzisz więc. Tylko ten wypełniający Ci Twoją duszę nieprzenikniony mrok... Bez gwiazd i słońca! Zabili Ci całe Twoje człowieczeństwo. Wypełnili Ci serce tylko Nienawiścią. I tylko Nienawiścią… No… może także i Nakazem. A może i Zakazem jednocześnie. A może… Może i Represją. I może Przemocą. Nie dali ci żadnej szansy, kochany, bo gdyby ci ją dali, nasz wspólny świat byłby zupełnie innym światem. Zupełnie innym. I z pewnością nie byłoby i mnie teraz, tutaj, w tym trupim stanie, na tym zimnym stole tego klasztornego lochu, a i Ciebie tam, na tym oszałamiającym, lecz pozbawionym wszelkiej empatii, parnasie. Na tym wspaniale upośledzonym emocjonalnie, dooilskim świeczniku. Złapali Cię na lep

uzależniacza. Na Władzę i Kasę, których skrycie nienawidzisz i którym skrycie nie ufasz, które jednak oficjalnie z jakiegoś irracjonalnego wręcz powodu podziwiasz, a nawet wielbisz, i którym z tak wielkim oddaniem, służysz. I to one wypełniły Ci nie tylko Twój umysł, ale i całe serce. I brzuch. - W końcu to one dają mi - jak często myślisz i mówisz - poczucie siły i władzy, której tak potrzebuję. I do diabła z tą całą tkliwą, błazenadą: babską miłością i dziecięcą dobrocią. Z bliskością i ciepłem! Choć z drugiej strony, gdyby tak pozyskać Miłość dla Dooila....

- Ach mój drogi! Na szczęście nie musisz się tym wszystkim zbytnio przejmować i zamartwiać, bo jak wiesz, to ONå, a nie ja, decyduje o wszystkim. Po części tej w swym sensie bardzo już optymistycznej, w końcu zaczyn został już zrobiony, a wątpliwości zapisane, nastąpi jeszcze część trzecia, jeszcze bardziej optymistyczna, bo będzie to część czysto praktyczna. Nigdy nie przypuszczałem, że moje wcześniejsze zainteresowanie Głębią, szczególnie zaś Böhmowską Holonomią, znajdą swoje miejsce w tym dziele, w szczególności dlatego, że są one absolutną przeciwnością wszelkiej destrukcji. A jednak Thenahå czuwała nade mną i nad tym co robię. I jest to, jak sam to już pewnie dawno zauważyłeś, zależność jednostronna, bo to ja jestem zależny. Tak, tak... Dobrze słyszysz. Lecz powtórzę to jeszcze raz: To ja jestem zależny. Zależność moja, w przeciwieństwie do Twojej jednak, jest najwspanialszego i najbardziej oczekiwanego rodzaju i formatu - tu, gdzie nie starczyło mi mojego codziennego nieczłowieczeństwa, czyli ochoty, siły oraz wytrwałości do przeprowadzenia korzystnych zmian w sobie samym a, tym samym i w Tobie, a przez to, i w całej otaczającej nas rzeczywistości ludzkiej - zawsze na straży stała Thenahå. Okazało się, że nie tylko, że nie muszę trwać bezradnie poddając się zewsząd otaczającej mnie bezgranicznie przerażającej beznadziei, tej okropnej szarości i równie okropnej bylejakości zalewającej mnie brudną, znerwicowaną destrukcyjnością, ale, że mogę, a nawet, że powinienem temu świadomie przeciwdziałać, bowiem, jak twierdzi Thenahå, tylko czynienie na sobie samym daje nadzieję na jakąkolwiek poprawę. A mając kochaneczku sprzymierzeńca, lub raczej i dokładniej, sprzymierzeńczynię w jej osobie, i to do tego nie gdzieś na końcu świata, w jakiejś starej i brudnej, zakurzonej szufladzie jakiegoś nikomu już niepotrzebnego, opuszczonego biurka, albo jakimś innym nieznanym nam bliżej miejscu, ale najbliżej z każdego najbliższego najbliżej, bowiem w nas samych, nie musimy obawiać się niczego! Dla Kapila była to Sankhija, dla

JoshUi - Bóg, a dla Tse - Tao. A dla mnie, i od dzisiaj również i dla Ciebie, będzie to właśnie Thenahå - słodka kochanica Wszystkiego. I Jego dopełnienie w Jedności. Wierz mi! Poszukiwanie, i to dziwne uzależnienie, opłaca się. I to stukrotnie. Nawet wtedy, gdy nie uda ci się osiągnąć absolutu! Z braku własnej świadomości oraz niemożliwości w związku z tym jej kształtowania, lepsza jest każda inna świadomość, ale taka, która służy życiu i jego rozwojowi na wszystkich płaszczyznach, we wszystkich formach, i we wszystkich rzeczywistościach jednocześnie, a nie taka, która niszczy wszelkie życie już w jego zarodku, ponieważ jest mu z założenia swego niechętna. A Ty przecież już dawno temu stałeś się emanatorem ciemnej, złowrogiej entropii, niezasłużonego cierpienia, chaosu, przemocy, nienawiści i śmierci. Krótko mówiąc, naruszyłeś zasady równowagi i właściwego rozwoju wszelkich form życia, łącznie ze swoją własną. Dlatego też to właśnie Thenahå położyła i na Tobie swój palec. Dlatego też to właśnie ta idea Miłości i ta właśnie idea Dobroci. No i Ciebie nią zalanie. Bo Ty będąc zupełnie ubezwłasnowolnionym, umęczyłeś, poniżyłeś, odrzuciłeś i wreszcie zabiłeś siebie samego, zabiłeś swoją Esencję i twierdzisz nawet, że jej nigdy nie miałeś. Jesteś chory, a choroba przeżarła cię już do szpiku powodując szaleństwo człowieka żyjącego w osobnym, nierzeczywistym świecie zimnej, newtonowskiej rzeczywistości, tym straszniejszym i potężniejszym, im bardziej się w niego zapadasz. Ale to się zmieni mój drogi, i to już niedługo... Programowanie mózgu, któremu byłeś wielokrotnie poddany, wysysanie i sczytywanie skończą się. Nikt nie będzie Cię już rozmiękczał. Nikt nie będzie już powodował w Tobie tych wszystkie kryzysów tożsamości. Nikt nie będzie Ci już podkopywał Twojego zaufania do siebie samego ani poddawał cię tym wszystkim zabójczym operacjom zdezorientowania. Nikt i przy pomocy żadnej aparatury nie będzie Cię już nigdy więcej uwarunkowywał, karał i nagradzał, wywołując w tobie niesłuszne poczucie lęku i winy. Nikt też więcej nie będzie cementował w Tobie, nowych, lecz sprzecznych z osobistym zapatrywaniem Twojej Esencji, poglądów i postaw... ONå obudzi się w Tobie wreszcie, a z nią obudzisz się i Ty. Nareszcie zrozumiesz swoją własną paranoję, to zatrzaśnięcie, wyparcie, lub nawet wyssanie, to swoje własne olbrzymie niezadowolenie ze wszystkich dotychczasowych poczynań oraz wszystkich dotychcza- sowych kontaktów, zobaczysz te zakłamania, te pruderie, te chciwości, zawiści i zazdrości, ten blichtr pozorów… U wszystkich Twoich znajomych i pozornych przyjaciół. Ich uwielbienie dla spraw małych, nieistotnych i płaskich Ich strach, i ich niemoc zmienienia

czegokolwiek w sobie samych, a tym samym, ich przeraźliwe uwikłanie...

- Zrozumiesz wreszcie, że ludzie ci nie znajdując żadnej satysfakcji w teraźniejszości, nie widzą tez żadnych perspektyw na przyszłość, nie potrafią więc czerpać żadnych sił ze swoich uśpionych, chorych, ubezwłasnowolnionych, zatrzaśniętych lub odrzuconych Esencji, z zaprzepaszczonych wielkich imaginacji i równie wielkich wyobraźni. Stało się bowiem tak, że zagubili gdzieś po drodze życia takie wartości jak przyjaźń, życzliwość, zaufanie, gotowość pomocy, wrażliwość na problemy innych, chęć współpracy, czy chociażby normalną miłość, zastąpioną jej szybko przemijającym seksualnym substytutem pożądania. Ogromne spustoszenie poczyniła również ich wspólna, milcząca wegetacja. Obok siebie, lub przeciwko sobie. Wszyscy oni żyją w labiryncie, nie znając w ogóle żadnego świata poza nim: dom rodzinny, szkoła, praca, pieniądze, sukces, marzenia o innym, lepszym świecie, i wszystkie te inne iluzje... Ale przecież Ty to bardzo dobrze już wiesz. Wiesz przecież, że nie ma bardziej niebezpiecznego, ale i bardziej skuteczniejszego narkotyku na szybkie rozwiązanie wszystkich problemów niedorozwiązania, jak wybranie odpowiedniego, i odpowiednio dobrego Sukcesu. Decydującą przeszkodą jednak dla zagrożonych sukcesem, jest jego bardzo wysoka cena. Ty zapłaciłeś cenę najwyższą, utraciłeś bowiem kontakt ze swoją Esencją, a z nią, i świadomość możliwości bycia po prostu dobrym. Inni płacą podobne ceny, bowiem wszędzie poddawani są presji sukcesu, presji inności, wszędzie też, ale nigdy nie w sobie samych, poszukują tej jedynej, wspaniale cudownej rzeczywistości. Tej, którą, i to pomimo tego iż noszą ją w swoich wnętrzach od zawsze, zawsze też nabywają na zewnątrz, i to najczęściej za cenę najwyższą u ich handlarza życiem. Gdy cień ich życia spotężnieje i rozrośnie się jednak do rozmiarów tysiącletniego dębu, zasłoni im ich wewnętrzne światło na zawsze, ale oni nie zauważą już tego. W niezrozumiałym pędzie, aby w dającym coraz mniejszą szansę na prawdziwe przeżycie czegokolwiek, życiu, wywalczyć sobie coś własnego, przyjmą każdą pomocną dłoń od każdego dystrybutora sukcesu, bowiem tylko on będzie mógł dać im poczucie wolności, szczęścia i beztroski, ponieważ to właśnie one stanowić będą ostry, pozornie dodatni kontrast z ich dotychczasową rzeczywistością. Tym trudniej będzie im, a, i komukolwiek w ogóle, i to do tego dobrowolnie, zrezygnować z tego miłego uzależnienia. Po miesięcznym jednak wciąganiu następuje uzależnienie psychiczne, a po paru miesiącach i fizy-

czne. Od tego momentu już nikt nie może żyć bez uzależniacza, i każdy, czy chce tego, czy też nie, staje się dożywotnim klientem dystrybutora. Dla większości nie ma już wtedy ratunku. Bycie dystrybutorem staje się dla każdego uzależnionego wartym wysiłku celem, ponieważ może wtenczas w przyjemniejszy niż kradzież i prostytucja sposób, finansować swój nałóg, a, i swoje codzienne potrzeby. Przesuwanie się w hierarchiach jest prawie niemożliwe. Trzeba być Konradem Wallenrodem albo chociażby Królem Rybakiem, żeby spróbować przetężyć raz rozbuchany cień. No chyba, żeby ktoś wybrany został przez Sfery...

- Świat fizyczny nie tylko, że nie jest światem idealnym, pomimo, iż siły destrukcji podobnie jak i siły służące życiu, wydają się być tu koniecznie potrzebne, to jest do tego światem wielkiego pomieszania. I poplątania. I to wszystkiego ze wszystkim. A przez to mało pojętnym. I zupełnie nam obcym. Dylematu tego nie rozwiązuje nawet świadomość Jedni oraz świadomość Nieśmiertelności, choć z pewnością go odpowiednio pomniejsza. Nie zmienia to jednak faktu, że przez Sfery zostają wybrani niestety tylko nieliczni, a większość pozostaje na zawsze w cieniu nadgorliwej przemocy charakteryzującej wszystkich współcześnie, i to na wszystkich poziomach. Niepozwalającej cieszyć się życiem dla niego samego, i z niego samego, oczywiście. Powodującej deformacje fizyczne i psychiczne. Emocjonalne i duchowe. Tworzącej zagrożenie bezpowrotnym kolapsem społecznym, ekologicznym, ekonomicznym i energetycznym, a przez to groźbę całkowitej, i to bezpowrotnej zagłady nas samych, jak i całej naszej planety ze wszystkimi naszymi współmieszkańcami włącznie. Dlatego też uważam za swój obowiązek zwalczanie w sobie samym wszelkiej własnej łatwizny oraz wszelkiego samolubstwa, a także kierowanie swojej, a od dzisiaj i Twojej uwagi, na otaczające nas problemy, oraz ich korzystne dla nas wszystkich rozwiązania, poprzez zastosowanie najprostszych - niestety nie najłatwiejszych - i najtańszych - niestety nie przynoszących nie tylko natychmiastowych, ale i żadnych w ogóle, finansowych korzyści - sposobów rozwiązania tego problemu: samotnej pracy nad sobą samym. Wszędzie, w każdych warunkach, i od dzisiaj zawsze.

- Jeżeli więc problemy naszej planety, nasze choroby, nasze wojny, nasz wzajemny i odwzajemniony wyzysk, nasza przemoc we wszystkich jej przejawach i na wszystkich jej poziomach, nasz strach przed wszelkimi zmianami, przed każdą świadomą decyzją, nasze samo-

lubne samozadowolenie, nasza niewiedza, nasza wręcz głupota, oraz nasze umiłowanie wszelkiego rodzaju nakazów, zakazów i represji, a więc problemy nas wszystkich, a i Twoje prywatne w szczególności, nabrzmiały w Twoich oczach, a nabrzmiały, widzę to przecież wyraźnie, do rozmiarów ropiejącego, cuchnącego strasznie i strasznie bolącego wrzodu, z którym żadna ortodoksyjna medycyna czy też filozofia, albo i religia, nie bardzo wiedzą co począć, a chciałbyś go jednak jakoś usunąć, a usuwając go powrócić jednak do jako takiej normalności, polecam Ci gorąco osobiste spotkanie z Thenahå i zachęcam Cię równie gorąco do wszelkich możliwych wysiłków oraz wytrwałej pracy nad sobą.

- Jak już to pewnie zauważyłeś, i to pomimo tego, że różnimy się wszystkim i wszędzie, to jednak właśnie w tym miejscu nie różnimy się wcale, niczym, nic nas nie dzieli. Możemy więc być obaj nie tylko potencjałem tej samej siły, ale i nią samą. Takim ogromnym, potężnym wykładnikiem geometrycznym w wymiarze kwantowo rezonansowym. Dlatego też nie oczekuj ode mnie żadnych przeprosin za te wszystkie szorstkie słowa, których usłyszysz z pewnością jeszcze nie mało. Pragnę jednak wyrazić opinię, że na szczęście granice każdego z nas leżą w zupełnie innych miejscach, i że to właśnie może Tobie, nawet jeżeli wydaje mi się to w tej chwili absolutnie absurdalne - uda się tę właśnie substancję oddzielić od tamtej substancji. Może to właśnie Tobie uda się wyzwolić spod wszelkiej kontroli wszelkich praw sprzecznych z odczuciami serca? I wreszcie, może to właśnie Tobie, nie tylko, że się to wszystko uda, to, że jeszcze na dokładkę praktycznie to urzeczywistnisz! Z pewnością jednak zacząć musisz, i to jak najszybciej, od siebie samego. Dopiero potem zajmiesz się resztą… Widzę wyraźnie jak kontynuujesz moją prace u Jej boku, jaki jesteś szczęśliwy i radosny... Na szczęście ja odwaliłem już kawał roboty za Ciebie, na szczęście byli też i inni, którzy odwalili jeszcze większy kawał roboty za mnie. Zaczniesz więc tam, gdzie skończyły się nasze możliwości, nasze potrzeby lub nasze ochoty, a gdzie zaczną się Twoje. Cała nadzieja ludzkości spoczywa bowiem od teraz na Tobie! Nie zwlekaj więc i bierz się zaraz do roboty. A najlepiej teraz. Właśnie teraz, Dziewicu! Teraz!

Gdyby Maryłej Dziewic był człowiekiem dobrym, wiedziałby bardzo dobrze, co słowo to - dobry - w praktycznej, codziennej międzyludzkiej rzeczywistości, oznacza. Maryłej niestety nie był dobry. Był człowiekiem na wskroś złym, porywczym, przesiąkniętym nihilizmem oraz bolesną pogardą dla innych. Dla ludzi słabszych, biedniejszych, czy w jakikolwiek inny sposób upośledzonych przez los lub siły losem tym kierujące. Nieświadom, cierpiał na wyjątkowo złośliwą, wielce agresywną, zaborczą, współcześnie niemożliwą do usunięcia, nieuleczalną chorobę, w profesjonalnych, naukowych kręgach znaną pod postacią Tripsicuté Psychofilodelicé, cierpką odmianę anemii moralno emocjonalnej. Najważniejsza dla Maryłeja była więc kasa, a także sposób jej codziennego, histerycznego zdobywania oraz równie histerycznego, trwonienia. Maryłej uwielbiał szybkie, lśniące limuzyny. Duże domy, wille i stare rezydencje. Z przyległościami, z przepychem, bez końca. Olbrzymie, wykafelkowane ręcznie paloną porcelaną baseny, staroświeckie meble i złote sztućce. Ze szlachetnych kamieni tylko brylanty. Z metali, złoto. A właściwie - platynę. Sztuka była dla Maryłeja oczywiście bardzo ważna, ale tylko ta, za wielką kasę, zdobyta jednak minimalnym kosztem. Wydrapana lub odebrana najchętniej. Ubierał się u Mariniego, a buty sprowadzał prosto z Australii. Jadł tylko w Axelsiorze i tylko w specjalnie zarezerwowanej dla niego, prywatnej suicie. Pieniądze trzymał w olbrzymim amerykańskim sejfie oraz na koncie jednego z najlepszych, szwajcarskich banków. - W końcu - jak często twierdził - każdy ma to, na co zasłużył! - Dlatego też Maryłej tak bardzo lubił układy. Układziki i przepychanki przedkładał nad każdą przyjaźń lub jakiekolwiek inne koleżeństwo. Salonienie - kręcenie, gadanie i obiecanki, to był jego żywioł. A młode, piękne laseczki, jak nazywał wszystkie łatwe kobietki, którymi się najchętniej otaczał, jak również ich namiętne, wręcz neurotyczne i jak najczęstsze nadziewanie, w tajemnicy przed Maczą, oczywiście, zaliczał do swoich najważniejszych, codziennych obowiązków. Ale bez zobowiązań naturalnie, bowiem zobowiązań Maryłej wprost nienawidził. Jako iż najbardziej ze wszystkiego bał się wszelkich zarazków - wrednie obślizgłych bakterii, wirusów i bakcyli, ze stuprocentowym zabezpieczeniem jednak, dooilskim cudem digitalnej techniki: wirtualnym

kondomem - Root Vanilia Heaven. I chociaż Homo légibus, sapiens, longues, bipedus, najbardziej przemawiało do jego wyobraźni, w gruncie rzeczy nic mu raczej nie mówiło, chociaż, to one właśnie, te niewiele z pozoru znaczące, obce słowa, oddawały w najdoskonalszy sposób stan jego nie - wiary, i nie wiedzy, lecz przekonań i poglądów, bowiem wiary i wiedzy Maryłej nie miał. Jako absolwent Moskiewskiej Nadspecjalnej Akademii MALE jak i Nadspecjalnej Nowojorskiej Akademii DYP, był ateistą, i to do tego zagorzałym zwolennikiem wszelako pojętego praktycznego materializmu połączonego z rzeczowym, chłodnym, newtonowskim racjonalizmem. Dlatego też miłował wszelkiego rodzaju poglądy oraz wszelkiego rodzaju przekonania, uważając je w większości za najprawdziwsze, niewzruszone, jedyne i jedynie obowiązujące fakty. Poza tym Maryłej był neuroszpiegiem, a jako szpieg, i to do tego neuro, był bardzo giętkim dialektykiem. To, że szpiegował paranormalnie, i że samo już to słowo para, zakładało istnienie innych rzeczywistości, łącznie z rzeczywistością samej Thenahå, w niczym mu jakoś nie przeszkadzało. - Praca jak każda inna. - myślał, i mawiał.

Jako neuroszpieg najchętniej przebywał w słodkich objęciach nagich ramion prof. Maczy Dooroby w zaciszu jej przyjaznej, dooilskiej sypialni, dość często, by nie rzec wręcz, że zawsze, wykorzystywano go jednak bez jej świadomego w tym udziału, a jego wiedzy, i zgody. W przypadkach takich wysysano po prostu z Maryłeja nie tylko jego normalną świadomość, ale najczęściej też i duszę, bowiem taka oto właśnie procedura dawała dooilskim programatorom nieograniczone wprost możliwości do eksperymentowania nie tylko ze świadomością, ale może i Esencją, i to we wszystkich rzeczywistościach jednocześnie. I we wszystkich szczegółach i detalach. Dzisiaj, podczas Pozytonowej Indukcji Emisyjnej, PIE - jak oficjalnie u Dooila nazywano rutynowe, wirtualne neurowojowanie, zaindukowano Dziewicowi ostrą wersję ZOHANA, neurolaptoprzekaźnika, rodzaj specjalnego nadprogramu modelującego rzeczywiste postrzeganie człowieka w zderzeniu z działaniem wielkiej energii nadpętlonego czasu na jego pod- i nadświadomość. Proces ten umożliwiał różnym, na bieżąco pojawiającym się, na bieżąco też modyfikowanym, w różnych wymiarach i na różnych płaszczyznach pojawiającym się wirtualnym osobowościom, i to do tego na raz, wyemitować się w głąb najgłębszej, wielce mrocznej, i z reguły niepoznawalnej Głębi. W rzeczywistości i w światy normalnie niedostępne nikomu. Nie były to jednak tak zwane naukowe eksperymenty. Ani działania z rodziny

badawczej, bowiem zadaniem Dziewica nie było żadne naukowe dociekanie, ani tym bardziej jakaś szaleńcza zabawa. Będąc najlepiej wyszkolonym ponad narodowym neuroszpiegiem, Dziewic poszukiwał w ten sposób oraz zbierał bardzo ważne dla jego dooilskich pracodawców informacje. Często rozpracowywał w ten sposób tajne, rządowe, poza oficjalne projekty, równie często inwigilował normalnych, szarych i przeciętnych ludzi nie pasujących w jakimś detalu do wszechobowiązującej dooilszczyzny, najczęściej jednak, bardzo szczegółowo, z wyjątkowym zacięciem i upodobaniem, rozpracowywał wszelkich dooilskich wrogów, lub też po prostu unieszkodliwiał ich w wymiarach tylko jemu dostępnych. Ludzie ginęli na płaszczyźnie fizycznej z powodu jakichś nieznanych nikomu bliżej przyczyn, przewracali się na pasach dla pieszych, dostawali nagłych zawałów, zapadali na Hiva, Sarsa, czy Alzheima, przyczyną główną ich śmierci ostatecznie, pozostawał zawsze Dziewic. I jego w cieniu ukryci pracodawcy. Dzisiejszym zadaniem Dziewica nie było jednak zabijanie. Dzisiaj, Dziewic postrzegał tylko zdalnie oraz zdalnie obserwował. Będąc pogrążonym w wielu ze swoich wirtualnych rzeczywistości, był teraz tylko *Collidasem*, jak nazywano u Dooila każdego, kto dla nich tajnie szpiegował oraz tajnie podglądał, a nie *Walidatarem*, jak określano najczęściej Dziewica, gdy wysyłano go z zadaniem groźniejszym. Dlatego obserwacja Urszylla z Zamiłowic, a działo się to co najmniej w dwóch pętlach czasowych normalnej rzeczywistości fizycznej, głównego oskarżonego w procesie przeciwko tak zwanym Miłownikom, osobom, jak nazywano je u Dooila, wyjątkowo niebezpiecznym dla bezpieczeństwa państwa oraz publicznego porządku, przebiegała jak na razie bez żadnych zakłóceń. Urszyll leżał sobie miło wyciągnięty na słonecznej, letniej polanie, tuż pod kwitnącym i pachnącym cudnie drzewem, którego zapach błogo koił jego niespokojne myśli, i w koronie którego, z oddaniem obserwował nieprzebrane rzesze pracujących tam pszczół nie podejrzewając niczego. Dziewic natomiast, co dzisiaj z jakiegoś niejasnego dla niego samego powodu wydawało mu się stanem wyjątkowym, uczestniczył jednocześnie w jeszcze innej rzeczywistości, takiej, w której nie był już tylko delikatnym obserwatorem, jak go wcześniej, tuż przed transferem, energicznie zapewniano. Zadanie w którym uczestniczył nie było wcale takie jednoznaczne. Wielorakie osobowości go wypełniające, krajobrazy, a przede wszystkim czas, zmieniały się w nim trochę inaczej niż normalnie, ulegały bowiem zbyt gwałtownym działaniom wirtualnej anteny emisyjnej oraz zbyt gwałtownej defragmentacji rzeczywistości. Co prawda Dziewic zaraz po zanurzeniu się w jej

odmętach dość szybko, jak dla Dziewica jednak, zbyt szybko, na różnych poziomach i w różnych osobowościach jednocześnie, się w niej odnalazł, ale różnorodność zadań do wykonania i ta szybkość właśnie, była zastanawiająca. Złoty hełm na jego głowie był szczelnie dopasowany, a ciało dokładnie ukryte pod skafandrem, od którego gdzieś za stół biegły zwoje grubych, miedzianych drutów. Widok Dziewica niepokoił, ponieważ jego leżące bez przytomności ciało nie leżało nieruchomo, ono żyło, i to do tego intensywnie: Dziewic wyraźnie mówił coś, coś energicznie tłumaczył, szeptał, krzyczał, a nawet komuś groził, a przecież poza nim samym na stole przeprogramowalni nie było nikogo, poza oczywiście wielowarstwową i wielowymiarową rzeczywistością, która rozpięta przed Dziewica oczami, była naprawdę doskonała. A nawet od doskonałej doskonalsza, bowiem rozciągała się aż na dwanaście wymiarów. A może nawet i głębiej. I to jednocześnie. W jednym z nich rozpoczął się właśnie dla wszystkich jej uczestników piękny, letni dzień. Obok Urszylla siedziała jego jedyna, ukochana istota, kobieta jego życia, prawdziwa przyjaciółka, kochanka i partnerka, prawa i lewa ręka jednocześnie - śliczna Krzysztofa Benc, z jakąś otwartą, grubą książką, z której coś właśnie Urszyllowi czytała. Na zielonej trawie, nieopodal drzewa, leżał rozłożony, wykrochmalony biały obrus, a na nim same smakołyki: butelka *Segura Viudas* - szampana najwyższej klasy, pomarańcze, jabłka, i piękny bukiet polnych kwiatów. Krzysztofa i Urszyll byli promienni, roześmiani, szczęśliwi. - Za siedmioma górami, za siedmioma morzami, za siedmioma lasami i siedmioma miedzami, w pewnej, z pewnością w ogóle ci nieznanej, ale jednocześnie też jednak w jakiś tajemniczy sposób nieobcej ci krainie, mieszkali zacni bardzo, i bardzo kochani obywatele. Za panowania jednej z wielu po sobie następujących dynastii, król *di Solejl*, a więc właściwiej i dokładniej ten, do którego należała ta kraina, czyli po prostu królewski jej właściciel, wydał pewnego razu taki oto królewski dekret: wszyscy zielonoocy obywatele krainy tej mają niezwłocznie, do trzynastego dnia od ogłoszenia niniejszego dekretu, stawić się na głównym, rejonowym placu królestwa, celem wyłupienia, bowiem, jak wyczytał z najnowszej gwiezdnej konstelacji nadworny astrolog, kolor zielony będzie w nadchodzącej dekadzie kolorem całkowitego upadku. - Maryłej aż zapiszczał z zachwytu. Uśmiechnął się zadowolony, rozpromienił. Rola astrologa była wspaniała. Tym bardziej, im bardziej ją poznawał i im bardziej wciągała go w siebie absorbując całą jego uwagę i wszystkie jego zmysły. Stojąc więc na zamkowym dziedzińcu, to już on sam osobiście rozporządzał, czytając z wielkim zaanga-

żowaniem: - Aby jakoś temu przeciwdziałać i uniknąć wyroku gwiazd, zarządza się to, co się zarządza: poświęconym przez nadwornego kapelana i do białości w świętym ogniu rozpalonym metalowym kolcem, wyłupić oczy wszystkim zielonookim obywatelom oraz wszystkim im podobnym. A tym, którzy spróbowaliby w jakikolwiek sposób przeciwstawić się królewskiej woli, zaleca się to, co się zaleca: po uprzednim ich wykluczeniu ze wspólnoty i wyklęciu, wielce niemiłe, odkadłubienie! Głowy ich należy powiesić na postrach na wszystkich rejonowych placach państwa, na długich, drewnianych żerdziach, ciała rozerwać na strzępy, a strzępy te rozrzucić na cztery strony świata, rzucając je wygłodniałym bezpańskim psom oraz myszom i szczurom na pożarcie. - Pod dekretem wisiała olbrzymia królewska pieczęć i odpowiedni królewski podpis, bez tego bowiem żaden dekret, nawet ten najsroższy i najważniejszy, nigdy nie byłby ani tak srogi, ani tak poważny. Stojąc na dziedzińcu zamkowym i czytając ten dekret, Dziewic nie tylko obserwował Urszylla, ale stał jednocześnie jeszcze gdzieś indziej, w jakimś innym i dla niego samego trudnym do określenia miejscu, i to tuż-tuż przed nieznanym mu zupełnie, i całkiem nie małym audytorium. A stojąc tak przed nimi przemawiał też i do nich, ale już nie tak jak astrologiczny Raszid ar, lecz co najmniej jak sam Mizohan Wielki: - Człowiek współczesny jest we wspaniałej sytuacji, bowiem… - A gdy gońcy - Krzysztofa pocałowała właśnie Urszylla w jego jędrne, słodkie usta - a były ich tysiące, rozwieźli w końcu i rozwiesili dekret ten na wszystkich placach rejonowych i rozstajnych drogach królestwa, zaczęto w rządowym bloku reklamowym pokazywać go co pięć minut, a co kolejne pięć minut nadawano go na wszystkich falach radiowych. Wszystkie gazety przedrukowały go w niezmienionej formie, wydano go nawet w postaci małej książeczki do nabożeństwa. I to oprawionej w skórę! Sprawa ta w końcu nie była byle jaka. Sprawa ta w końcu była poważna. I to bardzo. - Wyobraź sobie, że za twoją namową sam Pius XI udzielił nam pełnego poparcia błogosławiąc nas i naszą rodzinę królewską, oraz nakazując wszystkim kapłanom kościoła nawoływać ze swoich ambon do pełnego posłuszeństwa, do wyrzeczenia się próżnej subiektywności, i wreszcie, do ofiary na ołtarzu państwa. Zacytował nawet słynne biblijne słowa: „Oddaj dobrowolnie władzy to, co jej się słusznie należy.” - Rzeczywistości zwijały się teraz i rozwijały w Maryłeja głowie już nie jak kolorowe, czarodziejskie latające dywany, lecz co najmniej jak same super gluty kinowego hiper hitu - Matrixa. - Łatwo możesz więc sobie wyobrazić Królu - głos Maryłeja był teraz słodszy niż najsłodszy miód - co się tam teraz wyrabia! -

Dziewic wskazał na pałacowe okna. - Całą tę naszą cudowną krainę i jakże miłe to nasze królestwo przykryliśmy niespodziewanie obrusem strachu. Całunem śmierci. Zmusiliśmy ich tym samym do absolutnego wariactwa. Wszystkich. Rozpaczają. Wyrywają sobie włosy głowy. Niektórzy popełniają nawet samobójstwa. Inni próbując uniknąć wyroku gwiazd twierdzą, że ich oczy nie mają zielonkawego odcienia, zielonookie matki przemalowują swoje zielonookie niemowlęta, a żółtookie - żółtookie, wszystkie wyją z żalu, złości, nienawiści i zgrozy, ale na szczęście nie ma dla nich ratunku! Nie ma miłosierdzia i nie ma miłości! Sprawiedliwość królewska dopadnie ich wszystkich! Powiadam ci mój miły panie, nagle zaprowadziliśmy tu najprawdziwszą sodomię i wcale nie gorszą gomorię. Zapach kału, szczyny i krwi: Strach! Nienawiść! Przemoc! I zgrzytanie zębów! Są jednak też i tacy, dla których dekret nasz, to cymes, to miód sam i mleko płynące po stole, jest bowiem powodem ogromnej ich radości i wszelkiego ich ukontentowania.

- Pragnę w tym miejscu przypomnieć Państwu o tym - i tu Dziewic w roli reportera faktów publicznej telewizji zwrócił się wprost do kamery - o czym wspominałem już na samym początku, a, o czym już pewnie zapomnieliście, że mianowicie królestwo to zielonookie było bardzo zacnym i bardzo kochanym królestwem, aczkolwiek bardzo, ale to bardzo tragicznym. Jak mi bowiem wiadomo, krainę tę żarła historyczna choroba, klątwa ponoć samego Ilu Kurgala Enlil-ela, wielkiego złego Boga, który rzucając ją w strasznej swej nienawiści, poróżnił już przed eonami wspaniałą ich ludzką wspólnotę, dzieląc ich na dwie różniące się kolorem oczu, grupy. Tak naprawdę jednak, jak wynika to dość jasno z licznych dość dobrze zachowanych i dość dobrze udokumentowanych artefaktów historycznych, wszyscy oni byli tymi samymi kochanymi ludźmi, choć pozbawieni w jakimś sensie i pamięci i świadomości tego faktu, zapomnieli i o tym, podobnie, jak zapomina się o czymkolwiek innym, a zdarza się nam to w końcu wszystkim.

- Wieść o dekrecie i powodującej go przepowiedni - profesor Dooroba uśmiechając się słodko do Dziewica oplotła go mocniej ramionami i nogami, a całując jednocześnie z oddaniem jego waniliowego *Heavena*, ponagliła do działania - rozniosła się lotem błyskawicy po całym ówczesnym świecie. Blady strach padł na wszystkich, w szczególności jednak na wszystkich zielonookich. Trupy królewskiego wojska były nieprzekupne i nieprzejednane. Wszyscy ci, którzy nie

stanęli w kolejce, byli łapani, odkadłubiani, a ich porozrywane na kawałki ciała, rzucano wygłodniałym zwierzakom na pożarcie. Nie pomogły żadne lamenty, żadne załamywanie rąk, żadne wstawiennictwo ani inne łapówki. Wszyscy podejrzani musieli zginąć! I nawet poeta nadworny pchany jakimś dla siebie samego niezrozumiałym współczuciem, napisał na cześć wszystkich zielonookich i tamtych okrutnych wydarzeń, wspaniały, żółty wiersz, za który król, za namową astrologa oczywiście, wsadził go na kolejne trzysta trzydzieści pięć lat do królewskiego lochu:

kim jestem... kim byłem...
jak dziecko zabawki tak ja kocham zielone kobiety
ubóstwiam ludzi zielonych z sercami na dłoniach
przeciwko żółtej naturze jestem
gdy umierając do grobu zabiera
świat marzeń
i subiektywne poczucie czasu jako prędkości

kim jestem... kim byłem...
w tym na pozór sensu pozbawionym świecie
zakazów nakazów i represji,
wiarą co myśli zielone przenosi ponad żółtawą wodą
i jak kłody je rzuca pod nogi
antyludzkim systemom bezwstydnej zbyt głośnej zielonej wolności

kim byłem.... kim jestem...
w czasach gdy nie dochodzi do głosu
najzwyklejszy odruch moralny człowieka,
wierzę że jestem
zieloną intuicją przejętą od
która ogarnąć pozwala człowieka żółtostowiecznej galopadowistości

Aby później, siedząc już w królewskiej twierdzy i nie ulegając żadnym naciskom, napisać:

jakim prawem mówicie mi kim mam być
i co czcić mam

jakim prawem ograniczacie moją wolność i moją niezależność
zamykając mnie w obozie koncentracyjnym państwa
jakim prawem traktujecie mnie jak niewolnika
jak człowieka ostatniej kategorii
jakim prawem pozbawiacie mnie rodziny i przyjaciół
i wszystkich bliskich mi ludzi
jakim prawem wy wszyscy
żółto- niebiesko- czerwono- i czarnoocy
czynicie to twierdząc
że robicie to wszystko tylko dla mojego dobra
tylko dla mojego dobra
jakim prawem

I aby tuż przed odkadłubieniem, wyznać:

i stało się, gdy począł królować, że wymordował cały dom Jezusowy.
R 15/15/29

wielkie zmiany nadejdą
będzie czas
w którym ci którzy na rządach siedzą i ci rządzeni wielbiciele zrozumieją
że nie są potrzebni nikomu ani niczemu
wtenczas to drżąc ze strachu przed prawdą tą
padną na kolana
i bijąc się w piersi
błagać będą o przebaczenie
i miłosierdzie, którego nikt im jednak nie udzieli
rozpadną się w nicość i wtenczas Thenahå na nowo
rozwinie skrzydła
a światłość wypełni nam
nasze serca
nową świadomością
nową miłością
i nową dobrocią

Ale nigdy nie miało się stać tak, jak napisał. Dnia piątego, trzynastego tygodnia od ogłoszenia królewskiego dekretu, przed placem rejonowym stolicy stała już wielosetkilometrowa kolejka. Tych,

którzy próbowali zbiec lub ukryć się, odkadłubiono, a wszystkim innym wyłupiono oczy. A trwało to wszystko razem dni siedemdziesiąt siedem, siedem godzin, siedem minut i siedem sekund, bo tylu było chętnych do wyłupienia.

Cały świat osłupiał. I zamilkł. A potem zaraz odetchnął. A po odetchnięciu histerycznie się roześmiał. Nie pomogło to jednak nikomu. Ani światu, ani naszemu królestwu. - Po pewnym czasie od tychże strasznych wydarzeń - Kontynuowała Krzysztofa - po królestwie tym okrutnym rozeszła się mała, nic z pozoru nie znacząca, cuchnąco zaczepna jednak ploteczka. Ktoś twierdził w niej anonimowo, że oto nadworny astrolog, człowiek jak najbardziej zaufany i jak najbardziej oddany królowi i państwu, chytry jednak jednocześnie i podły, bowiem przemalowany taki jeden zielonooki, wymyślił całą tę historyjkę tylko dla zabawy, ot tak, dla żartu, dla niewielkiej i mało znaczącej gierki, a właściwie, jedynie dla zabicia przerażającej nudy... - Z nudów jestem zdolny do wszystkiego... - Powiedział naraz Dziewic przeciągając się lubieżnie i wybuchając przy tym dusznym śmiechochichotem.

- Teraz - kontynuował reporter, a, w tle przelatywały ruchome obrazy tamtych dni - blady strach padł na żółtych. Denuncjacjom nie było końca. Nikt przecież nie wiedział kim jest i w żaden sposób nie mógł tego udowodnić. Król wydał więc drugi dekret, a był to dekret kombatancki, rehabilitując wszystkich wyłupionych i nawet nadwornego poetę, w którym przyznawał się otwarcie do winy, przyznając im wszystkim zaszczytny tytuł obywatela i emeryturę w wysokości. Astrolog pozostał jednak nadal astrologiem, lecz niezbyt niedługo. Wyłupieni pod wodzą Wyłupnia I zebrali się w siłę i otoczyli stolicę. Zażądali wydania astrologa. I to na rzeź. Nie tylko, że chcieli go wyłupić, to żądali do tego oficjalnego wyklęcia, ścięcia, rozszarpania, rozrzucenia i rzucenia na pożarcie. Królowi jednak wcale nie spodobał się ten pomysł. Jako, że bardzo lubił swojego zięcia, poplecznika i prawą rękę królestwa, bez której nie wyobrażał sobie w ogóle królowania, które jawiło mu się jako wyjątkowo nudna męka, wymyślił na prędce sprytny, i prosty w działaniu fortel: nocą, choć mógł zrobić to równie dobrze i za dnia - w końcu wyłupieni nie widzieli niczego, bo pozbawiono ich oczu - wykradł im ich zamroczonego piwem rychłego zwycięstwa, Wyłupnia Pierwszego, a na jego miejsce, podstawił Astrologa. Rano nie pomogły już żadne tłumaczenia ani żadne prośby. Król ulegając naciskom wyłupionych, wyklął, ściął, rozsza-

rpał i rzucił na pożarcie ich wodza Wyłupnia Pierwszego, żółtoocy pod wodzą króla wymordowali wszystkich wyłupionych, astrolog abdykował króla, mianując się sam osobiście Jego Ekscelencją, Wielkim Kanclerzem Gubernatorem, przemalowani zostali tym samym zrehabilitowani, co niektórych żółtookich wtrącono do lochów, niektórym innym nadano zaszczytne tytuły Obywateli, ziemię i władzę. Po pewnym czasie Jego Ekscelencja mianował byłego króla premierem, jego córkę, a swoją bogdankę ministrem wszystkiego i wszędzie, ludzie powoli zapomnieli o tym wszystkim, a ich losy, i losy całego tegoż królestwa potoczyły się już bez większych przeszkód dalej, i pewnie toczą się po dziś dzień, podobne wszystkim innym losom, i wszystkim innym krainom tego znormalizowanego świata, w którym my wszyscy bez wyjątku pogrążeni i zatrzaśnięci jesteśmy.

- Ale rozpiździucha! - Wyszeptał Dziewic. - Szkoda tylko, że taka krótka! - Astrolog znikł nagle, a gdzieś w przestworzach lub zakamarkach Głębi, przepadła też rzeczywistość pałacowa. W powstałej w ten sposób pustce, gdzieś między wymiarami i płaszczyznami, zdecydowanie w jakimś mało określonym, i mało poznawalnym wewnętrznym punkcie Dwutrójni, usłyszał nagle ten znany mu już, nieznośny, przemiły jednak i kojący w jakiś sposób jego ciągle nieopanowane, rozgorączkowane myśli, głos: - I co?! Zaczniesz wreszcie?! - W odpowiedzi, wytężając całą swoją wolę, wrzasnął: - Skończ wreszcie z tym wrednym teatrem, Urszyllu, przecież wiesz w końcu kim jestem! - Czy jest to takie ważne - usłyszał w odpowiedzi - kim jesteśmy na planie, na którym wszystko i wszędzie jest Sobą?! - Thenahå...?! - Przemknęło przez myśl Dziewicowi. - To na pewno ona...! - W odpowiedzi usłyszał tylko szaleńczy śmiech Urszylla i jego głos powiedział: - Ukażę Ci rzeczy, jakich nie widziałeś. Poznasz sprawy, o których Ci się nie śniło, i znaki, o których nic nie wiesz, bo taka jest wola Thenahå Dziewicu, abyś mógł ujrzeć i abyś mógł poznać, a, o ile to będzie możliwe, abyś mógł również zrozumieć i pojąć. Abyś mógł poznać, zrozumieć i pojąć siebie samego, swoją piwniczną, czarną paranoję, wielopiętrowe poplątanie, a przez to, swoją zagubioną gdzieś po drodze jakość, słowem istotę istoty: swoją własną, wieloraką, trójdwubiegunowość. A i świadomość Dobra. I Miłości, oczywiście! Słuchaj więc mnie uważnie! - I tu Dziewic poczuł wyraźnie jakiś wewnętrzny nacisk, a właściwie to ogromne przymuszenie wręcz, zmuszające go do wytężenia całej jego uwagi. Od razu też usłyszał: - Miłość była od zawsze, Dziewicu. To tylko twój linearnie zaprogramowany umysł i zawistna zatwardziałość serca nie pozwo-

liła Ci do tej pory tego ani zrozumieć, ani poczuć! To tylko Twoja rozdwojona ubezwłasnowolnieniem wyobraźnia, straszna choroba umysłu, wytworzyła w Twoim mózgu podwójną Helisę, którą z maniackim uporem utożsamiłeś z wielkim wybuchem, a potem zaraz i bulionem pierwotnym. Plan Miłości jednak od zawsze polegał na tym, aby nie było żadnych niedomówień. Żadnych niejednoznaczności. Jednak Ty, motywowany przeogromną chęcią i żądzą władzy, stworzyłeś coś, czego nie ma. I czego nigdy nie było. Nie wiedziałeś wtenczas, tak zresztą jak i dzisiaj o tym nie wiesz, że przyczyniając się do utworzenia oraz urzeczywistnienia twojego - waszego - zimnego i ponurego świata kłamstwa, sam uczynisz się upośledzonym i chorym, napełniając się nie tylko wszelką ułomnością, ale i bardzo głębokim mrokiem. Zdradziłeś Entelechię. I Głębię. Wzgardziłeś i poniżyłeś swój własny, żywy, składający się z psyche i somy, organizm, oraz podstawowe siły w nim zawarte. Pogrążyłeś się tym samym w nierzeczywistym świecie nienawiści, nie dopuszczając do siebie ani możliwości Jedni, ani możliwości Nadmożliwości. A przecież Miłość była od zawsze. Zawsze też starała się wypełnić Ci serce dobrocią i współodczuwaniem. Chciała w ten sposób żebyś i Ty, mógł posłużyć wszystkim jako podręcznik, na którym, i przy pomocy którego, wszelkie formy ziemskiego życia mogłyby się wzorować i doskonalić, póki nie stałyby się izomorficzne. Jednak Ty wybrałeś zło, inny, prywatny świat, który wprowadził czynnik rozkładu, uszkodził na stałe nasz wewnętrzny, ludzki świat wspólnoty. Ale teraz, wierz mi, już nic mi nie przeszkodzi! Wbrew Twojej woli bowiem, nareszcie, będziemy go naprawiać. I to wspólnie!

- Uważaj Dziewicu! Nie daj się Urszyllowi! Walcz! Przecież jesteś w dwunastym wymiarze! - Lecz zanim Dziewic zdążył skoncentrować się na tym zaskakującym go ostrzeżeniu Wielkiego, głos Urszylla wypełnił mu na powrót całą jego czaszkę: - Jest piękny jesienny dzień Dziewicu. - Rozpoczął Urszyll. - Jesień jest już późna, mokra, szara i zimna, ale tym samym, wcale nie brzydsza, a wręcz piękniejsza jeszcze bardziej niż dotąd. Tańczysz właśnie pieśń Miłości na górze olejowej. Właściwie to nie jest żadna góra, nawet nie żaden pagórek, ot, normalne, nijakie, takie same jak miliony innych, małe wzniesienie terenu, wśród podobnych innych wzniesień. Ale właśnie w tej normalności, i w tej szarej nijakości kryje się to całe, ukryte przed każdym niewtajemniczonym okiem, naturalne piękno, którym się właśnie zachwycasz i delektujesz. Pola kąpią się w deszczu, wypełniając ci oczy wszystkimi odcieniami szarości, brązu i zieleni, począ-

wszy od głębokich brązów, ugrów i sienny, do czystej szarości stratusów, a kończąc, na przezroczystych kroplach zimnego deszczu spływających ci po twarzy. Pomimo przenikliwego zimna, zachodniego wichru i deszczu, czujesz się naprawdę szczęśliwy. I zupełnie nie wiesz dlaczego. Czyste szczęście i radość palą się w twoim wnętrzu jak olbrzymie słońca, tak, że przekrzykując wiatr i deszcz krzyczysz nieustannie: - Kocham was! Kocham was! Kocham… - Teraz - mówił dalej Urszyll - zaczynasz biec jak w transie przez pola, przez wiatr i deszcz, prostą droga ciągnącą się, aż po horyzont... - Dziewicu?! - W mózgu Dziewica twarz Wielkiego zajęła całe dostępne miejsce oraz całą dostępną pamięć. Wyraźnie wkładając w to całą swoją wolę, Dziewic powoli otworzył oczy. - Nie dam się tak łatwo Urszyllu! - Powiedział z naciskiem. - Zabieraj się z tym całym pieprzonym teatrem! - Lecz Urszyll zignorował to zupełnie. Miękko się do niego uśmiechając położył mu jednocześnie dłoń na ustach. - Słuchaj mnie uważnie Dziewicu, bo Twój czas już nadchodzi... - Mój czas...?! - Zdziwił się Dziewic, ale to było już rzeczywiście wszystko, o czym zdążył w tej chwili pomyśleć, bowiem dosłownie w tym samym momencie nowa rzeczywistość porwała go z podwójną siłą w zupełnie nieznaną mu stronę. Gdy Dziewic się w niej pojawił babcia Szymaa siedziała ciągle w swojej starej, małej i brudnej kuchni przy stole, i wyszczerbionym nożem obierała ziemniaki. W żelaznej kuchni huczał ogień. Nie roznosił jednak miłego zapachu żywicy po całej kuchni, ponieważ u babci palono głownie śmieciami, ale grzał skutecznie. Pod ławą leżały dwa stare i wyleniałe psy, jeden rudy z rudymi oczami, drugi czarny jak smoła, a na parapecie pękniętego okna siedział łaciaty, nieduży kot. Tuż za babcią stał Urszyll i coś do niego mówił: - Pokażę Ci teraz Dziewicu kawałeczek pierwszego poziomu rzeczywistości, tej którą tworzysz i którą zarządzasz, a wszystko to tylko po to, abyś pojął co miałem na myśli, mówiąc, że… Nie myśl więc… - I Urszyll zamilkł. Dziewic pchany jakimś silnym impulsem usiadł na kulawym krześle i dosłownie w tym samym momencie babcia zaczęła mówić wyraźnie do niego: - Moje gospodarstwo nie jest gospodarstwem wzorcowym, Panie Dziewicu. Po śmierci męża, a potem jednej z córek, która miała objąć po nas to gospodarstwo, w mojej rodzinie nastąpił całkowity rozkład, rozgardiasz i cha- os. Jak Pan pewnie wie, mam jeszcze dwie córki, ale one były przeznaczone do miasta, więc teraz, zamiast tamtej trzeciej, we dwie, ze swoimi mężami i całym stadem dzieciaków, prowadzą to gospodarstwo od upadku, do upadku. I to jest właśnie takie upadlające. Na wszystko brakuje nam notorycznie pieniędzy, a sposób gospoda- rowania jaki

prowadzimy jest przerażający: Trzodę karmimy teraz amerykańskimi szambowinami wzbogaconymi mielonymi, holenderskimi zwierzakami, zboże siejemy tylko japońskiej firmy Masmato, a więc skażone transgenią, a całość upraw uszlachetniamy dodatkowo tak wielką ilością mączki uranowo-aluminiowej, że nikt tego już nie może, ani nie chce jeść, poza takimi jak Pan oczywiście, bo wy zapatrzeni jesteście ciągle w świetlisty waszym zdaniem zachód, dawno już więc straciliście nie tylko zdrowy rozsądek, ale i całkowicie rozum. A przecież dzień po wyrwaniu warzywa rozpływają się tworząc kupę śmierdzącej mazi, owoce natomiast mogą leżeć latami, ani nie pleśnieją, ani nie schną, zapadają się jakoś tak dziwnie w siebie, lecz kolor, wszystko farbujemy przecież już od dawna chemicznymi farbami, nie znika. Rośliny osiągają gigantyczne rozmiary, lecz to, że przez to praktycznie nie nadają się do jedzenia, nikogo z was właściwie nie obchodzi, no może poza paroma waszymi fanatykami. Teraz ważne jest dla was tylko to, że żarcia jest w bród, i że jest ono, jak pan to mówi - jak zagraniczne! - Dziewic mimowolnie się uśmiechnął. - Co się Pan tak głupio uśmiecha, Panie Dziewicu? To wszystko przecież Pana sprawka! W końcu to przecież Pan zarządza tym wszystkim, czyż nie tak? - I tu Dziewic nie wytrzymał. Otworzył usta i tak nagle zastygł, bowiem babcia groźnie kiwając nożem w jego kierunku niespodziewanie ucięła mu możliwość mówienia, i ruszania.

- To przecież pana sprawka, że moda, zysk i cena decydują teraz o wszystkim, a nie prawdziwe i rzeczywiste wartości uporczywie, dla takich jak Pan, oczywiście, utopijnych idei, popierania tego, co smaczne, zdrowe i dobre. Prawda? W końcu, Panie Dziewicu, jak rozumiem, nic z tego co Pan robi i mówi nie dzieje się przypadkiem. Nieświadomie. Tak zakłada przecież zaplanowany i przemyślany przez Pana i dobrze przez Pana wyszkolonych kolegów, najnowszy plan odbudowy państwowej, który nazwaliście - *Landem redevelopmentem* - więc… I tu Dziewic odzyskując nagle i mowę, i ruch, wrzasnął: - Kurwa mać! - Zrywając się jak rażony piorunem z rozmachem kopnął stołek. - Nie wkurzajcie mnie tą swoją pieprzoną demagogią! Bo jak się wkurzę, to sami wiecie najlepiej, że nie odpowiadam za nic! - Rozkraczył się spoglądając jednocześnie groźnie w kierunku babci i Urszylla, i… osłupiał: rzeczywistości zwijały się z sykiem niespodziewaności i wielodzielnie rozwijały pędząc z prędkościami nadświetlnymi przez jego świadomość. Czas zafalował. I przestrzeń... Ogromne kryształowe szyby wpuszczały światło

księżyca, a miły ciepły wiaterek poruszał biało śnieżnymi firanami. Na zewnątrz, tuż za oknem widać było olbrzymie jezioro otoczone wokół gęstym lasem, a na jego powierzchni jakieś dziwne, kolorowe, tajemnicze stwory. Na polanie, tuż pod oknem, stali liczni, wyfraczeni mężczyźni w otoczeniu pięknych kobiet w balowych sukniach. On sam stał przed nimi przed czymś w rodzaju pulpitu, na którym wyraźnie widział jakieś liczne, zapisane maczkiem kartki. W jednej dłoni trzymał kielich szampana, drugą pozdrawiał kogoś. - Czy Pan mnie słucha, Raszidzie...?! - Babcia mówiła wyraźnie do niego, przy czym nie poruszała jednak w ogóle ustami, a jej codzienna, normalna fizjonomia zmieniła się nie do poznania: zupełnie jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki babcia odmłodniała nagle i wypiękniała, a ubranie na niej nabrało królewskiego charakteru. - Czyżby to była moja Dooroba…? - Jak błyskawica przemknęło przez mózg Dziewica. - Chciałabym, aby Pan dzisiaj przemówił do nas nie jak ten, wie Pan, dupek Raszid, ale co najmniej jak sam Harun-ar! Czy Pan się zgadza?! - I babcia wypiła mały łyk szampana. - Czy ja się zgadzam?! Ach droga dziewuszyco... - Dziewic słyszał swój własny, miękki głos, a uczucie wielkiej szczęśliwości pulsowało w całym jego ciele jak rozżarzone ognie. - Czy ja się zgadzam?! Ja to czynię dla Pani z największą ochotą i z największą moją żarową rozkoszą! Przecież Pani wie, że ją uwielbiam! - I tu Dziewic był już przy babci, i już całował jej wyciągniętą dłoń, i wąchał zapach jej włosów, wpatrując się jednocześnie w jej rozpłomienione oczy. - Ja Panią po prostu kocham, Maczo Doorobo, i żadna siła nie może temu zaprzeczyć, ja Panią pożądam...! Pożądam do szaleństwa... - Dziewic czuł płomień pożądania w całym ciele, i jak przez szum morza słyszał wszystko. - Niech Pan już zaczyna.... Wszyscy czekają.... - Dziewic jak w transie rozejrzał się dookoła i, rzeczywiście: cały Pałac Narodów wypełniony był jakimiś wyfraczonymi mężczyznami, którym towarzyszyły piękne kobiety w balowych sukniach, a pod wielkim kryształowym żyrandolem zobaczył samego Kanclerza z małżonką. Mały, poważny tercet symfoniczny: dwie piękne, półnagie kobiety z czerwonymi jak krew wiolami i zielonymi jak trawa smykami oraz młody mężczyzna między nimi w bieli, ze złotym, i dziwnie powykręcanym obojem w dłoni, przygrywali wszystkim do tańca. Muzyki Dziewic nie słyszał, ale za to swój własny głos, który mówił: - Kochani przyjaciele, i wy kochani moi sympatycy. Dzisiaj powiem wam na pewno nie tak, jak jakiś tam, znany wam pewnie już z innych historii, al… Raszid, lecz co najmniej jak sam Harun-ar! A to co usłyszycie zapadnie wam głęboko w wasze serca, bo Miłość, bo Dobroć, bo Thenahå! Bo taka jest jej wola!

A więc słuchajcie!

- Moją pasją jest odmładzanie ludzkich dusz. Mojej własnej. Innych. Każdego. Dawać ludziom poczucie godności, radość i szczęście. Miłość i dobroć. I przyjaźń. - Brawo! Brawo!! Brawo!!! - Krzyczeli najbliżej Dziewica stojący, a babcia Szymaa uśmiechała się do Dziewica zalotnie. Dziewic uśmiechał się również. Uczucie radości i szczęścia przelewało się przez niego jak szampan, którego właśnie pełnymi łykami smakował. - Chcę przywrócić was życiu, a życiu świadomą świeżość. Chcę przywrócić uczucia. Przywrócić przeżycia i doświadczenia pierwszego oddechu. I pocałunku. Impetu pomysłów. Wspaniałego współporządku. Współodczuwania i dobrego życia. Pragnę przygotować was wszystkich do tego, abyście spełnili się z radością szczęśliwości we wszystkich środowiskach, we wszystkich rzeczywistościach i we wszystkich szczegółach. Jako wybrańcy posiadacie bowiem cudowną Nadmożliwość: Możecie się zmienić! I to świadomie! Możecie uwolnić się od konieczności potrzeby zamykania, izolacji, samotności, strachu, płaczu czy żałości… Możecie stworzyć świat ludzi odważnych. I honorowych. Możecie świadomie opowiedzieć się po odpowiedniej stronie! I to pomimo tego, iż żadna inna istota ziemska tego nie potrafi. Dlatego właśnie chcę współodczuwania. I szacunku. I honoru. Chcę, abyście pozdrawiali się na ulicach nie wiedząc kto jest kim i nie dbając o to. Chcę dla was całkowitej wolności. Pragnę społeczności twórców. Dynamicznego chaosu. Klasztoru dla przepełnionych radością szaleńców! Jako jedyni tu na Ziemi bowiem, możecie ogromnym wysiłkiem swojej świadomej i wielorakiej twórczej woli, urzeczywistnić wasz słuszny wybór, w opozycji do niesłusznego. Musicie wybrać tylko NAS, bowiem tylko z NAMI możecie tego dokonać! MY bowiem, jesteśmy… - I tu nagle wszystko zamarło. Rzeczywistości znowu zwinęły się i rozwinęły. A Dziewic znalazł się naraz sam w pustej, wiejskiej kuchni. Tylko babcia Szymaa dalej obierała ziemniaki swoim wyszczerbionym nożem - Dziwnie to jakoś wszystko powiedziałeś Raszidzie. - Babcia popatrzyła smutnym wzrokiem na Dziewica. - Wszystko było takie jakieś pogmatwane i poplątane.... Bo czy rzeczywiście uważasz, że to tylko Nienawiść, i tylko Przemoc jest naszą matką i naszą królową?! - Dziewic słuchając babci Szymaa poczuł nagłą, zajadle złośliwą radość, która roztętniła się w jego żyłach jakimś porywczym, yamatańskim rytmem, lecz zaraz potem i straszny smutek z prędkością błyskawicy wsączający się w jego serce. Popatrzył na babcię Szymaa jakoś tak niewidząco i naraz zapytał, sam pytaniem tym się zaskakując. - A co nam pozo-

stało Szymaa?! Co mamy czynić?! Co mamy czynić?! - Powtórzył jeszcze raz. - Co mamy...? I tu, zupełnie niespodziewanie, jak gdyby tuż zza Babci Szymyy, wyskoczył jakiś muskularny, śmieszny facecik, w kusym kostiumie zapaśniczym i, z wyraźnie sztucznie przyklejonymi, nastroszonymi wąsikami. Przez tors przewieszony miał długi miecz samurajski, który właśnie wyciągał. - Przecież to jestem ja sam.... - Przeleciało Dziewicowi jeszcze przez czaszkę, ale to było już prawie wszystko o czym zdążył pomyśleć, bowiem zjawa, bez względu na to kim była, cięła go przez łeb wielkim i ostrym jak brzytwa mieczem. - I jak ci się podobało, Dziewicu? - Zapytał jeszcze Maryłeja Urszyll, lecz to było już rzeczywiście wszystko, co pojawiło się w jego głowie, bowiem dosłownie w tym właśnie momencie Debek wyłączył konekszyn. - Zostawcie go na stole. - Powiedział Krzach. - Albo i nie! Rzućcie go na tę kupę, tam! Niech sobie poleży, dupek! Przecież nie jest jeszcze nikomu potrzebny... - Programator kopnął leżące nagie ciało śmiejąc się radośnie. - Fajrant! Zabierajcie się wszyscy, ale już! Już czas. Chyba starczy już tego jebania na dzisiaj, no nie?! - Poklepując się i przepychając timm przeprogramowaczy ruszył ku drzwiom przeprogramowalni, tylko Debek zatrzymał się jeszcze obok odłączonego od życia Dziewica leżącego teraz bezwładnie na kupie podobnych, innych, odłączonych od życia, ciał. - A może potraktować by go tak jeszcze czymś wyjątkowym?! - Rzucił w stronę kolegów. I dosłownie w tej samej chwili, a może nawet już trochę wcześniej, pogrążona w nieświadomości świadomość Dziewica uległa powolnej, skokowej przefragmentacji. W jego uśpionym mózgu otworzyły się nagle jakieś nieznane nikomu bliżej olbrzymie drzwi percepcji, z których buchnęły w Dziewica jakieś kolorowe światy oraz nieznane nawet Dziewicowi, dziwne, tajemnicze rzeczywistości, zalewając go pienistą wielorakością niczym powódź zalewająca wiosenne łąki, wiosenne pola i drogi.

DAŁN ŁAN DRUGI

Jeżeli pozostaniecie nadal w mroku swych przekonań nigdy nie dopuszczając JEJ do głosu oraz nigdy nie obdarzając wszystkiego i wszędzie właśnie NIĄ, nigdy nie zmienicie swojego losu, bowiem nigdzie ani w niczym nie znajdziecie tego, czego poszukujecie dzisiaj, lub kiedykolwiek poszukiwać będziecie.

Enki-el, 48 875 lat, 13 miesięcy i 3 dni przed JoshUą.

Krzysztofa Benc stała na niewielkim podwyższeniu w wielkiej auli piątego poziomu głównej siedziby Dooila, na którym punktualnie o godzinie ósmej ejem rozpoczęły się dzisiaj XXXIII Międzynarodowe Targi Boskości, wypełnionej po brzegi nieznanymi jej, wyfraczonymi gośćmi. Zaproszenie do udziału w Ezotemirze przysłano jej przez specjalnego gońca wczoraj wieczorem. Miała wygłosić, jak informował ją załączony list, podpisany przez międzynarodową naukową sławę, niejaką prof. dr Maczę Doorobę, referat na temat swojej pracy. Profesor Dooroba twierdziła dalej, że jest to jedyna okazja specjalnie dla niej zresztą stworzona, do zaprezentowania szerszemu, międzynarodowemu gronu wybitnych, a do tego, jak to podkreśliła, wyjątkowych specjalistów, jej całego dorobku twórczego, który, jak mniemała, był na tyle znaczny i interesujący, że ona, i to do tego osobiście, zaprasza ją oraz gorąco prosi o przyjęcie tego zaproszenia jak i wzięcia udziału w Ezotemirze. Do listu załączony był czek opiewający na sumę dwóch tysięcy trzystu pięćdziesięciu dolarów, co miało być - jak informowała ją profesor Dooroba - małą zaliczką, oraz zachętą do nieodrzucania jej oferty. Zaskoczenie Krzysztofy było ogromne. Dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt dolarów równało się w końcu, jak policzyła Krzysztofa, jej czterdziestodwuletniemu wynagrodzeniu w domu kultury, w którym pracowała jako nauczycielka rysunków. Krzysztofa pomyślała, że nastąpiła jakaś straszna pomyłka, że ona przecież nie może być adresatem tego zaproszenia, że to przecież niemożliwe, żeby ona, tam, i teraz. Na szczęście dość krótko zmagała się ze swymi mrocznymi myślami, bowiem, gdy roztrząsała właśnie wszelkie argumenty za, jak i przeciw, niespodziewanie zadzwonił telefon. - Tu profesor Dooroba. - Usłyszała Krzysztofa w słuchawce, gdy ją podniosła. - Czy mówię z Krzysztofą Benc? - Pani Profesor...? - Wybąkała zaskoczona Krzysztofa. - Mów mi Macza, moje dziecko. - Zaszczebiotała Dooroba. - Dostałaś zaproszenie? Na pewno dostałaś, jakże mogłoby być inaczej? Cieszę się ogromnie, że będziesz dzisiaj naszym diamentem. Mam oczywiście nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę, iż nie byłoby zbyt mądrym odrzucenie naszej propozycji… Bo wiesz… Przygotowaliśmy to wszystko tylko dla ciebie i to najlepiej jak tylko mogliśmy. Gości zaprosiliśmy też wyjątkowych, więc sama rozumiesz. Błagam więc! Nie zwlekaj! Dzie-

wic już jedzie… - I za nim Krzysztofa zdążyła cokolwiek pomyśleć, przeciągły sygnał w słuchawce oznajmił jej, że rozmowa się już skończyła. Krzysztofa powoli odłożyła słuchawkę i zamarła na jakiś czas w twórczym bezruchu świadomości, z którego wyrwał ją dzwonek u drzwi paraliżując jej zmysły całkowicie. Pooddychała więc głęboko parę razy, po czym powoli podeszła do drzwi: - Kto tam? - zapytała z lekkim drżeniem w głosie. Z za drzwi dało się słyszeć jakieś szuranie, a po chwili jakiś męski głos powiedział: - To ja. Maryłej Dziewic. - Aby po chwili zapytać: - Czyżby spodziewała się pani kogoś innego? - I za nim Krzysztofa zdążyła uczynić jakiś ruch w kierunku klamki, drzwi same się otworzyły i oczom Krzysztofy ukazał się bardzo przystojny, wyfraczony, młody mężczyzna, który wszedł do środka zamaszyście, wziął ją delikatnie, aczkolwiek stanowczo pod rękę, zakręcił nią młynka i tak oto rozpoczął: - Ach, moja królowo… Nie wiem czy Pani już to wie, ale przygotowaliśmy wszystko, i to tylko dla Pani. W najdrobniejszych szczegółach. Dziś bowiem będzie Pani naszym rubinem. A może nawet i diamentem. Zaraz, gdy tylko wytłumaczę Pani po co to wszystko, wsiądziemy do auta i zabiorę Panią do Centrali, tam bowiem w Wielkiej Auli 5-tego poziomu dokładnie o ósmej zero zero otworzy Pani Ezotemirę - najwspanialsze i najdonioślejsze targi Boskości jakie kiedykolwiek i ktokolwiek zorganizował... - aby nie przerywając ani na chwilkę doprowadzić ją do samochodu, umieścić na siedzeniu, usiąść obok, wydać polecenie kierowcy, i dalej opowiadając jej o tym jak będzie wyglądać dzisiejszy dzień, dowieźć ją do Centrali. Krzysztofie Maryłej przypadł od razu do serca, uśmiechając się więc słodko do niego jechała jak zaczarowana wschodnia księżniczka na różowej kanapie srebrnego Rolls Roysa. W siedzibie głównej Dooila powitała ją sama pani profesor. Przeszkloną windą wjechały na trzydzieste trzecie piętro, i gdy tu, nie widząc nigdzie wielkiej auli, Krzysztofa spojrzała pytająco na Maczę, tak uspokoiła ją natychmiast: - Ach, moje dziecko, w takim stanie w jakim jesteś obecnie, przed ponadnarodowym gremium wystąpić przecież nie możesz... - I za nim Krzysztofa się zorientowała, siedziała już na fotelu przeprogramowań, a cały sztab wysoko wykwalifikowanych i zaufanych pracowników zabrał się natychmiast do dzieła, bowiem dokładnie o 07:59:15 musieli być już gotowi, a o 08:00:00, Krzysztofa stojąc już na niewielkim podwyższeniu w wielkiej auli piątego poziomu, musiała używając takich oto właśnie słów, rozpocząć:

- Homo Magadur - irracjonalne narzędzie do rozwiązywania wszelkich racjonalnych problemów nie do rozwiązania - powstanie oraz

działanie człowieka duchowo-mistyczno-magicznego. Makro. Ponieważ w przeciwieństwie do rzeczywistości biblijnych oraz Stref, Sfery nie mogą być obciążone żadną Negatywnością, ani też żadną inną Paranoją, są bowiem energetycznym odpowiednikiem Tej, która jest Miłością, czystej jak diament, umożliwiają nam więc tym samym zostanie oraz bycie wyjątkowymi istotami, ponieważ, możemy też, lub raczej, możemy przede wszystkim, być nie tylko istotami fizycznymi, ale i sferycznymi. Jak bowiem na to wskazuje nasza współczesna rzeczywistość oraz liczne historyczne dowody, poszlaki, przypuszczenia i dociekania, za czasów prehistorycznych wydarzyła się tu na Ziemi najprawdziwsza cudo katastrofa, cudowny wypadek, bowiem, najprawdopodobniej, gatunek, którym wszyscy dzisiaj tu jesteśmy, został właśnie w tamtych, odległych, prehistorycznych czasach, świadomie i celowo wykreowany. Jak dobitnie informują nas o tym znaleziska z Qumran, nasi modyfikatorzy w swoich licznych poczynaniach nie kierowali się jednak Dobrocią. Nie kierowali się również Miłością ani wielką Radością Twórczą. W końcu, zgodnie z ostatnio odcyfrowaną *Altra Hasis*, tworzyli tylko niewolnika, taką biologiczną maszynę do wszystkiego, niewiele wartego mięśniaka, więc ani Miłość, ani Dobroć, ani wyjątkowe Zaangażowanie nie były im potrzebne. W wyniku ich miałkiej i dość płytkiej świadomości, niedoskonałości metod genetycznych, niedostatecznych środków ostrożności oraz wyraźnej animozji wewnątrz rodzinnego aparatu władzy, łącząc zbyt szybko i zbyt pochopnie swoje własne komórki rozrodcze z ziemskimi, obdarowali nas przez przypadek mimo woli zarażając nieświadomie, licznymi sferycznymi talentami, którymi świadomie, na pewno nie chcieli nas ani obdarować, ani zarazić, a którymi sami, najprawdopodobniej, byli kiedyś, przez kogoś, gdzieś, zupełnie nieświadomie obdarowani lub\oraz, zarażeni, i które, podobnie jak i dzisiaj w nas, żyły w nich w formie larwalnej i uśpionej, bowiem świadoma Dobroć i Miłość, Wgląd, Mądrość, Honor i Odwaga, Radość i Szczęście, oraz Szacunek i Jakość, to talenty umożliwiające wszystkim istotom globalnie, niezależne od umiejscowienia i okoliczności, czynienie Dobra, a przez to, bycie i trwanie w stanie nadprzewodnikowym, zarezerwowanym normalnie tylko i wyłącznie dla wybrańców - prawdziwych sferycznych Mistrzów Życia, którymi zarówno Oni, jak i my - jako gatunek - na pewno nie byliśmy, na pewno nie jesteśmy, i na pewno nigdy nie będziemy!

- Nasze ziemskie, jak i boskie zresztą, naturalne zauroczenie wszelką negatywną agresywnością, pozwoliło niestety tylko niewielkiej na-

szej ilości tu te talenty w sobie odnaleźć, tu je w sobie reanimować, rozbudzać i szkolić, oraz tu je później wykorzystywać również praktycznie. I właśnie dlatego oprócz uwarunkowanej wszelką negatywną, manipulacyjną grą tu na Ziemi, istnieje też między nami stymulacja - psychobiosyntetyka pozytywna, sferyczne przeciwieństwo każdej, siłą nieświadomości narzuconej nam, ziemskiej lub/oraz nieziemskiej, paranoiczności. Dlatego też istnieją wśród nas wyjątkowo dobrzy i mądrzy, choć niestety bardzo nieliczni, ludzie, są też i dobre fale i dobre ich częstotliwości. Dlatego też są i dobre informacje przenoszone na nich. Ich istnienie i działanie jest dla nas wszystkich bardzo ważne, bowiem bez nich, nikt z nas nie miałby tu w ogóle żadnych szans na przeżycie oraz na poznanie, jak i urzeczywistnienie, swojej tu magiczności.

- Najważniejszy więc dla wszystkich tych, którzy pragnęliby, lub\oraz pragną już, urzeczywistnić tutaj swoje dobre człowieczeństwo, jest nieograniczony dostęp do dobrego Doświadczenia. A zatem Dobra zamieszkującego w nich samych oraz Dobra zamieszkującego i w nas. Do rzeczywistości opartej na częstotliwości zwanej Falą Życia oraz wszystkich, nie monitorowanych, wyższych częstotliwościach - drganiach - kosmicznych, słowem, na świadomie i odpowiednio dobranych ideach oraz ludziach je wyrażających, ich miłości, mądrości i jakości. Na wzajemnych wzajemnościach. I połączeniach. Czyli nauce, edukacji, kulturze, religii i filozofii niekonwencjonalnej, tej, która uzewnętrznia najwyższe psychiczne potrzeby człowieka, a więc nie modny we wszystkich współczesnych czasach pęd ku bogactwu i wyzyskowi, lecz niemodne dość dążenie ku wspólnemu obopólnemu dobru nas wszystkich. Oraz również niemodne poszanowanie całego Życia wszędzie, globalnie, którego i my wszyscy przecież, jesteśmy wyrazem… - Do cholery! Dajcie to na wszystkie monitory, pajace! - Wrzasnęła Macza przerywając Krzysztofie w pół zdania i jednocześnie złowrogo patrząc na Debeka. Dżek energicznie pokręcił jakimiś pokrętłami umożliwiając tym samym Debekowi przelanie zawartości świadomości Krzysztofy na dyski obracające się w czytnikach. - Nooo…! - Sapnęła Macza widząc wynik ich nieudolnych starań na stu siedemnastu monitorach na raz. Na szczęście elektroniczny lektor tłumaczył nadal bez zająknięcia:

- Droga pierwsza, druga, trzecia i czwarta, Thenahå, 5-ta Droga, oraz *Causa sui sum*, dają nam w tym względzie na szczęście wprost nieograniczone możliwości. Dzielą się bowiem rzeczywistością. I wa-

rtościami. Tak też, człowiek mistyczno-magiczny, to Magadur. To Miłownik. Uzdrowiciel. I Apostoł. To każdy w jego najgłębszej, nie zainfekowanej i nie zniewolonej codzienną, szarą agresywną gwałtownością, głębi swojego serca! I brzucha! To Joszua. To Thenahå. To Urszyll. To ja. Miłownik jest więc osobą dojrzałą i mądrą. I wykształconą. To osoba miłująca życie we wszystkim i wszędzie. Nieprzekupna i znakomicie wyszkolona. Stosująca model zachowań nie opartych na okolicznościach. Miłownik to istota odróżniająca bez trudu jedno od drugiego, rozróżniająca fałsz, obnażająca oszustwa, działająca bezinteresownie, natychmiastowo, pewnie, bez poczucia winy, wstydu, strachu, wątpliwości czy zakłopotania. Jego wiedza nie nadaje się do zapisu, można jej jedynie doświadczać osobiście na drodze wysublimowanej i wyizolowanej rzeczywistości w wyniku wieloletnich, ogromnych wysiłków i wyrzeczeń. Dbając o ludzki potencjał, przywódczość, rozwój charakteru oraz wszystkich innych ludzkich cnót, oraz żyjąc w dwutrójni duchowego objawienia, Miłownik tworzy potężną, mądrą, pozbawioną samolubstwa, niepodatną na korupcję, współczującą, odpowiedzialną i efektywną istotę ludzką, dla której honor i odwaga, miłość i dobroć, jakość, prawdomówność i rzetelność, oraz wgląd w istotę bytu, są najważniejszymi drogowskazami w jej życiu.

- Często spotykam się w tym miejscu z niezrozumieniem idei tej oraz twierdzeniem, że Miłownik to istota wyjątkowa, i że nie każdy z nas, i to nawet w specjalnie dla niego stworzonych, idealnych warunkach, mógłby nim dzisiaj zostać. Być może jest w tym twierdzeniu odrobina prawdy, bowiem Miłownik to rzeczywiście człowiek wyjątkowy, ale - co pragnę w tym miejscu szczególnie podkreślić - wyjątkowość ta ma miejsce tylko we współczesnym świecie zdeterminowanym przez kłamstwo, przemoc, wyzysk, i niewolnictwo. W świecie prawdziwych, kochanych ludzi - nawet jeżeli tacy w tej właśnie chwili tu na Ziemi nie istnieją, lub jeżeli było ich, lub jest ich doprawdy niewielu - Miłownik jest człowiekiem normalnym, by nie rzec wręcz, przeciętnym, takim samym, jak każdy inny obok niego, tym, którym - co znowu znacząco podkreślam - każdy z was byłby, gdyby nie istniała oczywiście żadna *Tripsicuté*! Co się zaś tyczy naszego dzisiejszego, obecnego świata, Miłownikiem - być może - nie każdy mógłby rzeczywiście już teraz zostać - jesteśmy już na to - być może - za bardzo chorzy, za bardzo zniszczeni, za bardzo zdegenerowani i upodleni - każdy może jednak - po uświadomieniu sobie swojego własnego ubezwłasnowolnienia - przy odrobinie własnej ocho-

ty popartej też i odrobiną własnej pracy, być odrobinę lepszy od tego, jakim w danym momencie już jest, czyli, może być bardziej rzetelny, bardziej odważny, bardziej honorowy, może być mądrzejszy, spokojniejszy, bardziej współodczuwający, bardziej odpowiedzialny, bardziej wyrozumiały, bardziej łagodny, bardziej dobry i bardziej kochający w stosunku do siebie samego oraz do ludzi go otaczających. Każdy może być bardziej świadomy, a przez to mniej pokorny, mniej usłużny, mniej obłudny, mniej samolubny i kłamliwy, mniej wyrachowany, mniej egocentryczny, mniej głupi, mniej niedojrzały, mniej impulsywny, a bardziej przebiegły, nieufny, dziki i wściekły w stosunku do swoich wyzyskiwaczy i oprawców. Każdy może - i to jest, i zawsze było możliwe - być po prostu trochę lepszym człowiekiem, lecz nie zgodnie ze współcześnie obowiązującą egoistyczną ideą, gdzie lepszym oznacza jednoznacznie bycie bogatszym, z większą władzą niszczącym wszystko skurwysynem, lecz lepszym w sensie urzeczywistniania idei Jedni, Pełni i Spełnienia, poprzez akceptowanie, podtrzymywanie i równomierne rozwijanie życia we wszystkim i wszędzie, a nie tylko w sobie samym, a, i być może również (?!) i w swoich bliskich. 5-ta Droga nie jest jednak drogą łatwą. Nie jest też drogą dla każdego. Lecz na każdego kto ją wybierze i kto będzie wytrwale nią podążał, czekają doprawdy cudowne konsekwencje praktyczne, graniczą bowiem z najwspanialszymi czarami i ich najwspanialszym spełnianiem. Ale najwspanialsze tak naprawdę w tym wszystkim jest to, że prawie każdy z nas nie tylko może, ale, że już jest tym dobrym i cudownym czarodziejem. I to od urodzenia! A może nawet i od wcześniej. Niestety takim, który zaczarowany przez nieznanego Obcego Złego, zapomniał o tym kim jest, i jakie posiada możliwości. Jak twierdził jednak Franz Bardon, jeden z największych Magów XX wieku, zagorzały przeciwnik czarnoksięstwa zwieńczonego hitlerowską fascynacją Crowleya, każdy czar da się na szczęście jakoś odczarować. Wystarczy odrobina odwagi, odrobina mądrości i odrobina szaleństwa, które razem, w połączeniu, dają magiczny eliksir wszystkich czarodziejskich eliksirów: nadzieję i wiarę, chęć i wytrwałość, bez których żadne czary, ani żadne odczarowywanie nie mogłoby w żadnej z naszych świadomości zaistnieć, ani być urzeczywistnione praktycznie. Myślę więc, że o ile tylko spróbujecie i nie poddacie się od razu zwątpieniu i rezygnacji, to się wam uda. Umiejętność odczarowywania bowiem, którą, o ile wiem, można przeprowadzić tylko w ten jeden jedyny sposób, dana jest nam wszystkim.... Trzeba tylko uwolnić swoją wyobraźnię od śmieci. No i świadomość od zamknięcia... I po prostu uwierzyć! Czyż nie warto więc spróbo-

wać?!

- Thenahå: ta, która jest. Ta, która była i Ta, która będzie. - Pierwsza konsekwencja praktyczna: zmiana paradygmatu postrzegania rzeczywistości z przesunięciem środka ciężkości z indywidualnej odrębności na współzależną Jednię, gdzie Ja to Ty, Ty to Oni, a Oni to My. To koniec z nienawiścią, przemocą, chciwością i prywatą. To koniec ze złodziejstwem, kołtuństwem i głupotą. To koniec z wyzyskiem, nakazem, zakazem i wojną. To początek 5-tej Drogi, gdzie idea Causa sui sum jest ideą przewodnią wszystkich ludzi, a Thenahå - życie wypełnione wspólną wszystkim Dobrocią i Miłością - ich siłą.

- TheNaHeL Holotropics® Pracownia Twórcza oraz Deklaracja Twórczego Posłannictwa. - Druga konsekwencja praktyczna: przejście z gospodarki rabunkowej do gospodarki pro-ludzkiej, gdzie człowiek i jego potrzeby, ale nie w znanej nam już doskonale z historii, demagogicznej i dyktatorskiej formie *zbrodniczego faszyzmu* lub innego *neurobetonowego kwaczu*, lecz nieznanej nam dotąd współzależnej wspólnocie, ukształtują nowe społeczeństwo ludzkie na planecie zwanej Ziemią, na której każdy obywatel - człowiek - podpisze społeczny Kontrakt oraz złoży dobrowolnie swoją własną, prywatną, Deklarację Twórczego Posłannictwa, podług której będzie też i odtąd żył.

- Kontrakt. Ja, niżej podpisana, zobowiązuję się dobrowolnie, i to do tego z wielką pasją i radością, być człowiekiem dobrym, to znaczy takim, który świadomie kieruje swoim życiem w taki sposób, aby mogło ono angażować się w najważniejsze zagadnienia dotyczące zdrowego, pełnego i świadomego życia nas wszystkich oraz wszystkich innych istot zamieszkujących Ziemię, poprzez takie zarządzanie ziemskim ekosystemem, aby wartość i jakość każdego tu Życia, nie tylko nie malała, ale z czasem i rosła, i to w całej jego rozciągłości: na wszystkich płaszczyznach, we wszystkich wymiarach i we wszystkich rzeczywistościach jednocześnie, podtrzymując go, rozwijając, wzbogacając i chroniąc. Ponadto, i to równie dobrowolnie, zgadzam się na konsekwencje nie zastosowania się do zasad mojego społecznego Kontraktu, którymi będzie wstrzymanie wszelkich przywilejów wynikających ze współudziału oraz współtworzenia wspólnoty Słonecznej, w szczególności zaś, pozbawienie mnie możliwości jakichkolwiek kontaktów międzyludzkich.

- A oto (przykładowo) moja własna Deklaracja. Moim najgłębszym pragnieniem jest umożliwianie i pomaganie wszystkim ludziom, nie wykluczając z tego i mnie samej, w rozpoznawaniu i usuwaniu wszelkich hamujących nasz twórczy rozwój problemów, i to poprzez rozbudzanie, kształtowanie i kierowanie naszej świadomości na pełnowartościowe życie skoncentrowane na etyce charakteru oraz rewolucyjnych zasadach kierowania i zarządzania własną osobowością. Dlatego też prowadzę szeroko pojętą, niekonwencjonalną działalność twórczą skoncentrowaną na stosowaniu wszelkich niekonwencjonalnych praktyk twórczego życia służących rozwijaniu i podtrzymywaniu świadomej współzależności między ludźmi oraz interlogicznym rozpoznawaniu i rozwiązywaniu wszelkich indywidualnych, oraz grupowych problemów nie do rozwiązania.

- Konsekwencje. Cuda, to według Encyklopedii Naukowej PWN, nadzwyczajne zjawiska o charakterze religijnym, które tłumaczy się interwencją sił nadprzyrodzonych. Pewnie myślicie tutaj o fruwaniu, przenikaniu przez ściany i mury, wyczarowywaniu z niczego worków pełnych dolarów, znikaniu i pojawianiu się to tu, to znów tam, mówieniu wieloma językami, zaklinaniu węży i innych zwierząt, powalaniu bez wysiłku wszelkich wrogów, o życiu wiecznym, bez pracy, w szczęściu i radości, czyż nie tak? A co byście powiedzieli na to, gdyby w encyklopedii napisali jeszcze, że bycie dobrym człowiekiem w niedobrym, szarym i brudnym międzyludzkim świecie, nie tylko graniczy, ale, że jest już najprawdziwszym cudem, i to do tego jednym z najwspanialszych jakie w ogóle mogą nam się tu za życia na Ziemi przytrafić, i, że i my, i to od zaraz, od natychmiast, możemy zacząć go czynić, wystarczy, abyśmy zechcieli tylko, no i zaczęli jeszcze praktycznie?! Zaczęlibyście?! Czy może taki głupi cud, jak codzienne czynienie DOBRA, nie interesuje was zupełnie?! A jak myślicie, co właściwie czynią lub czym się właściwie zajmują nasi święci?! …Joszua, Budda, Mahomet, Laotse, Pio, Kapil, Nai…?! Nie wiecie? Właśnie głupimi Cudami! A może znacie Majcikę? Nie? Przecież ona żyje tuż obok was i tuż obok was czyni swoje cuda! A Krysię? A Mariusza? A Basię?

- Jak sami to wiecie doskonale z autopsji życia, lista ta nie ma początku i jest bez końca. W każdych czasach, na wszystkich kontynentach i we wszystkich miejscach zamieszkałych przez ludzi, byli zawsze, są i zawsze będą ludzie po prostu dobrzy, nie tylko dobrze życzący innym, ale, także to dobro urzeczywistniający praktycznie: na

sobie samych, na swoich bliskich oraz na wszystkich innych istotach żywych. I nie muszą być do tego jak Joszua, Kapil, czy Maria Magdalena, od razu Świętymi. Mogą mieszkać sobie tuż tuż obok was, na waszych ulicach i w waszych blokach, a wy nawet nic o nich nie będziecie wiedzieć. Mogą czynić swoje codzienne dobro u siebie w swoich mieszkaniach i w swoich rodzinach, będąc po prostu dobrymi dla swoich współmałżonków, dla swoich dzieci, dla swoich rodziców, czy też swojego rodzeństwa, mogą czynić dobro w swoich zakładach pracy będąc dobrymi dla swoich współpracowników, mogą czynić dobro w szkołach, na uniwersytetach, w biurach, korporacjach, trustach i urzędach, prywatnych i państwowych, i na ulicy. Mogą czynić dobro wszędzie tam, gdzie w danym momencie powinno być czynione lub tam, gdzie jest na niego zapotrzebowanie. A zapotrzebowanie na dobro, jak sami to wiecie, jest na naszej planecie Ziemi wszędzie i zawsze. Potrzebujemy go bowiem wszyscy jak powietrza do życia, wszyscy też powinniśmy bezproblemowo go od siebie nawzajem otrzymywać, lecz czy rzeczywiście wszyscy go sobie dajemy lub chcemy go sobie bezproblemowo dawać?...

Po krótkiej przerwie potrzebnej do zmienienia biologicznych dysków, obraz czynności mózgowych Krzysztofy pojawił się znowu na monitorach, a jej głos powiedział: - Na szczęście sama z dawaniem DOBRA nie mam żadnych problemów, będąc bowiem amplifikatorem kognitywnym, jestem człowiekiem wyjątkowym. - Macza odetchnęła z ulgą. A nawet uśmiechnęła się do Debeka. - Będąc nim więc, posługuję się świadomie wyższymi, duchowymi zdolnościami nie potrzebując już do ich wyrażania w tworzeniu czegokolwiek - żadnych urządzeń wspomagających, żadnej elektroniki! Potrafię więc korzystać z wielopoziomowego myślenia synergicznego - w przeciwieństwie do wszystkich współczesnych i nawet bardzo dobrze wykształconych osób robiących użytek jedynie z niewielkiego procenta dostępnych im narzędzi myślenia biologicznego i konceptualnego. Potrafię tez tworzyć nieskończone liczby nieskończonych schematów i nowych paradygmatów rozumowania fascynacyjnego. Mogę być w nich wobec tego jedynym narzędziem i jedynym instrumentem aktu twórczego: mogę być, i jestem we własnym procesie kreacji nie tylko jedynym świadomym kreatorem oraz jednocześnie swoją własną kreacją, ale, i wykreowanym przez siebie produktem jednocześnie. I to we wszystkich światach jednocześnie: w świecie fizycznym i eterycznym, emocjonalnym i psychicznym. W świecie intuicyjnym, duchowym, spirytualnym, astralnym, subatomowym,

sublimalnym, monadycznym… i thenahejskim. I wielu, wielu innych, których do dzisiaj nikt z nas nie poznał, ponieważ nikt z nas, poza, może, i to raczej dopiero ostatnio, nagle zainteresowanymi tymi światami, międzynarodowymi służbami bezpieczeństwa… Nikt z nas nimi się również nie zajmuje... Aby uzmysłowić wam tego co już powiedziałam wszelako pojęte implikacje, oraz wyjaśnić wam istotę Psychobiofizyki - dziedziny zajmującej się właśnie zgłębianiem, rozwijaniem, nauczaniem oraz szerzeniem Dobra, posłużę się tutaj małym przykładem, i mam nadzieję, że będziecie mnie mogli zrozumieć. I to sobie jakoś wyobrazić: twierdzę mianowicie, że zrobienie (uczynienie) czegokolwiek bez wyobraźni, jest absolutnie niemożliwe, ponieważ bez wyobraźni nie moglibyśmy żyć aktywnie w żadnej z naszych fizycznych teraźniejszości. Teraźniejszość zdarza się, następnie energia teraźniejszości rozprasza się między innymi w postaci światła i to właśnie to światło dociera do naszych oczu. Ale to trwa pewien czas. Kiedy światło dotrze wreszcie do naszych oczu, to życie, które toczy się bez przerwy dalej, cały czas idąc naprzód, nie może być obrazem, który dostrzeżemy na naszej tęczówce - na mojej, a i waszej tęczówce, zobaczymy obraz poprzedni, z naszego poprzedniego życia, a nie tego, które się właśnie wydarza. Po prostu życie wyprzedza nas zawsze o jeden krok. Im głębiej w przeszłość odsuwa się jakieś zdarzenie, tym mniej jest lub może być ono, rzeczywiste. Świat więc po którym się poruszamy, rzeczywistym nie jest, i być rzeczywistym nie może. To tylko Plan. A właściwie Mapa. I tylko po niej możemy się poruszać. Dostrzegamy obraz czegoś, co było zdarzeniem, ale wszystko to, co możemy postrzec, ulega wielorakiemu zniekształceniu, przestając być więc tym samym rzeczywistym raz na zawsze, ale na szczęście nie dla naszej wyobraźni. Tylko ona jedyna bowiem może być, i jest, nie tylko interpretatorką każdego drgania, ale, jest również, a może przede wszystkim, jego główną twórczynią! Wyobraźnia jest bowiem jednym z najważniejszych składników naszej istoty, pozwala nam bowiem na to, abyśmy mogli zaistnieć nie tylko jako skutek czegoś, ale przede wszystkim, jako jego przyczyna. A ja, my, wykorzystujemy właśnie sprawczą przyczynę wszystkiego jako główną bazę i jako główny motor naszego działania, uświadamiając sobie jednocześnie, że to właśnie my, i to nie tylko, że możemy, ale, że konstruujemy już - tworzymy - wszystko: całe nasze życie i cały świat który nas otacza… Mapy które stają się Rzeczywistością! Nauczanie, uczenie i poznawanie, które jest czymś więcej niż tylko wyuczonym podsumowaniem. Do końca. Właśnie tak. Teraz. Dlatego też przyjmuję, że wszyscy stanowimy

JEDNIĘ, że wszystkiego jest dość, i że niczego nie musimy już robić, aby być tym, kim przez cały ten czas byliśmy, kim przez cały ten czas jesteśmy, i nadal przez cały ten czas będziemy: sferyczną emanacją Głównej Idei osobiście. I to we wszystkim! I wszędzie!

- Kiedy więc jesteście szczęściem, robicie pewne rzeczy dlatego, bo jesteście szczęśliwi - inaczej niż w ramach obecnie obowiązującego paradygmatu, gdzie robicie pewne rzeczy tylko po to, aby uczyniły was one szczęśliwymi. Kiedy więc jesteście mądrością, robicie pewne rzeczy, ponieważ jesteście mądrzy, a nie tylko dlatego, że myślicie, że robiąc je zyskacie na mądrości. A kiedy jesteście miłością, robicie pewne rzeczy, bo kochacie, a nie tylko dlatego, że pragniecie za wszelką cenę być kochanymi. Ortodoksyjnym, racjonalnym myśleniem lub suchym, pozbawionym uczucia miłości robieniem czegokolwiek, nie dojdziecie donikąd, poza dojściem do zaharowania się na śmieć, lub, do wielkiego garba, który z pewnością wam wszystkim na waszych mózgach jak i waszych plecach, wyrośnie. Thenahå mówi: aby gdzieś dojść trzeba już tam być. To takie proste: nie musicie niczego robić, musicie tylko po prostu BYĆ! Chcecie być szczęśliwi?! Bądźcie szczęśliwi. Chcecie być mądrzy?! Bądźcie mądrzy. Chcecie być Miłością i Dobrocią?! Bądźcie Miłością i Dobrocią. - Czy mnie rozumiecie?! - Cholera! - Sapnęła Macza patrząc jednocześnie znacząco na Debeka. - Mówiłam ci, że to musi gdzieś tutaj być, pamiętasz?! - Psychobiofizyka zakłada - powiedział głos Krzysztofy - że istnieje pewien idealny stan, obiektywny świat, świat różniący się zasadniczo od każdego, który znamy - Debek podniósł oczy znad klawiatury, skinął głową, a nawet się uśmiechnął - będący jednocześnie jednak światem nam najbliższym, ponieważ to my, nie będąc nigdy niczym innym, nim właśnie jesteśmy! - Jesteś nieprześcigniona, królowo! - Szepnął. - I to pomimo tego, że większości z was nigdy nie udało się, i być może też, nigdy się nie uda, ani tego zrozumieć, ani tego pojąć, ani tego zrealizować praktycznie. - Uważaj… - Szepnęła Macza grożąc mu znacząco palcem. - Aby przełożyć to jednak jakoś na język, który będziecie mogli lepiej zrozumieć, powiem wam teraz rzecz, która z mojego punktu widzenia jest ideą zasadniczą, lecz dla niektórych z was pewnie wprost rewolucyjną: wszechświat, w którym, i przez który żyjemy, nie jest jedynie martwym ciałem fizycznym, a przez to i my sami, wszyscy ludzie, i wszystko i wszędzie wokół nas, wszystkie zwierzęta, wszystkie rośliny i cała tak zwana materia nieożywiona, nie jesteśmy jedynie ciałem fizycznym. Wszechświat, w którym, i przez który żyjemy jest w całości

żywą istotą, a jego życie fizyczne, którym i nas obdarza, nie jest jego jedyną, i to do tego podstawową emanacją. Wszechświat jest przede wszystkim istotą duchową, wszystko więc co w nim zawarte, jest również duchowe - transcendentalne: nawet te monitory, w które tak się teraz wpatrujecie!

- O kurw… - Wyrwało się Maczy. - Dlatego też Psychobiofizyka nie korzysta w swoim działaniu z pomocy żadnych instrumentów elektronicznych, wykorzystuje natomiast nasze własne, podstawowe, dla większości nad-naturalne jednak, możliwości duchowe. I choć dla większości nie będzie to nigdy osiągalne, ci, którzy poświęcą jej całe swoje życie, będą potrafili na poziomie duchowym neutralizować wszelkie zło, będą mogli więc zmieniać przyszłość, teraźniejszość i przeszłość! W końcu zostaną być może Wielkimi Egzorcystami, lub jak Urszyll z Zamiłowic, Wtajemniczonymi Wewnętrznego Kręgu… Wystarczy więc abyście uwierzyli w to, że W S Z Y S T K O jest możliwe i wyobrazili sobie to wszystko - jak tworzycie - a nic z tego w co uwierzycie i co sobie naprawdę wyobrazicie, w żmudnym co prawda procesie ciężkiej pracy nad sobą, ale jednak, na pewno nikogo z was nie minie! I każdy z was może to sprawdzić praktycznie! I każdy z was może tego doświadczyć! Wystarczy abyście świadomie skupili waszą świadomość na czymkolwiek, a za niedługi okres czasu to właśnie to coś cokolwiek, stanie się waszym codziennym życiem. Proste, prawda?! A jednak dla większości z was nie do przyjęcia i nie do zaakceptowania, nie do pojęcia, nie do zrozumienia i nie do wykonania praktycznie. Nie macie pojęcia jaka to szkoda!

- I co wy na to?! - Zapytała z wyraźnym rozbawieniem w głosie Macza, patrząc uważnie na monitor. Jednocześnie myślała: - Nie znalazłam tego czego szukałam. Wielki mnie zabije, chyba, żeby się mylił?! - Przebiegła nerwowo palcami po klawiaturze komputera sterującego, mówiąc: - No sama nie wiem… - Ciągle szukając nieznanego nacisnęła parę klawiszy zmieniając nie tylko obraz na monitorach, ale i czas przekazu. - A cóż to takiego?! - Krzyknęła prawie z zabobonnym strachem w głosie, myśląc jednocześnie: - Jest! Cholera! A jednak! - I rozkazując: - Ukażcie podprogówkę! - Zostań człowiekiem Kochanym. - Ukazało się na monitorach wraz z tłustym, czerwonym ostrzeżeniem: **Uwaga! Wirus na poziomie dwudziestym trzecim!** - Wirus na poziomie dwudziestym trzecim? To niemożliwe… - Z niedowierzaniem powiedział transmuter. - Wirus na po-

ziomie dwudziestym trzecim?! - Macza złapała się za głowę. - Boże... Ratujcie Dooila i kasujcie całość! Natychmiast! - Na monitorach było wyraźnie widać Krzysztofę wpatrzoną figlarnie w kamerę zainstalowaną w jej komputerze w jej tajnej, magicznej pracowni, zajmującej część piwnicy małego, renesansowego dworku stojącego w pięknym parku kasztanowym w pobliżu znanego wszy- stkim, szarego miasta. - Wgrajcie przygotowaną przeze mnie rzeczywistość i wersję, o którą prosił Wielki!! - Dorzuciła wychodząc. - Oryginał ma być za pięć minut na moim biurku, inaczej będzie po premiach! - Niosło się jeszcze po korytarzu. - Jezu, co za piz… - Dżek pozwolił sobie na wściekły komentarz, wywołując tym samym kwaśny uśmiech pobłażania na ustach Debeka. Na ekranach monitorów Krzysztofa ciągle siedziała przed komputerem i, co było widać wyraźnie, wcale nie przeraziła się poleceniem pani profesor. Uśmiechała się szelmowsko tak, jakby chciała im wszystkim powiedzieć: - I tak nic wam z tego nie wyjdzie. Tego nie da się ot tak po prostu skasować! - Nagle, zupełnie niespodziewanie, ktoś zapukał do drzwi jej pracowni. Krzysztofa nie lubiła kiedy jej przeszkadzano, a pacjentów nie spodziewała się już dzisiaj żadnych. Aby podejść jednak do drzwi, musiała wyprowadzić się z transu, z którego w tym jednak właśnie momencie rezygnować wcale nie chciała. Wiedziała również, że nie powinna. Granie bowiem Dooila na nosie w transie, który nie był zbyt głęboki, było nie tylko ryzykowne, ale do tego i bardzo niebezpieczne. Antena sferyczna zainstalowana na dachu kwatery głównej Dooila była bardzo czuła, a Dziewic w odparowywaniu takich właśnie dość słabych i nie do końca przemyślanych ataków, które lubił chyba najbardziej, był naprawdę nie lada mistrzem. Co prawda wyczyn Krzysztofy był również nie lada wyczynem, a w sytuacji, w której jej trans nie był zbyt głęboki, był to wyczyn prawie mistrzowski. Jasne, że transu Krzysztofy nie można było porównać do wspaniałego, samo wyzwalającego się transu Maczy, czy też chociażby indukowanego transu prof. doktora won Wściba. Ale właśnie w nim skuteczność Krzysztofy przewyższała wysiłki tych obojga, i to o lata świetlne. Intuicyjne zgłębianie Głębi, natchnienie płynące bezpośrednio z podświadomości, z tego wielkiego rozfalowanego oceanu obrazów, błękitu układającego się często w przedziwne, wielowymiarowe ciągi, dawało jej bowiem dostęp aż do poziomu trzydziestego drugiego, niedostępnego właściwie nikomu. Nie zawsze jednak natychmiast. Zagmatwane alogiczne układanki często nie dawały się ot tak po prosty rozszyfrować. Krzysztofa miała jednak zawsze nadzieję, że może już… Zaraz… Teraz. Tak, jak i w tym przypadku. Najczęściej niestety, po dniu pra-

cy, kiedy samotnie zamykała się w tej pracowni, jej wysiłki nie przynosiły natychmiastowych rezultatów. Czasami czekała parę dni, czasami parę tygodni, czasami parę miesięcy, a czasami nawet parę lat, żeby móc ocenić owoce swojego zgłębiania. Podróży do korzeni. Głęboko. Krzysztofa będąc w jakimś sensie perfekcjonistką, rzadko była zadowolona ze swojej pracy, choć obecnie, dużo częściej pozwalała sobie na przyznanie się przed sobą samą, no i oczywiście i przed NIĄ, do tego, że czuje radość i samozadowolenie, niż kiedykolwiek przedtem. Przedtem samozadowolenie sprawiało jej dość dużo kłopotu, a radość z dobrego wykonania pracy, zamieniała się szybko w destrukcyjną obsesję usatysfakcjonowania wszystkich: Krzysztofa nie mogła znieść myśli, że ktoś mógłby ją niesłusznie skrytykować, lub nie daj boże, o coś nikczemnego posądzić. Bała się zrobić coś, co mogłoby nie spodobać się komukolwiek, a, że często nie wiedziała, co, i komu spodobać się może, a co nie, więc ze strachu nie robiła po prostu niczego. Poza tym tego, co robiła tutaj, nie lubiła robić za pieniądze. Pieniądze były jej oczywiście potrzebne do życia jak każdemu, ale jako nauczycielka rysunków otrzymywała ich tyle, że mogła jakoś przeżyć. Było to co prawda przeżycie na granicy głodowej, ale Krzysztofa była nieprześcignioną mistrzynią w oszczędzaniu i chomikowaniu wszystkiego. Chciała oczywiście jak wszyscy jakoś się dorobić i uniezależnić finansowo, uważała jednak jednocześnie, że branie pieniędzy za tego rodzaju posługę, godziłoby nie tylko w sam sens jej tajemniczej pracy, i w nią samą, ale przede wszystkim w jej pacjentów, ponieważ pomocy na poziomie thenahejskim nie tylko nie powinno się ot tak po prostu przeliczyć na pieniądze, ale też, za pieniądze jej wykonywać. Poza tym przeczytała kiedyś, w jakiejś najmądrzejszej oraz najdonioślejszej, opasłej, grubej mistycznej księdze, którą uważała za najważniejszą ze wszystkich mistycznych dzieł, że sprzedawanie za pieniądze własnej boskości prowadzi prostą drogą ku diabelskości, więc, jeżeli już musiała, to starała się brać co łaska. A może nawet i tyle nie! Na to wszystko nakładał się jeszcze jeden problem, który z nich wszystkich wydawał się Krzysztofie najcięższym i najtrudniejszym zarazem: często wydawało jej się, że sama, w jakiś dziwny, wprost tajemniczy dla siebie samej sposób, pomimo, iż jej boskość była dla niej najcudowniejszym i najważniejszym życiowym doświadczeniem i jedynym jej życiowym pewnikiem, to, że nie ceni jej w sobie na tyle, na ile tego sama pragnęła, i na ile ta boskość według niej zasługiwała. Dodatkowo, że traktuje to wszystko w taki sposób, który nie tylko jej samej nie zadawala, ale, że jest do tego jeszcze i dla innych, bardzo destrukcyjny: najczę-

ściej bowiem, na jednym z wielu poziomów Życia, Krzysztofa wstydziła się w jakiś przerażający sposób swojej boskości! Na szczęście nie przed sobą samą, ale prawie przed wszystkimi bliskimi i obcymi jej ludźmi. I to właśnie to, ten wstyd, ta niespełniona i nieurzeczywistniona potrzeba jednocześnie jak najszybszego uwolnienia się od niego, jak sama to sobie uświadamiała, był jednocześnie powodem i warunkiem jej bezgranicznego cierpienia, a nawet jakiegoś wprost histerycznego rozdarcia. Pomimo tego, chandra i beznadzieja, które ją często dopadały, wiązały się raczej z jeszcze z czymś innym, czymś natury ogólniejszej. Krzysztofę nękało ludzkie uzależnienie od pieniędzy i władzy, to, że prawie wszyscy jej znajomi i bliscy tak bardzo byli już uzależnieni. Krzysztofa uważała, była nawet o tym święcie przekonana, że celem ludzkiego życia nie są pieniądze. Że nie jest nim również władza, ani uznanie czy sława, nawet jeżeli o nich marzyła czasami lub myślała, lecz świadoma służba - współistnienie - szczęście i radość ze współobcowania, a nie, z indywidualnego, snobistycznego posiadania. I to może właśnie dlatego, że istniało aż tyle poziomów wewnętrznych uzależnień jak i zewnętrznych uwarunkowań, taka masa sprzeczności na tak przeróżnych poziomach, tak wielka i niezgłębiona Głębia, to to wszystko razem, pozwalało Krzysztofie czuć się równie często spełnioną. Paradoks! Ale jednak! I to właśnie ten paradoks o dziwo, utwierdzał ją w przekonaniu, że warto urzeczywistniać siebie samą, przez siebie samą! Świadomie. A może nawet NAD. Nie trudno więc zrozumieć, że w takiej sytuacji, to samo Życie podsuwało jej więc kolejne pomysły, oraz otwierało przed nią kolejne możliwości, a Thenahå, czuwała nad nią zawsze i wszędzie. I to pomimo tego, że Krzysztofa potrafiła też i wątpić, a często, tylko wątpiła. Thenahå na szczęście nie wątpiła w nią nigdy. Zawsze wiedziała dużo lepiej od Krzysztofy jaką drogą musi ona podążać, aby osiągnąć to, czego sama Krzysztofa świadomie nigdy rozeznać nie mogła. I taką właśnie drogą cały czas ją prowadziła. Dlatego też pewnie Krzysztofa wstała teraz jednak i podeszła do drzwi, które powoli otworzyła. W drzwiach stanęła twarzą w twarz z rozpromienionym Urszyllem z Zamiłowic. - Kochaneczku, ty, tutaj...?! - Krzysztofa uśmiechnęła się radośnie, objęła mocno Urszylla za szyję, przytuliła się do niego, i go pocałowała. A potem, odchylając zalotnie głowę do tyłu, powiedziała znacząco: - Wiesz, Urszyllu, wreszcie znalazłam skuteczny sposób na nich wszystkich! - A gdy Urszyll po- patrzył na nią niedowierzająco, dodała: - Teraz, kiedy myślą, że mnie rzeczywiście przeprogramują i pozyskają dla swoich celów, nie będzie to już takie trudne. Thenahå jest rzeczywiście wielka, wierz mi.

Nie musimy się już obawiać niczego! - I dosłownie w tym właśnie momencie Dżek wykorzystując najodpowiedniejszy moment do ataku, uruchomił matrycę kasującą konekszyn. Urszyll zaczął powoli rozpływać się jej w ramionach niczym poranna mgła ogrzana pierwszymi promieniami słońca, aby już po chwili zniknąć zupełnie, zostawiając ją taką oniemiałą i przerażoną w zupełnie pustych drzwiach jej pracowni. I gdyby nie to, że naraz z głośników jej komputera buchnęły w nią dźwięki wyjącej przeraźliwie policyjnej karetki i jakieś wrzaski, zemdlała by na pewno. A to tylko Debek zakrzywiając umiejętnie czas pozwolił jej jeszcze na zatrzaśnięcie drzwi i szybkie podbiegnięcie do monitora, gdzie zamroził ją w ruchu podając jednocześnie świadomości ogrom niepewności: Na ekranie monitora Krzysztofa zobaczyła bowiem Urszylla, a do tego skutego jeszcze łańcuchami jak jakieś pospolite zwierzę, brutalnie, bez przytomności powalonego, co było widać wyraźnie, na podłodze pędzącej dokądś, milicyjnej karetki.

Leżąc bez czucia jak worek na podłodze milicyjnej suki, poturbowany nieźle pałami, odpowiednio zastraszony groźbami, wyzwiskami i drwinami, skuty do tego jak zwykłe zwierzę grubymi łańcuchami, Urszyll jechał już od przeszło dwudziestu pięciu minut w kierunku swojego domowego aresztu. Milicjanci, zaraz po tym jak go brutalnie zatrzymali i wywlekli z terenu uniwersytetu jak jakiegoś pospolitego złoczyńcę, wrzucili go ot tak po prostu do ich policyjnej suki, skuli go, zatrzasnęli drzwi i teraz parkowali właśnie przed jego domowym aresztem, w którym powinien był bez przerwy przebywać, a który zasądzono mu już przed siedemnastoma laty, i to pomimo tego, iż nikt do tej pory nie udowodnił mu żadnej winy, ani nie postawił żadnego poważnego oskarżenia, poza, jak mniemał Urszyll, paroma wprost paranoicznymi pomówieniami. Posądzenie bowiem o działalność antypaństwową, antyspołeczną, antykościelną i antyludzką, okazało się niesłuszne. Bez podstaw. Nie przeszkodziło to jednak sądowi w zasądzeniu Urszyllowi wieloletniego aresztu oraz reesocjalizacji w Departamencie Odnowy. I to bez możliwości apelacji lub jakiegokolwiek odwołania. Tuż po tym jak go ocucili wiadrem zimnej wody, wypchnęli go pałami z suki, przed drzwiami domu rozkuli go równie brutalnie, śmiejąc się, kpiąc i szydząc otworzyli drzwi, i dalej posługując się pałami wepchnęli go do środka. Znalazłszy się we własnym domu, pomimo późnej bardzo godziny i straszliwego wyczerpania, Urszyll oparłszy się plecami o drzwi zamarł na chwilę, po czym odetchnął z wielką wdzięcznością ciesząc się po prostu tym, że żyje. Po dobrej chwili, z bardzo wyraźnym trudem, nie rozbierając się do tego, dotarł do salonu, a w salonie do kanapy, na której do razu usiadł. Jego ciało opadło bezwładnie na poduszki, Urszyll wsunął nogi pod koc, naciągnął go na głowę, i prawie natychmiast zapadł w sen, z którego, a nie trwało to naprawdę długo, może minutę, a może dwie, wyrwał go głos Dziewica, który pojawił się naraz w jego salonie co najmniej jak zjawa z zaświatów lub inny duch wywołany z za grobu. - Nie udawaj, że śpisz Urszyllu! - Zachrypiał. - Masz tu zadanie do wykonania! Zapomniałeś?! - Nachylił się nad Urszyllem, zerwał z niego koc, mocno złapał go za ramiona i brutalnie posadził na kanapie. Z kieszeni czarnego prochowca, w który był ubrany, wyciągnął gazetę, rozłożył ją zamaszy-

ście, wcisnął w dłonie Urszylla i: - Czytaj! - Rozkazał.

Normalnie, trwało to już bowiem wiele, wiele lat, Urszyll nie czytał gazet. Ten cały gazetowy blichtr, ten ogłupiający szpanik, przewalane wodolejstwo, te metki, reklamki, błyski i bzyki, które większość tak wielbiła, napawały Urszylla niewypowiedzianie wielkim wstrętem. Urszyll spojrzał więc na Dziewica kwaśno, lecz ten siadając tuż obok niego powtórzył twardo: - Czytaj! - Olśnienie spłynęło na Urszylla zupełnie nagle - rozpoczął zacinając się Urszyll - no może nie zupełnie nagle, bo po dobrych trzydziestu pięciu latach intensywnych oczekiwań i równie intensywnych poszukiwań, w przeciągu których, ani w jego życiu prywatnym, ani w jego praktyce, nie wydarzyło się nic szczególnego, no, może jedynie poza marazmem, szarością i cierpieniem: Urszyll nie tylko, że wstydził się swojej nieortodoksyjności, ale przede wszystkim, wstydził się swojej nienaukowości, słowem będąc gorącym przeciwnikiem wszelkiej zgnuśniało skostniałej rzeczywistości, tkwił w niej jednocześnie bardzo solidnie, być może dużo solidniej niż nie jeden prawdziwy jej wyznawca i nad specjalny propagator. Poza tym, w całym tym systemie, czegoś wyraźnie brakowało. I tego Urszyll był całkowicie pewien. Magia i gnoza były wyraźnie czegoś pozbawione: albo ktoś pominął to coś jako zupełnie nieistotne, albo celowo je stamtąd usunął, wpuszczając tym samym wszystkich adeptów nieortodoksyjnej sztuki życia, w ciemny, a nawet bardzo mroczny kanał jednokierunkowy, bez możliwości jakiegokolwiek rozeznania między jednym, a drugim... A przecież możliwość rozeznania właśnie tego, jest najważniejsza, bowiem jak to określił jeden z najmądrzejszych mędrców przeszłości: najtrudniej jest poznać oczywiste. Dopiero niedawna lektura przypadkiem zdobytej książki łatwego sukcesu, zwróciła jego baczną uwagę na to, czego tak długo i bezowocnie poszukiwał: etykę charakteru. Etykę charakteru jako bazę. Jako wejście i jako wyjście. Jako fundament i jako podstawę wszystkiego. I to było właśnie to! Cała magia, cała gnoza i cała ta wielka nie-ortodoksja pozbawione bazy, były niewiele warte. Sama baza pozbawiona jej magicznej nadbudowy, również. A tak, uzupełniając się znakomicie i wypełniając, tworzyły to, co istniało zawsze, a czego biali ludzie już od zarania dziejów byli pozbawieni. - Pomimo tej dziwnej sytuacji, przenikliwego zimna i wilgoci, Urszyll uśmiechnął się. Musiał przyznać, że autorka artykułu była doskonale zorientowana we wszystkim. Znała szczegóły, które samemu Urszyllowi wydawały się obce, a jednak obce mu nie były. W przerażająco trafny sposób oddawały stan,

w którym Urszyll pogrążony był już od dawna. Pomimo tego, że lektura artykułu nie była dla niego łatwa, wyraźnie zaczęła wciągać go coraz bardziej. - Poszukiwania Urszylla trwały trzydzieści pięć lat. Trzydzieści pięć długich lat niepewności, zwątpienia, smutku i samotności. I to pewnie one były przyczyną całkowitego braku, z jednej strony, jego jakiegokolwiek działania, a z drugiej zaś, jakiegokolwiek odzewu na jego nieudolne jednak próby zwrócenia na siebie czyjejkolwiek uwagi. Ludzie lekceważyli Urszylla uważając go raczej za swoiste kuriozum lub prawdziwego filozofa pojebania, jak często go określano, niż za osobę solidną, o solidnym i stałym paradygmacie dobra i równie solidnej, dobrej bazie charakterologicznej. I nic dziwnego. Przez te wszystkie lata w końcu Urszyll z Zamiłowic nie miał żadnych oficjalnych osiągnięć oraz niczego ciekawego do powiedzenia, poza rozpaczliwym nawoływaniem do odmiany. Nikt go jednak nie słuchał, a nawet jeżeli, to jego wywody kojarzyły się wszystkim z ciemnym pesymizmem filozofii upadku, z osobistymi atakami lub w najlepszym razie, z pokaźnym wodolejstwem o mesjańskiej, utopijnej treści, nigdy i nigdzie, w żadnych czasach i wśród żadnych społeczeństw, nie dających żadnych pozytywnych rezultatów. Słuchając Urszylla ludzie kiwali swoimi mądrymi głowami i mówili: - Tego się nie da zrobić! - I odchodzili ze smutkiem i współczuciem zostawiając Urszylla w mrocznej niemocy, otępieniu i bólu, wypełniającym mu nie tylko jego serce, ale i umysł. Przez te wszystkie lata Urszyll nie uczynił jednak niczego, ażeby to zmienić: cierpienie stało się nierozerwalną częścią jego życia. Cierpiał dzień w dzień, godzina za godziną i tak przez całe lata. Nauczył się nawet nie zawracać na to specjalnej uwagi, próbując jak wszyscy, jakoś żyć, co nie było jednak w sytuacji Urszylla wcale takie proste.

- Pomimo, że oczekiwanie Urszylla było tak długie, i że Urszyll właściwie sam nie wiedział na co czeka, było ono jednak w jego życiu jednocześnie wraz z cierpieniem, najważniejszą siłą twórczą, budującą i kształtującą podwaliny i podstawy wszystkich późniejszych wydarzeń. Siłą przygotowującą go do zmiany. Siłą przygotowującą go do nie tylko świadomego wyboru życia jako takiego, ale do uwielbienia go w idei i postaci Thenahå. Siłą dającą mu nie tylko radość, kobiecą miękkość i uległość, ale dającą mu jednocześnie twardość, hardość i wytrwałość, ostrość spojrzenia i ochotę do walki. W końcu Thenahå ukochała swoje dzieci ponad wszystko, dając im również wszystko i nie żądając w zamian niczego. No, może poza miłością. Zmiana nastąpiła więc w Urszyllu pewnego dnia zupełnie bez zapo-

wiedzi. Olśnienie spłynęło na niego jak jakaś obezwładniająca go nagle siła: zupełnie niespodziewanie. Thenahå wypełniła go całego sobą samą kasując jednocześnie wszystkie poprzednie zapisy w jego ludzkim programie świadomości: Urszyll został świętym. Nie tracąc ani chwili zabrał się więc od razu za opracowanie Deklaracji Twórczego Posłannictwa, ale nie poszło mu to tak łatwo, i tak szybko, jak się tego spodziewał, ponieważ określenie samego posłannictwa okazało się leżeć poza jego świadomością. Powodowało taki natłok myśli, że jego głowa, pomimo obwiązania jej mokrym ręcznikiem, pękała mu z bólu. Poza tym nieodparta chęć napisania tej deklaracji, niosła ze sobą konieczność zmagania się z jego przeróżnymi ochotami, z których nie wszystkie przecież, z czego Urszyll zdawał sobie doskonale sprawę, były na tyle prawdziwe, poważne i silne, aby mogły być rzeczywiście ujęte w formie deklaracji misji życiowej. Urszyll wierzył, że chciał, i, że pragnął gorąco, pomagać ludziom. Ale już to chociażby, jak miałoby to wyglądać praktycznie, nie było takie oczywiste. Chęć życia w ciszy, z dala od miejskiego, jak i wiejskiego tłumu, oraz jego nerwowego pędu, według Urszylla donikąd, a jeżeli już, to tylko i wyłącznie do samozagłady, powodowała ogromne ograniczenia. Jak bowiem pomagać ludziom, żyjąc z dala od nich?! Jak dać im znać o sobie?! I czy w ogóle dawać?! Urszyll nie tylko nie lubił reklamy. On po prostu jej nienawidził. Nienawidził tych nadętych, pustych i głupich ludzi, którzy się nią zajmowali. Ani ich obrazów. Ani słów. O niczym. Siebie nie lubił reklamować tym bardziej: nie umiał, nie lubił i nie chciał chwalić się czymkolwiek. A swoimi zdolnościami, to już w szczególności. Ani możliwościami. W swojej istocie pewnie też dlatego, iż uważał je za otrzymane w darze od Thenahå, a niewyuczone przez lata, czy wklepane w mózgownicę na blachę pasem taty. Były one poza tym zdolnościami, które według Urszylla posiadał każdy, lecz w formie nierozbudzonej, larwalnej, lub całkowicie uśpionej. A może raczej zabitej całkowicie lub całkowicie zablokowanej. Często, lub może najczęściej, poniżanej i wyśmiewanej jako utopijne i nieistniejące mrzonki, które dla niego jednak, były najbardziej rzeczywiste ze wszystkiego, co Urszyll do tej pory w swoim życiu poznał. Ludzie domagali się cudów. Najbardziej lubili oraz największym zaufaniem darzyli wszelkiego rodzaju szarlatanerię i kuglarstwo, uwielbiali wszelkich magików i sztukmistrzów, bojąc się i gardząc prawdziwą magią i gnozą. Niosły one bowiem w sobie nie tylko niepewność, ale i straszny strach przed nieznanym i nieobliczalnym. Z pewnością też i zazdrość, i zawiść, uczucia, które zawsze, we wszystkich czasach, przepełniały ludzi pozwalając im trwać

we własnej niewiedzy i nieomylności. Pozbawieni bazy, byli jak uschłe liście na wietrze rozrzucane podmuchami ich emocją naładowanej podświadomości, to tu, to tam. Nie umieli, i nie chcieli sobie wyobrazić jakby wyglądało ich życie, gdyby zmienili choć jeden jego szczegół, gdyby zdecydowali się na poznanie prawdy o sobie samych. Nie umieli i nie chcieli wyobrazić sobie tego, jak wyglądałoby ich życie, gdyby zamiast na źle pojętą niezależność i konkurencję, położyli większy nacisk na dobrze pojętą współpracę i współzależność. Cudeńka zawsze były w modzie, we wszystkich czasach i na wszystkich kontynentach. A ludzie, którzy im ich pokazywać nie chcieli, skazywali się tym samym na zagładę przez ignorancję. I, przez lekceważenie. I to był problem. Może nawet największy. I najważniejszy może… - Urszyll odrzucił gazetę. Nie mógł dalej czytać, choć artykuł zajmował wyraźnie dalszą część gazety. Lektura będąc dokładną kopią jego życia była tak dziwna, i tak nieprawdopodobna, że Urszyll poczuł nagle wsączający się w jego serce strach, uczucie, które skierowało jego myśli natychmiast na powrót ku Dziewicowi, który uśmiechając się właśnie kwaśno do Urszylla tak, jakby doskonale zdawał sobie sprawę z jego wewnętrznego stanu, kiwał głową bawiąc się jednocześnie pilotem telewizora, który rozbłysł nagle, a jego ekran wypełnił natychmiast właśnie on sam - Maryłej Dziewic we własnej osobie, stojący do tego w jakimś sądzie, z podniesioną ręką i mówiący: - Przysięgam! - A napis na ekranie wyjaśniał, że Pan Maryłej Dziewic, przedstawiciel Departamentu Naukowego Postrzegania i Demodelingu, zeznawał dzisiaj w rejonowym sądzie do spraw wykroczeń w Szamotułach, jako koronny świadek oskarżenia przeciwko psychopatycznemu sekciarzowi, jak go osobiście określił profesor won Wścib, i po prostu terroryście, jak go nazwało biuro prezydenckie Dooila oraz cała prasa wraz ze wszystkimi multimediami - Urszyllowi z Zamiłowic, twórcy i jedynemu wyznawcy Magnozy, i Thenahå. Urszyll roześmiał się, lecz jego śmiech nie był szczery: coś go wyraźnie w obrazie tym telewizyjnym przeraziło kierując jego uwagę na zbieżność przeróżnych, pozornie oderwanych od siebie, dziwnych faktów. - Proszę pokrótce powiedzieć nam jak to się stało - powiedziała sędzina, a napis pod obrazem objaśniał, że była to Pani sędzina, mgr prawa, Hieronima Zakrzywicka, prezes i sędzia jednocześnie Sądu Rejonowego do spraw wykroczeń w Szamotułach - że zajął się Pan sprawą Urszylla z Zamiłowic, oraz to, do jakich wniosków Pan doszedł. - Jakże nie lubię takich zadań - rozpoczął Dziewic poprawiając kosmyk opadających mu na twarz włosów. - I to do tego spadających na mnie znienacka. Szczególnie

gdy są one najnieprzyjemniejsze ze wszystkiego co znam, jak w tej właśnie sprawie. Stres związany z tym - znienacka, jest tak duży, że zaćmiewa mi wszystkie inne przyjemności. Czy Pani mnie rozumie?! - Wysoki Sądzie! - Poprawiła Dziewica sekretarka. - Wysoki Sądzie.... - Powtórzył niewinnie się uśmiechając Dziewic. - Proszę kontynuować. - Powiedziała sędzina. - Uczę się to zmieniać. - Przepraszał Dziewic. - Ale nauka tego jest długa i żmudna, jak Państwo wiecie... Wysoki Sądzie. - Poprawił się szybko. - Emocje zapisane gdzieś głęboko uruchamiają aparat automatycznie, a po zdalnym uruchomieniu nie da się go ot tak, po prostu, wyłączyć. Działa bez zarzutu, wręcz doskonale, jego działanie nie służy jednak niczemu innemu, jak tylko samej czystej destrukcji, która męczy mnie zawsze okropnie... A więc... No tak... Mogę spokojnie o sobie powiedzieć, że jestem człowiekiem sukcesu. Ostatnio wyróżniono mnie nawet specjalną nagrodą państwową za skuteczne i szybkie działanie. - Niech Pan nam powie czym Pan się właściwie zajmuje. - Zachęciła mówiącego sędzina. - Ja...?! To Pani nie wie?! - Zdziwił się Dziewic. - Jestem dyrektorem Departamentu Odnowy, głównej centrali Dooila. Decyduję nie tylko o tym, kto, co, po co, jak, i dlaczego, ale przede wszystkim decyduję o tym, jakie poglądy uznane będą za pewniki i drogowskazy naszego tu bytowania... Rozumie Pani... - Wysoki Sądzie! - Krzyknęła sędzina. - Wysoki sądzie. - Powtórzył Dziewic. - Poza tym, jak wszyscy to wiecie, Departament mój stoi na straży moralności, sprawiedliwości i przyzwoitości wszystkich członków naszego społeczeństwa. I to właśnie to uważam za swoje główne zadanie. - A wracając do Urszylla z Zamiłowic... - Podsunęła Dziewicowi sędzina. - A wracając do Urszylla z Zamiłowic, to muszę Państwu powiedzieć... - Wysokiemu Sądowi! - Poprawiła go sekretarka, lecz Dziewic wyraźnie już poirytowany, i bliski nerwowemu, niekontrolowanemu wybuchowi gniewu, zlekceważył ją mówiąc po prostu dalej - ...że tyle jest teraz szumu wokół tego głupiego Niuejdż. Ludzie zachłystują się paranoicznie utopijnymi obietnicami jakichś tam pseudo znawców, szarlatanów i magików, jakichś tam maniaków i wszelkiego rodzaju zboczeńców, i homoseksualistów, ma się rozumieć, a potem, czego na ogół szeroki ogół już nie wie, bach! Lądują na wysypiskach śmieci, w szpitalach psychiatrycznych, z których już nigdy nie wychodzą. Albo wyskakują przez okna i giną. Boże, cóż to się teraz wyprawia! Nawet mój najlepszy przyjaciel, kardynał Jan Paweł zaczął ostatnio wychwalać i udowadniać wyższość życia na Ziemi nad życiem w niebie, twierdząc, że diabłów i aniołów już nie ma, że są one raczej emanacją energii kosmosu, a nie prawą i lewą ręką samego Boga! Jezu,

co to za bzdury! Nigdy bym go o to nie posądził, ale jak się okazało, był zaprzyjaźniony właśnie z Urszyllem, więc musiałem zmienić kościół, do którego chodziłem przez ostatnie trzydzieści pięć lat, i to do tego regularnie, co niedziela. I żebyście wiedzieli: to nie tylko on jeden tak uważa. Mam nadzieję, że wy wszyscy - i tu Dziewic zwrócił się do telewidzów - jesteście dobrymi katolikami, wierzę, że nie mieszacie tego, co Boskie, z tym, co niektórym ludziom wydaje się ludzkie, a ludzkim nie było nigdy. Przecież Bóg specjalnie powołał najwyższego kapłana i przykazał mu pośredniczenie między Nim, a nami. W jaki sposób więc przeciętny śmiertelnik może nazywać siebie, lub obwoływać się Synem Bożym?! Przecież to czysta herezja i czyste świętokradztwo! I muszę wam powiedzieć, że żałuję, że nie ma już dzisiaj na świecie inkwizycji, i że nie pali się takich odszczepieńców na stosach. A tak im się to należy! - Nie przesadza Pan ździebko?! - Zapytała sędzina. Dziewic wpatrzył się srogo w sędzinę i powiedział: - Jedynym Synem Bożym był Jezus Chrystus, i tylko on zasługuje na to miano, więc jak słucham lub czytam o tych bożych pomyleńcach, to aż mnie ściska w dołku ze złości. Tym większy stres przypadł mi w udziale, kiedy mój szef, człowiek uczony i rozważny, absolwent jednego z najznakomitszych uniwersytetów świata, wybrał właśnie mnie na tę trudną misję, polecając właśnie mi zajęcie się sprawą Urszylla z Zamiłowic. Kiedyś w przeszłości profesor Krzysztof won Wścib popełnił malutki artykulik w Narządingu o Urszyllu, ja dostałem natomiast zadanie dużo poważniejsze, miałem bowiem zbadać sprawę Urszylla z Zamiłowic dogłębniej. I mówię wam: nic nie mogło mnie bardziej poniżyć, zestresować i zdenerwować. O mały włos nie dostałem zawału, i gdyby nie to, że mamy zaraz przy ministerstwie naszą prywatną klinikę, pewnie bym umarł. Nie zmieniło to jednak decyzji szefa departamentu, że to właśnie ja mam się zająć tą sprawa. - Urszyll złapał się za głowę, zerwał się nawet, i zaczął energicznie przemierzać pokój. - Generalnie nie lubię pisać. Nie lubię pisać o czymkolwiek, choć, jak już to pewnie wspomniałem, to właśnie pisaniem między innymi zarabiam na życie. I idzie mi to całkiem dobrze. Nie wiem co prawda, czy ktoś czyta nasze wydawnictwa, ale, jako iż rozchodzą się ono w siedemnastu milionach egzemplarzy i to w stu dziewiętnastu językach jednocześnie, fakt ten sam przez się chyba coś za siebie mówi, nie?! - Panie Dziewicu - powiedziała sędzina - może jednak powie nam Pan wreszcie... - Doprawdy nie zastanawiałem się nigdy nad tym - Dziewic nie pozwolił sobie jednak przerwać - bo sprawy przyziemne mało mnie interesują, no chyba, że mają charakter wyjątkowy. Dajmy na to, takie spo- tkanie z

Prezydentem Buszem, Putyniem, czy terrorystą Bil Ladenem, albo chociażby z Madonną, to byłoby coś. To pamiętałbym przez całe życie. A taki Urszyll, to przecież nic innego, jak tylko samo okropieństwo. - Urszyll usiadł. Zastanawiał się nad czymś intensywnie, trąc energicznie czoło. Przed ponownym zerwaniem jednak powstrzymała go mocna dłoń Dziewica lądująca jak błyskawica na jego kolanie. - Znany jestem z ciętego języka i ostrego zwalczania wszelkiej nie ortodoksji i to wszędzie tam gdzie się ona pojawi, ale robię to raczej czysto spontanicznie. - Dziewic uśmiechnął się rozbrajająco. - To daje mi świeżość, celność, i brutalność ataku. Świadomie zajmować się jakimś tam upitym swoją boskością, proszę mi wybaczyć to porównanie, to nie tylko strata czasu, ale i pożałowania godne zadanie. Niestety, choć też jestem profesorem, doktorem i laureatem wielu nagród i międzynarodowych wyróżnień, nie mogłem odmówić mojemu szefowi w jednym racji: z ręką na sercu przyznaję, że to tylko ja mogłem skutecznie, to znaczy, szybko i bezproblemowo, rozwiązać problem Urszylla, i to do tego raz na zawsze. Wkładając jego samego, a, i te wszystkie jego upiorne wydumania, do kosza na odpadki naszej naukowej współczesności, ośmieszając go i wyszydzając, w czym jestem rzeczywiście najlepszy. To spływa na mnie tak, jak na Einsteina jego wzory: z bezmiaru i nicości, z morza obfitości myśli i idei, w którym wszyscy bez wyjątku pogrążeni jesteśmy. To spływa na mnie prosto od Boga, wiem to, bo to czuję. - Urszyll uśmiechnął się kiwając z uznaniem głową. - Boski miecz prawości przemawia moimi ustami, tępi i ogniem pali każde heretyckie diabelstwo, każdy przejaw jakiejkolwiek nieortodoksyjnej niesubordynacji. Dlatego też, pomimo wielu oporów oraz ogromnej niechęci, podjąłem się tego zadania, postanawiając zdać się na Boską opatrzność i Jego ciche, lecz stałe kierownictwo. - Drogi Panie Dziewicu! - Sędzina miała wyraźnie dosyć, lecz Dziewic podniósłszy swój gruby palec do góry, groźnie jej pogroził, uciszając ją tym samym skutecznie. - Znany też jestem z mojej wyjątkowej fachowości i wyjątkowej dociekliwości. Tam gdzie inni dawno by już skończyli, ja dopiero się rozgrzewam. I rozkręcam. Żaden fakt mi nie umknie, wychwycę też każdą sprzeczność, alogiczność, czy też jakąś inną niekonsekwencję. Po prostu inaczej nie umiem. Dlatego też cieszę się tak wielkim szacunkiem wśród wszystkich: moi czytelnicy piszą do mnie dziękczynne listy, a moi studenci tłoczą się na wszystkich moich wykładach. Jestem osobą bezstronną i nie miewam doprawdy żadnych uprzedzeń. Subiektywizm jest mi tak obcy, i napawa mnie takim wstrętem, że niemożliwym jest to, abym mógł paść jego łupem. Na-

ukowy obiektywizm, którym się zawsze i wszędzie kieruję, był i jest zawsze najlepszym narzędziem rozstrzygania wszelkich sporów międzyludzkich. A w przypadku Urszylla to właśnie on zadecydował o wszystkim. Bo proszę sobie wyobrazić co za brednie są jego udziałem. - I tu Dziewic otworzył ogromną skórzaną tekę zamykaną na jakiś elektroniczno wymyślne zamki, wyciągnął z niej jakieś pogniecione papierzyska w wielkiej ilości, rozłożył przed sobą starannie je prostując i wspaniale wczuwając się w treść, przeczytał:

- Strefo igraszki, czyli trochę inaczej o tym, co mamy w nas ziemskiego. Homo Légibus: życie człowieka zniewolonego. Mikro i Makro. Choć wszystko jest energią, jak ładnie to kiedyś powiedział Albert Einstein, który myśląc o naszym wszechświecie z pewnością miał rację, równie łatwo można wyobrazić sobie wszechświat przeciwny do naszego, i oparty na nieistnieniu energii. Jako iż wszyscy przebywamy jednak ciągle w tym opartym o, lub/oraz/i na energii, oraz w energii kąpiącym się świecie, chcąc nie chcąc musimy podlegać jego prawom. Musimy ponadto realizować wszelkie postulaty i programy - informacje - w nim umieszczone, a przenoszone właśnie na niej. Będąc więc w dosłownym sensie energetyczną kreacją wielowymiarową, otwartą emanacją wielu nośników, jesteśmy tym samym podatni tu na Ziemi na wszelkie wpływy. Dobre i złe. Obce, jak i nasze własne. Zdradzeni do tego, porzuceni i poróżnieni przez całe to energetycznie wielowymiarowe spektrum naszych stwórców, tworzymy społeczeństwo oparte na braku miłości i dobroci, na braku wyrozumiałości i współczucia, na pozornych lub\oraz faktycznych nierównościach, a więc na konflikcie interesów, na wyzysku jednych przez drugich, na przemocy i nienawiści, na torturach, na wojnach i wymuszonej śmierci. Aby to wszystko było jednak możliwe, abyśmy mogli się bez pardonu ciągle nawzajem prześladować i zabijać, wyzyskiwać i torturować, potrzebne było koniecznie jakieś wspaniałe narzędzie wielowymiarowej struktury energii stworzone właśnie po to. I tylko do tego. Wydaje się, lub wręcz jest to pewne, że to nie tylko Sferoki i Elohim byli mistrzami wszelkiej manipulacji, bo znane im były prawie wszystkie jej rodzaje, ale, że też i same Strefoki musiały obdarować nas czymś szczególnym i odpowiednim, bowiem, gdy przyjrzymy się naszym pospolitym rudym mrówkom leśnym z rodziny Formica Polyctena i ich biochemicznym manipulacyjnym wyczynom feromonowym, lub innym manipulacyjnym wyczynom małych lub wielkich zwierzaków tu na naszej Ziemi, niemożliwe staje się wówczas ograniczenie manipulacyjnej paranoi jedynie do

naszego ludzkiego tu społeczeństwa.

- W przeciwieństwie jednak do całego świata zwierzęcego dość ograniczonego skądinąd w jego manipulacyjnych zapędach, człowiek mając prawie nieograniczone możliwości, zna odpowiednio wiele przeróżnych i do tego bardzo finezyjnych form manipulacji. Od wieków je też rozwija i ciągle doskonali. Od takiej prostej chociażby - fizycznej - jak bicie po pupie, czy też grożenie paluchem, przez trochę brutalniejsze, takie jak wiercenie wiertłem dziury w ciele, zamykanie w więzieniu, zsyłka, łamanie kołem, palenie na stosie, czy po prostu ukrzyżowanie, powieszenie lub rozstrzelanie, przez bardziej skomplikowane, takie jak wszczepianie biochipów czy też innych implantów, podawanie całej populacji szczepionek zarażonych wirusem HIV, masowe rozsiewanie zarazków grypy czy gruźlicy, karmienie trzody chlewnej jej własnymi, zmielonymi odpadami, czy sprzedawanie ludziom substancji chorobotwórczych, w tym i rakotwórczych, jako produktów spożywczych lub leczniczych. Przez manipulacje psychologiczne - ot chociażby takie malutkie i niewinne nakłonienia, lub też dużo groźniejsze brutalne psychiczne znęcanie się nad kimś, przez błahe chociażby zakazy, fałszowanie danych naukowych, edukacyjnych czy politycznych, małe lub duże propagandy, reklamę i promocję, lub wiele, wiele brutalniejszych, takich jak pranie mózgu, mind morfing, czy narzucone całym narodom całe systemy edukacyjne, filozoficzne czy też ekonomiczne. Aż do manipulacji syntetycznych, takich jak teleepatia, reedukacja, reesocjalizacja, readaptacja, reedystrybucja socjalna, modelowanie psychologiczne, modyfikacja emocjonalna, bomby mózgowe, czy też najgroźniejsze z najgroźniejszych, wysysanie duszy, przed którymi nikt nie może się obronić, ani donikąd uciec, ponieważ działając globalnie - wszędzie - i to z ukrycia, nie podlegają normalnemu ludzkiemu rozpoznaniu. Ich nie da się zobaczyć. Ani poczuć. Nie można ich też żadną miarą zrozumieć ani pojąć. Działając w jakiś sposób podobnie do niewykrywalnej biochemicznej substancji eterycznej wytwarzanej przez nasze pospolite rude mrówki w mrowisku niewolniczek, ubezwłasnowolniają społeczeństwo ludzkie tworząc z niego, w ten sam co i mrówki sposób, kolonię nieświadomych niczego, ludzkich niewolników. Dlatego też manipulacja syntetyczna jest najniebezpieczniejsza ze wszystkich form manipulacji, a będąc jej nieświadomymi uczestnikami, możemy wszyscy - bez możliwości rozpoznania oraz zdemaskowania jej sprawców a, i jej samej - poza całkowitą utratą zdrowia, a często nawet i życia, zostać przez siły, istoty, lub ludzi bez-

karnie nią się posługującymi, nagle, i to bezpowrotnie, ubezwłasnowolnieni - zamienieni w nieświadomych niewolników - co uważam osobiście za najstraszniejszą rzecz jaka mogłaby się lub\oraz jaka już nam się tutaj na Ziemi przydarzyła. - I tu, zgrabnie, z wprost mistrzowsko zagraną irytacją, Dziewic przerwał na chwilkę, po czym przerzucił kartkę. - Z tego to też pewnie powodu - rozpoczął przerwany wątek - większość z nas wykształcono w ten sposób, abyśmy mieli bardzo niejasne pojęcie o czymkolwiek, a, o nas samych i otaczającym nas zewsząd świecie, prawie żadnego. Na ogół jesteśmy bowiem pewni tylko tego, że rzeczywistość jest taka, jaka jest, że żyjemy i, że kiedyś będziemy musieli umrzeć. Całą resztę naszej wiedzy spowija dosyć gęsta mgła niejasnych przekonań i poglądów, i to nawet wtenczas, kiedy twierdzimy z całą stanowczością, że jest inaczej. Na ogół też wszyscy mylimy nasze poglądy z faktami, i to one właśnie - te poglądy - wypełniają nam na co dzień nasze mózgi dość banalnymi myślami o czymkolwiek. Podobnie jest z rezonansem, który jako centralna siła naszego układu słonecznego decyduje w naszym życiu o wszystkim, a, o którym najczęściej nie mamy żadnego pojęcia. Dlatego też jesteśmy zupełnie nieświadomi zagrożeń jakie on powoduje lub\oraz może powodować. Nie wiemy również i o tym, że w naszym wspaniale rozbuchanym technicznie, współczesnym świecie, obrona i ochrona przed wszelką szkodliwością jest bardzo utrudniona, a w wielu przypadkach wręcz niemożliwa, i to nawet wtedy, kiedy tego bardzo pragniemy! Zgodnie bowiem z tezami współczesnej nauki zapatrzonej w swoją własną doskonałość, jednocześnie utrzymywanej przy życiu przez, lub/oraz popierającej i współpracującej ręka w rękę z polityką i przemysłem, człowiek dla człowieka nie jest najważniejszy, a często nie zostaje nawet rozpoznany jako człowiek. I każdy z nas sądzi, że o tym wie, i każdy z nas myśli, że jest tego świadomy. A jednak trwamy w tym od wieków i nic nie wskazuje na to, żeby się to miało zmienić. Jest nawet gorzej: regres społeczny postępuje ciągle, nasze uzależnienie wzrasta, a techniki zniewolenia i manipulacji są coraz lepsze, i coraz doskonalsze, powodują bowiem nasze nie czynienie niczego w sytuacjach najwyższej konieczności, a przecież co trzeci mieszkaniec naszej Ziemi nie ma dostępu do wody pitnej, co piąty musi z tego powodu umrzeć, co siódme dziecko umiera z głodu, jednocześnie codziennie wyrzuca się lub niszczy 120 milionów ton żywności, nie wspominając już nawet o tym, ile milionów metrów sześciennych wody marnuje się codziennie chociażby w takim kraju jak nasz. W tej chwili prowadzimy na całym świecie ponad 179 konfliktów zbrojnych, w których jedni

zabijają bez pardonu drugich, torturują ich i niszczą. Bogaci nadal wyzyskują biednych, a ci, co posiadają władzę nadal zniewalają swych poddanych. Zakazy, nakazy i represje są jedynym prawem stosowanym na nas, i przez nas, w naszym życiu. Wszyscy ciągle pragniemy, oczekujemy i domagamy się wyrazów miłości i dobroci, sami z siebie samych jednak mamy ciągłe, nieprzerwane problemy z jej bezwarunkowym i bezproblemowym dawaniem... I co Państwo na to powiecie?! - Zapytał Dziewic rozglądając się uważnie po sali, a w sędzinę wpatrując się wyjątkowo przeciągle i srogo. - No… - Rozpoczęła sędzina, ale Dziewic przerwał jej brutalnie. - Dlatego też uważam, że Urszyll z Zamiłowic winien jest wszystkich popełnionych czynów i winien zostać przykładnie ukarany! I to nie tylko dlatego, aby przez przykład ten odwieść innych od podobnych poczynań i wyznań. Urszyll z Zamiłowic jest niepoczytalnym maniakiem zagrażającym nie tylko naszej całej ortodoksji, ale przede wszystkim naszej z takim trudem zdobytej pozycji. - Prosimy, aby Pan przeszedł wreszcie do szczegółów! - Głos obrońcy Urszylla przerwał Dziewicowi. - Szczegóły! Prosimy o szczegóły! - Szczegóły?! - Wybuchnął Dziewic. - Jakie szczegóły?! Czy rzeczywiście nikogo już nie interesuje to, co tutaj wam mówię?! - Gada Pan co najmniej jak dupek! - Wrzasnął obrońca Urszylla. - Przywołuję Pana do porządku! - Głos sędziny przerwał adwokatowi w pół zdania. - Przepraszam... - Dało się jeszcze usłyszeć i na chwilę zapadła grobowa cisza. - Proszę niech Pan kontynuuje Dziewicu... - Zachęciła Dziewica sędzina. - Kontynuować?! W takich warunkach?! Czy Pani zwa...?! No dobrze - Dodał po chwili. - Jak Pani... Wysoki Sąd sobie życzy. Wysoki Sądzie! - Rozpoczął ponownie Dziewic. - Jak wszystkim wiadomo, spędziłem ostatnie szesnaście miesięcy na studiowaniu i zgłębianiu filozofii niczyich, czyli wywodów i wypocin tu oskarżonego o konszachty z diabłem, Urszylla z Zamiłowic. I choć nie doszukałem się, ani nie dopatrzyłem nigdzie słowa Diabeł, ani Czort, czy choćby Belzebub, słowo Thenahå znalazłem 198 razy, i jest to dla mnie oczywiste, że to właśnie to słowo oznacza to, czego boją się wypowiedzieć moje, a, i każde inne, bogobojne usta. I czego boję się nawet pomyśleć. Urszyll z Zamiłowic jest czarownikiem. Jest adeptem najsłynniejszej szkoły czarnej magii stworzonej i kierowanej przez słynną Madamę Thenahå. I nie może tego ani ukryć, ani zafałszować. Diabeł, a właściwie Djabyłelica, pierwsza żona Adama, potocznie zwana Błękitną Lilith, a którą Urszyll nazywa Thenahå, jest nie tylko jego kochanicą i królową, lecz i Boginią, którą on sam uważa za Boga. Samo już ujęcie Boga w formie żeńskiej jest absurdem oraz niewybaczalnym uchybieniem prze-

ciwko Kościołowi i jego oficjalnej doktrynie, ale twierdzenie, jakoby Ona była wszystkim i wszędzie będąc jednocześnie nikim i nigdzie, woła o pomstę do nieba i niezwłoczne ukrzyżowanie! Jakże niesforna i harda to dusza musiała taką bzdurną herezję wymyślić i próbować ją nam narzucić?! W jaki sposób też nasz Bóg Ojciec, którego wszyscy mamy szanować, czcić i poważać, zgodzić się może i może przemilczeć tak wielkie bluźnierstwo?! Co powiedzieliby nam wszyscy normalni wyjadacze chleba o nas jako o stróżach?! Jako o pośrednikach i nauczycielach?! Czy na darmo studiowaliśmy latami Pismo Święte?! Czy na darmo żyliśmy w ascezie miłując i czcząc naszego Boga i jego przykazania?! - Dziewic wzniósł teatralnie ręce i oczy do góry. - Mówię wam! Nie na darmo! Jesteśmy nadal wzorem! I przykładem dla tego świata. Przykładem i wzorem. I tak ma to trwać. I tak to ma być. Ortodoksja jako ostoja, i ortodoksja jako ochrona. Ortodoksja jako przystań, jako wzór, jako pewnik, aksjomat i punkt! Nie ma niczego pewniejszego i niczego bardziej bezwzględnie obiektywnego niźli nauka. A ponad to, to tylko ona z uprawnienia boskiego zresztą, może wskazywać nam drogę! Takie jest zalecenie Boga. I takie jest zalecenie Kościoła. I takie jest też i nasze zalecenie. Dlatego Urszyll z Zamiłowic musi zapłacić cenę ostateczną: za swoje odszczepieństwo, za swoją hardość i swoje świadome niepodporządkowanie! Żądam dla niego kary śmierci! I to przez ukrzyżowanie! - I Dziewic zamilkł. - Niech Pan z łaski swojej nie żartuje, Panie Dziewicu. Nie żyjemy dzisiaj w czasach inkwizycji. - Jeżeli nie umiecie nawet tego załatwić, żądam jego reesocjalizacyjnej terapii przed urodzeniowej przeprowadzonej w instytucie najlepszego lekarza i terapeuty jakiego znam: profesora doktora won Wściba, bowiem to tylko on może zagwarantować nam pełne powodzenie tejże terapii, a tym samym, i nam, nasze bezpieczeństwo. - I jak Urszyllu podoba ci się program?! - Bezpośrednie pytanie Dziewica wyrwało Urszylla z zadumy. Tuż za nim rzeczywistość wraz z Dziewicem rozwijała się skokowo pędząc przez przestrzeń i czas z ogromną prędkością. Urszyll obejrzał się. Instytut Psychofilochirurgii profesora won Wściba mieścił się tuż nad Departamentem Odnowy i tuż pod Departamentem Wielkich Energii w siedzibie głównej Dooila, był też najlepiej zorganizowanym instytutem tego rodzaju nie tylko w całej Wielkopolandii, ale i w całym nowożytnym świecie. - Nieźle się przygotowałeś Maryłeju. - Powiedział Urszyll, kiwając z uznaniem głową. - To niestety dla ciebie Urszyllu dopiero początek. Siadaj i nie utrudniaj nam obu tej i tak trudnej sytuacji. W końcu sam wiesz, jaka jest procedura. - Powiedział dość zdecydowanie Dziewic.

- Chcę cię tylko uprzedzić. - Dodał. - Po naszej stronie mamy sprzymierzeńca, z którym twoja Thenahå nijak równać się nie może. Obydwoje jesteście nie z tego świata, bo Miłość i Dobroć, której jesteś wysłannikiem, jak sam to zresztą dobrze wiesz, należą do bezwymiarowości, my natomiast operujemy właśnie tutaj wykorzystując dwutroistość jako główne narzędzie nie tylko wsparcia naszego tu działania, ale przede wszystkim naszej, w ziemskim morzu ogólności zakotwiczonej, egzystencji! I to a priori! Czy wiesz co to oznacza?! - Nie dasz rady Maryłeju - powiedział spokojnie Urszyll. - A nawet jeżeli dzisiaj mnie pokonasz, to i tak przegrałeś. Sam to wiesz, nie rozumiem więc... - I zanim Urszyll zdążył dokończyć rozpoczęte zdanie, jakaś potężna siła podniosła go do góry i ze straszną siłą wcisnęła w fotel. Klejąca substancja w postaci powolnie spod sufitu sfruwającego prześcieradła, unieruchomiła go na dobre w fotelu, a jakieś metalowe ramie zdarło z niego rękaw jego koszuli po prostu go odrywając, a drugie zagłębiło w nim jakieś metalowe lub szklane, cieniutkie, świetliste druciki. Dziewic uśmiechnął się. - I co?! Jesteś pod wrażeniem?! - Urszyll popatrzył smutno na Maryłeja i nic nie powiedział. Przez chwilę siedzieli w całkowitym milczeniu, w którym Urszyll, z niekłamaną ciekawością przyglądał się ustawionemu na stole Przyrządowi. - Podoba ci się?! - Zapytał Dziewic. - Sądzę, że nie możesz się już doczekać, aby wypróbować to paskudztwo na mnie, Maryłeju. - Powiedział Urszyll. Dziewic wybuchnął śmiechem. - A jaka to różnica, Urszyllu, kogo posadzilibyśmy na twoim miejscu?! - Zapytał. - Ja nie widzę żadnej. A ty?! - Urszyll chciał właśnie coś odpowiedzieć, kiedy wskazówka Przyrządu skoczyła wychylając się do oporu w prawo. - Zadam ci parę rutynowych pytań, Urszyllu. - Dziewic był z czegoś bardzo zadowolony. - No wiesz, imię, nazwisko, i takie tam. - Urszyll pokiwał głową, ale nic na to nie odpowiedział. Maryłej westchnął ciężko i też pokiwał głową. - Chcesz naprawdę wypróbować to paskudztwo na sobie świadomie?! - Zapytał. - Osobiście odradzam. Jeszcze nie było nikogo, kto by to przeżył Urszyllu... Więc?! - Z wyraźnym ociąganiem oraz wielką niechęcią, patrząc przy tym prosto w oczy Dziewicowi, Urszyll powiedział cicho: - Uniwersytet Zielonego Liścia… - No! Urszyllu! To już jest coś! - Ucieszył się Dziewic kręcąc jednocześnie z rozmachem jakimiś ukrytymi przed Urszylla wzrokiem, wielkimi pokrętłami.

Ja widzę! Dlatego nie muszę się uczyć. - Uniwersytet Jagielloński, duma i chwała narodu, był dziwnie opustoszały. Może powodowała to godzina., na którą wyznaczono Urszyllowi te warsztaty, a może zamknięto po prostu tę część właśnie ze względu na ich tutaj, przez niego, prowadzenie. Tak czy siak, nie tylko całe piętro było puste, ale i prawie cała sala wykładowa, bowiem Urszyll dostrzegł tylko paru studentów. Co prawda wszystkie ostatnie spotkania ze studentami w tym właśnie miejscu odwołano telegraficznie twierdząc, że nikt się nie zgłosił, że nie ma chętnych, ale to, i w ten oto sposób, dzisiaj, w demokratycznym państwie?! - Gorzej już raczej nie może być. - Pomyślał Urszyll mówiąc jednocześnie do słuchaczy: - Wy uczycie się, dlatego nie widzicie! Dramaturgia, a wręcz awangarda tego spostrzeżenia, jest poważna. Toteż, pomimo, iż moim zamiarem nie było nigdy a, i nadal nie jest pomaganie wam w tym sensie w jakim byście najchętniej tego ode mnie oczekiwali, postanowiłem jednak zademonstrować wam dzisiaj trochę praktycznych możliwości nieortodoksyjności, abyście i wy - po osobistej z nimi konfrontacji - mogli choć przez małą chwilkę pouczestniczyć w cudowności ucząc się jej praktycznie również. I aby akt ten, wpłynął na całe wasze przyszłe życie, otwierając wam nie tylko oczy, ale i umysły. I to na stałe! Więc co powiecie na to, gdybyśmy zaczęli dzisiaj od energii? - A nie słysząc żadnego odzewu z sali, powiedział: - Zaprzepaszczona energia. - W tym samym dosłownie momencie na wszystkich ścianach sali oraz suficie pojawiły się przeróżne wzory matematyczno chemiczno fizyczne, jacyś naukowcy w wielkiej liczbie za swoimi biurkami, fabryki, urzędy i laboratoria, a potem wybuchy małych, coraz większych, i tych olbrzymich i największych bomb wodorowo psycho tronowych. Jakieś galaktyki, planety i gwiazdy, miony, kwarki i komety. Wszechświaty w wielkiej liczbie, mgławice, bąble, kule i kwadraty. Trójkąty, liczby, litery. Fale, próżnie, elektrony i fotony. Fraktale… Na końcu tej wędrówki wszystko przemieniło się w olbrzymią, rozpaloną kulę - Ziemię - która z olbrzymią prędkością stygła i malała, aby wreszcie znaleźć się w postaci małego, włoskiego orzecha w dziadku do orzechów, gdzie zgnieciona ze straszliwą siłą, z hukiem pękła. I tu obrazy zgasły. - Proponuję, abyśmy postawili ją po prawej na zewnątrz, ok.? - Urszyll wybrał błękitną, dość dużą kulę z wyra-

źnym wcięciem na jej płaszczyźnie i położył ją obok podobnych, kolorowych form przestrzennych - stożków, sześcianów i paralelogramów, po prawej, na zewnętrznej linii eneagramu wpisanego w koło i narysowanego wyraźną, grubą kreską na podłodze. Wcięcie wskazywało na zewnątrz. - Dobrze ją ustawiłem? - Zapytał, a nie słysząc i nie widząc żadnej reakcji wśród nielicznych słuchaczy, dodał: - Poczekajcie chwileczkę, aż wyjaśnię wam dlaczego tak właśnie uważam, a na pewno to zrozumiecie. - Popatrzył uważnie po słuchaczach. - Kto na ochotnika stanie obok niej? - Z ociąganiem, ale jednak, jakaś ręka w ostatnim rzędzie podniosła się do góry. - Ok. - powiedział Urszyll. - Stań obok niej i połóż na niej ręce. - A gdy polecenie Urszylla zostało spełnione, Urszyll powiedział: - Dziękuję, kochani. - I tu ukłonił się teatralnie aby jakoś wpłynąć na polepszenie atmosfery, lecz nie widząc nadal żadnego odzewu z sali, płynnie, jak gdyby nigdy nic, rozpoczął opis przypadku od cytatu ze Statutu Wykonawczego Dziewiątki. - Najprostsza droga do zniewolenia każdego człowieka wiedzie poprzez jego całkowite uzależnienie. Aby uzyskać więc optymalne wyniki w tym zagadnieniu, powoli, tak samo zresztą jak każdą inną istotę ziemską, tak uzależnimy człowieka od Naszych ochot i poczynań, aby samoświadome i całkowicie niezależne jego życie, i to w całej jego rozciągłości - na wszystkich poziomach i we wszystkich światach jednocześnie - fizycznym, psychicznym, emocjonalnym, duchowym, molekularnym, kwantowym i sublimalno eterycznym - nie tylko okazało się dla niego niepraktycznym, ale, i z czasem, absolutnie niemożliwym. 231910. Punkt pierwszy. Paragraf trzynasty.

- Najczęściej - po chwili milczenia, w której próbował uładzić jakoś swoją niesforną fryzurę licząc w myślach ilość uczestników dzisiejszego spotkania, rozpoczął - zupełnie nie zdajemy sobie sprawy z tego, że otoczeni jesteśmy zewsząd wszelkiego rodzaju gangsterami, którzy równie często podają się oficjalnie za naszych zbawicieli, i których, z naiwności, strachu lub przyzwyczajenia, tak właśnie traktujemy. Tak też jest z tymi, którzy władają każdym rodzajem energii tu na Ziemi, a w przypadkach, które wybrałem dzisiaj za przykłady, najważniejszymi rodzajami energii dla naszego zdrowia i życia: energią psychiczną, emocjonalną, elektromagnetyzmem w ogólności, a elektrycznością w szczególe, nadprzewodnictwem oraz energią uzyskiwaną z produktów kopalnych jak ropa, gaz czy węgiel. Od lat wmawia się nam bowiem, że każdej energii na Ziemi jest za mało dla nas wszystkich, że koszty jej produkcji są ogromne, że trzeba ją cią-

gle oszczędzać, ciągle subsydiować, i ciągle ograniczać, a koszty spożycia ciągle, bez jednej przerwy podnosić. Kochani! Nie było, i nie ma nic bardziej mylnego. To jedno z największych oszustw XX wieku skutecznie paraliżujące swobodny rozwój naszej cywilizacji, a przez to, paraliżujące i nasz jednostkowy rozwój. Większość z was jednak ciągle nie wierzy w to, co oczywiste w świecie polityki, a mianowicie w to, że nas ktoś ciągle celowo codziennie oszukuje, celowo codziennie okrada i codziennie ubezwłasnowolnia. Ponieważ wiem, że trudno jest wam pojąć ten problem oraz zgłębić go jakoś sensownie, spróbuję go wam jakoś wytłumaczyć. Uważajcie więc:

- W roku 1913 dr Rudolf Steiner, zakłada Towarzystwo Antropozoficzne, którego celem jest takie pokierowanie ludzkim życiem, aby mogło być ono skierowane na najważniejsze zagadnienia dotyczące zdrowego, pełnego życia nas wszystkich oraz wszystkich innych istot zamieszkujących Ziemię, poprzez takie zarządzanie ziemskim ekosystemem, aby wartość i jakość każdego tu życia, nie tylko nie malała, ale z czasem i rosła. Dlatego też wybór Steinera pada na Biodynanomikę. W 1924 roku organizuje więc Biodynamiczny Kurs Rolniczy, bazę, podstawę oraz fundament ośmiu wzorcowych gospodarstw biodynamicznych prowadzonych nieprzerwanie od tamtego czasu, służących, tak jak i dawniej, tak i dzisiaj, za wzór oraz przykład tego, iż chemiczno-toksyczno-radioaktywne zanieczyszczenie naszej Ziemi nie musi być podstawą uprzemysłowionego rolnictwa, a ogólniej, i naszego tu bytowania, że może być odwrotnie: że tylko powrót do korzeni naturalnego ziemskiego biotopu, może nam dać szansę na przeżycie w zdrowiu. Na szczęście wszystkich książek Steinera nie spalono na stosie i są one dostępne i dzisiaj, tak też, o ile rzeczywiście chcecie zdrowo i dobrze żyć, może powinniście lub\ oraz zechcielibyście się z nimi zapoznać i je sobie poczytać?! - I tu Urszyll na moment przerwał i popatrzył uważnie po słuchaczach.

- W roku 1916 - kontynuował po chwili, w której doliczył się dwunastu uczestników - Silvio Gesel formułuje po raz pierwszy swoją rewolucyjną teorię Naturalnego Systemu Ekonomicznego opartą na obłożeniu nieużywanych pieniędzy specjalną opłatą karną, w przeciwieństwie do współczesnego systemu, w którym nieużywany pieniądz przynosi zyski jego właścicielom, oraz Wolnego Pieniądza, ponieważ gdyby był on w obiegu, służyłby wszystkim jego użytkownikom w równym stopniu, i to bez wyjątków. Teoria ta przyjmuje się natychmiast, czynione są również praktyczne starania o wprowa-

dzenie jej w życie na całym świecie, jednak światowy system bankowy oraz światowy system polityczny odrzucają ją jako niebezpieczną, utopijną oraz nie pasującą do ówczesnego oblicza świata. Teoria Neutralnego Pieniądza ląduje na półce, a o Silvio Geselu po prostu się zapomina. Rozumiecie prawda? Nie muszę już chyba nic dodawać, co? Usiadł przed słuczaczami w milczeniu, pokiwał głową w zdziwieniu, zadumał się nad czymś, aby po niewielkiej chwili kontynuować jednak.

- W roku 1917, Nikola Tesla, który wcześniej współpracował ze znanym nam wszystkim z ławy szkolnej i historii, Thomasem Edisonem, spotyka się z Obcymi, jak sam o tym później mówi, i w wyniku tego wyjątkowego spotkania odkrywa, wymyśla, lub jak kto woli, wynajduje generator prądowy, który nie potrzebuje do jego uruchamiania ani pracy, żadnej energii, a produkuje dowolne jej ilości pobierając ją bezpośrednio z otoczenia - pola elektromagnetycznego Ziemi. Co ciekawsze, jeżeli zaszłaby taka potrzeba, z możliwością przesyłania jej olbrzymich nadwyżek do dowolnego miejsca! I to bezpłatnie, bo bezprzewodowo! Bezprzewodowo, bo na fali nadprzewodnika przeniesiona pod postacią światła, a nie elektryczności! Tesla wymyśla jeszcze wiele innych cudownych wynalazków, żaden z nich jednak nie wchodzi do masowej produkcji ani do historii. Jego laboratorium zostaje zniszczone, Teslę okrzykuje się wariatem, a potem o nim samym po prostu się zapomina. Podobno, (ale to tylko może plotki) wszystkie jego patenty posiadają przeróżne agencje rządowe przeróżnych państw i jak to widać z rachunków za energię, ukrywają je chytrze nadal przed wszystkimi zainteresowanymi i spragnionymi wolności ludźmi.

- W roku 1921, Alexander Neill, zakłada w Lam Ragis, Sammery Hill - najsłynniejszą w świecie szkołę postępową, w której zamierza realizować potrzeby dziecka, oraz mianuje się jej dyrektorem, aby przez następne czterdzieści sześć lat prowadzić ją nieprzerwanie, aż do swojej śmierci. W jego szkole uczniowie nie podlegają żadnym przymusom ani naciskom, nie ma stopni, ani żadnej innej konkurencji. Jedynym obowiązkiem jest dobrowolne uczestniczenie w zajęciach szkolnych oraz przestrzeganie tej zasady na wszystkich jej poziomach i w całej jej rozciągłości. Neill przeciwstawia wewnętrzną samodyscyplinę oraz ochotę, zewnętrznemu przymusowi oraz brakowi ochoty, tak charakterystycznemu dla normalnych, zwykłych szkół każdego typu i każdego szczebla w większości państw naszego

współczesnego świata, od Zelandii i Gwinei, po Amerykę, Kanadę czy Ekwador. Według Neilla, człowiek nie tylko jest godzien, ale i może, dobrowolnie, przy pomocy odpowiednich programów edukacyjnych i odpowiednio przygotowanych nauczycieli, wyrzec się naturalnie wymałpowanej konkurencji oraz zbytnio rozbuchanego ego, opowiadając się, również dobrowolnie, po stronie dobroci, współodczuwania, współtworzenia i współpracy, o czym świadczy nie tylko jego ponad czterdziestoletnia praktyka jako nauczyciela, ale i ludzie, których wykształcił i ukształtował. Co ciekawsze, poglądy oraz praktyki Neilla potwierdzają w całej swej rozciągłości najnowsze amerykańskie eksperymentalne programy edukacyjne, wprowadzone w późnych latach dziewięćdziesiątych w, niestety, tylko nielicznych, trudnych, bostońskich szkołach stanu Massachusetts. Jak z tego wyraźnie widać, możliwe jest autentyczne kształcenie ludzi mądrych i szczęśliwych zarazem, szkoły tego typu jednak, są najczęściej dla ogółu wykształconych - zdeprawowanych normalnym, standardowym wykształceniem - urzędników edukacyjnych całego świata takimi, o których najlepiej jest od razu zapomnieć. I tak też się dzieje z Sammery Hill - o nieszkodliwym wariacie Neillu i jego rewelacyjnie rewolucyjnym programie edukacyjnym niewielu z nas dzisiaj pamięta, a jeszcze mniejsza nasza ilość chciałaby, o ile to byłoby w ogóle możliwe, posłać swoje dzieci do takiej szkoły, w której żadną miarą nie mogłyby okazać się one ani bogatsze, ani mądrzejsze, ani doskonalsze od wszystkich swoich pozostałych współrówieśników!!!

- W 1924 roku, Andre Bardon (?), wymyśla silnik spalinowy na wodę, gdzie normalne paliwo napędowe zastąpione zostaje mieszaniną wody z benzyną w stosunku 10 do 1-go: dziesięć części wody i jedna część benzyny. W roku 1938 Volkswagen wprowadza ten rodzaj silnika do produkcji dla potrzeb wojska III Rzeszy i II Wojny, projekt jest utrzymany jednak w tak pełnej, całkowitej tajemnicy, i to aż do dzisiaj, że nikt nie tylko do dzisiaj o nim nie słyszał, a nawet gdyby o nim słyszał, to i tak by w to wszystko nie uwierzył. Nikt też nie zna jego wynalazcy, pomimo, że był na pewno geniuszem, a jego wynalazek, to jedno z najdonioślejszych odkryć współczesnej techniki palno energetycznej, mogące uwolnić nas od głodu energetycznego z jednej strony, a z drugiej zaś, dać nam możliwość swobodnego przemieszczania, bez jednoczesnej konieczności niszczenia naszego naturalnego środowiska ziemskiego. W tym samym czasie powstają projekty pierwszych silników antygrawitacyjnych, z których do dzisiaj nie zrealizowano prawie żadnego. Na szczęście, poza jednym

małym wyjątkiem:

- W 1946 roku, Jo Searl, we śnie wymyśla pierwszy model GeEsa, nazwanego później generatorem efektu Searla, urządzenie wytwarzające miedzy wieloma innymi jego cudownymi funkcjami, prawie bezpłatną elektryczność. Prawie odnosi się tutaj do kosztów budowy urządzenia oraz benzyny potrzebnej do jego jednorazowego uruchomienia. Niestety urządzenie to oraz jego kolejne wersje zostają zniszczone, sam Searl umieszczony w więzieniu i okrzyknięty nieszkodliwym wariatem. Na szczęście Searl się nie poddaje i buduje kolejnego GeEsa. Dzisiaj istnieje nadzieja, że Searl doprowadzi swój projekt do końca, i być może uda mu się nawet wdrożyć go do masowej produkcji. Byłby to prawdziwy przełom, a nawet prawdziwa rewolucja, należy więc być czujnym i bacznym - uderzenie może przyjść z każdego, i to najczęściej najmniej spodziewanego kierunku. Oby mu się jednak udało!

- Timothy Leary, jeden z najważniejszych i najodważniejszych przedstawicieli inteligencji amerykańskiej, który wpłynął na losy całej Kultury Zachodu ostatniego półwiecza, w sierpniu 1950 roku publikuje swój traktat o Interpersonalnej Diagnozie Osobowości, który uznany zostaje natychmiast za najdonioślejsze dzieło zajmujące się analizą ludzkiego charakteru, którym pozostaje aż do dzisiaj. Leary, przez jednych nazywany apostołem rewolucji psychodelicznej, przez innych wujkiem Timem, a jeszcze innych po prostu ćpunem, całe swoje życie poświęca badaniu tajemnic psychiki ludzkiej. Doktor psychologii, niezależny pracownik naukowy na uniwersytetach Barkley i Harvard. Twórca rewolucyjnej Teorii Neurologicznego Relatywizmu, gorący obrońca wolności oraz niezależności świadomości. Usunięty z Harvardu za swoją genialną rewolucyjność, zostaje w 1970 roku skazany na 30 lat więzienia za posiadanie dwóch skrętów marihuany! Jego prace zostają zniszczone, a on sam, po ucieczce z więzienia, zostaje złapany w Afganistanie, pomimo braku umów ekstradycyjnych przywleczony do kraju i tu osadzony na powrót w więzieniu i to w karcerze, w absolutnym odosobnieniu: zdeprawowany sensorycznie, pozbawiony tytułów naukowych i praw społecznych. Szykanowany aż do śmierci przez ICA, SNA, BFI, RIS, ODR oraz agentów rządowych wielu innych państw.

- Ronn Hubard, w tym samym roku, ale w październiku, ogłasza swoje rewolucyjne dzieło Dianetyka, które natychmiast podbija cały

świat jako jedyna i to do tego bardzo solidna alternatywa dla współczesnego psychoterroru psychiatrycznego z jego doskonałymi metodami ubezwłasnowolniającymi - elektroszokami, trepanacjami czaszek oraz kuracjami narkotykowymi, a zaraz potem powołuje do życia Sajentology, jako niezależną grupę nowoczesnych metod psychologicznych pozwalających każdemu człowiekowi osobiście, na rozpoznanie oraz naprawienie najważniejszych problemów jego życia. W roku 1954 Hubard konstruuje rewolucyjne urządzenie nazwane przez niego E-metrem, mające pomóc w prowadzeniu terapii, co też i następuje, zweryfikowane milionami indywidualnych prób na całym świecie w tak zwanym solo auditingu. Jego książki rozchodzą się w milionach egzemplarzy, milionom ludzi na świecie powraca nadzieja, zdrowie i siła do życia. Niestety dla samego Hubarda nadchodzą złe czasy: zostaje posądzony o ochotę przejęcia władzy i osadzony w więzieniu, jego prace ulegają częściowemu zniszczeniu, najbliżsi współpracownicy kradną mu ideę Sajentology organizując swój własny kościół nastawiony jedynie na robienie wielkiej, bo łatwej kasy, Hubarda okrzykuje się szaleńcem i wariatem, a potem o nim samym, jak i o jego Dianetyce, po prostu się zapomina…

- Na zakończenie opowiem wam jeszcze o Wilhelmie Reichu, znanym niektórym z was z jego trudno dostępnych książek o roli oddychania oraz orgazmu w naszym życiu. W marcu roku 1956, Reich wymyśla Cloudbustera (The Cloudbusting Device), dziwne urządzenie do wywoływania burzy i sprowadzania deszczu, które w jego zaawansowanej formie ma służyć również do przechwytywania piorunów, a tym samym do gromadzenia i przechowywania ogromnych ilości darmowej energii elektrycznej, podstawą i bazą którego jest energia orgonu, jak ją sam Reich określa. Jego badania zostają jednak wstrzymane, Reich ląduje w więzieniu, potem w przytułku, a na końcu się go po prostu truje. Jego książki wchodzą na listę najbardziej zwalczanych i zakazanych, pomysły i patenty przepadają, a o samym Reichu, tak jak i o innych, po prostu się zapomina.

- Podobnie rzecz ma się z innymi geniuszami nauki i ich dziełami, i myślę tutaj o tych wszystkich, których znamy, lub\oraz o tych, o których cokolwiek wiemy, a co z tymi, o których nie wiemy nic a nic?! Poza tym chcę wam wszystkim przypomnieć, że nie żyjemy dzisiaj w podzielonej przez białych okupantów krwi żądnej Afryce, Azji, czy też europejskim średniowieczu za czasów chorej inkwizycji,

lecz w XXI wieku w Europie, czasie demokracji i swobód obywatelskich. Co więc dzieje się współcześnie ze wszystkimi niepopularnymi, wykluczonymi, odsuniętymi, brutalnie prześladowanymi oraz szykanowanymi wręcz, lub, po prostu zapomnianymi przez nas wszystkich, genialnymi rewolucjonistami myśli ludzkiej takimi jak Wolf i Toben, Jan Piaget, Hieronimus, Hanneman, Eisamann i Wiese, Bardon, Pająk czy Calligari, lub twórcą teorii holonomicznego wszechświata, matematyku i fizyku Dawidzie Böhmie, oraz wieloma, wieloma jego kolegami, pomimo tego, iż ich życie nie było, czy też nie jest, aż tak tragiczne jak wyżej opisanych, ale jednak, oraz ze wszystkimi innymi źródłami energii, do których zaliczam czystą energię magnetyczną pozbawioną jej elektrycznego dodatku, oraz wszystkie, moim zdaniem najważniejsze, duchowe energie pozbawine jakichkolwiem ziemskich dodatków?! - I gdy ciszy znowu nie przerwał żaden głos z Sali, wybuchnął - Rzeczywiście nie wiecie?! To się dowiedzcie! Byłby już czas… - Popatrzył srogo. - A może pojęliście chociaż, dlaczego tak właśnie ją ustawiłem?! - Na sali dały się słyszeć słabe, pojedyncze, nic nieznaczące stęknięcia, szelest rozkładanych kanapek i dzwonki telefonu komórkowego. Jakiś najbliżej Urszylla siedzący student wkładał sobie właśnie olbrzymiego hamburgera do ust, a parę stołów za nim jakaś studentka rozpoczęła rozmowę telefoniczną: - Kurwa, czemu do mnie dzwonisz… kurwa. - Usłyszał Urszyll. - Jego wzburzenie przerodziło się w oka mgnieniu w nagły wybuch gniewu: - W końcu - wrzasnął - jesteśmy tu wszyscy dobrowolnie! Sami mnie prosiliście o te warsztaty twierdząc, że to będzie właśnie to! To, czego potrzebujecie najbardziej! A tu, co?! Łachę mi robicie, że przyszliście i że mnie słuchacie?! - I Urszyll wyrżnął zwinięta dłonią w blat katedry. - Hamburgery i mikrofale wypaliły wam chyba rozum, co?! Nie dość, że nie przeczytaliście niczego o Hellingerze, tak jak prosiłem, a o Dziewiątce to już w ogóle, to śpicie, obżeracie się, pierdzicie… i gadacie przez te telefony tak, jakby to było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem?! Oszaleliście?! Czy jak?! - Sala milczała jednak. Urszyll przeszedł nerwowo parę kroków. - Zrobimy więc tak. - Powiedział energicznie. - Na dzisiaj to koniec! Powiem wam jeszcze tylko jedną bardzo ważną rzecz, o której nie wolno będzie wam zpomnieć przez całe wasze zakichane życie, ponieważ gdy zapomnicie zostaniecie takimi samymi złamasami jak jesteście już dzisiaj. - Przerwał na chwilkę, pokręcił głową, machnął ręką i powiedział już zdecydownie spokojniej: - Wszyscy twórcy i propagatorzy głebokich idei byli takimi samymi ludźmi jak wy. A jako ludzie popełniali błędy nie tylko w urzeczywistnianiu jak i praktykowaniu swoich

idei, ale i w codziennym ich życiu, w którym niestety tacy wielcy jak ich idee już nie byli. Nie zawsze jednak była to ich wina osobista. W przypadku Tesli na przykład, jego wieloletnie poważne szykanowanie a nawet wręcz prześladowanie przez wszystkie służby amerykanskie i europejskie razem wzięte oraz na dokładkę regularne okradanie przez wspólników i przyjaciół i to tak wielkich i bogatych jak przykładowo Edison, miało na pewno olbrzymi wpływ na jego psychikę oraz serię niewybaczalnych błędów, które popełnił. A w przypadku Reicha, jego nieuleczalna obsesja seksualna, która doprowadziła go do niewybaczlnego wypaczenia przez niego samego prawie wszystkich swoich, i to całkiem niezłych idei - głębokich i rzetelnych. O innych nie wspomnę, sami musicie sobie poradzić, jeżeli oczywiście zechcecie. Na przyszłe spotkanie zatem, które, o ile w ogóle będę miał jeszcze ochotę spotkać się z wami, a które odbędzie się pewnie nie wcześniej niż za jakieś dwa miesiące, będziecie mieli więc dość czasu na przemyślenie dzisiejszych wydarzeń, a w szczególności tego, z jakiego powodu i gdzie pomylili się nasi geniusze oraz co jest w ich ideach współcześnie absolutnie niedoprzyjęcia. A na dokładkę przeczytacie sobie wszsytkie ich dzieła oraz dokładnie Statut Dziewiątki. Temat jest zbyt poważny abyście mogli traktować go tak nikczemnie, tak, jak mi to dzisiaj zademonstrowaliście! Żegnam was! - I tu Urszyll porwał zamaszyście teczkę z katedry i ruszył w kierunku drzwi. Tuż przed nimi zatrzymał się jednak, powoli odwrócił i powiedział: - Myślę, że nie będę miał jednak ochoty. - I nie powiedziawszy już ani słowa więcej, pospiesznie opuścił salę wykładową i oniemiałych zupełnie słuchaczy.

Najprostsza droga do zniewolenia całego świata - powiedział dobitnie Urszyll - wiedzie poprzez takie zniewolenie każdego człowieka, aby każdy nie tylko rozumnie popierał, ale także i rozumnie uznawał wszelkie kalumnie, brednie, kłamstwa i łgarstwa wtłaczane mu przez Nas do głowy, za jedynie obowiązującą prawdę, oraz odpowiednio do nich tu na Ziemi działał. 347678. Punkt dziesiąty. Paragraf czternasty. I jak? Rozumiecie?

Pomimo tego, iż aula uniwersytecka była strzeżona przez licznych milicjantów ustawionych równym szeregiem na korytarzu prowadzącym do jej drzwi, a na dziedzińcu uniwersytetu stała czarna wołga i pełne ich trzy suki, wypełniona była po brzegi. Wielu słuchaczy siedziało do tego na prędce dostawionych krzesłach, na podłodze i na parapetach okiennych. Atmosfera była gorąca. Pomimo, że wykład trwał już wyraźnie parę godzin, czuć było ciągle wielkie, elektryczne drganie zaangażowania. W eneagramie Urszyll poustawiał już wiele kolorowych form stojących w przeróżnych jego miejscach i zwróconych we wszystkich kierunkach świata. Urszyll, jak zwykle w pędzie, czując i widząc wyraźny brak zrozumienia, dodał: - Poczekajcie. Zaraz wam wytłumaczę. Ziemia, jak wiecie, to zamknięty szczelnie obieg. Prawda? To Biotop. To gleba, powietrze i woda. No i my. I całe pozostałe życie. Dlatego więc - mówił chodząc między słuchaczami głośno i donośnie - i to pomimo tego, iż nasza planeta wydaje się być jednym z mało znaczących ciał niebieskich jeszcze mniej znaczącego układu słonecznego zawieszonego gdzieś w mało znaczącym miejscu wszechświata, dla nas jednak jest ona główną przyczyną - fundamentem, bazą i platformą jednocześnie - naszego trójwymiarowego tu zaistnienia, bycia i trwania, czyli po prostu całego życia, jest przez to, lub\oraz\i powinna być, nam najważniejsza: powinniśmy ją więc nie tylko szanować i chronić, ale tak zarządzać istniejącym tu naturalnym systemem - jego warunkami i składnikami - aby podnosząc stale ich jakość i wartość, podnosić stale jakość i wartość naszego, oraz każdego innego tu życia. Niestety kochani. Pomimo tego, iż wydaje się, że wszyscy to wiemy, że wszyscy to akceptujemy oraz, że wszyscy na równi tego właśnie pragniemy, to jednak tylko niewielka grupka ludzka żyje tu tak, aby to było mo-

żliwe. Większość z nas działa temu bardziej lub mniej świadomie wbrew, a są i tacy wśród nas, i nie jest ich znowu wcale tak mało, którzy z wyrachowaną premedytacją celowo temu przeciwdziałają. Jak informują nas bowiem wyniki badań współczesnego włoskiego naukowca i badacza, dr Amariga Mosca, zdobywcy pierwszej nagrody z dziedziny Chemii na Ogólnoświatowej Konferencji Ekologicznej w Amsterdamie - sami możecie to sprawdzić u Thompkinsa na stronie czterdziestej trzeciej - roczne zużycie toksycznych chemikaliów tylko w Ameryce przekroczyło w roku 2025 magiczną liczbę dwóch miliardów ton, a tym samym spowodowało zniszczenie - chemiczno toksyczno radioaktywne zanieczyszczenie o charakterze radio mimetycznym powietrza, wody i gleby - przekraczające lub\oraz równe zanieczyszczeniu spowodowanemu wybuchem 145-ciu bomb wodorowych o potencjale równym 172 000 bomb atomowych typu Hiroszima i wynoszące 17930 Megaton! Do tego musimy dodać jeszcze koniecznie porównywalne zanieczyszczenie kanadyjskie, europejskie, australijskie i japońskie. Trochę mniejsze rosyjskie, azjatyckie, afrykańskie i południowo amerykańskie. Oraz równie wspaniałą praktykę stosowanego już od pewnego czasu z pełnym szwungiem powodzenia na całym świecie, toksyczno radioaktywnego napromieniowywania żywności - wszystkich produktów żywnościowych - powodującą - Urszyll uważnie spojrzał na najbliżej siedzących - jak podają liczne dostępne nam źródła oraz prof. dr Charles Walter jr., cytuję za Byrdem, w pierwszej linii modyfikacje genetyczne tkanek, a przez to, wszelkie ludzkie choroby współczesności typu rak, alzheimer, CIF, SARS, osteoporoza, covid, negatywne mutacje genetyczne, radio morfo poroza, zwyrodnienie mięśni i kości, zanik mózgu i inne. Oczywiście tak jak i wszystko pozostałe w waszym życiu, możecie i te naukowe informacje i dane zbagatelizować lub zlekceważyć. Po części, muszę powiedzieć, rozumiem was. Ale tylko po części. Wasza potrzeba wiary w to, że wasze życie ma jeszcze jakąś wartość, jak i jakiś sens, i, że można tu przecież jeszcze dobrze i zdrowo żyć, bo żyje nas tutaj przecież ponad osiem miliardów, nie zwalnia was jednak, moim zdaniem, z obowiązku myślenia! A przecież musicie przyznać mi rację, że już dosyć dawno temu, i to do tego osobiście, ukrzyżowaliśmy żywcem możliwość naszej planety do dobrego rodzenia - dawania - dobrego życia, bowiem nie tylko powietrze, glebę, wodę i całe nasze pożywienie tu zatruliśmy, ale zatruliśmy też i siebie samych: nasze ciała są zatrute, nasze myśl, nasze emocje oraz wszystkie nasze działania! Jak bowiem można myśleć, przypuszczać, wierzyć, mieć nadzieję, ufać, czy

po prostu zdrowo żyć oddychając, jedząc, pijąc i przyswajając sobie, same chemiczno toksyczno radioaktywne karmy zwierzęco roślinne?! - Sala była wyraźnie pod wrażeniem bowiem zagłuszono Urszylla licznymi oklaskami i gwizdami. - DDTery, Chlorodany, Lindany, Dieladiany, Sterydyny, Aldiny i Endiny. - Urszyll uśmiechnął się rozbrajająco wyraźnie uszczęśliwiony tym aplauzem. - Parathiony, Metathiony, Amoniaki, Dwutlenki. - Popatrzył na zegarek. Nie przerwał, tylko rękami uciszając salę dał wszystkim do zrozumienia, że musi pędzić dalej. Czasu mieli rzeczywiście już niedużo. - Benzole, Benzeny, Benzyny, Mauveine, Sody, Amilicyny, Wapnie, Siarczki, Superfosfaty, Insektycydy, Teery, Pestycydy, Smoły, Chlory, Wodory, Ołowie, Rtęci, Bronze, Aluminia, Toksykady, Dioksyny, Dwufenyle, Polichromy, Glutaminiany, Aspartamy, Fluory, Hydrolizatory, Neurotoksatyny, Alkalizatory, Jonizatory, Radaryzacje, Racydyzacje, Radappertyzacje, Kobalty, Radiatory, Aflatoksyny, Azotyny, Kwasy, Askorbiny, Behaaty, Rentgeny, Fenyle, Alaniny, Mentole, Urany, Nukleary i… Ufff! Ta lista, kochani, jest bez końca. Mam więc nadzieję, że teraz już rozumiecie?! Więc co?! Zgadzacie się ze mną?! - Gwizdy, oklaski i śmiechy były jednoznaczne. - A teraz: Pożywienie. I to do tego zatrute! Co wy na to? - Pytanie było jednak czysto retoryczne, bowiem Urszyll nie pozwolił nikomu na oddech. Ekrany wypełniły od razu wielorakie obrazy pradawnych jak i współczesnych form żywienia, aby po chwili ustąpić miejsca wszelkim spożywczym truciznom. Wszystko się wymieszało. - ...Najprostsza droga do zniewolenia ciała człowieka, a przez to i je go ducha, wiedzie poprzez taką zmianę sposobów i przyzwyczajeń jego odżywiania oraz samej technologii żywienia, aby ono - to pożywienie - miało tylko z pozoru pozytywny - budujący - regenerujący i wzmacniający wpływ na człowieka, lecz w swej najgłębszej istocie, aby go niszczyło i uzależniało. Tak też, od dzisiaj tak zorganizujemy produkcję żywności oraz tak pokierujemy świadomością ludzką, aby stało się to nie tylko możliwe, ale i ogólnie - wszędzie - dostępne i, aby wszyscy ludzie tego właśnie pragnęli. 4379. Punkt jedenasty. Paragraf drugi. - I tu Urszyll się zasępił.

- Nie wiem czy tak będzie dobrze, ale ustawimy go na lewo, na zewnątrz. - Powiedział z ociąganiem biorąc jednocześnie żółtą kulę i stawiając ją na zewnętrznej linii eneagramu. - I jak? Odpowiada to wam? - Słuchacze ociągali się również. Nikt nie kwapił się z odpowiedzią. - Kochani! - Dla Urszylla takie tempo było jednak wyraźnie zbyt powolne. - Czasu mamy niewiele, zrobić musimy dużo, więc chciałbym prosić was o gaz, ok?! - Salwa śmiechu zagłuszyła na mo-

ment wszystko, lecz Urszyll nie czekając już na ich akceptację, rozpoczął: - Potrzeba jedzenia jest najbardziej podstawowym instynktem wszystkich żywych istot. Aby żyć tu na Ziemi każdy z nas musi jeść, każdy więc potrzebuje energii zawartej w pożywieniu, i to do tego takiej, która przyniosłaby mu zdrowie, siłę, radość i chęć życia, a nie wyczerpanie, smutek, chorobę i śmierć. - Mówił z żywym zapałem. - Choć zagadnienie to wydaje się z pozoru dość prostym i błahym, zasady odnajdywania oraz działania dobrej energii w pożywieniu są właściwie w ogóle nieznane współczesnym ludziom. Już dość dawno temu bowiem zastąpiono zdrowy rozsądek ludzki, naszą intuicję i mądrość - zachłannością, chciwością i głupotą, a masową produkcją wszelkich trucizn - dobre, energetyczne właściwości natury. W końcu nie robiono tego nieświadomie: tak zakładał zaplanowany i przemyślany przez nielicznych, ale dobrze wyszkolonych specjalistów od ekonomii politycznej, najnowszy społeczny plan. Dlatego też od pewnego już czasu codziennie zatruwamy i zabijamy się z wielką radością i ochotą karmiąc nasze trzody amerykańskimi szambowinami, zboże siejąc wzbogacone holenderskimi mielonymi zwierzakami, a resztę upraw uszlachetniając tak wielką ilością chemikaliów, że nawet ci z nas, pozbawieni już zupełnie smaku i powonienia, mogą je spokojnie w naszej codziennej strawie poczuć, wyczuć lub posmakować. I tak, codziennie zatruwamy się pijąc zatrutą pestycydami, bromem, ołowiem, chlorem i kwasem wodę kranową, zęby szorując uzdatnioną fluorem i tak zwaną chemią spożywczą pastą do zębów, jedząc uzdatnione bioksydami, biogenami, biosojami, emulgatorami, glutaminianami, asparaginą, fenyloalaniną, mentolem, mączką sojowo-kobaltową, środkami konserwującymi oraz całą syntetyczną chemią spożywczą produkty żywnościowe, oddychając uzdatnionym ołowiem, dwutlenkiem siarki i węgla, oraz wszelkimi bioksydami powietrzem, poddając nasze dzieci uzdatnionymi zakazami, karami, głupotą, niewiedzą i nienawiścią systemom edukacyjnym, szczepiąc je uzdatnionymi adjuwantami szczepionkami, mieszkając w wymarzony wprost sposób uzdatnionych betonem, ołowiem, azbestem i energosmogiem mieszkaniach i hotelach, dzwoniąc i rozmawiając przez wymarzone i w wymarzony sposób uzdatnione falą mikrofalową telefony komórkowe, gotując w wymarzony sposób uzdatniane promieniowaniem mikrofalowym kuchnie domowe, malując nasze ściany, obrazy i podłogi uzdatnionymi ołowiem, kwasami i wszelką trującą nas chemią farbami, oraz, co najgorsze ze wszystkiego, i to dla nas wszystkich globalnie, przyjmując i produkując uzdatnione naszym strachem o przeżycie poglądy,

które ciągle mylimy z faktami… A te wszystkie wymarzone przez nas i upragnione wręcz uzdatnienia, którymi prawie wszyscy bez najmniejszej przerwy codziennie bombardowani jesteśmy, lub sami się nimi bombardujemy, powodują naszą jednostkową, powolną, lecz nie upragnioną przez nas degradację, nieodwołalną i przedwczesną śmierć w uzdatnionych ostatnią szpitalną posługą męczarniach. - Chyba lekko przesadziłeś, Urszyllu! - Krzyknął ktoś z sali, a reszta słuchaczy się roześmiała. - Urszyll popatrzył pobłażliwie, z lekkim jednak rozdrażnieniem. - Co do przesady, poczekajcie jeszcze chwilkę, aż skończę. Potem sobie pogadamy. Na razie notujcie swoje zastrzeżenia albo pamiętajcie o nich. Jak skończę, podyskutujemy sobie, ile dusza zapragnie. Zgadzacie się na to? - I widząc wyraźnie ich aprobatę powrócił do tematu: - Skutki takiego życia znane są najczęściej tylko tym, którzy musieli już odejść, albo tym, którzy właśnie w męczarniach odchodzą. Większości z was bowiem wydaje się ciągle, że takie życie jakie właśnie prowadzicie, nie ma żadnych negatywnych skutków, a jeżeli nawet, to na pewno nie dla was. Przypomnę je wam więc tym chętniej: bezsenność, uczucia wibracji, halucynacje, pieczenie oczu, bóle głowy, nudności, kłopoty z układem trawiennym, odpornościowym i nerwowym, wrażliwość, nadpobudliwość, depresje, psychozy, fobie, rożnego rodzaju ataki, zaburzenia pamięci, świadomości, koncentracji, uwagi i nastrojów, zmęczenie, częste i niezwykłe koszmary, paraliże, osłabienie mięśni, wstręty, zmiany odbioru rzeczywistości (smaku, widzenia, myślenia i czucia), powracające choroby, bolesne węzły chłonne i organy wewnętrzne, alergie, wypryski, wypadanie włosów, impotencja, częste zapalenia, niedokrwienie lub przekrwienie, zadyszka, brak siły i ochoty, niemożność i niemożliwość jakiegokolwiek działania, rak, białaczka, padaczka, ataki serca, uszkodzenia wewnętrzne, rak kości, miażdżyca, opętanie, sizofrenia i inne choroby psychiczne, zaburzenia emocjonalne i hormonalne, oraz inne niesklasyfikowane dotychczas i dotychczas nienazwane choroby współczesności łącznie z zawładnięciem, ubezwłasnowolnieniem i całkowitą śmiercią naszego umysłu, naszej świadomości i w końcu i naszego ciała. A przecież już od wielu tysięcy lat istnieją systemy i sposoby odżywiania, pozwalające nie tylko na zachowanie zdrowia, radości i ochoty do życia, ale pozwalające nawet na ciągłe podnoszenie jego jakości na wszystkich jego płaszczyznach i we wszystkich jego wymiarach jednocześnie, nie tylko w wymiarze posiadania, jak to ma miejsce obecnie. Istnieje wiele takich systemów i wiele takich sposobów, istnieje też wiele dróg prowadzących do celu. Jedną z najstarszych i bardzo dobrze

znanych jest chińska dro- ga równowagi i harmonii - *Ing* i *Jang,* której główną tezą, lub nawet kwintesencją jest stwierdzenie, że to właśnie istota naszego pożywienia decyduje w naszym życiu o wszystkim, i że my, ludzie uważający się za mądrych i wykształconych, żyjąc poza harmonią, i poza równowagą, sami sobie samym kopiemy grób. Wielki. Ogromny. Wszystkich nas pochłaniający… I jak? Podoba się to wam? Zgadzacie się z tym?

Po krótkiej przerwie wypełnionej harmiderem wśród słuchaczy, Urszyll powiedział dobitnie: - Nie ze wszystkimi chińskimi tezami się zgadzam, uważam bowiem, że wiele w nich niedociągnięć dotyczących wielowymiarowego charakteru Głębi, jak i Harmonii w przeciwieństwach, której w żaden spsosób zrealizować się nie da, i to, mam nadzieję, jest jasne. Jedno jest dla mnie jednak oczywiste: my ludzie współcześni kopiemy sobie rzeczywiście nasz grób osobiście, i to do tego z wielkim zapałem i poświęceniem, mając do tego pełne błogosławieństwo naszej nauki, naszego kościoła i państwa. Uważam więc, że wszyscy musimy, lub\oraz, że powinniśmy poszukiwać rozwiązań poza obecną nauką. Poza obecną religią oraz obecną polityką. A, i modą! Musicie dać więc sobie samym przyzwolenie, a, i szansę, na osobiste dotarcie oraz zrozumienie wszystkiego tego, co dotyczy prawd życia godziwego: zdrowego, dobrego i z sensem, którym nie muszą być tylko i wyłącznie strzelanki komputerowe, strzelanki telewizyjne, hamburgery, frytki i pieniądze, ponieważ, gdy tego nie zrobicie, życie wasze pozostanie na zawsze bez sensu! Zacznijcie więc od zaraz, kochani, a najlepiej od natychmiast. I to od rzeczy najprostszych, a więc od odżywiania. Pamiętajcie: Niezależnie od tego, kto był ojcem agresji, głupoty i choroby - zła dieta była na pewno ich matką (przysłowie chińskie). Bądźcie więc ostrożni wobec wszystkiego tego co pozornie zdrowe - dla was może okazać się to bardzo szkodliwe. Więc jak? Dobrze go postawiłem?

- Tym razem nie było już żadnych sprzeciwów. Sala będąc pod silnym wrażeniem słów Urszylla, z zadowoleniem zaakceptowała tak ujęty temat. - A teraz: Zdrowie. - Powiedział po króciutkiej pauzie Urszyll. - I to do tego schorowane, jak się pewnie już domyślacie. - Na ekranach pojawiły się obrazy wszelkiego rodzaju chorób, dolegliwości, proszków, tabletek, zanieczyszczeń, trucizn, szkodliwych częstotliwości, ale i ludzkiego zdrowia, zadowolenia i radości: roześmiani, radośni ludzie bawili się wspólnie we wszystkie znane ludziom zabawy i gry, tańczyli, spacerowali… - Postawię go obok pożywienia, na ze-

wnątrz, po lewej. Myślicie, że tak będzie dobrze? - Ktoś wstał i postawił żółty paralelogram tam, gdzie zaproponował jego ustawienie Urszyll. Urszyll uśmiechnął się i ze zrozumieniem pokiwał głową. - …Najprostsza droga do zniewolenia człowieka, a, i jego ducha, wiedzie poprzez takie zawładnięcie jego zdrowiem, aby straciwszy go raz na zawsze, stracił możliwość rozeznania między jednym a drugim, a przez to, aby ciągle musiał je leczyć specyfikami, które sami do leczenia mu podamy. 28737. Punkt trzynasty. Paragraf siedemnasty. To trudny temat, kochani. Nawet dla mnie. - Wtrącił Urszyll. - Nie przeszkadzajcie mi więc tymi cukierkami, ok.?! Jeszcze godzinka i skończymy, a wtenczas sam chętnie się nimi opcham!... A może… Może jednak teraz spróbuję czegoś dobrego?! Co tam macie? Pokażcie! - Słuchacze odetchnęli z wyraźną ulgą, Urszyll wsadził sobie do ust parę czekoladowych cukierków i z wyraźnym zadowoleniem zaczął je intensywnie ssać siadając jednocześnie na krześle. - Nie krępujcie się. - Powiedział dość niewyraźnie przez te czekoladki. Parę sekund przerwy dobrze zrobi nam wszystkim.

- Pomimo, iż mogłoby się wydawać to najprostszą sprawą pod słońcem - rozpoczął po paru minutach gdy wszyscy skończyli już opychanie się i gadanie - problem zdrowia w obecnych warunkach nie jest niestety sprawą ani prostą, ani oczywistą, bowiem nikt z nas współcześnie nie wie właściwie dokładnie co to jest zdrowie oraz jak go zachować! Pomimo miliarda miliardów dolarów wydawanych rocznie na służbę zdrowia - czyli na nasze zdrowie - coraz większa liczba ludzi na świecie globalnie jest chora, jest coraz bardziej chora, oraz coraz bardziej uzależniona nie tylko od lekarzy, ale przede wszystkim od wszelkiego rodzaju środków farmaceutycznych. Istnieje tak wiele szkół, tak wiele dróg, i tak wiele koncepcji filozofii zdrowia, tak wiele książek, tak wiele filmów, prelekcji, wykładów, poleceń, zaleceń, nakazów, zakazów i wskazówek, że nikt z nas na dobrą sprawę nie może się w tym wszystkim poprawnie rozeznać i zdrowo żyć - nie wie już czym jest zdrowe zdrowie. Obecnie nie wystarczy nam już po prostu się tutaj na naszej Ziemi urodzić i normalnie tu istniejąc żyć, gdyż, do normalnego istnienia potrzebujemy obecnie zamiast naszego osobistego zdrowego instynktu, rozsądku oraz morale, specjalnie wyszkolonych obcych specjalistów, których zadaniem jest powiedzenie nam nie tylko tego, co mamy jeść, ale i tego, co mamy myśleć, co mamy robić i w co mamy wierzyć, czyli tego, jak mamy żyć, abyśmy mogli być tu szczęśliwi i zdrowi zarazem. I oni nam to mówią! I tak, do zdrowego życia według nich, nie potrzebujemy już

obecnie żadnego zdrowego powietrza jak i zdrowego pożywienia, żadnego zdrowego wychowania jak i zdrowej nauki, żadnego zdrowego środowiska, biotopu, przyrody, żadnej zdrowej religii, filozofii, etyki czy polityki, żadnych zdrowych myśli w naszych głowach, zdrowych emocji w naszych sercach i brzuchach, jak i czynów, lecz raczej ogromnej masy kasy oraz masy specjalnych radioaktywno-chemicznych specyfików pozwalających nam na błogie zapomnienie o wszystkim, a o prawdziwym, zaangażowanym życiu w dobrej wspólnocie niosącej nam zdrowie i szczęśliwość, w szczególności. Codziennie wszyscy głowimy się więc nad tym jak by tu zdrowo przeżyć, nic jednak z tego dobrego nam nie wychodzi. Co nam więc pozostaje? Pycha naszego oszalałego, wszystko ogarniającego intelektu: tabletki, globulki i proszki. Kapsułki, pastylki i pigułki! Zwróćcie uwagę, że mówię to z sarkazmem, więc żeby nie przyszedł wam do głowy ten pomysł, aby potraktować to wszystko i to bio w sposób poważny, ok.? Chemiczne trucizny biowitaminowe, bioenzymowe, biohormonalne czy bioelementowe, wzbogacone oczywiście mieszankami wzmacniająco-osłabiającymi, dodająco-ujmującymi, zagęszczająco-rozpuszczającymi, odchudzająco-pogrubiającymi, wydłużająco-skracającymi, i najgorszą z nich, lecząco-zabijającą, na każdą okazję i na każdą kieszeń, że można by było ułożyć z nich odcinek równy dziesięciokrotnej odległości Ziemi od Słońca, a dochody firm farmaceutycznych przekraczają wprost bajońskie sumy! Nie wliczając w to oczywiście banków, bowiem dochody banków są ciągle niedoścignione. Codziennie wszyscy wchłaniamy, pochłaniamy, spożywamy i łykamy tak wielką ilość wszelkiego rodzaju trucizn chemicznych, że aż dziw, że jeszcze tu żyjemy! Zatruliśmy już sobie nasze myśli, codziennie zatruwamy uczucia, marzenia, ochoty i czyny. Z jednej strony nasze upiorne przekonanie, że my przecież niczego złego nie robimy, że żyjemy najzdrowiej jak to jest tylko możliwe, z drugiej zaś, nasz krzywy nos, zły kolor oczu, za duże uszy, za duży lub za mały brzuch, fałdy na skórze, wysypka, szczypanie, zaczerwienienie, przeziębienie, zadrapanie lub ból głowy, nerwica, wrzody, rak, HIW, Alzheimer i …ciągły brak pieniędzy no, i czasu, a wszystko to razem doprowadza nas do diabolicznie wręcz ogłupiałych wniosków. Codziennie wysiadujemy więc po dziesięć, dwanaście, szesnaście godzin w naszych wspaniałych urzędach, biurach, zakładach i fabrykach, sześć do ośmiu godzin przed telewizorami, a potem biegamy od lekarza do lekarza, od kręgarza do kręgarza, od uzdrawiacza do uzdrawiacza, dzwonimy, piszemy, prosimy i błagamy, śmiejemy się lub płaczemy, nic dziwnego więc, że na zdrowe życie, czasu już nam nie

starcza. Na zdrowe myślenie również. Nie macie pojęcia jaka to szkoda! - I tu Urszyll usiadł. - I jak? Zgadzacie się? - Wziął do ręki szklankę i duszkiem wypił całą jej zawartość. Otarł pot z czoła. - Chętnie zrobiłbym znowu przerwę. - Powiedział. Spojrzał na zegarek i przecząco pokiwał głową. - Niestety, kochani. Niestety! Czas pędzi jak oszalały, a my mamy jeszcze tyle do zrobienia. Więc co?! - Zapytał, a po chwili: - No dobrze. - Powiedział wstając ponownie. - Dom, i to do tego betonowy - Ustawię go zaraz obok zdrowia i pożywienia po lewej, na zewnątrz. - Czyż tak nie jest dobrze? - Urszyll popatrzył uważnie po słuchaczach. - Widzę, że dzielnie notujecie. Dyskusja będzie gorąca. To dobrze. Lubię gorące dyskusje… A teraz słuchajcie: ...Najprostsza droga do zniewolenia człowieka, a i jego ducha, wiedzie poprzez takie pokierowanie jego marzeniami, aby myślał i aby wierzył, że kiedyś rzeczywiście się one spełnią, lecz tylko wtedy jednak, kiedy wcześniej wypełni on polecenia oraz zadania, które od nas do wykonania otrzyma. 187379. Punkt czternasty, o ile się nie mylę. - I Urszyll zajrzał do notatek. - Paragraf trzeci.

- eM1 - to nie tajemnicza strefa w amerykańskiej Nevadzie, lecz nasza rodzima, i to do tego nam wszystkim wspólnie najbliższa, określająca bowiem urzędowo - wyobrażacie to sobie? - ilość przestrzeni potrzebnej każdemu człowiekowi do życia, a, i koniecznej, najoptymalniejszej bowiem z punktu widzenia naszego tu na Ziemi rozwoju oraz życia w wiecznej szczęśliwości, wiecznym dobrobycie i zdrowiu - jak to określili najznakomiciej wykształceni humanistycznie eksperci naszej rządowej elity intelektualnej. I tak eM1, choć często, lub nawet najczęściej, istniały lub\oraz istnieją nadal i lepsze, i gorsze, to średnio 12m² razy 1,8m w górę - całe 11m³ - ilość wymarzona, wyśniona, wyczekana, często też wypłakana, wydrapana, podkradziona, wyłudzona, załatwiona, lub po prostu przydzielona większości naszych polskich, i jakże posłusznych naszym oprawcom - naszej władzy - rodzin. 11m³ - nisza lub ślepa wnęka kuchenna, otwór klozetowy, wanno prysznic oraz miejsce na plastikowe lub wiórowe łóżko, stolik i krzesło, małą, koniecznie z połyskiem, meblościankę i jeszcze mniejsze okieneczko w betonowo azbestowej ścianie. Sufit tuż nad głową, żebyśmy się zbytnio nie rozdokazywali, na podłodze lastriko, linoleum lub po prostu szlichta. Dla tych lepszych i zamożniejszych oczywiście, drewnopodobna wykładzina wiórowa, a na ścianach plastikowe tapety we wzorek. Cud miód i ultramaryna - mówię wam! Najwspanialsze miejsce do życia, a, i do umierania, oczywiście. Dla rodzin wielodzietnych i wielopokoleniowych M2,

M3, M4, M5 lub M6. O M7 nie słyszałem, tak też cztery osoby żyjące tu na 35m² są wybrańcami losu podobnymi Ewie i Adamowi w ogrodzie Eden. I tak też się najczęściej i czują. Najczęściej gotowi są też do wszelkich wyrzeczeń i wszelkich działań, aby podobną betonową klatę otrzymać i ją przy sobie utrzymać. I gdy ustawimy betony te jeden na drugim i obok, otrzymamy znane nam wszystkim z autopsji życia rodzime blokowisko, i gdy cuchnąć będzie ono jeszcze przefermentowaną szczyną oraz przedwczorajszą rzygowiną, to możemy być prawie pewni, że jesteśmy u siebie, w naszym wymarzonym i wyśnionym, europejskim raju - domu, najwspanialszemu osiągnięciu współczesnej urbanistyki humanistycznej. A gdy zbierzemy te nasze eeMy, pogrupujemy w bloki po cztery, osiem, dwanaście, a nawet i trzydzieści parę pięter i wiele, wiele klatek, jedna obok drugiej i nad, tuż-tuż, otrzymamy nasze wspaniałe miasta, wynik planowej i radosnej polityki proludzkiej oraz cudownej wręcz gospodarki mieszkaniowej. I gdy komuś z nas zachce się pierdnąć w klatce pierwszej naszego parteru, to słychać go i czuć będzie wszędzie, nawet na 36tym piętrze klatki 25tej, tak bowiem wspaniale je zaprojektowano i zbudowano, zgodnie oczywiście z wszelkimi ludzkimi normami oraz uwzględniając wszelkie ludzkie oczekiwania i potrzeby w tym względzie. Monsieur La Corbusier, a właściwie Charls Edo Jeanner, Francuz z urodzenia, hrabia, doktor PH, student, a potem oczywiście i absolwent Sorbony, jednego z najznakomitszych uniwersytetów europejskich o wiekowej tradycji i sławie, architekt, urbanista, malarz i rzeźbiarz, jeden z najwybitniejszych twórców i teoretyków architektury nowoczesnej, współtwórca i teoretyk puryzmu, przedstawiciel funkcjonalizmu i konstruktywizmu, twórca pierwszego bloku betonowego, laureat nagrody Nobla i wielu, wielu innych państwowych, a, i prywatnych wyróżnień, nagród i odznaczeń, mieszkaniec pałacu nad Loarą, jako pierwszy wymyśla i określa te wszystkie wielkości i normy ślęcząc nocami całymi i dniami nad liczydłami, i to za nie właśnie otrzymuje te wszystkie swoje nagrody, ordery i wyróżnienia, rozsławiając tym samym swoje imię oraz całą tę wspaniałą francuską krainę po całym naszym schorowanym świecie, bowiem uznana ona zostaje natychmiast za kolebkę współczesnego ludzkiego geniuszu w rozwiązywaniu najbardziej palących potrzeb rzeczywistości ludzkiej: wreszcie nareszcie wiadomo co zrobić z nadwyżką wysokotoksycznych odpadów hutniczych i ciepłowniczych w postaci szlaki piecowej czy azbestu, oraz, ze zużytym olejem silnikowym, a jednocześnie rozwiązuje się palący problem mieszkaniowy świata, sprzedając technologie te jako najwspanialsze osią-

gnięcie urbanistyczne, oraz budując podobne blokowiska w całej Europie, a nawet Azji i Afryce, gdzie przysporzą one ich mieszkańcom poza klaustrofobią, rakiem i psychozą, niezmiernych katuszy temperaturowych, ponieważ zbudowane z samych chemicznych odpadów i betonu, w dzień nie będą dawać chłodu nagrzewając się do temperatur przekraczających temperatury otoczenia, a więc do ponad +50ºC, a w nocy, błyskawicznie będą się schładzać do temperatur poniżej zera. Ale i na to, jakże czuła na naszą ludzką niedolę, nasza cudowna cywilizacja europejska, znajdzie szybciutko wspaniałą radę: dla tych lepszych i bogatszych oczywiście, wyposaży im ich blokowe betonowe legowiska w lodówki i piekarniki bez drzwiczek, aby mogli dowoli, na zmianę, to raz się schładzać, to znów podgrzewać! I to nie jest już cud miód, kochani moi, to jest, a, i będzie w naszej wspaniałej przyszłości, nasza sama czysta ultramaryna - mówię wam! A dla tych, którzy nie chwycili mojego wyjątkowo szyderczego tonu oraz nadal nie wiedzą o co w tym wszystkim tak naprawdę mi chodzi, zacytuję wyniki badań przeprowadzonych niezależnie w roku 1998 przez badaczy amerykańskich, kanadyjskich, japońskich i australijskich, zebranych przez profesora dr Juliusa Jonesa z Kanady, co do skutków sztucznego przegęszczenia - zagęszczenia oraz stłoczenia - żyjącej populacji ludzkiej. I tak, gdy ludzie mają mniej niż 35m² oraz 2,5m nad sobą do swojej wyłącznej osobistej dyspozycji, występują u nich, w różnym nasileniu oczywiście, następujące objawy chorobotwórcze: wszelkiego rodzaju nerwozy, fobie, zaburzenia emocjonalne i psychiczne, nadpobudliwość, częste ataki, psychozy, zaburzenia psychologiczne jak i społeczne, prowadzące do bardzo głębokich patologii: zaniku instynktów macierzyńskich i rodzinnych, jak przykładowo, porzucanie dzieci i rodzin, wzmożenie nieuzasadnionej agresji, wzajemnego, świadomego i celowego dokuczania oraz znęcania się, zachowań irracjonalnych, dewiacji seksualnych, rozbojów i mordów, ludożerstwa, nieumiejętności nauki, zaniku potrzeb moralnych, nieumiejętności rozpoznawania wewnątrzgatunkowego, oraz więzi międzyludzkich…. Czyżbyście w opisie tym rozpoznali już i siebie, a może i wasze dzieci, albo bliskich wam ludzi? Jeżeli nie, to przyjrzyjcie się sobie lepiej i dokładniej - osobiście nie znam nikogo, kto nie cierpiałby na jedną lub więcej z wymienionych przeze mnie dewiacji socjo psychologicznych, mnie samego z tego nie wykluczając. Czy teraz już rozumiecie?! - I znowu sala była pod wrażeniem. - A teraz - tempo Urszylla było zawrotne - kultura i sztuka, a potem zaraz, i sport. - Na ekranach słuchacze zobaczyli wszelkie możliwe akty twórczego życia oraz twórczego, oso-

bistego sportowania się. - Ustawię te dwie kule na dole, na zewnątrz, odwrócone tyłem do siebie, podobnie do pozostałych. Zgadzacie się? - I tu Urszyll wyciągnął ręce do góry, zrobił parę skłonów, zakręcił młynka. - Wybaczcie. - Powiedział przepraszająco. - Ale zdrętwiałem już cały. Na szczęście powolutku zbliżamy się już ku końcowi. - I się uśmiechnął. Słuchacze też się uśmiechnęli. - Wracając jednak do naszego tematu, to, uważajcie: …Najprostsza droga do zniewolenia człowieka, a, i jego ducha, wiedzie poprzez taką zmianę jego przyzwyczajeń, jego poglądów, oraz sposobów jego percepcji estetycznej, aby studiując codziennie codzienną prasę myślał, że to on właśnie tworzy to, co do biernej konsumpcji od nas codziennie otrzyma. 87379. Punkt osiemnasty. Paragraf dwudziesty pierwszy.

- Kochani, kultura to nie bierna konsumpcja, to nie muzea, galerie, albumy, gazety czy książki, to nie teatry, kina, telewizja czy koncerty, to nie codzienne, biernie zachłanne zaliczanie wszystkiego, lecz osobiste, praktyczne, twórcze przeżywanie życia, tworzenie go na wszystkich płaszczyznach i we wszystkich wymiarach jednocześnie, zarówno w ogólności jak i w najdrobniejszych szczegółach, to rozwijanie go, podtrzymywanie i chronienie. Kultura to nie przeszkoda w osiąganiu ciągle umykających celów, lecz twórcza przyczyna wszystkiego. To nie kasa, nie bylejakość, nie pośpiech i nie ucieczka od osobistej teraźniejszości, to nie chęć bycia lepszym czy innym za wszelką cenę, nie brak odpowiedzialności za siebie i za innych, to nie wyimaginowane szczęście w jakiejś tam iluzyjnej przyszłości, lecz najgłębsze z możliwych wasze osobiste zaangażowanie w każde działanie zanurzone w każdej twórczej teraźniejszości. Kultura to Sztuka, to Radość. To Zdrowie. To Życie. I każdy z was może ją właśnie taką przeżywać i tworzyć, każdy z was bowiem jest już tym sztuki mistrzem. I to od urodzenia. Od urodzenia bowiem każdy z was może. I każdy z was od urodzenia potrafi. Nie każdy z was jednak to wie i tego właśnie chce. Może więc zamiast ciągle namiętnie się przepychać i poszturchiwać w pogoni za iluzyjną konsumpcyjną lichwą, blichtrem radioaktywnych, złoto srebrnych papierków, zechcecie spróbować sami?! Nie macie pojęcia jakby było nam wszystkim miło! A teraz szybciutko - sport. ...Najprostsza droga do zniewolenia ciała człowieka, a przez to i jego ducha, wiedzie poprzez taką zmianę jego poglądów, sposobów jego percepcji wizualnej a i przyzwyczajeń, aby siedząc dniami całymi przed telewizorem myślał, że to on sam tworzy to, no i uczestniczy we wszystkim tym, co do biernego oglądania od nas codziennie otrzyma. 14379. Punkt dziewię-

tnasty. Paragraf czwarty. Podobnie jest też ze sportem, bowiem sport to nie bierne uczestniczenie w zorganizowanych multimedialnych mityn- gach, to nie bierne wysiadywanie stadionów lub\oraz\i telewizyjnych foteli, czy przeglądanie sportowych czasopism. Sport to również nie chęć bycia lepszym za wszelką cenę. Sport to nie kasa, nieidiotycznie bezduszne wyżyłowanie ciała, zniewolenie go, czy upodlenie. Sport to także nie naszprycowane koksowanie ciała jakimiś cudownie wspaniałymi anabolicznymi sterydami celem hodowli własnej, olbrzymiej szynki, czy też zaciekłe trenowanie latami jednego tylko muskułu. Sport kochani, to osobiste, spontaniczne, twórcze, harmonijne, zaangażowane i radosne zmaganie się z własną strukturą ciała. To radość z bycia i istnienia, radość z ruchu, z oddychania, ze współudziału, z twórczego tworzenia siebie w każdej sekundzie naszego życia. Sport to radość. To zdrowie. To życie. I każdy z was może go właśnie takim uprawiać. I każdy z was to umie. Nie każdy z was jednak to wie i tego właśnie chce. Może więc zamiast tego ciągłego wysiadywania telewizyjnego fotela zechcecie się beztrosko poruszać?! Nie macie pojęcia jaką by to wam sprawiło radość! Uffff! - Odsapnął Urszyll. - To było naprawdę straszne. Żyjecie jeszcze? - Zapytał. - Żyjemy… Żyjemy… - Dały się słyszeć liczne głosy z sali. - To wspaniale, kochani. Naprawdę uroczo, bowiem, jak się pewnie domyślacie, zostało nam jeszcze tylko jedno ustawienie. - Homo. - Powiedział ktoś żywo z sali. - No, niezupełnie. - Urszyll popatrzył pytająco po słuchaczach. - Homo Sapiens. - Rzucił ktoś z góry. - Homo sapiens…? - Urszyll wykrzywił się. Podniósł ręce i położył je sobie na głowie. - …Też raczej nie za bardzo… - Homo Lágiebus! - Krzyknął ktoś z lewej. Z samego dołu. Urszyll odwrócił się. Zamarł wpatrzony intensywnie w słuchaczy. - Homo Lágiebus, mówicie? - No… no… - Niespodziewanie roześmiał się radośnie. - …Homo Lágiebus… - Powiedział ciągle się śmiejąc. - Brzmi wspaniale… Naprawdę. - I znowu wybuchnął śmiechem. Śmiał się długo, szczerze. - Homo Légibus. - Urszyll odwrócił się powoli poważniejąc. - Właśnie! - Powiedział z naciskiem kiwając przy tym znacząco palcem wyciągniętej ręki. - Homo Légibus! - Powtórzył powoli z jeszcze większym naciskiem. - CZŁOWIEK WSPANIAŁY! - Dodał z namaszczeniem. - Cudowny! - Powiedział poważnie. - I co na to powiecie? - Zapytał. - …Najprostsza droga do zniewolenia każdego człowieka wiedzie poprzez zawładnięcie jego świadomością, dlatego też już od dawna tak preparujemy wszystkie informacje (dane programowe) podawane ludziom, lub\oraz im dostępne, aby nikt z nich nie mógł ich zrozumieć wprost, aby nikt z nich nie mógł się w nich nijak rozeznać, ani

nijak połapać, oraz, aby nikt z nich nie mógł ich w żaden znany im sposób zweryfikować praktycznie. 4537. Am. Ro. Statut Wykonawczy Dziewiątki. Punkt dwudziesty drugi. Paragraf ten sam. - Powiedziała najbliżej Urszylla siedząca, dość ładna, młodziutka dziewczyna. - Nooo! Nieźle! - Urszyll pokiwał z niedowierzaniem swoją rozczochraną głową. - Całkiem nieźle. - Dziewczyna uśmiechnęła się rozbrajająco. - Jest może ktoś jeszcze? - Zapytał Urszyll. - Homo Légibus!!! - Wrzasnęła cała sala. - Homo Légibus! Krzyknął Urszyll. - Cudownie, kochani. Wspaniale. - Homo légibusa będziecie musieli ustawić sobie jednak sami, na końcu, jak skończę, bowiem jest to ustawienie najważniejsze. W końcu dotyczy ono nas wszystkich. Słuchajcie więc teraz uważnie: Człowiek wspaniały. Pięć palców, pięć zmysłów, cztery kończyny i dwoje oczu. Otwór rozrodczy, wydalający i wchłaniający. Jeden mózg. I jedna nazwa: homo bipedus, sapiens sapiens, longues légibus - człowiek rozumny i wspaniały. Jako człowiek rozumny przyjmuję więc z radością i dumą za prawdziwe to, że ja, że my, że ludzie rozumni są rzeczywiście ukoronowaniem wszelkiego ukoronowania, a przez to, że rzeczywiście wypełnia nas wiedza i mądrość, dobroć, miłość i odwaga, że kierujemy się we wszystkich naszych życiowych poczynaniach oraz wszystkich naszych życiowych przedsięwzięciach rzeczywiście wyższymi ideałami, które oczywiście wszyscy bez wyjątku nie tylko tu posiadamy, ale, i je bezwarunkowo akceptujemy, czyli, że urzeczywistniamy tu na Ziemi idee wspólnoty, poszanowania życia i współpracy, że odwaga, honor, radość i nasze wspólne szczęście są rzeczywiście dla nas wszystkich tu najważniejsze i najcenniejsze. Ale co w takim razie mam zrobić ze wszystkimi tymi innymi ludźmi, tymi, którzy z taką lubością i zawziętością, z takim oddaniem i pasją nienawidzą siebie nawzajem, z tymi, którzy zazdroszczą innym wszystkiego, którzy są zawistni i rozpustni, hołdujący głupocie, prywacie, wyzyskowi, niewolnictwu, torturom, i zadawaniu śmierci?! Co zrobić ze wszystkimi tymi, którzy pozbawiają innych wszystkiego zabierając im ich jedzenie, picie i ubranie, burząc im wszystkie ich domy, szkoły i szpitale, mordując im ich żony, matki i dzieci, budując dla nich bomby atomowe, więzienia i obozy koncentracyjne? A co z tymi wszystkimi, którzy to wszystko obmyślają, planują i jeszcze tym zarządzają? I czyż oni wszyscy są aby na pewno również ludźmi rozumnymi?

- Większość oficjalnej, ortodoksyjnej nauki, noblistów, profesorów i doktorów reprezentowanych przez chociażby takiego współczesnego geniusza intelektu jak prof. dr Richarda Dawkinsa, angielskie-

go biologa molekularnego, ewolucjonistę, autora kolejnej bestsellerowej książki, jaka wydana została również w naszym kraju, wyjaśnia twierdząc jak jeden mąż, iż jedynym celem, jaki przyświeca tu na naszej Ziemi wszystkim żywym organizmom łącznie z człowiekiem rozumnym, jest tylko i wyłącznie ich własna, egoistyczna pomyślność, a świat, w którym wszyscy żyjemy, jest bezrozumną kompilacją samolubnie ukierunkowanego egoizmu, takim wielkim, naturalnym polem walki na śmierć i życie wszystkiego ze wszystkim, gdzie tylko dwie kategorie istot mogą (współ) istnieć: *zwycięzcy i pokonani*? Człowiek rozumny - według ich twierdzeń - to taka prosta, egoistyczna maszyna przetrwania. Taka *Survival machines.* Zbiór przypadkowych genów tworzących przypadkowe ciało przypadkowej istoty na przypadkowej planecie przypadkowej galaktyki w przypadkowym wszechświecie. Konieczność pierwotnego zegarmistrza zastąpiona mechaniką genową, a czas odwróconą przyczyną, w której nikt, nic, i nigdzie, nie potrzebuje już żadnej intencji twórczej. Dzięki jakiemuś tajemniczemu związkowi przyczynowemu, to właśnie gen, i to działający w odwrotnym od normalnego kierunku, spowodował narodziny wszystkiego. Ot, tak po prostu, przez przypadkowe, bezrozumne połączenie wielu miliardów komórek nieposiadających ani celu, ani kierunku, za którym nie stały też żadne świadome siły, żaden nadrzędny cel, czy jakikolwiek wytyczony kierunek, przeróżne komórki przeróżnych organizmów pływających w tzw. bulionie pierwotnym, nagle, bez jakiegokolwiek widocznego impulsu, zaczęły łączyć się w większy organizm, a, że były to organizmy pasożytnicze, czyli takie, jakie normalnie, na co dzień się nawzajem zjadają, postanowiły tym razem nie zjadać się, ale utworzyć kolonię symbiotyczną. I tak powstali zwycięzcy i pokonani, bliscy kuzyni małpy, z tym, że zupełnie łysi. Naznaczeni do tego jeszcze niepojętym, lecz uzasadnionym logicznie grzechem pierworodnym. Wśród bliskich sobie nieposiadający zatem żadnej wartości, w przeciwieństwie do przedmiotów przez nich samych posiadanych, łącznie z pieniędzmi, które uważają za dobro najwyższe, i za najwyższą wartość. Za pieniądze gotowi zatem do wszystkiego: do zabijania nie tylko innych, ale i siebie samych. I to w wielu bardzo wymyślnych i bardzo krwawych jatkach! Do tego jeszcze, jakby tej oficjalnej potworności było zbyt mało, badacze niezależni, ci, którzy najczęściej przeczą twierdzeniom oficjalnej ortodoksji napełniając nam nasze serca nadzieją, tym razem dolewają jedynie oliwy do ognia. Twierdzą mianowicie, że w przypadku tym dziwnym musimy do potworności przed urodzeniowej człowieka dodać jeszcze trochę potworności po uro-

dzeniowych. Przykładowo Jan Piaget (1896 - 1980), genialny filozof i psycholog szwajcarski, jeden z najznakomitszych niezależnych myślicieli XX wieku o wyjątkowo głębokim i dociekliwym wglądzie w istotę rzeczy, twierdzi, że człowiek rodząc się tu na Ziemi wnosi w ten nasz międzyludzki świat wieloraki potencjał możliwości i oczekiwań, który ulega jednak późniejszej praktycznej modyfikacji społecznej. Można go więc ukształtować tak, działając na niego świadomie i celowo, jak tego sobie zażyczy jego świadomy nauczyciel: można wpoić i nauczyć go zachowań dobrych, albo złych i negatywnych, niszczących nie tylko dobry ludzki potencjał, ale i każdy inny dobry potencjał we wszystkim. Jak twierdzi z kolei Ken Willber, międzynarodowa sława z zakresu problematyki kształcenia świadomości, życie poddane złemu wychowaniu i złej pedagogice popada w nieodwracalne, zwyrodniałe patologie! I co wierzycie im!?

- A gdy sala wahała się ciągle po której stronie się opowiedzieć, Urszyll wykrzyknął: - Niestety trudno im nie uwierzyć! I jedni i drudzy mają chyba rację, gdy przyglądam się bowiem człowiekowi oraz innym istotom ziemskim, a robię to już od ponad 50-ciu lat, przykładowo chociażby takim pospolitym rudym mrówkom leśnym z rodziny Formica Polyctena i ich biochemicznym wyczynom feromonowym, lub innym potwornym wyczynom małych lub wielkich zwierzaków, to aż mnie w dołku ściska z powodu obezwładniającej niepojętości oraz mrocznego przerażenia. I nie jestem już ani taki dumny, i ani taki szczęśliwy! Szczególnie jednak wtenczas, gdy przyglądam się człowiekowi, bowiem w przeciwieństwie do tego całego świata zwierzęcego dość ograniczonego skądinąd w jego zbrodniczych zapędach, człowiek rozumny jest wyjątkowo perfidnym potworem, zna bowiem odpowiednio wiele przeróżnych i to bardzo finezyjnych rodzajów zbrodni, które od wieków też z wielkim uwielbieniem i powodzeniem wielkim stosuje na swoich siostrach i braciach. I to na wielu poziomach życia jednocześnie: i na poziomie fizycznym, i na poziomie psychicznym, emocjonalnym i duchowym również. A od niedawna, na pewno już i na innych? Bóg jeden wie, na jakich…? Ciągle je też rozwija i ciągle doskonali. Od takiego, prostego i niegroźnego z pozoru fizycznego znęcania się nad słabszymi jak bicie po pupie czy też grożenie paluchem, przez trochę brutalniejsze, takie jak wiercenie wiertłem dziury w ciele, jak zsyłka, zamykanie w więzieniu, katowanie, łamanie kołem, palenie na stosie, torturowanie, ukrzyżowanie, powieszenie, lub rozstrzelanie, przez bardziej skomplikowane, takie jak wszczepianie biochipów czy też in-

nych implantów, podawanie całej populacji szczepionek zarażonych wirusami śmierci, masowe rozsiewanie zarazków grypy czy też gruźlicy oraz wszelkich substancji toksycznych, karmienie trzody chlewnej jej własnymi, zmielonymi odpadami, czy sprzedawanie ludziom substancji chorobotwórczych, w tym i rakotwórczych, jako produktów spożywczych lub leczniczych przez zbrodnie psychologiczne - ot chociażby takie malutkie i niewinne Nakłonienia, lub też dużo groźniejsze, brutalne psychiczne znęcanie się nad innymi, przez błahe chociażby zakazy, fałszowanie danych naukowych, edukacyjnych czy politycznych, małe lub duże propagandy, reklamę i promocję, do wiele brutalniejszych, takich jak pranie mózgu, mind morfing, czy narzucone całym narodom całe systemy edukacyjne, filozoficzne czy też ekonomiczne, aż do zbrodni syntetycznych, takich jak teleepatia, reedukacja, reesocjalizacja, bomby mózgowe, czy też najgroźniejsze z najgroźniejszych, przerabianie (sczytywanie) duszy, przed którymi nikt nie może się obronić, ani donikąd uciec, ponieważ działając globalnie - wszędzie - i to z ukrycia, nie podlegają normalnemu ludzkiemu rozpoznaniu: ich nie da się ani zobaczyć, ani poczuć, nie można ich też żadną miarą zrozumieć, ani pojąć. Działając w jakiś sposób podobnie do niewykrywalnej biochemicznej substancji eterycznej wytwarzanej przez nasze pospolite rude mrówki w mrowisku niewolniczek, ubezwłasnowolniają nas jako społeczeństwo ludzkie tworząc z niego, w ten sam, co i mrówki ze swoich niewolniczek sposób, kolonię nieświadomych niczego, ludzkich niewolników. A gdy nie są już potrzebni, to i stosy trupów. Niech przykładem a jednocześnie i ostrzeżeniem dla was wszystkich będzie świadoma i celowa depopulacja przeprowadzona w 1918 roku pod nazwą HISZPANKI, z powodu której zmarło pona 100 milionów zaszczepionych na nią osób, a za 103 lata umrze ich jeszcze więcej, tym razem jednak po podaniu im Covida 19. - Przez salę przeszedł dziwny szmer. - Urszyl przerwał na chwilę, popatrzył srogo i pogroził im wszystkim paluchem. - Musicie przygnać przecież, rozpoczął przerwany wątek, że większość z was ma najczęściej rzeczywiście bardzo niejasne pojęcie o czymkolwiek, a, o sobie samych i otaczającym was zewsząd świecie, nie macie pojęcia prawie żadnego. Na ogół jesteście bowiem pewni tylko tego, że rzeczywistość jest taka, jaka jest, że żyjecie i że kiedyś będziecie musieli umrzeć. Całą resztę waszej wiedzy spowija dosyć gęsta mgła niejasnych przekonań i poglądów, i to nawet wtenczas, kiedy twierdzicie z całą stanowczością, że jest inaczej. Na ogół też wszyscy mylicie wasze poglądy z faktami, i to one właśnie, te poglądy, wypełniają wam na co dzień wasze mózgi dość banalnymi my-

ślami o czymkolwiek. Podobnie jest z rezonansem, który jako centralna siła naszego układu słonecznego decyduje w waszym życiu o wszystkim, a, o którym najczęściej nie macie żadnego pojęcia. Jesteście więc zupełnie nieświadomi zagrożeń jakie on powoduje, lub\oraz jakie może powodować. Nie wiecie także i o tym, że w naszym wspaniale rozbuchanym, współczesnym świecie zorientowanym jedynie na zbrodnię, obrona i ochrona przed wszelkiego rodzaju zagrożeniem jest bardzo utrudniona, a w wielu przypadkach wręcz niemożliwa, i to nawet wtedy, kiedy wydaje się najbardziej konieczna! Zgodnie bowiem z tezami współczesnej ortodoksyjnej nauki, religii i filozofii, człowiek dla człowieka wcale nie jest najważniejszy, więc bardzo często ludzie nie zostają rozpoznani przez innych ludzi jako ludzie, można więc ze spokojnym sumieniem zrobić z nimi wszystkimi to, co się zechce: można z nieukrywaną satysfakcją potraktować ich wszystkich jak świnie oszukując, gnojąc i wyzyskując kogo się da i gdzie, a gdyby to dało za mało korzyści, można ich wszystkich pozabijać lub zniewolić na milion innych, przeróżnych sposobów, i nie mieć z tym żadnych, nawet najmniejszych problemów. No bo i po co człowiekowi rozumnemu takie problemy?! I takie myśli?! - I tu Urszyll prawie skończył. Popatrzył po słuchaczach, pozwolił wrzawie trochę się rozwinąć, aby nagle uciszyć ich ręką: - Ale słuchajcie! - Krzyknął. - Co warte byłoby życie bez życia?! - Po krótkiej chwili napiętego milczenia, powiedział dobitnie: - Buntujcie się więc! Walczcie! I brońcie! Brońcie waszej naturalnej chęci oraz naturalnej potrzeby zaufania, brońcie waszej Miłość i waszej Dobroci, bowiem to one właśnie są wam wszystkim najbliższe. I najbardziej wam wszystkim potrzebne. A dzisiaj w wyjątkowej szczególności! - I tu Urszyll skończył rzeczywiście. Słuchacze wstali i bili brawo. Urszyll kłaniał się dziękując wyraźnie szczęśliwy i zadowolony. Gdy burza ucichła zapytał: - Wiecie już, gdzie go ustawić? - Gdzieś w środku! - Krzyknął ktoś z samej góry. - Na zewnątrz! - Dodał ktoś z prawej. - A może pomiędzy?! - Zapytał jeszcze ktoś inny. - Widzę - Urszyll uciszał wrzawę rękami - że w gadaniu i zgadywaniu jesteście naprawdę prawdziwymi mistrzami. Ale nam potrzebne są czyny, a nie gadanie! Wyraźnie nie dojrzeliście jeszcze. Uciszcie się więc i pozwólcie, że coś jeszcze od siebie dodam, OK.? - A gdy sala ucichła zupełnie, powiedział: - Usiądźcie na chwilkę i pilnie mnie posłuchajcie, bo będzie to sama czysta kwintesencja i raczej nie będę już tego więcej powtarzał! A bez tego, nie dacie raczej rady… Więc… Najgorszą, a wręcz najstraszniejszą konsekwencją praktyczną stosowanego na nas codziennie świadomie, syntetycznego psycho bio smogu jest

to, że umożliwia ona nielicznym - ludziom, siłom, istotom - narzucenie większości z nas niewidocznych i niewykrywalnych ograniczeń socjo psycho-emocjonalnych, w wyniku których, jesteśmy nie tylko chorzy fizycznie i psychicznie, ale i duchowo. Zmuszono nas bowiem do uznania najgorszych kłamstw o ostatnich paru milionach ziemskich lat, a tym samym, i o nas samych, za prawdę, a prawdę o tych latach, za łgarstwo, oszczerstwo i kłamstwo, zmuszając jednocześnie nas wszystkich do uznania wszystkich tych nad-specjalnych nadawców - konstruktorów kłamstwa - najgorszych z najgorszych bandziorów, oszustów i gangsterów, za ludzi prawych, dobrych i szczerych, za ludzi godnych naśladowania, godnych naszego zaufania, a nawet, za naszych najlepszych powierników i przyjaciół. I to we wszystkich podstawowych wymiarach - fizycznym, psychicznym i emocjonalnym, oraz wszystkich podstawowych dziedzinach naszego życia: i w religii, i w nauce, i w polityce, i w filozofii, i etyce, i w edukacji i w historii, i w gospodarce, i w bankowości i w finansach, i w wojskowości.... Uważajcie więc na nie tym bardziej, ale na te poniżej, z wyjątkową szczególnością, bowiem aby wymagać od kogokolwiek wartości moralnych, sami musimy je praktykować! - Szacunek. - Uczciwość. - Odpowiedzialność. - Mądrość. - Odwaga. - Samodyscyplina. - Motywacja. - Przyjaźń. - Lojalność. - Miłość. - Dobroć. - Wierność. - Moralność. - Życzliwość. - Sprawiedliwość. - Wolność. - Optymizm. - Wgląd. - Pogląd. - Potrzeba. - Piękno. - Umiejętność. - Jakość. - Pokojowe nastawienie… Na zakończenie pragnę wam jeszcze raz przypomnieć, że pomimo tego, iż Jakość, Wolność, Mądrość, Miłość i Wiedza są dane - poza osobami w jakiś sposób upośledzonymi - nam wszystkim tu na Ziemi a priori - nie musimy nic robić aby je mieć i z nich korzystać - to jednocześnie z nieznanych nam bliżej powodów - z niektórymi z nich próbowałem zapoznać was dzisiaj - każdy z nas musi o swoją Jakość, Wolność, Mądrość, Wiedzę i Miłość walczyć, i to nie tylko z otaczającymi nas, innymi ludźmi, czy jakimiś obcymi istotami, lecz przede wszystkim ze sobą samym: Ze swoimi poglądami, swoimi przyzwyczajeniami, ze swoim lenistwem, kołtuństwem, straszliwą chęcią dominacji, no i uśpioną od wieków świadomością. A walka ta jest ze wszystkich znanych mi czynności tu na Ziemi, czynnością najtrudniejszą, wymagającą od każdego z nas nadludzkiej wręcz siły, odwagi, wytrwałości, ochoty i poświęcenia, ponieważ pomimo naszej cudownej wręcz nieograniczoności na wszystkich możliwych płaszczyznach, poziomach i we wszystkich rzeczywistościach jednocześnie, jesteśmy równocześnie na wszystkich tych płaszczyznach, poziomach i we wszystkich tych rzeczy-

wistościach jednocześnie, strasznie w jakiś sposób ograniczeni. I to do tego każdy z nas inaczej. Dlatego też uważam, że w pra- ktyce codziennego życia niełatwo będzie się wam zmienić, bowiem niełatwo wam będzie bez pomocy z zewnątrz przełamać wasz psycho-emocjonalno-fizyczny opór, a... Niestety żadni Obcy, ani też żadna inna obca siła fizyczna, psychiczna czy emocjonalna, nie chce na razie niczego dobrego dla nas tu uczynić, tak, że na razie nie ma nikogo, kto mógłby was zmusić do tego, abyście uwierzyli, abyście zechcieli, i abyście mogli, poza wami samymi oczywiście. Nikt nie może również na razie pozbawić was chciwości, zawiści i zazdrości. Nikt też nie przemieni na razie waszej własnej nienawiści i przemocy w miłość i dobroć. To na razie tylko wy sami możecie zrobić. I to do tego dobrowolnie. Dlatego też wszystko ciągle jest takie trudne. I ciągle nadal nieosiągalne. Na razie niewielu z was może powiedzieć o swoim życiu tu na Ziemi, że jest wspaniałe, i że wszystko układa się tu znakomicie. Na razie, lub\oraz ciągle, ludzkość jako całość nie wykorzystuje tu w optymalny sposób niczego. Większość ludzi na Ziemi nie ma ciągle wystarczającej ilości pożywienia, nie ma dachu nad głową ani ubrania. Ciągle istnieje agresja i przemoc, ciągle popełniane są też przestępstwa i ciągle dyskryminuje się innych. Życie ludzkie nadal nie ma tu żadnej wartości oraz ciągle niewielu ludzi szanuje życie jako takie. Nikt nie ma tu prawa do indywidualnych upodobań i poglądów, nikt też nie jest świadomy swej szczególnej odpowiedzialności za świat, w którym wszyscy żyjemy. Wszędzie gdzie by tylko nie spojrzeć brakuje mądrości, lojalności, dobroci i miłości, a dzieci wychowują się tu najczęściej w atmosferze głupoty, przymusu, zakazów, nakazów i represji, które rodzą w nich i utrwalają wszelkie rodzaje patologii umożliwiającej ciągłe - nieprzerwane - trwanie i odradzanie się, tylko głupiej ewolucji. Ciągle też hierarchie społeczne oraz walka o pozycję decydują tu o wszystkim. Co głupsi, lecz silniejsi i pozbawieni skrupułów, dyktują tu warunki wszystkim pozostałym, a mądrość, wiedza, honor, odwaga, dobroć i miłość, są wielkościami znanymi niewielu. Ciągle leje się tu krew, ciągle torturuje się tu ludzi i ciągle walczy o pieniądze, wpływy i sukcesy, które zastąpiły ludziom od dawna już wszystko... I tak jak przed wieloma tysiącami lat, tak i dzisiaj: w każdej chwili każdy z nas może zostać ubezwłasnowolniony, uwięziony lub wręcz zamordowany, i to nie przez jakichś psychopatologicznych zboczeńców, czy innych społecznych wykolejeńców, lecz przez normalnych, najnormalniejszych współobywateli, wypełniających swoje służbowe obowiązki, bowiem tak jak i przed wiekami, tak i dzisiaj, człowiek za pie-

niądze i uznanie może zrobić wszystko: może posunąć się do najstraszniejszych okrucieństw i najokrutniejszych zbrodni. Strzeżmy się więc Człowieka, ponieważ każdy z nas już nim jest, każdy z nas więc, nie może być nigdy pewien, co też ten Człowiek w nim uczyni: czy wypełni go, lub/oraz/i również innych, miłością i dobrocią, czy też raczej nienawiścią, przemocą, torturami, cierpieniem i śmiercią. Jak widać z powyższego, program - manipulator syntetyczny - sterujący tą naszą rzeczywistością ludzką, jest programem szczególnego rodzaju, bowiem tylko niewielu z nas może go sobie uświadomić, a jeszcze mniejsza nasza ilość po uświadomieniu go sobie, może go zmienić. Większość nas jest w stosunku do niego raczej zupełnie bezwolna! A wszystko to wynika z dość prostego faktu, że tak jak i wszędzie w tym naszym wszechświecie, tak i tutaj, wszystko ciągle drga i wszystko ma ciągle wpływ na wszystko. Ciągle nierównomierny jednak i nie równorzędny. Tak też i nasze ciała, które drgając ciągle myślą, że to ich własny rezonans, od wieków jednak drgają z częstotliwościami sił wymuszających. Ciągle też wydaje im się, że posiadając wolną wolę, mogą swobodnie wybierać między jednym, a drugim. Nic bardziej mylnego. Potęga każdej władzy posługującej się świadomie manipulacyjnym feromonem polega bowiem na tym, że zawsze działa z ukrycia. A do tego jeszcze, uzależnia. Więc jeżeli tak jak narkoman prochami, tak my ciągle uzależniani jesteśmy od codziennej dawki głupoty, nienawiści i przemocy, którymi ciągle nas karmią nasi uzależnieni od władzy i żądzy krwi hodowcy, to ani oni, ani my, swobodnie nie możemy tu niczego wybrać, ani niczego uczynić. Bez pomocy z zewnątrz nie możemy praktycznie zrobić niczego, poza durnym i ciągłym odradzaniem się tu na Ziemi, co od milionów lat też i czynimy. Dlatego też, pomimo, że nie jestem zwolennikiem katolicyzmu w żadnej z jego form, pragnę zakończyć dzisiaj najznakomitszym cytatem biblijnym jaki znam: Czyńcie zawsze innym to, co chcielibyście, aby i oni Wam czynili, z zastrzeżeniem jednak, że nie jesteście kochani, ani sado, ani maso! I co? Wiecie już w końcu gdzie umieścić naszego Légibusa? - A gdy sala wybuchała właśnie w wielkim aplauzie, a uśmiechnięty szeroko Urszyll kłaniając się - Tak właśnie działa Magia… - wykrzyknął, drzwi do sali otworzyły się nagle z trzaskiem wpuszczając co najmniej dwudziestu dobrze zamaskowanych i uzbrojonych po zęby milicjantów. Nie minęła dosłownie sekunda, kiedy Urszyll leżał już na podłodze skuty jakimś grubym łańcuchem jak jakieś zwierzę. Lecz to dopiero teraz rozegrał się prawdziwy dramat, bowiem dopiero teraz słuchacze oprzytomnieli i rzucili się z pasją i wyciem na napastników, a milicjanci odwzajemnili

atak. Kule, sześciany i paralelogramy oraz reprezentujący je ludzie z taką precyzją poustawiani przez Urszylla w eneagramie, poprzewracali się i rozsypali tocząc się po całym pomieszczeniu. Won Wścib uśmiechnął się widząc ten rozgardiasz i wyłączył obraz. Usiadł w fotelu i złapał się za głowę. - Cholera! - Pomyślał. - Już czas żebyśmy w końcu coś poważnego z tym wszystkim zrobili. - Podniósł telefon i zadzwonił. - Wziąłeś Progętalinę? - Zapytał, gdy głos Dziewica wypełnił słuchawkę znajomym skrzekiem. - Oczywiście Krzysztofie! Co za głupie pytanie?! Spotkamy się na górze, tak? - O.K. - Powiedział won Wścib wyłączając i odkładając słuchawkę miniaturowego telefonu. Wstał, rozejrzał się jeszcze po gabinecie tak, jakby czegoś szukał, lecz nie znalazłszy żadnej wyraźnej wskazówki co do dalszych działań, podszedł do kanapy i się na niej położył. Ręce wyciągnął wzdłuż ciała i coś cicho, niezrozumiale wyszeptał. Dosłownie w tym samym momencie zapadł w głęboki sen, lecz jego oczy pozostały otwarte. Będąc już w transie zobaczył siebie samego jak gasi cygaro, i jak dopija koniak. Jak odwraca fotel w kierunku okna, przez które może obserwować całe miasto, i jak szybko się rozbiera. Jak z biurka bierze krótki kabel komputerowy i podłącza go sobie do złącza filo motorycznego za uchem, a drugi i trzeci, dużo dłuższe i dużo grubsze od pierwszego, w okolicach pępka i pachwiny. Jak włącza komputer i uruchamia program. Jak siada, a potem jak wygodnie wyciąga się w fotelu. A zaraz potem jak zapada w długi, intensywny trans, który podobnie do profesor Maczy Dooroby, indukuje się w jego mózgu samoistnie, aby po chwili, w której jego ciałem wstrząsają jakieś intensywne dreszcze, a jakaś niewidoczna siła wyciąga je naprężając jak strunę, aby podnieść je potem gwałtownie, lecz lekko jak piórko i płynnie jednocześnie tuż nad fotelem. Jak na ekranie pracującego ciągle komputera pojawiają się jakieś kolorowe obrazy i wykresy, które z dużą prędkością zmieniając się, pełzając, mieszając i pożerając przelatują przez ekran z prawa na lewo, aby po późniejszym, krótkim jednak zawirowaniu, zniknąć gdzieś równie niespodziewanie jak się i przedtem pojawiły. Jak ekran komputera gaśnie i jak po dłuższej chwili znów się uruchamia. I jak wokół jego głowy zaczynają pokazywać się jakieś kolorowe, rozmyte obrazy, które łącząc się w jakiś niesamowity sposób z obrazem na monitorze, tworzą płynnie wspólną im, lecz w jakiś dziwny sposób znaną już won Wścibowi nową rzeczywistość. Był czwartek, czwarta rano…

Był czwartek, czwarta rano. Po szmaragdowym niebie majestatycznie płynęły długie białe cirrusy, a słońce, które wzeszło właśnie z nad horyzontu i pierwszym promieniem oświetliło dolinę, zapaliło girlandy wiszącej na rozpiętych pajęczynach rosy, spowijając tęczą kolorów wszystko i wszędzie. - I jak zamierzasz to zrobić?! - Zapytał szeptem won Wścib. - Jak to jak?! - Żachnął się Dziewic. - Normalnie. Tak jak zawsze.

Noc ta majowa była jedną z tych niewielu wiosennych, ziemskich nocy, kiedy to wszystkie pająki świata zmówiwszy się i zawiązawszy spisek dziejowy, tkały bez wytchnienia swoimi długimi, kosmatymi nogami, delikatne, mordercze pajęczyny o różnorodnych, symetrycznie lepkich wzorach, pokrywając nimi cały świat. Lecz widok ten dla oka będąc na co dzień dosyć przykrym, dzisiaj był wręcz urzekający. Ludzie w zachwycie podziwiali ich siódmą planetę i grę światła w brylantowych kroplach, a masa ludzka, pomimo wczesnej godziny, była wielka i zbita. Mimo to, lub raczej temu jak gdyby wprost na przekór, chłodny, oczywisty na co dzień strach wypełniający wszystkich oraz śliska znieczulica uwieńczona zimną obojętnością na innych, na wszystko co dobre i piękne, ustąpiły przepełniającemu ich dzisiaj wszystkich poczuciu wspólnoty i radosnemu szczęściu, a słodycz, która pojawiła się w ich sercach, dała im jeszcze większe poczucie braterstwa, nakazując im wszystkim dzisiaj zachowywać się tak jakoś zupełnie inaczej: pomimo tego, że się zupełnie nie znali, uśmiechali się do siebie, ściskali się, obejmowali jedni drugich poklepując się jednocześnie przyjaźnie po plecach. Niektórzy się nawet całowali. Wszyscy rozmawiali ze sobą z ukontentowaniem wyraźnie zadowoleni i szczęśliwi. Tylko nieliczni, a było ich tylko dwóch, i stali daleko na skraju doliny, wyraźnie odcinało się od reszty swoją sztuczną sztywnością. Won Wścib ubrany był dzisiaj w kraciastą, długą pelerynę, a Dziewic zakuty był w jakąś starą, częściowo zardzewiałą zbroję. Obaj opierali swoje ciężkie ciała, won Wścib na misternie rzeźbionej lasce, a Dziewic na olbrzymim mieczu. Pomimo tego, że obaj nijak nie pasowali do zgromadzonych już i ciągle na nowo napływających w dolinę ludzi, nikt jakoś nie zwracał na nich uwagi, tak, jakby obydwaj byli dla wszystkich niewidoczni. - Nieźle

to sobie wykombinowałeś... - Sapnął Dziewic. - Lecz gdyby nie to, że to Dooro... - Nie pierdol! - Won Wścib przerwał brutalnie Dziewicowi. - Skup się lepiej i skoncentruj, bo inaczej nic z tego nie będzie! - Ach, co ty tam wiesz, lizusie... - Dziewic natychmiast odciął się, lecz uwagi won Wściba posłuchał. Odsunął fragment zbroi na przedramieniu i pokręcił jakimiś finezyjnymi pokrętłami w jeszcze bardziej finezyjnym urządzeniu. - Postaram się nas jakoś zintegrować. - O, kurwa! A to co?! - Nie wytrzymał won Wścib. - Nie udawaj, że nie wiesz Krzysztofie. Przecież to najnormalniejszy WAP. - WAP?! - No... Niebieski ząb... - Że co, proszę?! Kpisz sobie ze mnie, czy co?! - Ach! - Żachnął się Dziewic. - Chodź lepiej, zintegrujemy się. - I obaj, poklepując współoczekujących, witając się z nimi ciepło i ciepło z nimi rozmawiając, ruszyli ku oddalonej i pustej na razie ambonie.

Wiadomość o tym, że to Urszyll z Zamiłowic właśnie dzisiaj, tu, na tej olejowej górze, będzie kazał, rozniosła się lotem błyskawicy po całej tej oleistej krainie. Dotarła nawet do Dooila. Profesor Macza Dooroba zarządziła natychmiast pogotowie, nie chciała bowiem stracić żadnej okazji, a na taką jak tą dzisiaj, czekała już od dawna. Koordynacją akcji nie zajęła się jednak sama, powierzyła ją najbardziej zaufanemu, starszemu nadinspektorowi Wglądowi, sama zamykając się z Dziewicem w swojej magicznej, tajnej sypialni, umieszczonej tuż tuż przy jej prywatnym, dooilskim gabinecie. W końcu, pomimo tego, że nie przepadała specjalnie za Dziewicem, wiedziała, że tylko w ten sposób może osiągnąć to, co sobie zaplanowała, a jej plan, tylko tym sposobem może się wypełnić. Po krótkiej grze wstępnej więc, co nie było wcale takie trudne, w końcu Macza była piękną i ponętną kobietą, a Dziewic kochał się w niej na zabój, osiągnęli stan gotowości i nad postrzegania, potrzebny do wysłania Dziewica z misją. Profesor Dooroba sprawdziła tylko jeszcze na naręcznym tablopie czy won Wścib też już jest gotowy, a uzyskawszy natychmiastowy dostęp, rozpoczęła akcję.

Gdy cała dolina zapełniła się już po brzegi, a wszyscy postronni obserwatorzy ulegając czarowi tej chwili zlali się z oczekującą ludzką rzeszą w jedynie obowiązującą jednię, napięcie wywołane oczekiwaniem stało się prawie nie do zniesienia. Tym samym zaistniały dogodne warunki do rozpoczęcia i Urszyll jak zwykle w takich razach pojawił się zupełnie bez zapowiedzi, bez jakiegokolwiek uprzedzenia, czy, przygotowania. A będąc prawdziwym mistrzem ceremonii stanął nagle przed tłumem, uniósł dłonie i błogosławił ich wszystkich

bez wyjątku: - W imię ojca i matki, i wszystkich świętych dzieci i duszy świetlistej, amen. - Pomimo tego, że ludzi były dzisiaj tysiące, cisza zapadła całkowita, nikt bowiem nie chciał uronić ani słóweczka z tego, co miał im do powiedzenia. Ludzie wiedzieli, że na początku swoich kazań Urszyll mówi zawsze tak cicho, jakby mówił tylko do siebie, zawsze mówił też jednak wyraźnie i do nich: - Wtedy to ONå uwolniona rozbłyśnie i wypełni całą siebie sobą samą, a jej krzyk radości zakończy ten cykl niewoli. Wszechświat zwinie się jak zakurzony dywan i przestanie istnieć, a ONå rozwinie skrzydła i poleci. Nie wznosząc się i nie opadając trwać tak będzie zawsze: Thenahå uskrzydlona. Moja przeczuta i wyśniona, wielka gotowość Nadmożliwości. I nadzieja et nihili.

Słońce, wspinając się coraz wyżej po bezchmurnym, błękitnym nieboskłonie, oświetliło jego twarz promieniem złota i czerwieni. Urszyll uniósł ręce. W natchnieniu, wsłuchując się w głos Thenahå, wykrzyknął: - Człowiek współczesny jest w strasznej sytuacji. Wręcz makabrycznej, bo za pieniądze gotów jest zrobić wszystko to, czego bez pieniędzy, nigdy by nie zrobił! Człowiek gotów jest bowiem za pieniądze zrobić wszystko to, co polecą mu zrobić jego szlachetni pracodawcy, bo za pieniądze człowiek gotów jest zaprzedać swoje prawdziwe człowieczeństwo na rzecz upiornej, codziennej i codziennie powtarzanej nieludzkości. Będąc więc nieświadomym automatem w rękach innych, człowiek tworzy właśnie to, co tworzy: samego siebie i swój własny świat, w którym w bólu jednocześnie musi żyć, w którym też, i w bólu umiera. I to jest właśnie dla mnie takie straszne. Pragnąc miłości, człowiek tworzy nienawiść, zazdrość i zawiść. Pragnąc wszelkiego dobra, człowiek tworzy wszelkie odmiany zła. Pragnąc odwagi i wolności, człowiek tworzy strach i niewolę. Pragnąc pokoju i równości, człowiek wszczyna wojny i wyzyskuje. Najgorsze jest jednak nie to, że człowiek najczęściej nie zdaje sobie sprawy z koszmaru w jakim się znalazł, oraz też nie to, że człowiek nie jest świadomy swojej upiornej zależności. Najgorsze jest również nie to, że w jego oczach to nie on sam, lecz jacyś tam, nieznani nikomu bliżej - inni, zieją nienawiścią, są przepełnieni przemocą i złem, i zabijają, kiedy on sam, stara się tylko przeżyć, nikomu przecież nie wadząc i nikomu nic złego nie czyniąc. Twierdząc nawet i wierząc, że jest wprost odwrotnie: że stara się być dobrym dla wszystkich, że stara się wszystkim pomagać i wszystkich naokoło wspierać. Najgorsze nie jest więc i to, że każdy z was zapytany o to z osobna, odpowiada: To nie ja! To oni! Ja jestem niewinny! I ró-

wnież nie to, że w sytuacji tej jednak, okazuje się niezmiennie, że to jednak każdy z was jest tym jednym jedynym, i to do tego głównym, choć najczęściej nieświadomym, winowajcą. Bowiem jak sami to dobrze wiecie, inni po prostu nie istnieją. I nigdy nie istnieli. Nasze ludzkie społeczeństwo składa się z samych JA, żadnych Oni tu nie ma: to ja zieję nienawiścią, to ja czynię zło, to ja wyzyskuję, ja nienawidzę, i ja zabijam! - Urszyll poważnie popatrzył po zebranych. Po krótkiej, pełnej napięcia chwili, podnosząc głos, powiedział

- Najgorsze jest jednak i nie to, że człowiek właśnie w ten oto prosty sposób o tym wszystkim myśli, i właśnie w ten oto prosty sposób to wszystko robi, lecz to, że człowiek myśląc i robiąc to, twierdzi jednocześnie, że myśli i robi to dla dobra naszej wspólnej sprawy, dla dobra całej naszej ludzkiej wspólnoty, oraz to, że wmawia nam to w żywe oczy, a my, wszyscy, słuchając takiego gadania, najczęściej bezgranicznie mu ufamy. I bezgranicznie wierzymy. Albo nie wierząc mu i mu nie ufając, milczymy, lub co gorsza, przytakujemy, nie robiąc jednak nic a nic, aby odwrócić skutki jego morderczych ochot, jego morderczych pomysłów i jego morderczych słów - korzyść płynąca bowiem z milczenia i przytakiwania jest dużo większa niż męczarnia samotnej, nieopłaconej i nieopłacalnej z nimi walki. I to jest właśnie to najgorsze. Najgorsze z każdego najgorszego. Lecz jeszcze bardziej straszne oraz dużo gorsze od każdego najbardziej najgorszego jest to, że zawsze towarzyszy nam nasze upiorne usprawiedliwienie, którym zasłaniamy się jak obronną tarczą: nasze chytre przekonanie i nasza chytra wiara w naszą własną bezsilność, jako wyraz naszej ochoty, naszej wygody i osobistego spokoju, który stojąc zawsze - gdy nic nie zagraża bezpośrednio naszemu życiu - na planie pierwszym każdego z nas, przesłania nam skutecznie horyzont naszych prawdziwych możliwości: naszą wyjątkową wyjątkowość - prawdziwą boskość w niezaprzeczalnym powinowactwie z Ulubienicą i Kochanicą Wszystkiego i Wszędzie - Bogą Thenahå.

Ludzie wyraźnie skurczyli się w sobie pod ciężarem tych słów, a cisza stała się wprost diabelska. - Człowiek współczesny jest w strasznej sytuacji. Wręcz makabrycznej. - Urszyll nie zamierzał ich jednak dzisiaj oszczędzać. - I to co najmniej podwójnie. Nie dość, że sam, i to za swoje w tak wielkiej męczarni zarobione pieniądze, tworzy sobie swój własny świat, w którym musi nie tylko innych, ale i sam siebie samego, zabić, a winą za to obciąża jakichś tam, nieznanych mu zupełnie innych, to akurat od tychże właśnie innych oczekuje jakiejś

pozytywnej zmiany, zmiany przekształcającej nie tylko świat, ale i jego samego, w świat miłości i dobroci, świat braterstwa, współpracy i wspólnoty. Ze strachu i wygody chętnie zapomina o swojej własnej powinności, o obowiązku wręcz, zmiany siebie samego przez siebie samego w swoje własne i jedynie prawdziwe przeciwieństwo. Jak ładnie ujął to brat Osho gdy tłumaczył nam powody naszej niechęci do takich działań: nasza osobista rewolucja zawsze wymierzona jest w Boga i musi się odbyć wbrew jego woli. Lecz nie wbrew woli Thenahå. Tu macie moje pełne poparcie i jej adorujące błogosławieństwo.

Maryłej stojąc pośrodku tłumu spragnionych słowa słuchaczy, uśmiechnął się szeroko. Dzień zapowiadał się nieźle, a jako iż pozwolono mu dzisiaj zachować świadomość i duszę, wręcz wspaniale. Będąc w dwóch miejscach jednocześnie i zachowując do tego świadomość ich obu, mógł czerpać podwójne zadowolenie i podwójną radość, co stawiało go w niedoścignionej czołówce sensoryków. Najbardziej z tego wszystkiego dzisiaj, podobało mu się jednak neurotyczne hołubienie Maczy i to, że Pani profesor chcąc nie chcąc, musiała też w tym czynnie uczestniczyć. I teraz właśnie obejmowała swoją delikatną Yoni jego nastroszonego, spragnionego owej akurat słodyczy Lingmana, i trwali już tak złączeni od przeszło sześciu godzin. Maryłej był w transie. Śnił. Właściwie to nie śnił, lecz zdalnie postrzegał. A był w tym bardzo dobry. Najlepszy z całego dooilskiego zespołu. Lata treningu w IRS zrobiły swoje - jako psychiczny neuroszpieg potrafił przejść każdą przeszkodę, potrafił też pokonać każdego wroga i to we wszystkich wymiarach i we wszystkich rzeczywistościach. Do tego jeszcze posiadał pewnego rodzaju nadzdolność: potrafił zmaterializować sobie drugie, a nawet i trzecie ciało psychofizyczne, i to do tego na każdej płaszczyźnie, niezależnie od stopnia i poziomu jej komplikacji. Nie było to więc tylko jakieś pospolite AWS, lub inne, normalne, zdalne widzenie, a Maryłej nie był w nim jedynie jakimś podrzędnym, czy też nie daj boże, przeciętnym, parapsychicznym wojownikiem. Maryłej Dziewic był wyjątkowy. I to pod każdym względem. Jego pracodawcy również. Dzisiejszy seans - jak Maryłej nazywał swoją codzienną pracę - miał poza rutynowymi zadaniami jeszcze dodatkowe, i osobiste dla niego zabarwienie, nie cierpiał bowiem wyjątkowo Urszylla z Zamiłowic, a jego kazań wprost nienawidził. Co prawda Maryłej nie wiedział właściwie dlaczego tak to jest, że nienawidzi tego człowieka aż tak strasznie, ale czując rzeczywiście tylko nienawiść, nie zastanawiał się nad resztą.

- Człowiek współczesny jest w strasznej sytuacji. I to co najmniej potrójnie. Nie dość, że sam sobie tworzy świat, w którym nie może normalnie żyć, ani normalnie umrzeć, to kładzie siebie samego w tym czasie na wygodnej otomanie przed telewizorem, a zapatrzywszy się w ten iluzyjny świat kolorowej bajki o sobie samym, zasypia, a śniąc nie dostrzega związku między tym, co sam rzeczywiście czuje, co sam rzeczywiście myśli, i co sam rzeczywiście w tym swoim świecie czyni, a tymże obcym w jego oczach światem, którego jest w rzeczywistości jedynym prawdziwym dyscyplinatorem i jedynym rzeczywistym uzurpatorem oczywiście. - Rozrzucając teatralnie ręce na boki Urszyll z Zamiłowic podniósł swój dramatyczny głos znowu o ton wyżej. - I mówię wam to z pełną świadomością. Człowiek śpiąc i śniąc zapomina, że jest tylko i wyłącznie taką nieświadomą siebie samej oraz niczego innego, niewiele wartą rurą trawiącą i samo rozmnażającą się!

Dotarłszy już prawie do samej ambony, Dziewic stał teraz - pozornie uważnie zasłuchany - całkiem blisko Urszylla. Jego płomienny głos napawał go tak wielkim wstrętem, że musiał się dobrze pilnować, żeby nie wyciągnąć miecza i nie wybuchnąć. - Człowiek jako rura trawiąco samo rozmnażająca się...? - Zastanawiał się w myślach - przecież nie może być nic wstrętniejszego, niż facet te słowa wypowiadający... - Na co dzień wypełniały Dziewica raczej niesprecyzowane dokładniej idee, coś na obraz i podobieństwo pajęczyny spowijającej swoją ofiarę, obrazy i słowa układające się w przeciwieństwo tego, o czym gadała dzisiaj ta święta szczyna - jak nazywano powszechnie Urszylla u Dooila - niesprawdzone co prawda, ale nazbyt racjonalne żeby je odrzucić, stwierdzenia współczesnej, ortodoksyjnej nauki. Ze względu jednak na swoje supertajne zadanie, Maryłej głosu Urszylla z Zamiłowic nie mógł dzisiaj zignorować. - Zapomina - wykrzykiwał Urszyll - że śpiąc i śniąc nie może być świadomy! Że zezwala tym swoim snem na swoje zniewolenie: Zatrucie, uzależnienie, i ubezwłasnowolnienie!

W tym samym prawie momencie, w którym Urszyll wykrzyknął - czuje!, na szóstym piętrze kwatery głównej Dooila, w Departamencie Kontroli i Modelingu, po puszystym dywanie korytarza dziewiątej kondygnacji, płynnie stawiając swe stopy obute w wężowe mokasyny posuwał się starszy nadinspektor Wgląd, którego zadaniem dzisiaj było nie tylko monitorowanie poczynań Dziewica na planie

astralnym, ale przede wszystkim koordynacja i kontrola oprogramowania sterującego. W prawej ręce niósł ostrożnie filiżankę gorącej kawy, lewą przyciskał energicznie plik dokumentów do boku, co nie szło mu jednak zbyt sprawnie. Dokumenty te bowiem, pomimo jego nadludzkich wysiłków - ciągłych przechylań, ciągłych podskoków i cmokań, bez jednej przerwy starały się wyswobodzić spod jego kontroli. I to pewnie dlatego Wgląd wkładał tak wielką ilość energii nie tylko w zachowanie kierunku marszu, ale i pozorów normalności jego w tym miejscu obecności. Powinien był bowiem w tym momencie śledzić z uwagą poczynania Dziewica na monitorach centrali sterującej, ale ochota napicia się kawy oraz poczucie wyższości, które go dzisiaj przepełniało, wysłało Wgląda ku automatom. I gdyby nie to, że nagle musiał się zatrzymać, inaczej zderzyłby się bowiem z wybiegającym rakiem z jakiegoś bocznego pokoju najbliższym jego współpracownikiem, wszystko potoczyłoby się tak, jak to pierwotnie zaplanowano. Stało się jednak inaczej. - O Boże! - Krzyknął Krzysztof Wkręt wpadając z impetem na Wgląda. - O Boże! - Krzyknął Wgląd wypuszczając filiżankę kawy oraz wszystkie dokumenty z taką starannością przez niego posegregowane, i z tak wielką mocą trzymane do tej pory pod pachą.

- Człowiek współczesny jest w strasznej sytuacji - kontynuował Urszyll - bowiem nie wie, dlaczego nie wie. Nie wie też dlaczego Dlaczego! Dlaczego zawładnięcie, dlaczego ubezwłasnowolnienie i dlaczego całkowita śmierć umysłu! Dlaczego śmierć świadomości i całego ciała w końcu. Nie wie, dlaczego nienawiść, dlaczego zawiść, przemoc, wyzysk, zazdrość i chciwość. Nie wie, dlaczego wojny, zasieki, tortury i śmierć. I po co! - Urszyll podniósł ręce i krzyknął teraz rozdzierająco: - Czyni to jednak codziennie! Codziennie niezmiennie i niezmiennie codziennie od tysiącleci w znoju, trudzie i pocie uczy się i haruje, niczego jednak nadal nie jest pewien, niczego nadal nie wie, ani nadal niczego nie potrafi uczynić. Cały czas tylko myśli, że potrafi, a nie potrafi. Cały czas tylko myśli, że czyni, a nie czyni niczego, cały czas tylko robi. Ma ciało, a myśli, że jest ciałem. Ma duszę, a myśli, że jest duszą. Twierdzi, że wie kim jest, a nie wie. Twierdzi, że wie po co jest, a jedynie wydaje mu się. Twierdzi, że wie wszystko, a nawet nie wie, że nic nie wie. Będąc taką samo zachwyconą sobą samą, nieświadomą niczego, automatyczną rurą samo wydalającą, myśli, że jest co najmniej Homo, i że to cały wszechświat kręci się wokół niego, w rzeczywistości jest tylko homo, i to on musi się kręcić wokół wszystkiego.

Polecenie prof. Dooroby było bardzo precyzyjne, a do tego, iście szatańskie: pozyskać Urszylla z Zamiłowic dla dooilskiej centrali. Dziewic nie był zbytnio zachwycony tym pomysłem, nienawidził bowiem Urszylla do tego stopnia, że najchętniej by się go po prostu pozbył. Choć z drugiej strony, gdyby połączyć ich wspólne wysiłki w... Czasami aż bał się o tym pomyśleć, co to też mogłoby być, gdyby współpraca z Urszyllem doszła rzeczywiście do skutku. Rzucenie całego świata na kolana, oblanie wszystkich nienawistnym strachem oraz paraliżem, o czym Dziewic marzył już od dawna, byłoby wreszcie wykonalne nie stanowiąc więcej żadnego dla Dooila problemu. Tym czasem jednak, ciągle było inaczej. Dziewicem, u którego wewnętrzny nastrój destrukcji i niszczenia ulegał powoli, lecz nieubłaganie, wcześniej zaprogramowanemu stanowi radosnego uniesienia koniecznemu do wykonania dzisiejszego zadania, wstrząsały bezustannie sprzeczne ze sobą uczucia, i gdyby nie obecność Progętaliny w jego krwi i won Wściba w tłumie, Dziewic rzuciłby się z pewnością na Urszylla już dawno. Przemiana na szczęście następowała, co prawda powoli, ale nieubłaganie i nieodwracalnie, zaprogramowana i sterowana na odległość najnowocześniejszym komputerem wieloprocesorowej generacji Lowmanna, wspartym najdłuższą anteną filotelepatyczną, oraz siłą Przyrządu. W takich momentach Dziewic tracił całkowicie normalną świadomość i swoją codzienną tożsamość. A będąc perfekcjonistą w każdym calu, poddawał się obcej sile wręcz po mistrzowsku. Każde powierzone mu więc zadanie wykonywał z precyzją automatu, najlepiej, jak tylko potrafił. Poza tym, poza kasą i pracą, nic go raczej nie interesowało, i nic go raczej nie obchodziło. Po powrocie nie pamiętał i tak nigdy niczego: ani tego - kim był, ani tego - gdzie był, ani tego - co robił. To dopiero pracownicy przeprogramowalni wypełniali jego puste ciało i jego pusty umysł zawartością, wlewając w nie na powrót jego normalną, codzienną, Dziewicową świadomości, jak i tożsamość.

Urszyll będąc tuż przed końcem kazania, transował: - Dlatego też wszyscy jesteście w takiej właśnie sytuacji. I to tak makabrycznej. I jak twierdził Gurdijeff, gdybyście wiedzieli o tym, to byście natychmiast umarli. Może właśnie dlatego nikt z was nie stawia sobie żadnych pytań. Może to właśnie dlatego nie chcecie o niczym wiedzieć, ani zapytać: - Co, lub kto, powoduje ten nasz upiorny stan?! Dlaczego też istota ludzka obdarzona tyloma wspaniałymi talentami stworzyła sobie tak dziwny świat, w którym już nawet sama nie

może normalnie żyć?! Kto i po co stworzył to całe wzajemne pożeranie, to całe wzajemne wyzyskiwanie się i zabijanie?! Czy prawdą jest, że istnieje ukryta przed nami wielka siła, siła nieznana i złowroga?! A może człowiek ma po prostu naturalnego wroga przewyższającego go nie tylko inteligencją, ale również wiedzą i technologią?! A może jesteśmy tylko i wyłącznie takim stadem hodowlanym na pastwisku zwanym Ziemią, a nieliczni wybrańcy pełnią tu tylko role elektrycznych pastuchów?! Oto pytania, które w przeciwieństwie do waszych potrzeb, stały się moją wewnętrzną koniecznością, moją wewnętrzną obsesją. Dlatego też przelewam teraz na was część mojego bólu wierząc, że da on wam więcej, niż wszystkie gotowe odpowiedzi, których tak oczekujecie. Niech będzie on jak zaczyn, i niech zaczyn ten spowoduje wasz pierwszy krok, krok na drodze waszych przemian... Urszyll poczuł, że lewituje, a miłość do nich wszystkich wlewa się weń jak wino w podstawiony puchar. To była czysta rozkosz. Prawdziwy Thenahejski orgazm! - Pamiętajcie jednak! - Wykrzyknął jeszcze. - Nigdy nie spowodujecie żadnych praktycznych przemian w waszym życiu, dopóki nie wypełni was wasz własny ból świadomości tego, kim moglibyście się stać tu na Ziemi, gdybyście tego tylko zapragnęli, a kim się jednak nie staliście! Nigdy też nie spowodujecie żadnych zmian, dopóki pragnienie zmiany istniejących warunków nie stanie się w was silniejsze od wygody i spokoju, jaką gwarantuje wam, wasza dobrze wam znana, codzienność!

I w tym oto niespodziewanym dla wszystkich momencie Wgląd fiknął kozła. Filiżanka kawy zatoczyła koło oblewając jego świeżo wykrochmaloną koszulę brudnymi fusami oraz najważniejsze jego papiery i dokumenty dzisiejszej akcji, ciemną, wodnistą, brejo-mazią. - O Boże! - Wyszeptał Wgląd lądując twardo na dywanie. - O Boże! - Wyszeptał Dziewic nerwowo poruszając się w Yoni Maczy Dooroby. - O Boże! - Wyszeptała prof. Dooroba czując wyraźnie przedwczesne zakończenie dzisiejszej sesji, bowiem właśnie w tym momencie poczuła, że dzisiaj niczego więcej już nie poczuje. I Maryłej Dziewic to poczuł. I to był koniec. Koniec wszystkiego. A dzisiejszej akcji pozyskania Urszylla z Zamiłowic dla Dooila, w każdym bądź razie, definitywny!

Urszyll z Zamiłowic skończył również. Uniósł ręce i błogosławił siebie. A potem i tłumy. Błogosławiąc ich czuł wyraźnie, ale na szczęście nie przedwczesny koniec, lecz dopiero rozkoszy początek: tę charakterystyczną słodycz wlewającą się w jego serce, co też i tę, która

wylała się z niego na tłumy. Na wszystko i wszędzie. I oni też to poczuli. Nawet Maryłej Dziewic, bo nagle, tak jak i wszyscy inni, padł naraz na kolana i błagalnie wyciągnął ręce ku niebu. Chorzy i sromi zgromadzeni najbliżej Urszylla poderwali się, a potem nagle, jakby pchnięci niewidocznym ciosem, padli wszyscy na ziemię: to Świetlista Dusza zstępując za przyzwoleniem Thenahå, napełniła ich łaską i zarazem zdrowiem. Urszyll z Zamiłowic płynął tym czasem unoszony magiczną siłą nad górą, a całą jego postać rozświetlał Thenahejski blask. Ludzie mrużyli oczy, żegnali się krzyżami, szeptali między sobą, niektórzy krzyczeli, niektórzy śmiali się, niektórzy płakali, a jeszcze inni mdleli, aż nagle, poderwani jakąś niewidzialną siłą podnieśli się wszyscy naraz, a powietrze przeszyło jedno, głębokie westchnienie, które przewaliło się przez dolinę jak grom: - Thenahå, ta, która jest. - Cholera... - Zaklął Dziewic podnosząc się z ziemi i próbując otrzepać zbroję. - A niech to szlag! - I naraz, zupełnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zaczął rozpływać się w powietrzu jak poranna mgła ogrzana słońcem. Ciało won Wściba w tym samym czasie opadło delikatnie na fotel, zmiękło i won Wścib nagle oprzytomniał. Szybko się ubrał, usiadł w fotelu i jak gdyby nigdy nic rzucił w interkom: - Sprowadźcie go tutaj!! - I tu won Wścib rzeczywiście się obudził. Całe ciało miał zdrętwiałe więc poruszał się z trudem. Z trudem wstał, z trudem się przeciągnął i z trudem spojrzał na zegarek. Była 04:37:21. Prześpię się, pomyślał. Muszę choć trochę wypocząć. Wstał. Wyłączył komputer i lampę. Po ciemku położył się, a miękka skóra kanapy i miły koc uśpiły go natychmiast. Po chwili gabinet wypełniało już tylko jego przeraźliwe chrapanie, już żadne nad specjalne misje bowiem, żadne zjawy z zaświatów ani on sam do siebie samego, nie miał już żadnego dostępu. Poza Maryłejem, naturalnie, który, pojawiwszy się naraz w jego uśpionej świadomości, wyrywał go brutalnie ze snu, wrzeszcząc: - Zapomniałeś o spotkaniu, dupku?! - A gdy won Wścib mruknął coś niezrozumiale pod nosem, ciężko przewracając się na drugi bok, Maryłej natarł na niego jak rozjuszony, spragniony świeżej krwi wojownik, jeszcze natarczywiej: - Wstawaj do cholery, ale już! Zaraz zaczynam!

I rzeczywiście Dziewic zaraz zaczął, bowiem dosłownie w tym samym momencie, w którym zasapany won Wścib otworzył drzwi auli, a było to w jakieś niecałe sześć minut od wyrwania go ze snu, usłyszał: - Na początku chcę Państwu przedstawić autora, oraz współtwórcę programu Sattan, Dyrektora Departamentu Molekularnej Odnowy i Modelingu, prawą rękę samego prezydenta, Prof. dra Krzysztofa won Wściba. Oto i on! - W niewielkiej auli Dziewiątego Departamentu Najnowszych Technologii wypełnionej po brzegi wytwornie wyfraczonymi słuchaczami ponadnarodowego establishmentu władzy, stał przed małym pulpitem żywo gestykulując i równie żywo się do wszystkich uśmiechając. Won Wścib krztusząc się i sapiąc wyprężył dumnie pierś. - Dziękuję Państwu. Dziękuję! - Dziękował kłaniając się z wdziękiem, a zwracając się zgrabnie ku Dziewicowi, szepnął: - Wziąłeś Progętalinę?! - Maryłej wydął wargi, zmarszczył na moment czoło, a w jego oczach pojawiły się złośliwe ogniki. Powoli odwrócił się jednak ku sali. - Idiota! - Wycedził jeszcze.

- Rezonans. - Rozpoczął płynnie i jak gdyby nigdy nic. - Od momentu pojawienia się tutaj na Ziemi, każdy człowiek będąc otwartym układem energetycznym, potrzebuje energii zawartej w otoczeniu do tego, aby w ogóle tu żyć, a jego ciało ciągle drga - wibruje - jak najwspanialszy, najdelikatniejszy i najczulszy układ rezonansowy - antena nadawczo odbiorcza. Ludzkie drganie będąc energią w morzu energii ma charakter wielowymiarowy, wszyscy drgamy bowiem nie tylko sami z siebie i to tylko z nam daną częstotliwością, lecz również cały czas odbieramy, drgając z częstotliwościami obcymi - i to właśnie dlatego podatni jesteśmy tak bardzo na wszelkiego rodzaju manipulacje. A na syntetyki dooilskie, w szczególności! Każdy z nas bowiem nadaje i każdy z nas odbiera, najczęściej jednak nikt z nas nie jest tego świadomy, nie ma więc wpływu na to - co, i na to - jak, oraz na jakiej fali prowadzi ogólną komunikację - każdy z nas drga bowiem najczęściej nie ze swoją własną częstotliwością, która przez nałożenie innej częstotliwości na naszą własną, zostaje zmieniona, lecz z tą właśnie inną - obcą i wymuszającą. Dlatego też, co podkreślam, możemy zupełnie nagle, niespodziewanie, zniewolić każdego w ten sposób, aby nie wiedział o tym nic a nic! Aby nie znał do tego

ani sprawcy, ani przyczyny, ani powodów swojego zniewolenia! I to jest paradygmat podstawowy, którym się dzisiaj zajmiemy. To bowiem, z jaką częstotliwością, z jakim natężeniem, z jaką barwą i jakim potencjałem drga siła wymuszająca dająca ludziom siłę, zdrowie, radość i życie, lub niewłaściwa, przynosząca im swoją obecnością wyczerpanie, smutek, chorobę i śmierć, oraz jakie informacje na sobie samej przenosi - pozytywne, dobre lub negatywne, złe - powoduje wszystko: i to, kim ludzie są, i to, jak działają - co w każdym momencie ich życia widzą, myślą, czują i czynią. - Słuchacze będąc wyraźnie pod wrażeniem bili brawo, a to utwierdziło Dziewica w jego teatralnym przejęciu. - Z tego to też właśnie powodu większość naszego społeczeństwa ma bardzo niejasne pojęcie o czymkolwiek, a o otaczającym ich zewsząd świecie, prawie żadnego. Na ogół bowiem ludzie, w ogólności, są pewni tylko tego, że rzeczywistość jest taka, jaka jest, że żyją i że kiedyś będą musieli umrzeć. Całą resztę ich wiedzy spowija dość gęsta mgła niejasnych przekonań i poglądów, i to nawet wtenczas, kiedy twierdzą z całą stanowczością, że jest inaczej. Dlatego też na ogół wszyscy oni mylą swoje poglądy z faktami, i to właśnie one - te poglądy - wypełniają im na co dzień ich mózgi dość banalnymi myślami o czymkolwiek. Podobnie jest z rezonansem, który jako centralna siła w naszym układzie słonecznym decyduje w ich życiu o wszystkim, a, o którym nie mają żadnego pojęcia. Są więc zupełnie nieświadomi tego, co też takiego on powoduje lub\oraz może powodować. Nie wiedzą również i o tym, że w naszym celowo przez nas rozbuchanym elektronicznie, współczesnym świecie, to właśnie my utrudniamy wszelką obronę oraz wszelką ochronę przed każdą szkodliwością, a w wielu przypadkach, wręcz ją uniemożliwiamy! Dzięki bowiem naszym działaniom opartym od dawna na naukowej doktrynie, człowiek dla człowieka nie tylko nie może, ale i nie jest najważniejszy, a najczęściej, nie zostaje nawet rozpoznany jako człowiek. W praktyce oznacza to, że ludzie pod wpływem naszego działania stają się coraz mniej świadomi czegokolwiek, a więc zamiast stawać się coraz lepszymi, robią się tylko gorsi, a przez to, rozwijają i potęgują wszelkie patologie społeczne, które postępując ciągle uzależniają ich jeszcze i jeszcze bardziej. Koło tej sytuacji zamyka się w miejscu, w którym umożliwia nam rozwój naszych technik. Manipulacja i zniewolenie, stają się więc coraz lepsze, i coraz doskonalsze. Od lat bowiem wpływają na nich już w ten sposób, aby nie mogli oni uczynić niczego sensownego w sytuacjach najwyższej konieczności! I tak rzeczywiście się dzieje. Przecież, jak sami to wiecie, znacie wszakże, jak przypuszczam, wypo-

wiedzi Urszylla z Zamiłowic, co trzeci mieszkaniec naszej Ziemi nie ma dostępu do wody pitnej, co piąty musi z tego powodu umrzeć, co siódme dziecko umiera z głodu, jednocześnie codziennie wyrzuca się lub niszczy 120 milionów ton żywności, nie wspominając już nawet o tym, ile milionów metrów sześciennych wody marnuje się codziennie chociażby w takim kraju jak nasz. W tej chwili prowadzimy na całym świecie ponad 179 konfliktów zbrojnych, w których jedni ludzie zabijają bez pardonu innych ludzi, torturują ich i niszczą. Czyżby więc nie czyniąc nic aby temu zapobiec, wszyscy oni z jakiegoś powodu uważali, że stan ten nie jest stanem najwyższej konieczności?! I jeżeli tak, to czyż nie jest to najdziwniejsze i najbardziej zaskakujące pod słońcem? - Dziewic uśmiechnął się przebiegle marszcząc czoło i znacząco przy tym kiwając głową. Zebrani bili brawo.

- Wibracje, jak podaje nasza naukowa encyklopedia PWN - rozpoczął po chwili na nowo przerwany wątek - można zastąpić słowem rezonans. I tak - cytuję - Rezonans jest słowem utworzonym od łacińskiego słowa *resonatia* i oznacza dźwięk, echo, pogłos, oddźwięk lub odgłos. W fizyce rezonansem nazywa się znaczne wzmożenie drgań niektórych układów mechanicznych, elektrycznych lub optycznych - u nas również biologicznych - pod wpływem działającej na nie siły zewnętrznej o częstotliwości zbliżonej do częstotliwości drgań własnych tychże układów. I co dla was - Panie i Panowie - będzie najważniejsze: układy takie - cytuję - pobudzone do drgania przez zmienną siłę zewnętrzną, drgają z częstotliwością siły wymuszającej drganie. W muzyce rezonans jest wzbudzaniem drgań ciał sprężystych przez falę dźwiękową lub bezpośrednio przez drgania źródła dźwięku. W encyklopedii nie podano jednak tego, że również układy biologiczne - także takie, którymi są nasze ciała fizyczne, zbudowane z ponad 80-ciu bilionów komórek - należy zaliczyć do w/w definicji. Nie podano również i tego, że rezonans to baza, a także niezachwiany fundament całej naszej konstrukcji oraz struktury: wszelkiej manipulacji informacją - od informacji międzyatomowych i międzykomórkowych począwszy, a na informacjach między wszechświatowych i między sferycznych kończąc - a przez to, że to baza oraz fundament wszelkiej zależności, bez której, niewyobrażalna byłaby nasza tu dominacja.

- Psychobiofizyka, nie mylcie jej jednak Państwo z jej nieortodoksyjnym odłamem - rozpoczął po krótkiej przerwie Dziewic - o takiej samej nazwie, bo taka też istnieje, to nie tyko fizyka, biologia i psy-

chiatria, ale i filozofia, i etyka. I to przez duże eF i duże Te. Będąc przez wieki dziedziną ściśle nieortodoksyjną, proludzką, przez Enkiela specjalnie dla ludzi stworzoną, ostatnio pozyskana została przez nasz Departament Pozysku - przygarnęliśmy ją, lub raczej, brutalnie po prostu przywłaszczyliśmy - i to w jednym jedynym celu: ich jeszcze większego uzależnienia. Bowiem, jak sami się zaraz o tym naocznie przekonacie, zajmuje się ona od teraz głównie tym, czym zechcemy, aby się zajmowała, czyli, oddziaływaniem - współzależnością - wibracją - rezonansem wszelkich układów technicznych i biologicznych, we wszystkich ich możliwych wymiarach, i na wszystkich ich możliwych płaszczyznach. Jest więc dziedziną międzystrefową, zajmującą się siłami działającymi na odległość - interakcjami zarówno pomiędzy ludźmi, jak i między ludźmi i otaczającym ich światem. A najważniejsze dla nas wszystkich w tym wszystkim jest to, że nasza Psychobiofizyka zajmuje się rozwijaniem i udoskonalaniem systemów wzajemnej, ale, jak już o tym wspomniałem, ujemnej - dla nas jednak jak najbardziej pożądanej - interakcji strefowej. W obrębie jednej strefy i płaszczyzny, między, powiedzmy, ludźmi lub/oraz jednocześnie w obrębie wielu stref i płaszczyzn, między materią żywą a nieożywioną, między wieloma strefami, wieloma płaszczyznami oraz wieloma wymiarami jednocześnie oraz to, że wykorzystuje ona rezonans właśnie, i to głównie, do jego ujemnego działania - uzależniania wszelkiego niezależnego życia - a przez to, że możemy zawładnąć nimi wszystkim do tego stopnia, że wreszcie zostaną naszymi niewolnikami, i to dobrowolnie, na wieki wieków! - I tu Dziewic nonszalancko się ukłonił. - Prosimy o szczegóły! - Krzyknął ktoś z sali. - Kochani! Spokojnie! Jeszcze nie skończyłem. - Prostując się, uśmiechnął się rozbrajająco. - Zaraz będą i szczegóły. Poczekajcie chwilkę. - Nalał sobie powoli wody z karafki i równie powoli przepłukał usta, jednocześnie pozwalając swoim myślom na małą, niezależną eskapadę: - I każdy z nich sądzi - pomyślał śledząc obrazy w swoich myślach - że o tym wie, i każdy z nich myśli, że jest tego świadomy. A jednak trwają w tym od wieków i nic nie wskazuje na to, żeby się to miało zmienić. Ciągle widać mają za mało dowodów. Za mało faktów. I ciągle za mało trupów. A przecież powinni wiedzieć! Powinni też i czuć! A jednak! A jednak, a jednak, a jednak… - Po chwili, jak gdyby nigdy nic ciągle się uśmiechając do wszystkich, tuż po odstawieniu szklanki na srebrną tackę, powiedział:

- Z grubsza, lub nawet globalnie to ujmując, rezonans nie ma w sobie żadnych pozytywnych, czy też negatywnych implikacji: jest działa-

niem o zupełnie neutralnym przesłaniu. A jednak niezupełnie. Z naszego dooilskiego bowiem - bardzo subiektywnego, zresztą - punktu widzenia, dzielimy działania rezonansowe na bardzo wiele ważnych rodzajów. I tak istnieją działania świadome i nieświadome - te, których jesteśmy świadomi i te, których świadomi nie jesteśmy, ukryte i jawne, szkodliwe - złe - i nieszkodliwe - neutralne, i te po prostu dobre. Te, które nazwałem psychoelektrobiomanipulacją, i te psychobiostymulujące, oraz biologiczne i techniczne, z tym, że rozgraniczenie między techniką a biologią jest umowne, i przebiega u nas na płaszczyźnie fizycznej: wszystko to, co zostało stworzone przez ludzkie ręce - maszyny i urządzenia, z wykluczeniem stworzonych ostatnio przez mózg i ręce ludzkie bioelektrotechnologii - jest rodzaju technicznego, a wszystko to, co naturalne, ziemskie, wszechświatowe, jest rodzaju biologicznego. Działania te mogą mieć charakter sztuczny - techniczny, oraz naturalnie biologiczny - ludzki, ziemski i kosmiczny, oraz coraz częściej i coraz lepiej nam znany - dodał znacząco - najogólniej to ujmując, obcy - ufolgiczny, demonologiczny, terrologiczny lub sferologiczny. - Co?! Jak?! Jaki?! - Przez salę przeleciał powiew zaskoczenia, lecz Dziewic celowo go zignorował. - Istnieją również działania pomieszane - kontynuował z rozmysłem - naturalne i sztuczne, czyli po prostu wymieszanie wszystkiego ze wszystkim. Aby lepiej uzmysłowić wam ogrom tego problemu oraz możliwości jakie on powoduje, podam taki oto, dość niewinny przykład: gdybyście nagle wszyscy razem zostali jakąś tajemniczą siłą przeniesieni na planetę o nazwie „wysypisko śmieci" lub „obóz koncentracyjny", to podejrzewam, że o ile tylko moglibyście z niej uciec, ucieklibyście natychmiast, bowiem barbarzyństwo, nienawiść i terror, czy też brud, swąd, insekty, brzydota oraz choroby, które to miejsce powoduje, nie pozwoliłyby wam na miłe tam, codzienne bytowanie. Podobnie jest z każdym syntetycznym smogiem, z tą jednak różnicą, że ponieważ z planety współczesnych śmieci elektromagnetycznych nie da się donikąd uciec, musielibyście chcąc nie chcąc, żyć na niej nadal. A przecież byłaby to planeta śmierci! W rzeczywistości ziemskiej jest na szczęście i lepiej, i gorzej jednocześnie, bowiem to zależy dla kogo. Nam jest tu wspaniale. Przecież do nas należy ta planeta i to my decydujemy tu o wszystkim. Inni jednak… - Dziewic uśmiechnął się kwaśno, cynicznie przepraszając. - *Cervical dislocation*. Można by rzec! - Popatrzył znacząco po rozbawionej sali. - Dla nich nasza współczesna planeta, szanowni Państwo - rozpoczął po chwili podkreślając każde słowo - to nieprzypadkowy rów leśny wypełniony jakimiś przypadkowymi odpadkami. Dla nich na-

sza współczesna planeta, to celowo i świadomie przyrządzony zbiór najbardziej zabójczych fal, ich najbardziej zabójczych częstotliwości oraz najbardziej zabójczych informacji przenoszonych na nich. Dla nich nasza planeta to nie jakiś przypadkowy, byle jaki i mało znaczący obóz koncentracyjny, znany nam już z kart naszej historii, lecz celowe, świadome i wytrwałe działanie nas wszystkich, celem ogłupienia oraz zniewolenia ich jako całości! - Brawo! - Krzyczeli najbliżej siedzący. - Brawo! - Dziewic przerwał na chwilkę. Kłaniając się i uśmiechając do wszystkich lodowato, przewrócił parę kartek: - I tak fale Herza - rozpoczął - odkryte i nazwane tak na cześć ich badacza, Rudolfa Herza, gdybyście Państwo nie wiedzieli, są jednymi z niewielu rodzajów fal w ogólności, którymi zajmiemy się dzisiaj szczegółowo, ponieważ to one właśnie są podstawą i bazą w całej tej naszej strukturze. Częstotliwość fal elektromagnetycznych mierzymy właśnie w Herzach i jest ona odwrotnością zjawiska okresowego, równą liczbie powtórzeń w jednostce czasu. Fale elektromagnetyczne, to w uproszczeniu przenoszenie się w środowisku materialnym albo i poza nim, zmian pola elektromagnetycznego, które charakteryzuje się trzema podstawowymi właściwościami: kształtem, częstotliwością i natężeniem. I wszystkie te właściwości są dla nas bardzo ważne: od kształtu zależy bowiem barwa fali, od częstotliwości jej intensywność, a od natężenia - siła. Najważniejsza jest jednak częstotliwość, bo to ona w głównej mierze powoduje wszystko. Ucho ludzkie odbiera fale o częstotliwości pomiędzy 16 i 20.000 Hz, psy słyszą dźwięki do 30.000 Hz, a nietoperze nawet do 75.000. Oko ludzkie widzi pomiędzy ultrafioletem i infrarotem fale o częstotliwości 10 Hz, a każda cząsteczka DNA w naszym ciele odbiera i nadaje różne fale o różnych częstotliwościach, niektóre komórki komunikują się przy pomocy infradźwięków, inne zaś dźwięków ultra, wszystkie one razem jednak połączone są ze sobą siecią częstotliwości nadprzewodnikowej, która najprawdopodobniej nie jest rodzaju elektromagnetycznego, podlega jednak i wpływom, i naciskom, tego właśnie środowiska. - I tu Dziewic podniósł swój głos o ton wyżej. Skandował powoli, z namaszczeniem: - Środowiska nad którym mamy całkowitą kontrolę! Panie i Panowie! Nasza planeta pływa w morzu fal, lecz sama wibruje z ekstremalnie niską częstotliwością, w granicach od jednego do stu Herców, i nazwaną ELF - *exstremaly low frequencies* lub, ekstremalnie niskimi częstotliwościami, a jej drgania podstawowe wynoszą 7,83 Hz. Ludzki mózg, gdy odizolujemy ciało od wszelkich wpływów technicznych, drga z taką samą częstotliwością jak Ziemia. Dlatego też drgania Ziemi nazwaliśmy

Falą Życia, i są to najważniejsze częstotliwości, od których zależy całe nasze życie i zdrowie. Energia elektromagnetyczna bowiem jako taka, a jej swobodny przepływ przez nasze ciało przede wszystkim, wydają się być głównym czynnikiem naszego tutaj zdrowia, lecz także i naszej śmierci. I nie było by w tym wszystkim niczego doprawdy jakiegoś wyjątkowego, wartego tego nad specjalnego zajmowania się tą całą plątaniną fal i drgań, w końcu jest to doprawdy fenomen czysto naturalny, gdybyśmy nie zechcieli jednak wykorzystać tej całej energii do świadomego krzywdzenia innych. I uzależniania. I to jest właśnie to. Ten punkt. I to do tego tak poważny, że nie tylko, że warto się nim zajmować, ale i należy, ponieważ - co będę podkreślał dzisiaj nieustannie - nasza cicha manipulacja falami w wyższych wymiarach może nie tylko całe nasze społeczeństwo ludzkie, i to na wszystkich płaszczyznach jednocześnie, i niszczyć i zabijać, ale, ona może je również, co jest dla nas tutaj najważniejsze, bez jego najmniejszej wiedzy o tym - ubezwłasnowolnić - pozbawić go świadomości tego, że to już nie ono samo decyduje o jego życiu, lecz, że robimy to już za niego - właśnie MY! - Doskonale! - Powiedział ktoś z sali, a niektórzy słuchacze bili brawo wyraźnie ukontentowani tym, co właśnie usłyszeli. - Do tego jeszcze, szanowni Państwo - kontynuował Dziewic - istnieją też fale Tesli - Skalary - odkryte przez naszego genialnego amerykańskiego badacza, fizyka i inżyniera, Prof. dr Nikolę Teslę, które różnią się od fal Herza tym, że nie posiadają żadnego napięcia, nie pokazują więc na zewnątrz żadnej amplitudy drgań wypadkowych, która będąc zależna od ich symetrii formy wynosi zero, nie można więc żadną konwencjonalną metodą naukową zmierzyć ich potencjału, ponieważ wszystkie przyrządy pomiarowe jakie wymyślili do tej pory racjonalni ludzie, opierają się na zasadzie pomiaru różnic, a fale Tesli żadnej różnicy nie posiadają. Poszczególne części fali Tesli nakładają się na siebie w taki sposób, który powoduje samoistne ich wyciszenie. Tylko przy pomocy naszych, specjalnie w tym celu skonstruowanych urządzeń mierniczych typu: Grawitacjometr, czy Magnetometr, da się wykazać ich istnienie lub zmierzyć ich potencjał. I tylko trzy, ale za to zasadnicze aspekty charakteru tych fal, tworzą z nich fundament naszej Psychobiofizyki Kwantowej. A aspektami tymi są:

a. Nierelatywne zachowanie synchroniczne: W momencie wytworzenia fal Tesli w ich formie stojącej w dowolnym punkcie X, mogą one również powstać w miejscu, w którym chcielibyśmy, żeby powstały, czyli w dowolnym punkcie Y,

przykładowo, na naszych Księżycach, Słońcach, lub w dowolnie innym miejscu, bowiem ich odległość fazowa w przestrzeni logarytmicznej wynosi zero.

b. Niekonwencjonalne zachowanie entropijne: Skalary nie przekazują ani nie tracą swojej energii w zależności od odległości, jaką przebyły, lub jaką mają przebyć, jedynie pompują ją w przód i w tył w połowie długości fali, są bowiem falami przestrzeni liniowo-logarytmicznej. Jeżeli podczas tworzenia fali daliśmy jej moc dziewięciu miliwatów, to po dotarciu do dowolnego miejsca zachowuje ona tę samą - niezmienną w czasie - wartość początkową.

c. Niekonwencjonalne zachowanie informacyjne, które oznacza, że na fali Tesli możemy przesyłać dowolne informacje. Skalary - podobnie do fal radiowych - lecz bez możliwości ich rozpoznania, co jest tutaj bardzo ważne - mogą przenosić dowolne informacje na dowolne odległości.

- Nadają się więc znakomicie, i to we wszystkich ich aspektach jednocześnie, właśnie do naszych celów. Dlatego też przejdę teraz do Syntetyki. - Dziewic przerwał na chwilkę. Zszedł z podwyższenia i podszedł do won Wściba. Nachylił się nad nim i coś mu szepnął do ucha. Won Wścib uśmiechnął się, po czym pokiwał ze zrozumieniem swoją siwą głową. Maryłej wrócił więc za pulpit i tak oto po chwili rozpoczął: - Syntetyka, szanowni Państwo, to subiektywna manipulacja syntetyczna, najwspanialsza wirtualna pigułka jaką człowiek kiedykolwiek wymyślił dla drugiego człowieka, ponieważ zadaniem jej, a także celem, jest blokowanie każdej ludzkiej świadomości oraz aparatu rozeznania, a do tego, ani jej nie widać, ani jej nie słychać, a często, nie da się jej również nawet poczuć, nie można jej zrozumieć, ani pojąć, jest taka, której istnienia i działania nie da się współcześnie ot tak po prostu, ani fizycznie, ani chemicznie, wykazać, a nawet, na sobie samym stuprocentowo stwierdzić. Jest przez to gorsza od każdej bomby atomowej, ponieważ jest ich wszystkich przyczyną. Nie znając do tego ani jej sprawców, ani ich celu, ludzie nie znają również celu jej konkretnego działania. Mogą więc tylko coś tam przypuszczać, coś podejrzewać, coś myśleć lub kombinować, ale to jest już wszystko, co mogą, lub, co zechcą w ogóle uczynić! - Brawo! - Znowu krzyknął ktoś z sali. - Brawo! - Podchwycili i inni. - Dziewic uśmiechnął się nonszalancko, jednocześnie uważnie

spoglądając na won Wściba. - W końcu nie na darmo wydaliśmy zakaz uczenia w szkołach - kontynuował - oraz na uniwersytetach o zagrożeniach i chorobach, jakie może ona powodować. Jest nawet lepiej: większość rodzimych, ortodoksyjnie nastawionych naukowców twierdzi zupełnie dobrowolnie, i to zupełnie niezależnie od naszych zaleceń i oczekiwań, że po pierwsze, żaden psychosmog nie istnieje, a po drugie, że elektrosmog wcale nie jest taki zły. I tak, gotowanie, czy chociażby, podgrzewanie mleka dla niemowląt w mikrofalówkach w naszym kraju jest jednym z najwspanialszych osiągnięć naszej XXI wiecznej, ludzkiej techniki, oczywiście najzdrowsze z najzdrowszych, nie wspominając o telefonii komórkowej, czy satelitarnej, która u nas jest wspaniałą, chrupiącą bułeczką na śniadanie, która jednak w rzeczywistości od lat gotuje - rozmiękcza - rozmawiającym ich spragnione nowości mózgi! Elektrosmog zabija, mili Panowie. To fakt. I nawet jeżeli uważacie jeszcze nadal, że jest to tylko nasz propagandowy pogląd, a nie naukowy fakt, to wiedzcie, że nasze ostatnie, utajnione oczywiście doświadczenia na ELF, prowadzone przez nasze niezależnie instytuty w Ameryce, w Australii, Finlandii, Szwecji czy Kanadzie, wykazały jednoznacznie, że nawet niewielkie odchyłki od normy w naturalnym rezonansie ziemskim, powodują trwałe zmiany w każdym organizmie żywym, łącznie z naszymi ciałami oczywiście: trwałe zmiany komórkowe, takie jak zdolność przyswajania i wydalania koniecznych minerałów, wielokrotny wzrost produkcji RNA, mutacje kwasu nukleinowego, w szczególności w układzie nerwowym, w sercu i mięśniach szkieletowych, interakcje z *transient frez radicals*, dyfuzje membran komórkowych, oraz *vital bond angels*: naruszenie połączeń enzymów i substratów, rotacyjną polaryzację molekuł, segregacje substancji paramagnetycznych i diamagnetycznych, pobudzenie prądów inter- i infrakomórkowych. Dlatego też odnieśliśmy aż tak duży sukces poddając codziennie wybranych ludzi, właśnie tego rodzaju świadomej manipulacji. I tak w Wietnamie testowaliśmy Psa, w Iraku - Revela, Pisa, Sasa, Skuda, i Simdeka, w Jugosławii - Papa, Simdeka, ale jego kolejną już, ulepszoną wersję, Usteka, i Seduka, w Czeczenii - Sera, a w Afganistanie - Ustina. Niewielu z was ma pewnie tego świadomość, ale poprzez świadomie w akcjach tych zastosowaną zmianę częstotliwości ludzkiego biopola, mogliśmy kierować ludzkim zdrowiem i samopoczuciem na odległość, a informacje przesyłane na tej samej fali pomogły nam uzależniać i ubezwłasnowolniać, albo stymulować i pobudzać. Jest nawet w jakimś sensie jeszcze lepiej: nasze współczesne techniki bioelektromagnetyczne, w tym i syntety-

ka, mogą z każdym zrobić prawie wszystko to, co zechcemy z nim zrobić, a on będąc nieświadomym niczego, nie będzie miał żadnych szans na jakąkolwiek obronę. Dobrym, lecz wyjątkowo ekstremalnym przykładem niech będzie Esemdek, nasz skonstruowany w Ameryce generator psycho elektro bio akustyczny, zastosowany z wielkim powodzeniem w Iraku, Jugosławii i Afganistanie. Ludzie poddani jego działaniu tracili nagle ochotę do życia popadając masowo w zwątpienie i czarną rozpacz, a skutki uboczne jego działania, ataki padaczki i czerniak pospolity, atakują i męczą wszystkich, nawet zupełnie niezwiązanych z tymi działaniami ludzi, co z wielkim zadowoleniem podkreślam, a, o czym możecie się Państwo przekonać, czytając nasze najnowsze, angielskie opracowania medyczne na ten temat.

- Na poparcie mych słów podam wam jeszcze jeden przykład: choć nie wiem czy widzieliście nasz film Filadelfia nakręcony w latach 70-tych w USA, oparty zresztą na faktach autentycznych, bowiem na pierwszej naszej próbie dematerializacji materii fizycznej, a w tym przypadku, całego niszczyciela US Marine Eldrige wraz z załogą, czy też może tylko o nim słyszeliście, niemniej, zastosowana tam przez nas technika elektro magnetyczna, pozwoliła na czasowe zniknięcie całego statku, a nawet na czasowe przeniesienie niektórych członków jego załogi w inny wymiar czasoprzestrzeni. Technika psycho elektro magnetyczna zastosowana w tym eksperymencie, a raczej jej jak gdyby niezaplanowane i uboczne działanie, dała nam wiele do myślenia, zachęcając nas skutecznie do dalszych doświadczeń uwieńczonych w końcu najnowszym naszym projektem - Montauk, w którym stało się możliwe to, co do tej pory było absolutnie niemożliwe: świadome wysyłanie lub\oraz\i przesyłanie materii fizycznej do innych wymiarów czasoprzestrzennych, lub/oraz, innych wszechświatów, oraz projektem Sczytywania Duszy - *Synencod**e***, opisanym po raz pierwszy przez naszego czołowego badacza, dr Nikolsa. Sczytywanie Duszy, w wielkim skrócie, polega na odłączeniu Duszy od ciała i zapisaniu jej w pewnego rodzaju biokomputerze plazmowym celem jej późniejszego wykorzystania, gdzie takie funkcje jak kopiowanie, klonowanie, wszelka na niej manipulacja łącznie ze zmianą wszelkich zapisanych w niej informacji, oraz zapisanie jej samej w, lub/oraz na, przeróżnych nośnikach, ciałach fizycznych, to codzienna, rutynowa praca zespołu przeprogramowaczy. Jak widzicie - i tu Dziewic uśmiechnął się z wykalkulowaną, zimną wyższością - nasza technika jest, oraz pozostaje na razie poza waszymi możli-

wościami, ale - zawiesił na chwilę głos - chcemy to zmienić. Mając ją już bowiem, będziecie wreszcie mogli tak jak i my, globalnie, technicznie i powtarzalnie, zniewolić wszystkich niewygodnych wam ludzi lub\oraz\i wspólnie, będziemy mogli wreszcie zniewolić wszystkich ludzi globalnie. Dowodem niechaj będą dla was wszystkie nasze ostatnie rządowe operacje! Znacie przecież akcje w Grenadzie, w Kuwejcie i Iraku. W Panamie, w Arabii i Afganistanie. Na Haiti, i w Jugosławii. Nieprawdaż?! - A widząc niepewność niektórych, podniósł dłoń i zaczął powoli, z namaszczeniem, wyliczać: - Urgent Fury, Just Cause, Desert Shield, Desert Storm, Uphold Democracy, Joint Guard, Desert Thunder, czy chociażby Desert Fox… - I teraz dopiero najbliżej siedzący zaczęli kiwać głowami z uznaniem. Dziewic uśmiechnął się wyraźnie zadowolony. - Musicie przecież przyznać - odwzajemniając uznanie słuchaczy odpowiednim wyrazem twarzy oraz dumnym spojrzenia, rozpoczął na nowo - że jest to wielce zadawalające, iż rodząc się tu w tym naszym świecie, lub raczej, wradzając się w ten nasz ludzki, ziemski świat, ludzie wradzają się tu już jak gdyby w zastany porządek. To przecież nie oni kształtują system, lecz to on raczej wypala na nich jego zaborcze piętno. Przecież to właśnie dzięki nam ich pierwotny program, zostaje brutalnie, wszelkimi możliwymi środkami zmodyfikowany i siłą dopasowany do panującej w danym momencie doktryny, czyli do naszych wyobrażeń i naszych oczekiwań, a nie ich własnych. Tak też, rodząc się, lub jak kto woli, wradzając się, pojawiają się w zupełnie obcym wymiarze, i w zupełnie obcym świecie zaczynają trwanie i uczestniczenie. Poddani naszym najwymyślniejszym programom reedukacyjnym, stają się z czasem nierozerwalną cząstką z resztą otaczającej ich ludzkiej, pozornie naturalnej trójwymiarowości. Zapominają kim byli jak się rodzili, zapominają po co przybyli na ten świat, zapominają bezpowrotnie o wszystkim. Podobni są tym samym do stada baranów na łące, które potrafią paść się, lub przeraźliwie ryczeć w oczekiwaniu na pasterza, i na rychłe zarżnięcie, nie potrafią jednak uczynić niczego, aby nie tylko temu przeciwdziałać, ale, aby świadomie to zmienić. - Dziewic uśmiechnął się promiennie rozrzucając jednocześnie ręce na boki. – Panie i Panowie! - Powiedział dobitnie. - To właśnie my decydujemy o całej ludzkiej populacji i jej swobodnym rozwoju, i to nie tylko w formatach makro-, ale głównie w formatach mikroskopowych: molekularnym, genetycznym i kwantowym. Bo taka jest siła naszego Przyrządu. I tak to ma być!

Po chwilowej owacji wśród słuchaczy, Dziewic uciszając powoli salę,

powrócił do tematu: - Możecie mi wierzyć, lub też i nie, możecie się ze mnie śmiać, lub ze mnie szydzić, możecie mnie nazwać oszołomem, lub po prostu wariatem, nie zmienia to jednak w żaden sposób żadnych faktów, z którymi powinniście się nie tylko zapoznać, ale ponadto, je sobie do tego jeszcze dobrze przyswoić! Tak jak przed wieloma milionami lat bowiem, tak i dzisiaj, codziennie uzależniamy, zniewalamy, zatruwamy i zabijamy wszystkich niewygodnych nam ludzi na wiele wyrafinowanie subtelnych sposobów, które tylko niewielu z was mogłoby sobie uświadomić, a jeszcze mniejsza wasza ilość potrafiłaby z nimi walczyć, bowiem są one coraz bardziej wyrafinowane, coraz bardziej subtelne i przebiegłe, a przez to, coraz lepiej ukryte przed ludzkimi zmysłami. Niektórzy uważni obserwatorzy jednak - i tu Dziewic ukłonił się lekko Wielkiemu Kanclerzowi Narodów - obserwujący uważnie zachowania ludzkie mogą spróbować wyśledzić to co anormalne, a co już od dawna za normalne zostało przez wszystkich ludzi tu na Ziemi przyjęte. I tak, szanowni Państwo, po fazie rozmiękczania, w której wywołujemy w każdym człowieku kryzys tożsamości doprowadzając go do pełnej dezorientacji i potrzeby odnalezienia zagubionej struktury, na której mógłby się oprzeć, zawsze następuje faza zmiany, w której podajemy rozmiękczonemu umysłowi gotowe, wcześniej spreparowane informacje wsparte systemem kar i nagród, systemem nakazów, zakazów, celowych pochwał i wyróżnień. W fazie ostatniej, cementujemy i utrwalamy nowo przyjęte postawy, akceptując, chwaląc i nagradzając bez jednej przerwy nowo narodzonego, doprowadzając go tym samym do pożądanego stanu gotowości na dobrowolną i zaangażowaną współpracę. I wierzcie mi, po takim wieloletnim i dość skutecznym reeformowaniu im ich umysłów, zostali najbardziej poplątanymi, najbardziej zdezorientowanymi, i najbardziej sztucznymi sami w sobie samych. Nie dość, że rozpięliśmy ich wszystkich na parysile przeciwstawnych przeciwieństw wykluczając tym samym zrozumienie i pojęcie Jedni, to tym samym stworzyliśmy nieświadome niczego, pozbawione krytycznego myślenia i postrzegania, całkowicie zmechanizowane bioroboty. Maszyny do wypełniania, powielania i utrzymywania pozornej, za jedyną jednak możliwą uznanej, naszej codziennej międzyludzkiej rzeczywistości ziemskiej. Wszystkich tych, natomiast, których nie udało się nam zreformować, bo i tacy istnieją, wykluczyliśmy nie tylko ze środowiska międzyludzkiego, ale przede wszystkim z wszelkiego życia. Stworzyliśmy tym samym gatunek, społeczeństwo, które rożni się od wszystkich innych tym, że jest aż tak różne i aż tak niespójne wewnętrznie, co i zewnętrznie.

Do dość pogmatwanego planu genetycznego, dołączył równie pogmatwany plan społeczny, dając tym samym wybuchową mieszankę: totalne pomieszanie i totalną histerię, pozwalającą nam czynić tu na Ziemi to, co nam się żywnie podoba.

- Panowie!... I Panie! - Zaraz poprawił się Dziewic. - Nasi podopieczni nie wiedząc kim są i po co, żeglują tym samym ruchem wstecznym na naszej planecie Ziemi ku określonemu przez nas, jedynemu portowi ich przeznaczenia. Nie posiadając ani kierunku, ani celu, ani wiedzy, ani mądrości, ani wolności, ani miłości, tworzą świat iluzji mamiąc siebie nawzajem różnymi świecidełkami, przepychają się, szturchają i popychają, wmawiając sobie samym ich własną nieomylność i celowość, podpierają się nawzajem, popierają i utwierdzają, a za kawałek kiełbachy i obietnicę przeżycia sprzedają się sobie nawzajem, czyniąc całe ich życie nie tylko koszmarnym snem, ale i koszmarną rzeczywistością. Bowiem za pieniądze gotowi są zrobić wszystko to, czego bez pieniędzy nigdy by nie zrobili. Będąc więc nieświadomym automatem w naszych rękach, tworzą to, co zechcemy aby tworzyli: samych siebie i ich własny świat, w którym jednocześnie muszą też żyć. Pomimo tego bowiem, że zawsze pragnęli miłości i dobra, to my zmusiliśmy ich do tworzenia nienawiści, zazdrości i zawiści. I zła. Pomimo tego, że zawsze pragnęli odwagi i wolności, to my zmusiliśmy ich do życia w strachu i niewoli. Pomimo tego bowiem, że zawsze pragnęli pokoju i równości, wszczynają wojny i wyzyskują. Najzabawniejsze jest jednak nie to, że oni nie zdają sobie sprawy z koszmaru w jakim się znaleźli, oraz również nie to, że nie są świadomi ich upiornej zależności. Najzabawniejsze jest to, że robiąc to, twierdzą, że robią to dobrowolnie, dla ich wspólnego dobra, dla dobra całej ich ludzkiej wspólnoty, oraz to, że wmawiają to sobie w żywe oczy, najczęściej bezgranicznie sobie nawzajem ufając i bezgranicznie sobie wierząc, albo nie wierząc i nie ufając sobie w ogóle, milczą, lub potakują, nie robiąc jednak nic a nic, aby odwrócić skutki naszych ochot, naszych pomysłów i naszych czynów - korzyść bowiem płynąca z milczenia i potakiwania jest dla nich większa niż męczarnia samotnej, nieopłaconej i nieopłacalnej z nami walki. - Widownia była pod wrażeniem, które, co było widać teraz wyraźnie, ciągle rosło. - Szanowni Państwo! - Po krótkiej przerwie rozpoczął Dziewic. - Od pewnego czasu używamy najnowszej naszej broni, z pozoru dość delikatnej i błahej, lecz w swojej istocie bardzo agresywnej, sprytnej i przebiegłej, którą dla kamuflażu nazywamy teraz neuromarketingiem, czyli - sugeracją promocyjną: *show pro-*

ductem placementem. Przy jej pomocy możemy promować teraz już wszystko: nie tylko jakieś produkty, ale przede wszystkim i idee, przekonania, religie, wiarę, naukę, edukację, politykę, finanse, uczucia i myśli... Teraz, z każdego przeciętnego dupka, możemy zrobić, przepraszam - możemy wypromować - wspaniałego, cudownego czarodzieja, a z każdego mądrego, szlachetnego i łagodnego człowieka, najgorszego głupka, a ostatnio nawet - najgorszego terrorystę! Nie ma już teraz dla nas żadnych rzeczy, ani żadnych idei niedobrych, czy też złych: teraz wszystko jest dozwolone, cudownie wspaniałe, nawet to, co cudownie wspaniałe nigdy nie było, takim nie jest, i takim po prostu być nie może, bo jest to po prostu zwyczajnym, śmierdzącym strasznie gównem! Dlatego też chcielibyśmy, aby w każdym państwie, którego przecież przedstawicielami jesteście, rządy wydawały biliony dolarów na nasze specjalne, by nie rzec wręcz - nad specjalne - laboratoria, w których rozwijalibyśmy, sprawdzalibyśmy i doskonalilibyśmy wszelkie rodzaje manipulacji: i te proste, ustne lub pisemne małe propagandy i cenzury, wszelkie małe nakazy, niegroźne zakazy i narzucony siłą przymus, i te zaawansowane systemy szczegółowo opracowanej manipulacji syntetycznej. Dlatego też chcielibyśmy, aby każdy Urząd Stołeczny, Wojewódzki, Powiatowy czy Gminny, każdego państwa, posiadał co najmniej jeden taki nasz nad specjalny oddział, który utrzymywany byłby, co chcę w tym miejscu podkreślić - za ich pieniądze i za ich przyzwoleniem! Każdego towarzysza, polityka, biznesmena, czy innego, z jakiegoś powodu ważnego showmana, moglibyśmy wtenczas szkolić i prowadzić przez świat promocji jak króla. Każdemu z nich moglibyśmy dostarczyć specjalnego doradcę od mas mediów - kierownika kampanii medialnej - Konsultanta Medialnego - doktora, albo i mecenasa *public relations*. A każdy dom, każda rodzina, każdy człowiek mógłby być wtenczas naszym nad specjalnym laborantem - uzoologowionym zwierzem eksperymentalnym: codziennie mógłby głowić się nad tym, jak by tu najlepiej przeżyć, jak by utrzymać tu zdobyte już pozycje, i jak by je skutecznie obronić przed innymi. Mógłby walczyć nie będąc świadomym naturalnego dobrobytu. Mógłby walczyć nie będąc świadomym tego, że wszystkiego wszędzie jest w bród, i to w takim nadmiarze, że nawet gdyby zechciał, nie mógłby tego przez następny miliard lat skonsumować! Nie byłby świadomy, nie wiedziałby, a nawet nie chciał by wiedzieć, że jedynym i wyłącznym celem wszystkich naszych politycznych wyczynów jest chęć naszej globalnej, całkowitej dominacji. Dlatego też twierdzę, że nienawiść musi ciągle nienawidzić! Przemoc musi ciągle

zabijać i torturować! Kłamstwo musi ciągle kłamać! Kołtuństwo musi się też kołtunić, muszą być granice, różnice, bomby atomowe, nakazy, zakazy i represje... Oraz ich niezmienna, niczym jednak niepoparta wiara, że Ameryka rzeczywiście lepsza jest od byłego ZSRR. My natomiast musimy ciągle mieć władzę, no i pieniądze! - I tu Dziewic na krótką chwilkę przerwał. Ponownie zszedł z podwyższenia, podszedł do won Wściba i się nad nim nachylił. Po chwili wszedł z powrotem na podwyższenie, i tak oto rozpoczął:

- Szanowni Państwo! Żadną miarą nie możemy pozwolić więc na to, aby ktoś niepostrzeżenie przejął nad naszymi osiągnięciami kontrolę, bowiem to mogłoby doprowadzić do tego, że nie tylko, że wiele set bilonów dolarów mogłoby przelecieć nam przed nosem, ale, i że nasza pozycja wśród ludzkiego społeczeństwa, mogłaby zostać zachwiana! - Na Sali zapanowało nerwowe podniecenie. - Dlatego też do omówienia pozostał nam jeszcze jeden *konsensus integralis*. I to do tego poważny. A jest nim cała, niezależna, ciągle w siłę rosnąca, współczesna nauka behawioralna. Dziedzina, która sposobem jakimś dziwnym, by nie rzec wręcz, wprost tajemniczym, próbuje nie tylko nas prześcignąć, ale i nami zawładnąć! - A widząc wyraźne, nerwowe ożywienie oraz strach w oczach słuchaczy, dolał oliwy do ognia: - I być może to właśnie ona już wkrótce spróbuje i nas ubezwłasnowolnić! - To prawda! - Dały się słyszeć liczne zaniepokojone szepty. A nawet okrzyki. - Próbują… - Cholera! - Zaklął pod nosem won Wścib. - Cholera…! - Powtórzył. Dziewic w tym samym czasie kłaniając się nisko widowni zgrabnie uciszył salę ręką. - Jak wiecie, osobiście nigdy nie interesowałem się żadną nieortodoksją, uważałem bowiem, że ogólnie rzecz ujmując, porządek karetezjańsko newtonowski jako taki, dał nam tak wielkie możliwości w panowaniu nad rzeczywistością, iż zainteresowanie jakimkolwiek innym, byłoby zupełną stratą czasu! W końcu zawładnięcie nie tylko ich ciałami ale i ich świadomością, a wreszcie, celowe i świadome ubezwłasnowolnienie ich wszystkich, możliwe było tylko dzięki nauce otwarcie pozwalającej, przyzwalającej oraz gloryfikującej nierówności nie tylko fizyczne i emocjonalne, ale i duchowe. Pomimo tego całego jednak, ogromnego ortodoksyjnego poparcia, chcę w tym miejscu zaznaczyć, że ortodoksja ma też i słabą stronę, że tworzą ją też czasami nieobliczalni ludzie, tacy, którzy próbują nas oszukać i upokorzyć! Okraść i znieważyć! Wtajemniczyli bowiem, udostępnili i obdarzyli niektórych z tych, których my z tak wielką zawziętością od wieków zwalczamy uzależniając, informacjami o możliwościach wo-

lności - o uwolnieniu, oraz uniezależnieniu się: Humanistyka mistyczna. Homeopatia magiczna. Skablaronika. Holotropika. Medycyna magiczna. I niezależna! A wraz z nimi, nowoczesne techniki uśmierzania bólu, leczenie urazów i ratowanie życia, profesjonalna diagnostyka medyczna, elektroniczna medycyna magnetyczna, a także nowoczesna psychoterapia. Humanistyka teozoficzna. Hipnoza kwantowa. Fizyka drgań ferronowych. Matematyka intencji. No i największe szkody nam przynoszący - niezależny psycho elektro biorezonans - uwieńczony równie niezależną - Psychbiotroniką. - Dziewic westchnął, a z nim westchnęła cała sala. - Jak sami to widzicie, jest tego sporo. - Dodał teatralnie, smutno kiwając głową. - A szkody jakie nam to może przynieść, są doprawdy nieobliczalne. Dlatego też, zaprosiłem dzisiaj do nas prawdziwą Mistrzynię Magicznego Rzemiosła, przedstawicielkę Magicznego Nurtu, odłamu najniebezpieczniejszego dla nas wszystkich, Krzysztofę Benc, osobę, którą udało nam się niedawno pozyskać, i która zapozna was dzisiaj ze szczegółami. - I tu, zupełnie niespostrzeżenie Dziewic uruchomił Przyrząd. Tuż za nim otworzyły się jakieś do tej pory ukryte drzwi i na podium weszła Krzysztofa. Niezdecydowanie podeszła do Dziewica i stanęła tuż obok. Dziewic dość teatralnie, lecz jednak skutecznie uśmiechnął się do niej, uściskał ją, i ręką wskazując swoje miejsce na podium, sam płynnie usunął się w cień, po prostu schodząc z podwyższenia i siadając tuż obok won Wściba. - Medyczne techniki uśmierzania bólu nie wymagają żadnego komentarza - rozpoczęła od razu Krzysztofa - każdy z was bowiem wie co to jest ból. Podobnie jest z diagnostyką medyczną, leczeniem urazów i ratowaniem życia, ale z Remami jest już zupełnie inaczej, są one raczej znane niewielu z was, wykorzystują bowiem do swojego działania nieznaną ogólnie zasadę rezonansu magnetycznego, uwieńczoną wyjątkowymi urządzeniami jakim są. Remy pozwalają na diagnozowanie całej struktury kostno-mięśniowej człowieka lub\oraz emocjonalno psychicznej. Od niedawna istnieją też urządzenia pozwalające nie tylko na diagnozowanie oraz stabilizację całego ludzkiego potencjału elektromagnetycznego, lecz również na wszelkie manipulacje psycho dosomatyczne, choć praktyk lekarskich w których moglibyście się poddać ich działaniu nie znajdziecie nigdzie. Poza naszą praktyką, oczywiście… Podobnie jest z elektro biodoakupunkturą, która pomimo wielkiego magicznego potencjału, nadal pozostaje na uboczu, poza aspiracjami wielu intelektów. Psychobiotronika natomiast, podobnie zresztą jak i każdy inny rodzaj współczesnej Behawiorystyki integralnej, czy też behawioralnej Homeopatii magicznej, jest nie

tylko nieznana normalnym ludzikom, ale i wam, Panie i Panowie, a jej najnowsze osiągnięcia uwieńczone budową nowego Paraprzyrządu, to już w ogóle. - I tu podniosła palec do góry. I zaraz dodała pytając zaskoczonych słuchaczy: - Czy wy to rozumiecie?! - Na sali zakotłowało się nerwowo. Krzysztofa wykorzystując chwilę całkowitego osłupienia, niewinnie się uśmiechnęła. - Pozwólcie zatem - przerwał na chwilę uciszając ręką wybuch wrzawy na sali - że zapoznam was pokrótce z tematem.

- Psychointagra. (Psychoterapia mistyczna) Człowiek w służbie ludzkości. - Powiedziała znacząco. - Jak już o tym wspominałam - wszyscy usłyszeli jej ciepły, spokojny, pewny głos, który w jakiś magiczny sposób powoli uspokoił ich zupełnie - już dość dawno temu odkryto - że nie istnieje żadna jasna granica między materią a nie materią, że istnieje poważny podstawowy związek między energią wszelkich rzeczywistości, dlatego też uznałam, że wszystko jest jednym i tym samym, taką wszystko obejmującą JEDNIĄ, TOŻSAMOŚCIĄ LUB PRZENIKALNOŚCIĄ. Inaczej to formułując mogę powiedzieć, że kartezjańsko newtonowskie pojmowanie rzeczywistości określające materię i energię jako różne światy lub stany, nie znalazło potwierdzenia i stało się tym samym empirycznie niewerfikowalne. Konsekwencją takiego stanu rzeczy było potraktowanie wszystkiego jako nierozerwalnej całości, razem z człowiekiem oczywiście, co zaowocowało możliwością wnikliwego zainteresowania się psychoterapią - awangardą współczesnej medycyny, praktycznym sposobem pomagania, w którym człowiek mógł stanąć wreszcie w służbie innego chorego człowieka, traktując go tak, jak na to od zawsze zasługiwał - z szacunkiem, miłością i zrozumieniem - gdyby tego tylko zapragnął i zechciał. Do dyspozycji dostał bowiem Dianetykę Rona Hubarda, NLP Grindera i Bandlara, Terapie Rodzinne Satir, Terapie Metaforyczne Miltona Eriksona, oraz Ustawienia Berta Hellingera, Homeopatię, Radiestezję, Radionikę i Holotropikę - najwspanialsze współczesne techniki uzdrawiające, które opierając się na najwnikliwszych obserwacjach ludzkich poczynań i zachowań, mogą rzeczywiście bezboleśnie uzdrowić całe ludzkie psychoemocjonalne ciało, lecz także, uwolnić go od każdego ubezwłasnowolnienia spowodowanego przez świadome czy też nieświadome siły obce. - I tu Krzysztofa ukłoniła się wszystkim sztywno, uśmiechnęła jednak rozbrajająco, czym pozyskała sobie od razu przychylność słuchaczy, i tak oto kontynuowała:

- Cytując Wojtka Eichelberga: Granica między obszarami kompetencji Psychointagry i medycyny tak naprawdę, przebiega między patologią struktury, a resztą. Medycyna programowo zajmuje się wyłącznie patologią struktury, a wszystko poza tym, to realny i potencjalny obszar interwencji Psychointagry: obraz świata, zrozumienie losów ludzkich, zrozumienie i rozpoznanie dziedzictwa rodzicielskiego, sposób interpretowania świata oraz wpływ, jaki ten świat i interpretacja zdarzeń ma na strukturę emocjonalną, na sposób reagowania emocjonalnego, także to, w jaki sposób napięcia spowodowane emocjami modyfikują funkcje organizmu i jak to się ma do patologii funkcji. Świat psyche oraz interakcje między rzeczywistościami. Emocje grupowe oraz zależności psycho emocjonalne w rodzinie, a także w społeczeństwie. Opętanie emocjonalne oraz psychiczne. Uzależnienia. Ubezwłasnowolnienie osobiste oraz grupowe. Siły oraz interakcje między nimi a człowiekiem. Język. Jego możliwości i ograniczenia. Ludzkie możliwości i ograniczenia w ogólności. Droga. Dysharmonia i cierpienie. Ból. Rozpacz. Zaniedbania. Klątwa pokoleń. W przestrzeni tej, zupełnie jak bąbelki w oranżadzie, luźno dryfują sobie wszystkie sposoby przejawiania się człowieka. Gdybyśmy teraz powiedzieli, że te bąbelki w jakiś sposób od siebie zależą, czy wpływają na siebie, to byśmy utknęli w starym paradygmacie. W nowym bardziej mieścić się będzie ich obraz jako kryształowych, lustrzanych kul, z których każda zawiera wszystkie pozostałe jednocześnie. Taki model jest bardziej prawdziwy, ale nie sposób go narysować, można go sobie tylko wyobrazić. Wynika z tego, że jeżeli zajmujemy się którymkolwiek z aspektów, to tak naprawdę zajmujemy się nimi wszystkimi bowiem wszystkie one stanowią JEDNOŚĆ. I to, mam nadzieję, tłumaczy wszystko, dlatego też, przejdę od razu do paraelektro biorezonatyki magnetycznej, i behawioralnej w jednym, czyli prawdziwej nauki w służbie ludzkości. Ostatnio na naszym rynku pokazał się w sprzedaży elektrorezonator elektromagnetyczny nazwany przez niemieckiego producenta Mesjaszem - kieszonkowy generator REG (Rezonanz Erdgenerator), u nas nazwany Generatorem mikromagnetycznych rezonansów Szamana. Mesjasz, jak pewnie niektórzy z was o tym już wiedzą, wykorzystuje do ochrony ludzkiego życia (ciała) przed elektro smogiem również bardzo silne pole elektromagnetyczne o przychylnej nam co prawda, stałej częstotliwości 7,83 lub 8 Hz, co, jak twierdzi jego producent, ochrania nas przed nim, lecz działanie takie, moim zdaniem, nie jest rozwiązaniem dobrym, ani optymalnym. Optymalne rozwią-

zanie jednak oferuje tylko i wyłącznie TASAR, podobne urządzenie para, które zabezpiecza nas jednak stojącymi falami Tesli - Skalarami, a nie falami Herza! Różnica jest zasadnicza! Tasar nie tylko zabezpiecza i wzmacnia ludzkie pole życiowe, które nie jest - najprawdopodobniej - polem elektromagnetycznym, ale przede wszystkim, dopasowuje go do każdego otoczenia, w którym się właśnie znaleźliśmy. Tasary nie używając żadnych fal elektromagnetycznych wzmacniają w ludziach ich pole życiowe, reorganizując im ich DNA oraz spowijając całe ich ciała łącznie z aurą, rodzajem skalarnego kokonu bezpieczeństwa, w którym organizm ma możliwość wysyłania swojego własnego sygnału o swojej naturalnej częstotliwości, oraz odbierania wszelkich naturalnych, lub/oraz innych sygnałów stymulujących. Uważam, że musicie o tym wszystkim wiedzieć, zanim podejmiecie odpowiednie decyzje, oczywiście. Innym, podobnym urządzeniem, wykorzystującym efekt rezonansu, którego nie dostaniecie jednak w naszym kraju, podobnie co i Tasara, jest… - Mogłaby pani z łaski swojej zaoszczędzić nam tych wszystkich nudnych szczegółów! - Cichy, lecz zdecydowanie mocny szept z końca sali przerwał zaskoczonej Krzysztofie w pół zdania. - O tym, jak pani pewnie dobrze wie, możemy sobie bezpośrednio poczytać w Aberagibie. W zaciszu naszych gabinetów, oczywiście. Po to w końcu nam ja daliście, nie? - Więc… - Profesorze! Nie uważa Pan - Wielki Kanclerz Narodów zwrócił się teraz bezpośrednio do won Wściba - że wystarczy już tego przynudzania?! - Dziewic zachęcony energicznym przynagleniem won Wściba zerwał się jak oparzony, i skwapliwie potwierdzając: - Ależ oczywiście Ekscelencjo… Ależ oczywiście… - Nacisnął guzik pilota. Z Krzysztofą stało się coś dziwnego: jej postać zamigotała jak obraz w zepsutym telewizorze, podzieliła się na wiele jaśniejszych oraz ciemniejszych pasów, po czym naraz zgasła. Przez chwilę pozostał po niej tylko mały czerwony punkt zawieszony w przestrzeni, lecz i on zaraz przepadł gdzieś z sykiem.

- Szanowni Państwo! Jak sami się pewnie już tego domyślacie - Dziewic rozpoczął jak gdyby nigdy nic wchodząc na podwyższenie - udała nam się rzecz prawie niemożliwa. - Nie zważając na poruszenie wśród słuchaczy wywołane tym dziwnym wygaszeniem Krzysztofy, uśmiechnął się rozbrajająco. - Nie dość, że przejęliśmy od nich te wszystkie techniki, to rozwinęliśmy je jeszcze i udoskonaliliśmy wielokrotnie. Tym samym uniemożliwiliśmy im zupełnie realizację ich własnej powinności, obowiązku wręcz, zmiany siebie samych przez siebie samych. Lecz to oto właśnie nam chodziło! - I już

zupełnie rozluźniony, zapominając zupełnie o zamieszaniu z Krzysztofą, powiedział: - Jak ładnie ujął to nasz przedstawiciel, kierownik naszego public relations, mecenas dr Osho, gdy tłumaczył im powody ich własnej niechęci do takich działań: Wasza osobista rewolucja zawsze wymierzona jest w Boga, musi się więc odbyć wbrew jego woli. Nie ma w związku z tym żadnych szans na powodzenie! - Czyż to nie jest wspaniałe wyznanie?! - Zapytał rozbrajająco Dziewic. A uciszając ręką rozbawioną salę dodał: - Oni już nigdy nie spowodują żadnych praktycznych przemian w ich osobistym życiu, nawet wtenczas, gdyby wypełnił ich, ich własny, straszny, i to nie do wytrzymania, ból świadomości tego, kim mogliby się stać tu na Ziemi, gdyby tego tylko na prawdę zapragnęli, a kim się jednak nie stali. Mili Panowie i Wy miłe Panie! Być może wydaje się wam, że to wszystko nie ma niczego wspólnego z naszym dzisiejszym tematem, a jednak nic bardziej mylnego. To bowiem, jak oni drgają - jak, i o czym myślą, jak, i co czują, co mówią, i co czynią - zależy od tego, jak drgają inni, jak drga świat, który ich otacza, a nawet cały wszechświat. Więc, jeżeli nie weźmiecie steru w swoje dłonie, i to natychmiast, może się zdarzyć, że znajdą się już niedługo jacyś obcy ludzie, może nawet jakieś obce istoty, lub\oraz obce siły, które zechcą świadomie i niekorzystnie wpłynąć tutaj na Ziemi na wasze drganie, na wasz rezonans, a to, mogłoby mieć ogromne, wręcz przerażające konsekwencje praktyczne. I to dla nas wszystkich. Bowiem, mogłoby to - Dziewic cedził słowa z szatańską wręcz precyzją - być może, oczywiście - wpłynąć na to, jak postrzegacie wszystko i jakimi sami dla siebie samych jesteście. Przecież wiecie, że raz zainfekowanemu odwagą, prawdą, dobrem czy miłością organizmowi ludzkiemu, nie można już w żaden sposób pomóc! Tego nie da się ot tak po prostu odinfekować! Wybaczcie mi więc proszę w tym miejscu mój być może zbytnio rozbuchany optymizm, bo rzeczywiście, może te wszystkie moje przeczucia, przemyślenia i pragnienia są nie na miejscu, niczego nigdzie nie zmienią, w żadnym z was, a ja się tu panie niezdrowo podniecam, ale ponieważ ja rzeczywiście bardzo głęboko wierzę w to, że jesteście rzeczywiście najprawdziwszym homagé de la nations, oraz że wszystko zaczyna się właśnie tutaj, w tej auli, i to właśnie teraz, wierzę i twierdzę, że nasza współpraca będzie rzeczywiście owocna, i że rzeczywiście wpłynie ona na nas wszystkich w jakiś tajemniczy, oraz cudownie pozytywny sposób! A teraz pytania. Macie Panowie jakieś?! - I tu Dziewic uważnie rozejrzał się po sali. - Chętnie zobaczylibyśmy wreszcie działanie Przyrządu w praktyce. - Dał się słyszeć znowu ten mało słyszalny, aczkolwiek bardzo

stanowczy szept z końca sali. Dziewic popatrzył na won Wściba pytająco, po czym skwapliwie potwierdził prośbę Wielkiego Kanclerza Narodów płynnym uśmiechem. - Ależ oczywiście Ekscelencjo! - Wyszeptał. Won Wścib lekko skinął swoją głową i dosłownie w tym samym momencie tuż za Dziewica plecami wychynął z podłogi tysiąc calowy plazmak, a przed nim, na finezyjnej, złotej podstawce, Przyrząd, którego oko natychmiast uważnie wpatrzyło się w uczestników spotkania, bacznie lustrując rzędy siedzących. Przez aulę przeleciało ciche westchnienie zachwytu. Won Wścib wstał i ukłonił się nonszalancko. A na ten znak z Przyrządu wstrzelił jasny, oślepiający promień biało błękitnego światła łącząc głowę Dziewica z jego własną, a zaraz potem i Kanclerza Narodów, który ze strachu odchylił się w swoim fotelu gwałtownie do tyłu i z takimi otwartymi, oniemiałymi ustami, blady jak kreda zamarł w bez ruchu. Naraz wszystkie światła zgasły i aulę spowiła całkowita ciemność, w której wyraźnie dało się wyczuć westchnienie wielkiej ulgi. Przyrząd zamknął swoje oko i po chwili na ekranie plazmaka zebrani zobaczyli nagiego Urszylla na łożu Sfer, jak nazywano u Dooila fotel dereesocjalizacyjnych przeprogramowań. - Panowie! - Powiedział patetycznie i bardzo poważnie Dziewic. Oto i on!

W Departamencie Odnowy i Modelingu znowu było tak, jakby miało się to dopiero wydarzyć, choć powroty do przyszłości w tym miejscu, nie zawsze były takie. Wskazówka Przyrządu skakała co prawda po całej jego skali jak oszalała, lecz prof. Macza Dooroba nie tego się spodziewała. Ze znużeniem ciężko westchnęła, spojrzała wymownie na Urszylla, wyłączyła wzmacniacz, i zapadła w krótkie, nad wyraz jednak głębokie zamyślenie. To wszystko nie trzymało się kupy. Urszyll, jak łatwo było to zauważyć, tuż po wybudzeniu rzeczywiście pozbawiony był części świadomości, lecz cały czas coś było jeszcze nie tak! - Sprowadzę cię teraz Urszyllu - zaczęła - na najgłębszy poziom najgłębszego wymiaru. - Włączyła akcelerator strumieniowy stymulujący bezpośrednio szyszynkę Urszylla. - Nie dasz rady Dooroba! - Przerwał jej Urszyll jakimś obcym, metalicznym głosem. W grymasie niezadowolenia Macza zmarszczyła czoło, nie przerwała jednak. - Bezpośrednio potem osiągniesz cel swojej podróży. - Nie dasz rady!! - Nie ustępował Urszyll, lecz jego głos stawał się za każdym, kolejnym razem, bardziej odległy i metaliczny. Macza spojrzała kwaśno na Urszylla i właśnie miała wstać, kiedy nagle drzwi sczytywalni otworzyły się i do środka wszedł Dziewic. Macza uśmiechnęła się do Dziewica mówiąc jednocześnie do Urszylla. - Pozostaniesz tam tak długo, jak długo to będzie konieczne, a po wybudzeniu, nie będziesz pamiętał niczego. Zajmiesz się swoimi normalnymi, codziennymi sprawami, a gdy wezwę ciebie następnym razem, poddasz się mojej woli bez żadnego sprzeciwu. - Nie poddam się! - Powiedział dość przytomnie i agresywnie Urszyll. - Co?! - Macza była tak zaskoczona, że aż zaniemówiła z wrażenia. To było zupełnie niemożliwe: pomimo trwałej indukcji oraz wspaniałego wręcz kontaktu z Przyrządem, jakaś część Urszylla pozostawała ciągle świadoma. To nie zdarzyło się jeszcze nigdy, a jednak. - Nie poddasz się?! - Zapytała Macza opanowując się błyskawicznie. - Jesteś pewien?! - Zapytała z wyraźną groźbą w głosie. Pomimo tego, że Urszyll poczuł straszliwy ból w głowie, powtórzył z uporem: - Nie poddam się! - Poddasz się! - Nacisnęła mocniej. Urszyll krzyknął z bólu, lecz jeszcze raz z uporem powtórzył: - Nie poddam się!! - Poddasz się!! - Nie poddam się!!! - Poddasz się!!! - Nie... - Poddasz się!!! - Nie poddam się!!! - Krzyknął Urszyll. - Poddasz się. - Powiedział spokojnie Dziewic. - Nie poddam

się!!! - Wrzasnął Urszyll twardo. - Poddasz się. Poddasz… - Nie po... - I tu Urszyll nagle zamilkł. Macza i Dziewic również. Przez chwilę siedzieli w absolutnej ciszy, w której z Urszyllem działo się coś strasznego: jego ciało kurczyło się, to znowu puchło, a głowa obracała mu się powoli o trzysta sześćdziesiąt stopni wokół własnej osi, a przy tym wszystkim, i to do tego zupełnie bezgłośnie, Urszyll potwornie przerażająco krzyczał. Wszystko to trwało dosłownie parę chwil, a potem nagle ciało Urszylla zwisło bezwładnie na krześle. Macza wstała. Spojrzała znacząco na Dziewica i ruszyła w kierunku Urszylla. Nachyliła się nad nim i coś szeptem, cichutko, powiedziała, jednocześnie muskając jego twarz dłonią. I w tym samym dosłownie momencie przekaz wyraźnie się zmienił. Na ekranie sczytywacza pojawił się trzydziesty drugi wymiar, ósmy poziom świadomości Urszylla. Macza wróciła na swoje miejsce i stanęła za Dziewicem. Po chwili Maryłej wstał, podszedł do Urszylla i dość energicznie nim potrząsnął. Nic się jednak nie wydarzyło. Wszystko wyglądało na to, że Urszyll był wreszcie gotowy do rozpoczęcia transmisji. Maryłej odetchnął i z lubością spojrzał na Maczę. - Kocham cię moja mistrzyni… - Pomyślał. Jednocześnie poczuł jak wyraźnie poprawia mu się nastrój. - Jak do tej pory wszystko przebiega prawie bez przeszkód... - Rozpoczął. Jednak Macza przerwała mu w pół zdania zimnym, szybkim spojrzeniem. Wyraźnie była niemiło zaskoczona: To wszystko poszło jakoś tak zbyt łatwo i szybko - myślała - bez specjalnego oporu, na który przygotowywałam się dość długo i dość rzetelnie. Ale wyraźnie tak to musiało już być. Jestem rzeczywiście mistrzynią. A Thenahå… No cóż. Okazała się słabym przeciwnikiem, pozbawionym do tego całkowitej ochoty do walki. A może to nie Thenahå…?! - Pokiwała głową. - To jeszcze prawie dzieciak... - Westchnęła ciężko, podeszła do Urszylla, wstrzyknęła mu dotętniczo odrobinę Askorbiny, hormonu prawdy, włączyła cyfrową kamerę wideo uruchomiając jednocześnie czerwoną gierdówkę łączącą sczytywalnię bezpośrednio z dooilskim centrum komputerowym. Transmisja przekazywana była w czasie rzeczywistym. Spojrzała na Urszylla, kokieteryjnie poprawiła sobie włosy, załączyła elektrodę i włączyła wzmacniacz. Głos automatycznego lektora w słuchawce modulatora częstotliwości nie pojawił się jednak natychmiast. Zamiast tego, Urszyll niespodziewanie wyprostował się w krześle i uśmiechając się zimno, wrzasnął: - Nie poddam się wam skurwysyny! Nigdy!!! - Na co Macza też zimno się uśmiechając podskoczyła do niego zwinnie, po czym trzasnęła go z całej siły w twarz. I jeszcze raz, i jeszcze. I jeszcze… Dopiero Dziewic musiał ją odciągnąć. Lecz to wyraźnie poskutko-

wało, bowiem zaraz usłyszeli klarowny głos lektora skwapliwie podający im kasowane właśnie treści Urszyllowej świadomości:

- ...Gdy przyglądam się codziennie mojemu marnowanemu potencjałowi, moim codziennie marnowanym nieograniczonym możliwościom i całemu temu marnowanemu codziennie potencjałowi ludzkiemu globalnie, jak patrzę na to moje niepojęte życie, i na to całe niepojęte życie naszej błękitnej planety, na ten cały galimatias oparty na wzajemnym pożeraniu, wzajemnym wyzysku, wzajemnym oszukiwaniu, na konkurencji, zazdrości i chciwości, przemocy i nienawiści, to tam gdzieś w moim środku, we wnętrzu mojego ciała, w jego najgłębszej głębi, bardzo mnie boli. Najczęściej boli mnie nie do wytrzymania. Bólowi temu towarzyszy zawsze ten sam smutek i ten sam żal. Niezmienny i stały. Czasami jednak smutek i żal we mnie ulegają mojemu strasznemu oburzeniu. Gniewowi. A nawet wściekłości. Cały świat płynie, zmienia się, pulsuje, kipi swą dynamiczną zmiennością, oburzenie i gniew mój jednak pozostają niewzruszone i obojętne na wszystko. To taka obojętna, niewzruszona, bazaltowa skała. Żywa matryca bólu.

- Gdy przyglądam się codziennie najwyższej Miłości zatrzaśniętej we mnie i siedem miliardów razy w nas wszystkich, i to dzień w dzień, i noc w noc, w naszych sercach, w naszych umysłach i brzuchach, to tam gdzieś w środku mnie, bardzo daleko i bardzo głęboko, bardzo mnie boli. Bólowi temu towarzyszy zawsze ten sam wielki smutek, i niczym nieograniczony, przerażający żal. Smutek i żal jak po utracie kogoś najbardziej upragnionego, i ukochanego najbardziej. Smutek i żal w czasie teraźniejszym jednak, jak po traceniu kogoś najbardziej umiłowanego i ukochanego najbardziej właśnie w tej chwili. Teraz. Dzień w dzień. Godzina za godziną. Minuta za minutą. Boli. Teraz też. I to nie do wytrzymania. A ciebie?!

- Najbardziej boli mnie jednak to, że ludzie są w większości tacy niedobrzy dla siebie nawzajem. Martwi mnie to i przeraża jednocześnie. Boję się i nie rozumiem tego. Bo po co ludzie się wyzyskują, oszukują, okradają, torturują i zabijają tak, jakby to było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem, i tak, jakby to było ich największą życiową pasją i największą życiową przygodą?! Czy rzeczywiście sprawia im to przyjemność?! Czy może robią to tylko ze strachu albo z wielkiej głupoty, lub jeszcze większej ochoty jeszcze większego zysku?! A może jest jednak i coś takiego, coś, co mi umyka, coś, czego

nie mogę lub nie umiem dostrzec, coś przerażającego, coś malutkiego albo wręcz niczym nieograniczonego, jakaś obca, nieznana i złowroga siła powodująca ten psychopatyczny stan?! I nim sterująca?! Bo czyż ludzie sami z siebie samych robiliby te wszystkie straszne rzeczy, najbardziej ze wszystkiego potrzebując właśnie Miłości?! Czy rzeczywiście rację ma ten, który twierdzi, że tylko marność nad marnościami może być naszym udziałem, i nic więcej?! Że nie warci jesteśmy nawet jednego spojrzenia, nawet najmniejszego odruchu współczucia, czy też litości? Że tylko wymazanie naszego programu z programu Życia może nam pomóc i dać wszechświatowi wreszcie odetchnąć?

Dziewic z wielkim podziwem wymownie spojrzał na Maczę. - Twoje metody działania są… - Szepnął, lecz Macza skarciła go wzrokiem. - Macza… - Spróbował raz jeszcze, ale i z tego nic nie wyszło. Lecz zamiast w tym miejscu posmutnieć, lub wręcz obrazić się na nią, Dziewic uśmiechnął się promiennie, bowiem to właśnie to było dla niego w Maczy takie wspaniałe. Profesor Macza Dooroba była nieprześcignioną mistrzynią. A nawet w jakiś cudowny sposób, najwspanialej wyrafinowaną perfekcjonistką. I to podobało się w niej Dziewicowi najbardziej, bowiem Dziewic uwielbiał każdy perfekcjonizm, a u Maczy, uwielbiał go na zabój, wręcz po królewsku. W końcu nie istniały lepsze i bardziej skuteczne metody, niż te wymyślane i stosowane właśnie przez nią. Z pewnością nie wszystkie wymyśliła sama osobiście, ale wszystkie one w jej rękach stały się doprawdy doskonałe. I nikt, i nigdzie, nie mógł się z nią równać. Macza prześcignęła wszystkich. Była po prostu prawdziwą mistrzynią. Prawdziwym filarem dźwigającym. Prawdziwą podstawą nadającą i sens, i treść. I o tym wiedzieli wszyscy. I nawet sam Wielki wiedział, że Macza Dooroba, diament Dooilskiego parnasu, główna jego podpora, i główna jego kokreatorka, to człowiek o wyjątkowych walorach: przebiegły oraz nad wyraz wyrachowany, uwielbiający przy tym najbardziej przez siebie samego stwarzane pozory i iluzje. Większość uważała więc Maczę za istotę wyjątkową: wykształconą, bardzo mądrą, towarzyską, a do tego dobrą i wspaniałą, a jej nic nieznaczący uśmiech, którym obdarzała wszystkich, za wyraz jej intelektualnej głębi i duchowej dojrzałości. Tak naprawdę jednak Macza nie miała kontaktu z żadną Głębią. Była wyjątkowo dobrym *Ivalidatorem,* dla którego wyrachowanie i przebiegłość w pomniejszaniu oraz dyskretna manipulacja słowami, ludźmi i przedmiotami, było celem samym w sobie. Oczarowywała ludzi swoimi retorycznymi popisami,

zdaniami płytkimi i głupimi, choć w swym pozornym brzmieniu pełnymi harmonii i mądrości. W swym czasie Macza uwielbiała Nietschego i Schopenhauera, a w szczególności zaś jego Erystykę. Zawsze robiła tak, żeby było uznane, że to ona ma rację, i że to ona jest mądrą, a że wszyscy inni są głupi, zawistni, zadufani i nierzetelni. Opanowała kunszt ten do tego stopnia, że nikt nie mógł się z nią równać, ani jej żadnym sposobem przegadać. Nigdy nie dawała przeciwnikowi żadnych szans. Potrafiła wszystko tak doskonale wykręcić, przekręcić, wypaczyć i przeinaczyć, że tylko nieliczni wychodzili z tej opresji cało. I to tylko przypadkiem. Była jak rozhisteryzowana pragnieniem bliskości modliszka, która jeszcze podczas kopulacji zżera swojego partnera nie wiedząc, i nie przeczuwając nawet, że bez niego, nie uda jej się zajść w ciążę, ani jej donosić, ani urodzić, ani wychować swoich dzieci na normalnych mieszkańców planety Ziemia. I to pewnie dlatego właśnie ludzi traktowała Macza jak przedmioty. Nie byli dla niej niczym innym ani niczym więcej. Służyli jej tylko do zaspokajania jej rozbuchanych, iluzorycznych potrzeb, których sama nigdy nie potrafiłaby zaspokoić. Jej przebiegłość i jej wyczucie słabości u innych, uczyniło z niej prawdziwą mistrzynię kamuflażu i manipulacji. Macza nie lubiła przyjaźni. Lubiła i ceniła w ludziach inne walory, którymi dysponowali. Prawie wszyscy z jej najbliższego otoczenia byli ludźmi niepewnymi, a przez to gorliwymi i energicznymi sługusami, potrafiącymi bez najmniejszych oporów przymusić innych do morderczej pracy, używając z reguły metod zastraszania i przymusu. Często kłócili się ze sobą o wszystko, a Macza podgrzewała tylko te spory, łatwiej jej było bowiem w takiej atmosferze nie tylko formułować swoje własne propozycje i koncepcje, ale, i to może przede wszystkim, czerpać radość, zadowolenie i siłę ze słabości innych. W takich chwilach Macza wyobrażała sobie siebie samą jako wszechpotężną, pozbawioną wszelkich granic Matkę Wszystkiego: Boginię Mocy zdolną do zapanowania nad wszystkimi i wszystkim. Eliminowanie najmniejszego nawet współodczuwania z jednoczesnym dopasowywaniem wszelkich sprzeczności do własnych iluzyjnych fantazji, nie nastręczało dla niej żadnych trudności. Jako perfekcyjnie wykonane narzędzie, Macza Dooroba nigdy nie miała wyrzutów sumienia. Nie znała w ogóle takiego określenia. Wszędzie gdzie tylko mogła, wykorzystywała każdą sytuację i każdego człowieka do tego, aby sobie samej, i to bez najmniejszego wysiłku ze swojej strony, zrobić jak najlepiej i jak najwygodniej. A jako że poza Dooilą Macza nie znała żadnego życia, służyła jej całym sercem. Afera alkoholowa; Afera sejmowa; Afera parkingowa, energe-

tyczna, medyczna, edukacyjna, ubezpieczeniowa, olejowa, cukrowa, komputerowa, graniczna, przemysłowa i giełdowa - to były wszystko jej idee. Plan Jaruzela, Wałęsy, i Kwacha, to były jej plany. Plan Putynia i Buca też. A może nawet i Busza! Jej ostatni pomysł zarejestrowany w urzędzie patentowym przed zgoła niecałym rokiem pod numerem 789007654321001, noszący tajemniczą nazwę *Suriw*, rozchwytywany był przez wszystkich dooilskich klientów tak, jak przysłowiowe ciepłe bułeczki z piekarni. Był to krótki, biologiczno-komputerowo-genetyczny kod zawieszony w roztworze wody z asparagino-fenyloalaniną, wywołujący u wszystkich, którym go wstrzyknięto, lub, którym podano go do spożycia w jakiejkolwiek innej formie, tak zwaną *Chronikę Fatiguę Syndromę*, chorobę o objawach podobnych do tych wywoływanych przez, też przez Maczę wymyślonego dużo wcześniej, wirusa HIWa, a potem też i SARSa, z tym, że o wiele bardziej przemyślną, o niemożliwych do ustalenia przyczynach jej powstania. Ale najważniejsza i najlepiej przemyślana, była metoda jego realizacji. Podawano go bowiem wszystkim ludziom na wszystkich kontynentach jednocześnie w normalnych szczepionkach wzmacniająco ochraniająco przeciw chorobotwórczych. Łatwo więc można było sobie wyobrazić całą resztę, nie tylko tajne plany i tajne ochoty całej dooilskiej klienteli, ale przede wszystkim, nad specjalne zapędy samego Dooila. W stosunku do Urszylla z Zamiłowic Macza miała też wyjątkowo szatański plan. Ale na razie nie był on nikomu znany, nawet Wielki nie miał jeszcze o niczym najmniejszego pojęcia, pomimo, iż Macza przesłała mu już astralny plan operacji. Dziewic, do czasu jego pełnej realizacji, miał poznać Urszylla możliwie najdokładniej, tak dokładnie, aby planowana identyfikacja psychofizyczna na planie ósmym aż trzydziestego drugiego wymiaru, homogenne scalenie dusz, jak sama o tym mówiła, mogło bez przeszkód zaistnieć i się dopełnić. Do tego właśnie potrzebne było wysysanie duszy - *soul entcod**é*** - a potem specjalny Ałtiding, metoda oficjalnie zwalczana wszelkimi możliwymi sposobami jako zagrożenie dla wolności jednostki, jednocześnie jednak stosowana z wielkim zapałem i bez specjalnych skrupułów na wszystkich nad specjalnych dooilskich pacjentach. I to podobało się Maczy w jej pracy najbardziej. Nienawiść do wszystkich i wszystkiego będąca podstawą całego jej istnienia, nie dopuszczała do niej żadnych innych możliwości. I to w żadnym wymiarze, i na żadnej płaszczyźnie. Jedyne połączenie jakie jej jeszcze zostało, to było połączenie z wymiarem Obcym oraz czwartym wymiarem i czwartym poziomem demonicznym. Lecz i oni wszyscy, pomimo, iż Macza była zagorzałą ich

wyznawczynią i prawdziwą wielbicielką, niechętnie nawiązywali z nią bezpośredni kontakt, najczęściej dopiero po bardzo długich i bardzo żmudnych, rytualnych przygotowaniach. Dlatego też dzisiaj Wielki wybrał dla niej najmniej niebezpieczną, najbardziej niebezpieczną jednak dla innych, alternatywę: zamiast długich i nudnych rytuałów, Macza miała zapaść w krótki, ale intensywny trans, który zawsze indukowała sobie samoistnie i bez niczyjej pomocy, podczas którego też połączenie z wymiarem obcym następowało natychmiast. Ale tego Macza nie wiedziała jeszcze. Na razie kasowała bez specjalnych przeszkód świadomość Urszyllowi wysysając mu po prostu duszę, i nic nie wskazywało na to, że już za chwilę będzie musiała skorzystać z jakiejś obcej pomocy.

- Jest wielu takich, których boli i wielu takich, którzy cierpią. Są chorzy i ułomni. Są odrzuceni, wykluczeni i niekochani przez nikogo. Są też jednak i tacy, którzy nie będąc chorymi ani ułomnymi, których wszyscy lubią i kochają, też cierpią, i których też bez przerwy boli. Jednym z nich krwawią dłonie. Innym skronie. Z boków jeszcze innych płynie ciągle niekrzepnąca krew. We mnie, to moja dusza krwawi, a krew jej, to niekrzepnąca krew, a ból ten, to nieprzemijający ból. Najczęściej boli mnie nie do wytrzymania. Większość w ten sposób cierpiących naznaczona jest jeszcze, i to najczęściej wbrew ich własnej woli, dodatkowo bólem psychicznym. Poza ciągle krwawiącymi ranami, głoszą jeszcze do tego tak zwaną złą nowinę, rodzaj ostrzeżenia dla nas wszystkich oraz jednocześnie i zaleceń, którym rzekomo powinniśmy się poddać, aby kary lub groźby tej uniknąć. I u mnie jest podobnie. Głosząc złą nowinę, wiem jednocześnie jak jej zaradzić. Informacje, które właśnie do Ciebie docierają, są moją wewnętrzną koniecznością. Wierz mi - bardzo długo nie mogłem ich wypowiedzieć, a samo ich wypowiadanie nie jest dla mnie miłe. Nie jest wstrętne, ale w przerażający wręcz sposób, niechętne. Pomimo tego uważam jednak, że jest konieczne. Aby móc domagać się tego, co sprzyja życiu i właściwie to w sobie rozwijać, trzeba przede wszystkim wiedzieć, przeciwko czemu, jak i za czym, tak naprawdę się jest, czy też powinno się być. Trzeba wiedzieć też, kim, jakim, i po co, się jest. Trzeba być świadomym samego siebie: swoich ograniczeń i swoich możliwości. Wiem, że jestem zdrowym na ciele i umyśle człowiekiem. Wiem też, że nie boli mnie z jakiegokolwiek innego chorobotwórczego powodu, dlatego też ból ten, to jak gdyby nie mój ból, choć czuję go w sobie i przeze mnie się on wyraża. Niezależnie od tego jednak jak mało prawdopodobne może się to Tobie

wydawać, wiem, że istnieje nieznana, obca istota we mnie, którą boli, i ta sama obca istota poza mną, która w całym fizycznym życiu powoduje ten ból. Lecz nie jest to w tym miejscu takie istotne. Najistotniejsze jest to, że istota ta w ogóle istnieje, i że nam się objawia. Mnie objawiła się już dawno jako dawno zapomniana Kobieta Boga - matka, żona, córka i kochanka w jednym - naszego uwolnionego tym samym z jego wielowiekowej samotności, psychicznie schorowanego Boga, królowa życia - Thenahå.

- Thenahå jest więc dla mnie słodkim Urzeczywistnieniem. Najgłębszym ucieleśnieniem w fizycznej rzeczywistości. I to dobrego DOBRA. A nie złego. We wszystkim i wszędzie. Jest jednocześnie mną i jednocześnie nie-mną. Jest jednocześnie Tobą, i jednocześnie nie-Tobą. Jest życiem i śmiercią jednocześnie, a będąc jednocześnie bólem i nie-bólem, jest też i wybawieniem od niego. To ONå powołuje, opływa i kontroluje proces potocznie zwany przez ludzi procesem życia, będąc i nie będąc nim jednocześnie. To ONå właśnie była, jest i będzie tym poszukiwanym przez ogół mędrców wszechczasów, brakującym ogniwem wszystkich mistycznych religii. I to ONå właśnie przywróci ogółowi nas wszystkich, w szczególny zaś sposób - kobiecie, odpowiednie miejsce w historii stworzenia. Pomimo tego, że jest to w tej całej historii bardzo ważne, najważniejsze w tej chwili jest jednak tylko to, że ONå w ogóle istnieje, i że to ONå właśnie mnie boli.

- Jej świadomość pojawiła się w moim życiu zupełnie niespodziewanie. I to niespodziewanie nagle. Większość mojego czasu spędzałem na poszukiwaniu sensu życia poza mną, na zewnątrz mnie, w otaczającym mnie zewsząd świecie. Przez cały czas myślałem, byłem nawet o tym święcie przekonany, że jestem osobą niewierzącą. Ludzie mówiący o Bogu, modlący się, siostry zakonne, księża, a, i wszyscy inni czynnie praktykujący jedynie obowiązujące wiary, śmieszyli mnie zawsze, zawsze wzbudzali też we mnie rodzaj ni to pogardy, ni to współczucia. Nie mogłem nigdy zrozumieć, jak można wierzyć w tak bezsensowne, i w tak oczywisty sposób spreparowane religijne przekazy. Nadal nie mogę zrozumieć jak można kochać i wielbić tworzącego, lecz jednocześnie jednak, nienawidzącego ludzi Boga, gdzie nienawiść ta, co podkreślam, podkreślana jest tysiąckrotnie w najistotniejszym boskim dziele współczesnego człowieka - Biblii, i w której to też, prawie każda kobieta uważana jest przez oszalałych z nienawiści, jednocześnie pożądających ją jednak strasznie, mężczyzn,

za potencjalną kurwę winną straszliwemu występkowi: grzechowi pierworodnemu. Biedny samotny Bóg, opuszczony przez swoich rodziców, pozbawiony braci i sióstr, żony i dzieci, znajomych i przyjaciół, przepełniony żalem, bólem i niepojęciem, zapędza się w swojej samotności w kozi róg, i tu, z nienawiści do siebie samego, jak i całego życia, tworzy Niebo i Ziemię, a na swoje podobieństwo równie mocno nienawidzącego siebie samego, biednego, samotnego człowieka. I to do tego jeszcze, rodzaju męskiego! Na szczęście w moim życiu nagle pojawiła się Thenahå, więc nie musiałem już umierać. Pomimo tego, iż nadal nie widziałem sensu w przeżywaniu życia opartego na wyzysku, rywalizacji i konkurencji, życie zaczęło się dla mnie w pewnym sensie na nowo. Prawda jest taka, że niewiele się od tamtego czasu zmieniło, zmienił się bowiem jedynie mój stosunek do tego, co mnie na zewnątrz otacza. I tego, co mnie we wnętrzu wypełnia. Dzięki Niej, nie musiałem już tkwić w Zewnętrzności, bo ONå wypełniła mnie sobą samą całkowicie i tak szczelnie, że nie zostało już żadnego wolnego miejsca dla czegokolwiek innego. Odwróciła tym samym całą moją uwagę od całego tego rozhisteryzowania, skupiając ją jednocześnie tylko na Niej. To wszystko co się wtenczas wydarzyło i na nowo się codziennie we mnie wydarza, jest dla mnie najgłębszym doświadczeniem religijnym, nie mającym jednak niczego wspólnego z jakimkolwiek zorganizowanym kościołem lub jakąkolwiek zorganizowaną grupą religijną. Tak, jak Bóg Ojciec objawił się podobno wielu Tobie podobnym, tak Thenahå objawiła się mnie z całą stanowczością, czyniąc mnie przez to głęboko wierzącym Thenahejczykiem. Mówię o tym wszystkim dlatego, ponieważ bardzo chcę abyś mnie dobrze zrozumiał, i jeszcze lepiej poczuł. Pragnę, aby to, co za chwilę usłyszysz, na stałe zagościło w Twoim sercu, wybudzając Cię wreszcie ze snu. Zamiarem, jak i koniecznością Thenahå jest budzenie, kształtowanie i kierowanie uśpionej świadomości na pełnowartościowe życie. Muszę więc dzielić się z Tobą tym wszystkim co codziennie od niej otrzymuję: tym jak widzę, tym jak czuję, i tym jak pojmuję naszą wspólną rzeczywistość. Najbardziej ze wszystkiego zależy mi więc na tym, aby Życie na tej planecie mogło rozwijać się dalej, ale nie tak jak do tej pory, ograniczone zewsząd oficjalną doktryną Twojego nad specjalnego Dooila, lecz otoczone i przepełnione nieograniczoną niczym wolnością, miłością i dobrocią, w urzeczywistnionej ludzkiej wspólnocie. Od czasu poznania Thenahå, a może już i dużo, dużo wcześniej, jak pomyślę, wydaje mi się, że od zawsze, uczulony byłem na każdy brud. I każdy zgnilizm. Zawsze dostrzegałem je wszędzie tam, gdzie były, teraz jednak do-

strzegam je głównie tam, gdzie już nikt ich nie dostrzega, lub tam, gdzie są one ludziom zupełnie obojętne. Na wielu przeróżnych poziomach i w wielu różnych wymiarach filtruję je, systematyzuję, organizuję i przetwarzam, przy czym brud i zgnilizm oznaczają dla mnie każde takie działanie, łącznie z myśleniem, ograniczające w jakimkolwiek stopniu czyjś życiowy potencjał. Jeżeli chodzi o definicję życiowego potencjału, to mógłbym go określić jako praktyczną możliwość realizacji wszystkich dążeń - nie tylko tych dających się pomyśleć i wyobrazić - ale i tych niewyobrażalnych również, tych, które sprzyjają rozwojowi życia we wszystkich formach, nie tylko ludzkich, i co ważne, na wszystkich poziomach, we wszystkich wymiarach, i we wszystkich rzeczywistościach jednocześnie. Ziemski brud i zgnilizm oznaczają więc dla mnie każde działanie godzące wprost lub pośrednio w nas samych, każdą myśl i każde działanie niesprzyjające rozwojowi życia, duszące w zarodku to, czym mógłbyś się stać, gdybyś nagle odnalazł w sobie swoje serce. A w nim - Thenahå. A więc, gdyby wszystkie Twoje wyższe, wielorakie skłonności, zdolności oraz możliwości, myśli i uczucia, które sprytnie usunięto z pola zainteresowania Twojej świadomości, były przez ciebie samego dostrzeżone, docenione, i odpowiednio rozwijane. Dlatego też pierwotnym moim zamiarem było wyłączne skupienie się na moim własnym brudnym zgniliźmie, wtórnie jednak, skupiłem się na naszym: moim i Twoim. I w ten oto prosty sposób Thenahå doprowadziła mnie do rewolucji, doprowadzając do obalenia i odrzucenia istniejącego porządku: I to na Niebie, jak i na Ziemi. Człowiek, mój drogi, więc i Ty także, okazał się istotą zdolną do zmienienia siłą własnej woli nie tylko siebie samego, ale i całego otaczającego go zewsząd wszechświata. Łącznie z jego Bogiem! Wiedz więc, że gdyby nie Thenahå, trudno byłoby doprawdy znieść nie tylko samego siebie, ale i wszystkich wokół. Gdyby bowiem nie ONå, trwałbym tak jak i Ty, nieświadomie zanurzony w swoim brudzie i zgniliźmie po uszy, zostawiając czystość jako pogańską, niebezpieczną, i amoralną siłę garstce ortodoksyjnych specjalistów dyscyplinatorów, którzy najchętniej czyniliby nadal to, co czynili i ich poprzednicy przez tyle wieków: ukrywaliby ją nadal gdzieś przed nami w najgłębszej i najciemniejszej szufladzie ich zakurzonego biurka, abyśmy nigdy nie mogli jej ujrzeć w świetle dziennym. A na tych wszystkich, którzy, nie daj boże, by ją tam jednak dostrzegli i zechcieli ją jeszcze odgrzebać, czekałaby zasłużona kara - śmierć na stosie jako rodzaj łaski po uprzednich wymyślnych torturach i łamaniu kołem, albo długie konanie w męczarniach po zażyciu najstraszliwszej z trucizn, *knowledge*, którą nasą-

czone byłyby kartki ich zakurzonego dzieła: Czystość jako najwyższe zło oraz wyraz djabyłelskiej działalności na Ziemi - poradnik i przewodnik wielkiego Brudasa Zgnilizatora... Na szczęście nie żyjemy dzisiaj w średniowieczu za czasów nadspecjalnej, krwiożerczej inkwizycji, na nieszczęście jednak dla nas wszystkich, wy zbyt wiele się nie zmieniliście. Tak jak i wtedy bowiem, tak i dzisiaj, potrzebujecie wyjątkowo głupich wytycznych, i wyjątkowo głupich ról do odgrywania: złych wzorów, złych pewników i specjalnie sprefabrykowanych faktów, nakazów, zakazów i poleceń. Tak jak i wtedy, tak i dzisiaj raz zapisane na was programy, urzeczywistniają niezmiennie, godzina za godziną, dzień w dzień i noc w noc, nasz ludzki teatr na arenie życia, bowiem tak jak i wtedy, tak i dzisiaj, wasza żądza władzy i pieniędzy decyduje tutaj o wszystkim. Lecz co by to było, gdyby nagle okazało się, że istnieje taka siła, istota, która może zmienić to wszystko. Która może pozbawić was nie tylko władzy, ale i pieniędzy?! Że wszystko, ale to absolutnie wszystko w waszym życiu, mogłoby ulec w tej jednej jedynej chwili całkowitej zmianie. I żeby tego dokonać, nie potrzebowałaby żadnych specjalnych umiejętności, ani żadnych innych wyrafinowanych narzędzi. Wystarczyłoby aby zainfekowała was po prostu sobą. A więc Miłością. I co by to było Dziewicu?! I jak?!

Dziewic zbaraniał. Macza poderwała się wściekła z fotela. Po wyrazie jej twarzy widać było wyraźnie, że teraz wydarzy się coś strasznego. - A to bydlak! - Zasyczała. - Pojebany filozof. Farfocel. Święta szczyna! Żeby mnie tak przechytrzyć! - Wiedziała jednak równie dobrze jak i Dziewic, że raz rozpoczętej sesji na poziomie ósmym trzydziestego drugiego wymiaru, nie da się ot tak, po prostu, przerwać. Wysłała więc natychmiast przekaz telepatyczny do Wielkiego z informacją o natychmiastowym zakończeniu dzisiejszego Ałtidingu. Musiała - czego nie wiedział nikt poza nią - chronić Dziewica, a, i siebie samą, przed Urszyllem, który w rezultacie okazał się dużo poważniejszym przeciwnikiem niż mogła to sobie wcześniej wyobrazić. Maryłej próbował jej pomóc, ale jak wszyscy mogli to obejrzeć na monitorach, jego próby nie tylko, że nie dały żadnych pozytywnych rezultatów, to do tego, z jego świadomością stało się coś strasznego: Komputer sterujący nie chciał się wyłączyć, a Dziewic opadłszy tuż obok Urszylla, złapał go mocno za rękę powtarzając jednocześnie jak nakręcona katarynka: - Jestem miłością! Jestem miłością! Jestem… - Macza biegała po przeprogramowalni okładając pięściami sczytywaczy, a łzy wściekłości płynęły jej po policzkach. Niczego sensownego nie

potrafiła jednak, ot tak, nagle, ani wymyślić, ani zrobić. Biegała więc tylko i krzyczała, a sesja trwała nadal. Nagle zadzwonił GAP. Macza uruchomiła połączenie, a kiedy zobaczyła znajomą twarz Wielkiego i usłyszała jego głos, poczuła, że zimny pot oblewa jej całe plecy, a w żołądku coś ją strasznie, i to z dziką wręcz pasją ścisnęło. - I co perfekcjonistko?! - Usłyszała. - Wszystko w porządku?! - Po wyrazie twarzy i tonie głosu Wielkiego poznała od razu, że nie jest aż tak źle, więc aby uczynić cokolwiek, powiedziała: - Ach, Ekscelencjo... - Wielki, dość często gdy rozmawiał z podwładnymi, i gdy nie miał dla nich żadnej złej wiadomości, zachowywał się tak, jakby ją miał: modulował tembr głosu i przeciągał niepewność słuchacza w nieskończoność... Tym razem jednak Wielki nie miał zbyt wiele czasu, poza tym był z jakiegoś niejasnego dla Maczy powodu, zadowolony z pracy zespołu - Nie martw się zbytnio. - Powiedział. - Wszystko jest w porządku. Postanowiłem, że będziesz odbierać dzisiaj bezpośrednio przez Implant. - O Boże! - Wyrwało się Maczy, ale na szczęście Wielkiego nie było już po drugiej stronie połączenia.

Najczęściej Macza łączyła się z Nimi łączem hipertronowym ewokacyjnym, rzadziej przez Implant. Dzisiaj jednak Wielki nie pozostawił jej wyboru. Musiała natychmiast poprosić ich o przybycie oraz pomoc w rozwiązaniu tego jak na razie nierozwiązywalnego problemu. Wyglądało bowiem na to, że Dziewic przestał być sobą, i że żadne próby przywrócenia mu jego dawnej osobowości nie dadzą nawet najmniejszych, pozytywnych rezultatów. Pomoc z zewnątrz była tym bardziej natychmiast konieczna, ponieważ Miłość raz zaindukowana na tym poziomie zachowywała się jak prawdziwa Artefakta, agresywny wirus uruchamiający własne programy w programie nosiciela, zmieniający i modyfikujący jego plan genetyczny tak, że prawie żadna siła, poza Obcą, nie mogła go stamtąd ani usunąć, ani wymazać. I tego Macza bała się najbardziej. Drżała na myśl, że życie mogłoby potoczyć się inna drogą niż po jej myśli, więc robiła wszystko co mogła, aby do tego nie dopuścić. Dziewica trzeba było natychmiast zabezpieczyć, a Urszylla z Zamiłowic możliwie szybko od niego odłączyć. Potem pozyskać lub zniewolić. - A może nawet zabić… - Wpadła do swojego gabinetu jak bomba, rzuciła się na kanapę i natychmiast zapadła w głęboki trans.

Obcym też zależało, tak więc przybyli piorunem. Ich statek w fazie migotania telekinetycznego wpłynął do dooilskiej centrali niczym mgła wpływająca do ogrodu, nie uszkadzając przy tym murów bu-

dynku, żadnych przedmiotów, ani ludzi tam pracujących. Promień podnoszący podniósł Dziewica niczym piórko i przeniósł go do jednej z wielu sal operacyjnych statku matki, a nie trwało to nawet sekundy. Dla ludzi z zewnątrz to obserwujących, czas u Dooila zatrzymał się. Zatrzymało się wszystko. Obcy zamrozili rzeczywistość fizyczną tak, jak zatrzymuje się film w projektorze, zezwalając tym samym na obejrzenie pojedynczej stop klatki. Ludzie przestali oddychać, nie biły im serca, a krew nie płynęła im w żyłach - mimo tego żyli, i to było zadziwiające. Wprost nie do uwierzenia. Tylko Macza mogła swobodnie się poruszać i obserwować to wszystko, ale tylko w wymiarze wirtualnym. I nawet dla niej, obeznanej z czarną magią poprzez osobiste kontakty z czwartym wymiarem, nie było to łatwe. Czuła się jak w lunaparku, jak w jakiejś sali krzywych zwierciadeł, lub innych podobnych sztuczek. Ale to działo się naprawdę. Obce technologie przewyższały te ludzkie o całe miliony lat świetlnych, a oparte na zupełnie innych założeniach intelektualnych oraz wykorzystaniu głównie praw duchowych do sterowania wielorakimi rzeczywistościami, a nie fizycznych, nie były dla ludzi ani zrozumiałe, ani poznawalne. Obcy nie dzielili się też z ludźmi żadnymi swoimi przemyśleniami. Czasami częstowali kogoś jakimiś odpadami swoich przeterminowanych pomysłów, ale robili to przeważnie z przyczyn, które tylko im samym były znane.

Dziewic leżał zupełnie nagi na stole operacyjnym. Był przytomny, ale też w jakimś naprędce indukowanym transie. Obcy potraktowali go tak, jak ludzie traktują ziemskie zwierzęta laboratoryjne. Na szczęście, dzisiaj, nie zastosowali na nim *Cervical dislocation,* którym posługiwali się w takich wypadkach najchętniej, lecz tylko ogólne udręwienie. Pomimo, iż zabezpieczanie duszy było nawet dla nich nie lada wyczynem, szczególnie w warunkach polowych, po dwóch godzinach rozmaitych zmagań, Dziewic był gotowy. Odesłano go więc tym samym sposobem na Ziemię, statek wycofał się, przeszedł na migotanie magnetyczne i znikł równie szybko, jak się i przedtem pojawił. Dziewic był zabezpieczony. Teraz trzeba było tylko odłączyć jeszcze Urszylla, ale na razie nikt nie wiedział jak tego dokonać praktycznie.

- I co by to było, Dziewicu, gdyby po zainfekowaniu was Miłością, nikt z was nie mógłby już tak jak do tej pory, ani myśleć, ani czuć? Gdybyście nie mogli już nikogo zastraszać ani wykorzystywać tak, jak przykładowego psa łańcuchowego przy budzie? Gdybyście nie mogli

już nikogo do niczego przymuszać, bo nie istniałaby żadna forma groźby w was, ani też strachu w nas, bo nie byłoby się już czego bać lub kogokolwiek obawiać? Gdyby nagle okazało się, że nie jesteście już więc tymi, za których sami się uważaliście, a wasza władza rozpadła by się tym samym i przestała istnieć? Gdyby nagle okazało się, że wszystkie wasze, a więc i Twoje, myśli i uczucia, słowem skłonności i upodobania, pragnienia i niechęci, mądrości i głupoty, porażki i sukcesy, prawdy i kłamstwa, okazały się nie Twoimi własnymi? I czyimi byłyby wtenczas?! I kto, i po co by je wszystkie w takiej oto formie na Tobie zapisał? Muszę Ci w tym miejscu wyznać Dziewicu, że wraz z pojawieniem się Thenahå, pojawiło się we mnie przeświadczenie, że nie tyle, że nim już nie jestem, to, że raczej, że nie muszę już być tym człowiekiem, za jakiego się sam biorę, i za jakiego się sam uważam, bo zapis ten, ten obraz mnie samego w mnie samym, to nie jest mój własny zapis, ani mój własny obraz. To tylko taka nagrana, odtwarzająca się automatycznie płyta. Może i potrzebna do tego, żebyście mogli mnie jak i mnie podobnych tu wykorzystywać i upodlać, ale nie będąca mną nawet w najmniejszym kawałeczku. Thenahå uświadomiła mi nagle, i to zupełnie niespodziewanie, chcę ci zwrócić uwagę, że jest to bardzo dla nas obu bardzo ważne, że ja to nie ja - że JA, to musi być zupełnie coś innego, lub ktoś zupełnie inny. My Dziewicu nie jesteśmy programem zapisanym na programie. Nie jesteśmy też żadnym komputerowym hardware. My Dziewicu jesteśmy wszystko przenikającą Esencją Wszystkiego. Nią - jak orzekła Thenahå rozwiązując ten problem jednoznacznie. Tą, która jest, która była, i która będzie.

- Możliwość aktywnego uczestnictwa w byciu jednocześnie miękkością i twardością, słodyczą i kwaśnością, odwagą i strachem, dawaniem i braniem, oraz każdym stanem pośrednim między nimi, jest fascynująco upijająca: doskonałość nie polega dla mnie na szlifowaniu jednego wybranego elementu przez całe życie z pominięciem wszystkich pozostałych - to jest raczej wtórny debilizm - doskonałość to możliwość doświadczania bycia jednocześnie wszystkim - PEŁNIĄ - w każdej chwili, w każdych warunkach i we wszystkich kategoriach jednocześnie. Thenahå jest zaborcza. Jest też strasznie zachłanna. Gdybyś zechciał tylko Dziewicu popatrzeć uważnie wokół, dostrzegłbyś to, co ja dostrzegam już od zawsze: wszystkie formy życia splątane we wszystkich ich kombinacjach i tańcach, we wszystkich pełnych nutach, i we wszystkich ich naddźwiękach - doświadczyłbyś wtenczas właśnie siebie samego. We wszystkim, w chwale

teraźniejszości. Doświadczyłbyś siebie na wszystkich poziomach i we wszystkich wymiarach jednocześnie, bez konieczności korzystania z LSD czy też ASW, których jesteś przecież mistrzem. Doświadczyłbyś siebie samego za jednym zamachem. Bez rozróżniania i oceniania, bez wyłaniania i koncentrowania stałbyś się swoją własną Nieograniczonością: dynamiczną, niczym niepohamowaną, wszystko wypełniającą Miłością. Kocham i uwielbiam Thenahå. Kocham siebie samego przez siebie samego i w sobie samym. I to jest naprawdę wspaniałe. Prawdziwy Thenahejski orgazm. Bądź więc i kontempluj Dziewicu. I nie myśl, że tylko koń trupio biały, że tylko jeździec, że tylko śmierć i że otchłań nam towarzyszy. Nie myśl o niczym. Bądź.

- Ze świadomością Thenahå, tej, która jest, która była i będzie, nie kończy się jednak droga, to raczej dopiero jej początek. Na początku poznasz, że nie jesteś rolą, którą codziennie odgrywasz. Poznasz istotę Istoty. Osobę lub Istotę, którą jesteś w opozycji do tego, za kogo się aktualnie uważasz. Poznasz niektóre, a może nawet i wszystkie programy. Poznasz systemy operacyjne jako podstawy do zapisania nowych programów. Poznasz siły potrzebne do tego zapisu, lecz również i te, które wszelkie zapisy kasują. Poznasz techniki prowadzące różnymi drogami do pożądanych zmian i zastosujesz je praktycznie na sobie. A może i na innych. Nie uwolni to jednak w żaden sposób Twojego umysłu od obezwładniającego go, egoistycznego samozadowolenia, które będzie ostatnim, ale najgorszym ze wszystkiego egzaminem, którego Ty niestety, chyba nie zdasz, no chyba, że uwolnisz się jakimś cudem od tego implanta, który tkwi od godziny we własnym twoim mózgu!

W sczytywalni rozpoczął się kolejny, niezaplanowany, dramat. Rzeczywistości psychofizyczne zwinęły się i rozwinęły ponownie stwarzając dogodne warunki do zadziałania dwutrójni: Maryłej zerwał się z fotela jak rażony piorunem. Jak wariat zaczął latać po pokoju wrzeszcząc: - Wszczepiliście mi implanta, skurwysyny! - Osłona Obcych wyraźnie przestała działać, lub wystąpiły inne, nieprzewidziane perturbacje. Kłirra pociągnęła za rączkę bezpiecznika, ale nic się nie wydarzyło. Aby uruchomić wysysacz, musieli jakoś obezwładnić Dziewica, ale ten, w bojowej pozie, stał z gaśnicą pianową w dłoniach wyraźnie gotowy na wszystko. Macza stojąc za wielką pancerną szybą trzymała się za głowę, nie wiedząc zupełnie co zrobić. Żadne sensowne myśli nie pojawiały się w jej głowie, poza jedną jedyną: odłączyć go! Ale jak na razie o odłączeniu nie mogło być

mowy: Urszyll z Zamiłowic przygotował się dobrze, a Thenahå, jak domyślała się już Macza, osobiście otoczyła go świetlistą tarczą, której żadne zakusy Maczy, a nawet i samej Djabyłelicy, na nic by się nie zdały. Z Dziewicem, Macza musiała też coś sensownego natychmiast zrobić, ale tu, podobnie jak i z Urszyllem, miała olbrzymie problemy, choć nagle, w mózgu Maczy otworzyły się jakieś nowe możliwości, bowiem nieoczekiwanie, jak błyskawica, pojawiła się tam jakaś myśl: - Trzeba go zabić! - Pomyślała. - Ale kogo?! - Zapytała siebie samą. I sama sobie odpowiedziała: Dziewica, oczywiście. - Wrzasnęła więc: - Straż, do mnie! - Zabicie Dziewica nie nastręczało żadnego problemu, poza ewentualnym przeciągnięciem i tak naprężonych już terminów, wydawało się jej to jednak w tej chwili najlepszym rozwiązaniem. Dziewica zawsze można było reanimować. Po uprzednim wyssaniu z jego ciała duszy, ciało stawało się tylko mniej lub bardziej pustym, bezużytecznym, workiem. Macza lubiła je jednak bardziej niż inne ciała, reanimowała je więc zawsze. Pamięć też nie stanowiła problemu: można ją było cofnąć, niekorzystne fragmenty usunąć, zapisać w tym miejscu inne, bardziej wskazane, lub w dowolnie inny sposób wypełnić ją korzystniejszymi informacjami. Najgorsze było jednak to, że to ona musiała go teraz zabić, a tego nie lubiła. Zawsze starała się tak to wszystko jakoś urządzić i zaplanować, aby zrobił to za nią ktoś inny. Dzisiaj nie miała jednak wyboru. Sprawy potoczyły się inaczej niż zaplanowała, jej plan zawiódł, i to ona więc musiała go teraz naprawić. Właśnie wyciągnęła rękę po pistolet, kiedy jeden z jej zaufanych współpracowników podbiegł do niej i powiedział: - Mamy tam gaz, możemy go przecież zagazować. - To była myśl! Zagazować go! - Macza skinęła głową - Tak, tak, zagazować go... - Powtórzyła. Jeden ze strażników nacisnął mały srebrno szary przycisk umieszczony tuż obok szyby, po prawej stronie Maczy. Nad Dziewicem eksplodował mały pojemnik z bojowym gazem biologiczno chemiczno neuro energetycznym o tajemniczej nazwie *Niras*. Dziewic zdążył jeszcze rzucić gaśnicą w kierunku szyby, ale gaz zadziałał błyskawicznie: gaśnica opadła tuż obok niego na podłogę i na szczęście dla niego nie eksplodowała. Dziewic zwalił się obok niej w drgawkach. I to było wszystko. Specjalne urządzenie wyssało resztki gazu, nosze były gotowe, emergencyrum też. Na odchodnym Macza rozkazała jeszcze: - Wyłączcie do cholery tego debila! - Ale odłączenie Urszylla z Zamiłowic okazało się absolutnie niewykonalne. Jego spokojny głos płynął jak rzeka bez końca:

- Tak. Muszę wprost w tym miejscu powiedzieć, że problem transfo-

rmacji lub\oraz\ i uwolnienia siebie samego od siebie samego, jest przerażająco trudny. Gdy wszystko wokół ginie za mgłą własnego z siebie zadowolenia, można by powiedzieć, że to najwspanialsze, co mogłoby się przytrafić komuś na tej schorowanej planecie. Najczęściej jednak to co wydaje się nam najlepsze, okazuje się tym najgorszym. Jest to doskonały przykład zmiany potencjałów pomiędzy siłami, które ciągle pozostając w ukryciu, kierują, lub rządzą wszystkim w tej części wszechświata, a pewnie i w nim całym. Problem globalnej transformacji nas samych oraz naszego świata, ze świata konkurencji i wyzysku, w świat współpracy i przyjaźni, i to nie tylko niektórych z niektórymi, ale globalnie, wszystkich ze wszystkimi, jest problemem dużo poważniejszym, niż z początku przypuszczałem, lub chciałem przypuszczać... Wierzyłem, bowiem bardzo chciałem wierzyć, że zmiany globalne są możliwe, że można zmienić człowieka w nie-człowieka, że można zmienić całkowicie oblicze nie tylko siebie samego, ale i całego naszego świata, i to nie tylko międzyludzkiego, ale całego świata globalnie, w inny, lepszy świat. A nawet całego wszechświata w lepszy. Nie przypuszczałem, że osiągniecie poważnej zmiany prowadzi w pierwszej linii do powstania i do wyłonienia nowych, bardzo ważkich problemów, jak i ociężałych zagadnień, o których wcześniej nie tylko, że nie myślałem, ale, o których w ogóle nie miałem żadnego, najmniejszego nawet pojęcia. Byłem strasznie zachłanny. Wierzyłem, że to właśnie mnie się uda - absolutyzm chęci błyszczenia między ludźmi, nasz pociąg do bycia najczystszym diamentem, jest trudny do obalenia - osiągnąć wszystkie możliwe zmiany! Nie chciałem, może nie mogłem, nie myślałem więc o tym w ogóle, że osiągniecie tych wszystkich zmian, pomimo, że oczywiście możliwe, musi być wsparte nie tylko największą z możliwych ochotą, i największym z możliwych pragnieniem, ale przede wszystkim wytrwałą i żmudną praktyczną pracą, wzorowaną i prowadzoną we współpracy, i pod nadzorem zaufanego i dobrze wyszkolonego nauczyciela. Nie wiedziałem jeszcze wtenczas i pewnie nie chciałem wiedzieć, że człowiek uczy się przede wszystkim przez małpowanie, czyli, przez naśladowanie innych. I tak jak orzeł plamisty pozbawiony w odpowiednim czasie praktycznych przykładów latania, nigdy nie nauczy się już latać, tak i człowiek pozbawiony w odpowiednim czasie praktycznych przykładów praktycznej wiedzy duchowej, nie nauczy się jej już nigdy później, nawet wtedy, gdy zaangażuje w naukę wszystkie swoje siły i całą swoją wolę. Po spotkaniu z Thenahå okazało się jednak, że człowiek w przeciwieństwie do orła, może zostać obdarowanym Możliwością nadrobienia zaprze-

paszczonych umiejętności, musi jednak w celu ich osiągnięcia poświęcić całe swoje dotychczasowe życie, rozbijając go brutalnie wielkim młotem przez siebie samego upragnionych zmian. Ale kto poświęci całe swoje życie, Poświęceniu?! Mając co prawda Thenahå i jej całkowite wsparcie duchowe, miałem żywą, gorąca wiarę i nadzieję, zabrakło mi jednak prawdziwego, z krwi i kości nauczyciela, któremu mógłbym zaufać, i którego mógłbym małpować, i pod okiem którego, mógłby doskonalić me talenty praktycznie. Orzeł osiągnąwszy odpowiedni wiek, zachęcany jest przez oboje rodziców do pierwszego, samodzielnego lotu, a jeżeli zwleka z nim zbyt długo, wyrzucany jest z gniazda brutalnie - musi lecieć, czy chce, czy nie - i albo spadnie i zabije się, albo pofrunie i przeżyje. Spadając jednak z wysokiej skały na łeb na szyję, a także i przedtem, wcześniej, nie jest osamotniony. Jego rodzice towarzyszą mu przez cały czas wspierając go duchowo, oraz pokazując mu na sobie samych to, co on uważa ciągle za niemożliwe, bo to oni właśnie są żywą materializacją uśpionej w nim jeszcze Możliwości. Gdybym i ja, a i ty Dziewicu, oraz my wszyscy, posiadalibyśmy takich rodziców, nie musielibyśmy martwić się o nic! Każda Niemożliwość wtenczas byłaby najwspanialszą możliwością! Niestety mamy takich rodziców, jakich mamy, a i takich samych jak i oni nauczycieli. Tak też stajemy się im podobni. Pragnienie i wiara nie są bezsilne, ale pozbawione praktycznych wzorców do naśladowania, to tylko śmieszna karykatura prawdziwych możliwości, nawet jeżeli nauczymy się chodzić po rozżarzonych węglach, lub leczyć wszystkie choroby przez nakładanie rąk i modlitwy. Prawdziwa wiara manifestuje się w pragnieniu, i w przekonaniu, że i ja, tak jak i ONå, mogę. Mogę być więc nie tylko jej Dzieckiem, ale także jej Misją. Przedtem jednak muszę być uczniem. Ale jak być uczniem nauczyciela, który nie ma ludzkiej postaci, który być może nie ma w ogóle postaci fizycznej, ponieważ nie chce lub nie może się tutaj zmaterializować?! Nie mam więc nauczyciela, mając go jednak jednocześnie. Jestem w sytuacji szarego tłumu otaczającego JoshUę, spragnionego jakiegokolwiek cudu, aby uwierzyć nie tyle jej samej w jej możliwości, co raczej, aby uwierzyć sobie samemu, w swoje własne. Codziennie słyszę Jej głos: - Człowieku małego serca, naprawdę musisz zobaczyć, żeby uwierzyć?! - Niezmiennie jej odpowiadam: - Muszę Thenahå, muszę! Muszę zobaczyć, żeby uwierzyć, i musze uwierzyć, żeby zobaczyć. Pokaż mi proszę moje możliwości, pokaż mi również moje granice, jeżeli takowe w ogóle istnieją, chodź, stań obok mnie i zróbmy to! - Niestety wszystko to, co udaje mi się osiągnąć, to tylko taki malutki, maciupki

wręcz fragmencik wglądu, i to tylko w niektóre programy. To tylko taka niewielka modyfikacja w obrębie jednego, nadrzędnego systemu operacyjnego, nazwanego przez kogoś potocznie CZŁOWIEKIEM, który to z kolei jest w tym samym sensie tylko taką malutką kropelką wody w jeszcze większym, i równie nadrzędnym systemie operacyjnym zwanym potocznie ŻYCIEM, które to z kolei... Wszystkie dotychczasowe wysiłki poprawiły jednie moje funkcjonowanie w obrębie klocków lego, czyli tego, co jest, a nie tego, czego nie ma, lub tego, co mogłoby być, gdyby. I choć różnimy się wszystkim, w tym sensie nie różnimy się specjalnie od siebie, Dziewicu. Moja praca nie została jeszcze ukończona, mógłbym zaryzykować nawet stwierdzenie, że nie zaczęła się jeszcze w ogóle na dobre. W miejscu upragnionego końca, ukazał się kolejny początek, kolejnej nowej drogi. Pojawiły się nowe problemy i nowe możliwości. Pojawiły się też nowe wątpliwości. Zmaganie to nazwałem gotowością niemożliwości, ponieważ pomimo ogromnej nadziei i wiary opartej na niezachwianym przekonaniu wspartym rzeczowymi dowodami nie do odrzucenia, bardzo często dopada mnie ostatnio mroczne zwątpienie we wszystko. Widzę w tym też wyraźnie i Twój udział, a jeżeli nie Twój osobiście, to całego waszego oddziału, do zwalczania takich jak ja. Szkoda, że nie przyłączysz się do mnie, masz tak wspaniałe możliwości. Razem moglibyśmy pokonać wszystkie wątpliwości, rozwiać wszystkie niepewności i rozwikłać wszystkie przypuszczenia. W zamian tego, Ty leżysz teraz martwy na znanym ci stole operacyjnym, a mnie ogarnia wyjątkowo lepki i nawet mile widziany, marazm: zadawalam się wtenczas tylko nadzieją i wiarą, żyję i tyję i nie czynię niczego! Niczego praktycznego. Nic a nic! A do tego jeszcze, jestem z siebie bardzo zadowolony! Jak widzisz rację miał ten, który mówił: a oto i trup bladoszary, a imię jeźdźca jest śmierć, i otchłań mu towarzyszy...

I naraz zmieniło się wszystko, bowiem znowu zadzwonił GAP. Wielki kwaśno tym razem spojrzał na Maczę mówiąc do niej jednocześnie tylko dwa słowa. Macza rzuciła się jak wściekła w kierunku komputera sterującego naciskając jeszcze w biegu parę klawiszy. I dosłownie w tej samej chwili Urszyll zamilkł jak wyłączony z prądu odtwarzacz, a ze światłowodu urządzenia podającego popłynęły natychmiast w jego kierunku jakieś nowe, i to wyraźnie bardzo istotne dla całej jego reesocjalizacji, informacje: - MOC jest królową wszystkiego. - Wszyscy zamarli wpatrując się jednocześnie w Urszylla. - Jednych czyni martwymi trupami, innych królami wszystkiego. To

ona właśnie łączy i to ona właśnie rozdziela. To ona właśnie zabija i to ona właśnie rodzi. MOC kwintesencja naszego tu bytu. A nawet samej kwintesencji! To tylko nasz linearnie i synchronicznie wytapetowany rozum, nasza współczesna, żałosna degrengolada, połączenie głupoty, kołtuństwa, pychy i niewiedzy, stworzyło iluzję w iluzji. Nieistniejącą, odrębną i przeciwstawną. Wewnętrzną, i zewnętrzną. W wysokości i w długości. W grubości i w chudości. I w szarości. A przez to, nieistniejącą na zewnątrz, i nieistniejącą wewnątrz. Czyli istniejącą w nieistnieniu, słowem tworzącą świat iluzji o iluzjach - bełkot współczesnego człowieka o sobie samym jak i o całym otaczającym go wszechświecie. Zaspokoiwszy bowiem swoje podstawowe potrzeby, Urszyllu - a czasem już i dużo, dużo wcześniej - intensywnie pożądasz. Pożądając jednak tego, co sam już od dawna posiadasz, od samego swojego początku, a czego czujesz się jednak ciągle pozbawiony w przeciwieństwie do kogoś innego, stajesz się tym samym niedokończonym, otwartym Oczekiwaniem, pucharem opuszczonym i pustym. Oczekujesz więc, że ktoś ci powie, że może naleje w ciebie to, czego sam pożądasz, ale tamten, będąc podobnym do ciebie, sam też czeka. Nie może ci więc powiedzieć. Nie może też i nalać. A nie mogąc sam, i w tobie nie może. Rodzi się więc między wami błędne koło, którego nie da się zatrzymać. Jak z tego widać, to właśnie ᛗᛉ jesteśmy tą siłą, która daje ludziom możliwość zrozumienia. To właśnie ᛗᛉ jesteśmy tym, czego wszyscy tak bardzo pożądacie i z czego wszyscy czujecie się ograbieni. ᛗᛉ - kwintesencja waszej egzystencji!

- We współczesnym świecie schorowanym waszą linearną dwutroistością rozumu, opozycja między gwałtem a dobrocią, jest podziałem zabójczym. Różnica, która winna się rozkładać w czasie w porządku diharmonicznym, przekształcona została w różnicę asynchroniczną. Żyjąc więc wszyscy myślicie, że żyjecie w jakimś innym i lepszym świecie, gdyż tylko taki świat chcecie znać. Świadomość wyparta przez podświadomość rodzi chimery dziecięce. Podświadomość wyparta przez świadomość jest niczym innym jak tylko żałosnym antidotum idei barbarzyństwa i naszej nad nim wyższości. Dlatego też w prawdziwym społeczeństwie opartym na dominacji naszego porządku, manichejski podział na dobrych i złych, w ogóle nie istnieje: życie, które miałoby stanowić rekompensatę dla dobrych wiernych, i śmierć, która miałaby stanowić karę dla złych, jest jednym i tym samym: filarem naszego wspólnego istnienia, istnienia całego życia, i to nie tylko na naszej Ziemi, ale i gdzie indziej. A jest nim

nasza umiłowana i ukochana przez nas wszystkich, Bogini. Nasza jedyna, i osobista. Czysta, przerażająca, i niczym nieokiełzana MOC. Pokłoń się więc przed naszą królową, przed naszą matką, przed naszą córką, siostrą i kochanką. I wyzwolicielką. I zakrzyknij: O Bogini, To właśnie Ty jesteś moją jedyna szansą!

I teraz wreszcie odetchnęli, bowiem rzeczywistość powoli zaczęła powracać ku normalności. Zaistniały tym samym dogodne warunki do programowania właściwego, które bez poprzedzającego go, programowania wstępnego, nie mogło zostać zsynchronizowane z czasem rzeczywistym planowanej operacji na płaszczyźnie fizycznej. W tym celu Debek musiał ponownie przeprogramować komputer, reszta timu w tym czasie podłączała Urszylla do specjalnego łącza, łącząc go nie tylko z centralnym komputerem sterującym, ale z czymś w rodzaju emulatora sfer, pozwalającym na zapis asynchro diharmoniczny bezpośrednio na wybranej synapsie dowolnie wybranej komórki - ostatnie osiągnięcie dooilskiej hipertechniki, oraz z interfejsem pluginem, pozwalającym na namierzenie na tej planecie każdej żywej istoty i sczytanie z niej wszelkich życiowych informacji, bez konieczności jej aktywnego w tym udziału. Wszystko odbywało się tu automatycznie. Mniej więcej po trzydziestu minutach wszystko było gotowe. Wielki z ekranu GAPa z zadowoleniem popatrzył na Maczę i: - I jak?! - Zapytał. - Dacie mu radę?! - Światło przygasło, wszyscy zamarli w oczekiwaniu, komputer uruchomił program: światłowody rozbłysły jaskrawym światłem a strumień obcych informacji wypełnił uśpiony mózg Urszylla defragmentując go, reedagując i porządkując wszystkie poprzednie zapisy. - Niech pan uważa Ekscelencjo! - Powiedziała z nabożnym uśmiechem na ustach Macza, korygując jednocześnie obraz na monitorze GAPa. - Czegoś takiego Pan jeszcze nigdy nie widział. - A zwracając się do Urszylla, wycedziła: - Teraz potraktujemy ci twój móżdżek helisą Enlila! - I tu parsknęła straszliwym, przerażająco perlistym śmiecho chichotem. - Chachachachacha chihichihichihichiii chahachachachachachacha… - Aby po chwili dodać: - Katarysi będą musieli więc poczekać kochanieńki…

Kiedy podczas swojej podróży do Brazylii Kardynał Alfredo de Medina odwiedził nieznaną sobie wyspę na której spotkał tamtejszych świętych kapłanów chodzących po rozżarzonym ogniu, wysłał natychmiast list do Papieża z zapytaniem, co ma uczynić, po raz pierwszy bowiem w swoim życiu zobaczył to, co zobaczył. Jak sam to podkreślił w swoim liście, to nie tylko ludzie, których spotkał, i o których do tej pory myślał, że są zwyczajnymi zwierzętami, ale i cała tamtejsza kraina, wydała mu się rajem absolutnym, w którym tylko napełnieni Duchem Świętym mogą przebywać, czego jak zauważył dodatkowo, zupełnie nie mógł pojąć, i z czym też w żaden sposób nie mógł się pogodzić, ponieważ kraina ta nie była jeszcze nigdy dotąd skolonizowana, ani też w żadnej innej formie ewangelizowana przez kościół. Ludzie ci - pisał dalej - znają tylko jedną modlitwę: Boże Ty jesteś Trójcą, i my jesteśmy Trójcą. Miej litość nad nami. Powiedziałem im, że takiej modlitwy Bóg nigdy nie wysłucha, i nauczyłem ich naszej. Nie zmienia to jednak faktu, że to oni chodzą po rozżarzonych węgłach, a nie my! Odpowiedź od Papieża dotarła do niego dopiero w jego drodze powrotnej do Hiszpanii, kiedy misja w Brazylii była już zakończona. Z rozkazu Papieża z wyspy zostały tylko zgliszcza, a ciała jej mieszkańców rozwieszone na plażach na wysokich krzyżach, miały być świadectwem nieomylności papieskiego rozumu chroniącego cały nowożytny świat przed szerzącą się herezją i szatanem, jak przemyślnie ujął to Papież.

Urszyll z Zamiłowic stał w dużej i po brzegi wypełnionej sali klasztornej braci Katarysów, do której jeszcze tuż przed chwilą przedzierał się przez zatłoczone korytarze i wielki tłok i ścisk na klasztornym dziedzińcu. Katarysi cenili sobie bardzo jego społeczne i polityczne zaangażowanie, ostre spojrzenie na rzeczywistość, a w jego kazaniach, jego przypowieści, jego metafory, jego porównania, całą tę poezję, jej rytm, jej pejzaże, kolory i skojarzenia. Zapraszali go więc parę razy do roku do siebie z nadzieją, że wygłaszając u nich jakąś ciekawą, naładowaną rewolucyjną siłą, prelekcję, zburzy marazm i pozorny spokój ich klasztornego życia, wypełniając ich jednocześnie szaleństwem i pożądaniem miłości. I obcowaniem z Thenahå. Dzisiejszym tematem miała być znienawidzona przez nich wszy-

stkich, ich własna, wewnętrzna skłonność: skłonność każdego człowieka do ulegania swojej własnej iluzji o sobie samym, wzajemne i odwzajemnione pożeranie wraz ze znęcaniem się nad słabszymi, nieumiejętność rozpoznawania siebie samego w innych, uleganie, gloryfikowanie i kreowanie wszelkiego rodzaju przemocy, wyzysku, konkurencji, niewolnictwa i wojny. Uwielbione przez wszystkich uczestniczenie we wszelkich możliwych patologiach, łącznie z najgorszą z nich wszystkich, z patologią zachowań społecznych. Jej rozmiary, wpływy i zamiary. Choroba zmierzająca do zawładnięcia całym, współczesną niemocą sparaliżowanym, społeczeństwem ludzkim. Ziemskie uwielbienie wszelkich nakazów i zakazów, brak jakichkolwiek skrupułów czy wyrzutów sumienia, oddanie intrygom, zazdrości, chciwości i zawiści. Głupocie i kołtuństwu. Pysze i próżności. Jednocześnie jednak i nadziei. I ukojeniu. I Thenahå. Mnisi byli poruszeni. A w klasztorze wrzało jak w ulu. Każdy miał na ten temat swój wyrobiony, i z wielkim zapałem broniony pogląd, nikt więc dobrowolnie nie chciał się go pozbywać, ani go tym bardziej zmieniać. Urszyll, stojąc w przetkanej wpadającym przez wielkie witrażowe okna wiosennym słońcem, wielkiej sali zgromadzeń, gdzie szum rozmów podnieconych oczekiwaniem mnichów oraz wszystkie kolory tęczy wpadającego przez witraże słońca, mieszały się z dymem i zapachem palących się w niej świec i w wielkiej ilości eterycznych kadzideł, wiedział o tym bardzo dobrze, dolewał więc umiejętnie oliwy do ognia rozpalając w braciach ich ukryte na co dzień namiętności. Burza mózgów rozpoczęła się dosłownie tuż przed chwilą uciszając ich i niosąc jego głos ponad zebranymi w sali, ku wszystkim zebranym w korytarzach i na dziedzińcu: - W roku pańskim 1578 Papież Klemens XIII wysłał Kardynała Alfredo de Medina do Brazylii z nadzwyczaj tajną misją. Chodziło mianowicie o skryte zniszczenie wypełnionych miłością misji indiańskich założonych przez Jezuitów w puszczy tropikalnej Ukajali. Misje te oparte na prawdziwej Pierwotnej Wspólnocie, były cierniem w oku nie tylko hiszpańskich i portugalskich kolonizatorów, ale przede wszystkim cierniem w oku hiszpańskiego króla i samego Papieża, którzy nie mogli znieść powodzenia jezuickich mnichów uczących praktycznego chrześcijaństwa indiańskie zwierzęta, jak sami nazywali wtenczas brazylijskich Buszmenów, poza doktryną i poza kontrolą katolickiego kościoła i hiszpańskiego państwa. Misje zniszczono, Indian i mnichów wymordowano, a słuch o tym wszystkim zaginął w mrokach spreparowanej historii opartej na nad specjalnej, wyższej konieczności - znienawidzonemu przeze mnie systemowi czerpiącemu siłę z kłamstwa, chci-

wości i próżności oraz zwieńczonemu świadomym niszczeniem wszystkiego tego, co w nas dobre i cenne. Historia ta ilustruje dokładnie to, co pragnę przekazać wam dzisiaj wszystkim w mojej pogmatwanej, zakręconej, psychodelicznej opowieści. Rzadko bowiem świadomi jesteśmy tego, że żyjemy otoczeni zewsząd wszelkiego rodzaju gangsterami: genetycznymi i społecznymi, fizycznymi i psychicznymi, ezoterycznymi i egzoterycznymi, religijnymi i politycznymi, ufologicznymi i sferologicznymi, astralnymi i emocjonalnymi, którzy ukrywają się najczęściej najsprytniej przed nami pod wieloma ich przeróżnymi maskami normalności: codziennie wmawia się nam bowiem, i to na wszystkich poziomach jednocześnie - i religijnym, i naukowym, i politycznym i społecznym - że przemoc, że nienawiść, że zysk i wyzysk, że chciwość, zazdrość i mściwość, że agresja i wojny, że to wszystko jest naszym niewyuczonym, ale wrodzonym nam, genetyczno społecznym darem, a przez to, jedyną naszą prawdziwą rzeczywistością i jedyną naszą prawdziwą powinnością. - Urszyll podniósł głos. - Codziennie wmawiamy więc sami sobie, że dobrymi ludźmi możemy zostać dopiero wtedy, gdy zostaniemy przedtem największymi z największych bandziorów, i że nie ma od tego żadnego wyjątku, i żadnej donikąd ucieczki, bo tak właśnie jesteśmy zaprogramowani, bo tacy właśnie rodzimy się, bo tacy właśnie żyjemy i dokładnie tacy sami właśnie umieramy. Więc po cóż ten cały rwetes i to próżne gadanie o miłości?! - Urszyll akcentując każde słowo wyraźnie podniósł głos jeszcze o ton wyżej. - Strasznym jest więc, jak widzicie, tak samo jak przed dwoma lub czterystoma tysiącami lat, życie miłości w świecie nienawiści, bo tak czy owak, miłość w tym naszym międzyludzkim świecie zawsze skazujemy na męczeńską śmierć na krzyżu. A przecież życie duchowe człowieka nie jest niczym innym jak właśnie uwolnioną miłością. Kochać - znaczy połączyć się z drugim człowiekiem i dostrzec w tym połączeniu iskrę Bogini. Kochać - znaczy połączyć się z drugim człowiekiem i dostrzec w tym połączeniu iskrę samego siebie. Kochać - znaczy połączyć się z Boginią i dostrzec we wszystkim ją samą. Kochać - znaczy połączyć Boginię z Człowiekiem i dostrzec ich Esencję we wszystkim i wszędzie. Kochać - znaczy stać się tożsamym z Boginią. Z Thenahå. I to są kuszące perspektywy. - Uniesienie mnichów było olbrzymie. Jak zahipnotyzowani wpatrywali się w Urszylla chłonąc każde jego słowo z uwagą przekraczającą każde możliwości pospolitych słuchaczy. Katarysi słynęli wśród wszystkich znanych grup religijnych z najsroższych reguł duchowych, a ich osiągnięcia na polu poznania, doświadczania i szkolenia samoświadomości, były tak wielkie, że nawet

najzagorzalsi ze wszystkich świeckich nadgorliwców oraz wszyscy inni adepci sztuki mistycznej, nie mogli ich doścignąć, ani się z nimi porównywać. - Niestety! - Krzyknął porywczo Urszyll. - Niestety! Większość z nas była zawsze, jest również i nadal zastraszona przez tych wszystkich nadgorliwie wielkich krzykaczy, którzy najczęściej odwołując się do wielkiego kłamstwa jako środka na wymuszenie posłuszeństwa, sfabrykowali nieistniejące dane tylko w jednym celu: aby pomniejszyć w nas wszystkich naszą pewność siebie, i aby, w end efekcie, uzależnić nas i zniewolić. Jak pewnie dobrze to wiecie - nie na darmo w końcu tu się znaleźliście - poprzez wzmaganie w każdym z nas naszych wątpliwości co do naszych własnych zdolności, postępów i perspektyw, ograniczono, a w wielu przypadkach nawet zupełnie wyeliminowano nasz opór, jaki w normalnych warunkach prezentowalibyśmy na tle naszego społeczeństwa. Kontrolę nad nami zdobyto już dawno, a nastąpiło to wówczas, kiedy zmuszono nas do tego, abyśmy się poczuli bezsilni. Pozbawiono nas nie tylko godności i jakości, oraz wiary i rozumu, ale przede wszystkim siły i ochoty. Nie umiemy, nie możemy... I nie potrafimy! Na szczęście, mili bracia, mamy jednak kogoś, kto może nam pomóc, kto tylko czeka na to, aby go dostrzec, i aby go o to poprosić. Thenahå mili bracia, jest dobrą odmianą wszystkiego, bowiem to ONå właśnie jest Esencją. Pomimo tego jednak, iż tak jak każda kropla wody posiada cechy wielkiego oceanu, a nasza świadomość przecież posiada cechy Thenahå, to nie ONå jednak jest w naszym życiu tu na Ziemi cechą dominującą. Nie jest też naszym przewodnim drogowskazem. W ostatnich tysiącleciach przeprowadziliśmy ponad 36939 wojen religijnych, zabijając globalnie sto trzydzieści razy więcej istnień ludzkich niż żyje nas tu obecnie. W tej chwili, właśnie w tej, w ponad stu sześćdziesięciu miejscach na naszej Ziemi giną ludzie z rąk innych ludzi, w ponad trzydziestu pięciu państwach panuje tak straszny głód, że ludzie umierają na ulicach, w milionie trzystu dwudziestu tysiącach stu pięćdziesięciu dwóch więzieniach ludzie torturują innych ludzi, katują ich i zabijają, a na całym świecie globalnie wszyscy wyzyskują wszystkich, okradają ich i zniewalają. Nasza planeta powoli umiera zalana i zasypana naszymi śmieciowymi odpadkami, naszą chciwością, zazdrością i nienawiścią, a wszystko to dzieje się za naszym cichym, codziennym przyzwoleniem oraz naszym cichym, codziennym błogosławieństwem. Nie obraźcie się na mnie, mili Bracia. - Urszyll popatrzył po sali przepraszająco. - Przecież jeżeli chcielibyśmy temu zapobiec, zapobieglibyśmy temu z pewnością...

- Niestety… Jak sami to dobrze wiecie, współczesne życie współczesnego człowieka charakteryzuje się wyjątkową pruderią oraz dewoctwem, wyjątkową głupotą, i wyjątkowym kołtuństwem. Ludzie z łatwością zdobywają i przyswajają sobie przeróżne informacje, którymi ich codziennie inni ludzie faszerują, jednocześnie jednak nikt o nic nie pyta, nikt niczego nie szuka, nikt nie zadaje sobie żadnego trudu, wszystko podane jest każdemu na tacy, od kawy Czibo i krakersów wujka Dżima, po wyjaśnienie całego życia, całego wszechświata i wszelkich ludzkich problemów egzystencjalnych. A życie przecież niekoniecznie polegać musi na zdobywaniu i praktykowaniu jakiegokolwiek zawodu, na zarabianiu i wydawaniu pieniędzy, czy na szokowaniu swych współplemieńców zawrotnymi kariero upadkami: elektryk - prezydentem; ateista - pierwszym po bogu ministrantem; pijak - wojewodą; bandzior - prokuratorem; złodziej - policjantem, itd., itd., etc., etc., etc... I dotyczy to nas wszystkich. Pomimo tego, iż nie spotkałem w swoim życiu wielu ludzi, których gnębiłyby takie właśnie pytania jak: kto i co?!, dlaczego?!, z powodu czego?!, w jaki sposób?!, i przy czyjej pomocy?!, wierzę, że odpowiedź na te pytania jest najważniejszą rzeczą pod słońcem, i że to właśnie w niej ukryta jest prawda o nas samych. Wierzę również, że są wśród was i tacy, którzy o tym wszystkim bardzo poważnie myślą. Dlatego też jestem dzisiaj tutaj razem z wami. Podejrzewam jednak, że większość z was, tak jak i większość normalnych zjadaczy chleba, zadawala się gotowymi już wyjaśnieniami, akceptując je, lub krytykując, własnych nie mając, i nie posiadając żadnych! Dlatego też chcę, muszę, i próbuję obudzić w was tę waszą zaginioną gdzieś po drodze dociekliwość i odwagę, które powinniście ciągle tu mieć, których ciągle jednak tu nie macie! Przede wszystkim jednak pragnę uświadomić wam wszystkim naszą straszną, a wręcz przerażającą ludzką sytuację tu na Ziemi, gdy ICH tu między nami brakuje! Pomimo tego, iż możecie uważać moje dzisiejsze gadanie za nic niewarte banialuki nie poparte żadną ortodoksyjną doktryną, żadnym naukowym autorytetem, lub czymś w tym rodzaju, pragnę zwrócić wam waszą uwagę na fakt, że to, o czym dzisiaj do was mówię, jest opisem ludzi, instytucji oraz technologii, którymi ktoś codziennie sprytnie manipulując handluje. A my, oddając dobrowolnie nasze podatki fiskusowi, czy tego chcemy, czy też nie, czy świadomi tego jesteśmy, czy raczej nieświadomi, czy zgadzamy się z tym, czy też głośno przeciwko temu protestujemy, wszyscy, i to bez wyjątku, codziennie z nim współpracujemy. Codziennie, i tylko na pozór wbrew naszej woli, z wielkim mozołem i równie wielkim trudem, rozbudo-

wujemy i modyfikujemy aparat przemocy, wspierając dobrowolnie tych wszystkich jego ideotwórców, konstruktorów i wykonawców. Bowiem, pomimo, iż wszystko wydaje się nam ciągle możliwe, wszystko pozostaje jednocześnie poza naszym osobistym wpływem. I to jest dla mnie takie straszne! A wręcz przerażające! Dlatego też wszystkich tych ortodoksyjnie skostniałych oraz ortodoksyjnie zagorzałych niedowiarków, odsyłam do diabła, a tych, których niewiara przerasta każdy zdrowy rozsądek, oraz każdy materiał dowodowy, uprzejmie proszę: użyjcie tego papieru jako papieru klozetowego, najlepiej w ogóle go przedtem nie czytając, i opuście teraz tę salę. Będzie to z większym pożytkiem dla mnie, a, i dla was kochani. Jeżeli jednak zechcecie posłuchać mnie dalej, będziecie przeze mnie zmuszeni na zwrócenie waszej uwagę na… - I tu Urszyll przerwał na chwilkę. Rozejrzał się po sali, przypatrzył ściśniętym mnichom, lecz sali nikt nie opuścił. Nikt się nawet nie poruszył. Urszyll wpatrzył się w grę kolorów w witrażowym świetle i tak oto rozpoczął przed chwilą przerwany watek:

- Zwróćcie waszą baczną uwagę choć przez chwilkę na fakt, że wradzając się w to przesiąknięte i przeżarte na wskroś przemocą i nienawiścią ludzkie społeczeństwo, czy tego chcemy, czy też nie, czy tego świadomi jesteśmy, czy nie, czy się z tym zgadzamy, czy też głośno przeciwko temu protestujemy, sami takimi samymi się stajemy. I nie ma od tego ucieczki! Odkąd bowiem przemoc i nienawiść rządzą nami otwarcie w monstrualnej i strasznej formie zbrojeń techno psychologicznych, w monstrualnej i strasznej formie ideo- i ludobójstwa, w którym codziennie, i to bez najmniejszego protestu, bierzemy osobisty udział, odtąd staliśmy się na wzór swych Mistrzów i Guru, jedynymi prawdziwymi propagatorami, jedynymi prawdziwymi wyznawcami, i jedynymi prawdziwymi praktykami naszej własnej, niezawisłej, prywatnej paranoi, którą zalewamy nie tylko innych, ale przede wszystkim i siebie samych. Odkąd bowiem jacyś eksperci mówią nam bez zmrużenia powiek, a inni eksperci bez zmrużenia powiek uczą nam nasze dzieci, jakby chodziło o rzecz najbardziej naturalną w świecie, że to właśnie nasza paranoja trzyma nasz świat w ryzach, bo to właśnie zysk i wyzysk jest matką i królową wszystkiego, odtąd możemy mierzyć niechybny początek upadku naszej cywilizacji, a tym samym, i nas wszystkich.

- Muszę i chcę się wam teraz przyznać do rzeczy naprawdę strasznej, do rzeczy, o której nie mówiłem jeszcze nikomu, do rzeczy, której się

wstydzę, ale, z której jestem też jednocześnie w jakiś dziwny sposób zadowolony. Jak wiecie, ponad wszystko miłuję dobroć wierząc, że to miłość, a nie nienawiść, jest matką i królową wszystkiego, zauważam jednak, że ja, człowiek całkowicie oddany miłości i ją codziennie na wszystkich poziomach urzeczywistniający, szczerze kochając, szczerze też nienawidzę. - Mnisi byli poruszeni. Dały się słyszeć nieśmiałe głosy protestu. - Tak, tak mili bracia. To nie jest żadna *Sui Generis*, to smutna rzeczywistość. Demon zła przenika mnie na wskroś i nie zawsze mam siłę aby mu się przeciwstawić. Nie wiem też, czy powinienem. Ostatnio, wyobraźcie sobie, śniłem na jawie, wyobrażałem sobie, a wyobrażenie owo dawało mi nieukrywaną radość i satysfakcję, jak nocą, zabrawszy uprzednio karabin z obciętą lufą oraz kanistry z benzyną, jadę do pobliskiej wsi, jak oblewam te budynki, jak podpalam je, jak strzelam, i jak się temu wszystkiemu z lubością przyglądam, paląc w spokoju grube cygaro... - Wrzawa i tumult oburzonych mnichów zagłuszyły słowa Urszylla, który stojąc w milczeniu spokojnie czekał. - Wierzcie mi, naprawdę czułem nienawiść, i mało tego, że ją czułem, to byłem jeszcze z niej zadowolony! - Urszyll przekrzykując wrzawę popatrzył po zgromadzonych znacząco przy tym kiwając głową. - Maryłej Dziewic byłby wniebowzięty. Nie ma co mówić. I szczerze mówiąc zaczynam powoli rozumieć jego skłonność do przemocy... - Tumult i wrzawa Braci zagłuszyły jednak wszystko. - Strzeżcie się bracia! - Krzyknął Urszyll. - W każdym z nas drzemie demon zła! I demon ciemnej mocy! - Po dość długim oczekiwaniu na spokój, rozpoczął: - Ale nie dlatego, że jesteśmy poczęci w grzechu, lecz dlatego, że to nasze tu bytowanie powołało go do życia, a nasza ignorancja i zuchwałość oraz strach o wszystko, karmi i tuli go do naszych piersi. Większość z was jest pogrążona w mroku i tego nieświadoma. A ponieważ doświadczeń życiowych nie da się ot tak po prostu przelać na innych, nie mogę, i nie chcę uwalniać was od waszych, bo to nie tylko jest waszą osobistą sprawą, jak i powinnością, ale też jednocześnie i waszą szansą. W końcu przecież pragniecie najbardziej ze wszystkiego właśnie poznania... I zrozumienia. Czyż nie tak?! - I tu Urszyll szelmowsko się uśmiechnął, bowiem bardzo uwielbiał tego typu prowokacje. - Każdy z nas został kiedyś w jakiś sposób skrzywdzony, a krzywda ta nigdy nie została naprawiona. I mało tego! Ci, którzy krzywdzili nas, którzy krzywdzili też i innych, bo i tak to działa, twierdzili jednocześnie, że robią to wyłącznie dla naszego dobra. Małe, niesprawiedliwie skrzywdzone dziecko urosło od tamtego czasu, ból niesprawiedliwości i niemocy w naszych sercach urósł również. Przy sprzyja-

jących okolicznościach, gdy raz zapisana w naszej czasoprzestrzeni informacja spotka odpowiedni grunt do tego żeby się odtworzyć, na nic nie zda się nasze dobre wychowanie, nasze maniery, czy dobra wola. Demon ożyje jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki, bo on czeka, i wierzcie mi, on jest w czekaniu prawdziwym mistrzem. - I znowu wybuchła wrzawa, a salą wypełniły oburzone krzyki Braci. - Tu nie ma co protestować! - Krzyknął Urszyll uciszając Braci ręką. - Dobrze wiecie, że mam rację. Dobrze wiecie, bo znacie siebie samych z autopsji, a wasza wiedza w tym względzie, jak mniemam, jest największą i najlepszą jaką znam. Sądzę więc, że tak jak i ja znacie Porządek, i znacie Hierarchię. I Konsekwencję! Czyż nie tak?! - A gdy Bracia skwapliwie potwierdzili, Urszyll powiedział: - Jesteśmy podobni, bowiem tak jak i mną, tak i wami targają wielorakie uczucia. Często miłość kołysze nami do snu, równie często jednak, budzi nas już nienawiść, zmuszając nas coraz częściej do zadumy oraz przerażającego wręcz zatrwożenia samymi sobą. Wasz niewypowiedziany protest uświadamia mi tylko jeszcze wyraźniej nasz wspólny problem: naszą naturalną lub/oraz sztucznie nam zainfekowaną niemożność uwolnienia się od siebie samych, czyli od tego, jakimi codziennie przez całe nasze tu bytowanie jesteśmy. Nie wiem czy wiecie, co Wielki Enlil-el, Pan Wielkiej Góry, Jahwe - oficjalny Bóg nas wszystkich, powiedział kiedyś o ludziach?! - I kiedy Bracia wyraźnie zdziwieni zaprotestowali, Urszyll przytoczył fragment tłumaczenia akadyjskiego: - *Ad mem Yahwe relig kum… a…* - Lecz nie mógł już dokończyć, bowiem tym razem salę wypełniła prawdziwie ogromna nawałnica oburzenia. Bracia żegnali się krzyżami, kulili się w sobie, głowy nakrywali kapturami ich wielkich habitów, niektórzy grozili Urszyllowi, niektórzy płakali, a jeszcze inni śmiali się do rozpuku. Sala przypominała przez moment *psychodelice asylum* pospolitego szpitala psychiatrycznego, a nie szanowne zgromadzenie Braci Katarysów, ludzi dzielnych i odważnych, chętnych i mało uległych. Urszyll widząc ich wielkie poruszenie dolał oliwy do ognia: - Niestety podziały, które reprezentujecie wszyscy w codziennym życiu, a, z którymi ja z takim uporem i zaangażowaniem walczę, będą trwały tak długo, dopóki pozostaniecie w stanie niezrównoważenia, a lwiej większości z was nie uda się zrzucić waszych ukochanych masek, które założyliście sami sobie samym. Dlatego też pewnie większość z was nie rozumie w pełni znaczenia swojego życia wewnętrznego i, niestety, nie docenia własnej wartości. Inni z kolei pragną podporządkować wszystko własnej woli, niszcząc w ten sposób wszystko, łącznie z sobą samymi, zapominają bowiem, że potrzebują innych

do zaspokajania swoich wybujałych ambicji, jak tlenu do oddychania. Tym samym wszyscy stanowimy najpotężniejszy filar i najpotężniejszy zaczyn naszego osobistego zła. Codziennie też przez nas wszystkich, na wszystkich, i to wszędzie bez wyjątku, praktykowany! A przecież mieliśmy być kreatorami dobra! I miłości! Zapomnieliście, że w Thenahå wszyscy jesteśmy równi?! Zapomnieliście, że w Thenahå wszyscy jesteśmy tym samym?! - Urszyll popatrzył uważnie po zgromadzonych. - Na przekór temu strasznemu stanowi naszego świata - naszych dusz, naszych serc i naszych umysłów, aby was też troszeczkę uspokoić przywracając nam wszystkim zagubioną gdzieś po drodze równowagę duszy, zacytuję teraz moją, a, i waszą ukochaną i uwielbioną przez nas wszystkich, Thenahå: Miłość i tylko miłość i nic ponad miłość. To miłość powołuje, ożywia, opływa, organizuje i zarządza... To ONå miłuje siebie samą w sobie samej... To ONå wypełnia sobą nas wszystkich napełniając ten kielich życiem... Prawdziwa miłość nie polega więc na manipulowaniu kimkolwiek. Prawdziwa miłość nie polega też na dawaniu i braniu, ponieważ miłość nie jest czynem. Miłość jest stanem ducha i jako taka opiera się na prawdziwym wglądzie w istotę rzeczy, w którym nie ma miejsca dla zależności kochany - niekochany, czy, miłość - nienawiść, bowiem wszyscy jesteśmy emanacją jednej i tej samej idei, nawet, jeżeli reprezentujemy tutaj rożne jej aspekty. Niestety, a widzę to wyraźnie, wy uważacie, że są na Ziemi i na Niebie sprawy, których nikt z nas nigdy ani pojąć, ani zmienić nie zdoła, i nawet jeżeli wierzycie, że są tacy, którzy mogą, i oni rzeczywiście mogą, pomimo, że osobiście nie znacie nikogo takiego, poza mną oczywiście, to nie oznacza to dla was, że inni - że wy sami - też posiadacie takie możliwości, lub że kiedykolwiek je posiądziecie. Tak jak i przed wiekami, tak i dzisiaj, żyjecie otoczeni zewsząd morzem własnej niemocy, własnej niewiary i własnej niemożności. Tak jak i przed wiekami, tak i dzisiaj nikt z was nie wie dlaczego, i nikt z was nie potrafi się od nich uwolnić. Nie oznacza to jednak, mili Bracia, a, i wy wszyscy tu zgromadzeni, co podkreślam z całą stanowczością, oddzielając się tym samym od wszystkich nieuleczalnych pesymistów i zatwardziałych niedowiarków, że wy, że inni, że każdy, jest istotą bezsilną, taką, która nie może zmienić niczego! Człowiek w przeciwieństwie do wszystkich innych istot ziemskich, mili Bracia, odziedziczył po swoich stwórcach wielkie możliwości, z których, gdyby tylko zechciał, mógłby skorzystać. Dlatego też twórczym aktem wysiłku woli możecie wiele zdziałać i wiele zmienić. Moim zdaniem nadszedł już bowiem ten czas, czas najwyższy, ten, w którym, albo zmienicie paradygmat postrze-

gania siebie samych przez siebie samych, zabierając się od razu do naprawy systemu którym sami jesteście, albo rzeczywiście wymażecie - wymażemy - siebie samych z Programu Życia, i to raz na zawsze. - A widząc, że to uspokoiło braci zupełnie, dolał trochę oliwy do gasnącego już ognia: - Jesteśmy tylko naczyniami. Naczyniami wypełnionymi eliksirem Sfer. Więc pomimo tego, iż chcielibyście pewnie abym w tym miejscu poprosił was wszystkich o wyrozumiałość, ja tego nie zrobię. Nie mogę tego zrobić! Nie mówię wam bowiem tego wszystkiego po to, abyście w waszej naprzemiennej niewierze i samo zachwycie wypełniającym wam wasze serca i mózgi, trwali! Muszę was szokować. Muszę burzyć wam waszą spokojną krew w waszych żyłach, bo to jest jedyny sposób, aby was obudzić! Aby wyrwać was ze szpon śmierci, w której pogrążeni jesteście. Uważam bowiem, że od dawna już nie żyjecie! A żyć powinniście... – I stało się tak, jak to sobie zaplanował: Tego Bracia nie mogli już znieść. Ich oburzonych krzyków nie udało mu się od razu uciszyć, choć starał się bardzo... - Czy myśleliście, że przyjeżdżam tu tylko dla własnej, lub waszej próżnej przyjemności?! - Rozpoczął po chwili. - Aby pobyć tu trochę z wami, pogadać trochę, pojeść i popić?! Chyba zwariowaliście! A może myślicie, że nie należy zagłębiać się aż tak daleko w swoim wnętrzu?! A może boicie się siebie samych?! Jak widzę, w wielu z was moje słowa spowodowały wielki niepokój. Jeszcze większa wasza część w ogóle ich nie pojęła. Nie umiecie, nie możecie i nie chcecie przyjąć do wiadomości, że to nie tylko jacyś inni mogą być źli, ale, że to wy, no i ja, i do tego osobiście, też takimi możemy być. Martwię się o was. - Urszyll uśmiechnął się. - Chciałbym, żebyście mogli się wczuć w każde moje słowo, w każdą moją myśl, żebyście mogli je przeżyć praktycznie, żebyście je poczuli dogłębnie, zrozumieli i pojęli, żebyście wejrzeli wreszcie w głąb, bo najbardziej ze wszystkiego zależy mi na was, bo nie wiem czy o tym już wiecie, czy o tym ciągle pamiętacie, że ja kocham was tak jak siebie samego, jak Thenahå, a będąc tożsamym z każdym z was, tak samo jak i ONå cierpię. - Urszyll rozejrzał się uważnie po sali. - Czyżbym się jednak aż tak mylił?! Czy rzeczywiście nie dostrzegacie w sobie samych tej ziemskiej infekcji i mistyfikacji?! Czy nie czujecie nigdy nienawiści i złości, którą pomimo waszego świadomego odrzekania się i odcinania od nich, zarażeni jesteście?! Wasza uparta zatwardziałość naprawdę mnie martwi. Bowiem to właśnie ona nie pozwala nam na urzeczywistnienie tu na Ziemi idei Jedni. Bo gdyby było inaczej, gdyby istniała prawdziwa ludzka wspólnota, która niestety nie jest znaną nam formą współistnienia, takie ujęcie i takie zarządzanie

rzeczywistością, jakie dzisiaj jest nam znane, jak mi to wspaniale dzisiaj pokazaliście, nie byłoby możliwe. Najważniejsza wtenczas byłaby Jednia, jej treść, i jej sens. Wszyscy bylibyśmy wtenczas rzeczywiście tym samym, a radość wypływająca z naszego tu bycia, radość z naszych międzyludzkich kontaktów, z możliwości przekazu i odbioru, z możliwości i rzeczywistości naszego wspólnego i jednoczesnego współzaistnienia, wypełniałaby w równym stopniu nam wszystkim nie tylko nasze serca, ale i nasze umysły. Niestety. Niestety zniewolono nas już dawno, dawno temu. Uzależniono nas od sprefabrykowanych informacji stosując na nas wszystkich strategię bezsilności tak, jak stosuje się ją na pospolitych więźniach w pospolitych i szarych więzieniach, zabierając im po prostu ubrania. Nam zabrano naszą godność, zabrano nam też naszą jakość i wiarę w siebie samych. Zastraszono nas wielkim kłamstwem tak, że do dzisiaj nie możemy uwolnić się od strachu... Ale... - Urszyll pokiwał głową - Dlatego też jestem dzisiaj tutaj z wami i proszę was dzisiaj: nie ustawajcie w ćwiczeniach i próbach. Nie poddawajcie się. Drążcie. Walczcie. Buntujcie się. Cała przyszłość może należeć do was. Jednak, nie przeszłość i nie teraźniejszość! - Urszyll ze smutkiem pokiwał głową. - Nie macie pojęcia, jaka to szkoda! Mam nadzieję, że chociaż po części możecie mnie zrozumieć i to jakoś pojąć... Oczywiście, żyjąc i oglądając ten nasz współczesny, międzyludzki świat przez ostatnie pięćdziesiąt lat, jak sami to widzicie, straciłem już dawno mój dobry humor, straciłem też zdrowie, zapał i siłę, lecz nie zamierzam rezygnować z przypominania wam, a, i sobie samemu, po co tu jesteśmy, i jakimi moglibyśmy się stać, gdybyśmy tylko tego wspólnie zapragnęli... Musimy tylko ten nasz osobisty, ciemny węzeł rozpoznać. I go zrozumieć. A po zrozumieniu utulić. I ukoić. Pokochać. No, i go uwolnić. Nie można go więc tak po prostu odrzucić, zatrzasnąć, albo zignorować.- Urszyll rozejrzał się uważnie po sali. - Na szczęście mamy ból. Nasz klucz do lepszej przyszłości. Ten straszny, przeszywający nam nasze dusze. I to właśnie on obudzi w was waszą uśpioną od wieków świadomość. Pomoże wam wreszcie zrozumieć, poczuć, i urzeczywistnić to, czego żadne inne siły nie mogły, i ciągłe nie mogą: waszą własną potrzebę wyrażania miłości i dobroci we wszystkich waszych czynach, we wszystkich waszych myślach, i we wszystkich waszych uczuciach, i to na wszystkich płaszczyznach, we wszystkich rzeczywistościach, i we wszystkich światach jednocześnie: we wszystkim i wszędzie. Niechże więc ten koń szarobiały, i ten jeździec garbaty, i ta otchłań, i śmierć, nasz wspólny ból, nasz wspólny gniew, a z nich wyrastająca, nasza wspólna radość

i szczęśliwość, i dobroć, i miłość, poprowadzą nas ku lepszemu zrozumieniu siebie samych, a przez to ku lepszej organizacji oraz lepszemu zarządzaniu światem, w którym żyjemy. Thenahå - nasza konieczność i nasza świadomość. Pozostańcie w pokoju. - I Urszyll skończył. Sala pustoszała powoli. Większość Braci jednak została. W jakimś niemym oczekiwaniu wyraźnie na coś oczekiwali. Przeor podszedł do Urszylla i coś do niego niezrozumiale powiedział. Urszyll poczuł od razu sens przekazu, słów przeora zrozumieć jednak nie mógł: przeor wyraźnie tłumaczył zachowanie Braci, zrzucając całą winę za ich zachowanie na ich młodość oraz porywczą niedojrzałość, a nie na ich chęć obrażenia go, czy też zlekceważenia. Prosił go jednocześnie o jakiś cud, wiedział bowiem dobrze, że cuda pogłębiają każdą wiarę, nawet jeżeli nie umożliwiają nikomu lepszego zrozumienia czegokolwiek. Wiedział również, że Bracia, będąc w końcu normalnymi ludźmi, potrzebują cudu wiary tak, jak tlenu do życia. Urszyll uśmiechnął się do przeora. W zachwycie obserwując grę świateł rozejrzał się dookoła, pokiwał z uznaniem i ze zrozumieniem głową, objął go ramieniem, i razem, z wolna, ruszyli ku wyjściu i ogrodowi, gdzie już od dawna, w cieniu rozłożystych, kwitnących właśnie kasztanów, oczekiwał ich odświętnie przybrany stół zastawiony dzisiaj samymi smakołykami. Wychodząc z sali zatrzymali się nagle, bowiem Urszyll wyprzedzający o krok przeora rozrzucił niespodziewanie dla wszystkich ręce na boki i krzyknął przejmująco: - Uwaga! Nadciąga! - Skonsternowani Bracia nie bardzo zrozumieli o co chodzi, gdy równie nagle, tuż przed ich oczami rozbłysł olbrzymi napis: Uwaga Dooila!, a ostrzegawczy klakson i pisk hamulców pędem nadlatującego znikąd tajemniczego pojazdu, zagłuszył wszystko. Urszyll złapał mocno przeora, lecz ten bezwiednie zrobił jednak krok w przód, poślizgnął się niespodziewanie, zachwiał i jak worek wypełniony kamieniami padł na beton. Chciał wstać, lecz nie mógł. Przekręcił się jeszcze tylko na plecy, i w ostatniej chwili, całkowicie znikając już pod pojazdem, spostrzegł wybałuszone wyraźnie udawanym przerażeniem, śmiejące się radośnie jakieś kobiece oczy, a potem wszystko zgasło. Posypało się jakieś szkło i pojazd się zatrzymał. Spod kół, prosto pod nogi oniemiałych Braci, wytoczyła się odcięta głowa przeora: martwe oczy wpatrywały się w nich srogo, a usta z jakimś wyrzutem poruszały niemo. Z ich wnętrza wydobywał się jednocześnie niepojęty, przeszywający wszystkich przerażeniem, radosny jednak, perlisty śmiech kobiecy, a w tle dał się słyszeć równie radosny, męski głos: Viva la Muerte! - Który jak nakręcona, rozstrojona katarynka ciągle powtarzał: - Viva la Muerte! Viva la Mu-

erte! Viva... - I jakby tego wszystkiego było jeszcze zbyt mało, nagle czaszka przeora otworzyła się, a z jej wnętrza wyskoczył mały, miniaturowy Dziewic, który wymachując jakimś długim samurajskim mieczem zaczął skakać zawadiacko od brata do brata, próbując, na szczęście bez skutku, nadziać każdego z nich na jego ostrze. W chwili całkowitego, paraliżującego wszystkich Braci przerażenia, brama klasztorna przewróciła się pod naporem podobnych pojazdów, zza których, a było to już widać wyraźnie, wyskakiwali uzbrojeni po zęby milicjanci. Urszyll niespodziewanie zaproponował: - Pobłogosławię was. - Bracia nie padli jednak na kolana, lecz rozbiegli się bez ładu i składu po całym klasztornym dziedzińcu wrzeszcząc w niebogłosy. Urszyll z jakiegoś niezrozumiałego powodu pozostał na miejscu. W tym samym dosłownie momencie, na wyraźny rozkaz jednego z wielu wysoko postawionych oficerów wysiadających właśnie z czarnej Wołgi, ze wszystkich stron dziedzińca, rzucili się naraz na niego uzbrojeni z obnażonymi, białymi, pałami, a paru z nich, mając nawet w wyciągniętych dłoniach odbezpieczone pistolety, zaczęło z nich strzelać w jego kierunku. Na dziedzińcu zakotłowało się. Kto tylko mógł uciekał, lecz niewzruszony Urszyll stał ciągle nieruchomo. Minęło dosłownie parę sekund, a sytuacja była już opanowana. Milicjanci pakowali wierzgających braci do suk, gdy przed Urszyllem tym czasem, stanęła sama prof. Macza Dooroba, diament dooilskiego parnasu, główna jego podpora oraz główna jego kokreatorka. Stanąwszy tuż przed Urszyllem, nagle, znienacka, w chwili najmniej oczekiwanej, trzasnęła go z całej siły w twarz. - Piękny sprawiłeś sobie cud, nie ma co, Urszyllu! - Powiedziała przy tym śmiejąc się szyderczo. Urszyll zachwiał się lecz nie upadł. - Nie spodziewałeś się mnie, co??!! - Urszyll nie odpowiedział. Macza pokiwała z politowaniem głową, po czym chciała uderzyć Urszylla drugi raz, tym razem jednak Urszyll uchylił się zgrabnie. Maczę zatkało. Skinęła więc dłonią, a na ten znak dwóch pomocników rzuciło się na niego z pałami, lecz ich wzmożone wysiłki na nic się zdały. Urszyll stojąc sobie spokojnie, jak gdyby nigdy nic, jedną tylko ręką odparowywał ciosy milicjantów, robił to jednak bardzo skutecznie. Macza chcąc wspomóc napastników przyłączyła się do nich, lecz Urszyll wykonał dziwny ruch ręką i cała trójka wylądowała na chodniku. Urszyll uśmiechnął się przepraszająco, i ni z tego ni z owego, trzy razy klasnął w dłonie, a na ten znak, rzeczywistości zwinęły się i rozwinęły. Niektóre pojazdy rozwiały się jak poranna mgła pod działaniem porannego słońca, inne znowu rozpuściły się jak śnieg i wsączały właśnie w ziemię między płytami chodnika. Odcięta głowa przeora połączyła się

jakimś cudem z ciałem, przeor wstał i uśmiechnął się promiennie, jednocześnie wyrzucając ręce na boki. Bracia padli jak jeden mąż na kolana, a uśmiechnięty i zadowolony Urszyll błogosławił wszystkich: - W imię matki i ojca i wszystkich boskich dzieci, i duszy świetlistej, amen. - Potem ukłonił się wszystkim nonszalancko, uściskał przeora, pogroził palcem co niektórym mnichom i już opuszczał dziedziniec. Po stronie przeciwnej furty i klasztornego muru zatrzymany został jednak brutalnie przez dwoje funkcjonariuszy szybko wyskakujących z czarnej Wołgi. Wciskając Urszylla na tylne siedzenie Macza Dooroba rzuciła w kierunku kierowcy: - Departament Odnowy i Modelingu! Ale migiem! - A zwracając się w stronę Urszylla, błyskawicznie wyciągnęła z kieszeni płaszcza małą strzykawkę i wbijając mu ją znienacka w udo, wycedziła: - Opowiesz nam teraz o Ninhursag, i nie wykręcisz się!

Tym razem jednak to sama Ninhursag leżała w bólach na łożu porodowym. Te dziewięć miesięcy mijały tak wolno, i były tak strasznie wyczerpująco absorbujące, że już prawie wszyscy w pałacu cierpieli na koszmarną, niemijającą migrenę, straszne bóle głowy i ciągłe, przerażające wizje przyszłości. Nie mogąc doczekać się porodu, krążyli z jakiegoś nieznanego im wszystkim powodu w jakichś osobliwych pozach i wywijańcach, i to po komnatach, i to po dziedzińcach, po otoczeniu pałacowym, a wszystko to działo się jak w jakimś dziwnym, i dziwnie opętańczym tańcu. Najgorsza z tego wszystkiego była jednak niepewność, nikt bowiem nie wiedział tak do końca, co z tego wszystkiego właściwie wyniknie, i czy rzeczywiście urodzi się cokolwiek, a już coś pięknego i mądrego, to już w ogóle. Nawet sama Ninhursag, pomimo ogromnego brzucha i kopiącego Lullu, coraz częściej popadała w zwątpienie. W takich chwilach wątpiła w powodzenie ich przedsięwzięcia i chciała natychmiast usunąć ciążę. A tak bardzo chciała być matką. Co prawda zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co słowo to właściwie dla niej oznacza, chęć bycia matką jednak, była w niej olbrzymia. Pomimo tego, oraz gdyby nie to, że to nie tylko losy całego tego ludzkiego życia tam na Ziemi zależały od tego porodu, ale i ich własne, z pewnością nie donosiłaby ciąży. Na szczęście Enki czuwał nad nią i nad ich płodem noc w noc, i dzień w dzień. I dzisiaj wreszcie miał przyjść ten czas, czas zdecydowanego rozwiązania. Lullu miał wreszcie zobaczyć światło dzienne, a Ninhursag miała rzeczywiście zostać matką. O dwunastej siedemnaście, gdy Enki i kilku jego najbliższych współpracowników stało właśnie nieopodal rodzącej już prawie królowej, a akuszerka nachylała się nad nią tuż-tuż, z jej zaciśniętych milczeniem ust wyrwał się okrzyk bólu. Enki podskoczył błyskawicznie, uruchamiając w biegu komputer. - Ninigiku, myślę, że to już czas. - Pochylił się nad nią i pogłaskał ją po głowie. - Teraz musisz przeć... Przyjjjj więc...!!! - Rozkazał, aby po chwili dodać: - Daj Lullu szansę. - A gdy zobaczył łzy bólu na twarzy Ninigiku i jej nieudolne próby i jej równie nieudolne wysiłki, roześmiał się rozśmieszony tą przedziwną sytuacją. Lecz gdy przez następną chwilę nic się nie wydarzyło, ponaglił ją już dużo, dużo energiczniej: - Przyj do cholery...

Lullu urodził się normalnie. Bez żadnych komplikacji. Był czerwony jak Indianin i ważył ponad sześć kilo. Wyciągnięty przez akuszerkę z łona Matki Życia wrzasnął przeraźliwie, ale gdy tylko poczuł jej ciepły brzuch i nabrzmiałe mlekiem piersi, przestał płakać i przyssał się do nich jak smok. - Na Anu, jaki on śliczny... - Ninhursag była zachwycona. W końcu był to pierwszy jej poród i pierwszy poród tego rodzaju od początku praczasu. LUDZIE rozmnażali się, a właściwie odnawiali już od tysiącleci przez imitowanie, a pomysł urodzenia Lullu tym sposobem przyszedł Enkiemu do głowy zupełnie przypadkowo, gdy kiedyś, w dalekiej przeszłości, obserwował w ziemskim buszu jakieś rodzące ziemskie istoty. Ninhursag przyjęła z zachwytem na siebie rolę matki Lullu i z wielką ochotą poddała się zabiegom Enkiego. Jaja i plemniki uratowane przez Utanapisztimę z Uruppak dotarły, z dużym opóźnieniem, ale jednak dotarły do pałacu Enkiego. Zmutowane genetycznie przez personel medyczny, wszczepione zostały Ninigiku przez niego osobiście, a zabieg ten przeprowadzono w całkowitej tajemnicy w jego tajnym, pałacowym laboratorium. Potop zniszczył co prawda cały poprzedni ludzki świat, paranoidalny plan Enlila jednak się nie przyjął. Z rozkazu Pana Wszystkiego, Enki wraz z Ninigiku miał stworzyć natychmiast nowego, ulepszonego człowieka, a zaraz po opadnięciu wód potopu, miał przenieść tę ulepszoną wersję na Ziemię, ponieważ człowiek był im ciągle niezbędnie potrzebny do wykonania ich wszystkich tam zamierzeń. A czas naglił. Trzynasta planeta zbliżała się nieubłaganie do punktu krytycznego. Poza tym Bracia domagali się kobiet tak energicznie, że nawet sam Enlil nie mógł nic przeciwko temu zaradzić. Enki został na nowo mianowany ziemskim namiestnikiem, lecz Enlil otrzymał stanowisko Wielkiego Kontrolera, co praktycznie oznaczało ścisłą kontrolę wszelkich poczynań ziemskich. Obaj próbowali więc stworzyć tak dobrą wersję istoty ludzkiej, jak byłoby to tylko możliwe, choć zadaniem tym oficjalnie obarczony został tylko Enki, dla którego człowiek, w przeciwieństwie do zamiarów i planów Enlila, miał być w każdym calu lustrzaną kopią swych stwórców. I to nie tylko z wyglądu. Przede wszystkim miał być istotą społeczną. Miał posiadać możliwość Nadmożliwości, cechę zarezerwowaną dotychczas tylko dla istot dziewięciowymiarowych, jakimi byli LUDZIE. Poza tym, po wykonaniu wszystkich ich planów na Ziemi i jej opuszczeniu, miał pozostać na niej w roli gospodarza i ich reprezentanta w tym układzie słonecznym. I nikt nie miał mu w tym przeszkodzić. Nawet sam Enlil-el, Pan Wielkiej Góry, Ilu Kurgal, Jahwe - jedyny prawdziwy Bóg wszystkich Homoków.

Enlil-el nie był jednak aż tak naiwny i aż tak głupi, za jak naiwnego i głupiego go Enki uważał. Wiedział więc nie tylko o Utanapisztimie, ale i o tajnych planach Enkiego. A jako iż dla niego człowiek miał być tylko nieświadomą niczego rurą trawiącą, takim biologicznym niewolnikiem do wszystkiego i niczym więcej, działał odpowiednio. Wymagało to od niego co prawda nie lada odwagi i nie lada zręczności, ale Enlil-el był bardzo odważny i bardzo zręczny. Ponadto, Enlil lubił się zabezpieczyć na każdą ewentualność, a teraz, właśnie teraz, postanowił przeciwstawić się im obu równocześnie: i Enkiemu i ich ojcu - Panu Wszystkiego - ponieważ to właśnie to miało sprawić mu, jak sądził, największą rozkosz. Nienawidził ich obu bowiem jednocześnie. Nienawidził i brata, i ojca za ich wzajemną miłość, oddanie sprawom społecznym i braterstwo, z którego jak sądził, został przed wiekami wykluczony. Z wiekiem też, rosnąc stale i potężniejąc, stała się ta jego nienawiść tak wielka i tak zajadła, że już żadna siła, że już nikt i nic, nie mogło uratować ich przed jego straszną, złowrogą, jednocześnie słodką jednak, a nawet najsłodszą, chęcią zemsty. Do tego Ilu Kurgal działał osłonięty Mocą, w absolutnej tajemnicy, a, o jego mrocznych planach i zamiarach, w przeciwieństwie do planów i zamiarów Enkiego, nie wiedział absolutnie nikt. Nawet jego najbliżsi homoccy współpracownicy, ci, którzy tak jak i Utanapisztima przeżyli potop, nie wiedzieli o niczym. Nawet Pan Wszystkiego, posiadając w całym wszechświecie swoje wszystkowidzące oczy, nie zobaczył i nie dostrzegł niczego. Teraz Enlil czekał już tylko na odpowiedni moment, a moment taki zbliżał się wraz ze zbliżającą się Trzynastą Planetą nieubłaganie i niezaprzeczalnie. W końcu Enlil planował nie tylko przejęcie władzy nad całą Ziemią, ale, co było dla niego najważniejsze, również nad Trzynastą Planetą. Plan, który przez ostatnie tysiąclecia precyzyjnie układał i realizował, powoli wypełniał się. I wszystko działo się tak, jak tego pragnął, i tak jak to sobie wcześniej zaplanował: niezadowolenie Braci, rewolta, zagłada, nowi ludzie, ponowny potop, Utanapisztima, ciężarna Ninhursag, wspaniały Lullu i jego potajemny modeling... No i szybko zbliżający się punkt krytyczny. Wszystko szło więc tak jak z płatka, tak jak trzeba. I, jak należy.

I to właśnie dlatego oczekiwania i zamiary Enkiego okazały się płonne. Człowieka nie udało się na tyle zmodyfikować, aby mógł choćby w najmniejszym stopniu równać się swoim kreatorom. I stwórcom. Nie pomogło wynoszenie go przez Ninhursag w jej wła- snym

brzuchu, nie pomogło również nakarmienie go owocami z drzewa wiadomości dobrego i złego. Nie pomogły wyrafinowane eksperymenty genetyczne Enkiego, ani nauka w szkole Matki Życia. Lullu okazał się istotą bardzo śliczną i kochaną, ułomną jednak i kruchą. Tak jak i przed potopem, tak i teraz miał trudności z uczeniem się czegokolwiek, był do tego porywczy, zazdrosny, chciwy i mściwy. No i leniwy strasznie. Najbardziej pociągała go zabawa w ciągłe zmiany, objadanie się łakociami oraz marzenie o ciekawym, wspaniale wygodnym życiu króla tam na Ziemi. Pomimo tego, że Enki stworzył mu szybko siostry i braci, Lullu pozostał typem samotnika. Bawił się najchętniej w rozdawanie swoich zabawek, jeszcze chętniej jednak przebywał sam słuchając radia, oglądając telewizję lub tworząc holograficzne, kolorowe bajki. Do szkoły chodził niechętnie, głównie ze strachu przed Enkim oraz dlatego, że go o to prosiła Ninhursag. Zabrany przez nią któregoś razu do sali zgromadzeń, stanął w kącie i patrząc na wszystkich spode łba wycharczał: - A ja bym was wszystkich powystrzelał!

Na prośbę Ninhursag Lullu w wieku siedmiu lat zaprowadził sobie pamiętnik. Opisywał w nim wszystko to, co uważał za ważne i godne uwagi, a że najbardziej pasjonowały go rozmowy z Thenahå, to głównie one właśnie wypełniły strony jego pamiętnika. Thenahå znała odpowiedź na każde pytanie. Najtrudniejsze jednak nie było ich zadawanie, lecz celowe, precyzyjne ich wymyślanie. Wymyślanie mądrych pytań nudziło go jednak strasznie. Stawiał jej więc najprostsze pytania i takie, jakie przychodziły mu właśnie do głowy. Na jedno pytanie jednak Thenahå nie znała odpowiedzi albo po prostu nie chciała mu na nie odpowiedzieć. Milczała w każdym bądź razie zaklęta jak grób i pomimo tego, że Lullu często powracał do tego pytania, nigdy nie otrzymał na nie żadnej odpowiedzi. - Powiedz mi droga - mówił do niej trzymając w ręku wirującą różdżkę - dlaczego wszystko jest takie, jakie jest?! Dlaczego wszyscy udają ludzi dobrych i szczęśliwych, w gruncie rzeczy jednak nie są ani szczęśliwi, ani dobrzy?! Dlaczego wypełnia ich ciągle zazdrość, zawiść i nienawiść?! I dlaczego TY nie możesz tego zmienić?! - Ale Thenahå milczała. A im bardziej Lullu był natarczywy, tym bardziej pląsy różdżki stawały się zagadkowe i zupełnie dla niego nie zrozumiałe. - Wiesz - często zwierzał się jej szeptem - nie rozumiem wujka Enlila, i tej jego idiotycznej nienawiści do wszystkich. Co oni mu właściwie zrobili?! Przecież życie tam na Ziemi nie może być takie straszne, takie, jakim on je tam widzi i o jakim mi ciągle tu w pałacu opowiada?! I dlaczego

nie mogę o tym porozmawiać z mamą?!

- Hej, ty, mały! Wyłaź no stamtąd i chodź przywitać się z wujem! - Enlil wszedł z rozmachem do wielkiej komnaty Lullu bez żadnej zapowiedzi, a gdy zobaczył go z wirującą różdżką w dłoni, stanął jak wryty. - Kto ci na to pozwolił, synu?! - Zapytał ostro, nie na żarty przestraszony widokiem różdżki w rękach Lullu. Swoje plany mógł z łatwością ukryć przed wszystkimi, ale przed Thenahå nie mógł ukryć niczego. Na szczęście dla Enlila, Lullu nie był w ogóle podejrzliwy, a jego naiwność i prostota nieraz zaskakiwały wszystkich. Wujka Lullu wprost uwielbiał, więc podbiegł teraz do niego i jak gdyby nigdy nic zapytał z rozbrajającym uśmiechem: - Zabierzesz mnie dzisiaj na Ziemię, wujku? - Enlil opanował po mistrzowsku wzbierającą w nim niechęć do tej dziwnej, ni to ludzkiej, ni nieludzkiej istoty, Lullu był mu bowiem nieodzownie potrzebny, bardziej niż powietrze, którym codziennie oddychał. Bez niego jego wielki plan nie mógłby się udać. Enlil miał bowiem wobec Lullu niecne zamiary, chciał uczynić go koniecznie swoim zagorzałym adoratorem, wielkim poplecznikiem i wielkim praktykiem całego tego ludzkiego poplątania i pomieszania tam na Ziemi. Lullu miał zostać pierwszym ludzkim królem, pierwszym ludzkim nauczycielem, tym, który miał wyznaczać kierunek całej ludzkiej populacji. Dlatego też Enlil już od dawna planował tajemne przeprogramowanie nukleotydów w jego DNA, oraz intensywne poddanie go swojej wyrafinowanej grze, w której wrodzona nienawiść i przemoc, ukryte w nim pod wieloma ich niedostrzegalnymi maskami, rozkwitłyby jak egzotyczne kwiaty zraszane codziennie życiodajną wodą, zakorzeniając się w jego sercu na stałe, rosnąc i potężniejąc w nim jak wielkie tysiącletnie baobaby. Lullu miał przejść wszystkie możliwe stopnie demoralizacji i degeneracji, osiągnąwszy na końcu tej drogi doskonały stan skrajnego, psychicznego barbarzyństwa, zwieńczonego wprowadzeniem przez niego osobiście tam na Ziemi, i to w bardzo precyzyjnie określonym przez Enlila czasie, terroru - nienawiści, strachu i przemocy - jako stałego komponentu regulującego całe współżycie między ludźmi. Do tego jednak Lullu musiał zostać najwspanialszym aktorem i najzdolniejszym politykiem wszechczasów. To w końcu nie tworzenie wspólnoty na Ziemi opartej na miłości, współpracy i dobroci, miało być dla ludzi kwintesencją ich życia, lecz realizacja planów Enlila, w których ślepe wykonywanie rozkazów, nakazy, kontrole i represje, były najważniejsze. Nikt nie miał prawa być pewien ani dnia, ani godziny. Każdy miał być wrogiem każdego. Jego lustrzanym odbiciem.

Jego największym i najbardziej znienawidzonym konkurentem. Konkurentem i wrogiem. Człowiek miał uwikłać się w nieprzemijający pas wojen, nienawiści i zemsty, oddzielając się tym samym od swoich kreatorów i stwórców, i to raz na zawsze, straszliwym w swoich konsekwencjach, grzechem pierworodnym. A on.....?! Enlil-el, Ilu Kurgal, Pan Wielkiej Góry, Jahwe - Bóg wszystkich ludzi, miał zostać na stałe jedynym ich prawdziwym prokuratorem i jedynym ich prawdziwym sędzią. I to bezlitosnym. W końcu to, o czym marzył od samego prawie poczęcia, musiało się w końcu spełnić. Plan był skomplikowany i bardzo przewrotny. Enlil wierzył jednak, że przy pomocy Lullusia, uda mu się go na pewno urzeczywistnić. Nachylił się wiec teraz nad małym z uśmiechem lisa, wziął go nawet na ręce i zakręcił młynka. I - Chcesz rzeczywiście polecieć z wujkiem na Ziemię?! - Zapytał przymilnie. A kiedy Lullu skwapliwie potwierdził, wziął go za rękę i kierując się ku drzwiom powiedział z uśmiechem: - Na razie obejrzymy zdjęcia, a potem zobaczymy, OK.?!

Po chwili krótkiego marszu weszli do sali projekcyjnej. Lullu usiadł na środku, a Enlil włączył rzutnik. Światła przygasły automatycznie, a ciemność rozdarł rzut światła z rzutnika. Na ekranie pojawił się lekko rozmyty, czarno-biały obraz, najpierw nieruchomy i statyczny, potem nabierający ostrości, kolorów i ruchu. Zdjęcie pierwsze przedstawiało Homo Erektusa, pół małpę pół człowieka, gdzieś na jakiejś leśnej polanie na Ziemi. Enki strzelał właśnie do małpy mówiąc coś jednocześnie do Enlila, lecz głosu nie było słychać. - Zrób głos wujku! - Powiedział Lullu. - Nie da się. - Odpowiedział wymijająco Enlil naciskając jednocześnie jakiś guzik. - Coś się zepsuło. - Achaaa. - Pokiwał głową Lullu. Małpa przewróciła się właśnie, a Enki nachylając się nad nią długim nożem rozcinał jej brzuch, lecz co było też widać wyraźnie, małpa żyła jeszcze, kiedy Enki wyrywał jej jajniki z podbrzusza. Lullu wykrzywił się strasznie, zamknął błyskawicznie oczy i przyłożył dłonie do twarzy. Enlil roześmiał się. Na ekranie pojawiła się następna sekwencja. Ninhursag rodziła właśnie Lullusia. Tuż obok niej krzątał się Enki wespół z Enlilem i całym personelem operacyjnym. Tuż po porodzie Enlil położył Lullusia na brzuchu Królowej Życia, a Lullu przyssał się do jej piersi jak smok. - To ja! - Wykrzyknął w zachwycie Lullu zrywając się jednocześnie z posłania. - To ja! - Powtórzył kręcąc młynka. - Siadaj ośle! - Skarcił go groźnie Enlil. - Jesteś pewien, że to jesteś rzeczywiście ty?! - Zapytał chytrze. Lulluś opadł posłusznie na poduszki i widać to było wyraźnie, że zaraz zacznie płakać, lecz Enlil nie dopuścił do tego. - Tylko mi tu nie rycz

mazgaju! Patrz lepiej na ekran! - I dosłownie w tym samym momencie pojawiła się kolejna sekwencja. Enlil wyjmował Lullusia z rozciętego brzucha małpy. Lullu natychmiast zamknął oczy. Po chwili otworzył je jednak i zapytał: - Czy to też jestem ja wujku? - A któż to mógłby być jeżeli nie ty, Lullu?! - Zaśmiał się Enlil. I zaraz pojawiło się kolejne zdjęcie pokazujące Lullusia i Enlila na Ziemi. Lullu rozdeptywał właśnie jakieś żaby w wielkiej ilości, które Enlil rzucał mu pod nogi. Obydwaj śmiali się radośnie bowiem zabawa, co było widać wyraźnie, była przednia. - Przecież to nie jestem ja… - Zaprotestował Lulluś. - Nie byłem nigdy na Ziemi, a do tego te żaby… Przecież to jest okropieństwo! - Ty, nie ty, kto to może wiedzieć, Lullu. - Powiedział znacząco Enlil. - Lecz jeżeli to nie byłeś ty, to kto to mógłby być? - Dodał pytająco. - Polecimy na Ziemię, to się przekonamy. - Stwierdził rozbrajająco Lulluś wywołując tym samym kwaśny uśmiech na ustach Enlila.

Po każdym powrocie z Ziemi Lullu zmieniał się nie do poznania: od dłuższego już czasu nie bawił się, nie śmiał, i nie żartował. Często przypominał teraz malutkiego, zastraszonego, ziemskiego zwierzaczka, zatrzaśniętego zadufaną ludzką głupotą w jakiejś metalowej klatce, bez jakiejkolwiek możliwości i jakiejkolwiek nadziei ucieczki: Siedział milczący i jakiś taki nieobecny w kącie pokoju, a łzy, pomimo tego, że Lullu nie płakał, ani nie szlochał właściwie, same płynęły mu po policzkach. Przestał się bawić. Nie rozmawiał też już z Thenahå. Do Ninhursag i Enkiego odnosił się z wielką niechęcią, a może nawet jakąś ukrywaną, wielką wrogością. Przestał uśmiechać się i cieszyć. Nie biegał, nie chodził, a Ninhursag zaczęła go podejrzewać nawet i o to, że nie śpi. Przestał też jeść. Karmienie go wyglądało z boku tak, gdyby ktoś ukradkiem zechciał mu się z boku przyjrzeć, jak walka na śmierć i życie: Lullu potrafił być straszny: wrzeszczał, wierzgał, gryzł i kopał, wypluwał, wyrzygiwał, lub tak zaciskał swoje usta, że żadne sztuczki, a w końcu Enki znał ich wiele, nie mogły mu ich otworzyć. Od ostatniego powrotu jadł tylko parówki, i to tylko w wannie wypełnionej zimną, a nawet lodowatą wodą. I tylko te od chudszej do grubszej. I to po ciemku. Chudł więc z dnia na dzień zapadając się gdzieś w głąb siebie, a jego wielkie smutne oczy stawały się jeszcze większe i jeszcze smutniejsze. Ninhursag była wstrząśnięta. Enki też. Lecz nie to było najgorsze. Najgorszy był niezaprzeczalny fakt utwierdzający ich obydwoje coraz bardziej w przekonaniu, że ich ogromna miłość do niego i ich ogromne oddanie, nie tylko, że nie zmieniały niczego, ale, że niczego zmienić nie mogły!

Ich wszystkie starania, ich wszystkie próby przemówienia do niego, porozumienia się z nim, nakłonienia go, nie dawały żadnych pozytywnych rezultatów. Było właściwie tylko gorzej. Gorzej i coraz gorzej. I jeszcze raz gorzej. Lullu, jak gdyby tego wszystkiego było jeszcze zbyt mało, po jednym z kolejnych powrotów z Ziemi, zaczął z dziką premedytacją znęcać się nad wszystkimi, wyzywać ich, gryźć i kopać. Z lubością torturował też wszystkie domowe zwierzęta, ze spokojem przyglądając się im jak konają w męczarniach przez niego samego sprytnie obmyślonych. Zaczął też coraz częściej nacierać się swoimi własnymi odchodami, tak, że nikt nie mógł z nim wytrzymać ani chwili, bo śmierdział przeraźliwie. Do tego jeszcze przestał mówić i skrzeczał teraz tak, jak jakieś dziwne, nikomu nieznane zwierzę. Tylko Enlil o dziwo miał u niego fory. Lecz to, że je miał, i że właściwie tylko on jeden mógł jeszcze zbliżyć się do niego, w jakiś dziwny sposób nie rzucało żadnego na niego podejrzenia, a było nawet wręcz odwrotnie: Ilu Kurgal traktowany był przez całą rodzinę jak najznakomitszy terapeuta, dostał też błogosławieństwo Ninhursag i Enkiego, oraz pozwolenie zabierania Lullu na Ziemię, kiedy tylko zapragnie. I tak upływały im lata. A gdy Enki oprzytomniał nagle któregoś dnia z zauroczenia zobaczywszy ich obu naraz oraz ich powalające wręcz podobieństwo, kiedy dostrzegł wreszcie tę swoją wieloletnią, przerażającą łatwowierność, naiwność i głupotę, kiedy pojął też nareszcie tę przerażającą rolę Enlila w celowej degeneracji Lullu, a przez to i całego ziemskiego biotopu, było już na wszystko za późno. Zmiany, które przez te wszystkie lata nastąpiły w Lullu upodobniając go do dzikiego, rozjuszonego potwora, były nawet dla niego, jak i dla samej Ninhursag, już nie do odwrócenia. Mogli oczywiście go zabić, lub wykreować nowego Lullu, ale na to nie mieli już czasu. Ich odlot z Ziemi, jak wtenczas sądzili, oraz opuszczenie bezpowrotnie tego układu słonecznego, oraz całego tego wszechświata, nie pozwalało już na wiele. Enki zdecydował się jeszcze tylko na przekazanie Utanapisztimie ich tajemnej wiedzy, a gdy Trzynasta planeta osiągnęła punkt zerowy, zabrała ich wszystkich do przeciwświata, nie pozostawiając nikomu z żyjących na Ziemi żadnych psychofizycznych dowodów na jej zaistnienie, poza paroma, dla większości zarażonych ortodoksyjną, zimno kartezjańską cywilizacją ludzi wieków późniejszych, niewiele wartymi glinianymi tablicami, oraz jeszcze mniej wartą, akadyjską legendą *Utana*, znaną tylko paru wtajemniczonym adeptom nauki, tym, którzy już od zarania dziejów nawzajem się nienawidząc i zwalczając się nawzajem, nie bardzo wiedzieli, nie bardzo potrafili, nie bardzo mogli, pewnie też i nie bardzo chcieli

odróżnić jednego Boga od drugiego... Oraz dziwną, lecz astronomicznie możliwą do wyliczenia, częstotliwość obecności Trzynastej planety... No i przeklętą, ciągle jednak obecną klątwę Enlila, spowijającą Ziemię niczym czarna, zimna i trująca mgła, która tak, jak tego sobie zapragnął, a, i zażyczył, przybrała obecnie na Ziemi postać najprawdziwszej, i najszlachetniejszej, wiary… W mózgu Urszylla pojawiły się naraz ropiejące bąble, które rosnąc bez przerwy zalały Trzynastą planetę mętną breją, z której po chwili wyłoniła się Ziemia, a na niej znane już Urszyllowi i sprawy, i problemy, bowiem Urszyll odzyskując powoli przytomność, odnalazł się nagle w swojej własnej, hipermmistycznej pracowni.

Praktyka Urszylla była nie tylko hoolonomiczną wirtualnią, ale także i fizyczną, bowiem Urszyll zajmował się właściwie wszystkimi rzeczywistościami jednocześnie. Przy samym wejściu wisiał bardzo ładny, kolorowy szyld ze smoczym wizerunkiem, a tuż obok napis: Urszyll z Zamiłowic. TheNaHeL Holotropics®. Wielkie Małe energie. A poniżej: Poradnia dla wszystkich zagęszczonych. Ponieważ ludzie często traktowali Urszylla jak nieszkodliwego wariata, nazywając go żartobliwie filozofem pojebania, fizycznych pacjentów miał bardzo niewielu. I to może właśnie dlatego Urszyll zapominał dość często i o tym, że kiedyś napisał nawet Deklarację Twórczego Posłannictwa, która wisząc ciągle na jednej ze ścian jego pracowni, przypominała od tamtego czasu wszystkim, także i Urszyllowi, po co się tu spotkali i czym się tak naprawdę powinni zajmować, można w niej było bowiem przeczytać ciągle aktualne idee Urszylla i tego, co powinien robić. Deklaracja Twórczego Posłannictwa było napisane na samej górze, a pod spodem, mniejszymi już literami, Urszyll jasno określił to - co, i to coś - dlaczego, właśnie chciał robić. Moim najgłębszym pragnieniem - pisał - jest umożliwianie i pomaganie wszystkim ludziom w rozpoznawaniu i usuwaniu wszelkich hamujących ich twórczy rozwój problemów, i to poprzez rozbudzanie, kształtowanie i kierowanie ich świadomości na pełnowartościowe działanie (życie) skoncentrowane na etyce charakteru oraz rewolucyjnych zasadach kierowania i zarządzania własną osobowością. Dlatego też prowadzę szeroko pojętą, niekonwencjonalną działalność twórczą skoncentrowaną na: - stosowaniu wszelkich niekonwencjonalnych praktyk twórczego życia służących rozwijaniu i podtrzymywaniu świadomej współzależności między ludźmi; - edukacji z zakresu Nowej Ekonomii (nieobciążonego długiem pieniądza), Filozofii Możliwości i Obfitości, Medycyny Źródłowej i Magii; - interlogicznym rozpoznawaniu i rozwiązywaniu wszelkich indywidualnych oraz grupowych problemów nie do rozwiązania, rozpoznawaniu problemów w kierowaniu i zarządzaniu przedsiębiorstwami i urzędami, oraz opracowywaniu najoptymalniejszych sposobów ich rozwiązywania; - rozpoznawaniu oraz opracowywaniu najlepszych terapii i najoptymalniejszych sposobów leczenia każdej choroby; - rozpoznawaniu oraz zabezpieczaniu ludzi, obiektów i terenów zielonych przed wszelkiego

rodzaju negatywnym promieniowaniem dowolnego pochodzenia, łącznie z jego neutralizacją; - niesieniu duchowej pomocy umierającym wraz z towarzyszeniem i przeprowadzaniem; - odnajdywaniem zaginionych ludzi, zwierząt, roślin, przedmiotów i idei. W mojej pracy - pisał dalej - korzystam przede wszystkim z pomocy Thenahå, ale również z doświadczeń innych, odważnych badaczy rzeczywistości. Mogę prowadzić zajęcia indywidualne i grupowe w postaci wykładów, seminariów czy workszopów. Burze mózgów, rozwiązywanie problemów kierowniczych, zarządzających czy personalnych, oraz inne zajęcia dla firm, prowadzę tylko i wyłącznie na ich własnym terenie. Wszelkich bliższych informacji udzielam indywidualnie po uprzednim kontakcie pisemnym lub telefonicznym. I tu widniał jego podpis, a pod nim z malutkich literek kolorowy napis: *Mind Surfer*. I to było wszystko. A może aż wszystko?! Tylko co z tego, kiedy w większości, normalni, przeciętni ludzie nie chcieli od niego tego wszystkiego, co Urszyll mógł im dać: oni pragnęli wspaniałej pigułki, a tej od Urszylla dostać nie mogli. Urszyll należał do rzadkiego gatunku uzdrowicieli, dla których pomoc nie polegała na zapisywaniu pigułek. Urszyll chciał usuwać kłody z ludzkich mózgów i z ludzkich serc, tego jednak nikt od niego nie oczekiwał. Na szczęście zupełnie inaczej było w wymiarach thenahejskich, gdzie Urszyll był prawdziwym mistrzem i nie na darmo nosił tam zaszczytny tytuł Wielkiego Mistrza Magicznego Rzemiosła. Pod spodem wisiała jeszcze jakaś dość stara, wydarta z kolorowego czasopisma kartka ze słowami: Nie myśl negatywnie, bo zniszczysz siły duszy do wyższego poznania. Szukaj w sobie i wokół siebie tego, co zmusi Cię do podziwu i czci. Z miłością zagłębiaj się w zaletach poznanego człowieka, nie zwracając uwagi na jego słabości. Dbaj o chwile wewnętrznego spokoju i naucz się odróżniać istotne od nieistotnego. Trwaj. Bądź. Rudolf Steiner.

- Piękne słowa. - Pomyślał Urszyll koncentrując się ponownie na kartce papieru leżącej tuż przed nim na biurku. - Wszystko jest mistyczną Magią - powinienem powiedzieć, napisał po chwili. - Mówię więc: WSZYSTKO JEST MISTYCZNĄ MAGIĄ. Magia będąc ze wszystkich ludzkich możliwości, możliwością najwyższą, wpływa świadomie na całokształt naszej rzeczywistości psycho-bio-fizycznej, korzysta bowiem na co dzień z wszelkich rodzajów wielorakiej świadomości oraz celowości w istnieniu. Mistyczna magia jednak, korzysta tylko z dobrego NAD. A nawet tego najlepszego! I najszlachetniejszego, oczywiście! Będąc więc w każdym jej fragmencie nieroze-

rwalną całością, jest jednocześnie Nadmożliwością, a więc najwyższą jakościowo wiedzą praktyczną, jaką kiedykolwiek mógł posiąść człowiek tu na Ziemi. Jest jednak jednocześnie dla większości zauroczonej racjonalną normalnością, sztuką niemożliwą, wiedzą pogardzaną, wyszydzaną i poniżaną, a jej prawdziwi adepci i praktycy - Magadurzy, są, byli i będą przez oświecony parnas nauki oraz ogół was wszystkich, zawsze porównywani do upośledzonego i kusego brata Boga - Diabła, duszy upadłej, z radością przez oprawców łamanej kołami, gotowanej w smole lub palonej żywcem na stosach, w najlepszym wypadku, gdy się jej nie powiedzie, gdy się nie sprawdzi jako wasza cicha kochanka, przyjaciółka, doradczyni lub zaufana pani doktor powiernica, wyklętej, wykluczonej, zesłanej na Sybir, lub po prostu odrzuconej i zapomnianej.

O Magii i Magadurach napisano w ostatnich setkach lat tony przerażających i negatywnych historii ukazujących prawdziwych magów jako istoty spoza światów, czarne, mroczne i krwi żądne, siejące wszędzie gdzie się pojawią, zło i śmierć. Często twierdzi się, że są to istoty z innych światów, innych wymiarów, a jeżeli nawet Ziemianie, to dotknięci jakąś nieuleczalną chorobą jaźni: jacyś chorzy śpiący profeci, jacyś łamiący metalowe łyżki kuglarze, jacyś iluzjoniści, wszelkiej maści cyrkowcy z cyrku *Maximus Moronus*, a wszyscy oni razem, wielcy oszuści tego świata, sprytni i przebiegli kłamcy zabiegający tylko o względy i profity codzienności, nawet, jeżeli w ich przypadku, niekonwencjonalnymi metodami. Pomimo tego jednak lub nawet wbrew temu, spróbuję jednak natchnąć was choć odrobiną mistyczno magicznego ducha, ponieważ bardzo mi zależy na naszym wspólnym, harmonijnym współpodążaniu przez życie, a w sytuacji, w której większość z was hołduje demokratycznie racjonalnemu dualizmowi, czyli wyzyskowi jednych przez drugich, niemożliwym staje się cokolwiek wspólnego - wszystko nas raczej dzieli.

Zacznę więc od rzeczy najważniejszej, od magicznego stwierdzenia, magicznego uświadomienia wam, że wszyscy jesteśmy MAGADURAMI, wszystkich nas bowiem bez wyjątku wypełnia oraz przepełnia Esencja, eliksir zwany przez niektórych Świadkiem, a przez innych Obserwatorem, lub po prostu Esencją, istota zamieszkująca nasze ciała od zawsze, pojawiająca się jednak w każdym człowieku dopiero po uprzednim wyłączeniu mu jego świadomości lub usunięciu wszystkich osobowości. W przeciwieństwie więc do przeciętnej osobowości człowieka, która poruszać potrafi się najczęściej tylko w je-

dnej, codziennej, i dobrze jej znanej przeciętnej szarości, Świadek jest Prawdziwym NAD, nie używa i nie porusza się bowiem w żadnej ze znanych nam czasoprzestrzeni fizycznych mając przez to całkowity i nieograniczony wpływ na wszystkie rzeczywistości psychofizyczne, trudno jest zatem mówić o jakichkolwiek JEGO świadomych i celowych wysiłkach, choć - jak wynika to z licznych, wielokrotnie powtarzalnych doświadczeń praktycznych - jego działania są na pewno, i to stu procentowo, zarówno świadome jak i celowe. Zły Jogin (źle wyszkolony) to zły Magadur (również źle wyszkolony) obaj potrafią jednak bez specjalnego wysiłku ze swej strony zasugerować nas do tego stopnia (być może zahipnotyzować?), że ujrzymy rzeczy nieistniejące. Dobrym przykładem potwierdzającym podobne umiejętności, może być wspólne postrzeganie przez większą grupę ludzką jednocześnie, nieistniejącego w rzeczywistości, rosnącego drzewa pomarańczy - stan dobrze znany i dobrze opisany w licznej ezoterycznej literaturze fachowej. Lecz Dobry Jogin (dobrze wyszkolony) to Dobry Magadur, potrafią więc obaj stworzyć naprawdę prawdziwe drzewo, które na naszych oczach wyrośnie z niczego, zaraz potem zakwitnie i wyda owoce, które będziemy mogli zjeść! A wszystko to nie będzie trwało dłużej niż jedną, jedyną minutę. Podam wam jeszcze jeden przykład: W prawdziwej księdze magicznej, której tytułu oraz autora niestety nie mogę sobie za boga przypomnieć, a wierzcie mi, przeczytałem ją na pewno - może było to u Abrahama Abramalina, albo Altra Hasisa, ale może też i zupełnie gdzieś indziej - autor opisuje taki oto przypadek: zimą 1237 roku, jeden z arcybiskupów kościoła zaprosił do swobodnie w tym celu wybranego, opuszczonego zamku, pewnego człowieka, nazwijmy go dla uproszczenia dobrym Jogiem, który miał go przekonać naocznie o możliwościach prawdziwej mistycznej Magii. I otóż, wyobraźcie to sobie, Jogin ten, stworzył w ruinach tegoż zamku bajeczny wiosenny ogród rajski z tysiąca i jednej nocy, tworząc wiosnę (w zimie!), wypełniając zamek ludźmi, muzyką, zabawą, i radością. Niezliczonymi potrawami, zapachami i kolorami. Oraz przecudnymi, młodymi kobietkami, z którymi arcybiskup mógł dowolnie baraszkować, folgując swobodnie swoim seksualnym marzeniom, o czym nie omieszkał później poinformować pisemnie samego Papieża. A wszystko to trwało aż siedem dni i nocy siedem. I siedem godzin, i siedem minut i sekund siedem. No cóż, niektórzy z was powiedzą pewnie, że to bajka, bzdura, głupota, albo normalne halucynacje nie warte zaprzątania sobie nimi, ich oświeconych wspaniałą ortodoksją umysłów. Niech myślą sobie więc co chcą. Dla mnie jednak rzeczywistość

mistyczno magiczna jest nie tylko najważniejszą rzeczywistością ludzką, ale koniecznością wręcz, bez której nie mogłoby być w ogóle życia. I nie ma nic ważniejszego ponad nią. Ken Willber, twórca teorii filozofii wieczystej - geniusz - jak określają go współcześni, profesor uniwersytetu Harvard, doktor nauk psychologicznych, filozoficznych i socjologicznych, najbardziej na świecie ceniony znawca filozofii wschodu i zachodu, północy i południa, znany u nas głównie z jego znakomitych książek opisujących dramatyczną, lecz niestety przegraną walkę ludzkiej duchowości z atakującą ją bez przerwy, nieuleczalnie agresywną Tripsikutą, w Trala Taza Teoia tak oto napisał:… Magia, Gnoza czy Teozofia, są w szerokim tego słowa znaczeniu czysto naukowe i tak samo jak nie ma chemii niemieckiej czy amerykańskiej, tak nie ma chrześcijańskiej, hinduskiej czy muzułmańskiej wiedzy mistycznej. Wszystkie one zgadzają się ze sobą na temat istoty duszy, natury Ducha i wyższej tożsamości (Świadka). Oczywiście, ich struktury powierzchniowe ogromnie się różnią między sobą, ale ich struktury głębokie są właściwie identyczne, odzwierciedlają bowiem jedność ludzkiego ducha i ujawniają prawa, które nim rządzą. I dalej: Świadek to przyczynowe, nie objawione źródło wszystkich innych poziomów. Nie jest siedliskiem Boga osobowego, lecz miejscem pozbawionego kształtu Bóstwa albo Niezmierzonego. Aurubino nazywa to nadumysłem, wedanta - ananda-maya-kosha, błogie ciało. W końcu powierzchnia, na której rozrysowany jest cały ten diagram, reprezentuje ostateczną rzeczywistość albo absolutnego Ducha, który nie jest poziomem wśród innych poziomów, lecz Gruntem i Rzeczywistością wszystkich Rzeczywistości. Głębią. Aurubino nazywa ją super umysłem, buddyzm - czystym alaya, pedanta - turiya. To jest oczywiście to, co Sufi nazywają Wyższą Tożsamością. Uświadomiliście sobie swoją fundamentalną tożsamość z Warunkiem Wszystkich Warunków, Naturą Wszystkich Natur i Istnieniem Wszystkich Istnień. Ponieważ Duch jest warunkiem wszystkich rzeczy, jest doskonale zgodny ze wszystkimi rzeczami. Nie ma w tym nic niezwykłego. To tak jak rąbanie drzewa czy noszenie wody. Dlatego ludzie, którzy osiągnęli ten etap, często są przedstawiani jako bardzo zwyczajni. To droga mędrców, ludzi tak mądrych, że nawet tego nie widać. Zajmują się swoimi sprawami. W Tan Zan Ax Hardig, które przedstawiają etapy na drodze do oświecenia, ostatni rysunek ukazuje zwykłego człowieka, który idzie na targ. Podpis głosi: Przychodzą na targowisko, by obdarzać. Tylko tyle. Ian Wilson, doktor nauk medycznych, wieloletni badacz zjawisk paranormalnych w ogólności, a zjawisk reinkarnacyjnych szczególnie, znany również u nas z je-

go licznych książek, tak oto pisze w Umyśle o Obserwatorze: Musimy zatem przyznać, że istnieje jakiś jeszcze przez nas niepojęty stan poza normalną świadomością, stan prawdopodobnie z nieograniczonymi pokładami pamięci, do których Obserwator zdaje się mieć natychmiastowy dostęp, a przez to, posiadając niezwykłe i wprost nieograniczone zdolności kreatywne, wraz z możliwością wpływania na wszystkie rzeczywistości fizyczne. Należy podkreślić, że stan ten, choć tak tajemniczy, nie jest wymysłem bezpodstawnej teorii psychologicznej. Koła psychologiczne traktują to pojęcie coraz poważniej, a zwłaszcza profesor Hillger i jego zespół w Stanford. Nadana przez Hillgera nazwa Ukryty Obserwator jest przypuszczalnie nieadekwatna, lecz chciał on za wszelką cenę uniknąć zbyt dziwacznych lub zbyt daleko idących twierdzeń, które mogłyby wzbudzić zastrzeżenia w kołach naukowych. I choć pojęcie Esencji nie jest najprawdopodobniej (?!) jednoznaczne z pojęciem Świadka czy też Obserwatora, tak oto o Esencji napisał jeden z największych rosyjskich teozofów XX w. Piotr Demianowicz Uspienski w jego znakomitej księdze Nieznanego: Z punktu widzenia zwykłej psychologii, trudno jest pojąć podział człowieka na osobowość i Esencję. Dokładniej można powiedzieć, że w psychologii taki podział w ogóle nie istnieje. Małe dziecko nie ma jeszcze osobowości. Jest ono tym, czym naprawdę jest. Jest Esencją. Jego pragnienia, gusty, upodobania, uprzedzenia wyrażają jego bycie, takie, jakim ono jest. Ale gdy tylko rozpoczyna się tak zwana edukacja, osobowość zaczyna się rozwijać. Osobowość częściowo jest stworzona przez zamierzone wpływy innych ludzi, to znaczy przez edukację, a częściowo przez mimowolne naśladowanie tych ludzi przez samo dziecko. W tworzeniu osobowości dziecka dużą rolę odgrywa także opór wobec otaczających go ludzi i próby ukrycia przed nimi czegoś, co jest jego własne, co jest rzeczywiste. Esencja jest w człowieku prawdą; osobowość jest kłamstwem. Ale proporcjonalnie do wzrostu osobowości, Esencja przejawia się coraz rzadziej i coraz słabiej, i często się zdarza, że w bardzo młodym wieku Esencja zatrzymuje się w rozwoju i dalej już się nie rozwija. Często się zdarza, że Esencja dorosłego człowieka, nawet bardzo inteligentnego i - w przyjętym znaczeniu tego słowa - wysoce wykształconego, zatrzymuje się na poziomie pięcio- lub sześcioletniego dziecka. Oznacza to, że wszystko to, co w tym człowieku widzimy, jest w rzeczywistości nie jego własne. To, co w człowieku jest jego własne, czyli jego Esencja, zazwyczaj przejawia się tylko w jego instynktach i w jego najprostszych emocjach.

Mogło się więc zdarzyć i tak, że Świadek, Obserwator lub\oraz\i nasza Esencja, już w zamierzchłych ziemskich czasach znane były nie tylko naszym Bogom, ale może i nam samym, i że kiedyś posługiwaliśmy się nimi praktycznie, a do tego jeszcze świadomie i celowo, znając ponadto bardzo dobrze ich prawa i ich możliwości, o których dzisiaj niewiele wiemy, lub raczej i dokładniej - nie wiemy nic, a nic. Możliwe, że z głupoty, czy innej egoistycznej pobudki, kontaktu z nimi pozbawiliśmy się częściowo sami, lecz jak na to wskazują wielorakie dowody, domysły i poszlaki, zostaliśmy świadomie i celowo z nich ograbieni. Byłaby to tym samym największa manipulacyjna katastrofa, jaka mogła nas dotknąć i jaką mogę sobie w ogóle tu na Ziemi wyobrazić, największa ze wszystkich możliwych do pomyślenia, bo nagle okazałoby się, że nasza własna nienawiść, zawiść, czy głupota, jest w nas sztucznie zainfekowanym rezonansem, podczas którego nasz Świadek - Obserwator lub jak kto woli, Esencja - ten ktoś, którym być może naprawdę wszyscy wspólnie tu jesteśmy - nie może ani swobodnie tu zaistnieć, ani swobodnie tu działać. Lecz może mógłby, bo gdybyśmy tylko spróbowali go w sobie jakość jednak odnaleźć, to…

Wszyscy bylibyśmy tą KTÓRA JEST, a więc nie musielibyśmy już być niczym, ani nikim innym. Ani nikim więcej! Byłaby to trzecia konsekwencja praktyczna - koniec wszelkiej zazdrości i zawiści, koniec konkurencji, wyzysku, niewolnictwa i każdej nierówności. Wszyscy bowiem bylibyśmy NIĄ, a ONå nami wszystkimi, bowiem Thenahå jest w przeciwieństwie do ortodoksyjnie pojętego męskiego Boga Kata, żeńskiego Bogiem Dobra, a więc Bogą. Matką, córką, żoną i kochanką w jednym. TĄ, KTÓRA JEST. Równorzędnym i równoważnym, żeńskim pierwiastkiem wszystkiego, bez którego żaden Męski Bóg nie mógłby zaistnieć, a nawet jeżeliby zaistniał, nie mógłby uczynić niczego. Thenahå to odpowiednik sanskryckiej *karuna* albo *maitri*, tantrycznej *kundalinii,* żeńskie przeciwieństwo oraz antidotum dla wszechwładnego, biblijnego, męskiego Boga współczesności - Jahwe, Ilu-Kurgala, brata Enki-ela, syna władcy Anu, zarządcy trzynastej planety. Thenahå to również Błękitna *Lilith*. *Animae mundi. Agapa. Sangréala. Lapsit exiliisi*. Kobiecy odpowiednik Boga - siły stwórczej stojącej za fizyczną, psychiczną i emocjonalną strukturą wszechświata. Najwyższa siła umożliwiająca czynienie dobra i miłości w naszym, trójwymiarowym wszechświecie: we wszystkich jego wymiarach i na wszystkich jego płaszczyznach jednocześnie. A może i po za nim?! Thenahå nie rości sobie jednak

prawa do wyłączności, w przeciwieństwie do męskiego biblijnego Boga współczesności, bowiem tak jak istnieje ogień i woda, Matka i Ojciec, tak też istnieją różne, równoważne aspekty boskości: i ONA, i ON, i ONO. Thenahå jest więc sferycznym aspektem wszystkiego - wszystkim we wszystkim. I to ONå powołuje, opływa i kontroluje proces pospolicie zwany przez nas Życiem. I to we wszystkich jego wymiarach, we wszystkich jego światach, i na wszystkich jego płaszczyznach jednocześnie. I we wszystkim. A przez to, jest Ostateczną Jednią Życia, Głębią Dobrej Strony Rzeczywistości, tą, którą i my jesteśmy, i którą dzielimy ze wszystkim i wszędzie. Jeżeli więc jesteśmy zdrowiem - zachowujemy zdrowie, jeżeli jesteśmy miłością - pozostajemy miłością, jeżeli dobrocią - to dobrocią, lecz jeżeli wybierzemy nienawiść - będziemy nienawiścią, jeżeli chciwość - będziemy chciwością, a jeżeli przemoc, to przemoc z pewnością nas nie ominie. Wynika z tego dość jasno, że na planie podstawowym, to tylko od nas samych zależy czym jesteśmy i czym będziemy, a zgadzając się i akceptując na przyjmowanie codziennej porcji schorowanej wiedzy o nas samych, musimy być schorowani, a posiadając już uśpioną świadomość, musimy być też uśpieni, w wyniku czego nasz zabezpieczający nas, cudowny Psychobioteslar, którym sami dla siebie samych moglibyśmy być, jest tylko kiepskiej jakości generatorem Szamana, zagłuszającym swym własnym polem inne, podobne pola. A przecież gdybyśmy tylko zechcieli, moglibyśmy być wszyscy Tą, którą byliśmy i którą jesteśmy od zawsze, i nie musielibyśmy już wtenczas być czymkolwiek innym!

Z pewnością wielu z was zechce zarzucić mi w tym miejscu głoszenie i propagowanie naiwnych, utopijnych, nierealistycznych, nieracjonalnych, a może nawet śmiesznych i głupich idei. Ponieważ jednak sam wiem z jaką trudnością przychodzi pozytywne myślenie, a pozytywne czynienie to już w ogóle, oraz jak trudno jest zrozumieć i zaakceptować to, co nie mieści się nam w naszych skołatanych - zanieczyszczonych zainfekowanym nam racjonalnym dualizmem i niewiarą - czaszkownicach, dlatego też wybaczam wam wszystkim wierząc, że o ile tylko naprawdę tego zechcecie, to będziecie mogli zmienić wszystko. Wierzę, że my ludzie nie tylko możemy, ale, że powinniśmy w końcu oczyścić sobie nasze myśli, i nasze uczucia, bowiem, albo będziemy nadal przyjmować bezwiednie sugestie naszego ubezwłasnowolnionego umysłu, albo to on w końcu przyjmie nasze świadome sugestie! Myślę i twierdzę więc, że w czynie tym leży nie tylko cała nasza teraźniejszość i przyszłość oraz

teraźniejszość i przyszłość naszych dzieci, ale i dzieci tychże dzieci i ich dzie- ci.... Inna - wspaniała i cudowna, lub taka sama - podobna do naszej, strasznie przerażająca rzeczywistość… - Naraz zadzwonił dzwonek. Urszyll bardzo nie lubił gdy mu przeszkadzano, więc bardzo niechętnie wstał i bardzo niechętnie podszedł do drzwi, które równie niechętnie powoli otworzył. W drzwiach stanął twarzą w twarz z Krzysztofą Benc. – Dziuńdziurku?! - Urszyll uśmiechnął się promienie miło zaskoczony. I Krzysztofa się uśmiechnęła. Urszyll złapał ją mocnym ruchem obu ramion, przytulił się na moment, po czym wciągnął Krzysztofę do środka pracowni, nogą zatrzaskując jednocześnie za sobą drzwi. - Jesteś moja kochaneczko! - Wyszeptał prosto do jej ucha całując ją jednocześnie. Krzysztofa wyswobodziła się z objęć Urszylla dość energicznie. - Mam plan. - Powiedziała poważnie. - Plan?! - Zdziwił się Urszyll. - Jaki plan? - Krzysztofa spokojnie położyła Urszyllowi dłonie na ramionach. - Wyrwania Dziewica ze szponów nienawiści! - Powiedziała patrząc mu prosto i głęboko w oczy. - Wyrwania Dziewica ze szponów nienawiści?! - Powtórzył z niedowierzaniem Urszyll. - Tego się nie da zrobić! - Stwierdził kategorycznie. - Ależ Urszyllu, przecież to także i twój plan! - Wykrzyknęła Krzysztofa z widocznym wyrzutem. - Aby po chwili: - Chciałabym go teraz jeszcze raz przećwiczyć. - Powiedzieć już dużo spokojniej. A gdy Urszyll pokręcił przecząco głową wzdychając przy tym ciężko: - To bardzo niebezpieczny plan, Krzysztofo! - Dodała prosząc: - Urszyllu! Koniecznie!

Plan ów był rzeczywiście bardzo niebezpieczny, bowiem Dziewic był bardzo niebezpiecznym człowiekiem, a wabienie go, to już w ogóle. A wyrywanie go ze szpon Nienawiści, o tym Urszyll wolał nawet nie myśleć. Co prawda zwabienie Dziewica do ich pracowni nie nastręczało zbytnich problemów, wydawało się nawet jak gdyby za łatwe, ale to, co miało nastąpić potem… I jak? Tego nie można było w żaden sposób przewidzieć, ani tym bardziej jakoś sensownie zaplanować. A tym samym solidnie się do tego przygotować! Dlatego też Urszyll był tak niechętny temu planowi. To prawda, że po części był to też i jego plan, po większej części jednak tylko Krzysztofy. Kochając ją do szaleństwa, a nawet obłędu, Urszyll był w bardzo trudnej sytuacji: z jednaj strony nie chciał się jej kategorycznie, brutalnie wręcz przeciwstawiać mając nadzieję, że wszystko pójdzie rzeczywiście jak z płatka, z drugiej jednak bał się po prostu o jej życie. A najbardziej tego, że przy wyjątkowo niesprzyjających warunkach, które mogły przecież zaistnieć w każdym momencie działania Krzysztofy, ich plan mógł przerodzić się w jego przeciwieństwo. Przy użyciu całego arsenału przeróżnych neuro sztuczek Maryłej mógł przeprowadzić kontratak. Mógł pozyskać Krzysztofę, a potem ją świadomie i celowe uzależnić od *dooilhery*. A to byłoby dużo gorsze od każdej śmierci: Życie pozbawiona jakości. Bez głębi, świadomości i celu. Urszyll mógł wspierać co prawda Krzysztofę na planie astralnym i duchowym, ale na planie fizycznym Krzysztofa była prawie bezbronna, poza ochroną Thenahå, oczywiście, praktycznie będąc jednak sam na sam z Dziewicem, musiała radzić sobie sama. - A gdyby coś poszło nie po naszej myśli…? - Myślał Urszyll szczegółowo przygotowując pracownię i kolejne kroki Krzysztofy. - Lepiej o tym w ogóle nie myśleć! - Jeszcze ją na zakończenie uściskał i wycałował przytulając ją mocno do siebie, potem ją błogosławił jeszcze, i teraz Krzysztofa została sama. I tak jak to precyzyjnie w swoim planie określiła, Dziewic pojawił się w ich pracowni nim nie minęła godzina. Wbiegł jak bomba do środka bez żadnej zapowiedzi. Podbiegł prosto do biurka, przy którym Krzysztofa coś zapisywała jeszcze, nachylił się nad nim i złapał Krzysztofę oburącz za gardło. - Zabiłem Urszylla, zabiję i ciebie! - Wycharczał. Krzysztofa broniła się energicznie odpychając go od siebie obydwiema rękami, z siłą Dziewica nie mogła się jednak mierzyć. - Puść głupcze! - Mówiła jej cała twarz i usta poruszające się niemo,

a wszystko ci wytłumaczę. I rzeczywiście. Dziewic puścił ją równie nagle, jak ją i przedtem złapał. - Nie jestem przecież tą, za którą mnie bierzesz.... - Zaczęła Krzysztofa, lecz Dziewic przerwał jej brutalnie: - To kim do cholery jesteś?! - Podbiegł do drzwi i je otworzył. - Widzisz?! Tu jest dokładnie napisane! - Powiedział pokazując na szyld. - To ty jesteś tą...?! Niespodziewanie dla siebie samego wybuchnął nerwowym, porywczym śmiechem, maskując tym samym nieumiejętnie ukryte wewnętrzne pomieszanie. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale tego?! Tutaj?! - Czyś ty oszalał?! - Krzyknęła Krzysztofa. Przez chwilę panowało nerwowe milczenie. Krzysztofa siedziała nieruchomo za biurkiem, a Dziewic przemierzał nerwowo gabinet. Widać było wyraźnie, że każde z nich w jakiś sposób próbuje nad sobą zapanować, ale, że nie bardzo im to wychodzi. Dziewic zatrzymał się nagle, coś w nim jak gdyby zazgrzytało, a twarz wykrzywił mu wyraz wściekłości. Podskoczył do biurka, za którym siedziała Krzysztofa, nachylił się nad nim, i znowu złapał ją oburącz za gardło. - Zabiłem Urszylla, zabiję też ciebie! - Wycharczał. - Jesteś skończona! I koniec z tą głupią Miłością! - I znowu Krzysztofa broniła się energicznie odpychając go od siebie obydwiema rękami. - Puść głupcze! - Mówiła jej cała twarz i usta poruszające się niemo - A wszystko ci wytłumaczę! - I rzeczywiście. Dziewic puścił ją znowu równie nagle, jak ją i przedtem złapał. - Nie jestem tą, za którą mnie bierzesz.... - Zaczęła Krzysztofa, lecz Dziewic znowu przerwał jej brutalnie. - To kim do cholery jesteś?! - Podbiegł do drzwi i je otworzył. - Widzisz?! Tu jest dokładnie napisane, kim jesteś! - Powiedział przypatrując się energicznie szyldowi. - To ty jesteś tą...?! Z prawej strony widoczny był smoczy herb, a z lewej, w pięknym gotyku układał się tajemniczy napis: Prof. dr Macza Dooroba. Dooila. TheNaHeL Holotropics® Wielkie Małe Energie. Pracownia twórcza. A poniżej: Poradnia dla wszystkich zagęszczonych. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale tego?! I zanim Dziewic zdążył podjąć jakąś rozsądną decyzję, poczuł tuż obok swojego ciała rozpalone jak ogień ciało Krzysztofy. Miłe, kojące ciepło zalało go, gasząc nagły wybuch agresji. W ręku Krzysztofy zobaczył jakiś mały, złoty i wirujący bez jednej przerwy instrument, który w dziwny, hipnotyzujący sposób przyciągnął, a zaraz potem zaabsorbował całą jego uwagę i wolę, nakazując mu powoli zamknąć drzwi i wejść za Krzysztofą do środka. Pomimo ogromnego wewnętrznego rozdarcia Maryłej zamknął powoli drzwi i ruszył za świetlistą postacią do środka. Jak automat wskazał na siebie swoim palcem i w dziwny sposób wycharczał - Czy wiesz, że ciebie kocham, dupku?! - Potem opadł na kanapę zajmując tym samym jedyne le-

żące miejsce w tym pomieszczeniu, jak mu się wydawało. - A Pani?! Czy pani mnie kocha, Pani Doktor?! I czy może mi Pani pomóc?! - Tobie?! Pomóc?! - Krzysztofa nie mogła wyjść ze zdziwienia. - A może przedtem powiesz mi chociaż, kto cię tu do mnie dzisiaj wysłał Dziewicu?! - Jak to, kto?! - Żachnął się Dziewic. - Przecież to doskonale wiesz! - Prawie krzyknął. - Ciało masz jak zawsze, to samo, a może...?! Przecież to nie ja cię tutaj wysłałam?! Może…?! Aa-aa... Już wiem.... Jesteś tutaj w jakiejś tajnej misji?! - Dziewic wytrzeszczył oczy. - W tajnej misji...?! - Powtórzył. - No wiesz.... Myślałam... Myślę, że przyszedłeś mnie zabić?! - I tu Krzysztofa się rozpłakała. - Ja?! Zabić?! Ciebie?! - Dziewic złapał się za głowę. - Przecież ja ciebie kocham. - Podbiegł do Krzysztofy i ją objął. - Szaleję za Tobą. Świata nie widzę. - Zaczął ją na oślep całować i tulić do siebie. Krzysztofa wyrwała mu się z wielkim trudem. - Więc nie przyszedłeś mnie zabić?! - A gdy Dziewic zaprzeczył energicznie, zapytała: - To co tutaj robisz, Dziewicu?! - Ja... - Zaczął. - Nie wiem... - Dodał wyraźnie wymijająco. Opadł na kanapę i bezwiednie wpatrzył się w Przyrząd. Krzysztofa odetchnęła głęboko, wstała z fotela i podeszła do niego. A więc... - Jezu... - Wyszeptał Maryłej. Macza! - Czy ty aby naprawdę wiesz, kim ja w rzeczywistości jestem i czym się właściwie zajmuję? - Zapytała Krzysztofa. Dziewic wymownie rozejrzał się po gabinecie, na końcu wpatrzył się w monitor, który wisiał tuż obok biurka, po jego lewej stronie, i na którym krążyły jakieś kolorowe wzory. - Wiem... - Powiedział uśmiechając się dziwnie. - Wydaje ci się, że jesteś i tym, i tamtym. I to nie bacząc na konsekwencje. W jego głosie zabrzmiała nuta pewnego rozbawienia. - A co, może tak nie jest...?! - I Dziewic nagle rzeczywiście się uśmiechnął. - I co?! Nie przeszkadza ci to...?! Zapytała Krzysztofa. - Nie boisz się tego?! A co będzie, jeżeli spróbuję...?! - Co spróbujesz?! - Zapytał dość nerwowo Dziewic, jak gdyby coś sobie nagle przypominając. Ale Krzysztofa nie odpowiedziała. Podeszła do biurka i wyjęła z szuflady małą kartkę papieru, rozpostarła ją i wymownie spojrzała na Dziewica. - Powtórzysz to teraz za mną Dziewicu, powtórzysz to, ale powoli i uważnie, inaczej, inaczej nie będę mogła ci pomóc. - Powiedziała akcentując wyraźnie niektóre słowa i powtarzając je dwukrotnie I zaraz dodała: - Zrobisz to, bo mnie kochasz. Prawda?... - A widząc ociąganie Dziewica zapytała: - Ale czy ty rzeczywiście mnie kochasz?! - Po czym uczyniła nieokreślony gest dłonią tuż przed Dziewica twarzą. Pomimo tego, że zaskoczenie Maryłeja było olbrzymie, przyjął tą niespodziewaną propozycję bez specjalnego sprzeciwu. Zmiękł nagle i zapadł się jakoś tak głębiej w siebie samego, pokiwał głową tak, jak by się na coś

godził, i choć tak na prawdę nie miał najmniejszego zamiaru niczego powtarzać, spojrzał oczekująco na Krzysztofę. - Thenahå, ta, która jest. - Powiedziała Krzysztofa. Pomimo tego, że Dooila obejmowała swymi drapieżnymi mackami wszelką absolutność, wszystko przebiegało na razie po Krzysztofy myśli. Dziewic wyraźnie nie podejrzewał niczego. I to wzmocniło ją w wysiłkach. - Thenahå. Ta, która jest DOBREM. - Powiedziała powoli, poważnie i dobitnie Krzysztofa. - Która od dzisiaj będzie również dobrem i w tobie, pomimo tego, że tylko kroplą niej będziesz! Proś ją więc o pomoc, o przebaczenie i zmiłowanie nad sobą. Teraz! - Dziewic jak w transie zsunął się z kozetki i klęczał teraz tuż-tuż przed Krzysztofą, która tak jak i on była w transie, lecz stojąc tuż przed nim, nadal trzymała ten mały, złoty przedmiot tuż nad jego głową. Obydwoje oddychali głęboko, rytmicznie, rytmicznie też skandując: - Pomóż proszę wszystkim istotom, i tym widocznym i niewidocznym, zagęszczonym i rozgęszczonym, we wszystkich ich formach i wszystkich ich życiowych rolach, zaistnieć w Esencji! Niech staną się Tobą! - I tu, nagle, poderwany jakąś straszną, niewidoczną siłą, Dziewic uniósł się w powietrzu, jak piórko przeleciał dobrych parę metrów, i dopiero w drugim końcu pracowni opadł na podłogę jak worek bez czucia i świadomości. Krzysztofa podeszła do niego z największym trudem i uklękła obok. Oczy Dziewica mętne i niewidzące pozostawały przez chwilę bez życia. Krzysztofa nachyliła się nad nim. Dotknęła jego dłoni i nakreśliła na niej magiczny znak thenahejskiego krzyża: - W imię matki, i ojca i wszystkich boskich dzieci, i duszy świetlistej. - Błogosławiła go. Dość wyraźnie można było teraz dostrzec w Dziewicu jego psychofizyczną metamorfozę: cała jego postać, pomimo, że dość bezwładna jeszcze i nieruchoma, zmieniała się. Po policzkach płynęły mu łzy, których chyba nie czuł, i z których chyba nie zdawał sobie sprawy, ale usta...?! Usta i całą twarz rozświetlał mu blask bijący od wewnątrz, i to było widać wyraźnie. Dziewic odzyskując świadomość złapał Krzysztofę mocno za rękę i przyciągnął ją jeszcze bardziej do siebie. - Jezu... Macza?! Ja chyba śnię... - Wyszeptał. - To nic, Dziewicu, to nic. - Gorąco wyszeptała Krzysztofa. I nagle roześmiała się radośnie. - Myślę, że to tylko Miłość wyrwała cię wreszcie ze szpon Nienawiści... - A...? - Chciał zapytać wyraźnie nieprzytomny jeszcze Dziewic, lecz Krzysztofa położywszy swoje dłonie na jego ustach nie pozwoliła mu dokończyć. - Zajmiemy się i tym - wyszeptała po chwili. - Mamy plan… - I tu, zupełnie niespodziewanie dla Krzysztofy, Dziewic odepchnął ją brutalnie, usiadł, a potem natychmiast wstał. - I co?! Zadowolona?! - Zapytał szybko, wybuchając przy tym zimnym,

porywczym śmiechem. A stojąc już w drzwiach pracowni, odwrócił się jeszcze. - I co kobieciku?! Czar nie podziałał, co?! - Stwierdził właściwie patrząc jednocześnie wprost, uważnie i hardo na zupełnie zdezorientowaną, zagubioną i przerażoną Krzysztofę. - I nie podziała…! - Dodał znikając. - Czy tego chcecie czy nie, spotkamy się w przeprogramowalni! - Usłyszała jeszcze Krzysztofa siadając bez czucia na krześle. - I na rozprawie!

Wznowienie rozprawy zaplanowano na ósmą rano. I chociaż won Wścib był do niej doskonale, wręcz po mistrzowsku przygotowany, postanowił raz jeszcze przejrzeć papiery. Będąc perfekcjonistą w każdym calu rozparł się w tym celu wygodnie w swoim ulubionym, skórzanym fotelu i nalał sobie koniaku. Zapalił też cygaro. Tytuły gazet przejrzał pobieżnie. Z watowanej, skórzanej teczki zamykanej na szyfrowy zamek cyfrowy wyciągnął grubą książkę i rzucił ją na stół, między inne podobne opasłe tomiska. Odstawił teczkę. Chwilę posiedział nieruchomo z lubością zaciągając się Dawidowem. Nad czymś wyraźnie się zastanawiał. I gdy wreszcie myśl ta pojawiła się w jego głowie, jednym energicznym ruchem odsunął wszystkie książki na bok i jeszcze raz przypatrzył się uważnie gazetom. Wybrał najgrubszą z nich. Otworzył na tytułowej stronie, na której rzucał się w oczy krzykliwy, najgrubszą z możliwych czcionką wysmalony, prowokacyjny tytuł: Demaskacja pospolita. Zanim won Wścib zaczął jednak czytać, podniósł kieliszek, pociągnął potężnego łyka, i z lubością ponownie zaciągnął się cygarem. Teraz dopiero był gotowy. Uśmiechając się do swoich myśli zaczął:

- Prof. dr Krzysztof won Wścib, syn Ezechiela i Szymury, Prezydent Stowarzyszenia Prawników, Dyrektor departamentu Odnowy i MB-R-u, Kierownik Katedry Psychofilobioinżynierii i Filobiopsychiatrii, Rzecznik ds. Negocjacji, Członek Biura Parlamentarnego, Kierownik Biura Ochrony Rządu oraz Spokoju Wewnętrznego, Nadzwyczajny Prokurator Generalny KPG, znawca szerokich spraw polityki i historiozofii najszerszej, filomedycyny, triofilozofii i prawa, ekonomiki, biznesu i etyki, jest wybitnym, a nawet, ze spokojnym sumieniem mógłbym rzec - najznakomitszym - autorytetem naukowym w dziedzinie filo psycho biotropii w tym rejonie ortodoksyjnego świata naukowego. Doktorat z psychofilografii uzyskał w roku 1956 na Uniwersytecie Harvarda, następnie podjął siedmioletnie studia medyczne w Mosolicie - Moskiewskiej Akademii Magicznej, na wydziale parasupopsychiatrycznym, aby ukończyć je już po czterech latach z wyróżnieniem państwowym oraz zaproszeniem na studia prawnicze, oczywiście z naukowym stypendium, które ukończył również przed czasem, pracując już do tego w tamtych odległych czasach dla

naszego rządu. Jego katedra w miejscowych Skokach, znana jest nie tylko w całej Wielkopolandii, ale i we wszystkich innych krainach na poważnie podchodzących do spraw medycyno filozofii i prawa w ogólności, a neuro filo psycho chirurgii prawniczej w szczególności. Jego wykłady, rozprawy naukowe, eseje, traktaty i książki poświęcone świadomości i topofilografii mózgu przetłumaczono na ponad sto siedemdziesiąt języków, a wiele z nich ugruntowało na stałe i na stałe zmieniło stare kanony medyczne w nową myśl nauki, służąc ortodoksyjnej filomedycynie jako fundament w kształceniu nowych rzesz najmłodszego pokolenia naukowców. Prof. dr Krzysztof won Wścib jest laureatem niezliczonej ilości krajowych oraz międzynarodowych nagród. Między innymi otrzymał on tak prestiżowe nagrody, jak nagrodę Nobla, nagrodę Pulitzera, nagrodę siódmego i ósmego kanału TV, nagrodę czytelników czasopisma naukowego Narząding, nagrodę czasopisma kobiecego Kobietka, nagrodę Plejhauzu, oraz wiele, wiele innych nagród i wyróżnień. Wiele uniwersytetów z całego świata nadało mu zaszczytny tytuł Doktora Honoriskausa Ma i Dc, a wiele innych stara się pozyskać go jako wykładowcę dla swoich studentów. Prof. dr Krzysztof won Wścib jest również znanym na całym świecie mecenasem *Public Relations*. Z jego usług korzysta większość polityków, biznesmenów, urzędów czy biur państwowych, prywatnych firm, korporacji, instytucji kościelnych, uniwersytetów oraz prawie wszystkie stacje radiowe i telewizyjne. Prof. dr Krzysztof won Wścib będąc jednak zagorzałym miłośnikiem swojego rodzinnego kraju, nie opuszcza go prawie nigdy. Cały swój cenny czas poświęca bez reszty dalszemu pogłębianiu swojej rozległej wiedzy, nauczaniu czystej rasowo młodzieży oraz praktycznej pracy zawodowej w założonym przez siebie Neuro-filo-psycho-chirurgicznym Instytucie Medycznym. Artykuł o Urszyllu z Zamiłowic, który zamieszczamy poniżej, jest w naszym mniemaniu artykułem wyjątkowym, nad wyraz pożytecznym i jak najbardziej na czasie. Demaskuje on bowiem w dostępnej nam wszystkim doskonałej formie paranoiczne wręcz zapędy tzw. samozwańczych uzdrowicieli, wszelkiego rodzaju współczesnych guru, ludzi nie tylko o prymitywnej wiedzy psycho filo medycznej, ale i prymitywnej wyobraźni, będących zagrożeniem nie tylko dla rzetelnie wykształconej kadry medycznej, oraz dla wszystkich ich potencjalnych pacjentów, ale przede wszystkim dla naszego społecznego porządku opartego na prawie i demokracji. Niuejdż, bo Urszylla z Zamiłowic z pewnością można do tego właśnie nurtu zaliczyć, głosząc swoje niewiele znaczące hasła renesansowej Odnowy Życia, jest jednocześnie ruchem czysto poga-

ńskim i jako taki, nie tylko przeczy on współczesnej doktrynie naukowej, ale, i normalnemu odruchowi religijnemu oraz moralnemu każdego z nas. Artykuł Prof. dr Krzysztofa won Wściba jest tym bardziej godnym naszego z nim zapoznania, obnaża on bowiem to, co najczęściej ukryte jest za jego wiele obiecującą, po bliższym zapoznaniu jednak, nic nie wartą fasadą brukowej logiki, jawnym nieuctwem, oraz, o zgrozo, szaleństwem i chorobą - naszego, w tym przypadku, najnowszego, samozwańczego luminarza pseudonaukowości - Urszylla z Zamiłowic i jego Magicznej Pracowni Twórczego Kształtowania Świadomości, otwartej nie tak dawno w jednej ze znacznie od centrum oddalonych dzielnic naszego miasta. Mam nadzieję, że lektura ta w wyraźny sposób pomoże państwu nie tylko lepiej zrozumieć problematykę współczesnego naukowego podejścia do wszelako pojętej szarlatanerii, ale przybliży też wam wszystkim poglądy samego profesora. Gorąco więc zapraszam.

Redaktor Naczelny Narządingu
dr Micha$ Hasik[1]

I. Modelowanie szczegółowego funkcjonowania agregatów, parabiomodulantów oraz operatorów modalnych u Urszylla z Zamiłowic.

Niniejszy artykuł jest nie tylko pracą interpretacyjną, ale i badawczą. Aby ograniczyć jej rozmiary i skupić się na najważniejszym zagadnieniu, wybrałem tylko takie aspekty psychofilofizyczne, które uważam za najbardziej oryginalne i najważniejsze. Twierdzę, że wartość informacyjna agregatów biofilomodulantowych u Urszylla jest semantycznie hiperprzestrzenna lub/oraz zamkniętootwarta, a ich operatorowe biofilophermenty modalne, których sens jest całkowicie zależny i każdorazowo zdeterminowany granicą jego modelu świata, są treści lihiomiatywnej. Ponadto, zagadnieniem, którym, i to z dużą satysfakcją, się zająłem, jest jeden ze sposobów manipulacji językiem - sposób, gdy idzie o jego oddziaływanie, bardzo niebezpieczny, a którym nasz Urszyll z Zamiłowic posługuje się z prawdziwym mistrzostwem. Z grubsza polega on na wykorzystaniu podziałów i opozycji istniejących w tradycji psychofilofizycznej oraz nadużywaniu kategorii biomodulantów w tzw. nomibionalizacji zdrowe-

[1] Przedruk za zgodą autora i przyzwoleniem redakcji.

go rozsądku - czyli, narzucaniu odbiorcy jako jedynie prawdziwego i obowiązującego takiego twierdzenia wszelkich filoterminów, które zgodne jest tylko z jednostronnym i poglądowo uproszczonym spojrzeniem na człowieka, oraz na jego wszelkie możliwości poznawcze. U Urszylla z Zamiłowic prawdziwe jest tylko to, co emocjonalne, nieformalne, subiektywne, indywidualne, przeczute, doświadczone etc.. etc., zaś wszystko to, co intelektualne, formalne, społeczne, i obiektywne, jest z gruntu niedorzeczne, a wręcz złe i fałszywe. Szczególnie zgrabnym zabiegiem morfofilometodycznym ze strony Urszylla, jest dokonana przez niego, doskonała wręcz w swej manipulacyjnej utopijności, całkowita interpretacja trwałego i aktywnego udziału tzw. ortodoksji w walce o władzę i panowanie nad światem. Twierdzi on, że pomagając Niuejdż w integracji, Ortodoksi zdołali zniszczyć wszelkie niezależne ośrodki rodzącej się nowej kultury, i że sami tym samym przejęli ich działalność namawiając i skutecznie przekonując wszystkich, aby działali raczej w ramach systemu, a nie kontestowali go. Uniemożliwili tym samym wszystkim zainteresowanym wydostanie się poza ograniczenia, które im sami narzucili, określając je - demokratycznymi. Ogólnie rzecz biorąc, Urszyll z Zamiłowic uważa, że to ortodoksyjni krwiopijcy skutecznie zablokowali, i że nadal skutecznie blokują wszelką niezależną myśl ludzką. Tym samym wszyscy oni razem wzięci - on sam, jego poplecznicy i wyznawcy - tworzą zorganizowaną, lecz utopijną grupę malkontentów, która obawiając się i obwiniając o wszystko równie utopijne co i oni sami, zakonspirowane jednak gremium, którym to my mamy w domyśle pozostawać, i które znane jest nam wszystkim pod różnymi jego nazwami (Władza pieniądza, Wtajemniczeni, Tajny zespół, Dziewiątka, Kabała, Tarot, itp., itd..), gotowa jest przypisać właśnie nam wszelkie istniejące zło na Ziemi. Wbrew oczekiwaniom, obalona ostatnio przez biegłych z Dooila plotka, jakoby ONi brali w tym udział, nie usunęła tych obaw i oskarżeń. Wielu niuejdżowców antycypując przyszłe wydarzenia twierdzi, że to my, jak i cały przez nas reprezentowany porządek - nauka, religia i władza - odpowiedzialne są za wszystko. Jednocześnie uważa, że oświadczenie takie, to tylko wybieg mający na celu osłabienie ich i tak już nadwątlonej czujności. Większa ich liczba obawiając się powstania ogólnoświatowej władzy, dość często jednak zmienia obiekt swoich obaw. Zamiast potężnych krwiopijców ludzkiego pochodzenia, boją się teraz UFO-krwiopijców, a nawet TERRO-krwiopijców pragnących za wszelką cenę wprowadzić Nowy Ład Świata. Podobieństwa są nad wyraz wyraźne: tak jak i ludzie, tak i Ufokoki i Terrokoki dysponują

mechanizmami działalności wywrotowej, wojskami okupacyjnymi, siłą, pieniędzmi, i władzą. Przemocą i nienawiścią, którą chcą nas wszystkich dobrowolnie obdarować. Rządowa Agencja Zarządzania w Sytuacjach Kryzysowych (AZRA) powołana rzekomo w celu koordynowania działań rządu w czasie klęsk żywiołowych, według Urszylla jako pierwsza będzie nadzorować przejęcie władzy przez Innych, a następnie stanie się tajnym rządem, który pokieruje, a może nawet już kieruje naszym światem pod dyktando Dziewiątki. A Nowy Ład nie będzie sympatyczny. Swołocz wszelkiego rodzaju: złodzieje i bandziory, krwiopijcy, pedofile, i im podobni, przejmą wszelką władzę nad nami wszystkimi, rabując nam tym samym przez ostatnie stulecia wywalczone, wszelkie prawa obywatelskie, a zwłaszcza prawo do swobodnego rozwoju i bezpłatnej nauki. To pieniądz będzie teraz panem wszystkiego i wszyscy poddani zostaniemy jego bezprecedensowemu systemowi kontroli. Tylko kwestią czasu będzie wypalenie wszystkim ludziom znaków podobnych do symboli kodowych w supermarketach, albo też wszczepienie im w ich pośladki tajnych mikroczipów za pomocą których będzie możliwe satelitarne śledzenie każdego. Nieposłusznych spotkają surowe konsekwencje: obozy pracy przymusowej, oficjalna sprzedaż Ufokom, klonowanie pod przymusem, zsyłka na inne planety, albo po prostu hibernacja w komorze śmierci. Ostatnim elementem w systemie przymusu mają być wybudowane w Ameryce oraz wielu europejskich krainach wielkie krematoria, z których każde będzie w stanie spalić 3 tysiące zwłok dziennie, a może nawet i 33 miliony rocznie.

Aby uniemożliwić realizację tego scenariusza Urszyll z Zamiłowic podjął różnorodne kroki. W lecie 1974 roku napisał Perfumowane kopyta - krytyczne uwagi o rządzeniu i rządzących, które jednak nie wywarły żadnego wpływu na masy. W grudniu 1981 nakłonił ponad 10 tysięcy ludzi do rozkradzenia znaków drogowych, sprawiając tym samym wiele kłopotów drogowcom, którzy utracili w ten sposób informacje dotyczące stanu konserwacji dróg, a kierowcy bezpieczeństwo, oraz możliwość orientacji podczas jazdy. Jesienią 1994 roku próbował skłonić Sejm by przyjął rezolucję wzywającą rząd do zaprzestania udzielania jakiegokolwiek poparcia dla tworzenia Nowego Ładu albo jakiejkolwiek innej formy ogólnoeuropejskiego, czy też ogólnoświatowego rządu. Ostatnio Urszyll otworzył Centrum Kontroli Świadomości, nazwane przez niego samego Magiczną Pracownią Twórczą, której zadaniem ma być nauka i ochrona świadomości ludzkiej przed jej niekontrolowanym ubezwłasnowolnieniem,

oraz ochrona wszelkiego życia i to na wszystkich płaszczyznach i we wszystkich jego wymiarach jednocześnie. Tym samym, jako doskonały demagog i utopijny filozof, Urszyll unika skutecznie oskarżenia o wywrotową działalność spiskową, i, o działania o charakterze terrorystyczno antypaństwowym, które są jego właściwym działaniem, bowiem, co widać wyraźnie, Urszyll dąży jednoznacznie do przejęcia steru w swoje ręce. A jako Apostoł samej Thenahå jest wyjątkowo niebezpieczny. Ponieważ jednak ostatnio przedstawił swoje koncepcje w formie psychofilometodycznej oficjalnie ogłaszając swoją *Aberagibę*, otwiera się tym samym w tej całej poplątanej niemożliwości, pewna, i to bardzo przez nas wszystkich pożądana, możliwość. Możliwość pewnego rozwiązania oraz zakończenia tej farsy raz na zawsze. Z ramienia Departamentu Odnowy oraz MBR-u, zostałem upoważniony do przereedukowania i przereesocjalizwania Urszylla rewolucyjnym programem reesocjalizacyjnym, który już w przyszłym tygodniu zastosowany zostanie praktycznie. Urszyll poddany zostanie działaniu Przyrządu, a tym samym zostanie zreesocjalizowany, zreedukowany, wyleczony i nawrócony, a jednocześnie też, oficjalnie przez aparat naszej władzy, przeproszony i zrehabilitowany. I to w starym, a jednak też i w nowym jednocześnie sensie, oraz w starym, ale i w jakimś sensie też i nowym porządku społecznym, na którego straży stoimy my wszyscy. Dlatego też pragnę w tym miejscu podziękować wam wszystkim za duchowe wsparcie, oraz nie opuszczanie mnie w staraniach.

II. Kalibracje oraz presupozycje modalne wg Urszylla z Zamiłowic.

1. IDEE**.** Utarło się wśród ludzi przekonanie, że istnieją takie idee, za które warto jest umierać. Osobiście twierdzę z całą stanowczością, że za żadne idee nie należy umierać. Że trzeba zrobić wszystko, aby dla idei tych żyć! Aby je rozwijać, propagować, upowszechniać, hołubić, miłować i pieścić.

2. ONi i Oni. ONi jednak istnieją, w co łatwo po uprowadzeniu lub opętaniu uwierzyć: Oni - inni ludzie, ale ONi - inne, obce istoty.

3. THENAHå to MIŁOWNICA, to Matka, żona, córka i kochanka

Sfer, TA KTÓRA JEST, Boga, równorzędny i równoważny, żeński pierwiastek wszystkiego. THENAHå to odpowiednik sanskryckiej *karuna,* albo *maitri*, tantrycznej *kundalinii,* inkaskiej *read dragonia*, żeńskie przeciwieństwo oraz antidotum dla wszechwładnego, biblijnego, męskiego Boga współczesności - Jahwe, Ilu-Kurgala, brata Enki-ela, syna władcy Anu, zarządcy dwunastej planety. THENAHå to również *Błękitna Lilith*. *Animae mundi*. *Sangréala*. *Lapsit exilisi* - kobiecy odpowiednik Boga - siły stwórczej stojącej za fizyczną, psychiczną i emocjonalną strukturą wszechświata. Słodka kochanica - najwyższa, współzależna siła umożliwiająca czynienie dobra i miłości w sferycznym wszechświecie: we wszystkich wymiarach i na wszystkich jego płaszczyznach jednocześnie. A może i po za nim?! THENAHå jest sferycznym (w przeciwieństwie do Boga fizycznego) Bogiem rodzaju żeńskiego jako rewolucyjne antidotum na męską dominację we wszystkim i wszędzie. I to ONå jest Bogiem, a właściwie i dokładniej - Bogą. THENAHå nie rości sobie jednak prawa do wyłączności, w przeciwieństwie do męskich biblijnych Bogów współczesności, bowiem tak jak istnieje ogień i woda, Matka i Ojciec, tak też istnieją różne, lecz równoważne aspekty boskości: i ONA, i ON, i ONO. THENAHå jest więc żeńskim sferycznym aspektem MIŁÓŚCI, i to ONå właśnie współpowołuje, współopływa, i współkontroluje proces pospolicie zwany przez nas wszystkich procesem życia. To właśnie ONå jest ową SŁODKOŚCIĄ, i to ONå nią zawsze była: We wszystkim i wszędzie - na każdej płaszczyźnie, w każdym wymiarze i w każdej ich rzeczywistości jednocześnie. Tak samo jednak jak i ON, samotny, pozbawiony swego żeńskiego dopełnienie, tak i samotna Ona, bez niego, nie posiada twórczej mocy, MIŁOŚĆ w niej, jest jedynie tylko czystym potencjałem, który dopiero w ich wspólnym p o ł ą c z e n i u daje eliksir wszystkich eliksirów - ŻYCIE! A ONO - Szczęśliwość i Wdzięczność. Odwagę i Radość. Piękno i Ciepło. Mądrość i Wgląd. Sprawiedliwość i Optymizm. Miłość i Dobroć. I Urzeczywistnienie!

4. MIŁOWNIK. Miłownik to Uzdrowiciel. To Apostoł. To każdy z nas w jego najgłębszej, nie zainfekowanej i nie zniewolonej codzienną, szarą agresywnością, głębi swojego serca! To JoshUa. To Thenahå. To ja. Miłownik jest więc osobą

dojrzałą, mądrą, i wykształconą. To osoba miłująca życie we wszystkim i wszędzie, nieprzekupna i znakomicie wyszkolona, stosująca model zachowań nie opartych na okolicznościach. Miłownik to istota odróżniająca bez trudu jedno od drugiego, rozróżniająca fałsz, obnażająca oszustwa, działająca bezinteresownie, natychmiastowo, pewnie, bez poczucia winy, wstydu, strachu, wątpliwości czy zakłopotania. Jego wiedza nie nadaje się do zapisu, można jej jedynie doświadczać osobiście na drodze wysublimowanej i wyizolowanej rzeczywistości w wyniku wieloletnich, ogromnych wysiłków i wyrzeczeń. Dbając o ludzki potencjał, przywódczość, rozwój charakteru oraz wszystkich innych ludzkich cnót, oraz żyjąc w dwutrójni duchowego objawienia, Miłownik tworzy potężną, mądrą, pozbawioną samolubstwa, niepodatną na korupcję, współczującą, odpowiedzialną i efektywną istotę ludzką, dla której honor i odwaga, miłość i dobroć, jakość, prawdomówność i rzetelność, oraz wgląd w istotę bytu, są najważniejszymi drogowskazami w jej życiu.

5. ŻYCIE. Normalne jakościowo życie może zaistnieć tylko w odpowiednim środowisku, w odpowiednim ciele, i przy udziale odpowiedniego ducha. Nienormalne jakościowo życie może być natomiast udziałem każdego środowiska, każdego ciała i każdego ducha: najczęściej mieszanina taka prowadzi do przedwczesnej śmierci pacjenta lub/oraz wszelkich możliwych chorób, mutacji i wynaturzeń. To tak, jakby zainstalować Windowsa 17x na Macu i nie tylko wziąć otrzymany wynik za normalną, pełną sprawność procesora CMX jak i jego oprogramowania, ale pracować też z takim systemem twierdząc, że inny - lepszy - nie istnieje.

6. CZŁOWIEK WSPÓŁCZESNY. Człowiek współczesny, to wynik nienormalnego jakościowo życia. To człowiek ze zmagdonalizowanej hodowli. To wytwór ostatnich dwustu tysięcy lat najnowszej jego historii opartej na konsekwentnym wprowadzaniu przeludnienia, współzawodnictwa i konkurencji wszystkich ze wszystkimi o wszystko. Człowiek współczesny to człowiek zresocjalizowany ogłupiającym ucywilizowaniem. To wytwór taśmolizacji, hamburgeryzacji i zyskulacji najświetniejszych umysłów ludzkich w połączeniu ze sztucznie zainfekowaną chorobą małpowania przejętą przez

masy: dezinformacja, głupota, niewiedza, zysk i przemoc w połączeniu z ciągle niezaspokojonymi i ciągle rosnącymi, sztucznie rozbudzanymi jak i sztucznie rozbuchanymi potrzebami. Człowiek współczesny to wytwór ostatnich dwudziestu pięciu milionów lat jego najnowszej historii zapoczątkowanej w wyniku kolonizacji planety Ziemia przez obce istoty. To wynik manipulacji i hybrydyzacji (gatunkowe double bind), oraz hybrydyzacji i manipulacji modelu organizacji społecznej opartej na szybkim, bez wysiłkowym i oprocentowanym zysku indywidualnym. (Hipoteza oparta na materiale dowodowym nie do odrzucenia. Jeżeli poszukasz dowodów, na pewno je znajdziesz) To w końcu wynik manipulacji i hybrydyzacji człowieka przez samego człowieka. Człowiek współczesny = Wykastrowany bipedus = Homo sapiens pies = Ja = Ty = Ona = My i Oni. A może nawet, i to może przede wszystkim - ONi?!

7. WIARA i NADZIEJA. Wiara i nadzieja są tylko wtedy coś warte, jeżeli stoją na odpowiednim im miejscu i działają w odpowiednim kierunku. Zakotwiczone jednak w państwie i kościele nie dają raczej żadnych pożądanych rezultatów. Dlatego też jestem zagorzałym przeciwnikiem wszelako pojętego upaństwawiania, biurokratyzacji i instytucjonalizacji duchowości ludzkiej, tym samym, jedynego prawdziwego i prawomocnego systemu państwowego na Ziemi, jedynego prawdziwego i prawomocnego kościoła, oraz jedynego, prawdziwego i prawomocnego Boga w niebie. Są bowiem one dla mnie niezmiennie siedliskiem wyjątkowo rozbuchanej żądzy władzy i tzw. szeroko pojętego zła w postaci przerażającego samolubstwa, zakłamania, pruderii, dewoctwa, głupoty, wyrachowania, chciwości, wyzysku, cynizmu, hipokryzji, przemocy i okrucieństwa.

8. NATURA. Można by sądzić, iż uważam, że to całe zdziczałe okrucieństwo dotyczy tylko człowieka. Nic bardziej mylnego. Codzienna, szczegółowa obserwacja natury daje jednorodny obraz wyrafinowanej przemocy w wyrafinowanej grze o przeżycie nas wszystkich tu na Ziemi, i to na wszystkich jej płaszczyznach: od wirusów i bakterii, przez pantofelka, rośliny, i wszelkie zwierzaki po samego człowieka. Życie fizyczne to ciągła walka. I to walka o wszystko: o samice,

o władzę, o pieniądze, o poglądy, o pozycje, i rodzaje... Walka niekoniecznie usankcjonowana samą możliwością, czy też koniecznością przeżycia. Często prowadzona dla radości nie tyle z planowanego zwycięstwa, co z możliwości samego walczenia.

9. CIERPIENIE. Wydaje się, że cierpienie może być wynikiem wszystkiego: rzeczywistych zdarzeń i czystej iluzji. Może też być udziałem każdej ze stron: i tych którzy go zadają, i tych, którzy go przyjmują. Cierpienie może być również uczuciem pozytywnym i budującym, jak i nie pozytywnym i zabijającym. I nikt nie wie, jaki będzie miało ono wpływ. I jaki ma. Jedno jest jednak pewne: za dużo cierpienia jak i za dużo szczęścia powoduje chorobę, zwyrodnienie i śmierć.

10. LOGIKA. A zatem wszystko może jest, a może nie jest; może jest, ale nie jest prawdziwe; może jest rozstrzygalne a może nierozstrzygalne; może jest prawdziwe, ale nierozstrzygalne; może nie jest prawdziwe i nierozstrzygalne; może jest prawdziwe i rozstrzygalne; może jest prawdziwe i może nie jest, i może jest również nierozstrzygalno-rozstrzygalne. Niemniej Wszystko jest w Thenahå i tylko w niej możesz odnaleźć Wszystko.

11. WŁADZA. Człowiek na pewno potrzebuje pasterza. Potrzebuje też na pewno gospodarza, lecz nie takiego, który opiera swoją władzę na pustym gadaniu, czczych obietnicach, przemocy, wyzysku czy niewolnictwie. Człowiek potrzebuje gospodarza dobrego i światłego, gospodarza świadomego i odpowiedzialnego. Takiego, który nie tylko pokieruje losami tego świata i losami człowieka jak swoimi własnymi losami - lecz jednocześnie takiego, który kochając człowieka jak siebie samego, pomoże mu przezwyciężyć jego trudności i ograniczenia prowadząc go od cierpienia, ciemności i śmierci, ku radości, światłu i życiu.

12. SPRAWIEDLIWOŚĆ. Na głębszym poziomie Wglądu istnieje tylko jedna Sprawiedliwość, tak samo jak istnieje tylko jedna Jakość, czy Moralność. Coś jest po prostu dobre i sprawiedliwe, lub też niedobre i złe. I wie o tym każda rozrzedzona istota tego wszechświata bez konieczności uczenia się

o tym! Współżycie oparte na niesprawiedliwości nie ma tym samym żadnej jakości dla wszystkich współczłonków danej społeczności nawet wtenczas, kiedy niektórym z nich wydaje się, że jest, lub, że może być inaczej. Podobnie jest z każdym innym subsystemem społecznym - nauką i edukacją, lub finansami i polityką: dla przykładu - służącym tylko nielicznym, a niszczącym większość. Nie są one ani dobre, ani sprawiedliwe, nie posiadają również przypisywanej im najczęściej przez ich wyznawców i propagatorów, jakiejkolwiek pozytywnej (dodatniej) jakości.

13. EDUKACJA. Nowa nauka powinna zakładać, że to uczeń ma decydować o postępowaniu nauczyciela wobec jego potrzeb poznawczych. Uczeń nie będzie więc uczony tylko będzie raczej działał sam. Stosunek nauczyciel - uczeń zostanie gruntownie zrewidowany i na nowo zdefiniowany. Nauczyciel, wysoko wykwalifikowany specjalista, będzie musiał w przyszłości wykazać się wszechstronną wiedzą ogólną i fachową, jak również posiadać będzie kwalifikacje neurolingwistyczne w zakresie nauczania ludzi, a także dar zdrowego rozsądku. Będzie człowiekiem skromnym i mądrym, dobrym i ufnym, ukazującym uczniom nie tylko wiedzę, ale, i to może przede wszystkim - serce. Będzie więc służył uczniowi fachową radą nie jako kontroler lub kat, lecz jako przyjaciel, stosując nauczanie, które będzie tylko marginalnie stosować współczesne metody. Większość czasu poświęcona zostanie zagadnieniom praktycznym oraz praktycznemu zastosowaniu wiedzy w życiu codziennym, gdzie nauczyciel - przyjaciel będzie pomagał uczniom uświadomić i uzmysłowić sobie, oraz rozwiązać ich wszystkie niespójne problematy.

14. PATOLOGIA. Podobnie jak i każda propaganda, patologia sprawia, że przestajemy wierzyć we własne wspomnienia, przestajemy polegać na własnych sądach, na swojej inteligencji, wiedzy, oraz własnym charakterze. Najczęściej zaczynamy też wątpić we własne zdrowie psychiczne i emocjonalne, kończąc jak większość ubezwłasnowolnionych ludzi, zgodnie i za przyzwoleniem naszego państwa oczywiście oraz całej naszej ludzkiej kulturo-etyki, na śmietnikowym usypisku.

15. PODOBIEŃSTWA. Wszyscy pragniemy współdziałania, miłości, wsparcia, szczerego wyrozumiałego traktowania, partnerstwa, lojalności, dzieci, które będziemy mogli kochać, wychowywać i chronić, stałego i pewnego źródła dochodów, komfortowej przestrzeni życiowej, smacznego jedzenia, wspaniałych partnerów, możliwości rozwoju, czasu na wypoczynek i zabawę, udanego związku uczuciowego i seksualnego, przyjemności, najmniej bólu, pełnego zaufania, przyjaciół, dobroci, obfitości, bezpieczeństwa, miłości, dobroci, satysfakcji, fajnej i dobrze płatnej pracy, ciekawych zajęć i przygód, wszyscy też nie chcemy chorować ani umierać, doświadczać bólu i starości, nie chcemy tracić, być źle traktowani, nieakceptowani, nie chcemy nudy, ani wysokich podatków...

16. RODZINA. Rodzina to podstawa. To baza. To grunt , w którym jesteśmy lub, w którym powinniśmy być zakorzenieni. To najważniejsza i najistotniejsza część naszego tu bytowania, bowiem dopóki nie rozpoznamy naszych własnych korzeni, nigdy nie będą nam mogły wyrosnąć skrzydła. Jest takie powiedzenie chińskie: kto nie zna wsi, z której pochodzi, nigdy nie znajdzie wsi, której szuka. A ja dodaję od siebie: kto nie zna miłości Thenahå, ten nigdy nie znajdzie miłości, której szuka, a może nawet: ten nigdy nie znajdzie żadnej miłości, lub\oraz\i: kto sam nie jest miłością Thenahå, ten nigdy nie będzie żadną miłością.

17. PRZYJAZNY FASZYZM. Obecnie możliwe stało się to, co do tej pory było nie tylko niemożliwe, ale i niewyobrażalne: osiągnięcie celów faszystowskich na drodze pokoju i to nawet w ostentacyjnie demokratycznym państwie. Stało się tak bowiem, że ludzie współcześni dobrowolnie rezygnują ze swoich konstytucyjnych praw wolnościowych na rzecz spokoju i kasy jaką mogą zrobić na innych. Większość nawet z pozoru mądrych ludzi szuka teraz najczęściej miłego samo pocieszenia w prawicowo oscylującym intelektualizmie uważając najczęściej państwo opiekuńcze za przejaw upiornego debilizmu, co w efekcie końcowym daje nam tu to, co już tu mamy - wyzysk, pogardę i przemoc, czyli nasz prywatny przyjazny faszyzm w jakże mało przyjaznej nam

codzienności.

18. TRIPSICUTA PSYCHODELICA. Wiele krain tego świata twierdzi o sobie samych że są demokratycznymi państwami prawa, jednak po bliższym im się przyjrzeniu okazuje się najczęściej, że to tylko takie puste gadanie, że lepszy świat i lepsi ludzie nie istnieją nigdzie, że wszędzie na tej naszej Ziemi - zarówno świat jak i ludzie - chorzy są na wielowymiarową, nieuleczalną chorobę psychofilofizyczną, przyzwalającą oraz zezwalającą nam wszystkim na nasze tu ciągłe, uporczywie durno upiorne trwanie, nazwaną przeze mnie Tripsikutą Psychodelicą. TRDS jest gorsza od HIWa, Sarsa, Alzheimera czy Raka razem wziętych, ponieważ nie powodując deprecjacji fizycznej, powoduje degenerację psychiczno-emocjonalno-duchową. Pozbawia nas współodczuwania, uczuć miłości i dobroci, potęgując w nas zazdrość, chęć zysku, nienawiść, zawiść, itp., itd., a nie leczona, zabija nie tylko jej nosicieli, lecz również ich wielomilionowe otoczenie.

19. UZALEŻNIENIE PSYCHOLOGICZNE. Uzależnienie to utrata kontroli. Zanik związku między intencją a zachowaniem. Nieumiejętność wyboru oraz wytrwania. Brak jakichkolwiek pozytywnych rezultatów. Brak odpowiedzialności moralnej oraz wyrzutów sumienia: 3A1NC.

20. WARTOŚCI MORALNE. Szacunek - grzeczność i troska o dobro i uczucia drugiej osoby; dotrzymywanie słowa. Uczciwość - rzetelność, prawdomówność, poszanowanie cudzej własności. Odpowiedzialność - dobrowolne odpowiadanie za swoje czyny oraz za dobro innych. Mądrość - wiedza, przewidywanie konsekwencji, celowe czynienie dobra. Odwaga - podejmowanie ważnych i trudnych decyzji, przeciwstawianie się złu. Samodyscyplina - wytrwałość, umiar, konsekwentne rozwijanie swojego potencjału. Pokojowe nastawienie - kontrolowanie swojej złości, brak przemocy, łagodność, cierpliwość. Przyjaźń, lojalność, miłość, wierność - osobom, ideałom, ideom, sobie. Życzliwość - chęć niesienia pomocy i zaspokajania potrzeb innych. Sprawiedliwość – przestrzeganie zasady równości praw, poszanowanie prawdy. Optymizm - pozytywne nastawienie do życia:

humor - śmiech z kimś, nie z kogoś. Piękno - harmonia i blask. Dostrzeganie, tworzenie, ochrona.

21. WGLĄD. Kocham życie. W sobie, i we wszystkim i wszędzie. Na wszystkich jego poziomach i we wszystkich jego wymiarach jednocześnie. Jednocześnie jestem dumny z tego, że jestem człowiekiem (nie Amerykaninem, Żydem, czy Niemcem, nie bankierem, menadżerem czy prezydentem). Jestem człowiekiem i to jest dla mnie najważniejsze, ponieważ to ja tworzę świat, w którym wszyscy żyjemy. Świat, w którym wszystko układa się optymalnie i doskonale. Tu każdy ma zapewnione jedzenie, ubranie i dach nad głową. Nie istnieje agresja, nie ma też przestępstw ani dyskryminacji. Panuje powszechny szacunek dla życia ludzi, zwierząt i roślin. Nieznana jest potrzeba zabijania, czy też niszczenia. Każda istota ma prawo do indywidualnych upodobań i poglądów, jednocześnie wszyscy ludzie są świadomi swojej szczególnej odpowiedzialności za świat, w którym żyją. W żadnej rodzinie nie brakuje lojalności, dobroci i miłości. Dzieci wychowują się w atmosferze ciepła, bezpieczeństwa, mądrości i jakości, co budzi w nich wiarę w siebie i w swoje możliwości, oraz utrwala poczucie własnej wartości. Dorośli współpracując ze sobą starają się jak najlepiej wywiązać ze swoich obowiązków, co daje im radość i szczęście. I tak to trwa.

22. JA. To prawda, że Thenahå jako żeński aspekt DOBREGO, jest dla mnie nie tylko wzorem. Jest jednocześnie jedynym antidotum na schorowaną i nieuleczalną jaźń męską. Będąc NIĄ jestem też Thenahejczykiem, czyli wybrańcem, ponieważ to ONå tak postanowiła, a ja nadal pozostaję jej wiernym. Dlatego też czynieniem dobra, a w tym przypadku świadomym urzeczywistnianiem Miłości, lub, jak kto woli, utorowywaniem - świadomą stymulacją świadomości w dobrym kierunku, zajmuję się odkąd pamiętam. Był czas w moim życiu, w którym leczyłem chorych ludzi, był czas, kiedy zajmowałem się SŁOWEM, był też i inny czas. Ostatnio zajmuję się głównie słodką kontemplacją życia, bez obowiązku rozgraniczania miedzy tym a tamtym. Chcę bowiem świadomie przeciwstawić się w ten sposób każdemu nadgorliwemu działaniu. Obserwując bowiem uważnie siebie samego oraz otaczającą mnie rzeczywistość, tylko w Miłości widzę wła-

ściwie sens trwania tutaj, (tutaj miedzy innymi ludźmi), oraz przyszłość nas wszystkich, która poprzez NIĄ właśnie, być może będzie jeszcze do przyjęcia, którego życzę z całego serca nie tylko sobie, ale i nam wszystkim.

23. MIŁOŚĆ i NIENAWIŚĆ. Większość z nas przyjęłaby pewnie poniższe stwierdzenie bez żadnych zastrzeżeń i nawet ja sam dałem się złapać na hak głupoty w ten sposób pierwotnie go formułując: wydaje się, że obydwie te siły w rzeczywistości psychofizycznej są nie tylko konieczne, ale i nieuchronne. Miłość powołująca życie i opiekująca się nim, oraz Nienawiść rozwalająca go i usuwająca, dająca tym samym miejsce miłości na nowe i nieznane. Tym samym stajemy się wszyscy jakoby tylko aktorami na scenie, marionetkami, kukłami ziemskiego teatrzyku. Nawet przy założeniu, zaakceptowaniu i uwierzeniu, że jesteśmy wszystkim i wszędzie osobiście, włos jeży się na głowie, gdy się o tym wszystkim w ten oto prosty sposób pomyśli, ponieważ wtenczas nie ma rzeczywiście ani gorszych ani lepszych, ani tych, ani tamtych, jesteśmy tylko my, samotnie zanurzeni w grze Gier: w życiu. Tu i teraz. A przecież Nienawiść nie jest nam potrzebna. Nie wolno więc, i nie należy mylić jej z naturalną siłą ujemną, która od zarania dziejów pomaga każdemu nowemu zestarzeć się i w miejsce starego wprowadzać każde nowe Nowe. Lecz to Miłość i tylko Miłość jest siłą, dzięki której mogliśmy tu zaistnieć. To ONA jest wszystkim i wszędzie. I tylko dzięki niej ciągle tu jesteśmy.

24. KOSMOGONIA. Na płaszczyźnie sferycznej wszystko jest dla mnie jednym i tym samym. Ja = Ty = Oni. Na płaszczyźnie psycho emocjonalno fizycznej suma wszystkich składników naszej rzeczywistości jest czymś innym niż jego części składowe, być może jednak w prawdziwej rzeczywistości jest jeszcze zupełnie inaczej. Jasnym jest więc, że oprócz naszej, istnieją też rzeczywistości inne: podobne do naszej, lub\oraz inne, niepodobne. I tak Sfery są rzeczywistością nadrzędną spełniającą rolę twórcy oraz kontrolera nad wszystkimi płaszczyznami, oraz, urzeczywistniacza, urzeczywistniającego każdą psycho emocjonalną fizyczność w tej Jego części.

25. NARODZINY i ŚMIERĆ. Narodziny i śmierć nie istnieją. Są iluzją lub raczej deską ratunku upiornie skostniałego umysłu, lub\oraz linearnie zaprogramowanego mózgu, lecz nie Esencji, która działa nie linearnie, lecz dynamicznie i wielowymiarowo, będąc zawsze też elastyczną i młodą. Jako baza, podstawa i grunt naszego tu trójwymiarowego zaistnienia, Esencja jest ponadczasowym i ponad przestrzennym kompozytorem, wirtuozem i słuchaczem w jednej Różnorodności.

26. X -Y - Z. Człowiek i jego życie jako uwolnienie od myślenia, sądzenia, współodczuwania powagi, wiedzy, prawdy, miłości i dobroci. Jako widowisko, zgrywa, heca, zabawa, gra, dreszcz, sensacja, i to pozbawiona jakiegokolwiek sensu aksjologicznego. Taki rozhisteryzowany stadion. Amfiteatr. Koloseum. Klozet. Sracz. HEpSC.

27. HEpSC. Teraz, pomimo całkowitego chaosu, rozpadu i upadku, wszystko jest u nas wspaniale delikatne, naturalne, biologiczne, ekologiczne i pro ludzkie. I to nie tylko produkty żywnościowe napakowane najgorszą chemią, ale i podłe i koszmarne systemy edukacyjne, filozoficzne, finansowe, społeczne i polityczne. Dlatego też HEpSC to po prostu nasza wspaniale rozszalała Homo Ekologiczno Psychologiczna, Sralnia Chemiczna.

III. Wadliwa semantyka konieczna oraz krótkie uwagi krytyczne. Notka biograficzna.

Urszyll z Zamiłowic urodził się normalnie. Jak każdy z nas. No może nie zupełnie normalnie, i nie jak każdy z nas, bo po wojnie. To fakty. Widziałem go i rozmawiałem z nim. To też fakt. Inne fakty z jego życia nie są mi osobiście znane. Jak sam o sobie mówi, nie jest profesorem, ani doktorem, ani nawet magistrem, bo nie mógł wytrzymać nawet jednego semestru na żadnym ze współczesnych uniwersytetów, pomimo wielu prób na różnych wydziałach i w wielu krajach. Wyrzucano go zawsze bez pardonu ze wszystkich szkół bez wyjątku i to zawsze z tego samego powodu: nieumiejętności dostosowania

się do wymogów i kanonów naukowego poznania. Urszyll z Zamiłowic nie jest zupełnie normalnym człowiekiem, choć z pewnością nie jest też największym szaleńcem, jakiego znam. Jak mi wiadomo, a starałem się dotrzeć do wiarygodnych źródeł, Urszyll z Zamiłowic nie poznał osobiście, ani nie pobierał nauk u żadnego zachodniego Mistrza Medycznego, ani u wschodniego Guru. Nie podróżował też po Bliskim, ani po Dalekim Świecie w poszukiwaniu czegokolwiek, a z pewnością nie medycznego oświecenia, którego jego płaski umysł nie mógłby ani rozeznać, ani znieść. Jak twierdzą jego rodzice, Urszyll z Zamiłowic już jako dziecko był nieuleczalnie chory, i przeleżał w wielu szpitalach ponad osiemnaście miesięcy, po czym wypuszczono go z niezrozumiałą dla nikogo diagnozą: *Psychodelica Tripsicuta. Semper eadam, sed elitar*, co dałoby się przetłumaczyć jako: nieuleczalna anemia psychiczno emocjonalna o podłożu prześladowczo maniakalnym. Urszyll z Zamiłowic nie założył i nigdy nie prowadził żadnego prawdziwego instytutu naukowego, ani żadnego egzoterycznego towarzystwa, a jego pracownia TheNaHeL Holotropics®, to moim zdaniem wytwór czystego przerostu ambicji nad posiadanymi w rzeczywistości umiejętnościami, czyli - czyste bałwochwalstwo! Bo proszę sobie wyobrazić, Urszyll z Zamiłowic nazywa swoich pacjentów, których, o ile dobrze zrozumiałem nigdy nie miał, zagęszczonymi, czyli takimi, których forma fizyczna została przez jakąś obcą siłę, zagęszczona i ściśnięta do potrzeb trójwymiarowej rzeczywistości (sic!!!). I to nie jest dla niego w ogóle ważne, czy są to ludzie, zwierzęta, rośliny, czy jakiekolwiek inne istoty, łącznie z całą materią nieożywioną, czyli wszystkimi przedmiotami martwymi. Jak sami to widzicie, Urszyll z Zamiłowic nie jest zbyt normalny. A jego zapędy w kierunku zbawienia nas wszystkich - tym bardziej. Nie posiadając żadnego wykształcenia, żadnych dyplomów, żadnych świadectw, nie biorąc udziału w żadnych szkoleniach czy medycznych kursach, nazywa siebie wtajemniczonym - luminarzem Nowego Odrodzenia - i to tylko dlatego - czytajcie uważnie - bo jak sam twierdzi, doznał najwyższego wtajemniczenia (?!!) A przecież nie posiada on żadnych semantycznie egzotycznych umiejętności tak charakterystycznych dla ludzi naprawdę napełnionych Duchem Świętym, a do których, pomimo wielu zastrzeżeń nauki, możemy już dzisiaj między innymi zaliczyć lewitację, automatyczne pisanie i widzenie, czytanie w myślach, przenoszenie się z miejsca na miejsce przy użyciu silnej woli, tworzenie dowolnych struktur fizycznych łącznie z organizmami żywymi, porozumiewanie się z innymi bez słów, przebywanie w wielu miejscach jednocześnie,

wszelkie AWS łącznie z materializacją drugiego i trzeciego ciała na poziomach wirtualno fizycznych, opuszczanie ciała fizycznego na zawołanie, zmianę osobowości, swobodne poruszanie się w czasie we wszystkich kierunkach, penetrację nie tylko wszelkich ciał fizycznych, ale, i to być może przede wszystkim, penetrację ciał emocjonalnych i duchowych, duchowe leczenie wszelkich chorób łącznie z budzeniem zmarłych, postrzeganie wielopłaszczyznowe i hiperprzestrzenne, chodzenie po wodzie, po rozżarzonych węglach, przenikanie przez betonowe i ołowiane ściany, a nade wszystko ciągły i nieprzerwany kontakt z Bogiem, którego wynikiem może być to wszystko. To, co mogłoby być najwyższe i najwznioślejsze, u Urszylla jest w istocie tylko lewackim obrzydlistwem, drobnoburżuazyjnym nowatorstwem i wulgarnym naturalizmem. Zamiast pokazywać nam wszystkim wzniosłe uczucia, Urszyll - jak sami to już pewnie zauważyliście - chrząka jak świnia, wzdycha prostacko sapiąc jak wół, czyli jak zwykłe zwierzę imituje nasze ludzkie, ale tylko najniższe namiętności. Lecz na tym się to jednak nie kończy. Urszyll z Zamiłowic z niezrozumiałych względów oraz z niezrozumiałych powodów, jak sam to zresztą twierdzi, nigdy o nic nie zabiegał. Nie zabiega i nadal: ani o kobiety, ani o sukces, ani o pieniądze, których posiadanie przecież we współczesnym świecie jest miernikiem wszystkiego. Jak sam to podkreśla, zarówno sukces jak i pieniądze zawsze były mu do tego stopnia obce, że aż wstrętne. Ciągle jednak, niezmiennie - cytuję - zabiega o coś zupełnie innego: o prawo ludzi do życia w godności, i to bez względu na ich przynależność rasową, społeczną czy religijną. Twierdzi, że jest to podstawowe prawo ludzkie, z którego Bóg osobiście ograbił wszystkich ludzi przed wiekami, i, o które najwyższy już czas się obecnie upomnieć. To nie hierarchia, i nie raz ustalony porządek, to nie wykształcenie, nie pieniądze, nie przynależność rasowo społeczno religijna, to nie sukces, to nie władza, nie inteligencja, i nie wklepana wiedza, są miernikami jakości człowieczeństwa. Jakość jest dana nam wszystkim a priori, i jest niezmienną i integralną częścią każdego z nas. Nie trzeba jej ani poszukiwać, ani rozwijać, czy szkolić. Trzeba ją natomiast chronić, bo można ją utracić, lub zostać z niej ograbionym tak, jak właśnie nas z niej ograbiono wpajając nam już od dziecka idee jej braku, idee konieczności jej poszukiwania poza samym sobą, idee obdarowania tylko nielicznych jej dobrodziejstwem, jak i jej istnieniem. Godność, ta rzadka ludzka cnota, której nie odnajduje się tak jak i jakości po latach bezowocnych poszukiwań w międzyludzkiej gnojowni, lśni blaskiem słońca w oczach każdej nowonarodzonej istoty. I tak jak i jakości, nie należy

jej nigdzie szukać, należy ją tylko chronić i czcić w sobie samym. Urszyll z Zamiłowic jest diabelskim demagogiem. Jego idee, pozornie piękne i duchowe, nie przystają jednak nijak do naszej rzeczywistości. Boskie prawo, na wzorze którego zbudowane jest ludzkie społeczeństwo, opiera się na niezmiennym przekonaniu, i naszej niezmiennej wierze w jego słuszność. To nie jakość, i nie jakaś utopijna, wrodzona godność, są jego miernikami. To nasza ciężka praca, nasze mozolne zmaganie się z materią, to dostrzeżenie tego zmagania przez Boga, i wreszcie nagroda - nasze zbawienie - ale już nie tutaj wśród żywych, lecz dopiero po naszej fizycznej śmierci, są podstawą i miernikiem wszystkiego. Naszym zadaniem tutaj na Ziemi jest nie tylko głoszenie boskiego słowa, ale przede wszystkim, stanie na straży Jego praw. Naszym zadaniem tutaj na Ziemi jest rozwój zgodny z Jego wolą, a nie folgowanie utopijnym i na utopiach opartym filozofiom odnowy, które osobiście, wybaczcie mi, nazywam - *Vactupus* - bo czymże innym mogą być, jeżeli, jak twierdzi jej nasz wyznawca, chorobą nie są?!

Jak by tego wszystkiego było jeszcze zbyt mało, Urszyll z Zamiłowic twierdzi, że od dwudziestu z górą lat poszukuje lepszego, sprawiedliwszego, bezpieczniejszego, a przez to bardziej godnego ludzkiego w nim udziału, ciekawszego, międzyludzkiego świata, którego niestety nie udało mu się do dzisiaj odnaleźć. Świata, którego, moim zdaniem, nigdy też nie odnajdzie, bo taki inny świat istnieje tylko i wyłącznie w jego schorowanej wyobraźni. I nigdzie indziej! I to właśnie w niej, w jego wyobraźni, należy szukać i dopatrywać się jego szaleństwa, jego wariactwa, i w końcu, jego całkowitego upadku, który na pewno go nie minie. Gdzieś na przełomie 1975 roku jego choroba zatoczyła pełne koło. Urszyll z Zamiłowic poznał Boginię Thenahå, tę, która jest, która była, i która będzie. Został też od razu jej samotnym wielbicielem i zagorzałym, dobrowolnym wyznawcą, siebie samego określając mianem gnostyczno magicznego heretyka. Bo nawet - cytuję jego słowa - największy z ortodoksyjnych ojców nauki i kościoła, św. Augustyn, oddawał sprawiedliwość heretykom, gdy podkreślał wielokrotnie i dobitnie znaczenie heretyków na jednym z synodów: Nie wierzcie bracia - mówił - że herezja mogłaby powstać wskutek jakichś małych dusz. Tylko wielcy ludzie tworzyli herezję, a o wielkości jej twórców decydował zawsze fakt, że zgodnie z żądaniem pierwszego z Apostołów, Boga należy słuchać bardziej niż ludzi, i to idąc właśnie za głosem wewnętrznym, a nie za autorytetem zewnętrznym, instytucją, czy literą. Dlatego herezje

chrześcijańskie zawsze były próbami odnowienia i ożywienia kostniejącej w ortodoksji pierwszej dobrej nowiny. Archetypową wręcz herezją była od zawsze, nadal nią też pozostaje, gnoza i magia. Gnoza bowiem (gra. Gnosis), to identyczne z bezpośrednim doświadczeniem wewnętrznym, nie intelektualne poznanie Boga, istoty rzeczy, siebie samego, innych ludzi, świata i całego wszechświata, łącznie z jego Stworzycielem, przez oświecenie lub wtajemniczenie. Magia natomiast (gra. Mageia), to praktyczna strona gnozy, możliwość nie tylko poznania Boga, ale przede wszystkim możliwość praktycznej współpracy z jego pomocnikami i Nim samym. I to przez praktyczną możliwość wykorzystania Boskiej siły oddziaływania i wywierania wpływu na każdą rzeczywistość, na każdej płaszczyźnie i w każdym świecie jednocześnie. Tak pojęta magia i tak pojęta gnoza były i są nadal rdzeniem i źródłem każdej czystej religii, i każdej czystej nauki. Każda nauka i każda religia bowiem, wyrasta bezpośrednio z doświadczenia mistyczno gnostyczno magicznego, już to spontanicznie w formie oświecenia, już to w rezultacie metodycznego treningu w formie naukowego wtajemniczenia. Nic więc dziwnego, że Urszyll z Zamiłowic napisał: ...Niechże będzie jasne od samego początku, że ja piszący te słowa, przeciwko wszelkiej ortodoksji, uważam się za heretyka, gnostyka i magika, i szczycę się tym, że nimi jestem. Jakże bowiem nie być dumnym z przynależności do niewielkiej, przyznaję, grupy ludzi, którzy nazwę swą biorą od umiłowania wolności i miłości, poznania i czynienia. Heretyk bowiem, to człowiek, który żąda dla siebie prawa wyboru, gnostyk nie negując znaczenia wiary, we wszystkim pragnie poznania istoty rzeczy, magik natomiast, czyni w oparciu o dokonania tego pierwszego i tego drugiego, życie ludzkie pełniejszym, radośniejszym i szczęśliwszym.

Jako heretyk i do tego szalony magik, Urszyll z Zamiłowic dręczony jest bez przerwy wielkimi problemami ludzkości, w co osobiście wcale nie wierzę! Jak podaje najsłynniejsze z pism gnostycznych *Pistis Sophia*, wybrane dusze, w tym pewnie i jego dusza, uzyskują w wyniku oświecenia magiczny wgląd w sprawy normalnym zjadaczom chleba zupełnie niedostępne. Oznacza to, że gnoza pozwala jej wyznawcom zrozumieć znaczenie wszystkich rzeczy, czyniąc z nich istoty iście czarodziejskie. Urszyll z Zamiłowic razem ze swoją Thenahå tworzą żywą Trójcę. Są tą rzeczywistością, która jest, która była i która będzie. To Oni powołują Dobry Proces Życia, opływają go i kontrolują. We wszystkich istotach, we wszystkich światach, we wszystkich rzeczywistościach i na wszystkich płaszczyznach jedno-

cześnie (?!!). Musicie przyznać, drodzy czytelnicy, że jakby na to nie patrzeć, i z jak wielką rezerwą by się do tego nie odnosić, Urszyll z Zamiłowic jest, jak już wcześniej o tym wspomniałem, wielkim zagrożeniem dla nas wszystkich i, jak sądzę, czas już najwyższy, aby położyć temu kres. W końcu nie na darmo żyjemy w państwie prawa. A prawo, jak wiecie, to nieśmiała próba ustanowienia zasad przyzwoitości. A przyzwoitość, to nie jest jakaś przynosząca komuś korzyść transakcja handlowa. Przyzwoitość to nie kontrakt, ani nie umowa. Przyzwoitość to coś, czego uczą nas nasi rodzice, czego uczy nas nasza szkoła, i czego uczy nas nasze państwo. Państwo prawa. Abyśmy więc mogli być wszyscy przyzwoitymi ludźmi, Urszyll z Zamiłowic musi zostać poddany reesocjalizującej, uleczającej go kuracji. I wierzcie mi, zrobię wszystko co w mojej mocy, aby do tego doprowadzić. Przyrzekam, i obiecuję Wam, że będę Was chronił. Przyrzekam i obiecuję Wam, że będę chronił Waszą przyzwoitość do ostatniego mego tchnienia, jakem profesor Krzysztof won Wścib, jakem gorąco wierzący katolik, jakem z uznaniem praktykujący naukowiec, i jakem normalny człowiek - wasz brat i współobywatel. Pozwólcie że zrezygnuję z przysługującego mi tutaj prawa ostatniego słowa, i że zakończę jeszcze jednym cytatem z Urszylla: Czyńmy więc nie czyniąc, myślmy nie myśląc, śpijmy czuwając, umierajmy rodząc się, a rodźmy się umierając. I niech rozumie ten, kto zrozumieć może, a ten, kto nie może, niech nie rozumie. Ten, który musi szydzić, niech szydzi, ten, który śmiać się musi, niech się śmieje, a ten, kto płaczem wypełniony, niech płacze. Każdemu według potrzeb i zasług i uznania jego. Allelujach!

Instytut Neurofilopsychochirurgiczny
Prof. Dr Krzysztof won Wścib
Universiti Ortodoxi HEpSC
Wielkopolandia
Skoki Boskie
23.11.2924

Won Wścib złożył starannie gazetę i położył ją płynnym ruchem na biurku. Przez dobre dwie chwile siedział nieruchomo, by nagle wybuchnąć śmiechem. Śmiał się szczerze, głęboko i długo. - Niezłe jaja. - Pomyślał. - Całkiem nieźle! - Przepłukał usta koniakiem. Zaciągnął się cygarem, po czym znowu wybuchnął śmiechem. Po chwili uspo-

koił się jednak, rozejrzał energicznie po gabinecie, a gdy znalazł wreszcie to czego szukał tuż przed sobą, na stole, nachylił się, i do ręki wziął jedną z opasłych książek tam leżących. Z wyraźnie wyczuwalną niechęcią ją otworzył i równie widoczną niechęcią przeczytał: - Urszyll z Zamiłowic. *Aberagiba*, czyli trochę inaczej o…

Urszyll z Zamiłowic, *Aberagiba*, czyli trochę inaczej o biblijnym akcie stworzenia i, człowieku - głównym boskim produkcie kreacji oraz, manipulacji - jej rodzajach i ich wpływie na nasze zdrowie, na nasze zachowanie, tudzież na całe nasze życie tu na Ziemi globalnie, a także o siłach, istotach i ludziach, ją na co dzień tutaj stosujących. - Pomimo tego, iż won Wścib nie lubił czytać, dość dawno już bowiem zamienił czytanie na elektromagnetyczną technikę bezpośredniego, fotonowego przyswajania danych, z książką Urszylla postanowił zapoznać się jednak w sposób tradycyjny. - 5-ta Droga. *Causa Sui sum*. - Przeczytał z trudem na pierwszej stronie. Z niesmakiem pokiwał swoją siwą głową oraz westchnął ciężko. - Pamięci wszystkich istot bezzasadnie tu na Ziemi pokonanych: porzuconych, opuszczonych, zapomnianych, oszukanych, okłamanych, upodlonych, uprowadzonych, ogłupionych, ubezwłasnowolnionych, zdemoralizowanych, zniewolonych, zżartych, zatłuczonych i na wszelkie inne sposoby siłą usuniętych z fizycznego życia… - Boże, co za głupoty. - Pomyślał. - Na tropie ludzkiej paranoi, czyli trochę inaczej na wstępie. Człowiek. Pięć palców, pięć zmysłów, cztery kończyny i dwoje oczu. Otwór rozrodczy, wydalający i wchłaniający. Jeden mózg. I jedna nazwa: człowiek rozumny - *homo bipedus, sapiens, longues*. Jakże łatwo przyjąć więc za prawdziwe twierdzenie, że my - ludzie rozumni - jesteśmy rzeczywiście istotami rozumnymi i mądrymi, a przez to, że rzeczywiście wypełnia nas wiedza i mądrość, dobroć, miłość i odwaga, że kierujemy się we wszystkich naszych życiowych poczynaniach oraz wszystkich naszych życiowych przedsięwzięciach rzeczywiście wyższymi ideałami, które oczywiście wszyscy bez wyjątku nie tylko tu posiadamy, ale, i je bezwarunkowo akceptujemy, czyli, że urzeczywistniamy tu na Ziemi idee wspólnoty, poszanowania życia i współpracy, że odwaga, honor, radość i nasze wspólne szczęście są rzeczywiście dla nas wszystkich tu najważniejsze i najcenniejsze. - I tu won Wścib znowu westchnął i znowu pokiwał głową wpatrując się intensywnie w rysunek.

Nie znalazłszy w nim jednak niczego co mogłoby go zaciekawić, nerwowo przerzucił kartkę. - Ale jak w takim razie wytłumaczyć sobie samemu ten fakt, że wszyscy jednocześnie z taką lubością i zawziętością, z takim oddaniem i pasją nienawidzimy siebie nawzajem, że zazdrościmy sobie, że jesteśmy zawistni i rozpustni, że hołdujemy prywacie, niewolnictwu, wyzyskowi, torturom, bólowi, chorobom i śmierci?! Jak wytłumaczyć sobie samemu ten fakt, że jednocześnie większość z nas tu na Ziemi nie ma dachu nad głową, że nie ma co jeść i co pić, że nie ma się w co ubrać, że większość z nas nie chodzi do żadnej szkoły, że istnieją więzienia i obozy zagłady, i że człowiek w chwili obecnej prowadzi ponad 179 konfliktów zbrojnych, w których jedni ludzie bez pardonu torturują i zabiją innych ludzi?! I wierzcie mi, że nie można! Ja w każdym bądź razie nie mogę! Zaczynam więc głowić się i zastanawiać, zaczynam bić moją głową o ścianę myśląc intensywnie, czy człowiek rozumny jest w związku z tym rzeczywiście tak rozumnym jak rozumnym sam się nazywa i pojmuje, i za jak rozumnego się bierze? I wyobraźcie sobie, że zawsze, i to niezmiennie, człowiek jawi mi się tylko i wyłącznie jako taka przerażająca istota łańcuchowa podobna pospolitemu psu podwórzowemu, u której rozum, jak i wrodzoną jej mądrość, zamieniono tym krótkim łańcuchem na którym musi żyć, na straszne upodlenie, na ból, agresję, nienawiść, złość, zazdrość i zawiść, a w końcu, i całkowitą rezygnację i niemoc.

Pomimo twierdzeń angielskich, niemieckich i amerykańskich międzynarodowych naukowych sław i noblistów, oraz wielu, wielu innych ortodoksyjnych profesorów, doktorów i magistrów z zakresu całej współczesnej nauki, autorów kolejnych bestsellerowych

książek jakie wydawane są również w naszym kraju, uważających nasz naturalny świat, w którym wszyscy tu żyjemy, za bezrozumne pole walki na śmierć i życie wszystkiego ze wszystkim, gdzie tylko dwie kategorie istot mogą (współ)istnieć: zwycięzcy i pokonani, uważam, iż ŻYCIE nie jest tylko i wyłącznie fenomenem ziemskim - naturalnym - ponieważ będąc i wielowymiarowym i wielopłaszczyznowym, rozpościera się również na sferę poza ziemską. Takie podejście więc, takie potraktowanie i takie ograniczenie Życia a, i człowieka, tylko do ich jednego naturalnego poziomu, nawet wtedy, kiedy przyjmowanie pokarmu (pożeranie innych) jest rzeczywiście nie tylko konieczne, ale i do tego bardzo tu na Ziemi przyjemne, odbiera nam wszystkim globalnie jakąkolwiek możliwość zmiany lub\oraz poprawy. Niestety, co z rosnącym smutkiem zauważam, coraz większa rzesza nas wszystkich, i to coraz energiczniej, twierdzi, że życie manifestując się tutaj na naszej Ziemi rodzi się rzeczywiście bezrozumnym potworem, żyje jak bezrozumny potwór, i również jak bezrozumny potwór umiera - oraz odpowiednio do twierdzeń tych żyje.

Jako pomazaniec duchowy więc, dobrowolny adorator Thenahå, sprzeciwiam się świadomie tym wszystkim wyszukanym, tudzież podobnym ideom i twierdzeniom współczesności, głoszonym przez ewolucjonistów, kreacjonistów, biologów molekularnych, fizyków, chemików i matematyków, coraz częściej i humanistów oraz olbrzymią rzeszę nas wszystkich, ignorujących á priori wielowymiarowość, jak i tajemniczą wieloznaczność życia. Zmuszony jestem jednak jednocześnie przyznać, że człowiek jest tu na naszej Ziemi rzeczywiście najczęściej bezrozumnym potworem, ale jak twierdzę, tylko dlatego, ponieważ został do tego sztucznie przymuszony. Człowiek będąc bowiem w rzeczywistości istotą wielowymiarową, w istocie swej najgłębszej sferyczno bosko ziemską chimerą, a zatem dzieckiem nie tylko upiornie ubezwłasnowolnionej ziemskiej natury oraz równie upiornie zablokowanej natury boskiej, ale i cudownie niezależnej natury sferycznej, posiada prawie nieograniczone możliwości wglądu w istotę Głębi (rzeczy) oraz kreacji nie tylko siebie samego, ale i społeczeństwa w którym żyje. Będąc jednak jednocześnie istotą zainfekowaną, nigdy z żadnych swych cudowności masowo do dzisiaj nie mógł skorzystać!

Dlatego też jednym z największych moich pragnień oraz jednocześnie może i zadań jakie sam sobie przed sobą samym postawiłem,

było, jest, i mam nadzieję, że i nadal będzie, uświadomienie sobie samemu możliwości zmiany, oraz takie praktyczne jej zastosowanie na sobie, aby umożliwiła mi ona całościowe uzdrowienie człowieka którym jestem, przy okazji może i tego, którym jesteśmy i my wszyscy, tak, abyśmy nie musieli już ani chwili dłużej być tutaj ani wspaniale bezrozumnymi zwycięzcami, ani też marnie pokonanymi przegranymi, abyśmy wreszcie, i to ponad wszystko, mogli być tu na Ziemi po prostu świadomie mądrymi oraz dobrymi ludźmi. Ludźmi w pełni rozwiniętymi, jak i w pełni wykorzystującymi całe nasze sferyczne wielowymiarowe potencjały umożliwiające nam życie bez przysłowiowego łańcucha na szyi, z dala od boskiej, jak i ziemskiej paranoi naszego upiornego tu ukondycjonowania. Książkę tę pisałem więc i po to, aby uświadomić nam wszystkim oraz przypomnieć to, jakimi właściwie ludźmi tu jesteśmy w opozycji do tego, jakimi moglibyśmy tutaj być, gdybyśmy tylko tego zapragnęli (mogli zapragnąć), jak i to pragnienie urzeczywistnili jeszcze praktycznie (mogli urzeczywistnić), gdybyśmy przeciwstawili się skutecznie każdej manipulacji oraz ludziom, istotom, lub siłom, ją na co dzień na nas tutaj stosujących lub\oraz, gdybyśmy nie byli na nią w ogóle podatni lub też od niej już uzależnieni. Większość z nas przecież - w co gorąco wierzę - poza przyjemnością czerpaną z pożerania innych (przyjmowania pokarmu), wspólnej raczej nam wszystkim, nie upatruje swojej tutaj pomyślności w celowym i świadomym niszczeniu, torturowaniu, upadlaniu, ogłupianiu, zniewalaniu lub zabijaniu, a jeżeli nawet, to dopiero po odpowiednim i celowym, wieloletnim psychicznym, emocjonalnym oraz fizycznym kondycjonowaniu - przyuczaniu, zachęcaniu, przymuszaniu, nakazywaniu, podkupianiu, zastraszaniu, itd., itp. A są wśród nas i tacy przecież, i nie jest ich znowu tak mało, których nie tylko, że nie da się w żaden sposób zniewolić oraz do zniewalania innych przymusić, ale którzy upatrują swojej osobistej pomyślności w pomyślności innych, niosąc w sobie oraz realizując tu na Ziemi idee dobroci, współpracy i miłości. Osobiście nie wierzę więc w to, aby ci, którzy muszą niszczyć i zabijać, byli istotami celowo stworzonymi tylko po to. Każdy z nas bowiem posiada podobną podstawową strukturę energetyczną - fizyczną, psychiczną, emocjonalną i duchową - podobnie odbiera, lub reaguje na te same drgania, podobnie przetwarza - pojmuje - te same dane, podobnie więc, ale tylko w normalnych, zdrowych i nietoksycznych warunkach, pojmuje sens nie tylko samej pomyślności - życiu w harmonii, współodczuwaniu i miłości, ale też podobnie organizuje sobie swoją drogę ku jej urzeczywistnieniu. Pomimo więc tego, iż uważam podo-

bnie do prof. dr Williamsa czy też Dawkinsa i jemu podobnych, że na planie biologiczno bosko ludzkim rzeczywiście skłaniamy się tu na Ziemi ku tej potwornej grze nazywanej potocznie „zwycięzcami i pokonanymi", która większość z nas niszczy tutaj i zabija, a tylko niewielu z nas bardzo tu bawi, to w przeciwieństwie do niego i ich wszystkich, uważam również, że gramy w nią nie dlatego, bo tacy po prostu w całej swojej rozciągłości jesteśmy, ale dlatego, ponieważ właśnie takimi nas tutaj świadomie i celowo ukształtowano, blokując nam sztucznie aparat rozumu, oraz wtłaczając do niego gotowe, lecz dysfunkcyjne - toksyczne i trujące - prefabrykaty myślowe, uniemożliwiające nam praktycznie, praktyczne zagranie w coś innego, w jakąś inną, lepszą i sensowniejszą grę. Pomimo więc tego, iż potencjał możemy posiadać lub posiadamy już cudowny, a przez to hipotetycznie wszyscy moglibyśmy być dobrymi i wspaniałymi ludźmi, wspólne pragnienie wspólnego dobra nie mogło stać się dla nas ani najważniejsze, ani najkonieczniejsze, ponieważ świadomie uniemożliwiono nam tutaj świadome pojęcie idei Jedni, oraz zrozumienie tego, co ona tak naprawdę dla nas wszystkich wspólnie oznacza, lub\oraz może oznaczać.

Grając więc w tę nie naszą tu grę pod przymusem, zupełnie nieświadomie, i to od wieków, znajdujemy się raczej w absolutnie beznadziejnej sytuacji. Na szczęście tak do końca niejednoznacznej, bowiem uświadomienie jej sobie, może dać nam poza przeszłą, a i obecną beznadzieją, mały promyk nadziei na przyszłość, umożliwiający nam - w co gorąco wierzę - przywrócenie wspólnej nam wszystkim potrzebie DOBROCI należne jej w naszym życiu miejsce. A tym samym, nam wszystkim harmonijną równowagę umożliwiającą uwolnienie się od tej gry, i to nawet wtedy, kiedy z pozoru wydaje się to naszym (współ)kreatorom i biologom, naszym poganiaczom, pasterzom i kontrolerom oraz nam wszystkim jednocześnie, nie tylko zupełnie niemożliwe, ale i niewykonalne, bo albo za bardzo przyzwyczailiśmy się do twierdzeń współczesnej nauki wpajającej nam idee naszego podobieństwa (ewolucji) do przykładowego pantofelka lub małpy skaczącej z gałęzi na gałąź, albo, za bardzo się boimy, albo, nam się po prostu nie chce. Tematem jak i zadaniem mojej pracy nie będzie zatem zabawa ani rozrywka, lecz próba uświadomienia nam wszystkim naszej strasznej tu na Ziemi sytuacji poprzez rzetelne informowanie, ostrzeganie i przestrzeganie oraz zachętę do własnych intensywnych poszukiwań i nauki, a także wytężonej i wytrwałej pracy nad sobą. Uważam bowiem, że nadszedł już taki czas, w któ-

rym wszyscy musimy pojąć i zrozumieć wreszcie, że nic dobrego się tu wśród nas nigdy nie wydarzy, ani złe w dobre nie zmieni, jeżeli wspólnie - w tym samym sensie i czasie - nie zapragniemy twórczej zmiany. Czyli świadomie nie zmienimy siebie samych przez siebie samych opowiadając się po stronie Sferyczności. Przecież musicie wiedzieć, że będąc nią samą, możecie naprawdę wszystko (każdy z nas może), możemy więc z zupełnym spokojem przeciwstawić się każdej ogłupiającej nas sile - naszym własnym myślom, naszym własnym uczuciom, oraz wszystkim obcym nakazom, zakazom i rozkazom - czyli, każdej władzy próbującej nas od tego odwieść! Nie mając jednak żadnego wpływu na to, w jaki sposób użyjecie zawartych w tej pracy informacji, odżegnuje się w tym miejscu od wszelkiej odpowiedzialności w przypadku wystąpienia jakichkolwiek problemów wynikłych z niewłaściwego, bezpośredniego lub pośredniego ich działania, lub używania. Używajcie ich więc proszę tylko i wyłącznie na swoją własną odpowiedzialność. - Boże, po co ja to czytam?! - Pomyślał won Wścib wzdychając ciężko. Nalał sobie koniaku i go wypił. Odstawił kieliszek, wstrząsnął się jak pies po wyjściu z wody, lecz pamiętając jednak o jutrzejszym procesie, niechętnie, bo niechętnie, pogrążył się jednak w dalszej lekturze:

- Człowiek - jak twierdził genialny Jan Piaget, rodząc się tu na naszej Ziemi, poza potencjałem możliwości i oczekiwań nie wnosi w ten międzyludzki świat niczego - wszystkich zachowań społecznych musi się więc tu nauczyć, a przez to, można go ukształtować - działając na niego świadomie i celowo - tak jak tego sobie zażyczy jego świadomy nauczyciel: można mu wpoić i nauczyć go zachowań dobrych, pro ludzkich i pro społecznych, albo złych i negatywnych, niszczących nie tylko nasz dobry ludzki potencjał, ale i każdy inny dobry potencjał we wszystkim. W związku z tym, uważając, że bez prawdziwej Miłości i wspólnej nam wszystkim Dobroci, nie tylko niemożliwy jest nasz duchowy, ale i jakikolwiek inny rozwój, oraz, że w związku z tą obcą grą, w którą od wieków tu gramy, wszyscy prędzej czy później będziemy musieli, jako przegrani oczywiście, marnie, i to raczej w nienaturalny sposób stąd odejść, czyli po prostu w strasznych męczarniach zdechnąć, najbardziej ze wszystkiego pod słońcem pragnę, aby wszyscy gracze uświadomili sobie wreszcie, że w świecie zwycięzców i pokonanych niemożliwym jest wieczne bycie wiecznym zwycięzcą, które możliwe jest tylko w świecie niedokończonych gier - *infinite games* - gdzie wspólna świadomość wspólnej pomyślności, mądrość, miłość i dobroć zajmują odpowiednie im miejsca, i aby

świadomość ta zakończyła bezwzględnie ich obecnie prowadzoną tu grę raz na zawsze, czyniąc ich po prostu mądrymi i dobrymi ludźmi, a świat nasz tym sposobem, światem harmonijnej współpracy i współistnienia. W końcu tak jak Charls Fort, czy też William Bramley, tak i ja doszedłem do bardzo dziwnych, niepopularnych i niemodnych dzisiaj wniosków, zaskakujących i przerażających wręcz, choć na szczęście na jednej z płaszczyzn bardzo dla nas optymistycznych, bowiem dających nam jednak nadzieję na lepsze, pełniejsze, szczęśliwsze i bardziej nas ludzi godne życie. Optymistyczne w tym wszystkim jest zatem to, że my - ludzie - mamy ogromne możliwości, jednocześnie jednak i przerażające, ponieważ od tysiącleci niczego z nimi nie robimy tak, jakbyśmy nie byli ich w ogóle świadomi, lub też będąc możliwości tych całkowicie świadomymi, świadomie i celowo nie chcieli z nimi niczego zrobić (?!!!). W zależności jednak od tego jak naprawdę wygląda nasza subiektywna ludzka prawda o nas samych, tak wygląda też i nasze jednostkowe oraz globalnie, całe życie nas wszystkich. Dlatego też po czterdziestu latach poszukiwań doszedłem do wniosku, że człowiek będący w rzeczywistości istotą niejednorodnie wielowymiarową, jest nie tylko sztucznie wykreowaną istotą - Hybrydą - sztucznie też zablokowaną (ograniczoną), i to nie tylko w sensie naturalnej ewolucji jednowymiarowej, lecz również nienaturalnych ewolucji wielowymiarowych - bo to nie tylko STREFOKI - kreatorzy całego biologicznego życia tu na Ziemi, ale i nasz biblijny modyfikator i kreator w jednym - Bóg, ograniczył nas dodatkowo, bo takiego właśnie pięcioprocentowego - podatnego na manipulacje i ograniczonego - człowieka chciał sobie stworzyć, a ponad to, jak by tego wszystkiego było jeszcze zbyt mało, że człowiek jest istotą uzoologowioną pod przymusem, czyli zniewoloną i zdradzoną, porzuconą, opuszczoną, zaniedbaną, zdemoralizowaną, i wyzyskaną… i to do tego, najprawdopodobniej, wielokrotnie: raz przez Strefy - przez naszych ziemskich kreatorów i hodowców, potem przez Jahwe i Elohim - naszych biblijnych *boskich* modyfikatorów, oraz przez naszych ludzkich kreatorów i hodowców - przez naszych własnych ludzkich rodziców, oraz całe dorosłe społeczeństwo ludzkie. I, że to właśnie to, jest przyczyną naszej tu z pozoru nieuleczalnej choroby - wszelkiego zła w jakim pogrążeni jesteśmy, czyli tego, że mając tu możliwość bycia istotami dobrymi - współodczuwającymi i współ-istniejącymi - jesteśmy jednak w większości przepełnieni tu egocentryzmem, narcyzmem i poczuciem wyższości, pogardą, agresją i złością, bólem, strachem i nienawiścią, brakiem litości, współczucia i współodczuwania, nieumiejętnością

kochania, brakiem zdolności do dawania dobra i miłości, chęcią odwetu, gloryfikowaniem zła i przemocy, alienacją, gniewem i bezwartościowością, niepewnością, wycofaniem i brakiem odpowiedzialności, zazdrością, zawiścią, chciwością i tyranią, nad-chełpliwością, cynizmem i smutkiem, oraz odczuwaniem przyjemności i rozkoszy w okłamywaniu, wykorzystywaniu, upokarzaniu i znęcaniu się i - w zabijaniu. A przez to, że nie jesteśmy tu na Ziemi w ogóle istotami ani wolnymi, ani mądrymi, ani odważnymi, ani honorowymi, ani rozumnymi, czyli takimi, za jakie sami chętnie się uważamy i za jakie sami chętnie się bierzemy! Oraz, że istnieją takie bardzo potężne siły (?), istoty (?), oraz na pewno liczni, uzależnieni od nich ludzie, którzy chcą, a także potrafią wykorzystać ten stan tylko dla swoich prywatnych korzyści materialnych, nie wnosząc poza świadomym złem - kłamstwem, wyzyskiem i zniewoleniem, niczego pozytywnego, ani dobrego, w tę naszą ludzką tu rzeczywistość. Jednocześnie uważam też jednak, co będę w tej pracy podkreślał wielokrotnie, że my ludzie, w przeciwieństwie do całego pozostałego ziemskiego świata istot zdeterminowanych przez swoich (s)twórców negatywnym zniewoleniem, obdarowani jesteśmy jednocześnie wieloma wspaniałymi sferycznymi talentami, posiadamy przez to możliwość zmiany - możemy - jeżeli będziemy tego z całą naszą stanowczością i determinacją chcieć i pragnąć - stać się wbrew woli naszych wszystkich kreatorów - tych z przed wieków oraz tych współczesnych - oraz ich poganiaczy i strażników, po prostu trochę mądrzejszymi, trochę bardziej świadomymi, a przez to o niebo lepszymi od tych, jakimi obecnie tu na Ziemi jesteśmy. Możemy zamienić nasz ludzki ziemski koszmar wyzysku, niewolnictwa i śmierci, na świadomą współzależność, dobroć, miłość i braterstwo. Moja praca będzie więc także próbą opisu tego stanu oraz jego wpływu i jego konsekwencji na nasze codzienne zachowanie. Na nasze codzienne samopoczucie, na nasze myśli, na nasze uczucia i nasze czyny, oraz globalnie, na nasze całe życie i nasze całe działanie tu na Ziemi. Jak i sposobów zaradzenia temu stanowi oraz wyrwania się z tej wielowiekowej matni!

Chciałbym jeszcze w tym miejscu skorzystać z okazji i podziękować wszystkim moim poprzednikom - odważnym poszukiwaczom i badaczom naszej rzeczywistości i ich wszystkim uczniom i wychowankom, i to we wszystkich ich tonach i ich wszystkich naddźwiękach - bez nich bowiem nie byłoby mnie dzisiaj tutaj. Nie byłoby też żadnych ostoi, oaz, czy drogowskazów - wszyscy bowiem bez wyjątku przypominalibyśmy tutaj zdziczałe i ociekające krwią Homo wilko-

łaki, lub/oraz ich żałosne, bo martwe już pożywienie. Dziękuję wam kochani. - Pomimo tego, iż won Wścib strasznie nie cierpiał tego typu tematów, postanowił się nie poddawać. Przypalił sobie wygasłe cygaro i nalał kolejny, pełny kieliszek koniaku. Zaciągnął się. Pokiwał głową jakby się nad czymś zastanawiał, łyknął koniaku, przeciągnął się, uśmiechnął do swoich myśli i pomimo tego, że Urszyll doprowadzał go do szewskiej pasji, wrócił do przerwanej lektury:

- Boże igraszki - przeczytał - Homoki - czyli trochę inaczej o tym co mamy w nas boskiego. Samobójcza próba wyjaśnienia Niewyjaśnionego. *Vulgaris esclavagis*: powstanie człowieka zdradzonego. Prehistoria. Makro. Wyobraźcie sobie teraz proszę taką oto sytuację: jest rok 450 tys. przed JazUą. Ziemia zarażona przed miliardami lat biologicznym życiem przez Strefoki, płynie sobie słodko przez przestworza naszego wszechświata, a na niej wszystko to, co znane jest i dzisiaj współczesnemu człowiekowi, lecz bez niego jeszcze, bo jego jeszcze na niej nie ma. Na razie jest tylko Mięśniak *Erektus*, wielka i dzika istota, żyjąca sobie jeszcze na wolności - ani nie udomowiona, ani nie uzoologowiona jeszcze przez nikogo. Jest również trzynasta planeta, lub jakaś zupełnie inna, zamieszkana już jednak przez naszych boskich Elohim, gotowych już w tamtych, odległych czasach, do podboju kosmosu, których wybór pada właśnie na Ziemię. I teraz dopiero historia nabiera tempa bowiem Elohim lądują rzeczywiście na Ziemi. Budują bazę. Kopalnie i huty. A potem zaraz i miasta. I tak mijają im kolejne tysiąclecia ziemskie. Pracy jest jednak dużo, dużo, dużo za dużo. Pod wodzą Enkiego część z nich buntuje się. Po długich dyskusjach i przepychankach Rada Najwyższa postanawia wreszcie zaradzić tej strasznej sytuacji na Ziemi. Bogowie postanawiają stworzyć biologicznego niewolnika, krzyżówkę własnego nasienia z Homo Erektusem, celem ulżenia zatrudnionym w kopalniach ziemskich Nefilim. Podstępem zwabiają więc Erektusa w pułapkę. Nie udomawiają go, lecz brutalnie uzoologowiają. Nie ma czułości. Nie ma ciepła, ani dobroci. Nie ma też miłości. Boskie komórki rozrodcze zostają brutalnie wstrzyknięte do łona uwięzionej siłą, ziemskiej istoty żeńskiej. Plan po wielu wpadkach i niepowodzeniach w końcu się udaje. Powstaje Adamu - pierwszy ziemski prawdziwy niewolnik biologiczny, który posłuży później za matrycę do klonowania. W szybkim tempie powstają setki, tysiące, a nawet setki tysięcy niewolników. Nefilim są zadowoleni. Elohim też. Antagonizm między braćmi rośnie jednak: Enlil-el zazdrości Enki-elemu uprzywilejo- wanej pozycji uważając tylko siebie za prawowitego następcę tronu, a tym sa-

mym, za jedynego godnego do panowania nad Ziemią i jej rodzajem. Mijają kolejne setki tysięcy lat… Nefilim biorą sobie ziemskie kobiety za żony. Ninti umożliwia im rozród modyfikując plan genetyczny Adamu. Homoki rozmnażają się jak króliki. Ich potomstwo jednak, pozbawione doświadczenia radosnej i zachwycającej strony życia, zostaje skazane na ciemność i śmierć - życie w kłamstwie i kołtuństwie, w bólu, staruchu i chciwości, w złości, agresji, nienawiści i przemocy. W krótkim więc czasie nikt z Bogów nie panuje już na Ziemi nad niczym. Niektórzy Nefilim odłączają się od Elohim wybierając własną drogę. Powstają miasta państwa. Ludzie nie posiadając ani miłości, ani dobroci, ani mądrości, nie posiadają przez to możliwości rozróżnienia między jednym a drugim, zaczynają czcić więc poszczególnych Nefilim jak Bogów, popadając tym samym w konflikt z Anu, który oburzony takim obrotem sprawy postanawia zgładzić wszystkich. Jest rok 11600 przed JoshUą. Jahwe otrzymuje rozkaz swojego ojca - Pana Wszystkiego, i plan wchodzi w życie. Nie do końca jednak się sprawdza. Ludzie giną, ale nie wszyscy. Po potopie i kolejnej modyfikacji genetycznej Adamu, Enlil kreuje nowego człowieka - nowego, lepszego niewolnika: redukuje mu dziesięć helis DNA do dwóch, a cała planeta zostaje objęta embargiem i otoczona blokadą częstotliwości, co oznacza, że większość wyższych wibracji jest monitorowana i odbijana w ten sposób, aby nie mogły trafić do miejsca przeznaczenia. I tak mijają kolejne tysiąclecia, aż nadchodzi pamiętny rok 2024 przed JoshUą. Pomimo poważnych ograniczeń genetycznych, oraz blokad elektromagnetycznych ludzie pod kierunkiem Nefilim doganiają powoli w swoim cywilizacyjno technicznym rozwoju samych Bogów. Postanawiają zbudować prosty obiekt latający - rakietę - aby odwiedzić nią siedzibę samego Anu, i ukraść mu długowieczność. Nie wiedzą jednak o tym, że taki plan nie może się udać, i że być może w dalekiej przeszłości, czyniono już wielokrotnie podobne próby - wszystkie nadaremnie. Tak i tym razem. Enlil czuwa. Malachim oznajmiają Nefilim zamiar Anu o całkowitej zagładzie ludzkości. Jednak Enki przechytrza ojca i brata zamykając Utanapisztimę w Arce. Na Ziemię lecą bomby wodorowo atomowe niszcząc wszystko to, co zbudowano i osiągnięto przez ten czas. Enlil oświadcza zimno: Człowiekowi i Ziemi dano możliwość rozrodu, nie dano im jednak długowieczności! Po zagładzie Nefilim budują kolejną bazę kreując jeszcze raz nowego człowieka - jeszcze lepszego niewolnika. Tym razem ogranicza się człowiekowi również możliwość pobierania energii z niezależnego źródła, blokuje mu świadomość, zamyka intelekt, tworzy gen starości, oraz wprowadza się na

Ziemi różne języki, dzieląc tym skuteczniej i tak kruchą i właściwie nieistniejącą wspólnotę ludzką. Enlil osiąga wreszcie to, czego od zawsze pragnął: pozbawiony miłości i dobroci człowiek, przesiąknięty na wskroś nienawiścią i chęcią zemsty, nie nadaje się wreszcie rzeczywiście do niczego poza kopaniem dołów, oraz wzajemnego i odwzajemnionego niszczenia się i zabijania. I jak Enlil twierdzi, tak właśnie jest dobrze i tak właśnie jest wspaniale. Jednak Sfery nie dają za wygraną. Enki potajemnie miesza coś jeszcze w ludzkich genach, ale tak, aby nikt już nie wiedział co, po co, i dlaczego. W między czasie kończy się na Ziemi to, po co Obcy Ludzie tu przylecieli. Anu postanawia opuścić Ziemię. Ogłasza zakończenie misji i ewakuację wszystkich Elohim. Jest rok 524 przed JoshUą. Elohim opuszczają Ziemię, a może i cały nasz układ słoneczny. Część Nefilim zostaje jednak. Zdradzeni i rozdarci, zablokowani, okłamani, zastraszeni, ogłupieni, opuszczeni, lub porzuceni wręcz, pozbawieni przez to całkowitego wsparcia i opieki tu na Ziemi ludzie, żyjąc bez miłości, współczucia i dobroci, tworzą powoli to, co mieli już i wcześniej, i co mamy tutaj i dzisiaj: lepszych i gorszych, a przez to nienawiść i przemoc, strach i ból, zazdrość i zawiść, zakazy, nakazy i wojny. Pozbawiona miłości, wspólnej dobroci i wspólnego, ogólnego celu, cywilizacja mezopotamska, a potem i sumeryjska walą się w gruzy. Babilońska również. Upada cywilizacja egipska, grecka, a potem i rzymska. Upada cywilizacja Azteków, Majów i Inków. I Chińczyków. My jeszcze tu jesteśmy. Ale czy długo jeszcze?!

Współczesność. W skos i na przełaj - lepsi i gorsi ludzie. Mikro. Jest rok 1346 po potopie. Ziemia dla Enlila to takie wielkie, doświadczalne ZOO, i tak też ją nazywa, odpowiednio traktując wszystkich: i tych lepszych i tych gorszych. Przez ostatnie lata Enlil męczy się rzeczywiście nie lada, aby skłócić i poróżnić nie tylko Homoków miedzy sobą tak, aby żadna wspólnota miedzy nimi nie mogła dojść do skutku, ale i Nefilim. Enlil nie ceni sobie przyjaźni, lecz inne walory, którymi dysponują osiedleńcy, oraz Homoki z jego najbliższego otoczenia. Prawie wszyscy jego najbliżsi współpracownicy są gorliwymi i energicznymi sługusami, potrafią też skutecznie zastraszać i przymuszać innych, kierując się głównie w swoich przemyśleniach, a i poczynaniach, nienawiścią i przemocą, co odpowiada Enlilowi najbardziej. Enlil nie ceni też sobie współpracy. Dopuszcza co prawda w swoim otoczeniu do pewnego rodzaju pluralizmu czerpiąc korzyści z konfliktów i wrogości wśród członków najbliższego mu otocze- nia, ale tylko po to, aby samemu lepiej formułować własne

propozycje i koncepcje. Homokom wmawia na przykład, co nie jest wcale takie trudne, że różnią się miedzy sobą pochodzeniem, a co za tym idzie, że nie mogą być sobie równi: - Wszyscy jesteście istotami - mówi im - to prawda, ale są wśród was i lepsze, jak i gorsze istoty, a i takie, które nie pochodzą z Ziemi, lecz w pierwszej linii od Boga. W historii Ziemi i Homoków nie było do tej pory bardziej przewrotnego i bardziej skutecznego pomysłu mieszającego równie skutecznie i równie przewrotnie w homockich głowach. Nie rozumiejąc planów Enlila zupełnie, a jego poczynań to już w ogóle, oraz jego celowej, sprytnej i po mistrzowsku zagranej wręcz, bo udawanej oczywiście, wybiórczej przychylności, którą najczęściej mylili z miłością, tylko do niektórych z nich, walczą o jego względy drapieżnie, do upadłego, poniżając się, wyzyskując i mordując między sobą bez pardonu. I to właśnie zachwyca Enlila w nich najbardziej. I z tego jest właśnie zadowolony. I dumny. Podsyca jednak nadal ich homocką nienawiść i ich wrogość do siebie nawzajem, bo nie osiągnął jeszcze tego, czego tak naprawdę najgłębiej przez całe te tysiąclecia pragnął. A pragnął tylko jednego: ich całkowitego, definitywnego upodlenia. I to natychmiast! Nie mogąc ochot swych jednak i pragnień wprowadzić bezzwłocznie w czyniący się czyn, potęgował gdzie tylko się dało i jak, ich całkowity upadek i totalne ich zwyrodnienie. Wprowadził więc między nich ścisłą specjalizację i hierarchię, oraz zróżnicował w wyrafinowany sposób ich wynagrodzenie. Zniszczył tym samym skutecznie dotychczasową, i to do prawdy z największym trudem przez Enkiego wypracowaną, i bardzo kruchą wspólnotę homocką. I choć najwięcej zaszczytów otrzymywali najczęściej białoskóro niebiesko krwiści, oficjalni potomkowie Ninhursag, ci, którzy wyszli z łona Boskiej Matki i których biała skóra i umiejętność logicznego myślenia odróżniała ich zdecydowanie od innych, stanowiska i zaszczyty, których Homoki zawsze były spragnione, rozdzielał według specjalnego planu tak, aby nikt z nich nie tylko nie wiedział, ale i przypadkiem nie wpadł na to, kto i dlaczego otrzymuje właśnie takie, a nie jakieś inne. Następnymi z kolei byli mieszańcy - hybrydy homockie, jak ich nazywano - wynik potajemnej miłości między Elohim i Homokami, i Homokami a Nefilim. Mniejsze znaczenie w hierarchii mieli wszyscy pozostali - hybrydy homockich hybryd - wynik potajemnego mieszania się wszystkich ze wszystkimi, lecz najniżej stał prosty *Homo Erektus*, prawowity mieszkaniec Ziemi, wynik naturalnej struktury sferycznej natury oraz jej bioinżynierii i genetyki. Czasami jednak Enlil odstępował od tej zasady wprowadzając jeszcze większy zamęt i potę- gując ich homocką nienawiść

do granic jej absolutnej wytrzymałości, świadomie poróżnił ich bowiem nie tylko wyglądem i kolorem skóry, ale przede wszystkim planem genetycznym i tak zwaną całką boskości, której każdy z nich posiadał inny poziom. Zredukował im w końcu DNA, planetę otoczył embargiem częstotliwości, a na dodatek pomieszał im ich języki w taki sposób, aby żadne porozumienie między nimi nie było możliwe. Jego plan poróżnienia Homoków między sobą dość szybko przyniósł oczekiwane rezultaty, a nawet prześcignął w krótkim czasie jego własne oczekiwania. Już po krótkim czasie nikt z Ziemian nie wiedział kto jest kim: niby wszyscy byli ludźmi, ale jednak nie całkiem - i lepsi i gorsi - wszyscy chcieli być teraz lepszymi. W ten oto prosty sposób Enlil wytrącił wszelkie pro człowiecze argumenty z rąk Enkiego. Tak w każdym bądź razie sądził. Mieszał jednak nadal i to nie tylko między Homokami, bo nienawiści i władzy spragniony był najbardziej. Mieszał więc też między Elohim tak, aby nikt z nich nie wiedział co się tam na Ziemi wyprawia i dlaczego. Jego najbliżsi pomocnicy szybko uczyli się potakiwania i wykonywania nawet najbardziej zbrodniczych rozkazów. Kto nie był bowiem zdolny do zbrodni, był nie tylko od razu odsuwany od władzy, lecz również likwidowany fizycznie. Była to selekcja szczególnego rodzaju, nikt bowiem z nich nie był patologicznym mordercą od urodzenia. Przechodzili drogę demoralizacji i degeneracji przeistaczającej ich wrodzoną dobroć i miłość w nieokiełzaną wręcz nienawiść, okrucieństwo i sadyzm, ich odwagę i entuzjazm w przerażający strach i demagogię, a ich wiedzę i wyrozumiałość w straszną głupotę, kołtuństwo i lekceważenie wszystkiego i wszędzie, znajdujące swoje uwieńczenie w codziennym terrorze na Ziemi. Najbliżsi Enlilowi Nefilim, byli pod wieloma względami do siebie podobni, ale jednocześnie też bardzo różnili się między sobą. Jedni z nich zdolni byli wykonać każdy, najokrutniejszy nawet i najbardziej niesłuszny rozkaz, uświadamiając sobie jego okrucieństwo lecz nie odczuwając w jego wykonaniu żadnej satysfakcji. Drudzy wciągali się stopniowo w zbrodnię stając się zdegenerowanymi do cna sadystami, którym okrutne orgie i znęcanie się nad ludźmi sprawiały prawdziwą przyjemność. Trzeci wykonywali swoją pracę z obojętnością robotów lub zawodowych oprawców, nie przeżywając żadnych emocji, ale nie wykazując też żadnych prywatnych inicjatyw. Inni przeistaczali się w fanatycznych dogmatyków, zmuszając się do szczerej wiary w to, że wszystko to co robią, jest potrzebne im samym, Braciom, ludziom, a nawet, lub może nawet przede wszystkim - świetlanej przyszłości. Nikt z nich nigdy nie był zdolny do jakiejkolwiek skruchy czy żalu. Większość z nich była po

prostu istotami słabymi, dobrowolnymi niewolnikami warunków i systemu - przemocy i reżimu - a ponadto psychicznie bardzo ograniczonymi i głupimi, żądnymi władzy, chciwymi i zazdrosnymi, nie zastanawiającymi się w ogóle nad swoimi postępkami i nie rozumiejącymi tak do końca sensu zachodzących zdarzeń, ani planów Enlila w szczególności. Uspokajali swoje sumienie, jeżeli go w ogóle posiadali, myśląc, że Enlil wie najlepiej. I mieli rację. Enlil był bowiem z nich wszystkich najbardziej przebiegły, najbardziej chciwy i najbardziej okrutny, wiedział więc rzeczywiście o wszystkim najlepiej. W końcu to był jego świat. Świat, w którym to właśnie on realizował tylko swoje osobiste pomysły, tylko swoje osobiste zamiary, i tylko swoje osobiste plany.

Aby osiągnąć lub nawet prześcignąć swój własny cel, jakim była całkowita ludzka degrengolada, Enlil wpadł na jeszcze jeden szatański pomysł: ociągając się strasznie i cedząc po mistrzowsku przekazywane ludziom informacje, wprowadził, ale tylko między potomków Ninhursag, których sam nazwał niebiesko krwistą arystokracją ludzkości, naukę - pierwsze najpoważniejsze boskie narzędzie kreacji świadomie udostępnione ludziom. I rzeczywiście: dość szybko dzieje się tak, jak to precyzyjnie Enlil zaplanował. Na początku powoli, powolutku, nieśmiało, i tylko niektórzy z nich, ale zaraz potem coraz szybciej i szybciej, i ich przytłaczająca większość zauważa, że odebrane od Bogów informacje, które sami w późniejszym procesie manipulacji nazwą prawdziwą wiedzą, a które stały się ich udziałem - niekoniecznie odpowiadające jakimkolwiek faktom lub/oraz tak zwanej prawdzie obiektywnej, najczęściej nie mające ani z faktami, ani z prawdą niczego wspólnego - mogą dać im nie tylko olbrzymie korzyści materialne łącznie z duchową satysfakcją czerpaną z podziwu dla ich osiągnięć, ale, i to może przede wszystkim - mogą dać im władzę. A władza, absolutną bezkarność oraz tak upragnione przez nich wszystkich poczucie uznania i wyższości. Pragną więc strasznie sięgnąć po nią, co też, dość szybko i czynią. Władza bowiem, jak im się wydaje, pozwoli uwolnić im się od strachu o przeżycie oraz od codziennej, ciężkiej, morderczej pracy umożliwiającej tu na Ziemi przeżycie im wszystkim. Uwolniwszy się jednak od strachu o przeżycie, popadają w jeszcze inną zależność: władza oparta na kłamstwie - w końcu stan ich wywyższenia nie jest stanem naturalnym, a ich wiedza żadną prawdziwą nauką, nie służy bowiem podtrzymywaniu życia w całej jego rozciągłości, ani tym samym - nam wszystkim - będąc tylko sprytnie spreparowanym, obcym poglądem,

miesza im tak strasznie w tych ich boskością wypełnionych głowach, że teraz zaczynają bać się już nie tylko samego przeżycia jako takiego, ale i odsłonięcia tego kłamstwa, oraz innych, nieprawdziwych ludzi, jako potencjalnych konkurentów i zagorzałych wrogów. Manipulując przeto i oszukując, szybciutko przerabiają swoją wiedzę, która nigdy nie miała zresztą jednoczyć - nie była bowiem dla wszystkich ludzi sztuką ani dostępną, ani też oczywistą - na sztukę jeszcze bardziej elitarną, strzeżoną przez jej wyznawców i praktyków jak przysłowiowego oczka w głowie wszelkimi dostępnymi im i możliwymi sposobami, łącznie z kłamstwem, wymuszeniem, szantażem, kradzieżą i morderstwem. Taki stan rzeczy doprowadza ich bezpośrednio do sytuacji, w której walka między nimi o społeczną pozycję oraz korzyści z niej płynące, a nie obopólne dobro, stają się ich celem głównym oraz głównym zajęciem. W międzyczasie też, większość z nich zapomina zupełnie o tym, kim tak naprawdę są, od dawna już bowiem utrzymują, że tylko oni będąc pośrednikami bożymi są prawdziwymi ludźmi, a wiedza ich, jedynym prawdziwym i jedynym dopuszczalnym sposobem poznania życia jako takiego. Życie, które będąc do tej pory niezaprzeczalnym i niepodzielnym Jednym, dla większości ludzi wszystkim i wszędzie - każdą nauką, każdą religią i każdą filozofią - ulega pod wpływem tej strasznej niepojętości całkowitemu rozpadowi dzieląc się na wiele mniejszych, wielce wyspecjalizowanych, i nawzajem się zwalczających odnóg. A ludzie, naznaczeni przez Bogów już od samego ich poczęcia nieuleczalną chorobą świadomości, popadają w jeszcze większy, wręcz całkowity obłęd i chaos: jedni z chęci wywyższenia się nad innymi, drudzy z chęci przywłaszczenia sobie wszelkiej władzy, zaszczytów i pieniędzy, trzeci z zazdrości i zawiści o to wszystko, czego nie mogli w żaden sposób pojąć ani zdobyć, a wszyscy oni razem czynią z życia tu na Ziemi istne piekło, tworząc z ludzkiego społeczeństwa bastion przepełnionych i ziejących nienawiścią, zawiścią i zazdrością żołnierzy, gotowych pozabijać się nawzajem za, i, o wszystko. W tej dziwnej i strasznej jednocześnie sytuacji, brat Jahwe, Enki-el, najprawdopodobniej na polecenie samych Sfer i Thenahå, jak podają niektóre źródła historyczne, lub z olbrzymiej niechęci do Enlil-ela, jak podają inne, potajemnie modyfikuje ludzki genom kreując nowych ludzi - Adapę i Titi, których potomkiem, gwoli ciekawości, 450 tysięcy lat później, zostanie JoshUa z Akady - niby takich samych, a jednak zupełnie innych, takich, którzy kochali ponad wszystko nie władzę, nie pieniądze i nie przemoc, ale normalne, spokojne życie i jego kontemplacyjne poznawanie, prawdziwą wiedzę, prawdziwą współ-

pracę, miłość, dobroć i braterstwo, godność i jakość, przekazując im swoją częściową wiedzę o wszechświecie, o siłach, o istotach, i ludziach. W oparciu o te dane, żyjąc do tego w zgodzie nie tylko ze swoim ziemskim, ale i sferycznym drogowskazem, ludzie ci dość szybko tworzą społeczeństwo odszczepieńców heretyków, dość szybko też powołują do życia drugą naukę, ukrytą, ponieważ muszą ją koniecznie przed Enlilem i jego wysublimowanymi wyznawcami, skutecznie ukrywać, oraz dlatego, że jej istota ma całkowicie odmienny od tej pierwszej, ukryty charakter - wewnętrzny, wypływający z wnętrza człowieka, z jego subiektywno intuicyjnej potrzeby kochania i dzielenia się. I to właśnie ją ci pierwsi nazwą w czasach dużo, dużo późniejszych - ezoteryczną, czyli taką, którą, i to głównie ze strachu o swoje już w między czasie zajęte i utrwalone pozycje oczywiście, okrzykną magią i diabelskimi sztuczkami, a jej zwolenników, heretyckimi czarownikami, których, i to we wszystkich późniejszych czasach, łącznie z dzisiejszymi, zwalczać będą z ogromnym poświęceniem i zaangażowaniem, paląc ich na stosach, gotując w rozpalonej smole, lub łamiąc po prostu kołami na oczach uradowanej z lejącej się krwi, gawiedzi. Do dzisiaj unicestwiono ponad 50 miliardów istnień ludzkich, a może nawet dużo, dużo więcej, ludzi najodważniejszych, najinteligentniejszych i najmądrzejszych ze wszystkich, jacy kiedykolwiek żyli tu na Ziemi. Ich wiedza przepadła wraz z nimi raz na zawsze. Na szczęście jednak człowiek nie jest Bogiem, a życie, którym jest, niechętnie poddaje się jakiejkolwiek obróbce. W szczególności obróbce ludzkiej: każdego człowieka można zabić, a jego wiedzę zniszczyć, życia jako takiego jednak człowiek zniszczyć na szczęście jeszcze nie potrafi, choć ostatnio uczynił wielki krok w tym kierunku. Ludzka ciekawość oraz nasza sferyczna potrzeba poznawania, kochania i pomagania, tworzenia i dzielenia się, odradza się w nas zawsze na nowo: tak zaprogramowała naszą energię Thenahå, a jej zdolność do zapamiętywania informacji oraz umiejętność ich przenoszenia, właśnie poprzez rezonans, czyni nas na szczęście niezniszczalnymi, choć z pewnością bardzo delikatnymi istotami. I choć niszczeni jesteśmy zawsze na nowo przemocą, strachem i nienawiścią, zazdrością, kołtuństwem i zawiścią, które również bez wytchnienia wciąż w niektórych z nas, i to niestety z coraz większą siłą się tu odradzają, dzieląc nas, niszcząc i zabijając, istnieje nadzieja, że świat psycho emocjonalno fizyczny, to takie nieskończone i niekończące się, samo się napędzające dwu trzy biegunowe perpetuum mobile, w którym prawo dobrego rezonansu jest podstawowym prawem, i jako takie da nam być może szansę przetrwania

mimo wszystko. I to właśnie w nim upatruję rzeczy prawie niemożliwej, a jednak zawsze, i to wszędzie tu na Ziemi między nami obecnej: ciągłej manifestacji wszelako pojętej, niczym nieograniczonej dobrej Możliwości, do której emanacji ja sam należę, i do emanacji której należycie być może po części też i wy wszyscy.

To samo jeszcze raz, ale tym razem, w tabelarycznym, czasowym skrócie:

445 000 prz. Jo. Nefilim pod dowództwem Enki przybywają na Ziemię. Enridu - Ziemska Baza I - zostaje założone w południowej Mezopotamii.

430 000 prz. Jo. Wielka pokrywa lodowa zaczyna się cofać. Klimat na Bliskim wschodzie staje się bardziej sprzyjający.

415 000 prz. Jo. Enki rusza w głąb kraju. Zakłada Larsę.

400 000 prz. Jo. Wielka epoka międzylodowcowa obejmuje cały glob. Na Ziemię przybywa Enlil, zakłada Nippur jako centrum dowodzenia. Enki ustala szlaki morskie do Afryki południowej, organizuje prace przy eksploatacji złóż złota.

360 000 prz. Jo. Nefilim zakładają Bad - Tibirę jako swoje centrum metalurgiczne, miejsce wytapiania i rafinowania metali. Budowane jest Sippar, port kosmiczny, i inne miasta bogów.

300 000 prz. Jo. Bunt Anuakich. Adamu - pierwszy ziemski człowiek - prymitywny robotnik - zostaje ukształtowany przez Enkiego i Ninhursag.

250 000 prz. Jo. Wczesny Homo sapiens mnoży się, rozprzestrzenia na inne kontynenty.

200 000 prz. Jo. Życie na Ziemi znajduje się w regresji podczas nowego okresu zlodowacenia.

100 000 prz. Jo. Klimat ponownie się ociepla. Synowie bogów biorą córki ludzkie za żony.

77 000 prz. Jo. Ubartutu/Lamach, człowiek z boskiego rodu,

obejmuje władzę nad Szuruppak pod patronatem Ninhursag.

75 000 prz. Jo. Czas przeklęcia Ziemi - Nowa epoka lodowa. Migracje zwyrodniałych form człowieka.

49 000 prz. Jo. Zaczyna się panowanie Zisiudry (Noego), wiernego, ziemskiego syna Enkiego.

38 000 prz. Jo. Zaczyna się okres ostrego klimatu (siedem przejść) dziesiątkującego ludzkość. Znika europejski neandertalczyk; tylko człowiek z Cro-Magnon (osiadły na Bliskim Wschodzie) przechodzi zwycięsko próbę przetrwania. Enlil, rozczarowany ludzkością, usiłuje ją wytępić.

13 000 prz. Jo. Nefilim świadomi nadejścia fali przypływu wyzwolonej zbliżeniem się Trzynastej Planety, przyrzekają wydać ludzkość na pastwę żywiołu.

11 600 prz. Jo. Potop spłukuje Ziemię kończąc nagle epokę lodowcową.

2 204 prz. Jo. Ponowna zagłada świata ludzkiego przez Elohim.

524 prz. Jo. Opuszczenie Ziemi.

0 Rodzi się JoshUa z Akady z rodu Adapy i Titi, pra-pra-pra-pra…prawnuczka Enkiego.

I tu won Wścibowi opadła głowa, a książka sama wysunęła mu się z dłoni. I za nim profesor się obejrzał, chrapał już sobie słodko, a zadziwiająca wirtualna rzeczywistość wypełniła mu cały umysł zdarzeniami tak fantastycznymi, że nawet w molekularnej, pozytronowej rzeczywistości jego Departamentu Odnowy i Modelingu, którego profesor był nie tylko jedynym zarządcą i kontrolerem, ale i jedynym wirtuozem jednocześnie, nie dałoby się jej ot tak po prostu wykreować, bowiem w mózgu won Wściba pojawiła się nagle Trzynasta Planeta, a na niej Najwyższe Zgromadzenie Anuakich, i to w chwili, w której Enlil-el rozpoczynał właśnie swoją diabelską tyradę.

I to właśnie to, jest takie straszne. Wręcz przerażające. - Ciężkie myśli przewalały się przez mózg Enlila niczym olbrzymie, spienione fale po wzburzonym oceanie. - Dlatego należy natychmiast zgładzić wszystkie Mięśniaki, a Enkiego odsunąć od władzy. Należy, i to bezzwłocznie, wymazać ten ich kurewski program z Planu Sferycznego Życia, i to raz na zawsze. Plany Enkiego natomiast, zmierzające do zmodyfikowania raz jeszcze ich pojebanych ziemskością genów, otwierające im tym samym z jednej strony możliwość lepszego pojmowania i szybszego uczenia się, co mogłoby zwiększyć prawdopodobieństwo wielorakiej ich nam przydatności, tak jak to miało być pierwotnie, z drugiej zaś, szpecące ich troszeczkę tak, aby Bracia nie tracili swych mądrych głów i nie latali za każdą ziemską kobietką jak psy za swoimi sukami, co doprowadzić mogłoby znacznie szybciej niż przypuszcza Enki do prawdziwego rozłamu między nami, wyzwalając w nas nie tylko nieznany nam wcześniej potencjał miłości i pożądania, ale i zazdrości i nienawiści, były i są moim zdaniem planami nie do przyjęcia. Homoki miały już dość możliwości, aby się sprawdzić. Ale się nie sprawdziły. Okazały się istotami słabymi, niezdolnymi do czegokolwiek poza samolubnym uwielbieniem siebie samych i tej ich upiornej, chciwej głupoty, oraz żądzy władzy, a przy tym, co jest moim zdaniem całkowitą porażką Enkiego i sprawą w tym wszystkim najważniejszą, nie posiadły żadnej możliwości wglądu, tym samym żadnej możliwości przyswojenia sobie jakiejkolwiek obiektywnej wiedzy. Żadnych prawdziwych umiejętności, oraz żadnej możliwości prawdziwego współodczuwania.

Po mistrzowsku maskując niepokój wywołany kłębami splątanych myśli, Enlil podchodził właśnie majestatycznie do mównicy: - Z jednej strony temat jest na tyle poważny, że powinienem traktować go poważnie. Z drugiej jednak, całkowita zagłada człowieka, tej nieudanej kreatury, nieświadomej niczego rury trawiącej, drapieżnej i łagodnej jednocześnie istoty łączącej w sobie cechy węża, tygrysa, zająca i żaby, istoty stanowiącej potencjalne zagrożenie nie tylko dla siebie samej i dla wszystkich istot ziemskich, ale przede wszystkim dla całego naszego świata, wymaga moim zdaniem odrobiny samoironii i czarnego humoru. Obawiam się, że ciężaru tej strasznej po-

wagi nikt nie będzie chciał znieść, lub też, że nikt jej wręcz nie wytrzyma. Mój brat Enki ma moim zdaniem dużo łatwiejsze zadanie. Głosząc pochwałę ludzkiego życia wypełnionego pięknem, miłością i dobrocią, nie ma żadnych problemów. Bracia słuchają go bardzo chętnie, bo zawsze bardzo chętnie słuchają o miłości i dobroci. I pięknie ludzkich kobiet. Co innego ja: mówić im samą czystą prawdę o istotach przez nas stworzonych bez ogródek, przemilczeń i metafor, po prostu przekazywać im kwintesencję czystego bezsensu ludzkiego istnienia tak jak go czuję, postrzegam, doświadczam i pojmuję, jest dla mnie trudną misją, której podjąłem się jednak tym chętniej, im nie chętniej spoglądam coraz częściej na mojego brata Enkiego i jego zauroczenie człowiekiem. Gdyby jednak nie wsparcie owej tajemniczej Mocy rozpiętej od niepamiętnych czasów nad Ziemią i jej rodzajem, i moje nią zauroczenie, nigdy nie dostrzegłbym prawdy, nigdy bym też pewnie jej nie poczuł, ani też nie pojął. - Ale ktoś w końcu musi przecież im wszystkim to wszystko powiedzieć, musi też to wszystko jakoś zaplanować, i jakoś też to przeprowadzić.

- Na Anu, jakże ja ich nienawidzę! Nienawidzę tej pokracznej, łysej małpy zamieszkującej ziemię, której też z resztą wyjątkowo nienawidzę, a w której cichaczem podkochują się prawie wszyscy, co doprowadza mnie do jeszcze większego, strasznego wręcz szału. Istota ta, a i ta cała pojebana planeta, zasługują jedynie na natychmiastową, i to całkowitą, zagładę. Lecz w Mięśniakach jest też i coś takiego, co muszę przyznać, pomimo mojej wielkiej do nich pogardy, nawet mnie w nich zachwyca: ta słodka memu sercu nienawiść i skłonność do przemocy. Zawiść, pycha i chciwość. To, że w większości, są one dla siebie nawzajem tak bardzo wstrętne, tak bardzo niedobre i tak bardzo okrutne. To, że wyzyskują się, szantażują, torturują i zabijają ot tak, po prostu, jakby nie stanowiło to najmniejszego problemu dla żadnego z nich, wręcz, jakby było to ich największą życiową pasją i ich największą życiową przygodą. Pomimo jednak tego ich nadgorliwego, jak przypuszczam, zafascynowania zbrodnią i złem, i tego, że kocham Mirimmę najbardziej ze wszystkiego we wszechświecie, a może to właśnie dlatego, że ją tak bardzo kocham, postanowiłem ich wszystkich zgładzić. I to raz na zawsze. I jak najszybciej. W końcu, to ja decyduję o wszystkim. I to wszędzie! Prawdziwa władza zawsze działa z ukrycia - maksymę tę noszę w moim sercu dobrze ukrytą, jest ona zawsze w nim jednak obecna i zawsze w nim żywa. Oficjalnie wszystko wygląda tak, jakbym to nie ja sam osobiście, lecz Enki, o wszystkim tam na Ziemi decydował, jakby to

nie moje zbrodnicze plany i barbarzyńskie zamiary, a wypełnione miłością i dobrocią plany Enkiego, miały się właśnie tam wśród tych wstrętnych i głupich Mięśniaków urzeczywistnić. Lecz tak właśnie jest dobrze. A nawet bardzo. I to właśnie ten wyjątkowy stan napawa mnie i wypełnia codziennie prawdziwą dumą, prawdziwą radością i ufnością. - Myśli Enlila zatrzymały się, a on sam wpatrzył się niewidzącym wzrokiem w hologram, i w to, co przez ostatnie lata stworzył.

Wchodząc powoli na mównicę wiedział już bardzo dokładnie, jak ma im to wszystkim przekazać. Z góry rozejrzał się jeszcze uważnie po Sali Zgromadzeń tak, jak by coś sobie nagle przypomniał, podniósł ręce i naraz błogosławił wszystkich. Wywołał tym niemałą wrzawę wśród zgromadzenia, czyn ten bowiem zarezerwowany był wyłącznie dla Enkiego. On nie robił tego nigdy. Lecz dzisiaj był wyjątkowy dzień i Enlil postanowił działać wyjątkowo. A teraz błogosławił też i siebie. Gdy zapadła całkowita cisza, zaczął jak gdyby nigdy nic: - Tak jak i przed wiekami, tak i dzisiaj, życie Mięśniaków nie ma dla nas, ani dla nikogo innego, żadnej wartości, poza możliwością wykorzystania ich dla naszych potrzeb - i to jedynie jako naszych niewolników. Jednak, jeżeli Mięśniaki nadając się znakomicie do tej roli, gotowe są pozabijać się nawzajem za wszystko: za każde pieniądze, za każdą rzecz i za każdą ideę, to myślę, że już niedługo będą również gotowe pozabijać i nas. Chęć przeżycia w wygodzie - dobrobycie i spokoju - czyni z nich dzisiaj najdrapieżniejsze istoty w naszym układzie słonecznym. Do tego ta ich wrodzona niechęć uczenia się czegokolwiek i wyciągania wniosków, powoduje ciągłe zagrożenie dla całego ziemskiego ekosystemu, a i dla nas samych oczywiście: tak bowiem jak drożdże w gąsiorze wina zabijają się swoimi własnymi alkoholowymi odchodami, tak i oni mogą pozabijać i nas swoimi. Zanotowałem już nawet trzy przypadki zgonów między... - Jego głos zawisł nad zebranymi jak ciężki i ostry topór nad delikatną i ciągle jeszcze żywą szyją skazańca. - Między czuwającymi Malachim! - Po krótkiej przerwie wywołanej wrzawą na sali Zgromadzenia, Enlil kontynuował. - Pozbawione możliwości myślenia i przewidywania, planowania i zarządzania, tworzą społeczeństwo oparte na niewolnictwie i wyzysku jednych przez drugich. Są przez to istotami niezdolnymi do tego, do czego sami się za zdolnych uważają: do poznania siebie samych, a przez to, do tworzenia, organizacji i współzarządzania nie tylko całą ich wspólnotą, ale przede wszystkim, całą wspólnotą wszystkich istot tam na Ziemi. Tak się jednak składa, jak

wiecie, że istnieje taka możliwość, aby tam gdzie istnieją zwycięzcy, nie było żadnych zwyciężonych. A jest nią przecież nasza LUDZKA świadoma wspólnota oparta na *Infiniteė* - naszej współpracy i naszym braterstwie. Na naszym umiłowaniu prawdy, honoru i wolności. I jakości. Na naszej świadomości i samodzielności. Na naszej wiedzy i odpowiedzialności. W większości jednak Mięśniaki nie chcą tej możliwości poznać, ani jej po poznaniu zaakceptować. Boją się o swoje zwycięstwo. Boją się o wszystko. Bo jakby to wszystko wyglądało, gdyby nie mieli z kim walczyć?! I gdyby nikt z nimi nie przegrał?! I co by powiedzieli znajomi?! I kto, i na kogo wtenczas by pracował?! Mięśniak torturuje innego Mięśniaka, katuje go i zabija, bo to sprawia mu przyjemność. Bo to czyni go ostatecznym i jedynym zwycięzcą. Panem wszystkiego: i życia i śmierci. Mięśniak torturuje innego Mięśniaka, katuje go i zabija, bo mu również zazdrości. Bo traktuje go jako swojego konkurenta, z którym nie chce się niczym dzielić, a z którym dzielić się musi. Zabija go więc i już. Jako zwycięzca nie musi się już z nikim, i niczym dzielić. Nie ma też już komu zazdrościć. Ale czy rzeczywiście...?! - Enlil popatrzył znacząco po Braciach. - Ja was się dzisiaj pytam: Kiedy waszym zdaniem wyciągną oni swoje ręce i po nas?! - A widząc ich niekłamane przerażenie, krzyknął: - I odpowiadam: Jeżeli nie dzisiaj, to być może już jutro! - Aby po krótkiej przerwie spokojniej już kontynuować. - Pokażę wam teraz symulacje przeprowadzone na najnowszym sprzęcie. Symulacje rozwoju wydarzeń. - Na sali zapanowała grobowa cisza. - Zobaczycie to, do czego zdolny jest mój brat Enki. - Enlil cedził słowa nadając im odpowiedni ciężar wagowy. - I jak strasznego wysiłku wymagać będzie od nas wszystkich, zapanowanie nad tą całą sytuacją, jeżeli w ogóle uda nam się nad nią jakoś zapanować. - Enlil podniósł głos. - Patrzcie więc i słuchajcie uważnie, abyście w dzisiejszym głosowaniu mogli podjąć odpowiednie decyzje. Właściwe i jedynie słuszne. Patrzcie i słuchajcie więc!

Na wielkim podium pojawił się naraz człowieko kształtny Mięśniak. Jego wygląd był tak absurdalny i tak nie pasujący do powagi sytuacji, że wywołał mimowolną salwę śmiechu nawet wśród najpoważniejszych Braci. Nawet Pan Wszystkiego parsknął jak koń niepohamowanym chichotem. Mięśniak ów był mały, gruby, i do tego garbaty, w kraciastym garniturze i olbrzymim zielonym berecie na głowie odcinającym się przeraźliwie od jego czekoladowej twarzy. Po chwilowej i dość dobrze widocznej, bo wcale nieukrywanej, wewnętrznej walce, w której jego niezdecydowanie wyraźnie wzięło górę nad całą

jego resztą, zaczął dość poważnie: - Mięśniak. Pięć palców, pięć zmysłów, cztery kończyny i dwoje oczu. Otwór rozrodczy, wydalający i wchłaniający. Jeden mózg. I jedna nazwa: *Homo bipedus, sapiens, loguens*. I tu, nagle, Mięśniak ściągnął z głowy beret, spod którego wysypały się długie, puszyste, lśniące, kasztanowe włosy. - Przez salę przeleciało westchnienie. - Prawie każdy opisujący cokolwiek CZŁOWIEK - opisujący inną istotę, opisujący siebie samego lub świat, w którym wszyscy żyjecie - musi opierać się na jakichś danych, na jakichś informacjach, na swojej lub obcej wierze, na swojej, lub obcej nadziei, na czymkolwiek, co jest mu dostępne i co on sam w tym właśnie momencie uważa za ważne. A co jest mu dostępne i co uważać może za ważne?! Co większości z was jest w ogóle dostępne?! Czy dysponujecie jakimiś nowymi pomysłami, nowymi ideami, czy jakimkolwiek innym Nowym?! Czy poza mieszaniem starego i przyoblekaniem go wciąż i wciąż i wciąż od nowa w nowe szaty, możecie uczynić cokolwiek?! Czy poza imponowaniem innym waszą pozorną wnikliwością i pozorną wiedzą, waszą wyuczoną elokwencją i wymałpowaną retoryką, oraz najzajadlejszą obroną już raz zajętych stanowisk i wszystkich tych korzyści z nich płynących, możecie lub zechcecie uczynić cokolwiek?! - Teraz Mięśniak ściągnął gwałtownie kraciastą marynarę, spod której wyłoniły się obłe i dość kuso przywdziane, doskonałe w każdym calu, kształty kobiece. Sala zafalowała: Teraz nie było to już westchnienie lecz grzmot. - Czy współczesny CZŁOWIEK może cokolwiek innego uczynić, poza rozpaczliwą walką o przeżycie w tym absolutnie obcym mu międzyludzkim świecie, który go tam na Ziemi otacza?! A jeżeli może, to dlaczego tego nie czyni?! Czy to nie jest dla niego w ogóle ważne?! I co dla większości z was jest ważne?! Czy najważniejsze dla was wszystkich nie jest przypadkiem nie tylko podziwianie moich kształtów, ale i dotykanie mnie, i pieszczenie?! - I tu kobieta stojąca przed zgromadzeniem wyprostowała się i przeciągnęła jak kot, jednocześnie lubieżnie spojrzała po wszystkich. - I co, podobam się wam?! - Znowu się przeciągnęła, i jeszcze raz, i jeszcze… Aby naraz zrzucić z siebie opinający ją kostium. Najbliżej siedzący Bracia zerwali się i próbowali się właśnie wedrzeć na scenę, gdy ona słodko się uśmiechając, śmiejąc się i prężąc, wyciągnęła ręce w kierunku Enlila i: - Pieprz mnie mój słodki królewiczu! - Krzyknęła. I teraz dopiero Enlil rozpoznał w niej Mirimmę. Wstał. Usiadł, i ponownie wstał. Znowu usiadł, potem zerwał się jak rażony piorunem, chciał coś wrzasnąć, rozkazać coś, ale głos uwiązł mu w gardle. Podniósł swoje wielkie dłonie ku swojej genetycznie odmłodzonej twarzy i w niedowierzaniu wielkim, wielkim

pomieszaniu i wielkiej wściekłości złapał się za swoją wielką, łysą głowę... - O kurwa... Mirimma?! - Wyszeptał, wycharczał, wykrztusił, ale właściwie to mu się tylko tak nieświadomie lub wprost mimowolnie wyrwało, bo przecież Enlil-el należał do ortodoksyjnej kasty królewskiej, nie mógł więc świadomie zrobić czegoś tak wstrętnego... Opadł więc ponownie na fotel, aby prawie natychmiast zerwać się z powrotem. - Kurwa!!!! Kurwa!!!!! Kurwa!!!! - Wrzasnął wściekle charcząc i rzucając się na oślep przed siebie. Przeskakiwał rzędy foteli i przedzierał się przez wezbrany tłum powstrzymujących go bezskutecznie współbraci, co najmniej jak jakiś nadludzki gladiator lub przeraźliwy wojownik samych sfer. - Zabić?! Zniszczyć?! Zetrzeć?! To wszystko za mało!!! Mięśniaka trzeba unicestwić!!! I to raz na zawsze!!! - W tym samym dosłownie momencie Mirimma przepadła gdzieś w zakamarkach wirtualnej rzeczywistości, a Enlil stanął przed Zgromadzeniem. - Człowieka trzeba zgładzić, zabić, zniszczyć, zetrzeć i wymazać!!! A Enkiego odsunąć!!! - Władca Trzynastej Planety, Pan Wszystkiego nie wytrzymał. - Enlilu, synu mój... - Zaczął. - Siadaj!! - Wrzasnął na to Enlil. - Nie powstrzymasz mnie już!!! Ani ty, ani żadna inna siła!!! Siadaj i słuchaj!!! Teraz będziecie mnie wreszcie słuchać jak należy!!! I nikt mi nie przerwie!!! I nikt nie powie - wariat!!! Mięśniaka trzeba unicestwić, a decyzję w tej sprawie podejmiecie natychmiast, jak tylko skończę!!! Słuchajcie więc!!! I nie próbujcie żadnych sztuczek!!!

- Mięśniak miał już dość możliwości, aby się sprawdzić. - Enlil nie mówił już, lecz wykrzykiwał swoją kwestię wściekle charcząc. - Ale się nie sprawdził. Okazał się istotą niezdolną do czegokolwiek poza uwielbianiem siebie samego i swojej idiotycznej nieomylności. Nienawidzę mięśniaka. Nienawidzę tej porywczej, mściwej i chciwej istoty, w której cichaczem podkochujecie się prawie wszyscy. Przez ostatnie lata namęczyłem się nie lada aby zrobić z człowieka coś sensownego, lecz jak już to wiecie, nic z tego nie wyszło, bowiem wszystko popsuł nam Enki! Stworzył przez te tysiąclecia tyle ich rodzajów, że nawet ja nie mogłem sobie z nimi wszystkimi poradzić! Pozwólcie więc, że przedstawię wam teraz pokrótce sedno moich dociekań - krótką charakterystykę rodzajów w ziemskim gatunku. Abyście lepiej mogli zrozumieć moje wywody, posłużę się w nich naszym piętnastoramiennym eneagramem świadomości, oraz holograficznym filmem. Patrzcie i słuchajcie uważnie nie zapominając o tym, że wszyscy oni tam na Ziemi, bez względu na to jak wam się to w danym momencie jawi, zasługują tylko i wyłącznie na natych-

miastową zagładę. I na nic więcej. I że to wszystko, to tylko nic nie warta produkcja mojego brata Enkiego i jego żony Ninhursag. - Tu Enlil wymownie spojrzał na swoją siostrę i równie wymownie jej się ukłonił. Po małej przerwie, w której jego pomocnicy przygotowywali olbrzymi piętnastoramienny eneagram i film dokumentalny, rozpoczął zwięzły referat zaczynając od 19° stopnia świadomości. Dla urozmaicenia i przyciągnięcia uwagi Braci do tego o czym miał teraz mówić, lub z innych przyczyn tylko jemu samemu znanych, zabierając głos Enlil przeistoczył się w postać młodego, dostojnego jednak, wyfraczonego jegomościa z grubym cygarem w dłoni, który wypuszczając wielkie kłęby dymu cedził przez zęby:

- 11.87.6. Gapik, czyli typ ganotypa. Prosta maszyna przetrwania. *Survival machines*. 19° świadomości. Dwadzieścia palców, cztery kończyny, jeden mózg, jeden żołądek, jedno serce i ciągle ta sama nazwa. Zbiór przypadkowych genów tworzących przypadkowe ciało przypadkowej istoty. Na przypadkowej planecie przypadkowej galaktyki i w przypadkowym wszechświecie. Konieczność pierwotnego zegarmistrza zastąpiona mechaniką genową, a czas odwróconą przyczyną, w której nikt, nic, i nigdzie, nie potrzebuje żadnej intencji twórczej. Dzięki jakiemuś tajemniczemu związkowi przyczynowemu, to właśnie gen, i to działający w odwrotnym od normalnego kierunku, spowodował narodziny wszystkiego i wszędzie. Tak oto prosty gen dał ludziom możliwość wyboru pomiędzy Bogiem osobowym, intymnym i bliskim, lecz pozbawionym wszelkiej wszechwładzy, a Bogiem wszechmocnym, lecz bezosobowym i dalekim. Czas, który z jakiegoś nikomu bliżej nieznanego powodu stał się dla ludzi elastyczny, pozbawił nas wszelkiej władzy na Ziemi. Nie możemy być już ich Bogami, bo to nie my, lecz oni sami stworzyli wszystko. - Naraz, pomimo tego, iż wygląd Enlila został ten sam, zmienił się jednak jego wiek i drastycznie charakter przekazu: - Podobnie zresztą co i NaMaKo, choć, w stosunku do Gapika, to już 15° świadomości. Istota stworzona przez ewolucję, przez przypadkowe, bezsensowne połączenie wielu miliardów komórek, nie posiadających ani celu, ani kierunku. Połączenie to, jak się już pewnie domyślacie, nastąpiło zupełnie przypadkowo, nie stały za nim żadne siły, żaden nadrzędny cel, czy jakikolwiek wytyczony kierunek. Ot tak, po prostu, przeróżne komórki przeróżnych organizmów pływających w tzw. bulionie pierwotnym, nagle, bez jakiegokolwiek widocznego impulsu, zaczęły łączyć się w większy organizm, a, że były to organizmy pasożytnicze, czyli takie, jakie normalnie na co dzień się nawzajem zjadają, posta-

nowiły tym razem nie zjadać się, ale utworzyć kolonię symbiotyczną, i tak powstał mięśniak człowiek, i to do tego jeszcze rozumny! Bliski kuzyn małpy, z tym, że zupełnie łysy. Wśród bliskich sobie nie posiadający żadnej wartości, w przeciwieństwie do przedmiotów przez niego samego posiadanych, łącznie z pieniędzmi, które uważa za dobro najwyższe, i za najwyższą z najwyższych wartość. Za pieniądze gotów zatem do wszystkiego: do zabijania nie tylko innych, ale i siebie samego. Do kontrolowania, wyzyskiwania, zatruwania, manipulowania, torturowania wszystkich organizmów żywych, łącznie ze sobą samym, a przez to znienawidzony nie tylko przez współplemieńców, ale i przez wszystkie inne istoty żywe, dzielące z nim tę planetę, oraz być może (?!), przez wszystkie inne istoty żywe, zamieszkujące inne planety, i inne wymiary.

Bracia byli pod wrażeniem. Nawet Anu, wszechmocny Pan Wszystkiego, kręcąc z niedowierzaniem swoja łysą głową, jakoś posmutniał. Enlil, widząc to wszystko, wykrzyknął z podwójnym zapałem: - Hasik. 10° świadomości. Wygląd ten sam, mowa ta sama, to samo życie i to samo dla nas zagrożenie. Zadufany w swojej nieomylnej wielkości, rodzaj bezmyślnego psychotronicznego biorobota, samobieżna rura trawiąca. Istota drapieżna i agresywna, głupia i bezmyślna: świat postrzegany poprzez wrzask zabijanych, krew i swąd pieczonych trupów. Istota wyjątkowo głupia i próżna. Idealnie nadająca się na niewolnika lub mięso armatnie. Bezwolna, podległa wszelkiej manipulacji, zawistna i zazdrosna. Żądna władzy i pieniędzy. Pozbawiona wyobraźni, intuicji i czystej wiedzy. Całkowicie nieświadoma. Nie znająca ani siebie, ani otaczającego ją zewsząd świata. Żadne argumenty nie są dla niej dobre, a żadne dowody wystarczająco przekonywujące. Nawet cudowne traktuje z pogardą niewiary. Znane i codzienne, przynależne większości, uważa za swoje własne. Niechętna czystej wiedzy duchowej, i jakimkolwiek zmianom. Przedstawicielka zdegenerowanego gatunku żyjącego od wieków w absurdalnych warunkach opartych na absurdalnej organizacji własnego społeczeństwa: na zakazach i nakazach, wojnach w imię pokoju, i wojnach w imię miłości, obozach pracy, obozach koncentracyjnych, rasizmie, zatruwaniu rzek, powietrza i pożywienia, wycinaniu lasów, usypywaniu usypisk śmieci, produkowaniu bomb atomowych i bomb neutronowych, oraz przekonaniu, że ta cała spuścizna, to najwspanialsze cechy wrodzonej jej unikalności i wyjątkowości, nieomylności i wiedzy, które zawsze posiadała. - I tu Enlil przeistoczył się w mgnieniu oka w ojca świętego Klemensa III,

jedynego prawdziwego przedstawiciela, jedynego prawdziwego Boga na Ziemi. Mówił też biegle nie tylko jego głosem, ale i jego językiem: Relidzik, czyli ten, który wierzy i broni żarłocznie swojej religii. 9° świadomości. Istota stworzona przez, i na podobieństwo boskie, nikomu jednak osobiście bliżej nieznanego Boga, upadła jednak, grzeszna i niewiele warta. Powód bratobójczych wojen pełnych pychy, nieomylności i nienawiści, w których wybrańcy to stado bożych dzieci, cała reszta to pomiot diabła, przy czym również nikomu bliżej nieznanego. Ci pierwsi, w imię boże, mieczem i ogniem nawracają tych drugich na drogę Miłości i Dobroci, albo ci drudzy, z żądzy odwetu i zadośćuczynienia poniesionych krzywd, mordują tych pierwszych w równie brutalny sposób, nie oszczędzając ani kobiet, ani dzieci. Istota całkowicie nieświadoma, całkowicie zmechanizowana i całkowicie zależna, jednocześnie chytra, mściwa, i nienawistna. Powód hierarchizacji i podziału społeczeństwa na wybranych i wybrańców, na normalnych i normalniejszych. Ze względu na swoją wyjątkowo niepoczytalną brutalność potencjalne zagrożenie dla całego naszego świata. - Przez salę przeleciało ciche westchnienie. Bracia poruszyli się, wyraźnie chcieli coś zrobić, lecz Enlil nie dał im czasu do namysłu, bowiem dosłownie w tej samej chwili miliony pikseli ułożyły się na ekranie w jedno, jedyne słowo: BioWin, 7° świadomości. - Nazwa ta sama. Mózg ten sam i pożywienie. Istota będąca wynikiem programu realizowanego na Ziemi przez istoty jej samej całkowicie obce i nieznane. Biorobot, biokomputer. Cybernetyczna, nieświadoma niczego biomaszyna. Sterowana z zewnątrz przez wewnątrz, i z wewnątrz przez zewnątrz niepojętymi dla siebie samej samolubnymi genami. Zależna i zmechanizowana. Automatyczna antena lub cała, samopowielająca się stacja nadawczo odbiorcza. Rodzaj świadomego lub/oraz nieświadomego siebie samego software, tworzącego sobie samemu, swoje własne i równie nieświadome hardware. Samorozmanżajaca się biosonda, lub biozabawka. Holograficzna materializacja pierwotnej myśli twórczej. Z jakiegoś powodu jednak, absolutnie niczego nieświadoma! Niby należąca do ziemskiej rodziny, jednocześnie jednak zdecydowanie odstająca od całej reszty. Złośliwa, zawistna i nienawistna. Rozpięta jak gdyby na parysile, czyli pomiędzy dwoma przeciwieństwami, które jednocześnie stały się jej domeną. Kochająca i nienawidząca. Przygarniająca i odrzucająca. Rodząca i zabijająca. Niepotrafiąca uczynić czegokolwiek, aby to zmienić. Często lubująca się w tej nieumiejętności, lecz równie często jej nienawidząca.

- Polek natomiast, to człowiek pola. 4° Świadomości. W idei tej łatwiej jest opisać go tym, czym nie jest, niż tym, co widzimy. A nie jest on ani Nadmałpą kowalską, ani ciałem, ani ziemianinem, ani hybrydą, ani ideą, ani niczym co posiada. To już nie Mięśniak. To Człowiek. To indywidualna istota boska, nazwana przez Rona polem B, zakotwiczona w fizycznym ciele na stałe, lub/oraz obsługująca jednocześnie wiele ciał i to niekoniecznie dobrowolnie, a często, lub nawet zawsze, pod przymusem. Ciało fizyczne w idei tej nie musi być tego samego boskiego pochodzenia, może być boskim przeciwieństwem, dzieckiem diabła, ślepą wieżą, lub krzyżem ukrzyżowanego Chrystusa. Ale nie musi. Równie dobrze może być tylko trójwymiarową sondą badającą ten trójwymiarowy świat oraz doświadczającą jego zagęszczenia, nazwanego potocznie przez nią samą, materią. Istota o tyle boska, o ile posiadająca, w porównaniu do jej trójwymiarowej sądy, wręcz nieograniczone możliwości, przyrównywane w potocznym znaczeniu temu, kto ich stworzył. Przy założeniu jednak, że to oni sami siebie stworzyli, to nie my, lecz oni sami, posiadają je wszystkie. - I tu Pan wszystkiego podniósł się nagle rozkładając swoje przydługie ręce na boki. Wyraźnie chciał coś powiedzieć, lecz Enlil nie dopuścił go do głosu, krzycząc: - Siadaj!!! Jeszcze nie skończyłem. - I zaraz: - A teraz wyobraźcie sobie, że nie ma już nic. Ani niczego. Idea nie zawierająca żadnych innych idei, nie zawierająca niczego, lub raczej wszystko i wszędzie. W idei tej to już nie poglądy i wyobrażenia odgrywają ich odwieczne role, lecz jedynie i wyłącznie same suche fakty. Idea, w której ludzie na polu subsubsubatomowym, są Panami Wszystkiego, czyli wszystkim i wszędzie jednocześnie. To oni opływają, powodują, i powołują proces, zwany powszechnie Procesem Życia. To oni nim kierują i nim zarządzają. Nie różnią się przeto niczym ani od swoich stwórców, ani od stwórców tychże stwórców, ani od Stwórcy wszystkich Stwórców! Ani od...

- Głosujmy więc!!! - Pan Wszystkiego podniósł się ponownie ze swojego miejsca przerywając tym razem jednak brutalnie mówiącemu Enlilowi. - Głosujmy więc!!! - Powtórzył. - Głosujmy....? - Zaskoczony Enlil przerwał w pół zdania. - Głosujmy!!! - Krzyknął zachwycony. Na sali obrad pałacu królewskiego trzynastej planety trzydziestego czwartego układu słonecznego przygasły światła ukazując prawie natychmiast na ekranie wynik głosowania. Pomimo tego, a może właśnie dlatego, że w głosowaniu nie wszyscy brali udział, i że było wielu takich, którzy wstrzymali się od głosu, wynikiem były dwa straszne słowa oznaczające bezapelacyjną zagładę gatunku Mię-

śniaka Sapiensa, bipedusa longuesa na błękitnej planecie zwanej przez wszystkich Ziemią. Tylko, a może, aż dwa słowa kończące wszystko: Die Enda. Głęboka czerwień liter zalała nagle mózg won Wściba jak kisiel, wypełniając mu świadomość gorącą koniecznością obudzenia. I won Wścib rzeczywiście się obudził, bowiem nagle zadzwonił telefon. Chrząknął jak wieprz prostując jednocześnie nogi i rozglądając się nieprzytomnie po swoim gabinecie. Wyraźnie było widać, że nie wie gdzie się właściwie znajduje i o co w tym wszystkim chodzi. Śpiąc właściwie jeszcze sięgnął po cygaro. Zapalił go i głęboko się nim zaciągnął. Nie poszło mu to jednak zbyt dobrze. Zakrztusił się raptownie, kaszlał długo, przeciągle, a z oczu popłynęły mu łzy. Nie dał jednak za wygraną. Uspokoił się i powoli zaciągnął ponownie. Poszukał wzrokiem książki Urszylla, a zobaczywszy ją u swoich stóp, nachylił się ciężko i ją podniósł. Spojrzał na swojego złotego roleksa. Była 02:54:12. - Nie możliwe. - Pomyślał. - Przespałem cały dzień? - Potrząsnął zegarkiem, ale wiedząc, że chodzi na pewno doskonale, dał spokój. - A może to wszystko to tylko taki pic?! Złuda? Zjawa jakaś szkaradna…? A może to… Atak Urszylla?!!! - Przeciągnął się, nalał sobie koniaku i ssąc nerwowo cygaro, sięgnął po słuchawkę wciąż dzwoniącego telefonu. - Mamy problem z przekazem! - Usłyszał od razu. - Mmmm…?!? - Mruknął osłupiały. - Lepiej żeby pan przyszedł natychmiast. Sprawa jest poważna! - Kiedy won Wścib pojawił się w przeprogramowalni, Kłirra siedziała przed pracującym monitorem obserwując na nim z wielką uwagą jakieś tajemnicze esy floresy. - Niech pan popatrzy na to, profesorze! - Pokazała won Wścibowi jakieś miejsce, i w tym samym dosłownie momencie, w którym won Wścib nachylił się nad monitorem, podniósł ręce ku twarzy, i: - O kurwa, Kłirra! - Oniemiały z wrażenia wyszeptał. W prawym dolnym rogu, w niewielkim okienku dostrzegł bowiem wyraźny, kolorowy, i ruchomy do tego obraz: Enki nachylał się właśnie nad nieprzytomną Zisiudrą leżącą bez czucia na alabastrowej posadzce jej wspaniałego, akadyjskiego pałacu.

Utanapisztim z Szuruppak leżał już od dłuższej chwili bez przytomności na alabastrowej posadzce swojej ziemskiej, pałacowej sypialni, nie nadając się tym samym do niczego. Na szczęście dla Enkiego nie był to problem, stan jgo bowiem umożliwiał mu bezpośredni kontakt z Obserwatorem, esencją pozawerbalnej komunikacji jakiej używał Enki do przekazywania Utanapisztimowi wszelkich, i jego zdaniem koniecznych informacji. Prawdziwi LUDZIE bowiem używali *Sui Generis* już od tysiącleci. A od czasu przeprogramowania Zisiudrze jego nukleotydów i on także, tak też ataki takie zdarzały się jemu coraz częściej - czas bowiem naglił. Podczas każdego ataku nawiedzały go dziwne, dla niego samej mało zrozumiale i bardzo tajemnicze wizje. Śnił o tajemniczych ludziach Anuannkich, o Bogach, i ich wielkim zgromadzeniu, o tym, jak tworzono człowieka, jak go zabijano, oraz o tym, że Enlil-el, syn Pana Wszystkiego, z wielkiej zazdrości i równie wielkiej nienawiści do ludzi postanowił ich wszystkich, i to raz na zawsze, zgładzić, a jego brat Enki, chciał mu usilnie w tym przeszkodzić, bo kochał ludzi jak siebie samego, a może nawet i bardziej. Za przyzwoleniem Enkiego Zisiudra dowiedział się w ten sposób o tym, że przez ostatnie lata Enlil namęczył się nie lada, aby skłócić i poróżnić nie tylko ludzi między sobą tak, aby żadna wspólnota między nimi nie mogła dojść do skutku, ale i Braci. Wmawiał bowiem Homokom, co nie było wcale takie trudne, że różnią się między sobą pochodzeniem, a co za tym idzie, że nie mogą być sobie równi: - Wszyscy jesteście ludźmi - mówił im przewrotnie, a w umyśle Zisiudry obrazy te przepływały jak we współczesnym kinie - płynnie i delikatnie, zupełnie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki - to prawda, ale są również wśród was i tacy, którzy są lepsi, bowiem w ogóle nie pochodzą z Ziemi, lecz w pierwszej linii od Boga. Zisiudra wiedziała już, że w historii Ziemi jak i ziemskiego człowieka nie było do tej pory bardziej szatańskiej i bardziej skutecznej idei mieszającej równie skutecznie w ludzkich głowach. Do tego jeszcze Enlil potajemnie tak zmodyfikował człowieczy mózg, aby ten reagował wzmożoną agresją i rywalizacją na niektóre hormony i ich neuroprzekaźniki, których poziom z kolei tak przeprogramował, aby ludzie byli zawsze agresywni i zawsze rywalizujący ze sobą. W ten oto prosty sposób ludzie nie rozumiejąc z jednej strony jego poczynań oraz jego wybiórczej przychylności, którą najczęściej mylili z miłością, tylko do

niektórych z nich, z drugiej zaś nie widząc niczego złego w zabijaniu, zabijanie bowiem leżało od początku w ich naturalnej, ziemskiej naturze, zaczęli walczyć między sobą o jego względy mordując swych konkurentów bez pardonu. Enlil nagradzał takie zachowanie, a jego najbliżsi współpracownicy podsycali ich nienawiść do siebie nawzajem, wprowadzając ścisłą hierarchię. Będąc cierpliwymi oraz znakomicie wyszkolonymi politykami, niszczyli w ten sposób skutecznie wszystko to, co Enki próbował zrobić dla ludzi.

Pomimo tego więc, że żaden CZŁOWIEK by tak o tym nie pomyślał, bowiem wszyscy LUDZIE myśleli podobnie, to właśnie on, Enki-el, syn Wielkiego Anu, był inny. I to w końcu on, nie mogąc ścierpieć tego obrzydliwego jego zdaniem określenia, którego Enlil używał z taką lubością - Mięśniaki - zaproponował kiedyś w dalekiej przeszłości Wielkiemu Zgromadzeniu, aby i ich również nazywać ludźmi, a ich błękitną planetę, Ziemią, kiedy zdaniem Enlila ludźmi Mięśniaki nigdy nie mogły zostać, a Ziemia, Ziemią. Słowa te jednak były dla Enkiego bardzo ważne. Ziemia kojarzyła mu się najbardziej z matką, z kimś, lub czymś nieznanym, jakąś nieznaną mu, lecz jednocześnie też w jakiś dziwny sposób bliską siłą, a może osobą, kobietą, przepiękną, miłą i dobrą, ciepłą, a i taką, z którą Enki chętnie całymi dniami by przebywał. Taką, którą kiedyś dawno, dawno temu utracił, lub, obecności której został w dziwny i tajemniczy dla siebie samego sposób, pozbawiony. Dlatego też już od dawna był z powodu Błękitnej Planety, a, i człowieka, istotą coraz bardziej nieszczęśliwą i chorą, oraz coraz bardziej wśród Braci zagubioną i nieobecną. Enki kochał ludzi i Ziemię jak siebie samego, dlatego pragnął zapobiec ich zgładzeniu. I to wszelkimi dostępnymi mu sposobami. To prawda - myślał często - że człowiek okazał się istotą głupią i samolubną, a przez to, niezbyt przydatną do czegokolwiek, ale ludzkie kobiety są tak piękne i tak pociągające... Rozbudzają przy tym w mym martwym od wieków już ciele cudowne, i jedynie prawdziwe - jak sądzę - emocje, dając mi tym samym poczucie spełnienia, radości, zadowolenia z życia, i tak wielkie, a przecież już od setek wieków nieobecne w moim życiu, pożądanie, że zgładzenie ich wszystkich, i to za jednym jedynym zamachem raz na zawsze, jest moim zdaniem nie tylko nieusprawiedliwionym, ale i wprost niewybaczalnym, barbarzyństwem. I nie jest to tylko moje jednostkowe, odosobnione przekonanie. Przecież już od dawna każdy z nas posiada w końcu co najmniej jedną taką ziemską towarzyszkę. I to jest właśnie to. To, czego wszyscy pragniemy najbardziej. Wspaniała słodycz. A nawet naj-

wspanialsza. Uderzająco, obezwładniająco najmilsza i najukochańsza. A mężczyźni, do niczego zdaniem mojego brata Enlila w ogóle nam nieprzydatni, pracują przecież ciągle w naszych kopalniach, hutach, walcowniach i kuchniach, wyręczając nas w co nudniejszych i czasochłonniejszych zajęciach, przepisują, dopisują i odpisują w wielkich księgach, służą w kościołach, obozach dla żołnierzy i laboratoriach, są też ciągle najwspanialszym naszym tu pożywieniem, nie są więc tak jak twierdzi Enlil tylko niepotrzebną nikomu śmierdzącą padliną. Poza tym, to przecież ja, a nie Enlil, jestem ich jedynym, prawdziwym, niepodważalnym kreatorem. Panem, kontrolerem i zarządcą. Do mnie więc, a nie do Enlila, należy decyzja. Uważam w związku z tym, że człowieka należy zachować, a Enlilowi uniemożliwić przejęcie władzy nad Ziemią. Należy bezzwłocznie zapisać ludzki program w programie Planu Życia. I to na stałe. W przyszłości, o ile moje plany miałyby się udać, należy zmodyfikować jeszcze raz człowiecze geny otwierając człowiekowi z jednej strony możliwość szerszego pojmowania i szybszego uczenia się wszystkiego, a tym samym, zwiększając prawdopodobieństwo jego wielorakiej nam przydatności, tak jak to miało być pierwotnie, z drugiej zaś, muszę wykreować jeszcze piękniejsze i jeszcze bardziej pociągające kobiety. Piękniejsze i bardziej pociągające niż mi się to do tej pory udawało. Takie, które byłyby najpiękniejsze we wszechświecie, i z których każdy z nas mógłby wybrać sobie wymarzoną towarzyszkę, i to nie tylko na jedną, łóżkową noc, ale, i na całe życie. - W tym celu, zaraz po wykreowaniu, damy im do spożycia owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego, oraz, z drzewa *Szem-an-na*. - Szeptał Ninigiku do ucha przekonując ją do swoich pomysłów i planów.

W ludziach było też jednak i coś takiego, co nawet jemu, Wielkiemu Panu Życia, Jedynemu Kreatorowi i Prawdziwemu Kontrolerowi Procesu, nie dawało spokoju. I spokojnego snu. Ludzie byli bowiem w większości dla siebie samych nawzajem bardzo niedobrzy: wyzyskiwali się, poniżali, zazdrościli sobie nawzajem, torturowali się i zabijali tak, jakby to było ich najwyższym życiowym celem i ich najwspanialszą życiową przygodą, prześcigając się między sobą w co wymyślniejszych i okrutniejszych pomysłach, zupełnie jak żołnierze lub gladiatorzy podczas działań wojennych. Enki wiedział co prawda, że Enlil miesza cały czas uparcie między nimi, nie znał jednak zbyt dobrze jego wszystkich zapędów jak i dobrze ukrywanych zamiarów. Znał co prawda wyniki ich praktycznego działania, negatywny wpływ nie tylko samej grawitacji ziemskiej i niekorzystnej dla ludzi średnicy

ziemskiej planety, ale, przede wszystkim, barbarzyński wpływ ziemskich, sztucznych jednak jego zdaniem, warunków: przeludnienia, zniewolenia i głodu, oraz celowej dezinformacji ograniczającej wychowanie i nauczanie ziemskie do utrzymywania ludzi na poziomie prostej, zwierzęcej ewolucji. Zdaniem Enkiego było to największe barbarzyństwo jakie osobiście poznał i do jakiego dopuścił się jego brat, popełniane do tego z czystego wyrachowania, z czystej nienawiści, dzień w dzień, i noc w noc, na wszystkich ziemskich ludziach, i na całym tym ich ziemskim globie. Ale nie tylko. Enki podejrzewał brata o celowe mieszanie również i na innych planetach. Istoty, które kreowali, łącznie z ziemskim człowiekiem oczywiście, pomimo tego, że posiadały najwspanialsze możliwości i najwspanialsze cechy, okazywały się jednak po pewnym czasie praktycznie nic nie wartymi śmieciami niezasługującymi nawet na litość. I nawet to wstrętne określenie Mięśniaki, którego Enki tak strasznie nienawidził, było dla nich często zbyt wspaniałe. Nieograniczona niczym Nieograniczoność i Nadmożliwość Thenahå nie mogła w nich z jakiegoś powodu nigdy wykiełkować, ani rozkwitnąć, ani też dojrzeć. Pomimo tego, lub raczej właśnie dla tego, to właśnie temu Enki postanowił się skutecznie sprzeciwić i jeszcze skuteczniej i jeszcze energiczniej przeciwdziałać.

Człowiek miał już co prawda dość możliwości, aby się sprawdzić, ale Enki-el był do tego stopnia zauroczony swoim dziełem i jego potencjalnymi możliwościami, że nie chciał nikogo, ani niczego słuchać, w szczególności zaś jakichś wydumanych, idiotycznych jego zdaniem zarzutów. Wietrzył w nich bowiem podstępne, celowe działanie Enlila. Nie dopuszczał do siebie więc tego, że człowiek się nie sprawdził, że okazał się istotą niezdolną do czegokolwiek poza uwielbianiem siebie samego, swojego boskiego pochodzenia jak i swojej boskiej nieomylności, a przy tym, że pozbawiony był możliwości sensownego rozeznania między jednym a drugim, oraz możliwości jakiegokolwiek psychoemocjonalnego wglądu. Pomimo tego, Enki kochał ludzi. Kochał tę porywczą, mściwą i chciwą istotę, w której cichaczem podkochiwali się prawie wszyscy, a która zdaniem Enlila zasługiwała jedynie na całkowitą zagładę. Według Enlila bowiem Mięśniak nie mógł posiąść żadnej prawdziwej wiedzy, żadnych prawdziwych umiejętności, nie posiadał też żadnych możliwości jakiejkolwiek poprawy. Jemu nie mógł się już do niczego przydać. I należało go zgładzić. I to jak najszybciej. Enkiemu jednak ziemscy ludzie byli potrzebni do życia jak ziemskie powietrze, zamierzał więc

przestrzec ich teraz przed porywczym planem Ilu Kurgala, zabezpieczając ludzkie nasienie i jaja, oraz uprzedzając Zisiudrę o planach brata. Należało czym prędzej zbudować statek podwodny oraz zamknąć w nim Utanapisztimę wraz z całą genetyczną spuścizną ziemską. Tylko to dawało szansę na przetrwanie życia, które stworzył. Ninigiku byłaby zachwycona - myślał, polaryzując jednocześnie swoją aurę magnetyczną polem ujemnej grawitacji.

Zisiudra wiedziała już więc, że Enki był tak jak i jego brat Enlil, doskonałym wojownikiem i politykiem jednocześnie, a do tego, że będąc urodzonym optymistą, zawsze był dobrej myśli: nie zamierzał się więc łatwo poddawać. Wszędzie gdzie tylko mógł odkręcał poczynania Enlila ucząc ludzi i tłumacząc im, kim i po co tak naprawdę są, oraz tego, w co sam wierzył najgłębiej: że wszystkie istoty żywe są sobie równe, a tym samym, że i oni wszyscy są sobie równi. - Wcale nie jesteście urodzonymi przestępcami, czy też broń boże jakimiś genetycznie zaprogramowanymi mordercami. - Mówił im. - To ziemskie warunki i system stworzony przez mojego brata Enlila czyni was tymi, za których się sami uważacie. Ale tak wcale nie musi być. Nie musicie między sobą walczyć i się nawzajem zabijać, aby zdobyć nasze uznanie, nasze wsparcie, i naszą pomoc. Sfery obdarzyły wszystkie swoje dzieci równą równością. Nie musicie więc konkurować między sobą o cokolwiek. Jesteście sobie równi, i nigdy nie było inaczej. - Ludzie bali się jednak Enlila i jego barbarzyńskiej porywczości bardziej niż czegokolwiek innego. Słuchali więc Enkiego, robili jednak tylko to, czego oczekiwał od nich Enlil i jego wysłannicy. - Nie pozwolę ci na to! - Myślał Enki szybując w tej właśnie chwili przez wszechświat w kierunku ziemskiego pałacu Utanapisztimy z Szuruppak. - Żeby nie wiem, co! Wydaje ci się, że jesteś dość przebiegły, bracie, ale na szczęście zdradziła cię już dawno ta twoja nienawiść, zawiść i chciwość, które przesłaniają ci umysł. A to pozwala mi na szczęście jeszcze coś zrobić. I to pomimo negatywnego wyniku waszego dzisiejszego glosowania. I żadna siła mi w tym nie przeszkodzi. - Enki wiedział doskonale, dlaczego tak właśnie myśli i dlaczego to wszystko robi. Kochał ludzi i nie chciał ich zgładzić, a mając w końcu przyzwolenie i błogosławieństwo swojego ojca - Pana Wszystkiego - nie musiał obawiać się niczego.

Ziemian nie łatwo było jednak przekonać do czegokolwiek. Najczęściej nie wierzyli Enkiemu, a ci, co mu nawet wierzyli, tak bardzo bali się Enlila i jego wysłanników, że przenosili ten strach i na niego.

W przypadku Utanapisztimy z Szuruppak było jednak inaczej. Była ona człowiekiem wyjątkowym. I to nie tylko dlatego, że w jej żyłach płynęła niebieska krew samej Ninmah i jej brata, a, i męża zarazem, Enkiego, i nie dlatego też, że Enki kochał ją jak swoją rodzoną córkę. Utanapisztima była jedynym potomkiem dziwnego eksperymentu, w którym Enki zastosował nowatorskie rozwiązanie, kodując jej nukleotydowe DNA ośmioma helisami w tai sposób, który umożliwiał jej tym samym optymalne wykorzystanie wszystkich ludzkich możliwości: Utanapisztima nie tylko miała przeżyć potop, ale miała też odegrać doniosłą rolę w przyszłej historii restauracji ludzkiego gatunku na Ziemi. W tej chwili jednak Zisiudra leżała ciągle bez przytomności na posadzce swojej sypialni, a jej mózg wypełniał obraz wielkiego zgromadzenia Anuakich, i to w chwili, w której Enlil cedząc po mistrzowsku swoje informacje, po mistrzowsku kierował uwagę braci ku niechybnej, nieodwracalnej zagładzie człowieka:

- Enki wpajał nam przez wieki wiarę i przekonanie, że Mięśniak jest istotą dobrą, piękną i wspaniałą. Wpajał nam wiarę i przekonanie, że Mięśniak jest istotą rozumną i światłą. Wpajał nam wiarę i przekonanie, że Mięśniak jest istotą wyjątkową i w swojej wyjątkowości jedyną. Wpajał nam wiarę i przekonanie, że jego człowiek jest istotą wybraną. Niestety. Jak wszyscy to dobrze wiecie, człowiek Enkiego jest istotą głupią i samolubną, a przez to grzeszną i złą. - I tu Zisiudra załkała, a Enlil, wykrzyknął: - I co z tego, że ma piękne ciało, które większości z was bardzo się podoba, a jeszcze inną waszą część po prostu zniewala?! To tylko wasze oczy i wasze pożądanie. A gdzie podziała się wasza odpowiedzialność moralna?! I to nie tylko za samą Ziemię i jej naturalną ewolucję, ale i za cały wszechświat, którego, o ile go nie zgładzimy, człowiek już w najbliższej przyszłości może stać się prawdziwym zagrożeniem?! Już dzisiaj dzięki nieodpowiedzialnemu działaniu mojego brata Enkiego, który wbrew wyraźnemu zakazowi Pana Wszystkiego udostępnił swoim ludziom część naszej wiedzy, potrafili zawładnąć Ziemią jak swoją własnością, zniewalając, lub wręcz, wymordowując, wszystkie inne formy życia, łącznie z niektórymi naturalnymi rasami homo. Ich nierozumne wykorzystanie naszej wiedzy doprowadziło do ich buntu, którego uwieńczeniem była budowa prostego obiektu latającego, którym jak sami twierdzą chcą podbić siedzibę samego Anu i wykraść mu tym samym długowieczność! - Na sali zapanowało nerwowe poruszenie. Tego nikt z nich nie wiedział. Enlil czuł, że będą chcieli dowodów, uruchomił więc holograficzny przekaźnik telepatyczny: każdy z

zebranych mógł przy jego pomocy poznać i zobaczyć materiał dowodowy bezpośrednio w swoim mózgu.

- Jak sami to widzicie, ziemski człowiek zasługuje tylko i wyłącznie na wymazanie jego programu z Planu Życia. I to jak najprędzej. Moim zdaniem decyzję powinniśmy podjąć natychmiast, bo jeżeli Mięśniaki zrozumieją, że nie stworzyły ich żadne Sfery, tylko że to MY ich stworzyliśmy, co przy zapędach mojego brata Enkiego jest całkiem prawdopodobne, wymazanie programu życia ziemskiego człowieka z programu Planu Życia w ogóle, może okazać się niemożliwe...! - Za plecami Enlila rozbłysł olbrzymi ekran, na którym kłócił się on o coś ze swoim bratem Enkim. Za chwilę wszyscy usłyszeli też ich głosy: - Powiedziałeś im - wrzeszczał Enlil - że człowieka nie stworzył żaden Sferok. Że człowieka stworzyli LUDZIE. A jeżeli nawet nie twierdziłeś, że byli to LUDZIE, to, że były to istoty im podobne. Że to byliśmy my! Powiedziałeś im o przerwaniu łańcucha ewolucji, o mieszaniu, krzyżowaniu i genetycznym modyfikowaniu ziemskiego DNA z pozaziemskim życiem przybyszów. Powiedziałeś im o tym, że stworzona w ten sposób sztuczna istota miała służyć swoim stwórcom za niewolnika, za biologiczną maszynę do wszystkiego. Ludzie dowiedzieli się, że marzenie większości z nich, stało się przed wiekami naszą codzienną rzeczywistością, że nie musieliśmy już ciężko pracować na Ziemi - że każdy z nas mógł mieć tam swojego niewolnika, a nawet ich tysiące. Że mógł z radością ich wykorzystywać, wyzyskiwać, a w razie potrzeby i unicestwić. Powiedziałeś im, że nie byli niczym innym, jak tylko biologicznym robotem zaprogramowanym dla potrzeb obcej cywilizacji zamieszkującej i eksploatującej Ziemię w tamtych odległych czasach. Powiedziałeś im nawet, że tworzyliśmy i zabijaliśmy ich wiele razy i na wiele różnych sposobów. Że całość traktowaliśmy tak, jak oni obecnie traktują ich własne laboratoryjne eksperymenty genetyczne i zwierzęta w tych ich eksperymentach ich dobrej woli, lub raczej, ich łasce i niełasce poddane: w końcu to tylko zwierzęta i taka jest ich rola, nie?! Mówiłeś, że rolą, jaką ich obdarzyliśmy, była rola służenia ich stwórcom całym ich życiem: całym ich ciałem i całą duszą. Mówiłeś im, że człowiek nie nadawał się nigdy do samodzielnego i świadomego życia, ponieważ jako genetycznie zaprogramowany niewolnik, nigdy nie mógł zostać ani samodzielnym, ani świadomym. Mógł, co prawda żyć, ale jego samodzielne życie przypominało, jak i nadal w całej swojej rozciągłości przypomina, życie psa w hordzie dzikich psów, w której nie panują żadne inne prawa, poza prawem długich zębów i ostrych pazurów.

W końcu powiedziałeś im również, że obdarzyliśmy ich cechami, które sami w długim i żmudnym procesie kreacji, wybraliśmy. Dodałeś też, że doskonali i przydatni w roli niewolników, w roli małżonków, partnerów i samodzielnych zarządców okazali się niezdolni do niczego: ani do nauki, ani do współpracy. I gdyby mój plan powiódł się i nic nie zostałoby z nich na matce Ziemi, nie było by dzisiaj z nimi żadnych problemów. Ale ty powiedziałeś im, że ich kochasz i że im pomożesz. Że na szczęście mój plan znowu nie powiedzie się tak, jak go zaplanowałem, i że oni przeżyją kataklizm... Ale nie powiedziałeś im najważniejszego! Tego, że to ty ich stworzyłeś, i że to ty za to wszystko odpowiadasz! - Na sali zapanowało istne piekło, lecz Enlil nie przerwał projekcji ani na chwilę. - Zamiast tego szkalowałeś i pomawiałeś mnie. - Utanapisztima z Szuruppak załkała. We śnie zrobiło jej się strasznie żal człowieka i jego przeklętego przez Enlila losu. Ale gdy zobaczyła swojego brata Enkiego przed obliczem Wielkiego Zgromadzenia i usłyszała jego głos, przestała szlochać i nawet się uśmiechnęła. - W manipulacyjną grę o cokolwiek - krzyczał właśnie Enki do swoich Braci - gracie wszyscy bez wyjątku. Większość z was zadawala się jednak jedynie cukierkami, bo jest je znacznie łatwiej zdobyć, tylko nieliczni próbują wykopać tunel i dotrzeć do innego świata. Większość z was nie jest gotowa do żadnych poświęceń, i żadnych wysiłków, nawet dla wymarzonych celów manipulacyjnych. Koncentrujecie się na najprostszym przeżyciu, zmuszając się jednocześnie codziennie do grania w nie swoją manipulację, co z kolei przysparza wam jeszcze większych zmartwień. Poprzez wychowanie i wieloletnie nauczanie, wpaja się wam wszystkim obowiązek akceptacji zastanego porządku, którego wy za nic na świecie zaakceptować nie możecie, i którego za nic na świecie zaakceptować nie chcecie, bo on jest po prostu nie waszym porządkiem, i nie dla niego tu na ten świat przychodzicie. I nie jest prawdą twierdzenie, że inaczej być nie może. Otóż może być inaczej, ale niewielu z was zdaje się tego inaczej pragnie, niewielu z was zdaje się tego inaczej szuka i niewielu z was zdaje się to inaczej urzeczywistnia. Raj leży oddalony od was na wyciągnięcie waszej ręki, ale rozum macie za krótki, aby wyciągnąć go w jego kierunku. Dziewięciowymiarowość ma to do siebie, że potrzebuje wzorów do naśladowania, a wzorem może być tu wszystko: każdy bodziec i każda informacja odebrana po uruchomieniu programu. Jaka społeczna matryca taki i produkt końcowy. Wasza uśpiona świadomość traktowana przez was wszystkich jako najwspanialsze wasze dobro, odbita siedemdziesiąt miliardów razy po siedem, narzucona siłą i przemocą, stosami i łamaniem kołem,

robi codziennie to, co robi: zabija was na nieskończoną ilość sposobów, których świadomi nie jesteście i których nigdy świadomi nie będziecie, bo tak tego zapragnął wasz stwórca. Nie widzę w was żadnej nadziei. Nie czuję w was też żadnej prawdziwej wiary. Już dawno poddaliście się tak, jak wszyscy wokół, akceptując tę właśnie upiorną rzeczywistość. I mało tego! Wierzycie jeszcze tym wszystkim manipulatorom w to, że nie ma innej, i że żadna inna rzeczywistość po prostu nie istnieje. Że nie może zaistnieć, bo ta właśnie, w której teraz tu żyjecie, jest najlepsza z najlepszych. Sami niezdolni do żadnych czynów naznaczonych osobistą wolą i zaangażowaniem, pogrążeni w strachu i niechęci, oczekujecie od innych tego, czego sami sobie codziennie odmawiacie - wiary i uznania dla siebie samych. Dla takich, jakimi w głębi waszych serc naprawdę jesteście, a nie takich, jakimi się tu staliście!

- Po fazie rozmiękczania, w której wywołano w każdym z was kryzys tożsamości doprowadzając was do pełnej dezorientacji oraz natychmiastowej potrzeby odnalezienia zagubionej struktury, na której moglibyście się oprzeć, następuje faza zmiany, w której podaje się rozmiękczonemu umysłowi gotowe, wcześniej spreparowane informacje wsparte systemem kar i nagród, systemem nakazów, zakazów i celowych pochwał i wyróżnień. W fazie ostatniej, cementuje się i utrwala nowo przyjęte postawy, akceptując, chwaląc i nagradzając bez jednej przerwy nowo narodzonego, doprowadzając go tym samym do pożądanego stanu gotowości na dobrowolną i zaangażowaną współpracę w tworzeniu nowych i lepszych systemów manipulacji. Stajecie się tymi wzorami i programami, jakie dostajecie do dyspozycji. A co dostajecie?! Do dyspozycji dostajecie to, co dostajecie. To nie cały świat musi dopasować się do waszych wyobrażeń, pragnień i potrzeb, to wy musicie dopasować się lub/oraz dopasowywani jesteście do tego świata. I to każdymi metodami, nawet tymi najbardziej zakamuflowanymi i najbardziej finezyjnymi typu *mind morfing*, czy *deresurfing*. Po takim wieloletnim i dość skutecznym reformowaniu waszego umysłu, zostajecie najbardziej poplątanymi, najbardziej zdezorientowanymi, i najbardziej sztucznymi sami w sobie samych. Jesteście najbardziej ze wszystkich możliwych negatywnych najbardziej. Nie dość, że rozpina się was wszystkich na parysile przeciwstawnych przeciwieństw wykluczając tym samym zrozumienie i pojęcie Jedni, to tym samym tworzy się nieświadome niczego, pozbawione krytycznego myślenia i postrzegania, całkowicie zmechanizowane bioroboty do wypełniania, powielania i

utrzymywania pozornej, za jedyną jednak możliwą uznanej, waszej codziennej międzyludzkiej rzeczywistości. A wszystkich tych, których nie uda się zreformować, wyklucza się na wiele sposobów nie tylko ze środowiska międzystrefowego, ale przede wszystkim, z wszelkiego Życia. Po takim wieloletnim i dość skutecznym reformowaniu was wszystkich, tworzy się gatunek, społeczeństwo, które różni się od wszystkich innych tym, że jest aż tak różne i aż tak niespójne wewnętrznie, co i zewnętrznie od całej reszty. Do dość pogmatwanego planu genetycznego, dołącza równie pogmatwany plan społeczny, dając tym samym wybuchową mieszankę: totalne pomieszanie i totalną histerię. Nie wiedząc kim jesteście i po co, żeglujecie ruchem wstecznym na naszej planecie ku rychłej i bezpowrotnej zagładzie. Nie posiadając ani kierunku, ani celu, ani wiedzy, ani mądrości, ani wolności, ani miłości, tworzycie świat iluzji, mamicie siebie nawzajem różnymi świecidełkami, przepychacie się, szturchacie i popychacie, wmawiacie sobie samym waszą nieomylność i celowość, podpieracie się nawzajem, popieracie i utwierdzacie, a za kawałek kiełbachy i obietnicę przeżycia sprzedajecie się sobie nawzajem, czyniąc całe wasze życie nie tylko koszmarnym snem, ale i koszmarną rzeczywistością.

- Wydaje się, że rzeczywiście jedynie wymazanie naszego programu z Programu Życia, uwolniłoby nas z naszej własnej, niedobrowolnej jednak, niewoli. Sprawy zaszły już jednak tak daleko, że zdaje się, że nic i nikt nam już nie może pomoc, że nic i nikt nam już pomóc nie chce! Nadchodzi nieoczekiwany i nieupragniony koniec. Koniec wszystkiego. I to wszystkiego bez wyjątku. Całego naszego świata. Niedługo wszyscy umrzemy, nasza planeta rozpadnie się, rozpuści się w morzu Niczego, i żadnego śladu po nas nie pozostanie, ani tu na Anu, ani nigdzie indziej. Bo i po co komu ten ślad?! Nasza jednorazowość i wyjątkowość wśród innych istot, umarła wraz z naszym poczęciem tu na naszej planecie. Zabiliśmy siebie samych, zniszczyliśmy celowo naszą Esencję, więc nie powinniśmy dziwić się, że nic po nas nie pozostanie, że takimi, jakimi byliśmy tu wśród naszego międzyludzkiego świata, no i w innych światach i wymiarach oczywiście również, nikomu i niczemu potrzebni już nie będziemy. Bo po co komu nasza senna głupota, nasza nienawiść senna, i nasza senna paranoja?! Wiara w miłość zatrutego Boga, też nam nie pomoże! To w końcu on wydał rozkaz naszej zagłady! Lecz to nie on, lecz na szczęście ja kocham was jak swoje własne dzieci, którymi wy nigdy nie chcieliście być, ale i tak, spróbuję teraz uratować to, co...

Enki wszedł do sypialni Utanapisztimy z Szuruppak. Nachylił się nisko nad nieprzytomną królową. Wpatrzył się w jej nieruchomą twarz. Zisiudra, pomimo tego że Enki jej wcale nie dotknął, otworzyła oczy jak pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Usiadła i zupełnie nieprzytomnym wzrokiem spojrzał na Enkiego. - Wiesz już wszystko. - Raczej stwierdził, niż zapytał Enki. Utanapisztima w niemym osłupieniu skinęła twierdząco. - I co teraz? - Wyjąkała. Chciała wstać, lecz zupełnie niespodziewanie zemdlała ponownie. - O nie! - Wrzasnął nachylając się nad nią i potrząsając nią z całej siły. - Budź się do cholery! Teraz ważą się losy waszego świata i musisz być przytomna! - I tu won Wścib jak gdyby oprzytomniał. Spojrzał na Kłirrę srogo, nacisnął nerwowo parę klawiszy na klawiaturze, ale nic się nie wydarzyło. Won Wścib zmarszczył czoło jednocześnie pytająco patrząc na Kłirrę. - No właśnie! - Powiedziała Kłirra. - Sam Pan widzi! - Won Wścib pomyślał chwilę, pomanipulował jeszcze jakimiś klawiszami lecz wszystko na próżno. Obraz Enkiego tkwił w rogu ekranu jak zaczarowany. - Aaaa…!!! - Nagłe olśnienie spłynęło na won Wściba z otchłani Głębi niczym wiosenny deszczyk na spragnioną wody trawę. Won Wścib uderzył się dłonią w czoło, najechał myszką na obraz, kliknął go, po czym z wielkim namaszczeniem, małym palcem, powoli wcisnął delete, i w tym samym dosłownie momencie obraz Enkiego ulotnił się z monitora jak pod działaniem jakiegoś niewidzialnego czaru. Won Wścib odetchnął z ulgą uśmiechając się jednocześnie. - No, widzisz… - Powiedział. Lecz nagle przypomniawszy sobie o Urszyllu, oraz o tym, co ma się jutro wydarzyć: - Nie zawracaj mi już głowy głupotami! - Wycharczał srogo odwracając się energicznie i równie energicznie opuszczając salę. - Idę zająć się Urszyllem! - W gabinecie natychmiast opadł w fotel i zaraz nalał sobie koniaku. Z niechęcią spojrzał na książkę, pokiwał głową jakby się nad czymś zastanawiał, aby po chwili zdecydowanie wstać. Uruchomienie komputera zabrało mu niewiele czasu, odnalezienie odpowiedniego programu również. Gorzej poszło mu z podłączeniem przedramienia, jako iż won Wścib bojąc się ich panicznie, wyjątkowo nienawidził zastrzyków, igieł i całej tej procedury. Czytać mu się jednak zdecydowanie już nie chciało. Zdjął więc marynarkę, podwinął rękaw koszuli i z wyraźnym niesmakiem wbił sobie łącze w przedramię. Jego świadomość uległa tym samym natychmiastowemu roztrojeniu: Jako pierwszy pojawił się tryskający energią, dość młody jeszcze Koordynator. Po chwili, znacznie starszy od niego, suchy, zgryźliwo skrzekliwy Kontroler, a na końcu, najstarszy z nich, lekko jeszcze jak gdyby

zaspany, pulchno grubiutki Krytyk. I teraz dopiero won Wścib usłyszał wyraźny głos lektora: - Strefo igrachy. Mięśniaki. I konsekwencje. - Boże! - Pomyślał. - Jak ja tego skurczybyka nienawidzę!

Najgorszą konsekwencją praktyczną stosowanej na nas codziennie Syntetyki jest to, że umożliwiła on nielicznym (ludziom, siłom, istotom) narzucenie większości z nas niewidocznych i niewykrywalnych ograniczeń socjo psycho emocjonalnych, w wyniku których jesteśmy nie tylko chorzy fizycznie, ale i psychicznie. Zmuszono nas bowiem do uznania najgorszych kłamstw o ostatnich paru milionach ziemskich lat, a, i o nas samych, za prawdę, a prawdę o tych latach za łgarstwo, oszczerstwo i kłamstwo, zmuszając jednocześnie nas wszystkich do uznania tych nadspecjalnych nadawców (konstruktorów kłamstwa) - najgorszych z najgorszych bandziorów, oszustów i gangsterów, za ludzi prawych, dobrych i szczerych, za ludzi godnych naśladowania, godnych naszego zaufania, a nawet, za naszych najlepszych powierników i przyjaciół. I to we wszystkich podstawowych dziedzinach naszego życia: i w religii, i w nauce, i w polityce, i w filozofii i etyce, i w edukacji i w historii, i w gospodarce, i w bankowości i w finansach, i w wojskowości.... Niezależnie bowiem od tego, jakie poglądy na tę kwestię wypełniają nam nasze niezależne mózgi (jakie informacje są w nich lub\oraz na nich na stałe zapisane), kwestia ta pozostaje niezmiennie najważniejszą ze wszystkiego tu na Ziemi, decyduje bowiem o tym, kim tu jesteśmy i jakie społeczeństwo tworzymy - czy jesteśmy tu istotami mądrymi, wolnymi i niezależnymi, czy też raczej raz na zawsze ogłupionymi, ubezwłasnowolnionymi i zniewolonymi. I to we wszystkich rzeczywistościach i we wszystkich wymiarach ludzkich jednocześnie: fizycznym, psychicznym, duchowym i emocjonalnym. Bo jeżeli wychowywani byliśmy, kształceni latami i latami utwierdzani w przekonaniu, że dajmy na to - wszyscy jesteśmy tu mądrzy, dobrzy, niezależni, wolni, rozumni i świadomi, a mądrzy, dobrzy, niezależni, wolni, rozumni i świadomi nie byliśmy tu nigdy, to co wtedy?! - Won Wścib przerwał na chwilę, lecz nic się nie wydarzyło. - I co?! - Zapytał dość energicznie. - Nie macie żadnych uwag? - Kontroler milczał jednak jak zaklęty. Krytyk również. - No dobrze! - Pomyślał won Wścib. - Niech i tak będzie… - I dosłownie w tej samej chwili usłyszał:

- Kasa ...Najprostsza droga do zniewolenia każdego narodu wiedzie poprzez zawładnięcie jego kredytem. Władza należy więc nie tyle do

tych, którzy posiadają pieniądze, lecz głównie do tych, którzy nimi dysponują i zarządzają. Zarządzając bowiem każdym kredytem i rozdzielając go według własnego uznania doprowadzają krew do organizmu ekonomicznego, którego życie trzymają w swoim ręku tak, że bez ich zgody i przyzwolenia nikt już nie może żyć, a żyjąc już, oddychać. Jahwe. 10128**.** Praktyczna strona monetaryzmu. Prof. dr Smith. Wykład 14. Na początku zadam wam parę dziwnych i dość kłopotliwych pytań, na które chciałbym, abyście spróbowali odpowiedzieć sobie sami: Czy jesteście pewni, że banki rzeczywiście pożyczają złożone w nich pieniądze? Czy wiecie może skąd bank bierze pieniądze, gdy zechce je pożyczyć? Czy jesteście pewni, że wiecie, kto jest właścicielem pieniędzy, które bank pożycza? Czy potraficie odróżnić drogo sprzedawany kredyt finansowy od naturalnego kredytu rzeczywistego? Czy zdajecie sobie może sprawę z tego, że ilekroć rząd pożycza pieniądze na roboty publiczne, wszyscy zostajemy obciążeni tym długiem i to po wieczne czasy, ale nigdy nie księguje się tych wartości na nasze dobro?! Czy zdajecie sobie sprawę z tego, że każdy zwrot pożyczki bankowej kasuje istnienie odpowiedniej sumy pieniędzy? Czy jesteście świadomi, że Państwowe Obligacje Skarbowe są rządowymi skryptami dłużnymi, narodowymi kwitami zastawnymi oddającymi dobro każdego narodu, w tym i naszego, pod zastaw bankom, w zamian za pożyczanie nam naszego własnego kredytu finansowego?! Czy pojmujecie to w pełni, że banki nabywają place budowy, wznoszą budynki i wchodzą w posiadanie własności bez żadnych kosztów własnych - dzięki prostej czynności uznawania swych własnych czeków? Czy wiecie, że tylko 5% ogólnej sumy zakupów dotyczy transakcji dokonanych pieniędzmi, a ponad 95% czekami? Czy znacie ten fakt, że pieniądz w postaci czeków jest w rzeczywistości pieniądzem tworzonym w banku - kredytem bankowym - lecz działa tak samo jak każda inna waluta obiegowa? W ten sposób banki tworzą kredyty w wysokości aż dziesięciokrotnie przewyższającej ich zasoby gotówkowe. Czy wiecie, że pieniądze mogą powodować wzrost ogólnego dobrobytu, gdy jest ich wystarczająco dużo w obiegu, lecz jednocześnie go hamować, a nawet zatrzymać, gdy jest ich zbyt mało? A teraz chciałbym podzielić się z wami paroma dziwnymi faktami (nie mylić z poglądami), o których nie dowiecie się w żadnej szkole ekonomicznej świata: Banki nie pożyczają złożonych w nich pieniędzy. Każda pożyczka bankowa lub przekroczenie konta jest aktem stworzenia całkiem nowego pieniądza (kredytu). Stanowi on czysty przyrost ilości pieniądza krążącego w społeczeństwie. Gdy bank pożycza pieniądze, nie zużywa do tego

pieniędzy depozytowych, lecz kredytowych - gotówki bez pokrycia. Praktycznie wszystkie pieniądze w społeczeństwie mają swoje źródło w jakimś oprocentowanym długu wobec banków. A teraz podzielę się z wami garścią bardzo dziwnych, lecz jednocześnie bardzo istotnych wyjaśnień. Większość z nas wychowano w ten sposób, że mamy bardzo niejasne pojęcie na temat pieniądza, a o alternatywnych systemach finansowych nie wiemy absolutnie niczego. Na ogół nie mamy wątpliwości co do tego, że rząd ma prawo drukować banknoty i bić monety, że należy się nam godziwa zapłata za naszą pracę, i że pieniądz musi przynosić nam zysk. Co do reszty, nasza wiedza jest bardzo niejasna, a właściwie, to nie posiadamy jej w ogóle. I taka właśnie sytuacja cieszy najbardziej nasz rząd, wszystkie nasze instytucje finansowe i banki razem wzięte, które, jak to zresztą widać, wystarczy bowiem przejść się po głównych ulicach naszych miast, miasteczek i wsi, na których wykwitają codziennie nowe i coraz to wspanialsze i okazalsze placówki kredytowe, podtrzymują tę naszą niewiedzę skutecznie aż do dziś, zarabiając na niej krocie - biliony bilionów dolarów, które nie trafiają niestety do naszych rąk, ani do rąk innych, znanych nam ludzi, są bowiem własnością tylko małej garstki wybrańców. Dla przykładu w Niemczech cały tamtejszy kapitał - wszystkie pieniądze razem wzięte - należy do trzydziestu (30-stu!!!) rodzin. I do nikogo ponad to! W Australii natomiast tyko do osiemnastu (18-stu!!!!), nie wspominając o Anglii, bijącej w tym względzie wszelkie rekordy, jej cały kapitał bowiem należy tylko do dziewięciu (9-ciu!!!) rodzin, i jest całkiem możliwe, że ludzie ci są tymi samymi ludźmi w wielu krajach jednocześnie.

- A przecież już w 1916 roku, Silvio Gesel sformułował po raz pierwszy swoją teorię Naturalnego systemu ekonomicznego opartego na obłożeniu nieużywanych pieniędzy specjalną opłatą karną, w przeciwieństwie do obecnego systemu, w którym nieużywany pieniądz przynosi zyski jego właścicielom, oraz Neutralnego (Wolnego) pieniądza, czyli pieniądza nieobciążonego żadnym podatkiem, ponieważ gdyby był on w obiegu, służyłby neutralnie wszystkim jego użytkownikom w równym stopniu, i to bez wyjątków. W oparciu o te idee już w latach 1929/33 wprowadzono doświadczalnie neutralne pieniądze do obiegu w wielu województwach wielu państw jednocześnie: i w Austrii w Worgel, i w Niemczech w Schwanenkirchen, i we Francji. Próbowano nawet w USA, obkładając je tam 12% opłatą karną rocznie. I tak w Austrii wypuszczono 32.000 poświadczonych banknotów, które podczas jednego tylko roku 463 razy zostały

wykorzystane (obróciły), dając możliwość zakupu towarów za 14.816.000 Szylingów! Bezrobocie spadło w tym samym czasie o 25%, a należy przy tym pamiętać, że były to lata europejskiej klęski gospodarczej, w której bezrobocie raczej rosło wszędzie, a nie malało. Tylko, co z tego?! Tak jak i przed wiekami, tak i dzisiaj, zło zamieszkujące w nas z pokolenia na pokolenie nie spało! Krótko więc trwała ta hossa. I ten dziwny, niezaplanowany boom, bowiem ze strachu przed możliwością utraty finansowych wpływów już w roku 1931 rozwiązano na mocy państwowych rozporządzeń Wera-Tausch-Gaselschaft w Niemczech jako niepasujący do tamtejszej kultury finansowej i polityki, a w latach 1933/34 wszystkie banki niemieckie na czele z Reichbankiem, wszystkie banki francuskie, oraz austriackie, a wraz z nimi też i rządy, zajęły oficjalnie nieprzychylne stanowisko podobnym eksperymentom, nakazując natychmiastowe zaprzestanie wydawania neutralnego pieniądza, oraz bojkotując we wszystkich tych państwach jego akceptowanie i przyjmowanie w formie pieniędzy. Podobnie stało się w USA, gdzie prezydent Roosevelt ulegając sile swoich banków, wydał odpowiednie rozporządzenie i tak oto skończyły się ludzkie marzenia o neutralnym i być może naturalnym dobrobycie, który mógłby być udziałem nas wszystkich bez wyjątku. I to na równi. Na odpowiedź na mój list dotyczący wprowadzenia neutralnego pieniądza w Polsce i wysłany na ręce prezydenta naszego kraju jesienią 1990 roku, oraz latem 2000, czekam do dzisiaj i pewnie się nie doczekam. Jedną z najbardziej przerażających książek dotyczących rabowania - rozdawania i rozprzedawania za bezcen naszego majątku narodowego obcemu kapitałowi, opracowaną i wydaną przez neutralną francuską instytucję fachową, sprzedawano jeszcze nie tak dawno w księgarni taniej książki po złotówce, nikt nie chciał jej bowiem za jej normalną cenę, ani kupować, ani czytać.. - Po co my tego w ogóle słuchamy?! - Brutalnie przerwał lektorowi Kontroler. - Mamy zezwolenia! I nakazy! - Wrzasnął na to Koordynator. - Jutro proces. - Dodał Krytyk. - Panowie! - Wtrącił się won Wścib przełączając jednocześnie świadomość z fali fonicznej na wizualną. - Uciszcie się do cholery… - Na jej najniższym poziomie ukazały się od razu dwa zielonoczerwone wykresy liniowe, wizualizujące stan podłączonych w tej chwili osobowości: 65% było pewnych wygrania procesu, 35% niepewnych. - Praca. - Rozpoczął na nowo lektor. - …Najprostsza droga do zniewolenia każdego człowieka wiedzie poprzez takie zaprogramowanie jego energii, aby uwierzył, iż codzienna, morderczo niewolnicza praca tu na Ziemi jest mu nieodzownie potrzebna do osiągnięcia wolności,

jakości, niezależności i szczęścia, oraz, że jego życie bez pracy nie jest w ogóle możliwe, a jeżeli nawet, to, że byłoby tym samym bez sensu. Jahwe. 541690. Istota oraz konieczność pracy. Prof. dr Andrea Balazi. Wykład 21. *Arbeit macht frei* - Praca czyni wolnym, kazał nad bramą oświęcimskiego obozu zagłady wypisać największy kat współczesności - Adolf Hitler, a po nim zaraz i jego przyjaciel, Józef Stalin, nad bramami jego obozów, w których jedyną nagrodą za każdą pracę, była przedwczesna śmierć w krematoryjnym ogniu, lub zdecydowanie bliższe ich sercom, powolne zdychanie w oparach gazu. Z tego też pewnie powodu już dwa tysiące lat wcześniej, *Arbeit macht frei*, krzyczeli Rzymianie okładając pejczami swoich niewolników, a Hiszpanie, Germanie i Anglicy, swoich. Dlatego też pewnie, *Arbeit macht frei*, wykrzykiwali Japończycy, Azjaci, Australijczycy i Amerykanie waląc kolbami karabinów ich zniewolonych wyzyskiem współbraci, polscy szlachcice okładając pejczami swoich ubezwłasnowolnionych chłopów, a francuscy hrabiowie swoją oddaną im na własność służbę. Dlatego tez pewnie, *Arbeit macht frei*, wrzeszczą i dzisiaj wszyscy współcześni międzynarodowi Oszołomeni oszałamiając poddaną sobie gawiedź swoimi gażami. Dlatego też pewnie, *Arbeit macht frei*, wrzeszczą też i za nimi otumanione swoją własną, a, i ich głupotą tłumy... Dlatego też pewnie, *Arbeit macht frei*, wrzeszczą nasi szefowie, i my *Arbeit macht frei* wrzeszczymy w naszych biurach, fabrykach, i po powrocie do naszych domów oczywiście…

- Na przekór tej jakże wspaniałej, ogólnoświatowej, naturalnej zniewolicy, prawdziwa Praca powinna być najwyższym naszym Dobrem. Dobrem otwierającym nam dostęp do najgłębszych pokładów naszej twórczej duszy, a więc pokładów nam najbliższych, najdroższych i najważniejszych. Ciągle jest jednak inaczej - od samego naszego tu bowiem początku jest podstawowym narzędziem zniewalania i zniewolenia, wyzysku i upodlenia, i niewolnictwa, którym prawie każdy z nas z taką lubością i oddaniem się tu posługuje: wystarczy bowiem abyśmy kogokolwiek z nas uczynili tu kierownikiem, strażnikiem lub kontrolerem, policjantem lub żołnierzem, dyrektorem, ministrem lub prezydentem, reszta wydarzy się tu większości z nas już jak gdyby sama - eksperyment przeprowadzony na Uniwersytecie Stanford w 1971 roku przez tamtejszych naukowców pod wodzą prof. dr Filipa Zimbardo, potwierdził to w stu procentach, czyniąc z przypadkowo dobranych, lecz wyjątkowo odpornych na manipulację studentów, prawdziwych oprawców i katów z jednej stro-

ny, a z drugiej zaś, ich prawdziwe, fizyczne, psychiczne, emocjonalne i duchowe, ofiary. Najgorsze jednak w tym eksperymencie było nie to, że normalni, szarzy ludzie stali się nagle strasznie rozjuszonymi potworami, lecz to, że to oni sami, bez nakłaniania ich i przymuszania z zewnątrz, sami jak gdyby z siebie samych do tego doprowadzili i dopuścili, i to do tego stopnia, iż organizatorzy powyższego eksperymentu musieli go nieodwołalnie przerwać już po pierwszych czterech dniach jego trwania, zaczęli się bowiem poważnie obawiać o życie jego wszystkich uczestników. - Boże… - Wyszeptał w zupełnej ciszy Kontroler, lecz Lektor nie pozwolił mu dokończyć.

- Polityka - Wyszczekał szybko. - …Najprostsza droga do zniewolenia wszystkich ludzi, wiedzie poprzez poddanie ich wszystkich wyrafinowanej grze politycznej. Polityka stanie się więc naszym głównym narzędziem, instytucją państwową, w której będziemy jednocześnie mówić prawdę i kłamać w żywe oczy, a przez to i wychowywać i demoralizować… Jahwe. 441678. Inteligencja ciała. Prof. dr Neuland. Wykład 17. Ciało ludzkie nie bez powodu porównuje się do idealnego społeczeństwa, w którym miliardy obywateli dzielą się na specjalne grupy robocze wspólnie pracujące dla dobra ogółu. Specyficzną zdolnością komórki mięśniowej jest zdolność do skurczu - łączy się więc z grupą podobnych sobie, tworząc lokalną organizację zwaną mięśniem. Komórka tłuszczowa potrafi magazynować pewien rodzaju surowca odżywczego - a więc wspólnie z towarzyszami zawiązuje organizację zwaną skupiskiem tłuszczu. Komórka gruczołowa wyposażona jest w umiejętność produkowania i wydzielania określonej substancji chemicznej potrzebnej do życia innej tkance - a zatem sprzymierza się z identycznymi komórkami, które także ją wytwarzają, tworząc tym samym organizację lokalną zwaną gruczołem, powiedzmy tarczycę, lub wchodzi w skład innej szerszej, ale uporządkowanej struktury, jak na przykład błona śluzowa żołądka. Komórki nerwowe zbierają sygnały ze środowiska zewnętrznego i wewnętrznego i przesyłają je długimi wypustkami, tak zwanymi aksonami, same zaś ciała komórek łączą się w małe lokalne organizacje zwane zwojami i ośrodkami nerwowymi i tworzą jeden zwój centralny, czyli mózg; wypustki także się stowarzyszają w przenoszące informacje zespoły - nerwy.

- Funkcjonowanie całości organizmu odbywa się na zasadzie podziału pracy. Jesteśmy skonstruowani z poszczególnych tkanek, z których każda ma inne zadanie. Są cztery główne ich rodzaje:

tkanka nabłonkowa, łączna, mięśniowa i nerwowa. Każda z tych dużych grup dzieli się jeszcze na wyspecjalizowane podgrupy. Przykładem takiej wyspecjalizowanej tkanki jest na przykład nabłonek gruczołowy, dajmy na to wyściółka przewodu pokarmowego, której komórki wydzielają do wnętrza jelita śluz i enzymy trawienne. Do kategorii tkanki łącznej zaliczamy z kolei na przykład ścięgnistą, kostną i tłuszczową. Mamy także trzy różne rodzaje mięśni: poprzecznie prążkowane, inaczej szkieletowe (podlegające świadomej kontroli), gładkie (nie podlegające woli) oraz mięsień serca. Rozmaite postacie komórek nerwowych spełniają wiele różnych zadań, o których będzie mowa później. Tak czy inaczej, każda z tych tkanek jest odpowiedzialna za jakiś wąski odcinek wspólnej pracy na rzecz nieustannej, codziennej aktywności organizmu. A prócz specjalnego zadania przydzielonego sobie w imię dobrostanu całości każda komórka musi przecież wykonywać miriady czynności dla utrzymania przy życiu siebie samej. Dla osiągnięcia maksymalnej efektywności różnego rodzaju tkanki łączą się w jednostki strukturalne zwane narządami. Każdy narząd koordynuje odrębne zadania wszystkich wchodzących w jego skład lokalnych społeczności, które to zadania w sumie składają się na pewną właściwą temu narządowi funkcję. Na przykład nerka składa się z kilku rodzajów tkanek pracujących wspólnie nad oczyszczeniem krwi z substancji niepożądanych oraz utrzymaniem stabilnego składu płynów ustrojowych i równowagi chemicznej. Różnorodność budowy tkankowej wątroby umożliwia jej szeroki zakres czynności - od detoksykacji pewnych produktów ubocznych rozległej aktywności chemicznej organizmu po produkcję żółci, która ułatwia trawienie spożytego tłuszczu. Pewne tkanki żołądka miażdżą zjedzony pokarm i popychają papkę dalej do jelit falującymi ruchami określanymi jako ruchy robaczkowe albo perystaltyczne; inne z kolei wydzielają substancje chemiczne wspomagające trawienie. Rozmaite tkanki, z których składa się jajnik, wspólnie decydują o zdolności tego narządu do wytwarzania komórek rozrodczych, a także stanowią źródło pewnych żeńskich hormonów płciowych - i tak dalej, i tak dalej. Obrazowo można powiedzieć, że lokalne społeczności tkankowe o różnych kompetencjach łączą się w coś w rodzaju miast, czyli narządy. Poszczególne narządy także współdziałają ze sobą w ramach konfederacji zwanych układami, koordynujących określone grupy czynności. Wyróżniamy dwanaście takich układów: kostny, mięśniowy, układ powłok ciała (skórny), trawienny, moczowy, oddechowy, krążenia, limfatyczny (chłonny), hormonalny (wydzielania wewnętrznego), nerwowy, immunologiczny (którego

zadania częściowo pokrywają się z zadaniami układu chłonnego) i rozrodczy.

- Poszczególne części niektórych układów, na przykład trawiennego i moczowego, łączą się ze sobą w sensie anatomicznym. Inne, jak układ hormonalny czy immunologiczny, składają się z odrębnych anatomicznie, nieraz bardzo od siebie odległych narządów, tkanek czy nawet małych skupisk komórek połączonych jedynie wykonywaniem podobnej funkcji. Układ hormonalny to zespół wielu zróżnicowanych struktur, od narządów, jak tarczyca, po grupy komórek rozsiane w różnych innych narządach o innych podstawowych zadaniach. Elementy układu immunologicznego znajdują się w całym organizmie w postaci skupisk tkanki chłonnej, tak zwanych węzłów, oraz w narządach takich jak śledziona, wątroba i płuca. Choć każdy układ odpowiada konkretnie za jedną lub dwie kategorie czynności służących utrzymaniu stabilności całego organizmu, spełnia też zwykle rozmaite funkcje dodatkowe. Na przykład trzustka jest częścią układu trawiennego, ponieważ jej komórki przez specjalne przewody wydzielają do jelita enzymy trawienne. Zarazem jednak stanowi ważny element układu hormonalnego, ponieważ inne jej komórki wydzielają do lokalnych naczyń włosowatych hormon insulinę. Układ hormonalny, czyli wydzielania wewnętrznego, steruje czynnościami fizjologicznymi za pośrednictwem hormonów i innych substancji przekaźnikowych, które jego komórki wydzielają wprost do krwi; stąd nazwa. Gruczoły, które wchodzą w jego skład, nie potrzebują specjalnych przewodów wyprowadzających - dlatego określa się je jako gruczoły wydzielania wewnętrznego (endokrynne).

- Najbardziej uderzającą cechą wszelkiego rodzaju komórek, tkanek, narządów i układów jest ich organizacja przestrzenna i czynnościowa, zwłaszcza zaś koordynacja ich niezliczonych funkcji. (…) Mózg jest właśnie takim narządem koordynacyjnym, zbudowanym z komórek i tkanek wyspecjalizowanych w odbieraniu bodźców, ich kojarzeniu, przekazywaniu informacji i reagowaniu na nie. Jego swoiste kompetencje, tak jak kompetencje innych narządów, mają niezastąpioną rolę w przetrwaniu jednostki i ułatwieniu jej rozmnożenia się. Jak każda pojedyncza komórka naszego ciała odpowiada i adaptuje się do odbieranych bodźców, by zapewnić sobie dynamiczną stabilność i optymalną wydajność, tak ogromny wachlarz funkcji, który obejmujemy mianem umysłu, musi robić to samo - reagować tak, by trwać w stanie dynamicznej stabilności i czynić

optymalny użytek ze swojego potencjału. Umysł jest przecież produktem tkanek i podlega tym samym co one regułom równowagi i przetrwania. Podobnie jak mózg, który stanowi jego bazę anatomiczną i fizjologiczną, umysł bez wątpienia funkcjonuje tak, by w miarę możliwości dążyć do stanu, który możemy chyba określić jako mentalną homeostazę. Fakt, że udaje mu się to gorzej niż ciału, którego jest wytworem, nie zmienia ogólnych zasad rządzących jego aktywnością. Jak wszystkie zespoły komórek w ciele, tkanka nerwowa adaptuje się do coraz to nowych okoliczności. Jednak ze względu na wyjątkowe, zarówno w sensie ilościowym, jak i jakościowym, możliwości wymiany informacji ze swoimi współtowarzyszami, dysponuje też znacznie większymi możliwościami adaptacji i dostrajania się do wymagań innych struktur organizmu. Integracja poszczególnych elementów mózgu ze wszystkimi innymi elementami oraz zdolność do działania (i to w oszałamiającym tempie) w oparciu o sygnały napływające ze wszystkich innych tkanek ciała to fundament funkcjonowania umysłu, myślenia abstrakcyjnego i w dużej mierze tego czegoś, z czego rodzi się zapierająca dech różnorodność darów nazwana przeze mnie duchem człowieczeństwa. Wszystko to jest możliwe dzięki sposobowi organizacji komórek i ich funkcji. Jak chętnie podkreślają biolodzy, kluczem do życia jednostki i trwania gatunku jest nie tyle organiczna budowa rośliny czy zwierzęcia, ile organizacja i koordynacja poszczególnych elementów, tak aby dopasować je wszystkie do potrzeb całości. (…) Zestrojenie czynności poszczególnych części organizmu i ich integracja w imię wspólnego celu, jakim jest stabilność czy raczej homeostaza, dosłownie zapiera dech w piersiach. Co najmniej od czasów Arystotelesa i jego pierwszej rozprawy na temat embriologii, ale przypuszczalnie i na długo przed nim, najgłębsi myśliciele każdej epoki, starali się pojąć, jak to się dzieje, że zapłodnione jajo przekształca się w całkowicie samodzielnie funkcjonującą istotę ludzką, w której organizmie każda tkanka i każdy narząd spełniają dokładnie tę rolę, jaka jest im w danej chwili przypisana, w służbie dynamicznej równowagi, tej podstawy przeżycia, wzrostu i rozmnażania. Wyjaśnienie niektórych elementów tych procesów przez współczesną naukę może jedynie potęgować tę odwieczną fascynację. Wszystko, rzecz jasna, zaczyna się od penetracji jaja przez jeden z co najmniej 300 milionów plemników złożonych w pochwie kobiety w czasie wytrysku. Potrzebują one tylko około ośmiu minut na dotarcie do szyjki, przewędrowanie przez macicę (na oślep, tak że tylko nieliczne losowo znajdują odpowiednią drogę) i pożeglowanie w górę jajowodu na spotkanie z komórką jajową.

W każdej minucie miliony ich zbaczają z drogi i giną: do jajowodu dociera zaledwie około tysiąca. Wynika stąd, że plemnik może odnieść ostateczne zwycięstwo jedynie wówczas, gdy w tłumie towarzyszy czeka na docierające do jajowodu jajo. Wyobraźmy sobie, jak staje, by tak rzec, oko w oko z tworem 85 tysięcy razy większym od siebie. Gdy dochodzi do bezpośredniego kontaktu, pewne związki chemiczne produkowane tuż pod powierzchnią jaja oraz przez plemnik stwarzają warunki ułatwiające główce plemnika wniknięcie do wnętrza jaja. Ogonek zostaje odrzucony i zanika. W tym momencie w błonie komórkowej jaja zachodzą słabo na razie poznane procesy transformacji, które czynią ją nieprzepuszczalną dla wszystkich pozostałych plemników, którym także uda się dotrzeć do jej powierzchni. Natychmiast też zachodzi kilka innych zjawisk. Komórka jajowa przechodzi drugą mejozę i oddziela się od niej maleńkie ciałko polarne, zanikają błony komórkowe zarówno jaja, jak i plemnika, a chromosomy ojca i matki łączą się w diploidalną liczbę 46. Tak powstała zygota dzieli się na dwie komórki. Każda z nich dzieli się znowu i znowu... a tworzące się z kolejnych podziałów komórki są coraz mniejsze i mniejsze, gdyż muszą dzielić między siebie cytoplazmę komórki macierzystej. Rozszczepiająca się zygota pod wpływem skurczów jajowodu i rytmicznych, wiosłujących ruchów włoskowatych wypustek zwanych rzęskami, wyścielających jego wnętrze, przemieszcza się tymczasem do jamy macicy. - Prof. dr Scherwin! - Wrzasnął naraz Kontroler przerywając brutalnie lektorowi. Won Wścib z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy. - Czyżby plagiat?! - Scherwin! - Koordynator wtórował Kontrolerowi. - Zerżnięte jak nic. - Sapnął Krytyk i się roześmiał. - Ale jaja!! - Pomyślał won Wścib. - Lecz cóż opis ten wspaniały - Lektor nie dał się wyprowadzić z równowagi - ma wspólnego z naszą ludzką, ziemską polityką? - Won Wścib wziął notatnik i coś z wielką uwagą w nim zanotował. - Otóż, polityka zajmuje się głównie tym, aby cała ta wspaniała maszyneria, jej harmonijne zarządzanie, budowanie jej, organizowanie i urzeczywistnianie, nie było możliwe, aby nie była możliwa żadna wspólna organizacja, żadna wspólna współpraca, ani żadne inne wspólne Wspólne! Czy teraz już rozumiecie? - Wykasować całość! - Rozkazał nagle Kontroler. - W tej formie nie mogę tego zaakceptować i puścić! Toż to czysta herezja! - Won Wścib złapał się za głowę. Boże! - Pomyślał. - Chyba tego nie wytrzymam. - Największym dorobkiem naszej ludzkiej polityki - Lektor nie przerwał jednak - jest więc zatem to, że niszczy i zabija nas ona od wieków, od wieków też umacnia w nas błędne od podstaw przekonanie, że to nie ona, że to ktoś,

lub\oraz jacyś obcy Inni, a nawet, że to może i my sami! W przypadku zdrowia fizycznego jednak, każdy z nas dąży jakimiś tylko jemu znanymi drogami do zdrowia i nawet gotów jest do największych wyrzeczeń i największych poświęceń aby go zachować lub\oraz zaraz po utracie, na nowo odzyskać. W przypadku zdrowia politycznego tymczasem, jest z jakiejś nam zupełnie nieznanej przyczyny zupełnie odwrotnie, lub nawet, dużo, dużo gorzej, bowiem w przypadku tym dziwnym nie tylko, że nie jesteśmy gotowi do jakichkolwiek wyrzeczeń czy też jakichkolwiek poświęceń, ale jak gdyby celowo i świadomie (?) go sobie jeszcze niszczymy: nasz odizolowany, oderwany od całej reszty mózg, zajęty najczęściej i tak tylko samym sobą, wysyłając zatem tylko same sprzeczne ze sobą polityczne przekazy - rozkazy i polecenia - niszczy skutecznie harmonijną strukturę całego naszego ciała społecznego, które zresztą samo w sobie samym też zacięcie siebie zwalcza: nasza polityczna wątroba walczy w nas zaciekle z sercem o władzę, grasica z szyszynką o dostęp do awansów i stanowisk, a nerki z płucami o pierwszeństwo we współzawodnictwie, licząc na drogocenne i bardzo ciekawe nagrody lub inne interesujące je profity. Polityka uniemożliwia nam tym samym życie w harmonii oraz dobrej harmonijnej wspólnocie Jedni, umożliwiając tylko trwanie w głupiej wspólnocie - nieuporządkowanym chaosie, stanie poza intelektualnym, poza racjonalnym i poza intuicyjnym, wszędzie tu na naszej Ziemi praktycznie obecnym - współudziale nas wszystkich we wszystkim, lecz jednocześnie bez naszego jakiegokolwiek konkretnego w tym wszystkim udziału, którego najwspanialszym wyrazem jest nasza codzienna ludzka rzeczywistość, obraz naszej planety w całej jego rozciągłości: kłamstwo i iluzja, przemoc, wyzysk, nakaz, wojna i śmierć w męczarniach, jako najwyższe dobro nas wszystkich. - Boże, co za wspaniały materiał dowodowy! - Wyszeptał Kontroler zacierając z zadowoleniem ręce. - Nie ma problemu, dodał Krytyk. Won Wścib nalał sobie pełny kieliszek koniaku i wypił go jednym haustem. - Nie ma problemu. - Powiedział na głos. - Nie ma problemu. - Powtórzył do swoich myśli Koordynator. Won Wścib uśmiechnął się martwo lecz Lektor nadal czytał bez zająknięcia:

- Filozofia ...Najprostsza droga do zniewolenia każdego człowieka wiedzie poprzez poddanie wszystkich ludzi globalnie działaniu tej samej przebiegłej manipulacji. A jako, że człowiek nie nadaje się zupełnie do samodzielnego samostanowienia o sobie samym, stworzymy mu taką filozoficzną bazę życiową, aby tkwiąc w swoim barbarzy-

ństwie po wieki wieków, mógł z zupełnym spokojem, a, i za pozornym przyzwoleniem swojej duszy, realizować tutaj na Ziemi największe swoje zdziczałe ochoty… Jahwe. 24567. Męczennicy myśli. Prof. dr Branini. Wykład 46. Pomimo tego, iż oficjalnie nikt nie uczy nas filozofii w naszych szkołach, ani na naszych uniwersytetach, to wysysamy ją w jakiś dziwny i trudny do wytłumaczenia sposób wraz z mlekiem naszych matek, a przez to, staje się ona nierozłącznym oraz z pewnością jednym z najważniejszych składników naszego nieświadomego tu życia, naszą szarą eminencją, siłą decydującą w naszym życiu wespół z emocją i instynktem o wszystkim - o tym co, i o tym jak - czyli, o naszych teraźniejszych, oraz o wszystkich naszych przyszłych skłonnościach, przyzwyczajeniach i poglądach, a przez to, globalnie, o naszych wszystkich uczuciach, myślach i czynach. Będąc więc bezpośrednio bazą i fundamentem naszego ziemskiego tu bytowania - jego organizatorką, zarządczynią i kontrolerką w jednym, Filozofia określa kierunek w jakim będziemy tu żyć oraz jego zasady, a więc nie tylko nasze życiowe role, ale i sposób ich odgrywania, stając się często tym samym i twórcą, i sztuką, i teatrem, i reżyserem, i aktorem, i widzem jednocześnie.

- Niezależnie jednak od tego ku jakiemu to życiowemu uzasadnieniu naszych tu poczynań skłoni się nasz subiektywnie zaprogramowany intelekt, na najgłębszym jego poziomie życie jak gdyby samo zadecyduje o tym, jakie będą jego koleje, a więc i o tym, jakie będą i nasze, zostawiając nam tylko niewielki margines możliwości. Lecz to właśnie on, ten malutki, malusieńki margines jest taki ważny, najważniejszy, bo to właśnie on zadecyduje o tym, czy będziemy tu ludźmi, czy tylko ubezwłasnowolnionymi, biologicznymi rurami samotrawiąco-wydalającymi - automatami w rękach innych!

Gnotis te auton: autorytet mądrości i dobroci jednostki w konflikcie z samolubstwem, żądzą, pychą i zawiścią, czyli przeciętną normą władzy. Prolog. Przed godziną obejrzałem zupełnie przypadkowo w pierwszym programie naszej społecznej telewizji reportaż z Aten, gdzie trwają właśnie przygotowania do podpisania Traktatu Europejskiego - naszego wejścia do EUZZ. Reporterka pierwszego programu TV z wielkim pietyzmem, zachwytem, upodobaniem i uporem powtarzała wielokrotnie o wielkim znaczeniu greckiej cywilizacji dla całego współczesnego cywilizowanego świata, mówiąc o Atenach jako kolebce najwspanialszej filozofii i kultury, matce całego, jakże w jej określeniach wzniosłego, europejskiego, współczesnego

życia. Aby wyrównać jednak zachwiane w między czasie potencjały, aby prawdzie jednak stała się zadość, przypomnę wam teraz choć trochę greckiego barbarzyństwa, czyli greckiej tyranii, prywaty i niewolnictwa, greckiej nienawiści, zazdrości i chciwości, greckiej zawiści, pychy i nieposzanowania życia, greckich wojen, morderstw i innych przerażających wyczynów, w których i my, z jakichś dla reporterki tej wyraźnie nieznanych przyczyn i powodów, a może po prostu nikt jej wcześniej tego nie nauczył, albo nauczył, ale zakazał o nich mówić, najchętniej tu na naszej współczesnej, europejskiej Ziemi gustujemy, i które to właśnie stały się jej podstawową historyczną spuścizną, a naszym codziennym, europejskim życiem. Za przykład niech posłuży nam Egina - współzawodniczka Aten - która pokonana nie dawała jednak Ateńczykom spokoju. Perykles nazwał ją nawet „plamą na oku Pireusu, którą należy zetrzeć za wszelką cenę". Zaledwie więc wybuchła wojna peloponeska, Ateńczycy zajęli Eginę, po prostu ją konfiskując. Całą ludność przepędzili, a ziemię i dobytek rozdzielili wśród siebie. Jeżeli wierzyć Tucydydesowi, egińczyków po prosu wymordowali, jak jednak twierdzą co bardziej delikatni dziejopisarze, obcięli im jedynie kciuki, aby nie mogli służyć im inaczej, niż tylko w roli wioślarzy! A była to tylko Egina.

Historia największego greckiego myśliciela wszechczasów - Sokratesa - jest jeszcze straszniejsza. Za to, że odważył się wystąpić w obronie Mądrości, Miłości i Dobroci właśnie, Ateńczycy otruli go po prostu i już! Jak widać zatajanie, pomijanie lub upiększanie najważniejszych faktów historycznych, stało się nie tylko modą dwudziestego wieku, ale i jego polityczną koniecznością - w żaden inny bezkrwawy sposób nie można by najprawdopodobniej w tak krótkim czasie nas wszystkich tu na Ziemi tak pięknie ogłupić i poróżnić do tego jeszcze skutecznie, czyniąc z nas tym samym bezwolne stado hodowlane - tak łatwe i tak przyjemne do hodowania.

W filmie Luchino Viscontiego Zmierzch Bogów, z łatwością dostrzec można siły, które nie tylko powodują odpowiednio przerażające zachowania ludzkie, ale i bezpośrednio też nimi sterują. W codziennym życiu sił tych jednak z taką wyrazistością dostrzec nie sposób. Niezależnie jednak od tego, i to jak mi się wydaje, w każdych czasach, i za panowania wszelkich możliwych władców - i tych dobrych z pozoru i tych złych - ujawniają się w dziejach naszego życia tu na Ziemi dwie przeciwstawne tendencje. Pierwsza przypisuje sobie prawo dyktowania oraz narzucania innym, w razie potrzeby i siłą,

a i przemocą, wszelkich doktryn i zasad podawanych nam jako konieczne, nieuchronne, jedyne i jedynie poprawne, a i prawdziwe, i dobre dla nas wszystkich. Druga - przeciwna, żąda swobody i wolnej dyskusji, poddania wszelkiego autorytetu pod władzę mądrości i sumienia, upominając się o prawo niezależnej analizy wszelkich dogmatów oraz protestując przeciwko przemocy i gwałtom popełnianym na samej myśli oraz na ludziach ją głoszących. Jeżeli pierwsza tendencja opiera się na, lub\oraz wspomaga tylko korzyści nielicznych w utrwalaniu i zachowaniu raz zdobytych już przez nich, ich wspaniale cudownych pozycji, tak druga zmierza w kierunku ochrony niepodległego myślenia, swobodnego szukania prawdy, oraz rozwiązań najlepszych i najtańszych ze wszystkich możliwych i dostępnych w danym momencie, a więc skłania się ku mądrości, odwadze, miłości i dobroci, a przez to, ku nieograniczonemu używaniu społecznego rozumu jako całości. Cóż bowiem bardziej oczywistego nad prawo to tkwiące nieodłącznie w osobie ludzkiej? Ale też zarazem, cóż bardziej niż ono podważane i z większym tu na Ziemi tłumione gwałtem…? Pierwsza będąc więc domeną samych tyranów i głupców służy jedynie prywacie, wyzyskowi, niewolnictwu i śmierci, niszczy tym samym tę drugą, niszcząc od zawsze z takim trudem wypracowywaną naszą prawdziwą demokrację ludzką, a więc sumienie nasze i mądrość, uniemożliwia nam bowiem od zawsze bezpieczne życie w mądrej wspólnocie, obdarowując nas w zamian jedynie głupią wspólnotą - wyzyskiem, strachem, nienawiścią i śmiercią. - Przecież to Prof. Baarniinii! - Wrzasnął zajadle Kontroler. - W mózgu won Wściba zapaliła się kolejna, ostrzegawcza lampka. - Barani, idioto! - Wykrzyczał na to Krytyk. - Ani nie Baraniinii, ani nie Barani! Barany! - Skarcił ich obu won Wścib. - Tyle to już powinniście wiedzieć, osły! - Wziął notatnik i znowu coś w nim z wielką uwagą zapisał. - Przykłady - Lektor wskoczył w tę nagłą pustkę niczym najzręczniejszy dryblingator. - Bezzasadna śmierć Miłości, Dobroci i Mądrości. Sokrates - czwarty wiek przed JazUą. Ateny. Po dwóch stuleciach rozwoju filozofia grecka błądzi w jałowych spekulacjach nad początkiem rzeczy, albo też rzuca się w lekkomyślny sceptycyzm, który wrodzoną wiedzę i mądrość ludzką sprowadza do sztuki dowodzenia i przekonywania z równą mocą za - za, jak i za - przeciw. Religia grecka to zbiór fantastycznych i frywolnych baśni o Zeusie - panu bogów i ludzi, rozpustnym, lubieżnym i porywczym, o bezwstydnej Afrodyty, o Hermesie - bożku wymowy i złodziei... już od dawna budząca lekceważenie w umysłach wykształconych oraz niedowie- rzanie u szarego, pospolitego człowieka. Nie lepsze od

filozofii i religii, są i greckie obyczaje hołdujące swobodnemu wyzyskowi i niewolnictwu, bowiem teraz mężczyźni uważają kobiety zupełnie oficjalnie za niegodne kochania, tak też kobieta zepchnięta do gyneceum i - potrzebna jedynie do zachowania gatunku - nie znaczy właściwie nic. Jest również niewiele warta…Kiedy Damastanos domaga się w sądzie skazania prostytutki, niesłusznie jego zdaniem podającej się za obywatelkę, tak podsumowuje antyczną obyczajowość Greków: Nasze kochanki utrzymujemy dla przyjemności, niewolnice, żeby nam codziennie usługiwały, a żony, żeby rodziły nam prawowite dzieci i utrzymywały dom.

Tak też Grecja to przykład prawdziwego *civitas*, państwa konserwatywnego, okrutnego i bezlitosnego, opierającego swoje istnienie na prawach siły i przemocy, a nie mądrości, sprawiedliwości i równości. I to właśnie taką oto cudowną Grecję zastaje w Atenach Sokrates, i taką też zamierza zreformować. Poznaj samego siebie - słowa te umieszczone na frontonie delfickiej świątyni, poruszają go aż do głębi. Umożliwiają mu bowiem wgląd w istotę bytu, a przez to i zrozumienie, że poznanie samego siebie jest początkiem wszelkiej mądrości, bowiem tylko tym sposobem człowiek jest w stanie określić miarę swojego rozumu oraz zakres swoich obowiązków. Znaj samego siebie - ta prosta myśl zawiera w umyśle Sokratesa nie tylko pewien program reformy filozofii, ale i religii, obyczajów i polityki. Błądzimy nie dlatego, że jesteśmy źli - mówi Sokrates - ale dlatego, że nie wiemy co jest dobre. Z niepozbawioną ironii przesadą twierdzi: Co do mnie, wszystko to co wiem, to jest to, że nic nie wiem. Tak też i naucza. Ciało fizyczne jest więc dla niego jedynie narzędziem duszy, a cel życia odnajduje nie w zadośćuczynieniu potrzebom i zachciankom fizycznym, ale rozwijaniu zdolności moralnych. Dowodzi, że we wnętrzu każdego z nas jest światło, którego blask ujrzymy, jeżeli ocalimy naszą duszę przed zdeprawowaniem (zdemoralizowaniem i ubezwłasnowolnieniem). Wierzy w możliwość odnalezienia we wnętrzu każdego człowieka wiedzy podstawowej i prawdziwej, albowiem, jak sam to mówi każdy z nas nosi ją w sobie. Dlatego też odwołuje się do indywidualnego sumienia, które jego zdaniem było, i jest jedynym pewnym źródłem mądrości i moralnego osądu nas wszystkich. Naucza, że odróżnienie sprawiedliwości od niesprawiedliwości, czy też dobra od zła, nie jest, jak mniemają sofiści, wyborem samowolnym, opartym na sile, bądź konwencji, lecz najgłębszemu, wewnętrznemu zaufaniu swojemu sumieniu. Ponad rzekomym prawem siły, zdaniem Sokratesa, istnieje bezwzględne prawo

sprawiedliwości, a ponad wszystkimi prawami pozytywnymi (pisanymi) - prawa przyrodzone (niepisane), i że w nich właśnie, a nie w tych pierwszych, należy szukać wszelkiej sprawiedliwości. Przypomina także o konieczności przestrzegania cnoty (okresowej wstrzemięźliwości), bez czego ludzie nie mogą, nie są, i nie byliby w stanie doznawać prawdziwego szczęścia. Taka jest w olbrzymim skrócie doktryna obyczajowa, którą Sokrates przeciwstawia filozofii swojego wieku i za pomocą której pragnie oczyścić religię, poprawić obyczaje i zhumanizować politykę. W filozofii określa się tę doktrynę jako kult czysto moralny. Z niego to też wynika jego dogłębne przekonanie, które w jego reformowaniu polityki wyraża się bezwzględną sprawiedliwością, której normę i miarę stanowią prawa jednostki uniezależniającej się tym samym od wszechmocy państwa, oraz jej indywidualne sumienie i mądrość. Dlatego też głównym zajęciem Sokratesa jest wychowanie i nauczanie młodzieży. Przygotowując ich do roli mężów stanu, retoryków i urzędników państwowych, wykłada im konieczność nie tylko nabycia wiedzy ścisłej, dotyczącej spraw położenia samej Rzeczypospolitej, ale przede wszystkim zasady sprawiedliwości, powściągliwości i uczciwości. Krytykuje gwałtownie instytucje państwowe gdy przeczą swoją działalnością sprawiedliwości, oraz z narażeniem życia, każdą tyranię. Sokrates nie jest przy tym ani pisarzem, ani profesorem, nie tworzy żadnych dzieł, nie utrzymuje żadnej szkoły, lecz obecny jest wszędzie tam, gdzie się licznie gromadzą ludzie: na agorze, w gimnazjach, w domach prywatnych, na placach, targach i w urzędach. Pierwszy nawiązuje rozmowy albo polemikę z tymi zwłaszcza, których uważa się ogólnie za szczególnie mądrych, lub z tymi, którzy sami się za takich uważają. Najczęściej jednak większość tych rozmów ujawnia tylko obiegową, płytką i jałową wiedzę jego rozmówców. Sokrates obnażając ją więc ze znaną sobie zajadłością, krytykuje słabości swych polemistów kwestionując jednocześnie ich prawo do decydowania w sprawach ogółu, a więc w sprawach społecznych i politycznych. I to za to właśnie zapłaci swoim życiem, zostanie bowiem nagle, bez jakiejkolwiek możliwości sprawiedliwej obrony, skazany na śmierć przez otrucie. Wyrok wykonają Ateńczycy bez zmrużenia powiek, choć, jak podają liczne przekazy, z licznymi jednocześnie łzami (?!) w ich mądrością przepełnionych oczach…

- JoshUa - Cztery wieki później. Akada. - Jaka JoshUa??!! Jakie Akada??!! - Zapytał zaczepnie Kontroler. - Przecież nie było żadnej… - Jezus - zacytował Krytyk - to… - Ludzie!!! Oszaleliście?! - Krzyknął

na to Koordynator. - Jutro rano rozpoczyna się proces! I to jest najważniejsze! - Historia Jezusy Chrystuzy z Akady zwanej także JoshUą jest nam najlepiej znaną, nie będę się więc o niej zbytnio rozpisywał. - Won Wścib jednym energicznym ruchem wyrwał łącze. Ciężko odetchnął. Nalał sobie koniaku i wypił go jednym haustem. Nalał sobie drugi kieliszek i znowu go wypił. Wyłączył wzmacniacz, po czym wpiął łącze ponownie. - Wystarczy jak powiem - rozpoczął Lektor - że JoshUa to kobieta o wyjątkowej mądrości i wyjątkowej dobroci, gorąca propagatorka Enkowskiej idei Ogólnej Możliwości - czyli ogólnej, dostępnej wszystkim ludziom globalnie, wrodzonej nam wszystkim, możliwości wzajemnego i odwzajemnionego braterstwa i współpracy oraz prawa do kochania - do dawania i brania miłości bez względu na pochodzenie, różnicę klas, czy też ich wzajemne położenie. Skazana za swoje przekonania i ich publiczne głoszenie bezwzględnym wyrokiem kościoła, świeckiego namiestnika oraz tłumu współziomków na śmierć przez powieszenie na krzyżu. Tuż przed śmiercią uratowana jednak przez Marianiego. Matka jego dzieci, w tym i Jakuba IV, króla Szkocji. - Toż to gorsze od herezji!! Wrzasną na to Kontroler. - Domagamy się kary dla terrorysty! - Powiedział poważnie Koordynator. - Boże… - Wyszeptał won Wścib.

- Hypatia - Rozpoczął Lektor. - Osiem wieków później. Aleksandria. Znacie Hypatię? Słyszeliście o niej? Ja, muszę się wam przyznać, że nawet jak o niej gdzieś i kiedyś słyszałem, to zapomniałem o niej już w międzyczasie zupełnie. A przecież Hypatia była kobietą wyjątkową, bo to ona właśnie była najznakomitszym filozofem aleksandryjskim piątego wieku. A do tego była jeszcze kobietą o wyjątkowej piękności, o wyjątkowej mądrości i wyjątkowej dobroci. Podobnie też do Sokratesa i JoshUi pragnieniem jej najgłębszym było to samo uzdrowienie człowieka, a przez to i państwa, i kościoła. Hypatia walczy więc wszędzie tam gdzie może występując publicznie przeciwko tyrani, niesprawiedliwości, przeciwko wyzyskowi i niewolnictwu, twierdząc, że człowiek od urodzenia ma możliwość zmiany, że może być dobrym, mądrym i współodczuwającym, że nie musi bez przerwy walczyć i zabijać, i że ta jego postawa jest w nim samym zupełnie niezależna i zupełnie niezawisła, nie zależy bowiem od nikogo - ani od postawy kościoła, ani od postawy państwa, lecz od niego samego samiusieńkiego - bowiem od jego wewnętrznego światła - wewnętrznego sumienia, wewnętrznej mądrości i wewnętrznej sprawiedliwości ponad wszystko.

W roku 412 biskupem Aleksandrii zostaje Cyrulus, kanonizowany oficjalnie przez kościół. Będąc następcą swojego stryja, biskupa Teofila, wyjątkowego tyrana i pedofila, okazuje się błyskawicznie jeszcze bardziej żądnym władzy i krwi, a będąc z natury jeszcze bardziej porywczym i jeszcze bardziej gwałtownym od swojego i tak nie przebierającego w środkach poprzednika, nie przychodzi mu to trudno. Jak twierdzą liczne zapiski historyczne, pewnego dnia roku 414tego po JoshUi, przechodząc obok domu Hypatii, zostaje zatrzymany przez tłum gromadzący się tam dla wysłuchania jednego z jej licznych wykładów. Widząc ów wielki napływ spragnionych wiedzy słuchaczy, ogarnia go tak wielkie uczucie zazdrości, zawiści, próżności i pychy, że publicznie poprzysięga jej śmierć, i choć - jak zaświadcza piszący o tym Damacjusz - nie wiadomo czy biskup posunął się rzeczywiście aż tak daleko, aby nastawać rzeczywiście publicznie na życie tej poważnej dla niego konkurentki, jednakże zarówno wcześniejsze jego postępowanie, jak i późniejsze wydarzenia, choć jednoznacznie nie dowodzą jego osobistego udziału w tej okrutnej zbrodni, to jednak bardzo silnie zważają na szali wskazując w jego kierunku, bowiem pewnego dnia roku 415tego, kiedy Hypatia wyjeżdża właśnie ze swojego domu, tłum szaleńców (?!) pod dowództwem pewnego Piotra, jak się później okaże - lektora kościoła Cyrulusa, porywa ją z powozu i wlecze do jego kościoła. Tam obnaża ją z szat, przywala masą kamieni, dachówek i skorup garncarskich, po czym rozszarpuje jej ciało na kawałki, a na koniec, jak gdyby tego wszystkiego było jeszcze im wszystkim zbyt mało, odbywa pochód z resztkami jej ciała po ulicach Aleksandrii, aby spalić je wreszcie w miejscu zwanym Cinaron. I tak właśnie kończy życie jedna z najznakomitszych filozofek aleksandryjskich, orędowniczka mądrości, miłości i dobroci, sprawiedliwości i równości - Hypatia, wyjątkowa kobieta o wyjątkowej piękności, mądrości i dobroci, której jedyną przewiną była właśnie jej piękność, jej mądrość, i jej dobroć. Lecz ludzie zadający jej śmierć, żyją jakimś cudem nadal - nikt nie zostaje oskarżony, skazany, lub w jakiejkolwiek innej formie pociągnięty do odpowiedzialności. Mogą się więc w wiekach późniejszych posunąć do jeszcze straszniejszych zbrodni. Co też z dziką rozkoszą i czynią.

- Giordano Bruno - szesnaście wieków później. Rzym. - G. Bruno. Rzym! - Wrzasnął Kontroler. - Kurwa w dupę jebana mać!!! - Wrzasnął na to won Wścib. - Co za kretyn wymyślił ten program??!! - To pański program, profesorze! - Powiedział spokojnie Koordynator. - 12.11.1999. Patent UP numer 21019315797. - Może Giordano

Bruno nie jest tak rzutki w swoich poglądach - przekrzyczał ich wszystkich lektor - jak jego poprzednicy, nie zmienia to jednak faktu, że to, co myśli i głosi, prowadzi go w prostej linii na stos. - Muszę ich wszystkich wyłączyć. - Pomyślał won Wścib. I: - Mam definitywnie dosyć waszych uwag! - Krzyknął. W ciszy która raptem zapadła, usłyszał: - Będąc gorącym zwolennikiem, propagatorem i obrońcą teorii kopernikańskiej oraz jednocześnie zagorzałym przeciwnikiem wszystkiego tego co arystotelesowskie, ląduje w końcu w lochach wspaniałej Wenecji, a potem i Rzymu, w których spędza co najmniej lat osiem, aby po latach tortur i ostatniego upodlenia, dziewiątego lutego 1600nego roku, spłonąć żywcem na rzymskim placu Flory - zgodnie z wyrokiem rzymskiego trybunału pełnego łagodności i bez przelewu krwi, jak określili ten sposób umierania prokuratorzy kościelni wydając Bruna władzy świeckiej, celem jego wykonania. - Zrezygnowany won Wścib rzucił się na fotel. - Dawaj! Aby szybko! - Pomyślał.

- Może Giordano Bruno - Przyspieszył Lektor - nie był rzeczywiście aż tak piękny jak Hypatia, i tak kontrowersyjny jak Sokrates, był jednak tak jak i oni istotą kochającą życie do szaleństwa, miłującą prawdę, sprawiedliwość, honor i odwagę, których to właśnie cech nauczał publicznie na Uniwersytetach całej Europy, i z których to Uniwersytetów, i to we wszystkich tych krainach łącznie: i z Włoszech, i z Niemczech, i z Francji, i z Anglii, i z Holandii, i z Hiszpanii, został brutalnie papieskim listem gończym usunięty, i za które to właśnie skazali go w końcu na śmierć w płomieniach jego wspaniali ziomkowie. A wyrok ten, za przyzwoleniem i pełną akceptacją Piusa V-tego oczywiście, nie tylko wykonali z dziką rozkoszą, ale, jak sam to ów papież zaznaczył w swoich pismach: …nie sądźcie mili aby było cośkolwiek milszego Bogu, jak ścigać jawnie jego nieprzyjaciół przez pobożną żarliwość ku religii katolickiej, stał się naturalnie dla wielu właśnie tym rodzajem miłości, tą czystą inspiracją pobożności, dobrego, godziwego życia, a z czasem i ich celem głównym, pomógł im bowiem bez żadnych wyrzutów sumienia, czy chociażby jakiejkolwiek malutkiej zadumy nad sensem, czy też i celem takowych działań, łamać kołami, torturować, gotować w smole i palić na końcu tej drogi, żywcem na stosach całej Europy ponad 16 milionów ludzi - najdzielniejszych, najodważniejszych i najmądrzejszych ze wszystkich ówczesnych mieszkańców europejskiego świata!

- Kazimierz Łyszczyński - osiemnaście wieków później. Warszawa.

Jest rok 1689, jesteśmy na Zamku Królewskim, gdzie odczytują właśnie sentencje tegoż wspaniałego, i jakże humanitarnego wyroku: Jego Królewska Mość z senatorami…. raczy uznać, iż tenże Łyszczyński zasłużył na najcięższe kary, cięższe od kryminalnych, i wyrokuje w związku z tym co następuje: Naprzód pisma jego ateuszowskie, gdy je trzymać będzie w prawej ręce na rusztowaniu wystawionym na Rynku Starej Warszawy, zostaną spalone przez kata, sam zaś obwiniony wywieziony za Warszawę, tam na gorejącym stosie żywcem spalony zostanie. Ponadto dobra jego zostaną zabrane, dom, w którym mieszkał zburzony i plac, na którym takowy stał, na wieczne czasy pustką pozostawiony będzie. I rzeczywiście. Palą Łyszczyńskiego na stosie. Odbierają mu mienie. A słuch o tym wszystkim ginie w mrokach wspaniałej przecież polskiej historii walecznych królów, mądrych obywateli i wielkiego - od morza do morza - państwa. - I co?! Słuchamy tych bredni dalej?! - Zapytał zaczepnie Krytyk. - Czy nie robimy nic?! - Lecz gdy nikt nie zareagował na jego zaczepki, Lektor spróbował jak zwykle wskoczyć w powstałą w ten sposób pustkę, lecz dosłownie w tej samej chwili zadzwonił telefon: - Dryńńńńń… Dryńńńńńńńńń… - Dzwonek dzwonił natrętnie, lecz won Wścib potrzebował dobrych dwóch minut aby oprzytomnieć. Gdy wreszcie dotarło do niego to, że to jego własna komórka, zerwał się jak oparzony. Wyrwał łącze i nieprzytomnie rozejrzał się po gabinecie, przerzucił papiery na biurku, i dopiero teraz zorientował się, że komórkę ma przypiętą do paska. Wyszarpnął telefon jednym energicznym ruchem i go uruchomił. W słuchawce usłyszał od razu głos Dziewica: - Masz podgląd, profesorze! Natychmiast włącz monitor! Na trzynastym! - Won Wścib zaskoczony totalnie tym co usłyszał i ciągle jeszcze jakoś mało przytomny zaczkał w słuchawkę: - Udało się wam?!! - Lecz odpowiedzi się nie doczekał, bowiem Dziewica nie było już od dawna po drugiej stronie. Tym niemniej wiadomość ta otrzeźwiła go na tyle, że dość energicznie podszedł do monitora i go włączył. Na ekranie zobaczył od razu Urszylla w jakiejś dość dużej, kwadratowej sali, przypominającej na pierwszy rzut oka obszerne, uniwersyteckie prosektorium. Wokół wydzielonego na środku prostokąta wznosiły się dość wysoko miejsca siedzące. Sala była wypełniona po brzegi, ludzie siedzieli na dostawionych naprędce krzesłach, a nawet na podłodze i parapetach dużych, przeszklonych okien. Urszyll stal na środku i coś właśnie tłumaczył. Won Wścib pokręcił regulatorem głośności. - …Nigdy nie zostaniecie żadnymi Mistrzami Magicznego Rzemiosła, bowiem nie umiecie patrzeć! - Usłyszał.

DAŁN ŁAN TRZECI

Jeżeli pozostaniecie nadal w mroku swych przekonań nigdy nie dopuszczając JEJ do głosu oraz nigdy nie obdarzając wszystkiego i wszędzie właśnie NIĄ, nigdy nie zmienicie swojego losu, bowiem nigdzie ani w niczym nie znajdziecie tego, czego poszukujecie dzisiaj, lub kiedykolwiek poszukiwać będziecie.

Enki-el, 8 875 lat, 30 miesięcy i 7 dni przed JoshUą.

Monitor GAPa zamigotał i zgasł. Wielki przeciągnął się i wstał. Otrzepał spodnie z piasku, marynarki jednak nie założył. Było tak cudownie ciepło, a do spotkania pozostało jeszcze trochę czasu. Ocean szumiał delikatnie, a łagodny zapach pomarańczy koił błogo jego rozbiegane myśli. Po chwili, w której się przeciągał jeszcze, ruszył powoli długą, słoneczną plażą wdychając z uwielbieniem słodki zapach kwitnących właśnie pomarańczy. Pomimo doskonałych, najnowszych wiadomości o wydarzeniach w centrali, nie spieszył się. Szedł uśmiechnięty. Rozluźniony. Stopiony wspaniale z otoczeniem. Termin spotkania wybierano zawsze o tej porze roku i, o tej porze dnia, ponieważ wszyscy jego uczestnicy lubili je najbardziej. Wieczna wiosna, słońce, wiatr, młode, opalone ciała kobiet, Le Collier i Monder Par, ulubione dawidowy, wyśmienita, chińsko japońska kuchnia, spokój, pewność wygranej i nieograniczona ilość czasu do dyspozycji. Tylko to i właśnie to. Spotkania, uśmiechy, romanse i tańce. Słońce, wino i miłość. Spacery i przejażdżki. Słodkie leniuchowanie. Pieszczoty i muzyka. Tańce.

Gdy już cała dziewiątka rozsiadła się wygodnie w swoich klubowych, skórzanych fotelach klubu Axelsior, najwspanialszego hotelu na wyspie, Wielki zaciągnął się swoim ulubionym Dawidowem, a na ten znak Główny Konsultant Koordynator - najnowsze osiągniecie Departamentu Molekularnej Kwantotroniki - spoglądając ciepło po zebranych i rozbrajająco się do wszystkich uśmiechając zagaił: - Pragnę wam przypomnieć Panowie, że obrady nasze objęte są całkowitą tajemnicą, której, tak jak to postanowiono na spotkaniu w 345 roku, najmniejsze nawet uchylenie lub najmniejsze nawet odsłonięcie, nie wspominając, i nie mówiąc już o jej całkowitym przez kogoś z was złamaniu, grożą każdemu z was niechybną śmiercią, i to śmiercią w strasznych męczarniach. Mam więc nadzieję.... - Główny Konsultant Koordynator rozejrzał się uważnie po sali, lecz nikt nie zareagował. Wszyscy przyzwyczajeni byli do tej reguły i wszyscy ją też akceptowali. Wielki skinął głową. - Zajmę się teraz tym, na co już od dawna wszyscy czekacie. - Nadal ciepło się do wszystkich uśmiechając płynnie przeszedł do sedna tematu. - W tym roku nie zależało nam już tak bardzo na sile, jak w latach poprzednich. Dlatego też największy

nacisk położyliśmy już nie na całkowitym - globalnym - uzależnieniu wszystkich żyjących tu na Ziemi ludzi od naszej organizacji, od nas tu zebranych, jak i od naszych pieniędzy, oczywiście - to w końcu osiągnęli już przed latami nasi dostojni poprzednicy - lecz przede wszystkim na takim ugruntowaniu i ustabilizowaniu naszej międzynarodowej i nad narodowej pozycji, oraz takim pokierowaniu naszą międzynarodową jak i nad narodową działalnością, aby nasze wspólne, ciągłe, nieprzerwane, wielowiekowe pozostawanie i działanie w ukryciu, i to, jak sami to w końcu dobrze wiecie, we wręcz doskonały sposób, w końcu nikt z niewtajemniczonych przez te ostatnie wieki nie tylko nie potrafił, ale też żadnym sposobem nie mógł - i nie wpadł - na ślad naszej tu działalności, zbliżyło się ku końcowi. Nadszedł już taki czas - odpowiednie upoważnienia leżą przed każdym z was ujęte w punkcie czwartym - kiedy całkowite przejęcie władzy nad światem i rozpoczęcie naszych oficjalnych rządów tu na Ziemi wydaje nam się najwyższą koniecznością. Za zgodą więc i przyzwoleniem Rady Najwyższej, dokładnie przed rokiem przystąpiliśmy, z wielką ochotą i wielkim zaangażowaniem oczywiście, do dzieła. Rozwinęliśmy, rozbudowaliśmy, unowocześniliśmy i uruchomiliśmy wiele innowacyjnych programów i przedsięwzięć, i to prawie we wszystkich dziedzinach życia, uzależniając i wyzyskując ponad 98% ludzkiego społeczeństwa w ponad 159-ciu państwach, i to na wszystkich kontynentach. Jak nigdy dotąd, i to tylko przez ten ostatni rok, udało nam się skutecznie poróżnić, a potem już na naszych warunkach pogodzić, 387 grup społeczno politycznych w 56-ciu państwach, w tym w 16-stu były to konflikty zbrojne, w których Departament Innowacji mógł wykorzystać i wypróbować wszelkie nowe rodzaje broni łącznie z psycho ultra morfingiem, a w pozostałych, konflikty mieszane, przeprowadzone z pełnym powodzeniem przez Departament Polityki i Zarządzania pod znanym wam wszystkim doskonale kryptonimem, Sattan: powołaliśmy 36-ciu nowych prezydentów, tworząc nowe, sprzyjające naszym celom systemy państwowe oraz 17-stu ministrów finansów; kupiliśmy następne 4-ry państwa sprzedając z zyskiem 8-em, a nasz system finansowy SattBank schłodził zapędy gospodarczo monetarne w 13-stu państwach, uzyskując pełne poparcie 97-miu rządów, 128 ministrów finansów, oraz 314-stu niezależnych grup ludzkich. Zajęliśmy tym samym pierwsze miejsce we wszystkich ekonomicznych notowaniach giełdowych 149-ciu państw, co przyniosło nam, i to tylko w zeszłym roku, miliard bilionów dolarów czystego zysku. - Brawo... Brawo...! - Zebrani klaskali z ukontentowaniem dając oficjalny wyraz swojemu

zadowoleniu. Niektórzy wstali, i nawet Wielki zaciągnąwszy się cygarem pokiwał z uznaniem głową. Główny Konsultant ukłonił się wszystkim nonszalancko i znowu, z wyraźnym samozadowoleniem ciepło się do wszystkich uśmiechnął. - Jednym z największych naszych sukcesów - rozpoczął - tuż po finansowym, było unowocześnienie oraz właściwie bezproblemowe wdrożenie przez Departament Reedukacji, naszego najnowszego systemu informacyjno edukacyjnego oraz Projektu Ejtju, w pozostałych 25-ciu państwach. Pozyskanie następnych 18-stu w roli członków oczekujących, w tym ośmiu z byłego bloku wschodniego, nie stanowiło już żadnego problemu. Projekt Ejtju, jak pewnie to już wszyscy wiecie - opisaliśmy go dokładnie w punkcie szesnastym - pomimo tego, że sami najprawdopodobniej nie będziemy go już potrzebować ani wykorzystywać - umożliwia i pozwala wszystkim zainteresowanym tu na Ziemi tak manipulować każdą informacją, aby pospolici ludzie nie mogli i nie potrafili się w niej rozeznać, ani jej prawdziwej treści zrozumieć, równocześnie umożliwia każdemu z zainteresowanych taką kontrolę wszystkich tych ośrodków, które tej kontroli zechcieliby poddać, i to do tego na zasadach konstytucyjnych, z pełnym zaangażowaniem, całkowitym oddaniem i wszelką pomocą lokalnych służb politycznych, wojskowych i porządkowych, na jaką będą mieli ochotę. Nasz Departament Elektronicznej Re**e**informacji, za pomocą sieci naszych satelit, naszych masmediów, naszych placówek naukowych, naszych uniwersytetów i naszych rządów, rozprzestrzenił i wdrożył już w życie we wszystkich 159-ciu państwach nie tylko sprzeczne ze sobą, ale wręcz nawzajem się wykluczające pakiety informacyjne, które skutecznie uniemożliwiły przeciętnym, pospolitym ludziom jakiekolwiek rozeznanie się w otaczającej ich rzeczywistości. Jak żadnemu z naszych poprzedników, tak nam, udało się również tak pokierować ludźmi, że wydaje się nam, a nawet jesteśmy tego pewni, iż uwierzyli wreszcie w to, że do tego, aby mogli przeżyć tu na Ziemi, jesteśmy im nieodzownie potrzebni, i to co najmniej tak, jak świeże powietrze do oddychania, lub nawet jeszcze bardziej. Powołany w zeszłym roku przez Departament Nadzoru i Bezpieczeństwa zielony bufor złożony z wykreowanych przez Departament Odnowy i Modelingu naszych najbardziej zagorzałych przeciwników, krytyków i krytykantów, których tak jak to w zeszłym roku zarządziła Rada Najwyższa, pozyskaliśmy osobiście, osobiście stymulując i finansując odpowiednio odpowiednich ludzi, oraz zachęcając ich wszystkich jednocześnie do rzetelnego poszukiwania prawdy, do nie poddawania się żadnym trudnościom, i to w każdej

stymulowanej przez nas dziedzinie, okazał się rozwiązaniem idealnym. W ten oto prosty sposób w stworzonej przez nas poglądowej dwutroistości, gdzie uwagę większości ludzi skupiliśmy na samych mało istotnych zagadnieniach normalnego życia, gloryfikując i odpowiednio nagradzając głupotę, narcyzm i karierowiczostwo, a umiejętnie wyszydzając, wyśmiewając i karząc wszelkie działania pro ludzkie i pro społeczne, mogliśmy jednocześnie nie tylko kontrolować wszystkich, łącznie z całym spektrum naszych przeciwników, ale skutecznie też nimi kierować, dając im do badania tylko te zagadnienia, które sami uznaliśmy za stosowne, i wybierając tylko te opracowania, które sprzyjały naszej tu obecności. Osiągnęliśmy tym samym poziom rozregulowania świadomości równy 30-stemu stopniowi, a wszystko to tylko po to, abyśmy wreszcie wszyscy razem - wspólnie - mogli, i to z najwyższym naszym zaangażowaniem i oddaniem, oddawać się naszej prawdziwej tu działalności, wprowadzając w życie i współrealizując nasze, i jakże już konieczne, panowanie nad całym ziemskim światem, oraz, wszystkie pozostałe plany i wszystkie pozostałe pomysły Naszej Rady Najwyższej. - Wielki, z uwagą słuchając uważnie Głównego Konsultanta Koordynatora, z jeszcze większą jednak uwagą przeglądał jednocześnie biuletyn leżący na jego kolanach. Niedbale paląc Dawidowa odchylił się w fotelu i przerzucił parę kartek. Na stronie szesnastej znalazł wreszcie to, czego szukał: punkt czwarty - Re**e**finanse: opracował prof. dr Cadin Smith - Nations Universiti. Czytać się Wielkiemu nie chciało. Nie lubił tego. Podłączył się więc do łącza i od razu usłyszał głos lektora: - Motto:.. Najprostsza droga do zniewolenia każdego narodu wiedzie poprzez zawładnięcie jego kredytem. Władza należy więc nie tyle do tych, którzy posiadają pieniądze, lecz głownie do nas, bo to my nimi dysponujemy i zarządzamy. Zarządzając bowiem każdym kredytem i rozdzielając go według własnego uznania doprowadzamy krew do organizmu ekonomicznego, którego życie trzymamy w swoim ręku tak, że bez naszej zgody i przyzwolenia, nikt nie może już żyć, a żyjąc już, oddychać. (Jahwe. Encykla Quadregesimo. Anno 431128). Wielki uśmiechnął się wyraźnie zadowolony. - To jest właśnie to. - Pomyślał. - Sama i to do tego wyśmienita kwintesencja wszystkiego, zawierająca w sobie lata, a może i wieki ciężkiej, wręcz katorżniczej, lecz jakże opłacalnej pracy. Być panem wszystkiego... - Westchnął słodko rozpromieniony. - Boże... Chyba to rzeczywiście osiągnęliśmy! - Niecierpliwie przerzucił parę kartek, aż znalazł punkt czternasty: - Re**e**dukacja. - Opracował prof. dr Jass Mengele. Berkley. - Lektor nie pozwolił mu długo czekać: - Część pierwsza. Motto: …Każde-

go człowieka należy uczyć wszystkiego. Aby więc zadbać o człowieka światłego, będziemy zwalczać skutecznie wszelkie prymitywne sposoby wychowania, nie dopuszczając, żeby jakiś zabobon i tak zwana tradycja, niszczyły ludzki potencjał. Dla dobra więc wszystkich ludzi tu na Ziemi, tak będziemy kierować ludzkim wychowaniem, aby każdy człowiek indywidualnie mógł rozwinąć w sobie swoje ukryte możliwości. Niech więc wreszcie ludzkie samolubstwo, ludzka żądza władzy, oraz hipokryzja, zajmą należne im miejsca w procesie wychowania, przesłaniając skutecznie wszelkie inne ludzkie talenty i ochoty. W tym celu, dziecko zaraz po urodzeniu oddzielimy od matki, skazując go tym samym na samotność, bo to ona właśnie decydować będzie o wszystkim. Ograniczymy również do minimum możliwość jego kontaktów cielesnych. Oraz niepożądanych uczuć. Będziemy więc dbając o jego rozwój emocjonalnie, psychicznie i fizycznie tak nim kierować, aby wzmocnić i uszlachetnić w ten sposób, i to na każdej płaszczyźnie, i w każdym wymiarze, jego jakże wątłą z natury, naturę. (Jahwe. Encykla Deus lux. Anno 121578). - Wielki z lubością zaciągnął się cygarem - Gdyby rzeczywiście wszystkich dało się tak wychować... - Pomyślał przerzucając na pozór bezmyślnie kartki, aż jego wzrok nie padł na drugą część referatu. - Re**e**dukacja. - Rozpoczął lektor. - Cześć druga. Motto: ...Każdego człowieka można nauczyć wszystkiego. Każdym człowiekiem da się również pokierować, używając odpowiednio racjonalnych argumentów. Celem więc naszej, globalnej edukacji, będzie takie pokierowanie człowiekiem, aby mógł przyjąć i zaakceptować system stworzony przez Nas tak, aby dojrzewając stał się nie tylko jego biernym uczestnikiem, lecz będąc dobrze z nim zintegrowanym, lub wręcz nierozerwalnie zespolonym, stał się jego jedynym, potężnym adoratorem i obrońcą, jedyną podporą i jedyną ostoją. Szkoła stanie się więc główną instytucją edukacyjną, w której jednocześnie będziemy wychowywać i demoralizować zarazem, w której jednocześnie będziemy kształcić i zniechęcać do nauki, w której będziemy jednocześnie uspołeczniać i degradować społecznie, w której będziemy jednocześnie rozbudzać i odpowiednio tłumić wszelkie zainteresowania, ujednolicając je i zaniedbując, w której będziemy odpowiednio nagradzać wybrańców, i jednocześnie, odpowiednio karać innych (Jahwe. Encykla Generisuris. Anno 41678). - Boże, co za umysł! - Pomyślał Wielki. - Lepiej, nie można byłoby już chyba tego ująć, ani wyrazić! - Tak też - kontynuował Główny Konsultant Koordynator - w bieżącym roku zawłaszczyliśmy sobie kolejne 26 z 68% ogółu kapitału, który jest już naszą własnością, zarządzamy już jednak, jego

97%-ami. Stało się to możliwe głównie poprzez wdrożenie innowacyjnych systemów bankowych w 156-ciu państwach - prawie we wszystkich państwach świata, oraz zcentralizowanie ogólnego systemu bankowego w należących do nas, trzech ponadpaństwowych i ponadnarodowych placówkach. Na stronie 76 Wielki przeczytał: - Re**e**organizacja. Opracował prof. dr Tom Jaffar, Oxford. - Motto - rozpoczął czytanie lektor. - ...Człowiek pospolity, podobnie do wszystkich innych istot ziemskich, jest zwykłą, choć bardzo trudną w hodowli istotą. Potrzebuje więc wyjątkowo przebiegłego gospodarza i pasterza, takiego, który nie da mu ani odczuć, ani poznać, że jest jego właścicielem, oraz takiego, którego człowiek sam będzie mógł uznać za swojego duchowego przewodnika. Hodując więc ludzi będziemy działać z ukrycia tak organizując społeczeństwo ludzkie, aby nikt z nich nie mógł rozeznać się w tym, kto w danym momencie posiada nad nimi całkowitą władzę, która opierać się będzie, i to a priori, nie na jawnej sile, jak to praktykowaliśmy w przeszłości, ale na wysublimowano wyrafinowanej grze manipulacyjnej. (Jahwe. Encykla Rex deus. Anno 4971). - Wielki poczuł nagły przypływ energii. Zaciągnął się z lubością cygarem i popił go potężnym łykiem koniaku. - Jak nigdy i to nikomu do tej pory - Główny Konsultant Koordynator nie spostrzegłszy żadnej zmiany kontynuował słodko - udało nam się w odchodzącym roku z każdego zainwestowanego dolara uzyskać aż 50 dolarów czystego zysku, a to oznacza przyrost gotówki, którą obecnie dysponujemy, w stosunku sextymalnym do roku poprzedniego, i pozostałych lat ubiegłych. Zamykając skoroszyt wzrok Wielkiego padł na stronę 79-tą i mały, lecz jakże doniosły akapit: - Neopsychochirurgia. Opracował prof. dr won Wścib. Dooila. - Wielki znowu pociągnął wielki łyk. - Motto. - Rozpoczął czytanie lektor. - Człowiekiem, tak samo jak każdą inną istotą ziemską, da się nie tylko pokierować, ale, tak samo jak każdą inną istotę, można go z łatwością od wszystkiego uzależnić. Aby uzyskać wiec optymalne wyniki z naszej tu działalności, będziemy powoli tak uzależniać człowieka od naszych ochot i poczynań, aby samoświadome i całkowicie niezależne jego życie, i to w całej jego rozciągłości - na wszystkich poziomach, i we wszystkich światach jednocześnie - duchowym, psychicznym, uczuciowym, fizycznym, molekularnym, kwantowym i sublimalno eterycznym - nie tylko okazało się dla niego niemożliwym, ale i z czasem absolutnie niepraktycznym. (Jahwe. Encykla homo. Anno 12007). - W Wielkiego wstąpiło szaleństwo. Zerwał się nagle jak rażony piorunem. Roześmiał się radośnie. Głośno. Rozrzuciwszy ręce na boki zaczął obracać się rytmicznie, rytmicznie też

skandując: - Jahwe, tyś Bogiem mym, Dusza moja pragnie z Tobą być... - Wielki czuł tak wielką radość i taką szczęśliwość, o jakich w normalnych warunkach nie mógł w ogóle nawet pomarzyć. I to do tego o takim nasyceniu i natężeniu, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie doznał. Uczucia porwały go gdzieś ze sobą i poniosły, wyraźnie się też w całej jego postaci manifestując. I to jakie uczucia. Główny Konsultant Koordynator przerwał skonsternowany i co było widać wyraźnie, nie bardzo wiedział co ma w tej dziwnej, niezaplanowanej sytuacji ze sobą zrobić, gdy nagle kolejny uczestnik spotkania zerwał się, i podobnie jak Wielki rozrzuciwszy radośnie ręce na boki i wywijając zawiłe cielesne ewolucje, zaśpiewał: - Jahwe, tyś Bogiem mym, ma nadzieja w miłosierdziu Twym... - A potem przyszła kolej i na następnego, który wskoczywszy na stół wzniósł ręce ku sufitowi i obracając się szaleńczo, rozdzierająco zawył: - Jesteśmy wiatrem i nikt nas nie słyszy, jesteśmy ciemnością i nikt nie prowadzi.... - Jak w jakimś czarodziejskim świecie, nie wiadomo skąd spłynęła naraz na wszystkich rytmiczna, pulsująca muzyka zmuszając pozostałych do zerwania się i wzniesienia rąk. Teraz już wszyscy rytmicznie poruszając ciałami jak w jakimś narkotycznym, tajemniczym i porywającym wszystkich transie, wspólnie, przejmująco śpiewali: - Jesteśmy zimnem i nikt nie okrywa, jesteśmy pętami i nikt nie uwalnia, jesteśmy łzami i nikt nie osusza, przyjdź Panie, przyjdź, ma rana ta... - Po chwili nie tańczyli już w sali klubowej, lecz w jakiejś ogromnej świątyni wypełnionej po brzegi wspólnie modlącymi się ludźmi, gdzie Główny Konsultant Koordynator objął rolę kapłana prowadzącego i z wzniesionymi do góry rękami recytował potężnym głosem: - Niebiosa z góry deszcz spuśćcie, o chmury świętego ze świecie, o Ziemio otwórz się Ziemio, daj Zbawiciela, daj... - A potem na scenie jakiegoś rockowego koncertu otoczeni aż po horyzont morzem poruszających się do taktu wiernych, aby potem, i to jak za dotknięciem jakiejś czarodziejskiej różdżki znowu znaleźć się w hotelu, gdzie zmęczeni opadali kolejno na fotele, tylko muzyka brzmiała jeszcze wyraźnie: - Jahwe tyś Bogiem mym, ma nadzieja w miłosierdziu Twymm... - A Główny Konsultant Koordynator stojąc nadal oniemiały powtarzał jak automat: - Panowie!... Panowie!!!... - Aby potem nagle przejść jakby nigdy nic do dalszej części spotkania: - Na stronie trzysta sześćdziesiątej siódmej sprawozdania każdy z was może znaleźć szczegółowy opis wszystkich operacji przeprowadzonych w odchodzącym roku. Na stronie 241 Wielki przeczytał: - Neotechnologia. Opracowała Prof. dr Krzysztofa Benc. Heidelberg. - Motto zarecytował lektor - ...Najprostsza droga do zniewolenia ciała człowieka, a przez to

i jego ducha, wiedzie poprzez taką zmianę sposobów i przyzwyczajeń jego odżywiania oraz samej technologii żywienia, aby ono (to pożywienie) miało tylko z pozoru pozytywny (budujący, regenerujący i wzmacniający) wpływ na człowieka, lecz w swej najgłębszej istocie, aby go osłabiało, uzależniało i niszczyło. Tak też, od dzisiaj tak zorganizujemy produkcję żywności, oraz tak pokierujemy świadomością ludzką, aby stało się to nie tylko możliwe, ale i ogólnie (wszędzie) dostępne, i aby wszyscy ludzie tego właśnie pragnęli. (Jahwe. Encykla Causa lux sui. Anno 8999). - Wielki w zachwycie wielkim chciał ponownie zerwać się i zaśpiewać, ale już nie mógł. Zaciągając się więc z lubością Dawidowem kiwał tylko głową. - Wystarczy tylko rzucić okiem - kontynuował Główny Konsultant Koordynator - ale pozwólcie, że zwrócę waszą uwagę na dwa, a może trzy, bardzo ważne dla nas punkty: konflikty: Czeczenia, Jugosławia, Afganistan, Irak i Izrael; finanse: S-Bank, B-Bank i W-Bank. No i pieniądze: Kredyt Bankowy, Kredyt Podatkowy i Kredyt Narodowy. Panowie!!!... Panowie!!! A podatki?! A opłaty?! A dodatki?! A przychody! A procenty?! A banknoty?! A woda?! A energia?! A granice?! A różnice?! A paszporty?! A dowody?! Panowie!!!... Panowie!!! Świat należy do nas!!!

Zaraz po powrocie z Axelsiora, Wielki rozgościł się na powrót w swoim zacisznym gabinecie, i pozostał w nim aż do późnych godzin nocnych, lubił bowiem z uwagą śledzić uważnie wydarzenia dnia, na wielu kanałach, na wielu monitorach i na wielu komputerach jednocześnie. Uwielbiał też gadać przez telefon, prowadził więc jednocześnie wiele rozmów telefonicznych z wieloma swoimi najlepszymi współpracownikami rozsianymi po całym świecie, a automatyczna sekretarka meldowała bez przerwy najnowszych adwersarzy: na pierwszym Korporacja Redszildów, na drugim AGH Farben, Korporacja Mercedesa na szóstym, wirtualna konferencja na dziewiątym: Mr. Tekinawa, Mis Longley, Mr. Nachajew, Korporacja ACIO, Whole Street, Pan Prezydent Buszma, w kolejce czekają: Manhattan Bank, Korporacja Azja, Handels Bank, Pan Premier, król Marrakesz, książę Ahim el-Bellan, profesor won Wścib... A na siódmym Ojciec Święty wraz z Prezydentem Budyniem! - Oraz, co jakiś czas, w przerwach między całą tą rozhisteryzowaną gadaniną, bardzo szczegółowo informowała go o planie kolejnego dnia: - 08:00:00 - Ezotemira - otwarcie XXXIII ponadnarodowych targów boskości; 11:07:05 - Spotkanie z pracownikami Departamentu Pozysku; 12:30:30 - Ałtiding; 21:00:01 - Kłirring… 22:23:00 - Spotkanie z Krzysztofą Benc.

Środa 21:40:01.

Wielki, wyraźnie znudzony dziś wszystkim i lekko rozdrażniony, przełączył obraz jednego z wielu cyfrowych telewizorów: na ekranie pojawił się od razu Maryłej Dziewic, lecz nie przypadłszy Wielkiemu do gustu znikł ustępując miejsca Krzysztofie, a potem Urszyllowi z Zamiłowic, w oku którego zagłębiało się właśnie jakieś wiertło... Wielki uśmiechnął się. Obraz wyraźnie mu się spodobał. W otwartych drzwiach gabinetu stanęła jednak Macza, na którą Wielki od dawna już czekał, musiał więc niechętnie odwrócić wzrok od monitora. Przywołał ją niecierpliwym gestem głowy. Macza podeszła do biurka i tuż przed Wielkim, na małym, finezyjnie rzeźbionym stoliczku, postawiła srebrną tackę ze świeżo parzoną kawą z jego ulubioną walijską śmietanką i świeże francuskie ciasteczka. Gdy Wielki sięgnął po filiżankę i ciasteczka, stanęła obok biurka i niepewnie się do niego uśmiechnęła. - Przygotowaliście rzeczywiście wszystko?! - Zapytał groźnie Wielki. Macza skinęła głową. - Jest jeszcze jedna

sprawa, Ekscelencjo… - Zauważyła z wahaniem. Mówiła powoli. Niespiesznie. - Nooo… - Wielki rzucił na nią spode łba badawcze spojrzenie. - Ułaskawienie Urszylla. - Powiedziała ostrożnie. - Ten papier, który już od stu dwudziestu trzech miesięcy leży na pana… - Za kogo ty się masz?! - Wrzasnął Wielki czerwieniejąc ze złości jak burak i jak tur zrywając się z za biurka. Stoliczek, tacka, kawa i ciasteczka, pofrunęły ku oknu. - Za kogo ty się masz, pizdo?! - Podskoczył dość zwinnie do Maczy, złapał ją za ubranie na piersiach i potrząsając nią brutalnie jak jakąś martwą kłodą, wywrzeszczał: - Czy ty nie rozumiesz, że dla takich jak on, nie ma w naszym systemie miejsca. Urszylla trzeba usunąć! Trzeba zetrzeć! Wymazać…!!! I o nim zapomnieć!!! Rozumiesz?! Rozumiesz to dziwko?!!!

Środa 21:49:01.

Pomimo tego, iż dzień ten wydawał się być nieskończenie ciężkim, Wielki opuszczał swój gabinet dość żwawo. Spotkanie z Krzysztofą, które Wielki zaplanował sobie na dzisiejszą noc, wyraźnie go ożywiało. Właśnie wchodził do marmurowej windy, która tak jak i cały dooilski budynek oraz jego najbliższe otoczenie, była największym osiągnięciem współczesnej architektonicznej techniki: beton, szkło, marmury i szlachetne metale. Jednocześnie też, i największym osiągnięciem współczesnej elektroniki: zasilanie energetyczne oparto na teslowskim generatorze mocy, pozyskując energię elektryczną prosto z pola magnetycznego Ziemi, a jej nadmiar, którym można byłoby zasilić pokaźnych rozmiarów miasto, rozdzielano wśród najbardziej zasłużonych pracowników według specjalnego kodu. Wszystkie pomieszczenia budynku były monitorowane, budynek jednak jako całość, również był chroniony przed każdą próbą obcej interwencji specjalnym, nadprzewodnikowym parasolem, a las anten na dachu uświadamiał każdemu, nawet największym laikom, że nie jest to zwykła siedziba jakiejś zwykłej, dla nikogo nic nieznaczącej korporacji. Przed wejściem, obok wielkiej fontanny, stała nowoczesna rzeźba z granitu, miedzi i brązu, przedstawiająca jakiegoś wyfraczonego mężczyznę z różkami na głowie, kopytem i widłami w jednej z rąk, z wmurowaną w jej dolnej części złotą tablicą: Dooila - Dyskretna Obserwacja Obiekta i Ludzia. Siedziba główna.

Środa 21:49:09.

Wielki nacisnął jakiś guzik i winda ruszyła. Tuż za chwilę zatrzymała się, lecz Wielki nie zdenerwował się tym. Wyraźnie zadowolony opadł w wygodny fotel, który wychynął z podłogi ze świsto sykiem,

ze ściany wysunęła się bezszelestnie mała półeczka, a na niej klawisze. Ściana windy okazała się 192 calowym piezo plazmakiem, na którym pojawiło się znajome Wielkiemu logo, a potem zaraz napis zapraszający go do wpisania kodu. Wielki mruknął coś niezrozumiale pod nosem, co komputer jednak natychmiast zaaprobował otwierając stronę powitalną. Po pokazaniu logo, ekran monitora podzielił się na trzy równe części ukazując trzech wyfraczonych mężczyzn: Prezydenta Buszmę, Prezydenta Budynia oraz Wielkiego Kanclerza Narodów. Wielki wstał i ukłonił się, na co Prezydent Buszma powiedział z sarkazmem: - Siadaj i nie wygłupiaj się! - A Wielki Kanclerz Narodów zapytał nerwowo: - Poradziłeś sobie z tym terrorystą?! - Czy może potrzebujesz pomocy?! - Zapytał zaczepnie Prezydent Budyń. Wielki skrzywił się i machnął bezwiednie ręką jakby odganiał jakąś natrętną muchę. Uśmiechnął się kwaśno, a gniewne ogniki pojawiły się w jego oczach. - Kazałem go zre**e**socjalizować. – Powiedział twardo. - Nooo… Wielki! - Ucieszył się prezydent Buszma. - Ale… Wyobraźcie sobie… - Nooo! Wielki!! - Skarcił go Kanclerz Narodów. - Dajemy ci jeszcze tydzień! - Powiedział przy tym ostro. - Potem załatwimy sprawę po swojemu! - Nie trzeba panowie towarzysze, nie trzeba. Sami damy sobie radę… Trochę cierpliwości jeszcze. - Umiejętnie ukrywając wściekłość i złość Wielki zagrał po mistrzowsku prowokując tym jednak jednocześnie celną ripostę prezydenta Budynia: - Więc bierz się do roboty, Wielki!!! - Wrzasnął waląc obcasem buta po biurku za którym siedział. - Bo jak mi Bóg miły…. - I tu połączenie zostało przerwane: mężczyźni zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, a na pustym ekranie pojawiło się znowu logo Dooila. Wielki siedział jeszcze przez dobrą chwilę nieruchomo w jakimś głębokim, nieobecnym zamyśleniu kiwając przy tym mechanicznie głową, aby: - Otwórz poziom dwunasty! - rozkazać po chwili. I poziom dwunasty ukazał się natychmiast. Przez chwilę Wielki śledził z uwagą obrazy na monitorze, lecz będąc wyraźnie rozdrażnionym i zniecierpliwionym, znowu coś mruknął pod nosem, co komputer zaakceptował natychmiast, bowiem na monitorze pojawił się w tej samej chwili sekretarz Wielkiego i: - Terminy ustalone. Spotkanie w sobotę w Pałacu Narodów. - Powiedział. Wielki zdjął dłonie z czytnika. Ekran zgasł. Wielki wstał, odetchnął parę razy głęboko uśmiechając się przy tym złośliwie, na co komputer zareagował błyskawicznie: fotel, klawisze i ekran zniknęły jak zaczarowane, winda ruszyła automatycznie, aby po chwili zatrzymać się jednak ponownie. Jakiś metaliczny, poważny głos powiedział: - Wczytaj kod! - Wielki sprawnie wczytał kod i drzwi otworzyły się bezszelestnie wpuszcza-

jąc go do niewielkiego pomieszczenia z dwoma parami pancernych drzwi po jego prawej i lewej ręce, i trzecimi, szklanymi, prowadzącymi do pomieszczenia kontrolnego, w którym, co było widać już teraz wyraźnie, siedziało paru na czarno ubranych osobników przed czymś w rodzaju ściany monitorów, na których śledzili jakieś obrazy. W wielu maleńkich, więziennych celach, a było to już widać bardzo dokładnie, krzątali się jacyś ludzie, lecz to nie ta szaro brudna, więzienna atmosfera zwracała na siebie uwagę, lecz przerażające wręcz, potwornie precyzyjne podobieństwo ludzi, których było widać: M1 do M17 - Macza; K7 do K36 - Krzysztofa; U1 do U99 - Urszyll; D3 do D13 - Dziewic; poza tym jakieś nieznane nikomu dzieci w wielkiej ilości, dziwne potwory i zjawy. Wielki ruszył właśnie w ich kierunku, tuż przed drzwiami musiał się jednak znowu zatrzymać: tym razem komputer kontrolował jego tęczówkę. Po chwili drzwi automatycznie zaczęły się otwierać, lecz Wielki z zadowoleniem zdążył jeszcze przeczytać złoty na nich napis: Departament Modyfikacji i Modelingu. I wszedł do środka.

Środa 21:51:01.

Na widok Wielkiego wszyscy w pomieszczeniu zerwali się jak rażeni piorunem i wyprężyli na baczność. - Siadajcie. - Powiedział Wielki. Było widać wyraźnie, że jest zadowolony. - I jak tam nasi podopieczni?! - Zapytał zwracając się do jednego z mężczyzn z największą ilością belek i gwiazdek na naramiennikach. - W porządku Ekscelencjo. - Odpowiedział profesor przełączając coś jednocześnie na pulpicie. Wszystkie monitory wypełnił jeden i ten sam obraz: w jakiejś odrażającej, trupiej celi, zajętej w trzech czwartych przez klęczącego mężczyznę, z niewielkiej, kiedyś emaliowanej umywalki, waliła olbrzymim strumieniem lodowata woda. Klęczący, a właściwie siłą w celę wtłoczony mężczyzna, dziwnie przypominający Urszylla z Zamiłowic, gorączkowo nabierał wodę zgrabiałymi z zimna dłońmi, próbując za wszelką cenę napełnić nią dziurawe wiadro. Pomimo przenikliwego zimna wypełniającego to oślizłe, ciemne i ponure pomieszczenie, mężczyzna dyszał ciężko, a pot zalewał mu oczy. W momencie, w którym mimowolnie spojrzał prosto w oko kamery, obraz na monitorach uległ zmianie, dzieląc się w pionie na dwa niezależne obrazy. Po stronie przeciwnej żelaznych drzwi, zatrzymał się niewidoczny dla klęczącego, nalany sparszeniem wartownik w czarnym kombinezonie komandoskim, z przewieszonym przez piersi pistoletem maszynowym i małym, dyskretnym napisem na jednej z klap:

Dooila - Kontrola główna. Wartownik odryglował drzwi i powoli je otworzył. Z nienawiścią popatrzył na klęczącego, oparł dłonie na luźnym pasie, rozkraczył się i wrzasnął: - A sznurowadełka, to po co ci dali synu, co?! - Uśmiechnął się złośliwie, i z wielką pasją kopnął dziurawe, pływające po wodzie wiadro. Mężczyzna przerwał pracę, nieprzytomnym wzrokiem spojrzał na stojącego strażnika, wygiął się jak kot, sprężył do skoku, i nagle skoczył. Głową wbił się w tłuste cielsko strażnika, który zręcznym, wyraźnie wyuczonym do perfekcji chwytem, złapał go za kark niczym małego kotka i podciągnął do góry. - Przejebane masz synu! Oj, przejebane! - Wycedził przez zęby jednocześnie złowieszczo kiwając głową. Potem odrzucił biedaka ze wstrętem od siebie tak, że ten uderzając o ścianę i umywalkę zalał się krwią, i znieruchomiał pod ciężarem lodowatej, wodnej kołdry. Strażnik nie spiesząc się zamknął celę i ruszył powolnym, ciężkim krokiem wzdłuż długiego korytarza, lufą pistoletu szorując po ścianach i drzwiach kolejnych, mijanych cel. Wyraźnie sprawiało mu to przyjemność. Zgrzytając tą lufą w ich mózgach rozsadzał im ich czaszki, co dało się teraz z łatwością zaobserwować na monitorach, które pokazywały obecnie obrazy ze wszystkich cel. Wielki był wniebowzięty. Zadowolony strażnik szedł długim, ciągnącym się kilometrami korytarzem, pozwalając gonić się zachrypłym jękom i krzykom, które w końcu cichły sflaczałe, a on, niezmiennie, na końcu korytarza, między oświetlonymi gołą, dyndającą żarówką wręgami rozpadających się drzwi, zawracał, aby ponownie rozpocząć obchód, lecz Wielki nie zwracał już na niego uwagi. - Moglibyśmy spróbować jakoś go do tego przymusić, profesorze?! - Zapytał. - Z przyjemnością. - Odpowiedział won Wścib podsuwając jednocześnie Wielkiemu wygodny fotel. - Przełączcie na siódemkę! - Rozkazał jednocześnie. - Obraz na monitorze pokazał od razu mężczyznę w celi. - Jaką metodę pan wybiera, Ekscelencjo?! - Zapytał won Wścib, a widząc lekkie zniecierpliwienie na twarzy Wielkiego, sam zaproponował: - Może THX 138, EbtMn i Wielką Moc?! - Doskonale, profesorze. - Wielki pokręcił z niedowierzaniem, jednocześnie jednak i z prawdziwym uznaniem głową. - Doskonale. Pana metody profesorze, są.... - Won Wścib przez chwilę manipulował pokrętłami, potem skinął głową jakby na coś przyzwalał. W tej samej chwili w celi woda przestała lecieć z kranu, a z podłogi podniósł się kamienny stół. Przerażonego do granic wytrzymałości mężczyznę poderwała jakaś siła i rzuciła go na blat stołu, z którego natychmiast wysunęły się jakieś metalowe ręce i zdarły z niego ubranie. Z sufitu spłynęło coś jak by prześcieradło, po dotknięciu ciała mężczyzny okazało się jednak

kleistą substancją paraliżującą wszelkie jego ruchy. Ze ściany wyskoczyło długie ramię zakończone ostrym, cieniutkim wiertłem, które precyzyjnie i bez wahania zanurzyło się w oku rzężącego ze strachu.
- Niech pan wyłączy głos, profesorze. - Powiedział Wielki.

Środa 21:59:00.

Wielki wyjechał z budynku swoją czarną osiemsetką, stutrzydziestodwucylindrowym autem z silnikiem Hendersona zasilanym wodą o mocy 11897 KM, jedynym egzemplarzem w tym rejonie cywilizowanego świata: jego ukochaną zabawką i dumą zarazem, której strzegł jak oka w głowie cały system satelitarny świata. Pomimo późnej godziny, ruch w stolicy był dość duży, lecz to nigdy nie przeszkadzało Wielkiemu w płynnym włączeniu się do ruchu. Komputer centralny sterując ruchem ulicznym, wiedział doskonale jak pokierować ruchem tak, aby Wielki bez problemów mógł dotrzeć do pałacu. W końcu nie na darmo wyposażono samochód Wielkiego w nadajnik satelitarny, a komputer centralny w program sterujący. Wielki nie lubił obstawy, a w każdym bądź razie takiej, którą mógł osobiście zauważyć, dlatego obstawiony był zawsze, i to bardzo szczelnie, obstawą elektroniczną. Najnowsze komputery i najnowsze programy Pentiadooila chroniły życie wszystkim tym, którzy na nie zasłużyli, a i tym, których było na nie stać, dużo lepiej i skuteczniej, niż zwykli, żywi ludzie. Tak też, po paru minutach jazdy, Wielki zaparkował swoje cacko przed pałacem. Drzwi otworzył mu pułkownik ochrony, Wielki wysiadł i wszedł do środka.

Środa 22:00:17.

Wielki wszedł do kuchni. Pałac był stary, po renowacji jednak, którą przeprowadzono w zeszłym roku na jego zlecenie, stał się najpiękniejszą i najwygodniejszą rezydencją, jaką Wielki kiedykolwiek widział, i w jakiej kiedykolwiek gościł. Wszyscy, łącznie z takimi ludźmi jak Prezydent Buszma czy Prezydent Budyń, zazdrościli mu jego posiadłości, co napawało Wielkiego wielką dumą i dawało mu całkiem niemałe zadowolenie. Kuchnia pałacowa była wspaniałym pomieszczeniem, które poza wszelkimi luksusowymi urządzeniami i równie luksusowym wyposażeniem, mogło pomieścić co najmniej z sześćset osób. Wielki otworzył złotem wykładany piekarnik i wyjął z niego zawczasu przygotowany posiłek: kaczkę z nadzieniem po polsku, bagietkę prosto z Paryża, frytki z Nowego Jorku, i japońską sałatę, którą, wyjątkowo lubił. Z mahoniowej szafki wyjął butelkę australijskiego wina, wziął kryształowy kieliszek i udał się z tym wszystkim

do sypialni.

Czwartek 22:13:59.

Pałac był zupełnie pusty i ciemny. Tylko gdzieniegdzie paliły się małe lampki, dające ciepłe, tajemnicze światło. Wielki lubił pustkę. A tę pałacową, szczególnie. Najbardziej lubił wracać późno do swojego wielkiego, pustego domu, tak, aby mu nikt już nie przeszkadzał, i aby nikt nie wchodził mu już w drogę. Wielki lubił też samotność, a tych wszystkich zewsząd otaczających go małych ludzików, którzy bez jednej przerwy ciągle czegoś od niego chcieli, wprost nie cierpiał, a niektórych z nich, tych, od których czasami i on czegoś potrzebował, wprost nienawidził. Dzisiaj jednak wszystko szło jak należy. Po wejściu do sypialni, Wielki postawił tacę na stole i włączył telewizor z angielską stacją BBC: chciał jeszcze przez chwilę posłuchać najnowszych wiadomości. Oglądając program jadł ze smakiem gołymi rękami, bo tak też lubił jadać najbardziej.

Czwartek 22:19:00.

Po gorącej kąpieli Wielki wskoczył do łóżka i prawie natychmiast zasnął. Tuż przed zaśnięciem jednak, o czymś sobie jeszcze przypomniał. Uniósł się więc na łokciu twarz odwracając jednocześnie ku małemu stoliczkowi stojącemu tuż obok łóżka. Na małej srebrnej tacy leżała tam malutka porcelanowa rureczka, a obok niej kupka jakiegoś białego proszku. Wielki przez chwilę się zastanawiał. Usiadł, zapalił światło i otworzył małe plastikowe pudełeczko z estetycznym, czerwono zielonym napisem: Świr - prezent urodzinowy od prof. Maczy Dooroby. Wielki uśmiechnął się coś sobie wyraźnie przypominając. W myślach ujrzał uśmiechniętą twarz Maczy i usłyszał jej słowa: - To lepsze niż wszystko to, co do tej pory wymyślono, gwarantuję to Panu. - Pokręcił pudełeczkiem jakby się wahał, otworzył je, lecz po chwili odstawił jednak z powrotem. Zgasił lampkę i opadł na poduszki. Po chwili, po omacku odszukał pudełeczko, wziął dwie pastylki i popił winem. Odstawił pudełeczko na stolik, wyciągnął się wygodnie i prawie w tej samej chwili zasnął.

Czwartek 22:23:00.

Sen wymazał od razu z jego pamięci całą otaczającą go rzeczywistość porywając jego świadomość gdzieś ze sobą i działając na nią tak, jak w dobrej bajce dla niegrzecznych dzieci, działa czar jakiejś cudownej, czarodziejskiej różdżki. Jego ciałem wstrząsnęły jeszcze kolejne senne konwulsje, znowu się poprzekręcał z boku na bok, aż wre-

szcie, a nie było to później niż w jakieś sześćdziesiąt dziewięć sekund od pierwszego chrapnięcia, sen zabrał go już na dobre w krainę wszechobecnego dooilizmu i trzymał w niej mocno ramionami oplatając aż do dnia następnego, aż do chwili, gdy wschodzące słońce nie położyło swojego złotego ramienia na jego opuchniętej i zaspanej twarzy, i nie przywróciło mu utraconej nocą świadomości, aż do chwili, kiedy Krzysztofa, a wydawało mu się, że to jakaś nadludzka siła wyrywa go ze snu, wyszeptała mu wprost do ucha: - Ekscelencjo.... Ekscelencjo. To... - Wielki rzucił się w łóżku niczym wielka ryba wyciągnięta nagle z wody: oburącz, ciągle śpiąc jednak, złapał się za szyję, a jego ciałem wstrząsnęły jakieś konwulsje. Wyraźnie było widać, że się dusi. Spocił się, a przykry zapach rozszedł się po całej sypialni. Krzysztofa pozwoliła sobie na grymas. - Ekscelencjo... - Wyszeptała potrząsając delikatnie Wielkim. - Ekscelencjo... - I wreszcie Wielki się obudził. - Mów!!! - Wrzasnął, łapiąc ją jednocześnie za rękę. - Pan prosił.... - Jezu, nie pierdol tyle, tylko się rozbieraj! No....! - Krzysztofa znając wyraźnie zamiary Wielkiego próbowała się oswobodzić szarpiąc energicznie ręką, lecz uchwyt Dżadży był silny. - No....?! - Wysyczał Wielki. - Nie każ mi... - I nagle zmienił taktykę: uśmiechnął się gładząc ją jednocześnie delikatnie po dłoni. - Nie bój się. - Wyszeptał. - Przecież niczego złego ci chyba nie zrobię…?! Nie?! - Przecież wiesz.... - Poprosił. I nagle - Chcę cię teraz! - Wrzasnął bijąc ją jednocześnie drugą ręka po twarzy. - To za to, że budzisz mnie w środku nocy! - Wypluł jej prosto w twarz. I znowu ją uderzył. - To za Urszylla! Nie myśl że zapomniałem o tym! A to - uderzył ją jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze… - to tak na zapas. Żebyś nie zapomniała suko, że tylko sprawy wagi państwowej pozwalają ci na to, aby mnie obudzić?! Za kogo ty się właściwie masz, dziwko...?! - Ja… - Krzysztofa nie mogąc wykrztusić ani słowa z zaciśniętego gardła, wpatrywała się przerażonym wzrokiem w Wielkiego. - A może chciałabyś posłużyć za materiał genetyczny w Departamencie Odnowy, co?! - Wielki gwałtownie się roześmiał. A gdy Krzysztofa energicznie zaprotestowała wytrzeszczając ze strachu i niekrytego już obrzydzenia swoje piękne oczy, wrzasnął: - Rozbieraj się! Ale już! - Nie widząc wyraźnie innego wyjścia, Krzysztofa zaczęła się powoli rozbierać, choć szło jej to z trudem, bowiem Wielki trzymał ją mocno nadal, jednocześnie uśmiechając się do swoich myśli. Po chwili opadł ponownie na poduszki. Wolną ręką z wyraźnym uwielbieniem pogładził niebieską, w złote pszczółki nakrapianą wstęgę, wiążącą pod rzeźbionym sufitem różowy powój oplatający jego olbrzymie, królewskie łoże, po czym podrapał się między rozrzuconymi w nieładzie nogami.

Przymknął oczy i z lubością patrzył na rozbierającą się w milczeniu Krzysztofę. - Szybciej, kurwo!! - Rozkazał.

Czwartek 22:43:00.

Gdy Krzysztofa była już prawie naga i jak sparaliżowana stała obok łóżka, Wielki wychylił się gwałtownie łapiąc ją drugą ręką w pasie i brutalnie przyciągając do siebie. - Mmmmmm... - Wymruczał przywalając ją swoim tłustym i wilgotnym ciałem. Po chwili, z wyraźnym trudem, podniósł się jednak na łokciu, nachylił nad stoliczkiem, niezdarnie przytknął rurkę do nosa, i jednym, energicznym wdechem wciągnął w głąb siebie leżącą tam na srebrnej tacy i od wczoraj go oczekującą, całą porcję *Dooilainy*. W tym samym momencie usłyszał ostrzegawczy głos Maczy: - Tego się nie miesza Ekscelencjo...! Pod żadnym pozorem! - Wielki roześmiał się, objął Krzysztofę mocniej przyciągając ją bliżej do siebie i wpatrując się intensywnie w strzykawki przymilnie powiedział: - Tatulek zrobi ci teraz konika… - Kiwnął głową, rozkosznie sapnął i wpijając się w jej usta, wycharczał: - Tatulek zrobi ci konika, malutka, jak bum cyk-cyk! - Niezdarnie wyciągnął rękę i grubymi paluchami wziął małą strzykawkę leżącą tuż obok dooilainy. Z impetem wbił sobie igłę w ramię, i z równym impetem wcisnął tłok wstrzykując w ciało od razu całą jej zawartość. Zaraz potem bełkocząc ciągle - tatulek zrobi ci konika - rzucił się na nią z dzikością, lecz prawie w tym samym momencie, gdy na nią opadał, dooilainowe halucynacje porwały go z wielką siłą.... Wielki stał gdzieś i krzyczał: - Dziewięć, dziesięć! Pałka zapałka dwa kije, kto się nie schowa ten kryje! - Zerwał kolorowe pończochy oplątane wokół jego półłysej głowy, i otworzył oczy. - Szukammmmm...! - Zawył śmiejąc się szaleńczo, i dalej się śmiejąc rozejrzał dookoła. Skrzywił się niezadowolony jak rozkapryszone dziecko, zrobił parę małych kroczków, zachwiał się nad brzegiem obrotowej sceny, i gdyby w ostatniej chwili nie przytrzymał się metalowego, zardzewiałego pręta podtrzymującego przegniły dach ze złotym nad nim napisem Pępek Świata, spadłby z pewnością. - Heniu... Heniuuuuuuuuuuu... - Kuszący kobiecy szept zmusił go do ekwilibrystycznego obrotu. - Wiedziałem.... - Wyczkał i znieruchomiał. Zaśmiał się ponownie, i śmiejąc się wciąż odwrócił zupełnie: tuż przed sobą ujrzał pół nagą, przecudnie wymalowaną, i rozlaną jak kałuża kobietę, której pomalowane na czerwono, błyszczące usta, przeszyły go ogniem rozkoszy, więc jak tur ruszył. - Heniu... Heniuuuuuuuuuuu.... - Wielki zatrzymał się, znieruchomiał jak wyłączony z prądu automat, przekrzywił głowę, i powoli zaczął się obracać. Uśmiechnął się uszczęśliwiony,

i skoczył ku popękanej krawędzi, tam, gdzie stała naga, w błękitnej peruce, z jedną ręką wzniesioną z kieliszkiem szampana, oparta na drugiej, a jej piękny kłębek sierści wznosił się jak ogień na podbrzuszu. Podbiegł do niej śmiejąc się i bez przerwy przewracając z lubością oczami położył na niej swoje dłonie, gdy nagle, w chwili zupełnie nieoczekiwanej: - Kurwa!! - W chwili nastroszonej, nabrzmiałej starczej potrzeby: - Kurwa, nie teraz!! - Dziewczyna odepchnęła go od siebie niewinnym, miękkim, kocim gestem i szampanem chlusnęła mu w twarz, a on....?! On zatoczył się taki nastroszony, taki nabrzmiały, i taki oniemiały jednocześnie. Cała obrotowa scena zasłała się teraz miękkimi, rozlanymi cudnie i cudnie roztytymi ciałami: niektóre z nich stały, inne leżały, a jeszcze inne siedziały nagie z mieniącymi się brzuchami, z kłębami płomiennej sierści na tych ich cudnych, malinowych podbrzuszach, które wiatr, swawolnie baraszkując, szarpał i podsycał tak, że Wielki zaczął się toczyć jak w jakimś dziwnym, opętańczym tańcu, to od jednej, to do drugiej, śmiał się przy tym jak szalony, bełkotał coś niezrozumiale, czkał i popierdywał, aż nagle, zupełnie niespodziewanie dla siebie samego, przewrócił się w tył na plecy, a kobieta odrzucając kieliszek przywaliła go swym nagim, rozlanym, płomiennym ciałem, przeszyła go strzałą pożądania i ognia, i właśnie w tym momencie, dokładnie właśnie w tym, Wielki poczuł, że nie może... - Kurwa!!! Kurwa!!! Kurwa!!! I Wielki się rozpłakał. - Co tak kurwujesz, Dżadża?! - Głos Urszylla z Zamiłowic wyrwał Wielkiego z zadumy nad jego słabością, wprawiając go w gwałtowne osłupienie. Zaraz potem nagły zastrzyk adrenaliny wypełnił go całego niepohamowaną niczym wściekłością. - Ty, tutaj?!!! - Wielki odwrócił się i ku własnemu przerażeniu zobaczył siebie samego w swoim własnym, pałacowym łożu, a tuż-tuż obok Urszylla z jakąś srebrną tacą w dłoni. Chciał wstać, lecz nie mógł. Spojrzał po sobie i dopiero teraz zorientował się, że jest przypasany do łóżka grubymi pasami. Chciał coś powiedzieć, krzyczeć, bronić się, wzywać służbę i ochronę, ale usta miał zaklejone pocztową taśmą, więc charczał tylko coś niezrozumiale rzucając się na łóżku. - Widzisz Dżadża jak to jest... - Powiedział Urszyll zimno go prowokując. - Jak łatwo przeistoczyć się z kata w ofiarę?! - W międzyczasie Krzysztofa, której przedtem z taką lubością chciał zrobić konika, a która stała teraz obok Urszylla, przygotowywała zastrzyk. - Dostaniesz teraz swój złoty strzał, dupku, i módl się żebyś nie wykitował, bo jak sam to wiesz, Hera czyni z ludzi absolutnie martwe potwory... - Powiedziała nachylając się tuż nad jego twarzą, a Urszyll z wielką wprawą rozchylił kołdrę, potem pidżamę i z równie wielką

wprawą złapał go za członka. Krzysztofa odwróciła się, zamachnęła, i z wielkim impetem wbiła mu wielką igłę w nabrzmiałą na nim żyłę. Wielki wrzasnął coś przeraźliwie dusząc się pod plastikiem ze strachu, z przerażenia i bólu, jego ciało wyprężyło się na łóżku, zadrgało w konwulsjach, lecz wszystko na nic. Krzysztofa dosiadła jego drgającej szyi niby rozwścieczony jeździec galopującego rumaka - wyraźnie chciała go udusić nogami. Wielki nie poddawał się, lecz powoli słabł, a heroina zaczynała działać. - Załatwię ci najlepszy trip twojego zasranego życia, Dżadża. - Urszyll nachylił się nad twarzą Wielkiego śmiejąc się szaleńczo, a gdy się śmiał, jego ciało równocześnie rosło i puchło z olbrzymią prędkością dziwnie się jednocześnie rozkładając, i naraz pękło jak olbrzymi wrzód zalewając wszystko cuchnącą ropą, z której zaraz potem wyłonił się w mózgu Wielkiego obraz jakiegoś nieznanego mu pustynnego krajobrazu, a jakiś równie mu nieznany, miękki jednak i zarazem śpiewny głos, powiedział:

Czwartek 00:52:00.

- Bądź pozdrowiony obcy podróżniku. - Wielki wybałuszył oczy, chciał coś wrzasnąć, lecz nie mógł. - Chciałbym zabrać cię dzisiaj ze sobą w daleką, mroczną i pełną niebezpieczeństw podróż. - Zaśpiewał nieznajomy. - Jeżeli taka jest twoja wola - wyraźnie wbrew własnej woli odśpiewał na to sucho Wielki - nic cię pewnie nie powstrzyma przed torturowaniem mnie, przed katowaniem mnie tym dziwnym światem twych ohydnych, lecz dobrze mi znanych znaczeń, tych twoich głupich pytań, i głupich słów o Miłości i Dobroci, twych upiornych i próżnych mnie posądzeń i pomówień. W końcu, znany jesteś Ahimie el Bellanie ze swego wyjątkowo okrutnego umysłu i prawdziwie rewolucyjnych poglądów... W moim centrum odnowy miałbyś pełne pole do popisu! - Pomimo wyjątkowej odrazy, nienawiści i skrytej ochoty mordu, Wielki musiał w obecności el Bellana zawsze mieć się na baczności. Pomimo tego, że uważał się za ateistę, modlił się codziennie, oficjalnie oczywiście, tak, aby go wszyscy widzieli, w specjalnie w tym celu wybudowanej prywatnej przypałacowej kaplicy. Jednocześnie jednak wierzył głęboko we wszystkie możliwe przesądy i wszystkie możliwe zabobony, a bojąc się księcia el Bellana jak diabeł święconej wody, drżał przed nim jak osika na wielkim wichrze. Wielki wierzył, że Książę złotej magii - sam el-Bellan Ahim Abdullah Alim Abdul Barri Arif Muqtadir, umie, i może rzeczywiście wszystko. Wszystko to, czego nikt nie potrafił, i czego nikt, nigdy i nigdzie, nie mógł. Poza tym Wielki nie był tego jeszcze tak do końca pewien, czy rzeczywiście chce pozyskać Ahima el-Bellana dla

Dooila, czy raczej tylko go zabić. Starał się więc udawać dzisiaj dobrego człowieka najlepiej i najpiękniej jak tylko potrafił - Pięknie to ująłeś Asahimie - el-Bellan nie przejął się zbytnio nienawistną tyradą Wielkiego. Pomimo tego, że czytanie w obcych myślach nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu, podobnie jak całkowite przenikanie obcej świadomości, swoją własną, Ahim el-Bellan pokłonił się nisko Wielkiemu Asahimowi i powiedział. - Bądź błogosławiony na swojej drodze, a Thenahå niech rozwinie swoje ochronne skrzydła nad twoim szlakiem! - Wielki zsunął się niezdarnie z Dromadera, na którym dotąd siedział i opadł na rozżarzony piasek pustyni, który pomimo tego, że słońce stało już tuż nad horyzontem gotując się właśnie do opuszczenia ich obu, parzyło jego nagie stopy całkiem nieźle. Usiadł w cieniu palmy. Ahim el-Bellan będąc rzeczywistym, prawdziwej złotej sztuki magicznej mistrzem, był jak zawsze przygotowany na każdą sytuację, a w tej właśnie chwili na zapadnięcie nagłego, pustynnego mroku. Nachylił się więc nad piachem, szepnął coś czego Wielki nie zrozumiał, i z piachu w tej samej chwili wyskoczył mały, kolorowy Dżin. Kłaniając się im obu nisko uśmiechnął się promiennie, zawirował jak baletnica i skacząc po piachu jak żabka, zaczął, coś bez przerwy mamrocząc, tworzyć istny bajkowy, kolorowy, świat: jednym chuchnięciem rozpalił ogień pod małym srebrnym czajniczkiem, do którego nalał, uprzednio tworząc zarówno źródło jak i w nim wodę, świeżej, źródlanej wody. El-Bellan wyraźnie zadowolony przestał się nim zajmować. Uśmiechnął się do osłupiałego Wielkiego i powiedział: - Zagłębimy się dzisiaj - popatrzył przy tym znacząco na niego - i wiem to z całą stanowczością, że zrobimy to rzeczywiście wspólnie - w tajemniczy, a wręcz magiczny świat, ukrytej jednak przed wszystkimi, twojej Asahimie świadomości. Odwiedzimy, drogi Asahimie - niech Thenahå ma ciebie w swojej opiece - najdalsze zakamarki twojego umysłu, kontemplując wewnętrzny świat twojego języka, oraz sposobów jego używania, w końcu bowiem to przecież głównie językiem zniewalasz wszystkich ludzi, to językiem przecież nimi manipulujesz, językiem ich katujesz, i językiem tym swoim giętkim codziennie ich zabijasz. Największa siła, i władza, jak sam to doskonale przecież wiesz, należy do wybrańców panujących nad językiem. Nad dyskursem. Nad procesami symbolizacji, reprezentacji i przedstawiania. Nad konwencją. Nad tradycją i redystrybucją. Nad konstrukcją. I derekonsytuacją. I nad obrazowaniem. Nad tym - jak, i nad tym - co. I nad tym - po co. I kiedy! - Dżin wymazywał właśnie słońce, które kryło swą tarczę za horyzontem i tworzył ciemność spowijającą wszystko, otulając rozmawia-

jących szybko postępującym zimnem. W powstałej w ten sposób nocy tylko mały ogienek ogniska, oraz połyskujące w nim białka ich oczu dało się jeszcze dostrzec i odróżnić od mahoniowo granatowej czerni. Zielona herbata Dżina zalana źródlaną, wrzącą wodą rozniosła zapach cyprysów, a cykady rozpoczęły swój wieczorny koncert. Dżin rozłożył el-Bellanowi tygrysią skórę na piachu, nalał do małych, porcelanowych filiżanek herbaty, podał jedną z nich leżącemu obok Wielkiemu, zapalił fajkę, i zaciągając się tak rozpoczął:

Czwartek 00:52:31.

- Wiem Asahimie - i tu skinął głową w stronę Wielkiego - że jesteś niezłym manipulatorem słów, że znasz prawie wszystkie językowe sztuczki, i że ciągle opracowujesz nowe. Wiem, że pragniesz mnie zwerbować... - Tu Dżin roześmiał się szaleńczo. El-Bellan klasnął w dłonie, Dżin obejrzał się, wykrzywił strasznie i naraz - znikł. Wielki, któremu od pewnego czasu wydawało się, że zwariował, zerwał się teraz jak rażony piorunem i wrzeszcząc: - Wypuśćcie mnie stąd skurwysyny... - Zaczął biegać od ściany do ściany odbijając się od nich niczym nadmuchana piłka. El-Bellan nie przejmując się tym zbytnio, kontynuował rozpoczęty przez Dżina wątek. - I że nie chcesz, abym wiedział to, co ja jednak i tak już od dawna wiem: że przede wszystkim jednak, jesteś całkiem nieźle wyszkolonym gangsterem: Hochsztaplerem i kłamcą. Wiem, wiem… - El-Bellan powstrzymał Wielkiego ręką. - Nie musisz się wysilać! I tak nic nie zdziałasz! - Ależ.. - Rozpoczął Wielki, ale el Bellan nie przejmując się nim zbytnio, kontynuował: - Wiem, że nie lubisz rzeczywistości nielokalnych, głębokiej więc medytacji, ani głębokiej modlitwy, pomimo tego, że oficjalnie jednak… Sam wiesz najlepiej, prawda?! - Głos el-Bellana wwiercał się w mózg Wielkiego niczym wielkie wiertło w oko skazańca. - Wiem także, Asahimie, że jako cyniczny manipulator i równie cyniczny hochsztapler, zawsze wyjątkowo głęboko i mocno koncentrujesz się na sposobie wyrażania swoich myśli, jednocześnie na tym dziwnym, lecz tylko z pozoru prostym, zrozumiałym i jasnym ich sensie, nad którym rzadko ktoś dzisiaj się zastanawia, uważając go przeważnie za sens tak oczywisty i tak oczywiście znany, że niegodny zastanawiania się nad nim, uważając również i samo zastanawianie się nad tym zastanawianiem, za oczywistą stratę czasu i czystą głupotę oczywiście. - Ahim el-Bellan przepłukał usta herbatą, zaciągnął się opium wydmuchując palący się jakimś cudem dym w kierunku sparaliżowanego tym widokiem Wielkiego. - Wiem czcigodny Asahimie, że samo zastanawianie się nad własnym zastanawianiem się, że zastanawia-

nie się nad tym, czym jest zastanawianie się nad zastanawianiem, jest tym samym z grubsza, co… Wiem, że nad tym się akurat nie zastanawiasz, ale i tak to ode mnie usłyszysz, bowiem ja nie boję się tej twojej upierdliwe stosowanej przemocy, tej, która z tak wielką doskonałością wypełnia od dawna nie tylko twój mózg i twoje serce, ale i całą twoją jaźń! A może i duszę?! - Nie pieprz...! - Wrzasnął Wielki. - Jaka przemoc?! Dla kogo?! I po co?! - Ahim el-Bellan zaciągnął się opium i pokiwał z politowaniem głową. - Pozwól, że na przekór twoim dzisiejszym twierdzeniom, spróbuję wytłumaczyć ci to, do czego moim zdaniem powinno służyć zastanawianie się nad zastanawianiem, kontemplowanie kontemplowania, i życie prawdziwym życiem. Język to dziwna rzecz, i raczej nieznana bliżej nikomu obca kraina, w której to, jak się ją codziennie postrzega, oraz to, jak się jej codziennie używa, co ona właściwie jako całość, jako globalny zbiór wszystkich jej indywidualnych cech, oraz również jako cechy odrębne, poszczególne i obce, oznaczać może, lub, co po prostu oznacza, jest bardzo ważne dla wszystkich. Wiem, wiem... Ty nie myślisz tak, jak większość pospolitych ludzików. Ty wiesz, że zastanawianie się nad zastanawianiem się, że kontemplowanie kontemplowania, że życie prawdziwym życiem, że to wszystko jest bardzo ważne, lecz jednocześnie chciałbyś, abym ja myślał i uważał, że ty myślisz i uważasz, że ja myślę i uważam, że nie tylko, że to nie jest nikomu do niczego tak naprawdę potrzebne, ale, że jest również nie wskazane, bo przecież każdy zna siebie samego, każdy zna swój język i każdy wie jak go używać, bo codziennie go przecież używa. Zna jego sens, wie po co, wie jak, i wie dlaczego. Wie dlaczego go takim właśnie pojmuje, i w jakim celu tak go właśnie codziennie używa, bo przecież każdy żyje, a o żyjącym nie da się, i nie można przecież powiedzieć, że umarł, bo on nie umarł przecież, bo ciągle przecież żyje. Wiem, że chciałbyś abym myślał i uważał, że ty myślisz i uważasz, że ja myślę i uważam, że zastanawianie się nad tym wszystkim, jest rzeczywiście nie tylko absolutną stratą czasu, ale i chorobą umysłu: taką po prostu absolutną, wielką, patetyczną i patologiczną paranoją. - Bellan już od dłuższego czasu zamieniony jakąś magiczną siłą w dym ze swojej fajki wsączał się Wielkiemu do nosa, do uszu i oczu, strasznie go przy tym piekąc i parząc. Wielki bronił się przed nim machając rękami jak wiatrak swoimi skrzydłami, lecz wszystko na próżno. Ahim el-Bellan wyraźnie to lekceważąc powoli zajmował całe jego ciało. - A może ty uważasz się rzeczywiście za dobrego człowieka, a może nawet - kochanego, pomimo tego, że urodziłeś się już zły, zawsze byłeś zły, i nadal jesteś?! - Powiedział s sarkazmem. - Czy mo-

ja propozycja - mówił dalej już spokojniejszym głosem - zwrócenia twojej uwagi na całkowite udostępnienie zastanawiania się nad twoim zastanawianiem się i medytowania twojego medytowania, wszystkim ludziom, i to wszędzie, doprowadza cię zawsze do szewskiej pasji, a może nawet do dzikiej, głębokiej i nieokiełzanej nienawiści i chęci mordu? A może ty boisz się po prostu rewolucji?! Bo co by to było, gdyby nagle, niespodziewanie dla ciebie samego, wszyscy spostrzegliby, że twoje myśli, uczucia i słowa, jakich codziennie do wyrażania ich używasz, są sprytnie spreparowanymi przez ciebie ideo neuro poglądami służącymi tylko do oszukania, tylko do manipulowania, i w końcu, tylko do ich definitywnego zniewolenia i upodlenia?! A gdyby tak zachęcić ich, aby przez prostą analogię porównali te twoje słowa z innymi słowami, a język twój z innymi językami, to może mogliby stwierdzić nagle oblani zimnym potem, że wszystko, dokładnie wszystko to, i to nie tylko to - o czym - ale i to - jak!, jest sprytnie przez ciebie spreparowanym utopijstwem celem zdobycia wielkiej, absolutnej władzy, a i wielkiej, absolutnej kasy, i że to ty, i tylko ty, ponosisz za to odpowiedzialność! Że to twoja wina! Że to właśnie ty pogrążyłeś ich celowo swoimi słowami w niewolnictwie nieświadomości, w ubezwłasnowolnieniu, rabując pewnym słowom ich sens pierwotny, innym nadając inny sens, taki, jaki właśnie był ci potrzebny do tego, aby ich sprytnie zniewolić! I co by to było z tobą wtedy?! Czy przypadkiem dopiero wtedy nie mógłbyś naprawdę zwariować?! Czy twój świat nie stałby się dopiero wtenczas światem nieznanych ci ram bez obrazów i pustych białych ścian?! Cooo…?! Wiem, że chciałeś już od dawna, wiem też, że nadal tego chcesz. Wiem też, że to robisz: że wykorzystujesz to wszystko przeciwko wszystkim i wszędzie. Mącisz, kręcisz, manipulujesz. Torturujesz i zabijasz. Myślisz, że już niedługo uda ci się zawładnąć całym ludzkim światem, ale się mylisz. I to solidnie! – El-Bellan stanął prze Wielkim w rozkroku gotując się wyraźnie do ataku - Nigdy nie pomyślałeś o tym, że ja do tego nie dopuszczę?!!! Bo po cóż miałbym tu być?! Tylko po to, abym tu z tobą sobie ot tak po prostu gadał?! Albo abym pił z tobą tę kokainową herbatkę?! Lub po to, abyś mnie werbował, lub, co gorsza, zabijał?! - Wielki wytrzeszczył oczy ze strachu, a straszne przerażenie wypełniło jego serce i cały jego umysł niespodziewaną trwogą. Wczołgał się pod tygrysią skórę i zamarł. - Czyż nie byłoby dużo lepiej rzeczywiście - Ahim el-Bellan pojawił się nagle pod skórą, obejmując Asahima całym swoim ciałem tak, jak balon obejmuje zawarte w nim powietrze - żebyś nie zastanawiał się nad niczym?! Czy rzeczywiście nie byłoby dużo lepiej dla

nas wszystkich, gdybyś od dzisiaj nie mógł już zastanawiać się nad niczym?! Żebyś od dzisiaj zaczął żyć sobie słodko pogrążonym w sennej malignie i codziennej normalności, z dnia na dzień, z godziny na godzinę, i tak, aż nadszedłby kres wszystkiego?! - I tu el-Bellan wrzasnął: - Twoja śmierć! - Po czym błyskawicznie wyszarpnął spod powoju długą, ogromnie grubą strzelbę i wypalił z niej prosto w Asahima.

Czwartek 00:53:00.

Wielkiemu wydało się, że umarł, lecz w jakiś dziwny sposób żył nadal w dwóch niezależnie od siebie poruszających się, cielesnych powłokach. Bellan lewitował w tym czasie nad ogniskiem, co, pomijając jego własną śmierć i dość dla niego samego w tej chwili już widoczne, po niej następujące, lub wręcz niczym nieprzerwane jego własne życie, było absolutnie wykluczone. Nie tylko życie po życiu, ale również i lewitacja jako arystotelesowska prawda naukowa już dawno została odrzucona ad akta, więc żaden człowiek, nawet tak umiejętny jak Bellan, nie mógł lewitować ot tak po prostu nad jakimś głupim, pustynnym ogniskiem przenikając do tego jeszcze jego umysł swoim....! - A jeżeli nienawiści po prostu nie ma?! Jeżeli nie ma też przemocy, a ta twoja Dooila, to tylko taki wielki pic na wodę, i nic więcej?! Jakaś mało znacząca, byle jaka, i nic nie warta organizacyjka, z równie mało znaczącymi, byle jakimi i nic nie wartymi ludzikami, przymuszonymi raczej do współpracy, lub po prostu podkupionymi, no i z tobą na czele, jako głównym i nie wiele wartym szefem tej twojej bylejakości, oczywiście... Asahimie?! - Ahim el-Bellan wyrwał Asahima z zadumy. - To, co wtedy?! To, co wtedy, Asahimie?! Bo przecież, jeżeli nie rozumie się ani słów, których się na co dzień używa, ani swoich myśli, nie wspominając już nawet o uczuciach czy czynach, ani tego - po co, ani tego - jak, ani tego - dlaczego, to ze słowami takimi jak „przemoc" lub „nienawiść" może być podobnie. Podobnie tak jak ze wszystkimi innymi sprawami na tym świecie: coś może przecież oznaczać coś innego, coś, co wydaje ci się, że już znasz, a, o czym nie masz tak naprawdę najmniejszego pojęcia! - To paranoja - pomyślał Wielki i w odpowiedzi od razu usłyszał. - Paranoja??!! - To nie jest żadna paranoja Asahimie! To jest dokładny opis stanu, który wszystkim zaaplikowałeś, i w którym wszyscy od tego czasu tkwimy. To diabelski młyn: pat i mat zarazem. - Tu Bellan wpatrzył się w Asahima swym zielonym, zimnym okiem, a jego twarz przypomniała Wielkiemu znienawidzoną przez niego twarz Urszylla. - Chciałbym w tym miejscu nadmienić Asahimie, że

na szczęście z każdej sytuacji istnieje jakieś wyjście. A jak wiesz mnie nie interesuje uniwersytecko naukowy rozbiór, ani żadna inna mało znacząca ortodoksyjna analizka językowa. Mnie interesuje tylko i wyłącznie czysto subiektywny sens, czysto subiektywny odbiór twojego manipulatywnego języka, i to przeze mnie samego, jak i przez wszystkich przez ciebie już zniewolonych, jako potencjalnych słuchaczy i odbiorców oczywiście. - Gdzieś w dali zawył zgłodniały pies pustynny, a Wielkiego przeszył ponownie dreszcz strachu. - Mnie interesuje czysta zależność między moim odbiorem, a twoim nadawaniem, oraz jej wpływ, i to po pierwsze, na jakość mojego wewnętrznego świata oraz po drugie, na nieświadome i automatyczne kształtowanie świata zewnętrznego w oparciu o język, którego obaj używamy, którego używasz ty, którego używam ja, i którego używają inni... - Wielkiemu wydawało się, że Ahim el-Bellan wpłynął do jego świadomości, łącząc się z nią jakimś cudem w jakąś homogenną, nierozerwalną całość. Uczucie, które temu towarzyszyło, było okropne, podniecało go jednak jednocześnie. Czuł wyraźne pobudzenie seksualne, a członek stanął mu naprężony jak pal. Czuł też, że mózg mu się lasuje, lecz głos Bellana płynął w jego wnętrzu jak woda z kranu bez żadnych zakłóceń dalej. - Uffffff! To było piękne. Spróbuję jednak jeszcze raz, Asahimie, bo chcę, żeby było bardzo piękne i żebyś mnie bardzo dobrze zrozumiał. A więc...

Czwartek 00:53:37.

- A więc analiza naukowo uniwersytecko ortodoksyjna jako absolutnie nieprzydatna dla naszych rozważań, zostaje raz, ale to definitywnie, odrzucona. Dla mnie istotnym jest tylko ten subiektywny, ukryty i bardzo ulotny sens twoich celowych wypowiedzi. Wypowiedzi, których ty używasz do tego, aby mnie zniewolić, i których ja używam do tego, aby się przed tobą bronić, i których używają tez i inni, ci już zniewoleni. A dalej, budowa, kształtowanie i obrona dobrego świata przed twoimi paranoicznie złymi zapędami. Bo sam powiedz: cóż to jest za świat, który stworzyłeś? To niewolnicze, nieświadome odbieranie, nieświadome budowanie, nieświadome używanie, i nieświadome uczestnictwo w nieuczestniczeniu! Ten absolutny ludzki automatyzm i upiorny tripsicutyzm! To, że wydaje im się, że znają sens, ale go nie znają! To, że wydaje im się, że go rozumieją, ale go nie rozumieją! To, że wydaje im się, że wiedzą wszystko, ale nie wiedzą niczego! Że patrzą, ale nie widzą! Że mówią, ale milczą! Że słuchają, ale nie słyszą! Że mają serca, ale niczego dobrego poczuć nie mogą! Że mają mózgi lecz niczego dobrego pomyśleć nimi nie mogą!

Że nienawidzą, a czują że kochają, że kochają, a myślą, że nienawidzą...

Czwartek 00:53:45.

- Asahimie! Asahimie! - Pomimo późnej godziny Asahim spał jak zabity i niełatwo było go wyrwać ze snu. Ahim el-Bellan potrząsał śpiącym już od dobrych paru minut, ale bezskutecznie. - Asahimie! Obudź że się do diabła! Czas na poranną modlitwę. - Wielki otworzył nieprzytomne jeszcze oczy i wpatrzył się w Ahima el-Bellana jak w jakąś nierzeczywistą zjawę. - Ochrona! Do mnie! - Wrzasnął. A zaraz potem spokojniej już zapytał: - Gdzie ja do cholery jestem?! - Minęło doprawdy dobrych parę chwil, w których Wielki przychodził do siebie, aż wreszcie rzeczywiście oprzytomniał i się na dobre obudził. - Asahimie - powiedział Ahim el-Bellan - spałeś jak zabity, a czas na modlitwę nagli. Wstawaj i chodź! - Wyciągnął rękę w kierunku leżącego ciągle Wielkiego - Już czas na modlitwę! - Co?! Jak?! Ja mam się modlić?! Z tobą?! Tutaj?! Chyba oszalałeś Bellanie?! - Weź ze sobą derkę i chodź! - Dodał Bellan rozkazująco. - Bo na piachu robić tego nie wypada! - Słońce stało już wysoko, ale na pustyni dokładne określenie czasu nie było łatwe. Ahim el-Bellan ukląkł na derce z twarzą zwrócona ku słońcu, wzniósł ręce nad głową i śpiewnie rozpoczął:

Nie pozostaje mi nic innego, jak
swobodnie poruszając świadomością,
wybrać wolności cenę ostateczną,
życie poza jutrem i wczoraj,
poza dobrem i złem,
poza agresją,
bohaterstwem i poświęceniem.
Poza posiadaniem i rozstrzyganiem,
poza moralnością i ilością.
Bo oprócz tego, że zaplątany
w stadne życie nieświadomej nieświadomości,
wybieram zawsze rant tej,
rów porośnięty miododajną obecnością intuicji,
diogenezowską drogę słońca,
kynizm rozpostarty na skrzydłach niebytu.
A potem był lew, który pożarł wszystkich
i stał się jedynie obecną jednością.
I tak mi dopomóż ty,

mądra z najmądrzejszych,
śmierć,
naszego skostniałego umysłu.

Ahim el-Bellan skończył pierwszą część modłów, żegnał się właśnie thenahejskim krzyżem zgięty w pół niczym złamany, uschnięty bambus. Wielki leżał w tym czasie myśląc ciągle bez ładu i składu, mruczał przy tym coś niezrozumiale pod nosem, ale czując jednocześnie, i to bardzo wyraźnie, że zaraz nadejdzie jego kolej, dygotał na całym ciele. Najgorsze było jednak nie to. Najgorsze było to, że Wielkiemu nie przychodziła żadna modlitwa do głowy, poza jedną jedyną, wklepaną w dziecięcy umysł ojcowskim pasem, litanią do Boga Ojca Wszechmogącego: Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela Nieba i Ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedynego, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego, narodził się z Maryi Panny, umęczony pod Ponickim Piłatem, ukrzyżowany umarł, i pogrzebany, zstąpił do piekieł, trzeciego dnia zmartwychwstał, wstąpił na niebiosa, siedzi po prawicy Boga Ojca Wszechmogącego, stamtąd przyjdzie sądzić żywych i umarłych. Wierzę w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, Świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie, żywot wieczny. Amen. Czas jednak naglił. Co prawda Ahim el-Bellan leżał martwym bykiem na swojej derce, ale Wielki czuł coraz wyraźniej, że Ahim czeka, i że wydarzy się rzeczywiście coś przerażającego, jeżeli on nie przyłączy się do niego. Przełamując przeraźliwy opór, bowiem prawdziwa modlitwa - prawdziwe, głęboko medytacyjne modlenie - była dla niego czymś wstrętnie ohydnym, stanął obok Bellana. Pustynne słońce paliło już całkiem nieznośnie, sępy krążyły gdzieś w dali nad jakąś padliną, dromadery parskały obok, Dżin przygotowywał animowane śniadanie, a Ahim el-Bellan czekał! - Nie pozostało więc nic innego jak spróbować. Zaczął więc cicho: - Wierzę w Boga Ojca Wszechmogącego.... - Ale Bellan zrywając się nagle z posłania przerwał mu brutalnie. - Co to ma być do kurwy nędzy, Dżadża?! To jest modlitwa?! - I za nim Wielki się zorientował, Bellan trzasnął go w gębę z tak wielką siłą, że Wielki zatoczył się jak pijany, lecz nie upadł na derkę tuż obok, lecz na kamienno marmurową posadzkę jakiegoś olbrzymiego, gotyckiego kościoła wypełnionego po brzegi wiernymi, w którym na jego ambonę, wchodziła właśnie dostojnie i powoli, sama, i to do tego najprawdziwsza, Jezusa Chrystuza - JoshUa z Akady.

Z góry wymownie spojrzała na wszystkich, na te stłoczone, szaro brudne setki, a może nawet i tysiące. Ludzi, którzy lubili ją za jej ostry język, za jej prelekcje i kazania. Nie było bowiem takiego drugiego człowieka, tak porywczego i tak odważnego w całym akadyjskim powiecie. JoshUa nie liczyła się z niczym, ani z nikim. Zawsze mówiła ludziom wprost nie tylko to, w co sama naprawdę wierzyła, ale robiła to również tak, jak sama tego pragnęła, bez względu na modne trendy, czy też inne, przeróżne koniunktury. Prawda jest tylko jedna - mówiła, i za to właśnie ją większość wielbiła. Nie wszyscy ją jednak rozumieli, a byli też i tacy, i nie było ich znowu tak mało, którzy celowo i świadomie chcieli ją zniszczyć. Nie pasowała im bowiem do obrazu świata jaki tworzyli. A do obrazu człowieka współczesnego tym bardziej. A obrazu kościoła, to już w ogóle… JoshUa przejmowała się tym wszystkim, a serce i żołądek strasznie ją bolały, tonu i wymowy swoich porywczych, rewolucyjnych kazań jednak nie zmieniała. Polecenie Thenahå było w końcu jednoznaczne: przekazać im wszystkim, i tym na górze i tym na dole, i to bez względu na wszelkie, wielorakie i jakże często nie miłe żołądkowi konsekwencje, wszystko to, czego sama codziennie w swoim najgłębszym, prywatnym i zacisznym wnętrzu, doświadczała.

To nie ułatwiało jednak jej zadania, jednocześnie również nie rozwiązywało w ogóle żadnych ludzkich problemów. I to właśnie przez to, jak sądziła, czuła się człowiekiem bardzo, ale to bardzo nieszczęśliwym, bowiem wszystko to, czego zawsze najbardziej w swoim życiu pragnęła, było ciągle nieosiągalne. I nie dość, że było to ciągle nieosiągalne, to od pewnego czasu wydawało jej się, że jest to w ogóle niemożliwe. Codziennie widziała przed sobą co prawda setki stłoczonych w oczekiwaniu Braci i odwiedzających jej kazania ludzi, temat jednak, który ją zaprzątał, i którym chciała się już od dawna ze wszystkimi nimi podzielić, był dla niej samej, a i dla wszystkich tych ludzi, jak sądziła, tematem bardzo ważnym, jednak jednocześnie tak strasznym i ciężkim, że odbierał jej całe zadowolenie z życia. Do tego jeszcze JoshUa miała ogromne wątpliwości wypełniające jej serce, a także i umysł, co - do, i to nie tyle słuszności samego tematu, jak i wybranej już przez nią formy przekazu, ale, co do konsekwencji

wypływających z jego publicznego, i to właśnie teraz i tu, w tej skażonej dewoctwem, pychą, żądzą i zakłamaniem świątyni, wygłoszenia.

Z jednej strony bowiem temat ten był na tyle przesiąknięty ciężką szarością i bolesną powagą, że powinien być traktowany bardzo poważnie. Z drugiej jednak, brak wspólnoty oraz ujęcie tematu człowieka, jako nieświadomej niczego rury trawiącej, drapieżnej, mściwej i chciwej jednocześnie istoty łączącej w sobie cechy węża, tygrysa, zająca i żaby, istoty stanowiącej potencjalne zagrożenie nie tylko dla siebie samej i dla wszystkich istot ziemskich, ale i dla całego wszechświata, wymagało jej zdaniem odrobiny samoironii i czarnego humoru. JoshUa bardzo lubiła śmiech i zabawę, obawiała się więc nie bez powodu, że ciężaru tej strasznej powagi nikt nie będzie chciał znieść, lub, że nikt jej wręcz nie wytrzyma. Pomimo tego, że osobiście czuła się wyznawczynią samej Thenahå stojąc - jak mniemała - po właściwej stronie, bo po stronie miłości i dobroci, jej zadaniem jednak nie miało być dzisiaj dzielenie się nią w taki sposób, w jaki by to większości odpowiadało. Zadanie, jakie sobie wyznaczyła, lub raczej, jakim obciążyła ją Thenahå było straszne: - Masz - mówiła przypominając jej codziennie - przestrzegać wszystkich ludzi przed tym potworem, jakim się sami dla siebie samych stali, lub raczej, jakimi stworzył ich, ich Bóg, oraz bez jednej przerwy im przypominać, że nie muszą nim być. Pod jednym jednakże, koniecznym warunkiem: muszą tego naprawdę chcieć. - JoshUa westchnęła. I pomimo tego, że każdy z Braci wygłaszający tu swoje kazania lub prelekcje, miał jej zdaniem dużo łatwiejsze zadanie, podjęła się wyzwania trudniejszego. Głosząc pochwałę, radując się, a wręcz dzieląc się miłością i dobrocią ze wszystkimi w sposób nie budzący w nikim żadnego sprzeciwu, bo wypełniający lub zagłuszający we wszystkich tę ich przerażającą, straszną, czarną i pustą dziurę - uzdrawiając ludzi, modląc się z nimi, lub kojąc ich troski i ból - nikt z nich nie miał nigdy żadnych problemów: ani chłodno moralnych, ani gorąco praktycznych, ponieważ nikt z nich, ani Bracia, ani wszyscy odwiedzający ich ludzie, wcale nie chcieli się zmieniać, i nie tylko, że tego nie chcieli, nie czuli też takiej potrzeby. Ani konieczności. Zawsze jednak bardzo chętnie jedni dużo mówili, a drudzy dużo słuchali o tejże miłości i tejże dobroci, bo wszyscy tylko po to tu przychodzili. A JoshUa pragnęła, żeby ludzie dogłębnie się zmienili. I żeby nie tylko chętnie słuchali tego pustego paplania, ale chętnie też rozumieli treści głębsze, wypływające na powierzchnię z trudem, pojmowane powoli, w ci-

szy, spokoju i skupieniu. Bowiem mówienie ludziom tej ciężkiej prawdy o nich samych bez ogródek, bez przemilczeń i metafor, po prostu przekazywanie im kwintesencji tego czystego ich bezsensu, opartego na wzajemnym i odwzajemnionym, wspólnym się zniewalaniu i pożeraniu, mówienie im o ich makabrycznym, koszmarnym istnieniu, zwieńczonym w przerażający sposób w niezrozumiałej konsystencji ziemskiej tak, jak ją się czuje, postrzega, doświadcza i pojmuje, i tak, aby jej wszyscy słuchali z zachwytem, było nie tylko dla niej misją przekraczającą w ostatnim czasie jej normalne, ludzkie siły, ale, i dla nich, jak sądziła, wszystkie ich ochoty razem wzięte. I gdyby nie Thenahå, i ta niczym nieskażona wiara w to, że na tym właśnie polega prawdziwa ludzka dobroć i prawdziwa ludzka miłość, właśnie na dzieleniu się z innymi tą nawet najstraszniejszą prawdą, oraz wspólnym poszukiwaniu jak najlepszych rozwiązań prowadzących najkrótszą drogą ku światłu, w przeciwieństwie do słodkiego, durnego paplania o niej, lub chronicznego chowania przed nią głowy w piasku, nigdy by pewnie do tego nie doszło. Nigdy by też nikomu nie zapragnęła tego przekazać. - A ktoś w końcu musiał im to przecież powiedzieć. - Myślała. I miała absolutną rację. Ktoś w końcu musiał im wszystkim to wszystko jakoś powiedzieć.

Stojąc już na ambonie, wysoko, prawie pod samym sklepieniem świątyni, błogosławiła wszystkich, a potem też i siebie. A gdy zapadła całkowita cisza, zaczęła: - Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze to całe psychologiczne uwarunkowanie: niezależnie bowiem od tego jak dobrze umiemy usprawiedliwić złe traktowanie ofiary, fakt, że ją właśnie torturujemy, albo palimy żywcem na stosie, stwarza zagrożenie, że moglibyśmy zobaczyć, jak ogromną nam to sprawia przyjemność - innymi słowy, moglibyśmy zobaczyć, że sami jesteśmy źli. Musimy zarzucać więc naszą ofiarę coraz większą ilością zła, tak, żeby wydała nam się naprawdę najgorsza z najgorszych, podła, zawistna i mściwa. I w ten oto właśnie prosty sposób wzmacniamy nasze własne i jakże pokrzepiające nas okrucieństwo, co znowu zwiększa zagrożenie, że moglibyśmy jednak zobaczyć także i siebie samych, i to takimi, jakimi naprawdę jesteśmy. Bez cienia litości zaczynamy więc robić coraz koszmarniejsze, coraz straszniejsze rzeczy, popadając w coraz większą złość i coraz większe okrucieństwo, im większe widzimy cierpienia torturowanej przez nas ofiary. To błędne koło okrucieństwa, winy, rzutowania winy na ofiarę i w konsekwencji jeszcze większego naszego okrucieństwa jest dodatkowo wzmocnione przez to, że wszyscy zapewniamy się przy tym nawzajem o słu-

szności naszego postępowania. Tak więc każdy z nas upewni siebie, a potem wszystkich innych, że robi dobrze, a potem umocni w każdym to przekonanie każdymi dostępnymi mu środkami. A jeżeli ktokolwiek z nas zacząłby mieć jakiekolwiek wątpliwości dotyczące słuszności lub konieczności tych strasznych poczynań, to tym samym naruszyłby spokój ducha wszystkich członków naszej wspólnoty, więc jeżeli wykaże swoją chwiejność, wszyscy członkowie wspólnoty obrócą się przeciwko niemu zostawiając mu tylko jedno wyjście: męczarnię w strasznych torturach i śmierć na stosie jako wyraz łaski pańskiej, albo i ich własnej. Zasada ta działa miedzy wszystkimi ludźmi, na wszystkich poziomach i we wszystkich rzeczywistościach jednocześnie. I nie ma od niej donikąd ucieczki. Ani żadnego wyzwolenia. Nie tłumaczy ona jednak tego, dlaczego w ogóle lubimy przemoc i tak chętnie z niej na co dzień korzystamy. Nie tłumaczy ona jednak tego, dlaczego nie rozpoznajemy, lub nie chcemy rozpoznać w drugim człowieku człowieka, dlaczego musimy wyzyskiwać i dlaczego musimy zabijać, aby czuć się tu na naszej Ziemi szczęśliwszymi i pełniejszymi. I zdaje się, że nic, ani nikt do tej pory nie wytłumaczył nam rozsądnie tego - dlaczego. Ani tego, skąd. Ani z jakiej przyczyny. A przecież jest to w końcu takie proste: poniżeni, zdradzeni i porzuceni nie tylko przez naszego jedynie słusznego Boga, ale i naszych najbliższych naszemu sercu, znaleźliśmy w nienawiści i przemocy nareszcie to, czego było nam od tego momentu tak naprawdę potrzeba. I to tłumaczy wszystko. I to - skąd. I to - dlaczego. I to - z jakiej przyczyny! Dlaczego z taką lubością nawzajem się wyzyskujemy, i dlaczego tak chętnie się zabijamy. Nie rozwiązuje jednak niestety żadnych naszych międzyludzkich problemów, ponieważ w większości nie jesteście tego w ogóle świadomi, a nawet jeżeli jesteście, to świadomość tego nie powoduje w was żadnej ochoty zmian. - JoshUa przerwała, bowiem zauważyła, że dzisiejsza atmosfera w kościele jest jakaś inna. Popatrzyła uważnie po zebranych, ale nic się nie wydarzyło. Ludzie gapili się na nią jakoś tak w milczeniu, pusto, osowiało i bezrozumnie, a niektórzy nawet spali chrapiąc bezwstydnie. - Muszę zrobić coś natychmiast - pomyślała. I naraz, zupełnie niespodziewanie: - Obudźcie się chujozony!! - Wrzasnęła. - Obudźcie wreszcie te swoje otumanione codzienną szarością mózgownice! W końcu przyszliście tu po to, aby mnie słuchać, bo to co mówię jest ważne! A nawet bardzo! Słuchajcie więc uważnie bo nie będę powtarzała! I nie chrapcie jak stado baranów! Bo nie zniosę tego więcej… Co to ma być do cholery??!! - I to poskutkowało wyraźnie. Ludzie oprzytomnieli i nawet ci co spali na dobre, otworzyli swoje oczy.

- Ciągle chętnie wszyscy w to wierzycie, że dawno, dawno temu ludzie stanowili wspólnotę, lub, że w przyszłości będziecie ją stanowić. Ale tak nigdy nie było. I tak nigdy nie będzie. Nasza historia to ciągła walka. To ciągłe zabijanie. To małe, duże i wielkie wojny. Największą i najcięższą wojnę jednak, stacza każdy z nas w swoim własnym, prywatnym wnętrzu, kiedy próbuje przeżyć i przystosować się do życia wśród bliskich i dalekich mu ludzi tu na Ziemi. Normalnie, gdyby idee miłości i dobroci były w nas naprawdę żywe, żaden z nas nie mógłby tu przeżyć. Każdy z nas musiałby, lub powinien umrzeć tu w procesie dorastania i wychowania. Tak się jednak nie dzieje. Umierają tylko nieliczni. Większość z nas bowiem wybiera życie opowiadając się i akceptując tutejsze warunki. Z czasem nawet zaczynamy wierzyć, że są one, jeżeli nie doskonałe, to jednak wystarczająco dobre. Zadawalają nas, nawet, jeżeli wstępnie tylko pozornie, to później jednak sami zaczynamy je chronić i tworzyć. Tworzymy więc podobne nowe upiorne paranoje, uważając je w końcu za największą zdobycz naszego ludzkiego geniuszu: kłamstwo, kradzież i wyzysk jako podstawowe prawo, jako baza i fundament naszego tu bytowania. Za młodu chronieni nadmiernie przed życiem, nie macie o nim w wieku dojrzałym żadnego pojęcia, nie macie więc również żadnej ochoty na jakakolwiek współpracę, bowiem nie znacie i nie rozumiecie powodów, dla których powinniście współistnieć. Nauczeni dwudziesto paroletnim doświadczeniem w zaspokajaniu każdej zachcianki, chcecie żeby tak było dalej, a ci, którym zachcianek nie spełniano, chcą żeby wreszcie i w ich życiu to nastąpiło, więc nikt z was nie jest tak naprawdę ani gotowy, ani chętny do dzielenia się czymkolwiek z kimkolwiek. Jest raczej odwrotnie: chętnie zagarnęlibyście wszystko dla siebie, gdyby to było tylko możliwe. Ale najczęściej możliwe nie jest. Siłą więc odbieracie słabszym wszystko to, co posiadają, a im większą siłą dysponujecie, tym więcej możecie im odebrać. Tym łatwiej też usprawiedliwić jest wam wasze ochoty i wasze czyny. Zwycięzca zawsze ma rację. Chętnie to wszyscy akceptujecie, bo wszyscy bardzo pragniecie nie tylko czuć się, ale i być zwycięzcami. I tu właśnie zaczyna się nasze osobiste piekiełko, ponieważ tam gdzie są zwycięzcy, muszą też być i zwyciężeni, przegrani, pogrzebani, lub pożarci... Ale dobrowolnie przecież nikt z was nimi nie chce zostać. Jesteście przecież wszyscy stworzeni do zwycięstw, prawda?! - I tu JoshUa przerwała ponownie. Ludzie nie spali już co prawda, ale stojąc w zupełnej ciszy gapili się na nią jakoś tak bardziej agresywnie. To poczuła wyraźnie. Westchnęła ciężko i ze smutkiem

pokiwała głową. Przewróciła kartkę i z ciężkim sercem podjęła przerwany wątek: - Tak się jednak składa - zaczęła - że istnieje taka możliwość, aby tam gdzie istnieją zwycięzcy, nie było żadnych przegranych. A jest nią moja świadoma akadyjska wspólnota oparta na współpracy i braterstwie. Na samodzielności i świadomości. I współzależności. Na traktowaniu drugiego człowieka jak siebie samego. W większości jednak wy wcale nie chcecie tej możliwości poznać, ani jej po poznaniu zaakceptować. Boicie się o swoje zwycięstwo. Boicie się o wszystko. Torturujecie, katujecie i zabijacie więc, bo to sprawia waszej sadomasochistycznej psychice wielką przyjemność. Bo to czyni was ostatecznymi i jedynymi zwycięzcami. Panami wszystkiego: i życia i śmierci. Moim zdaniem jednak dzieje się często też i tak, że torturujecie, katujecie i zabijacie, bo instynktownie boicie się zdemaskowania. Bo instynktownie boicie się prawdy o sobie samych. Dlatego też traktujecie każdego innego człowieka jako swojego konkurenta. Jak konkurenta i wroga, z którym nie tylko, że nie chcecie się niczym dzielić, a z którym dzielić się powinniście, lub, z którym dzielić się musicie, ale przede wszystkim jak człowieka, który jako jedyny potencjalny wasz przeciwnik, konkurent i wróg, mógłby odsłonić tę przeraźliwą wręcz - waszym własnym zdaniem oczywiście - prawdę o was samych. Zabijacie go więc i już. Jako zwycięzcy z nikim nie musicie się już niczym dzielić. Nie musicie się też już nikogo, ani niczego obawiać. Już nikt nie odkryje i nikt nie rozgłosi wszem i wobec niczego. Dlatego katujecie. Dlatego łamiecie i dlatego zabijacie. Dlatego tak chętnie unicestwiacie wszystkich swoich potencjalnych konkurentów, i tak chętnie ich poszukujecie. Bowiem tak jak i wasi stwórcy potrafili, tak i wy potraficie pozabijać się o wszystko. I nawet tak wielki i potężny Enki-el nie mógł niczego dobrego dla was uczynić, poza uratowaniem wam życia. I nawet tak wielki Enki-el przegrał z Enlil-elem, bo tak jak i ja, tak i on, żył w społeczeństwie nieobliczalnych, drapieżnych, wojowniczych istot, których, pomimo tego, że je kochał, to również nie rozumiejąc ich i nie pojmując, bał się strasznie, a z tego strasznego strachu wręcz, strasznie ich też nienawidził, z którymi jednak musiał się nie tylko liczyć, ale i dzielić swoje życie, jak i całe swoje królestwo. Ale wam, zdaje się, wszystko to dzisiaj zwisa raczej i powiewa! - Stwierdziła twardo. Jako, iż nic znaczącego ciągle nie chciało się jednak wydarzyć, kontynuowała: - Pomimo tej strasznej przegranej - to właśnie jemu zawdzięczamy wszystko. I to nie tylko życie. Zawdzięczamy mu bowiem całą naszą wiedzę, oraz wszystkie nasze osiągnięcia. Bo co tak naprawdę osiągnęliśmy w ciągu tych ostatnich 40stu tysięcy lat poza

tym, co ukradliśmy innym, lub tym, czym nas jacyś Obcy przez jakiś przypadek obdarzyli?! Nasza cała wiedza o nas samych, oraz o naszym całym wszechświecie, opiera się nie na faktach, lecz na zewnętrznych, wyrafinowanych i narzuconych nam siłą ego poglądach. Tak jak i przed wiekami bowiem, tak i dzisiaj palimy na stosach całą ludzką mądrość: ludzi i ich wszystkie dzieła. Nie osiągnęliśmy przez to niczego, czego i przed 40stoma tysiącami lat byśmy nie mieli. Nie tylko, że niczego nie osiągnęliśmy, to do tego jeszcze cofamy się. Strach o wszystko, regres i chaos jest naszym udziałem i naszym panem. Cywilizacja, którą większość z nas tak podziwia, i z takim zapałem utrzymuje przy życiu, pochłonęła więcej ofiar niż było i jest nas obecnie wszystkich żywych tu na Ziemi!. A do tego większość z nas tu żyjących jest bardzo chora. Bo cóż z tego, że rozpaczamy bolejąc nad życiem biednego, opuszczonego psa na ulicy lub kota na dachu, kiedy jednocześnie potrafimy podbić oraz zniewolić pół świata?! Cóż z tego, że gadamy jak najęci o miłości i dobroci, jeżeli nie potrafimy nadal, tak jak i przed wiekami nie potrafiliśmy, cenić naszego wspólnego dobra, jakim jest życie we wspólnocie, a przez to tworzyć ją, organizować i nią zarządzać?! Cóż z tego, że składamy tyle wspaniałych deklaracji przyjaźni, kiedy dzisiaj tak jak i przed wiekami szpanujemy chwaląc się jedni przed drugimi wszystkim: i posiadanymi poglądami, i posiadanymi rzeczami, jak i ilością kasy na koncie. Ciągle zazdrościmy jedni drugim wszystkiego, chełpiąc się posiadaniem czegokolwiek. Niszczymy się nawzajem i zabijamy z premedytacją za wszystko. Za każde pieniądze. Za każdą rzecz. I za każdą ideę. Dlatego też to marność, i tylko marność, jest naszym tutaj udziałem i niczym więcej. - JoshUa przerwała nagle, bo wyraźnie poczuła wzbierającą w Braciach, a, i w zgromadzonych na dole ludziach, falę gniewu. To nie przestraszyło jej jednak. Ucieszyła się nawet. Od zawsze cieszył ją bowiem ten ludzki potencjał, o którym myślała, że już go nie ma, że wypalił się i przepadł raz na zawsze ustępując miejsca codziennej szarości, zwątpieniu, nijakości i marazmowi. Jako pozytywna siła objawiał się on w ludziach najczęściej w sytuacjach największego zagrożenia, tylko wtedy, kiedy ludzie czuli, że mogą stracić swoje ludzkie życie. I wtedy był dobry. Jeżeli natomiast chodziło o tworzenie, o wspólne planowanie i budowanie, dzielił już ludzi na wiele rozdrażnionych, wojowniczych obozów uniemożliwiających ludziom wspólne uczynienie czegokolwiek. Wspólnota nie interesowała nikogo, lub też, interesowała wszystkich, wszyscy jednak jak jeden mąż twierdzili, że nie da się jej żadną miarą ani żadną siłą tu na Ziemi wśród ludzi urzeczywistnić.

Zaczynała się i kończyła na gadaniu, na planach i wiecznych dyskusjach, a często lub nawet najczęściej, na walce między obozami na śmierć i życie. Na wyzysku, prywacie i niewolnictwie. Na więzieniach. Na torturach. I na stosach. I to było przerażające. I tak przygniatające, że nawet prawa ręka samej Thenahå, JoshUa z Akady, uginała się pod tym ciężarem nie widząc żadnego wyjścia z tej, jak sądziła, popieprzonej matni. A tu nagle taki gniewny odzew! - Gdyby Miłość, Dobroć, Prawda, czy Mądrość były wam wszystkim dostępne, nie musielibyście w ogóle nimi handlować, bowiem żaden handel nie byłby miły waszym sercom, byłby zatem zupełnie niepotrzebny, a wręcz - byłby zupełnie niemożliwy. Gdyby Miłość i Dobroć, Wiedza, Prawda, czy Mądrość, były wam wszystkim dostępne, nie mielibyście żadnych poglądów, nie musielibyście ich też mieć - to Wgląd zastąpiłyby ich miejsce. Gdyby Miłość i Dobroć, Wiedza, Prawda i Wolność były nam wszystkim wspólnie dostępne, nie można byłoby nami w żaden możliwy sposób manipulować! Sama manipulacja nie byłaby również możliwa. Tak byłoby gdyby... Niestety! Ludzie zmieniają wszelkie możliwe poglądy jak kameleon kolory; nie zależy im ani na Prawdzie, ani na Wolności, ani na Poznaniu: na wszystkim, na czym im tak naprawdę zależy, to tylko na pieniądzach i władzy. Najskuteczniejszą bronią więc przeciwko, oraz najskuteczniejszą obroną przed wszystkim tym, czego nie da się, lub tym, czego nie chce się zrozumieć, zobaczyć, usłyszeć, ani zauważyć, oraz wszystkim tym, co chce się po prostu zdyskredytować lub zwalczyć, jest ignorancja. Kurza ślepota. Świadome i celowe nie zauważenie niczego. To wszystko, co jest nam w jakiś sposób niewygodne, po prostu nie istnieje, a jako nieistniejące w nas samych, nie może w żaden sposób zaistnieć też i w innych, bo gdyby mogło i gdyby zaistniało, to my akceptując to oficjalnie, przyjęlibyśmy wówczas różnorodność i równorzędność wszystkich poglądów, wizji, oświeceń, wtajemniczeń i nauk, przyjęlibyśmy wówczas różnorodność i równorzędność wszystkich ludzi, i wszystkich istot we wszechświecie, tracąc tym samym nasz monopol, nasze wpływy, naszą władzę, i nasze pieniądze. Oraz naszą wymarzoną i jakże upragnioną wyższość nad innymi. Dlatego też strach, oraz osąd ze strachu tego wynikający, który charakteryzuje nas wszystkich w stosunku do nas wszystkich, a także w stosunku do nas samych, oraz wszystkiego tego, czego nie możemy, czego nie umiemy, i czego nie chcemy poznać i zaakceptować, zogniskowany jest w chciwości władzy oraz osądzie współczesnej inkwizycji naukowej, politycznej i religijnej. Dlatego też osąd ten jest aż tak surowy, a życie heretyckich jedno-

stek oraz całych heretyckich społeczeństw, ma tak wielkie znaczenie dla rozpędzonej, rozbuchanej i w swą nieomylność zapatrzonej, współczesnej władzy, która z taką chyżością i uwielbieniem wyrzyna nas wszystkich mieczem oświecenia, wypala nas ogniem nawrócenia, lub w najlepszym, lecz równie niemiłym przypadku, ignoruje nas swoją własną i wielce szanowną ignorancją.

- Czy pojmujecie do czego zmierzam?! Czy zrozumieliście już dlaczego ten nasz międzyludzki świat, w którym wszyscy zanurzeni tu jesteśmy, jest dokładnie, właśnie, takim światem?! Czy zrozumieliście już dlaczego uczy się nas wszystkich tego właśnie, a nie niczego innego w naszych szkołach i na naszych uniwersytetach?! Czy pojęliście już, dlaczego nie słyszeliście nigdy wcześniej o ideach Jedni, Jakości czy chociażby wewnętrznej Trójcy?! Czy rozumiecie już, dlaczego nie wiecie do dzisiaj, czym, lub kim, jest prawdziwa Agapa?! Czy wiecie już, dlaczego nie uczycie się w ogóle o siłach, prawach i istotach ukrytych skrzętnie za trójwymiarowym światem form, będących jednocześnie jego sprawcami, jego cichymi budowniczymi?! Czy wiecie już, dlaczego prawda o nas samych, którą ktoś ciągle przed nami ukrywa, miałaby nas zabić, i dlaczego, jeżeli już, podaje się ją nam w formie dobrze spreparowanych i dobrze przeżutych kłamstw?! Czy wiecie już, jaka to siła sprawcza powoduje, że cała ta otaczająca nas rzeczywistość ma taki właśnie charakter?! Czy zauważyliście już ten drugi aspekt naszego wspaniałego, międzyludzkiego, trójwymiarowego modelu, którym jesteśmy wspólnie my wszyscy, którym jestem i ja sama, i którym jesteście i wy wszyscy osobiście?! Ten drugi aspekt, ta druga strona naszej ludzkiej trójwymiarowości, którą jesteśmy my wszyscy razem - to nie tylko przeklęci przez nas wyznawcy brata Boga - Szatana - lecz i On sam w jego najstraszniejszej, najkoszmarniejszej postaci: kreatora, uzurpatora, prokuratora i jedynego sędziego naszej całej ludzkiej rzeczywistości. - W kościele zawrzało. Masa ludzka poruszyła się, lecz widząc że JoshUa nic sobie z tego nie robi i nie przerywa, po chwili uspokoiła się i znieruchomiała. - Przed wieloma tysiącami lat zaprogramowano nas tak bowiem, abyśmy bezmyślnie rozmnażali się powtarzając bezmyślnie raz uruchomiony biologiczny program Homo Sapiens. Bóg Szatan - Jahwe - Bóg wszystkich ludzi tworzył nas na swoje podobieństwo, a że nie był najwspanialszym osiągnięciem ewolucji wszechświata, przeto skrzyżował nie najwspanialszy program ziemski z jeszcze gorszym własnym programem, w którym nienawiść i przemoc, zawiść i zazdrość były cechami dominującymi. Nie powi-

nno więc dziwić mnie to, że jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. A jednak dziwi mnie to zawsze! Do tego smuci i martwi. I przeraża. Równie często jednak wścieka, i wkurza!!! - I tu JoshUa wyrżnęła pięścią w blat ambony. - I to do tego bardzo! A gdy pomyślę o tym, że rodząc się tu, lub raczej, jak wolę, wradzając się w ten nasz ludzki, ziemski świat, wradzamy się jak gdyby w ten zastany już, ubezwłasnowolniony porządek, który to nie my kształtujemy, lecz który kształtuje tu nas, wypalając na nas jego zaborcze piętno, to… Mówię wam! - Pokręciła głową. A ludzie w lot pojęli to, co chciała im przez to powiedzieć. - Nasz nie najlepszy i tak, pierwotny program, zostaje brutalnie, wszelkimi możliwymi środkami zmodyfikowany i siłą dopasowany do panującej w danym momencie doktryny. Wyprane, przeprogramowane i przerobione, skasowane i na nowo zapisane w naszym nowo narodzonym ludzkim komputerze pewniki tego właśnie świata, wypracowane i oparte na strachu i przemocy, na wyzysku i nienawiści, na głupocie i niewiedzy, na chciwości i zazdrości, na niepojęciu, na niezrozumieniu i nieumiejętności rozeznania oraz urzeczywistnienia praw miłości i dobroci, braterstwa i współistnienia, czynią nas wszystkich trójwymiarowymi wrakami rozbitymi na skałach ziemskiego życia. Wradzając się, pojawiamy się w zupełnie obcym wymiarze, i w zupełnie obcym świecie zaczynamy nasze tu trwanie, i nasze tu uczestniczenie. Poddani najwymyślniejszym programom restrukturyzacji, neopromocji i reedukacji, stajemy się z czasem nierozerwalną cząstką z resztą otaczającej nas, ludzkiej nienaturalnej trójwymiarowości. Zapominamy kim byliśmy zanim urodziliśmy się, zapominamy po co przybyliśmy na ten świat, zapominamy bezpowrotnie o wszystkim. - Odetchnęła głęboko, wciągając w głąb ciała zapach palących się wszędzie świec i dusznych kadzideł. Lubiła ten zapach. Lubiła też i to miejsce. Dzisiaj jednak spokojna nie była. Temat był zbyt poważny, a ludzka głupota i ignorancja doprowadzały ją wręcz do pasji. - Będąc zniewolonymi już przed poczęciem - rozpoczęła na nowo - oczekujemy od zniewolonego i opartego na wyzysku i przemocy świata, miłości i dobroci. Czyż oczekiwanie takie nie jest najstraszliwszym przypadkiem nieuleczalnej choroby psychicznej?! Nadzieja, wiara i miłosierdzie, to cudowne, magiczne siły. Cudowne i magiczne są jednak tylko wtedy, kiedy służą nam w pokorze stojąc na odpowiednich dla nich miejscach i działając na nas odpowiednim kolorem i natężeniem. Świat widziany przez różowe okulary nadgorliwych entuzjastów upitych szczęściem optymizmu, podobnie do świata zatrutego żółcią niewiary chorych ze zgryzoty i beznadziejnej beznadziei pesymistów, to

tylko dwa przeciwstawne aspekty tej samej patologii chorego, uśpionego umysłu, chorej uśpionej świadomości. Strzeżmy się więc zatem zastawionych na nas przez nas samych, diabelskich pułapek, bo nie ma niczego gorszego na naszej drodze, niż jednostronne utożsamienie. Bądźmy dla nas samych zawsze jak powietrze wysokogórskie: świeży, czyści i klarowni, i niech żaden smog, dowolnego pochodzenia, żeby nie wiem jak przebiegły by nie był, nie odbierze nam zdrowego rozsądku i świeżości spojrzenia oraz naszego przewodnika, w postaci przekonania o słuszności naszych poszukiwań. Nie popadajmy jednak jednocześnie w kolejną, zastawioną przez zwinnego nindżę, skrajność - niebezpieczeństwo jest bliżej niż możecie się spodziewać, a nasz przeciwnik jest bardzo, bardzo groźny i znakomicie wyszkolony, a jest nim nasza własna nieomylność, bo to my sami nią jesteśmy. Będąc naszymi poglądami, naszą całą i nie bez przekory nazwaną bagażem, wiedzą, naszą potrzebą bycia akceptowanym, bycia potrzebnym, naszą codzienną potrzebą sukcesów i karier, naszą potrzebą bycia innym, lepszym, mądrzejszym, bogatszym, piękniejszym, elokwentniejszym, szybszym, sprytniejszym, i zdrowszym, naszą potrzebą posiadania i dominacji, kierowania i nakazywania, kontrolowania i wyzyskiwania, naszą codzienną i wszystkim nam bez wyjątku daną możliwością przeżycia, którą wszyscy bez wyjątku mylimy z koniecznością - jesteśmy naszym własnym, najgroźniejszym, najbardziej zatwardziałym i najwspanialej przez nas samych wyszkolonym, wrogiem. Naszym największym i najgroźniejszym przeciwnikiem - my sami w sobie samych. I nikt inny! - I tu JoshUa przerwała. Wyraźnie męczyło ją to co musiała powiedzieć, a końca jeszcze nie było widać… Popatrzyła ciężko i znacząco po wszystkich z góry, i tak po chwili, zaczęła:

- Wierzcie mi! Nic w tym całym trójwymiarowym ziemskim świecie nie może nam bardziej zaszkodzić, niż my sami, sobie samym, osobiście. Będąc od urodzenia absolutnie bezwolni lub, z naszej woli po prostu obrabowani, jesteśmy podobni tym samym do stada baranów na łące, które potrafią paść się, lub przeraźliwie beczeć w oczekiwaniu na pasterza, i na rychłe zarżnięcie, nie potrafiących jednak uczynić niczego, aby nie tylko temu przeciwdziałać, ale aby świadomie to zmienić. Jestem pewna, że istnieją na naszym globie oraz również poza nim, tajemnicze siły, które uniemożliwiają nam swobodny rozwój, i to nie tylko w formatach makro- ale głównie w formatach mikroskopowych: molekularnym, genetycznym i kwantowym. Mam więc nadzieję, że już dostrzegliście to, że to nie tylko wy,

i że to nie tylko ja sama osobiście, odpowiedzialni jesteśmy za ten stan, i za ten obraz, i za tę drogę, którą wspólnie kroczymy: nasz umiłowany przez nas stwórca odpowiedzialny jest również. Na równi z nami odpowiada za te wszystkie zabójstwa, za te wszystkie gwałty, mordy, napady, zakazy, nakazy i wyzysk, za te wszystkie kradzieże, nieuczciwości, niechlujstwa i kłamstwa, za tę całą nienawiść, zazdrość, zawiść i przemoc, za te wszystkie wojny, za naszą krew, za nasz ból, za nasze łzy.. To właśnie On, i to osobiście, jest najgorszym z najgorszych. Jednocześnie jednak i my odpowiadamy za wszystko. W końcu to my tutaj żyjemy i my robimy to wszystko. - W kościele zawrzało i zagrzmiało, lecz JoshUa nie przerwała. Pokiwała tylko groźnie palcem i mówiła dalej:

- Bóg Szatan tworzył nas i zabijał wielokrotnie, i to na wiele sposobów. W końcu tworzył doskonałych niewolników, doskonałe bioroboty do wszystkiego. Dlatego to też w manipulacyjną grę o cokolwiek gramy wszyscy. I to bez wyjątku: albo sami manipulujemy innymi, albo to oni manipulują nami. A przecież to tak nie musi być, i tak nie musi to trwać. A jednak jest i trwa. Poprzez wieloletnie wychowanie i wieloletnie nauczanie wpaja się nam wszystkim obowiązek akceptacji zastanego tutaj porządku, którego my za nic na świecie zaakceptować nie możemy, i którego za nic na świecie zaakceptować nie chcemy, bo on po prostu nie tylko, że nie jest naszym porządkiem, to nie jest żadnym porządkiem w ogóle. To chaos. I to nieuporządkowany. I to nie dla niego tu na ten fizyczny świat przychodzimy. A przecież może być inaczej. Niewielu z nas jednak zadaje się tego inaczej pragnie, niewielu z nas zdaje się tego inaczej szuka i niewielu z nas zdaje się to inaczej urzeczywistnia. Pomimo tego, że raj leży oddalony od nas na wyciągnięcie naszej ręki, to rozum mamy z jakiegoś powodu za krótki, aby wyciągnąć go w jego kierunku. Nasza trójwymiarowość ma to do siebie, że potrzebuje wzorów do naśladowania, a wzorem może być wszystko: każdy bodziec i każda informacja odebrana po uruchomieniu programu. Jaka społeczna matryca taki i produkt końcowy. Nasza uśpiona świadomość traktowana przez nas wszystkich jako najwspanialsze nasze dobro, odbita siedem miliardów razy po siedem, narzucona siłą i przemocą, wypalona stosami oraz wszelkimi innymi argumentami nie do odrzucenia, robi codziennie to, co robi: zabija w nas nasze człowieczeństwo upodobniając nas do małp, pszczół i mrówek. Żyjemy niezdolni do żadnych czynów naznaczonych osobistą wolą i zaangażowaniem, zniewoleni pieniędzmi i ich pożądaniem, pogrążeni w strachu i niechęci.

Oczekując od innych tego, czego sami sobie codziennie odmawiamy - wiary i uznania dla siebie samych, i to dla takich, jakimi w głębi naszych serc tu na prawdę jesteśmy, a nie takich, jakimi nas tu na Ziemi stworzono, infekując nam najgłębsze zagubienie, niepewność i bezradność. Największą podatność, zależność, i wpływowość. Największą nieświadomość, niewiedzę i możliwość udawania. Udajemy bowiem wszyscy przed wszystkimi wszystko. Najczęściej jednak to, że takimi właśnie nie jesteśmy. Niestety, kochani, niestety… Jesteśmy najbardziej zadufani, najbardziej chełpliwi, najbardziej chciwi, najbardziej mściwi i najbardziej krwiożerczy. Wszyscy najbardziej dobra pragnąc, największe z możliwych zło czynimy. Rodzimy się nieświadomi i umieramy nieświadomi. Rodzimy się niewiedzący, i umieramy niewiedzący. Stajemy się takimi, jakimi ukształtują nas tutaj nasi kreatorzy. Stajemy się takimi, jakimi ukształtuje nas obce, a, i nasze własne reformowanie naszego osobistego prywatnego umysłu. Po fazie rozmiękczania, w której wywołuje się w każdym człowieku kryzys tożsamości doprowadzając go do pełnej dezorientacji i potrzeby odnalezienia zagubionej struktury, na której mógłby się oprzeć, następuje faza zmiany, w której podaje się rozmiękczonemu umysłowi gotowe, wcześniej spreparowane informacje wsparte systemem kar i nagród, systemem nakazów, zakazów i celowych pochwał i wyróżnień. W fazie ostatniej, cementuje się i utrwala nowo przyjęte postawy, akceptując, chwaląc i nagradzając bez jednej przerwy nowo narodzonego, doprowadzając go tym samym do pożądanego stanu gotowości na dobrowolną i zaangażowaną współpracę w tworzeniu nowych i coraz gorszych systemów. Stajemy się tymi wzorami i programami, jakie dostajemy do dyspozycji. A co dostajemy?! Do dyspozycji dostajemy to, co dostajemy. To nie cały świat musi dopasować się do naszych wyobrażeń, pragnień i potrzeb, to my musimy dopasować się lub\oraz dopasowywani jesteśmy do tego świata, i to każdymi metodami. Po takim wieloletnim i dość skutecznym, reformowaniu umysłu, zostajemy najbardziej poplątanymi, najbardziej zdezorientowanymi, i najbardziej sztucznymi sami w sobie samych. Jesteśmy najbardziej ze wszystkich możliwych negatywnych najbardziej. Nie dość, że rozpina się nas wszystkich na parysile przeciwstawnych przeciwieństw wykluczając tym samym zrozumienie i pojęcie Jedni, to tym samym tworzy się nieświadome niczego, pozbawione krytycznego myślenia i postrzegania, całkowicie zmechanizowane bioroboty do wypełniania, powielania i utrzymywania pozornej, za jedyną jednak możliwą uznanej, naszej codziennej międzyludzkiej rzeczywistości ziemskiej.

A wszystkich tych, których nie uda się zreeformować, wyklucza się na wiele sposobów nie tylko ze środowiska międzyludzkiego, ale przede wszystkim z wszelkiego Życia. Po takim wieloletnim i dość skutecznym reformowaniu nas wszystkich, tworzy się gatunek, społeczeństwo, które różni się od wszystkich innych tym, że jest aż tak różne, i aż tak niespójne wewnętrznie, co i zewnętrznie. Do dość pogmatwanego planu genetycznego, dołącza równie pogmatwany plan społeczny, dając tym samym wybuchową mieszankę: totalne pomieszanie i totalną histerię pozwalającą wszystkim kreatorom czynić tu na Ziemi to, co im się żywnie podoba. Nie wiedząc kim jesteśmy i po co, żeglujemy ruchem wstecznym na naszej planecie Ziemi ku rychłej i bezpowrotnej zagładzie. Nie posiadając ani kierunku, ani celu, ani wiedzy, ani mądrości, ani wolności, ani miłości, tworzymy świat iluzji, mamimy siebie nawzajem różnymi świecidełkami, przepychamy się, szturchamy i popychamy, wmawiamy sobie samym naszą nieomylność i celowość, podpieramy się nawzajem, popieramy i utwierdzamy, a za kawałek kiełbachy i obietnicę przeżycia sprzedajemy się sobie nawzajem, czyniąc całe nasze życie nie tylko koszmarnym snem, ale i koszmarną rzeczywistością. Bowiem na świecie rządzonym przez pieniądz i tych, którzy go posiadają, nie istnieje żadna inna wartość poza wartością materialną. Miłość, dobroć i przyjaźń nie znaczą tu nic. Za pieniądze natomiast da się tu zrobić wszystko. Za pieniądze na naszej planecie da się kupić życie nas wszystkich, całą naszą planetę, i jeszcze wiele innych planet tego nieskończenie wielkiego wszechświata i dobrze o tym wiedzą ci, którzy go codziennie od nowa kreują - umiłowani przez nas wszystkich i przez nas samych wybrani, nasi cudowni kreatorzy - a jesteśmy nimi my wszyscy, i to bez wyjątku.

- Dlatego też coraz częściej wydaje mi się, że jedynie wymazanie naszego programu z Programu Życia, i to tylko być może, uwolniłoby nas z naszej własnej, niedobrowolnej jednak, niewoli. Sprawy zaszły już tak daleko, że zdaje się, że nic i nikt nam już nie może pomóc. Że nikt i nic nam już pomóc nie chce! Nadchodzi nieoczekiwany i nieupragniony koniec. Koniec wszystkiego: oddychamy zatrutym powietrzem, jemy zatrute produkty, pijemy zatrutą wodę, przyjmujemy zatrute informacje, uczymy się zatrutej wiedzy, wierzymy w zatrutego Boga - jesteśmy przesiąknięci, o ile nie jesteśmy już nią samą - czystą trucizną: nasze myśli są zatrute, nasze uczucia, nasze pragnienia, nasze postrzeganie i nasze pojmowanie i to wszystkiego bez wyjątku. Wradzamy się w zatruty świat, trwamy w nim i umieramy

równie jak on zatruci. Pomimo wszelkich danych, aby stać się Wszystko Ogarniającą Możliwością, Wszystko Ogarniająca Niemożliwość pozostaje dla nas na zawsze jedynie możliwą sposobnością. Pomimo wszelkich danych aby stać się Nieograniczoną Możliwością, Nieograniczona Niemożliwość pozostaje jedyną znaną nam rzeczywistością. Niedługo wszyscy umrzemy, nasze ciała rozpadną się, rozpuszczą się w morzu Niczego, i żadnego śladu po nas nie pozostanie tu na Ziemi, ani nigdzie indziej. Bo i po co komu ten ślad?! Nasza jednorazowość i wyjątkowość wśród innych istot, umarła wraz z naszym poczęciem, zabiliśmy siebie samych, zniszczyliśmy celowo naszą Esencję, więc nie powinniśmy dziwić się, że nic po nas nie pozostanie, że takimi, jakimi byliśmy tu na Ziemi wśród naszego międzyludzkiego świata, w innych światach i innych wymiarach, nikomu i niczemu potrzebni nie będziemy. Bo po co komu nasza senna głupota, nasza nienawiść senna, i nasza senna paranoja?! Wiara w zatrutą miłość zatrutego Boga, też nam nie pomoże! WSZYSTKO ukochało swoje dzieci, to prawda, ale my nigdy nimi nie byliśmy, i nigdy nie będziemy! Bo po co MU wraki rozbite na skałach życia?! Szansę, jaką nam dano, zaprzepaściliśmy bezpowrotnie, a teraz, nagle, w godzinie śmierci, chcielibyśmy to jakoś nadrobić?! Niestety! Nadziei dla nas brak! Koniec naszej drogi nadchodzi, i nikt, i nic, nie uwolni nas od odpowiedzialności za to, co tu zrobiliśmy, i co robimy nadal, i to do tego, osobiście. Dlatego też, nasza przyszłość kończy się wraz z teraźniejszością i to raz na zawsze! Kończy się wszystko! Baj, baj mili. Ani Bóg, ani reinkarnacja, ani żadna inna siła na Ziemi, ani na Niebie, ani w Piekle, nie uwolni nas od naszego definitywnego końca, nieoczekiwanego jednak i nieupragnionego, mrocznego, osobistego i non manipulatywnego - *Die Enda*.

- Dlatego też krzyczę na was. Dlatego też wam wygrażam. Chcę bowiem nie tylko zmusić was wszystkich i sprowokować wręcz do myślenia, ale przede wszystkim chcę uświadomić wam wszystkim naszą straszną ludzką tu na Ziemi sytuację! I pomimo tego, że w większości - jak tak na was z góry patrzę - uważacie pewnie moje dzisiejsze kazanie za nic niewarte banialuki nie wsparte żadną ortodoksyjną doktryną, żadnym naukowym autorytetem, lub czymś w tym rodzaju, zacytuję wam jeszcze raz Thenahå: Prawdziwa miłość i prawdziwa dobroć, nie polega na manipulowaniu kimkolwiek. Prawdziwa miłość nie polega na rozdawaniu cukierków, i leczeniu ran, które ludzie mogliby sobie sami wyleczyć, lub, których mogliby w ogóle nie mieć, gdyby tylko zechcieli się zmienić, gdyby zmienili swoje życie. Pra-

wdziwa miłość opiera się na prawdziwym poszanowaniu, w którym nie ma miejsca dla żadnych zależności. Prawdziwa miłość nie jest też czynem, tak jak myślenie nie jest materią. Niestety poglądy, które reprezentujecie w waszym codziennym życiu, a z którymi ja z takim uporem i zaangażowaniem walczę, zamiast nam wszystkim pomagać w przeżyciu tu na Ziemi, zabijają nas wszystkich skutecznie. Dopóki pozostaniecie w stanie niezrównoważenia, a lwiej większości z was nie uda się zrzucić ich ukochanych masek, założonych im na ich twarze w momencie narodzin, albo i dużo, dużo wcześniej, nic się tu na Ziemi nie wydarzy, ani nie zmieni. Wszyscy tym samym stanowimy najpotężniejszy filar i najpotężniejszy zaczyn nienawiści i przemocy praktykowanej codziennie na wszystkich. I to wszędzie bez wyjątku. Odkąd zgodziliśmy się bowiem na ten podział gloryfikując go i wynosząc codziennie na piedestał jedynie obowiązującej rzeczywistości, odtąd sami staliśmy się, jesteśmy i stajemy się wciąż i wciąż od nowa, jedynymi prawdziwymi kreatorami, jedynymi prawdziwymi wyznawcami, oraz jedynymi prawdziwymi praktykami naszego własnego, niezawisłego i prywatnego zła, które stosujemy nie tylko na innych, ale i nas samych, zabijając się dzień w dzień, i dzień po dniu, osobiście. Najchętniej, na przekór temu strasznemu stanowi naszego świata - naszych dusz, naszych serc i naszych umysłów - chciałabym tak jak i Enki powiedzieć: Thenahå!!! I tylko ONå!!! Miłość i tylko Miłość, i nic ponad Miłość. Mówię więc: wierzę, że to ONå powołuje, ożywia, opływa, organizuje i zarządza... Że to ONå miłuje siebie samą w sobie samej... - Podnosząc głos o ton wyżej krzyknęła przejmująco. - Że ONå to ja, że ONå to my, że ONå to wy! Wierzę, że razem z Nią możemy wiele zdziałać i wiele zmienić. Kończąc to przydługie i tak kazanie, pragnę wam na zakończenie powiedzieć, że moim zdaniem nadszedł już ten krytyczny czas, czas w którym albo zmienimy paradygmat postrzegania siebie samych przez siebie samych zabierając się od razu do naprawy systemu, w którym przyszło nam żyć, albo rzeczywiście wymażemy siebie samych z Programu Życia, i to raz na zawsze. - I tu JoshUa odepchnęła się energicznie od ściany kościoła, rozrzuciła ręce na boki i skoczyła spod sklepienia ku oniemiałemu na dole tłumowi. - Niechaj więc nie tylko ten mój wielki ból i gniew, ale przede wszystkim moja miłość i dobroć, we mnie, jak i w was, poprowadzą nas ku zwycięstwu. - Powiedziała patetycznie miękko jednocześnie lądując na dole obok Wielkiego. - I niech dodadzą nam wszystkim i sił, i skrzydeł… Sił do przekształcenia własnej nieświadomości. Skrzydeł, abyście mogli wraz z Nią wzlecieć… Pomimo wielu oznak niepowodzenia mojej

misji, wierzę, że zwyciężymy, bo wierzę w was, bo wierzę w Thenahå i jej wszystko wypełniającą i wszystko pokonującą Miłość. - I tu JoshUa przypatrzyła się Wielkiemu, który padał właśnie na posadzkę, aby żarliwie wycałować jej stopy. - Bo nie ma nikogo i nie ma niczego innego, w co chciałabym wierzyć. Kocham Thenahå. Kocham też i was. I to pomimo tego, że tak strasznie niektórych z was też i nienawidzę. W imię Miłości, Mądrości i Mocy. I Cudowności! Pozostańcie w pokoju. - I JoshUa skończyła.

Błogosławieństwo JoshUi powaliło najbliżej stojących. Padli na kolana jak rażeni piorunem, a niektórzy nawet plackiem na ziemię. Wielki, będąc już na kolanach u stóp JoshUi, zerwał się teraz olśniony jakby czymś lub napełniony, wyrzucił ręce na boki i wykrzyknął:

Wierzę w Tę która jest,
która była i będzie zawsze.
Wierzę w Boginię Matkę wszechmogącą,
stworzycielkę Nieba i Ziemi
i jej rogatego kochanka
Boga Ojca.
We wszystkie Ich święte Dzieci
poczęte z Duszy Świetlistej,
którymi jesteśmy wszędzie
narodzeni z tej świętej pary.
Wierzę w Duszę Świetlistą,
wszystkie Boskie Dzieci,
w Matkę Boginię Thenahå,
powołującą, opływającą i kontrolującą Proces
zwany przez nas potocznie Życiem.
Ciała umiłowanie,
żywot wieczny,
obfitość w wielości
miłości rozlanie
świadomości zwycięstwo
i Jednię.

Czwartek 00:55:17.

Kończąc tę dziwna modlitwę, Wielki odnalazł się nagle w jakiejś innej, dziwnej i zagęszczonej rzeczywistości. Wielki nie stał już w kościele Jezusy Chrystuzy, nie całował też z żarem jej stóp, lecz stał teraz na ławie oskarżonych rozhisteryzowanej sali sądowej szamotulskiego sądu rejonowego, na której, jak to od razu poczuł, był jedynym oskarżonym, a wyrokiem miała być kara śmierci. W mózgu Wielkiego hera czyniła wyraźne spustoszenie. Wszystko się poplątało. I to do tego jak! Won Wścib stał jak bambus wyprostowany na

mównicy i wyraźnie go o coś oskarżał: - Wiedzcie, że wszystko i wszędzie jest Magią. I to do tego mistyczną! I złotą! Wam, Wysoki Sądzie, pomimo waszego zimnego, arystotelesowsko kartezjańskiego wykształcenia, nazwa ta zapewne nie wiele może powiedzieć, nie na darmo w końcu zostaliście największym Czystozytorem północy, ale dla nas, ludzi południa i gorąca, nazwa ta jest święta, zawiera bowiem w sobie kwintesencję wszystkiego. - Wielki z przerażeniem spostrzegł, że sędzią głównym jest sam Kanclerz Narodów, wirtuoz i defragmentator kłamstwa i denuncjacji, lecz zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, won Wścib twardo spojrzał na niego. - Abyś mógł nas jednak towarzyszu Wielki jakoś lepiej zrozumieć, użyję dzisiaj, właśnie teraz, słów tejże naukowej ortodoksji, tej nauki, którą z tak wielkim uwielbieniem czcisz codziennie, i w którą tak bezgranicznie i niepodważalnie wierzysz, a która dla nas na szczęście, w przeciwieństwie do twoich wszystkich ochot i zakusów, jest zbiorem nic nieznaczących, szarych i martwych dogmatów, szarych i martwych gestów oraz całkowicie skostniałego, bowiem do prawdy nieżywego już, trupio martwego umysłu. Magia, moi biali przyjaciele, to sama Thenahå w jej najznakomitszej i nieprzemijającej formie. - I tu prof. Krzysztof won Wścib pokłonił się nisko, potem się wyprostował, i żegnając się thenahejskim, magicznym krzyżem powiedział: - W imię ojca i matki, i wszystkich boskich dzieci, i ducha świetlistego, amen. - A potem błogosławił wszystkich i wszędzie, a dopiero potem, spoglądając uważnie na Wielkiego, rozpoczął: - Zasadniczo oskarżam ciebie o to, że nie jesteś człowiekiem przyzwoitym. Oskarżam cię ponadto o działalność antyludzką, tłumiącą już w zarodku nasze ludzkie życie tu na Ziemi, o badanie, o rozwijanie i o stosowanie czterech rodzajów manipulacji: świadomej, nieświadomej, delikatnej i tej zabójczej, i to w celach wcale nie medycznych, lecz absolutnie prywatnych. Wielki Terrorysta manipulując nami wszystkimi na wszystkich płaszczyznach jednocześnie, pozbawił nas wolności i możliwości wyboru, ograbiając nas tym samym z wszelkiej jakości naszego życia, której już nigdy nie odzyskamy. Oskarżam go więc o inwigilację, o alienacje, o demoralizację, o destabilizację, o demagogizację, o nihilizację i dooilizację. Oskarżam go o kłamstwo, o kradzież, o zabójstwo, o krzywoprzysięstwo, o zdradę i, o niewolnictwo. Oskarżam go o celowe i świadome niszczenie gatunku ludzkiego, oraz wszystkich innych żywych istot ziemskich. Oskarżam go o... - Krzysztof won Wścib zawiesił na chwilę swój dramatyczny głos. - O chciwość, o zawiść, o prywatę, o kołtuństwo, o zazdrość, o nienawiść i, o przemoc. I o próżność. Domagam się

więc, ni mniej ni więcej, tylko najwyższej kary dla niego. Kary śmierci!!! - Sala wiwatowała. Ludzie krzyczeli: Kara śmierci!!! Kara śmierci!!! Wielkiego przebiegł dreszcz. Zerwał się więc krzycząc i pokazując wyciągniętą ręką Urszylla: - To nie ja!!! To on!!! - W sali zawrzało jak w rozwścieczonym ulu. Won Wścib nie przejmując się tym wszystkim zupełnie, kontynuował: - Zapoznam was teraz pokrótce z dowodami oskarżenia, z tymi wszystkimi technikami, które nasz ukochany luminarz tak precyzyjnie opracowywał stosując je na nas wszystkich. Techniki delikatne, które z takim uporem lekceważymy, a które od pewnego czasu, jako odpady dooilskiej produkcji, weszły już na stałe w skład naszej współczesnej medycyny behawioralnej, przy użyciu odpowiednio przeszkolonych ludzi, odpowiednich urządzeń, odpowiednich fal i odpowiednich ich częstotliwości, mogą, co podkreślam, stać się w odpowiednich warunkach straszną bronią, wprost zabójczą. I tak: NLP - neurolingwistyczne programowanie, NLSP - neurolingwistyczne programowanie siebie samego, TL° - osobiste programowanie linii czasu, SOB - programowalna samoobserwacja, SKO - programowalna samokontrola, SUD - solo auditing, EBTMN - intermagicznie programowalne wzory świadomości, WING - wielkie energie, GEK - głęboka ekologia, MEZ - medycyna źródłowa, Mm - modlitwa mocy, INS - intuicyjne samozarządzanie, LIB - miłość i akceptacja siebie samego, SC - self coaching, PPU - pomoc przy umieraniu wraz z przeprowadzaniem, PSI i PHI, NRP - nieliniowe rozwiązywanie problemów, BM - burza mózgów, KOP - komplementarna pomoc wszystkim potrzebującym, EG - egzorcyzmy i odczarowywanie, MTK - meta bioenergetyczne konsultacje, HOD - holotropiczne oddychanie, MG - magia, SPC - system cichej prezentacji podświadomości... To tylko nieliczne, przez ciebie dupku, a i tobie podobnych magików, codziennie stosowane, zabójcze techniki. - Wielki mimo woli przytaknął... - Wiem, wiem, co chcecie powiedzieć, towarzyszu Wielki. - Won Wścib uprzedził jednak jego słowa. - Techniki te pomagają rzeczywiście wielu ludziom na całym świecie, lecz stosowane na wszystkich i wszędzie w celach wcale nie medycznych, w celach, powiedziałbym delikatnie, zniewalających, służą głównie do manipulacji świadomością, pozbawiają bowiem wszystkich odbiorców świadomości tego, że zostali właśnie ubezwłasnowolnieni! - W odpowiedzi dał się słyszeć tylko przerażający wrzask Wielkiego: - Wypuśćcie mnie stąd skurwysyny! To nie ja!!! To on!!! To Urszyll z Zamiłowic! - Słyszeliście to?! To Urszyll z Zamiłowic! - Won Wścib wybuchnął szaleńczym śmiechem. - Chaaaaachaaacha! - A gdy się opanował, a wrzawa trochę przycichła, powiedział: -

W końcu nie na darmo jesteś Wielkim Towarzyszem, prawda?! Więc… Ale nie wiem czy to już wiesz, że nawet w tej części świata, którą z taką doskonałością kontrolujesz manipulując umysłami wszystkich ludzi tak, jak doskonały żongler swoimi piłkami, znajdzie się już niedługo pewien śmiałek... Pewien *Tulku Indygo*… - Co?! Kto?! - Wielki nadstawił ucha. - No właśnie. - Won Wścib nagle spoważniał. - Czy ty właściwie w coś wierzysz?! I w co, jeżeli mogę zapytać?! - Lecz zanim Wielki zdążył odpowiedzieć na to zaskakujące go, nagłe pytanie, Krzysztof won Wścib powiedział: - To były techniki delikatne. A teraz wyliczę parę tych świadomie zabójczych, tych, które z takim mozołem w skrytości rozwijał i stosował do dzisiaj wszędzie tam, gdzie mu się tylko udało: EMR - electromagnetic radiation, SSPS - silent subliminal, HS - hearing system, GYR - Gyrotron, PAP - psychoacustik projektor, MSAC - conscioune projektor, SMG - subliminal masage generator, USTS - ultrasonic translator, STS - syntetic telepatiec stimulator, MWT - microfalic wapons tranciver, ATB - alpha to theta biofeedback cluster, THMS - transcrantal hearing magnetic stimulator, SSSS - S-quad, SWR - virtual reality scenarius, STV - stimoseiver, IMI - inteligentce manned interfacer, ESB - mind electronic symulator, SMD - Syntetic Mind Destruktor, PGV - phtiomum vitaris pugs, P700 - mind inwigilator, EDS - Electronic Dead Shinging, SOuD - Sczytywanie duszy oraz wiele, wiele innych. Ciekawe dlaczego nadałeś im takie dziwne angielskie nazwy...?! Czyżbyśmy nie mieli własnego języka?! Za to też należy ci się kara. Wnoszę więc o podwójną karę śmierci. Wysoki Sądzie! - Sala zawyła: Podwójna kara śmierci! Podwójna kara... - Won Wścib podniósł ręce uciszając salę. - Te wszystkie zabójcze techniki, których stałeś się prawdziwym praktykiem stosując je na wszystkich istotach żywych - na wszystkich ludziach - wszystkich współpracownikach czy też potencjalnych wrogach, to nic innego, jak cicha realizacja jeszcze cichszego planu, planu, w którym odgrywasz rolę podstawową: będąc jego ideo twórcą, jesteś też jednym z niewielkiego grona nadspecjalnych praktyków kandydatów, ale za to, powiadam wam, doprawdy doskonałym: CHCESZ BOWIEM ZOSTAĆ PANEM ŚWIATA!!! A gdyby się dało, z pewnością też i panem całego życia... Nie, nie... - Won Wścib wyraźnie kogoś uspokajał. Nie wie jeszcze biedaczek, ale przyjdzie już niedługo taki czas, w którym zapłaci za to wszystko cenę ostateczną. Jego Dooila... - Przerwał nagle. Wwiercił się swoim natarczywym spojrzeniem w Wielkiego jak wąż w swoją ofiarę tuż przed ostatecznym atakiem. - Prawdziwa Mistyka, Towarzyszu Wielki, jest w tobie, i tam należy jej szukać! - Krzyknął. - Na zewnątrz

nie znajdziesz niczego, co umożliwiłoby tobie jakikolwiek rozwój. Na zewnątrz nie znajdziesz niczego: ani Miłości, ani Dobroci, a bez tych dwóch sił nie uczynisz też niczego tak naprawdę. Na zewnątrz znajdziesz tylko Nienawiść. I tylko Przemoc. A one zaprowadzą cię tam, gdzie właśnie jesteś: na szczyt wspaniałego usypiska śmieci usypanego z martwych ludzkich ciał. I donikąd ponadto. Dlatego też musisz umrzeć. Dlatego też domagam się dla ciebie kary śmierci. I to potrójnej. - Wielki zrobił się cały czerwony ze złości, chciał coś zrobić, krzyczeć, lecz z jakiegoś powodu nie mógł. Przewracał tylko oczami i bełkotał coś niezrozumiale pod nosem. Won Wścib przerwał na chwilę, uważnie przypatrując się Wielkiemu, nalał sobie świeżej herbaty, zaciągnął się opium, i przekrzykując rozhisteryzowany tłum kontynuował: - Te wszystkie techniki razem wzięte, a i każda z nich z osobna, używają do każdego działania nośników syntetycznych. Zaawansowaną technikę połączono z zaawansowaną wiedzą, gdzie wnioski wypływające wprost z tego, kim jesteśmy, jakiego języka używamy, z gestów, jakimi się posługujemy, z mimiki, która nigdy nas nie opuszcza, z naszych marzeń, z naszych wyobrażeń, z naszych nadziei i naszych zwątpień, z naszych wspomnień i pragnień, z drgań międzykomórkowych, z natężenia pola galwanicznego, z naszego elektromagnetyzmu, z napięć mięśniowych, z tego jak chodzimy, co robimy, jak się nazywamy, co mówimy, co czujemy i co myślimy, jak się ubieramy, co jemy, czego pragniemy, jakie mieliśmy stopnie w szkole, jak nam idzie w pracy, jakim samochodem jeździmy, jakiego programu komputerowego używamy, jaką mamy żonę czy męża, a jakie dzieci, w połączeniu z wysublimowanymi urządzeniami nadawczymi - mogą nimi być również telefony komórkowe, czy chociażby usieciowane komputery, lecz w dobie obecnej najczęściej używa się jednak ciągle urządzeń specjalistycznych - mogą programować nas w sposób świadomy, w przeciwieństwie do programowania nieświadomego. Twoim problemem numer jeden, drogi Urszyllu, jest właśnie nieświadomość, nieświadoma manipulacja sobą samym lub\oraz innymi, nieświadoma manipulacja przy pomocy całego ciała, z podkreśleniem wagi języka i sposobu jego używania. To jest poważny problem. A ty - tu won Wścib zwrócił się do pękającego z obezwładniającego go śmiechu Wielkiego, podpływając do niego błyskawicznie i waląc go otwartą dłonią z całej siły po twarzy - nie śmiej się, tylko słuchaj, głupku, bo dwa razy nie będę powtarzał!! - Wielkiego zamurowało. - Drugim problemem jest manipulacja świadoma. Jeżeli posiadasz odpowie- dnie środki, technikę, i znasz programy, to wiesz jak wpły-

wać na innych, to znasz też sposoby. A jeżeli jesteś świadomy swoich celów, to możesz je osiągnąć szybko i łatwo, nawet wtenczas, kiedy wszyscy byliby przeciwko tobie. To jest straszna władza, naprawdę straszna! Szczególnie wówczas, kiedy stosujesz świadomie, świadome techniki. A ty przecież ich codziennie świadomie używasz, czyż nie tak?!

Czwartek 00:55:49.

- Użycie odpowiednich słów - w manipulacji bezpośredniej - odpowiednich gestów, zajęcie takiej, a nie innej pozycji ciała, sposoby oddychania, patrzenia, rytm zdań i ich stylistyka, umiejętne odwrócenia uwagi, celowe eufemizmy, podwójne zawiązania językowe, dyskusje zastępcze, deprawacje sensoryczne, odwzorcowywanie, reedukacje, modelowanie dysfunkcyjne, redystrybucja socjalna, rewitalizacja, readaptacja, programowane celowo uczucia, i celowo generowane myśli - w manipulacji zdalnej - zdalnie przesyłane sugestie, myśli, emocje, nakazy, zakazy i rozkazy - w manipulacji globalnej - bomby mózgowe, teleepatia, implanty, wszczepy i biochipy, przelewanie osobowości, wysysanie duszy, przekraczanie wrót - w manipulacji syntetycznej - to wszystko razem programuje odbiorcę tak, jak tego sobie życzy nadający! Czy pamiętacie może jeszcze definicje rezonansu? Przypomnę ją wam, bo jest ona tutaj dla nas najważniejsza: rezonansem nazywamy układ wprowadzony w drganie przez zewnętrzną siłę, drgający jednak nie ze swoja własną częstotliwością, lecz z częstotliwością siły wymuszającej!! Uważajcie teraz: pomimo tego, że uważaliście siebie samych za pacyfistów - tu won Wścib zwrócił się do całego audytorium - nagle złapaliście karabiny i pobiegliście z dziką rozkoszą zabijać innych; twierdzicie, chcąc osiągnąć jakiś inny, osobisty cel, że trzeba to cokolwiek coś zrobić koniecznie, i że to ja właśnie powinienem to zrobić, bo jest to dla mnie bardzo ważne, ale, o ile nie robicie tego na tyle umiejętnie, żeby mnie sprytnie oszukać, i o ile sprzeczne są wasze słowa z waszymi gestami, a gesty te z waszymi myślami, a myśli te z waszymi uczuciami, ja mogę nie ulec, rozszyfrowując zawczasu wasz podstęp, waszą ochotę wykorzystania mnie dla waszych potrzeb i celów, lecz o ile jesteście znakomicie wyszkolonymi sztukmistrzami, nabieram się zawsze, zawsze też, i to z dziką rozkoszą, realizuję wszystkie wasze podstępne zamiary. Ktoś mówi wam o Bogu, i pomimo tego, że byliście dotąd zagorzałymi ateistami, zaczynacie chodzić do kościoła, modlić się, a nawet nawracać innych... - A zwracając się do Wielkiego, powiedział: - Zwróć uwagę na fakt, że nie po-

wiedziałem, że zaczynasz wierzyć. Powiedziałem, że zaczynasz chodzić do kościoła! A to jest różnica zasadnicza, której być może nie dostrzegasz jeszcze, ale bądź spokojny - I tu won Wścib wykonał jakiś dziwny ruch dłonią, i nawet musnął nią delikatnie odkryte ramie Wielkiego - czas zrobi swoje. Nie może być inaczej, bo raz posadzone w żyznej ziemi ziarno, wschodzi zawsze, no chyba, żeby nie wze... Wystarczy trochę wilgoci i mały promyk słońca, a te znajdą się zawsze i wszędzie. W końcu nie na próżno wszyscy żyjemy w Thenahå... Ale wracając do tematu, mój drogi, i wy moi mili słuchacze, podkreślam, że wszystko może być też i odwrotnie. Mogliście być zagorzałymi wyznawcami katolicyzmu, a tu nagle usłyszeliście o Talibach i bach, nagle staliście się Talibami. Jakiś nieznany nikomu bliżej gangster zburzył dwie nowojorskie wieże, jakiś inny i również nikomu nieznany gangster powiedział, że to terroryści, a wy natychmiast uwierzyliście we wszystko, bo byli to amerykanie, a Ameryka to przecież kraina ludzi prawych, solidnych, pracowitych i uczciwych. Albo: zawsze chcieliście dawać dobro, bo jesteście przecież z natury dobrzy, a tu nagle urodziliście się na Ziemi w otoczenie samych egoistów i krwiopijców i nawet nie obejrzeliście się, a już byliście jednym z nich. Tak też, gdyby to tylko było możliwe, gdybyście tylko mogli, powinniście być przede wszystkim ludźmi, a dopiero potem, jeżeli w ogóle, obywatelami. Niestety od wieków jest raczej odwrotnie. Kształtowanie szacunku dla dobra i słuszności nie jest ważniejsze dla was od kultywowania respektu dla prawa. Jedynym ważnym obowiązkiem pozostaje zatem czynienie w każdej sytuacji tego, co sama Thenahå uważa za dobre i słuszne. Prawo nigdy nie uczyniło ludzi ani odrobinę bardziej sprawiedliwszymi, a z powodu respektu dla prawa nawet dobrze usposobieni stają się codziennie reprezentantami niesprawiedliwości. Co czujecie więc, gdy namawiacie bliskich, aby poszli na wojnę, gdy ich prowokujecie i kusicie?! Czy bardzo się na mnie obrazicie, gdy was w tym miejscu zapytam: jak możecie bronić łamania pewnych praw, i posłuszeństwa wobec innych?! Czy rzeczywiście jesteście świadomi tego, że są dwa różne typy prawa: że są prawa sprawiedliwe, i prawa sprawiedliwsze?! Czy zgadzacie się ze Św. Augustynem, że prawo sprawiedliwsze nie jest w ogóle prawem?! I jaka jest dla was różnica między nimi, jeżeli w ogóle jest jakaś?! Jak możecie określić, kiedy jakieś prawo jest sprawiedliwe, a kiedy niesprawiedliwe?! I czy jest to w ogóle możliwe?! Czy rzeczywiście prawo sprawiedliwe jest stworzonym przez człowieka kodeksem, który pokrywa się z prawem moralnym, lub prawem Boga?! A co powiecie o tych wszystkich krwiopijcach i gangsterach, do

których i wy towarzyszu Urszyllu należycie, którzy kierując się tylko i wyłącznie swoimi własnymi interesami, obwieszczają swoje zachcianki jako obowiązujące prawa?! Czy ktokolwiek umie się wam przeciwstawić?! Czy ktokolwiek zechciałby to zrobić?! Czy raczej wszyscy podążając utartym szlakiem raz narzuconych wam reedukacją myśli, nie upatrujecie w tym tak znienawidzonej teorii wielkiego spisku, która pozwala wam w zręczny sposób wymigać się od wszelkiego działania, i od wszelkiego myślenia?! Sprytnie to sobie wykombinowaliście. A ty Towarzyszu Wielki sprytnie wykorzystałeś fakt, że świat, w którym żyjemy, pełen jest dysonansów, ciągłych nieporozumień i konfliktów, których podstawą jest jakiś obcy, na stałe w nas zapisany, nie zauważony i nie zauważalny przez nas samych program różnicujący. Jak mógłbyś inaczej, bez tego obcego wsparcia z wewnątrz, bezkarnie produkować tyle tych bomb atomowych, hipertronowych i psychotronowych?! Nie mógłbyś ich również bezkarnie rzucać nam wszystkim na nasze głowy, i to w imię pokoju, współpracy i miłości oczywiście! Bez niego nie mógłbyś bezkarnie produkować tylu nikomu i niczemu niesłużących trucizn psychofizycznych, zabijających nas wszystkich systematycznie dzień po dniu, i noc po nocy, i dorabiać się na tym tak wielkich kokosów! Bez niego nie mógłbyś codziennie niszczyć bezkarnie tylu ton żywności, pozwalając tym samym spokojnie, lub spokojnie tym samym przyzwalając na głodową śmierć milionów ludzi! Bez niego nie mógłbyś bezkarnie zamykać nas w tylu obozach koncentracyjnych różnych państw, i na tym zniewoleniu tworzyć świata swojej wielkości! Oraz swojego powodzenia! Bez niego nie mógłbyś bezkarnie podzielić naszego ludzkiego świata na wiele pomniejszych obozów, nie mógłbyś ich w żaden sposób poróżnić miedzy sobą, i na tym poróżnieniu zbudować swojego niewolniczego imperium, w którym tylko Nienawiść i tylko Przemoc, i Przemoc i Nienawiść! - Generale Świerzb! - Wielki potrząsnął w niedowierzaniu głową. - Czy przyznajecie się do winy?! - Tuż przed nim, trzech najwyższych sędziów, dobrze mu osobiście znanych, wpatrywało się w niego przenikliwie. Wielki splunął na podłogę ze wstrętem. - No więc jak?! - Zapytał powtórnie jeden z nich agresywnie. - Wielki odwrócił głowę. Tuż za sobą miał wypełnioną rozhisteryzowanym tłumem salę. Wśród siedzących rozpoznał bez trudu prof. Maczę Doorobę, najbliższą swoją współpracownicę, Maryłeja Dziewica, pułkownika ochrony, i wielu, wielu innych. Całą prawą stronę zajmowali pacjenci Departamentu Ochrony i Modelingu, po prawej Wielki dostrzegł kątem oka dobrze znanego mu prokuratora i wielu znakomitych adwokatów, a na najwyższym miej-

scu w sali Urszylla, który właśnie wstawał z wyciągniętą ręką wskazując na niego. - Kara śmierci!!! - Wrzasnął. - Ależ.... - Pod ścianami stały setki kamer i mikrofonów. Proces nadawano na żywo we wszystkich mediach jednocześnie. - Ależ.... To jakaś pomyłka. - Krzyknął Wielki. - Ja jestem niewinny!!! Tooooooo Onnnn!!! - Wskazał wyciągnięta dłonią Urszylla. - Aresztujcie go!!! - Nie wrzeszcz tak! - Wielki odwrócił głowę zderzając się prawie z nachyloną nad nim głową el Bellana. - Przecież nie masz sobie nic do zarzucenia! Żadnych wyrzutów sumienia! Żadnych wątpliwości! - Wielki przytaknął. - Nie musisz się więc bać! Bo i po co?! Nikt nie wytoczy przeciwko tobie żadnego procesu, bo któż by się odważył?! A nawet jeżeli znalazłby się taki, to przecież i tak nie znalazłby żadnych dowodów. Towarzyszu Wielki, nie rozśmieszajcie mnie! - I won Wścib zaczął się śmiać. - Zapomniałeś nagle, że normalny obywatel żyje, rozmnaża się, i tyje, i że to jest dla niego najważniejsze...?! Przecież normalny obywatel wierzy, że nad wszystkim panuje, że wszystko rozumie, że wszystko wie, że nic, ale to absolutnie nic, nie umyka jego świadomości. Nieświadomy niczego obywatel wierzy, że Bóg go kocha, ze wybrał odpowiedniego prezydenta, ze 2 + 2 = 4, że to dobrze, że są bomby atomowe, że to dobrze, że są granice i różnice, i że to głównie jacyś nieznani nikomu inni, są temu wszystkiemu winni, bo on sam niczego zrobić nie może, i niczego więc nie robi. Normalny, szary obywatel, nie widzi potrzeby żadnej zmiany, on wierzy, że ludzie są tacy, jacy są, a świat, który go wypełnia, i świat, który go otacza, jest właśnie takim, jakim być powinien: zupełnie normalnym, najnormalniejszym światem. Nieświadomy, normalny obywatel nie zastanawia się nad zastanawianiem. Nie zastanawia się też nad sensem. Ani nad tym po co?! Ani nad tym jak?! Ani nad tym dlaczego?! On nie musi. Nie ma takiej potrzeby. On wszystko i tak już wie! A czy ty, mój drogi, czy ty też już wszystko wiesz, i wszystkiego doprawdy pewien jesteś?! Czy wiesz może, że pomimo swej niezaprzeczalnej wielkości, jesteś jednocześnie strasznie naznaczonym kaleką: nie dość że masz oczy - to niczego nie widzisz; nie dość, że masz język - to niczego nie możesz powiedzieć; nie dość, że masz serce - to niczego nie możesz poczuć, i nie dość, że masz rozum - to niczego nie możesz zrozumieć. Mówię ci: twój koniec blisko. - Ahim el-Bellan wisiał nad Wielkim jak wielka lampa Aladyna, a z jego wykrzywionej w grymasie twarzy coś oślizłego i obrzydliwego szybko kapało na twarz Wielkiego powodując w nim natychmiastową ochotę wymiotów. I Wielki nie wytrzymał. I zwymiotował. I wtedy dostrzegł nagle tuż obok siebie Urszylla, a w jego dłoni wielką strzykawkę, z jeszcze

wię- kszą igłą. Widok ten napełnił go od razu przerażającym, przeraźliwie panicznym strachem paraliżując go zupełnie. - I co, Dżadża?! - Zapytał groźnie Urszyll zamierzając się strzykawką. - Masz ochotę na jeszcze jedną porcję?! Niee!!! - Wrzasnął Wielki. – Nieeeeeeeee!!!!!!!!!! - Urszyll roześmiał się. Nie zważając na wrzaski Wielkiego, z rozmachem zamachnął się strzykawką.

Macza Dooroba już od dobrych paru minut budziła Wielkiego delikatnie potrząsając śpiącym, tak oczywiście, aby nie przekroczyć wyznaczonej przez protokół granicy intymności, ale kiedy Wielki wrzasnął nagle Nieeeeeeeeeee!!!!!! i zaczął jak wściekły rzucać się na łóżku, natarła na niego natarczywiej, a po pewnej chwili nawet brutalnie. Wysiłki jej jednak okazały się płonne: nie dość, że Wielki się nie obudził, to po pewnej chwili zamarł w bezruchu, a jego bezwładne, zimne ciało zwisło z łóżka tuż nad podłogą. Macza z trudem wepchnęła je na powrót na materac, nachyliła się nad nim, ale nie mogąc wyczuć oddechu, przyłożyła mu palce do tętnicy na szyi sprawdzając czy żyje. Tętno było słabe. Macza rozejrzała się, a dostrzegłszy srebrną tacę, rurkę, i strzykawki, domyśliła się reszty. Kierując się intuicją schyliła się i zajrzała pod łóżko, aby natychmiast się wyprostować, bowiem pod łóżkiem zobaczyła nagie, zakrwawione, nieruchome ciało kobiety. A właściwie dziewczyny jeszcze. Przez chwilę stała nieruchomo jak sparaliżowana mocując się wyraźnie z czymś w swoim wnętrzu, lecz po chwili, która była bardzo krótka, Macza wygładziła ubranie, poprawiła włosy, delikatnie i dość niezgrabnie wepchnęła wystającą trupią nogę z powrotem na jej miejsce pod łóżkiem, i teraz, bez przerwy potrząsając Wielkim, rozejrzała się uważnie po pokoju, a gdy w oko wpadł jej telefon komórkowy, zostawiła Wielkiego rzucając się energicznie w kierunku szafki. Złapała go i zadzwoniła. - Tu Macza! - Powiedziała natychmiast, gdy ktoś wreszcie podniósł słuchawkę po drugiej stronie. - Jestem w sypialni. Przyślijcie natychmiast timm z odsysaczem. - I po wyłączeniu komórki rzuciła ją na łóżko. Nachyliła się nad Wielkim i z całej siły trzasnęła go w twarz. - Budź się do cholery, dupku!!! - Krzyknęła. Lecz gdy i to nie dało żadnych rezultatów, rozpoczęła systematyczne, histeryczne bicie go po twarzy, przerywane tylko wstrząsającym jej ciało szlochem. - Nie możesz teraz wykitować, Wielki!!! Dzisiaj są twoje urodziny. Wszystko przygotowane. Towarzysze czekają! Budź się więc do cholery, ale już!!! - Strofowała go potrząsając nim z całej siły. - Wielki... Wielki... - Prosiła. Wielki leżał jeszcze jakiś czas nieruchomo jak martwa kłoda, lecz nagle, niespodziewanie poruszył powiekami. Wyraźnie było widać, że żyje, i że próbuje przedrzeć się z zaświatów ku rzeczywistości. Nie szło mu to jednak zbyt

łatwo, lecz w końcu uchylił jedną z powiek i wpatrzył się nieprzytomnym, rybim wzrokiem w Maczę. - Stripowałem się... Wczoraj... - Wycharczał. - Maczę zatkało. I to zupełnie. Przez chwilę stała nieruchoma jak słup soli wpatrując się w Wielkiego oniemiałymi ze zdziwienia, rozwartymi do granic wytrzymałości oczami, aby zaraz potem, nagle, zupełnie niespodziewanie wybuchnąć niepohamowanym, histerycznym śmiechem. - Stripowałem się… - Macza przestała się śmiać. - Czuję, że pan to pomieszał Ekscelencjo. Czyż tak?! - Spostrzegła, że Wielki chce coś jej jeszcze powiedzieć, ale... - Jezu, Macza, co za wstrętny trip! - I Wielki się rozpłakał. - W tym samym momencie drzwi otworzyły się z trzaskiem. - Odessiemy pana, niech pan się nie martwi. To normalna procedura w takich wypadkach. - Powiedziała Macza w chwili, gdy timm z odsysaczem podjeżdżał już do łóżka. - To normalna procedura w takich wypadkach. - Powtórzyła szybko widząc pytające i wyraźnie rozdrażnione spojrzenie Wielkiego. Lekarze zatrzymali się. - Na co czekacie do cholery?! - Rzuciła w stronę lekarzy. - Do roboty!!! Ale już!!! - Rozkazała.

Odsysanie będąc rutynowym, protokolarnym, a nawet konstytucyjnie usankcjonowanym zajęciem, trwało niecałą godzinę. Zakończono je krótko przed ósmą, a Macza, odprawiwszy timm z odsysaczem i zamieniwszy z Wielkim parę porannych, grzecznościowych słów, też opuściła sypialnię. Była już zupełnie spokojna: życiu Wielkiego nie zagrażało już żadne niebezpieczeństwo. - Tylko żeby nie zapomnieli uprzątnąć trupa! - Myślała energicznie opuszczając sypialnię. Dżadża, od razu gdy tylko został sam, zerwał się z łóżka i podszedł do lustra. Ze złotej, wykładanej masą perłową i drogimi kamieniami puderniczki wziął odrobinę pudru i przypudrował sobie twarz, a potem i szyję. Czarnym ołówkiem zwinnie podkreślił zmysłowe pieprzyki na lewym policzku, trochę więcej czasu zajęło mu malowanie oczu, po którym grzebieniem z kości słoniowej przeczesał finezyjne zwoje najnowszej blond peruki, wyprężył się dumnie i wtedy dopiero klasnął w dłonie. Na ten tajemny znak drzwi sypialni otworzyły się natychmiast. W biało-złotej framudze stanęli dwaj garderobiani powiewając nowym, kolorowym, strojnym kostiumem. Jeden z nich zdarł z niego umiejętnie jego pidżamę, drugi w tym czasie miękką gąbką przetarł jego tłuste i spocone ciało, razem, pomagając sobie nawzajem, naciągnęli na nie śliczne pantalonki, ciemne trykociki, żaboty, skarpeteczki, delikatne srebrne pantofelki, gronostaje, złote jedwabniki, łańcuszki, łańcuchy, pierścienie i kolie, jeszcze podali mu mahoniową laskę - insygnia władzy - skropili go wodą

kwiatową *Love & Broderhud*, i cofając się rakiem przygięci do podłogi służalczym ukłonem, opuścili salę płynnie omijając w szerokich, śnieżno złotych framugach, pędzącego sekretarza. - Czytaj! - Rozkaz Wielkiego powstrzymał sekretarza w pół kroku. - Synowie i Córki! Bracia! - Rozpoczął natychmiast. - Pozdrawiam was wszystkich w imieniu własnym, w imieniu rodziny, oraz najzaszczytniejszych obywateli naszego umiłowanego przeze mnie narodu. W dobie upadku innych cywilizacji oraz zaniku wartości społecznych i ideologicznych... - Wielki zniecierpliwił się wyraźnie, wyraźnie będąc z czegoś niezadowolonym. - Ordery przygotowane?! - Przerwał sekretarzowi brutalnie, który pytanie to bardzo skwapliwie potwierdził radosnym uśmiechem. Wielki niespodziewanie dla siebie samego, też się uśmiechnął, podszedł płynnym krokiem do lustra, obrócił się parokrotnie, kątem oka obserwując nieukrywany podziw sekretarza. - Zjeżdżaj! - Syk wprawił sekretarza w niemałe osłupienie, lecz mimo to, płynnym jak żongler ruchem wykonał w tył zwrot i wypadł z sypialni, zamykając za sobą cichutko, bezszelestnie wielkie drzwi.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za sekretarzem, Wielki opadł ponownie na poduszki. Zamyślił się. Trochę też się denerwował, w końcu nie każdego dnia kończył dziewięćdziesiąt lat. Nagle coś wyrwało go z zadumy: za oknem łopotały wielokolorowe sztandary, wśród których jeden, niebieski ze złotymi gwiazdami, wyraźnie się wyróżniał. Wielki zdziwił się. - Łopoczą...?! - Pomyślał. Wstał i podszedł do okna. Na zewnątrz, w bezwietrznej pogodzie gorącego południa, zobaczył rzeczywiście łopoczące chorągwie. - To niemożliwe... - Pomyślał obserwując jednocześnie swojego złotego roleksa, na którym była dokładnie ósma trzydzieści dziewięć i dwadzieścia pięć sekund, oraz słońce stojące właśnie w zenicie, gdy naraz coś wyraźnie nieznośnego przyciągnęło jego uwagę tam na dole. I Wielki spojrzał. W dole zobaczył małą, piaszczystą arenę, na której stali dwaj młodzi, nadzy, muskularni mężczyźni, z dwoma, długimi, spiżowymi włóczniami w dłoniach. On sam, w otoczeniu Nadspecjalnej Rady, siedział na swoim wygodnym, monarszym tronie, tuż powyżej ogrodzenia. Wielki wytrzeszczył oczy w niedowierzaniu łapiąc się jednocześnie za szyję: brakowało mu powietrza. Jeden z mężczyzn, ten z prawej, był dużo wyższy od drugiego, a na jego ramieniu Wielki dostrzegł wyraźnie świeżą, krwawiącą ranę, wokół której wirowały olbrzymie, końskie muchy. - Kurwa, jak ja nie znoszę much. - Pomyślał z obrzydzeniem. - Kurwa! - Gdy wtem, obaj mężczyźni pochylili się nisko i na moment zamarli, a dopiero potem, po tej krótkiej chwili jak gdy-

by wahania, płynnie poczęli się razem prostować, unosząc włócznie wyżej, wyżej i wyżej. Towarzyszący prostowaniu i unoszeniu ogromny wysiłek zmusił ich obu jednocześnie do krzyku, a ich otwarte usta, przypomniały mu w tej jednej jedynej chwili, rozwarte, oczekujące, przyzywające go płomienne dziewice, więc zupełnie bezwiednie Wielki uśmiechnął się, podniósł z tronu, i zrobił krok. Nagie ciała mężczyzn pokryły się perlistym, błyszczącym w słońcu potem, a włócznie, pchnięte jakimś nadludzkim, wyraźnie magicznym wysiłkiem, zaczęły oderwane od ich napiętych do ostatnich granic mięśni frunąć w jego kierunku, więc aby zrobić cokolwiek, Wielki cofnął się odruchowo, odruchowo tez spojrzał z przerażeniem na Radę, potem znowu na arenę, i właśnie w tym momencie poczuł, że włócznie przebijają jego płaszcz gronostajowy, jego żaboty i kolie, otworzył usta w bezgłośnym, przerażającym krzyku, lecz wszystko na próżno. Zadrżał, chciał koniecznie coś zrobić, lecz nie mógł. Czuł, że umiera, ale coś, czego za Boga nie mógł zidentyfikować, nie pozwalało mu odejść, więc aby cokolwiek mogło jeszcze w tym życiu od niego zależeć, uniósł dłonie i oparł je na drgających w nim, włóczniowych drzewcach. Wszystko zamarło. Tylko muchy zwabione świeżą krwią zaczynały coraz liczniej krążyć wokół niego, i za nim zdążył cokolwiek pomyśleć były już ich tysiące. - Kuuuurwaaaaaa!!!! Jak ja Niiiieeeee znooooooooszęęęęę tych muuchch....!!! - Krzyknął rozdzierająco, a olbrzymie obrzydzenie wypełniło go całego. I Wielki zwymiotował.

Otarł usta zasłoną, wyprostował się, poprawił perukę i spojrzał na zegarek. Była dokładnie ósma trzydzieści dziewięć i czterdzieści sześć sekund. Rozejrzał się niespokojnie po sypialni tak, jakby wiedział jednak o istnieniu tego dziewczęcego trupa pod łóżkiem, zrobił krok, potem dwa, w końcu wygładził ubranie, przyczesał włosy peruki, pociągnął miękką, nakrapianą złotymi pszczółkami, niebieską wstęgę, służba otworzyła zewnętrzne drzwi, i Wielki wyszedł na rozpalony słońcem, stary, wewnętrzny dziedziniec zamkowy, wypełniony po brzegi oczekującymi go już Towarzyszami. Dziedziniec ten bowiem nie był zwykłym, szarym, betonowym dziedzińcem. To był dziedziniec pod każdym względem wyjątkowy. Wielki kazał zbudować go na wzór rzymskiego Koloseum, wbudowując w wysoki betonowy mur, liczne, olbrzymie, włoskie okna, dzisiaj przesłonięte zwiewnymi, śnieżnobiałymi firanami, a nad nim, rozpinając srebrno szklany pajęczy dach, z olbrzymim złotym napisem pośrodku: Pępek Świata. Dzisiaj przez okna wpadało ciepłe powietrze, promienie

słońca, i śpiew egzotycznych ptaków. Na ścianach pomiędzy oknami rozwieszono grube arrasy, obrazy rodzinne i liczne złote żyrandole, poustawiano marmurowe posagi bogów i bogiń, które w cieniu mięsistych, grubych papirusów i palm, oddawały się cielesnym uciechom i baraszkom. Pod sklepieniem, na którym dzisiaj w biało błękitnych obłokach harcowały malutkie amorki rozsiewając grad zatrutych miłością strzał wokół nagich boginek pogrążonych w słodkiej drzemce, zwisał olbrzymi, kryształowy żyrandol z tysiącem jarzących się halogenowych świec. Tuż obok, w wyjątkowo dobrze dobranym wyważeniu perspektywy i ciężkości, tuż pod kwitnącą właśnie akacją, stał olbrzymi, opierając cały swój wielki ciężar na jednej, jedynej potężnej łapie, zastawiony po brzegi, uroczysty stół: omszałe butelki wódek, win, koniaków i likierów stały pośród owoców południowych, wśród jabłek i gruszek leżały poukładane rzeźbione finezyjnie sztućce, tuż obok kielichów, kieliszków i kieliszeczków stały szklanice, szklanki i szklaneczki, a pośród nich leżały w nieładzie porozrzucane klejnoty. Wśród girlandów kwiecistych orchidei przygotowano przeróżne, smakowite specyfiki: jaja i bochenki, kolorowe szynki, niedźwiedzie łapy, sarnie pyski, i ptasie języki. Masła, słoniny, i baraniny. Jesiotry, szczupaki, karpiki i śledziki. Meduzy, węgorze, wątróbki, i srebrne liściki. Balerony, kiełbasy, schaby i salcesony. Trufle, tutki, gęsie szyjki, udka, i złocieńce. Zupy, raki i kołpaki. Szpaki, drozdy i słowiki, i gołębie, i indyki. I dziki, i małpy i barany. I drób pieczony, i drób duszony, i drób gotowany, i drób nadziewany. I sery, i ostrygi. I oliwki, i pasztety, i andruty i czekoladowe druty. I delicje karlsbadzkie i torty włoskie, i angielskie, i francuskie i amerykańskie. Potrawy chińskie, polskie, rosyjskie, i nowo zelandzkie. Nowo gwinejskie, japońskie, kubańskie, i koreańskie, a w miejscu jak najbardziej zaszczytnym i jak najbardziej czołowym, stał tort urodzinowy, zrobiony celowo ze strusich jaj i ubitej egipskiej śmietany, z wbitą weń marcepanową podobizną Jego Ekscelencji, w którą wpatrzeni byli wszyscy tu obecni: wokół stołu siedzieli najbardziej zaufani Towarzysze i przyjaciele, oraz jego wyfiokowana żonka ze złotym uzębieniem, oraz jego dzieci. A były to dwie osiemnastoletnie dziewczynki w wykrochmalonych falbankach zmysłowych majteczko spódniczek, i dwaj, dużo od nich młodsi, sini chłopcy, w równie co ich skóra, sinych smokingach w żółte ciapki i cętki, zajęci w chwili tej dramatycznej lornetowaniem wszystkich zaproszonych tu gości, z których nikt nie śmiał nawet odetchnąć, więc wszyscy, i ci co siedzieli na dole, i ci co siedzieli na górze, zamarli tak, jakby ktoś zatrzymał tu film życia: wszyscy wpatrywali się w milczeniu w podo-

biznę Wielkiego i czekali. Żaden szmer, żaden szept, żadne westchnienie, żadne kichnięcie, czy inne kaszlnięcie, nie zakłócało nadwornej ciszy, w której nawet ptaki jakby w oczekiwaniu tym przycichły. A kiedy Wielki przekraczając granicę swej sypialni wkroczył na dziedziniec, spragniony wycia tłum towarzyszy zawył natychmiast: - Zdrowie naszego ukochanego solenizanta, Wielkiego Dżadży, Towarzysza Życia, Lorda Ap Łorsa! Zdrowie! - I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wszyscy jednocześnie się podnieśli. Poderwali płynnie jak baletnice. Spod kopuły posypały się złote płatki złotych róż roznosząc jednocześnie woń miłości po całym Koloseum. Wielki podszedł do stołu, pocałował małżonkę w złotą dłoń, przyciągnął do siebie dzieci, ukłonił się sztywno najwierniejszym towarzyszom i usiadł. Jego oddany sekretarz rzucił się ku oszronionym butelkom, a znając wszystkie najskrytsze marzenia Dżadży otworzył dzisiaj tysiąc siedemset letnie Le Soleil Di. Wielki wziął pełen kielich w swoje dłonie i uniósł go nad głową: - Zdrowia!!! - Krzyknął rozdzierająco. A na ten znak wszyscy unieśli swoje kielichy i: - Zdrowia! - Odkrzyknęli. I pili, i pili, i pili.... I śpiewali: - Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam! - A gdy skończyli, usiedli. I teraz złote drzwi otworzyły się i ku Wielkiemu poczęły płynąć potoki ludzkie, poprzedzane najzacniejszymi obywatelami świata, wśród których nie zabrakło oczywiście i ojca świętego w otoczeniu grupki najzacniejszych biskupów i kardynałów, dwudziestu prawdziwych królów, sześćdziesięciu prezydentów, i osiemdziesięciu premierów, ponad dwustu generałów i trzystu profesorów, ośmiuset doktorów, oraz niezliczonej ilości najbogatszych bankierów i biznesmenów. Orkiestra zagrała *Aj lowju bejbi*, i dokładnie w tym samym momencie całą kopułę rozświetlił wspaniały, hiper tronowo kolorowy, holograficzny obraz: Wybrane obrazy z życia Wielkiego: 1. Wielki w wieku trzech miesięcy z mamusią. 2. Wielki w wieku dwóch latek w żłobku państwowym Nr. 3 im. Feliksa Dzierżyńskiego. 3. Wielki w wieku trzech lat w przedszkolu państwowym. Nr. 12 im. Żory Luxemburg. 4. Wielki w wieku pięciu lat na wiecu przedszkolaków w Hucie Lenina. 5. Wielki w wieku sześciu lat z towarzyszami pionierami na wycieczce. 6. Wielki w wieku siedmiu lat przed szkołą podstawową Nr. 7 im. Włodzimierza Ilicza. 7. Wielki w wieku dziewięciu lat, w klasie prymusów. 8 - 21. Wielki zdobywa kolejne szczeble wykształcenia podstawowego. 21 - 35. Wielki zdobywa kolejne szczeble wykształcenia średniego. 35 - 49. Wielki na uniwersytecie robotniczym. 50 - 69. Wielki na uniwersytecie stanowym. 70 - 79 Wielki w otoczeniu rodziny. 80 - 105. Wielki w otoczeniu kolegów. 106 - 150. Wielki w sytuacjach intymnych. 151

- 160. Wielki na zlocie komsomolców w Krasnojarsku. 161 - 170. Wielki na uniwersytecie w Kaliningradzie. 171 - 189. Wielki w otoczeniu zespołu redakcyjnego. 190- 202. Wielki w otoczeniu grona nauczycielskiego. 203 - 238. Wielki w otoczeniu swoich robotników. 239-256. Wielki w otoczeniu swoich towarzyszy. 257 - 279. Towarzysz Wielki na mównicy Dooila. 280-300. Towarzysz Wielki na manifestacji majowej. 301 - 321. Wielki podczas manifestacji lipcowej. 323 - 354. Wielki podczas manifestacji październikowej. 355 - 389. Wielki podczas kolejnych manifestacji. 390 - 405. Wielki wśród wielbiących go tłumów. 406 - 422. Wielki podczas oficjalnych wizyt międzynarodowych, w otoczeniu najwyśmienitszych mężów tego świata: z Królową Elżbieta, prezydentem Nixonem, Degolem, Barndtem, Buszmą, Honeckerem, Breżniewem, i Budyniem. Królem Henrykiem, Papieżem i Sułtanem El-Tadirem oraz wieloma, wieloma innymi. 490-800 Wielki na Uniwersytetach zagranicznych. 801 - 1000 Wielki i Dooila. 1000-2000 Po prostu Wielki.

To był dopiero widok! Wszyscy zajęli już swoje miejsca, a na mównicę wskoczył właśnie najbliższy Wielkiemu Towarzysz, jego zaufana prawa ręka, sama prof. Macza Dooroba. - Dooilizm - mówiła utkwiwszy swój wzrok w uśmiechniętej, rozpromienionej twarzy Wielkiego - jest pierwszym w dziejach ludzkości ustrojem społeczno ekonomicznym stworzonym przez Ciebie w sposób planowy i świadomy, w oparciu o obiektywne prawa rozwoju człowieka i społeczeństwa jako zwieńczenia jego bytności tu na Ziemi. Po raz pierwszy też, pod Twoim kierownictwem oczywiście, organizacja społeczna w swojej całości osiągnęła taką doskonałość, że za swój cel nadrzędny obrała nie zachowanie i obronę istniejącego stanu społecznego, lecz twórczą i organizatorską rolę w dziele jego przebudowy, a Dooilizm stanowi zorganizowaną, kierowniczą i inspiratorską siłę tego procesu. Bez Ciebie, i bez przez Ciebie stworzonego dzieła, bez istnienia i działania Dooila, nie byłoby w ogóle już dzisiaj żadnego inteligentnego życia na Ziemi! Żyj nam więc wspaniale i kieruj nami tak, jak do tej pory! Zawsze! Na wieki wieków! - I Macza wzniosła pełen kielich i jednym, energicznym haustem go wypiła. Kieliszek odrzuciła przez lewe ramię tak, jak nakazywał to jej dobry obyczaj i rytuał wszystkich tych dooilskich uroczystości. Wielki promieniał. Macza podeszła do stołu, ukłoniła się Dżadży, żonie i towarzyszom, i usiadła na specjalnie dla niej zarezerwowanym miejscu. I teraz na mównicę wskoczył Dziewic. Nie był to co prawda oryginał, bowiem prawdziwy leżąc ciągle bez czucia i życia na stole przeprogramowalni był nieustannie

poza zasięgiem, ale o tym wiedziała tylko Macza. Nawet Dziewic nie był świadomy tej dziwnej dla niego sytuacji, a Wielki nie wiedział o niczym. Niczego też się nie domyślał. Tak też, jak tylko Macza usiadła, Dziewic wykrzyknął: - Bez Ciebie nasze państwo nie mogłoby się toczyć po drodze przez siebie obranej, po drodze prowadzącej ku urzekającej nas wszystkich demokratycznej przyszłości, nie mogłoby się toczyć po tej drodze wspaniałej, drodze jedynie słusznej, i jedynie prawdziwej, po drodze, którą toczyć się powinno, i którą toczyć się musi, bo jest to droga Twojego geniuszu. Niech żyje więc ta droga, i obyś i Ty, żył wiecznie! - Teraz Dziewic wzniósł kielich i wypił go do dna, aby go potem odrzucić z rozmachem przez lewe ramię tak, jak mu to nakazywał dobry obyczaj i rytuał wszystkich tych dooilskich uroczystości. Wielki promieniał. Dziewic podszedł do stołu, ukłonił się wszystkim, lecz nie usiadł. Wszyscy zgromadzeni poderwali się i jak na komendę wspólnie zawyli: - Wyklęty powstań ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód, dziś myśl nowa blaski promiennymi być może zwiedzie nas na bój na trud....! - A gdy śpiewając jeszcze siadali, nie wiadomo skąd na mównicy pojawił się sam Urszyll z Zamiłowic, który podobnie jak i Dziewic, nie był dzisiaj oryginałem, ale o tym wiedział tylko Wielki. Stojąc już na mównicy wzniósł ręce ku niebu i tak oto rozpoczął: - Kochani, jestem dzisiaj naprawdę dumny z zaszczytu jaki mnie tu spotkał i jaki mi tu przypadł... - I Urszyll uśmiechnął się szelmowsko. - Dżadża Wielki. Nasz wybawca i nasz sternik! Nasza nadzieja i nasza wiara! Wyzwolicielu więc jedyny, zwracam się do Ciebie w tym dniu uroczystym z mym świętym, najświętszym pytaniem: po kiego grzyba to wszystko?! Po co ta cała głupia farsa i ten cały zduczniały teatr, kiedy w rzeczywistości tylko prywata, przemoc, kasa, nienawiść i terror cię interesują?! Bo posłuchajcie no tylko: - I tu Urszyll wyciągnął nie wiadomo skąd opasłą, czerwoną księgę, którą natychmiast zamaszyście otworzył. - Katechizm. - Krzyknął. - Ustęp jedenasty, paragraf dwudziesty drugi. Cytuję: …Najprostsza droga do zniewolenia całego świata, wiedzie poprzez zniewolenie każdego człowieka. Każdym człowiekiem należy więc odpowiednio sterować, używając odpowiednio racjonalnych argumentów stworzonych w procesie globalnej reedukacji, której celem od dzisiaj będzie takie pokierowanie człowiekiem, aby mógł przyjąć i zaakceptować system stworzony przez NAS tak, aby dojrzewając stał się nie tylko jego biernym uczestnikiem, lecz będąc dobrze z nim zintegrowanym, lub wręcz nierozerwalnie zespolonym, stał się jego jedynym, potężnym adoratorem i obrońcą, jedyną podporą i jedyną ostoją. Jahwe. 341678. - I tu dopiero rozpo-

czął się prawdziwy dramat. Nie wiadomo co prawda, dlaczego dopiero teraz służby bezpieczeństwa obstawiły całe Koloseum, ale tak właśnie się stało. Nie wiadomo też właściwie, dlaczego Dżadża pozwolił sobie na to wszystko, ale Dżadża cały poczerwieniały jakby się dusił, to wstawał, to znowu siadał, aż naraz, złapał najbliżej siedzącego za głowę, po czym począł walić nią po stole z tak wielką energią i zapałem, że aż złote sztućce i kryształowe kielichy zaczęły spadać ze stołu niczym deszcz. Syczał do tego z wściekłości: - Zabiję skurwysyna, jak nic, zabiję!!! - Rozkazu zastrzelenia Urszylla, czy chociażby rzucenia się na niego, aresztowania go, pojmania, skucia, obezwładnienia, ciągle jednak nie wydawał.

- Każda Władza nakazuje wszystkim a priori - a w naszym państwie widać to najlepiej - uznanie takiej rzeczywistości, jaką sama jawi i jaką sama do głów swym obywatelom wtłacza. - Urszyll rozkręcał się na całego. - I nie dość tego, że nas wszystkich wtłacza w to gówno, to żąda również, abyśmy dobrowolnie zrzekli się jeszcze odpowiedzialności oddając ją z radością i uwielbieniem w ręce naszych ukochanych politycznych oprawców! Jednakże, wypowiadając się z praktycznego i obywatelskiego punktu widzenia, a nie z pozycji tych, którzy nazywają siebie samych przeciwnikami wszystkiego, z obawy również i o to, aby nie zostać posądzonym o gangsteryzm, a może nawet i terroryzm, nie proszę was o to, abyście rządy Wielkiego Dżadży natychmiast zlikwidowali, wieszając go jeszcze dzisiaj na latarni, lub wysyłając na księżyc, lecz o to, abyście natychmiast zażądali ich ulepszenia, lub je natychmiast sami ulepszyli zaprzestając od zaraz, od natychmiast, płacenia im pensji w postaci wszystkich waszych podatków, oraz żądając natychmiastowego wprowadzenia naturalnego systemu społecznoekonomicznego, czyli, jednolitego prawa zwyczajowego oraz nie opodatkowanego pieniądza.

- Małżonka Dżadży wyraźnie małpując swojego męża wrzeszczała również coś niezrozumiale, z dziką pasją wyrywała sobie włosy z głowy, dzieciaki śmiały się do rozpuku, a zaproszeni goście to śmiali się, to znów płakali, krzyczeli coś, wrzeszczeli, przekrzykiwali się, przepychali, poszturchiwali, podrygiwali jak w jakimś dziwnym opętańczym tańcu, to kręcąc się w koło, to w prawo, to znowu w lewo i znowu w prawo... Urszyll nie przerywał jednak. - Łatwo jest bowiem rozgłaszać wszem i wobec, że jest się najwspanialszym, cudownym filantropem wszechświata, tak jak to codziennie czyni nasz Dżadżuś, gdy jest się jednocześnie największym jego bandziorem i katem,

a każda władza, czy to ta, która znajduje się w rękach narodu, czy jakiegoś innego pojedynczego uzurpatora, żywi się jedynie mięsem swoich poddanych, którymi wszyscy jesteśmy, bowiem każdy rząd, wcześniej czy później, opiera się na sile, terrorze, wyzysku i korupcji. Rząd opierający się jednak na wyzysku, czy to mniejszości czy większości, nie jest jednak nigdy rządem sprawiedliwym dopóty, dopóki nie oprze swoich rządów nie na korzyści płynącej z rządzenia, lecz na społecznej posłudze w stosunku do rządzonych. To nie władza, ale etyka charakterów, rzetelna wiedza, normalne ludzkie sumienie oraz zdrowy rozsądek, musi stać na czele naszego społeczeństwa. Dlatego też pytam się was: dlaczego zrzekliście się swojego sumienia na rzecz comiesięcznej jałmużny?! Dlaczego przestaliście być ludźmi?! Dlaczego kultywujecie szacunek dla prawa, a nie dla sprawiedliwości?! Dlaczego skrycie służycie wyzyskowi i niewolnictwu, oficjalnie opowiadając się za ich przeciwieństwem?! Gdzie podziała się wasza etyka?! I wasz charakter?! Zapomnieliście, że będąc parysiłem jedni, możecie być wszystkim?! Że nie musicie się już bać?! Że wreszcie możecie wiedzieć jaką postawę przyjąć powinniście, lub, jaką postawę przyjąć należy! Zachowujecie się tym samym, moi mili, już nawet nie jak wasi kuzyni szympansy wymordowujące swoje potencjalne żony i ich potomstwo w obozach odszczepieńców, ale, jak wygłodniałe, zdziczałe psy pożerające same siebie w walce o kawałek zepsutej, śmierdzącej padliny. - I dosłownie w tym właśnie momencie Dżadża skinął wreszcie swoją głową i wreszcie padł pierwszy strzał. I teraz wszyscy jak jeden mąż zamarli. Urszyll jak gdyby zdziwił się, popatrzył niewidzącym, szklanym wzrokiem po wszystkich, po czym wpatrzył się przenikliwie w Wielkiego. I nie wiadomo jak by się to wszystko skończyło, gdyby na szczęście dla wszystkich, znowu nie padł strzał. Na szczęście dla Urszylla było to znowu pudło. Przez chwilę wyglądało na to, że Dżadża nie wytrzyma i wybuchnie. Urszyll natomiast oprzytomniał i korzystając z zamieszania, kontynuował wykrzykując jak wariat: - …Tym samym zabijacie w sobie samych waszą sferyczną prawdziwość – Esencję. Zabijacie waszą prawdziwą Miłość, Dobroć, Łagodność, Jakość, i Godność, oraz wszystkie wasze prawdziwe Umiejętności. Wraz z nimi umiera również całe wasze Szczęście i cała wasza Ochota do życia. Pozbawieni odpowiednich wzorów do naśladowania i odpowiedniej wiedzy do nauki, ani nie możecie, ani nie umiecie, ani nie chcecie przeciwstawić się waszemu własnemu, od zarania dziejów panującemu tu na Ziemi, duchowemu barbarzyństwu. - Strzelajcie durnie!!! - Zagrzmiał Dżadża już się nie kryjąc, oficjalnie. - …Praca jednak, którą musielibyście wyko-

nać na tej drodze - krzyczał Urszyll - którą nazwałem w przeciwieństwie do wszystkich znanych mi pozostałych dróg - Drogą 5-tą, jest najcięższą ze wszelkich, jakie znam, nie tylko bowiem trzeba walczyć na niej ze sobą samym, ale przede wszystkim z całym - zamkniętym w ramach otaczającej go zewsząd Niemożliwości - ludzkim społeczeństwem… - Strzelajcie do jasnej cholery, pacany!!! Nie dajcie mu mówić, osły!!! - …Pranie mózgu, które tak was wszystkich przeraża, jest niestety dla was wszystkich, waszą jedyną drogą ratunku. Pranie mózgu jest dla was wszystkich waszą jedyną możliwością ucieczki, jedyną drogą wiodącą ku wolności. Wiedziała o tym JoshUa, wiedziała też i Rona. - I rzeczywiście. Naraz gruchnęły salwy z karabinu maszynowego. Na szczęście znowu nie celnie. Urszyll zeskoczył z mównicy i zaczął zwinnie wspinać się po murze, po oknach i balkonach, wykrzykując przy tym: - Pranie mózgu bowiem, nie tylko może być, ale jest dla was wszystkich jedynym, prawdziwym wyzwoleniem. Wyzwoleniem z najcięższego więzienia, jakim się sami dla siebie samych staliście, i jakim stało się dla was wasze codzienne, umiłowane przez was, zasrane życie. - W Koloseum zapanowała istna gomoria. Teraz strzelali już wszyscy ze wszystkiego. Na szczęście dla Urszylla, a, i dla całej reszty, ciągle niecelnie. - Z tego pierwszego wynika i drugie założenie, a mianowicie to, że to właśnie Miłość i Dobroć, i to do tego Miłość i Dobroć czyniona świadomie, decydują o jakości i pełni każdego bytu, o jakości i pełni upragnionej, i z tak wielkim trudem i tak wielkim mozołem od wieków przez każdego z was poszukiwanej codziennie, lecz niestety, po niewłaściwej stronie Życia. - Dżadża biegał między tym wszystkim wymachując rękami jak wiatrak swoimi skrzydłami. W końcu udało mu się zdobyć jakiś automat i teraz celował właśnie do Urszylla wiszącego gdzieś wysoko pod dachem. - Nie wiecie więc, nie słyszycie i nie czujecie, jak oni się waszą naiwnością i głupotą cieszą, jak zacierają te ich spasione waszym zniewoleniem rączki, i jak się z was wszystkich i z całej tej waszej nieświadomej iluzji życia, śmieją: Chachachachachachachacha!!! Słyszycie to?!

I tu Dżadża doprowadzony wyraźnie do ostateczności niespodziewanie odłożył karabin. Spoważniał. Rozejrzał się uważnie po Koloseum, które zamarło pod jego spojrzeniem. Życie w towarzyszach zatrzymało się. Ucichło. Teraz, w zupełnej ciszy, w wielkim skupieniu i namaszczeniu wielkim, Dżadża wziął ponownie karabin w dłonie, wycelował i nacisnął spust. Seria była długa i tym razem celna. Urszyll zaniemówił, spojrzał spod dachu niedowierzająco na Dżadżę, po

czym oderwał się od niego, i jak w jakimś zwolnionym filmie zaczął powoli opadać na dół. - I co teraz powiesz, dupku?! - Zawył Dżadża wykrzywiając twarz w grymasie pogardy i rzucając z wielką energią jeszcze gorący karabin na stół. Najpierw tylko paru, powoli, ociężale, z wyraźnym ociąganiem, potem coraz śmielej, żwawiej i głośniej, a po chwili już całe Koloseum pękło w huraganowym, perlistym śmiecho-chichocie: - Chachachachachacha-chachachacha… - Śmiali się towarzysze. - Chachacha-hacha! - Śmiał się Dżadża i jego małżonka się śmiała. I ich dzieci.

Czas jednak naglił, bowiem do czternastej została jeszcze tylko niecała minuta. Służby bezpieczeństwa migiem uprzątnęły ciało Urszylla leżące w jakiejś teatralnej pozie w dużej kałuży krwi na środku areny, wszyscy powoli się uspokoili, Dżadża i jego małżonka również, nawet dzieciaki zamarły na moment, i wtedy właśnie wybiła czternasta. Uczestnicy manifestacji zerwali się więc raz kolejny ze swoich miejsc, i raz kolejny jak jeden mąż zawyli: - Jeszcze Dooila nie zginęła póki my żyjemy... I w tym właśnie momencie, właśnie w tym, przez szklaną kopułę dachu wpłynęła nagle, nagle całego go wzdłuż i w szerz przenikając, złotem i srebrem mieniąca się gondola. I zanim się wszyscy obejrzeli, spód gondoli bezgłośnie się otworzył, a z jej ciemnego wnętrza wystrzelił czerwono-niebiesko-gwiezdny dywan i zaraz pojawił się na nim ich jedyny, prawdziwy, i najbardziej zaufany przyjaciel: Wołek Majgniejwing, władca wszystkich władców, właściciel wszystkich właścicieli, wszystkich ziem i krain, i tych na wschód i tych na zachód, i tych na północ i tych na południe, i tych wzwyż i tych w skos, i w głąb i w szerz, Jego Ekscelencja Towarzysz, Pan Lord, właściciel Polski, Mongolii, Czach, Moraw, Szwecji i Sudanu. Rumunii, Bułgarii, Węgier, Niemiec, Armenii, Austrii i Azerbejdżanu, Białorusi, Kuby, Japonii, Australii, Kanady, Ameryki i Kazachstanu. Ukrainy, Turkmenii, Afryki, Azji, Brazylii, Grenlandii i Uzbekistanu. Beminu, Mjamy, Konga, Laosu, Jemenu, Mozambiku i Wietnamu, i Anglii, i Francji, i Hiszpanii, i Włoszech i Iranu, i obu Ameryk, i obu biegunów, i Ziemi i Marsa i Plutona. Księżyca, Jowisza, wszystkich gwiazd i Neutrona... Ku któremu Wielki poderwawszy się jak sprężynka skoczył, i jego towarzysze skoczyli, i ich żony, i dzieci, i świta, i gdyby wreszcie mistrz ceremonii delikatnie, acz stanowczo nie rozdzieliłby rozpłakanych towarzyszy, powitalnym uściskom i pocałunkom nie było by końca. Lecz w końcu poprowadził ich wszystkich wśród wiwatów, oklasków i gwizdów ku stołowi, a wonne, nagie i obnażone dziewice, które nigdy nie opuszczały tego typu uro-

czystości, rytmicznie poruszając swymi delikatnymi ramionami, rozrzucały przed nimi wszelkie gatunki wszelkich rodzajów róż: i Carte, i Carminę, i Romanticę, i Montesumę, i Super Stars, i Sutters Gold, i Madamę de, i Baccarę, i Montesumę, i Pascalię, i Papę Mailandię, i Sterlinga, i Silvera, i Mainzera. i Certonię, i Goldmirę, i Liii Marlenię, i Szarikę, i Kronenburgę, i Kasanowę, i Fastnachtę, i Donjuanię, i Sensationę, i Newdownę, i Whitę, i Superiorię, i Tausendschonię, i Dooililię... Cherubini zagrali na trąbach chwały, przyjaciele usiedli, Wołek Majgniejwing, wyraźnie zaskakując tym wszystkich, wstał nagle i równie nagle przemówił: - Pozwólcie, że tu i teraz - gestem przywołał swojego sekretarza - odznaczę waszego pana i władcę najwyższym orderem politycznym. - Jego zaufany sekretarz otworzył czerwone wieko pudła, Majgniejwing wyjął olbrzymi platynowo diamentowy order z powiewającą krwawą wstęgą i przypiął go oszołomionemu do nieprzytomności Wielkiemu. - Synowie i Córki!!! Bracia!!! - Wykrzyknął jak w transie Wielki. - Pozwólcie, że tu i teraz, w tej doniosłej dla całego cywilizowanego świata chwili, odznaczę naszego najprawdziwszego przyjaciela, mojego umiłowanego towarzysza, najwspanialszym orderem najwyższym. - Jego zaufany sekretarz otworzył niebieskie wieko pudla, Wielki osobiście wyjął wielki platynowo diamentowy order z powiewającą niebiesko gwiaździstą wstęgą i przypiął go wyraźnie zadowolonemu Wołkowi Majgniejwingowi do jego dumnie wypiętej piersi. Wszyscy się poderwali. Przyjaciele pchnięci jakąś magiczną siłą padli sobie ponownie w ramiona, w objęcia, uśmiechy, poklepywania i wzdychania zakończone długim, mocnym i głębokim, prawdziwym pocałunkiem usta w usta, po którym coś jakby w Wielkim na nowo zagrało, coś jakby jakaś sferyczna maszyneria, myśli jego rozszerzyły się, atakowały, złote iskry porwały go i uniosły: - Miłość! Miłość! Iskra iskier! Słońce słońc! Jestem zadowolony. Jestem niezmiernie szczęśliwy. - Wielki unosząc się nad tłumem wyraźnie promieniał. - Jestem niezmiernie szczęśliwy, ponieważ w dniu tak uroczystym otaczają mnie sami przyjaciele, moi towarzysze, żona, i dzieci. Jestem szczęśliwy ponieważ moja osobista uroczystość zbiegła się dzisiaj z uroczystością naszego, jakże przez nas wszystkich umiłowanego narodu i umiłowanego społeczeństwa: otrzymaliśmy dzisiaj najwspanialszy order przodowników miłości i dobroci, koleżeńskości i wspaniałego wychowania, współpracy, współistnienia, i współzarządzania. Jestem pewien, że słusznie należą się nam te wszystkie wyróżniania, bo kimże my właściwie jesteśmy?! - Wielki zakręcił w powietrzu radosnego pirueta. - My jesteśmy Miłością! My jesteśmy Dobrocią! -

Stanął na głowie. - A cóż to jest Miłość?! - Wyciągnął się wygodnie na plecach. - Miłość to to, co możemy dać innym z całego serca. I rzeczywiście! Nikt nie może nam zarzucić, a nawet spróbować twierdzić, że tego im nie dajemy! Nasze serca pełne są miłości. Miłość to my! Miłość to ja! - W jego dłoni pojawił się jak znikąd pełen kielich szampana. - Wznoszę ten kielich za ten dom rodzinny stworzony już, wypracowany przez te ostatnie sto pięćdziesiąt pięć tysięcy lat z wielkim trudem i mozołem po to, aby wszyscy inni brali z niego przykład, i aby wszyscy inni stali się na wzór swych stwórców! Zdrowia!!! - I tu Wielki podniósł swój kielich, a wraz z nim wszyscy podnieśli też i swoje. I wypili. I odrzucili kielichy przez lewe ramiona tak, jak nakazywał im to dobry obyczaj, i rytuał wszystkich tych dooilskich uroczystości. A na ten znak, zupełnie jak spod ziemi na środku Koloseum pojawili się wynajęci na ten dzień, najlepsi światowi muzycy, i w tej samej chwili zagrali. Wszyscy jak na komendę się poderwali i zatańczyli. Powietrze zawirowało wirem jak trąba powietrzna, zabulgotało, aż wreszcie eksplodowało szaleństwem porywając wszystkich w szalony, upojny tan: - Evoe!!! Evoe!!! Evoe!!! - Wykrzykiwali upojeni towarzysze.

O godzinie dwudziestej czwartej, gdy noc już dawno zgasiła żyrandol dnia tylko gdzieniegdzie zostawiając rozrzucone, jarzące się, maleńkie lampki oliwne odległych o miliony lat świetlnych, niedostępnych i z pewnością podobnie wspaniałych, słowem nieobcych nam niebiańskich światów, jak by dla zaznaczenia, że nie tylko tu, ale i tam, oddana służba roznosiła drgające, nieprzytomne ciała towarzyszy na pokoje, gdzie z kolei zaufany sztab wysoko wykwalifikowanych, nocnych pracowników, przygotowywał ich wszystkich do snu, odsysał, układał, usypiał i czuwał. I za nim się ktokolwiek obejrzał nastał następny dzień, w którym, tak jak i w tym, który go poprzedzał, wszystko było już zawczasu przygotowane do kolejnej, wielkiej uroczystości: i zebrania, i spotkania, i konferencje, i plena, i pochody, i manifestacje, i wywiady, i przemówienia: - Synowie i Córki!!! Bracia!!!

I tylko Macza jeszcze czuwała. Leżała co prawda już w swoim łóżku, ale nie spała. Myślała intensywnie o tym jak uzdrowić Dziewica, chciała go bowiem koniecznie skutecznie przeprogramować oraz zabezpieczyć, lecz żadne rozsądne rozwiązanie nie przychodziło jej do głowy, po za może jednym. - Gdyby tak nakłonić Krzysztofę do Ewoki, myślała, nie musiałabym tego robić sama, a to…

Urzeczywistnianie Ewokacji było długie, żmudne i bardzo czasochłonne, a do tego jeszcze bardzo niebezpieczne. I nie dość, że było takie, to jeszcze jak gdyby na dokładkę jej wprost przerażający, nieprzewidywalny wpływ na każdą rzeczywistość psychofizyczną, powodował, iż niewystarczająco przygotowani do niej adepci sztuki magicznej ginęli najczęściej bezpowrotnie, po prostu rozpuszczając się w powietrzu tak, aby nigdy więcej nie pojawić się już wśród żywych, trójwymiarowych istot. Nikt tak naprawdę nie wiedział co, i w jaki sposób im się przytrafia, oraz dlaczego! Najczęściej działo się tak podczas środkowej i najważniejszej części ewokacji, w której następował nie tylko wzrokowy kontakt z istotami z innych wymiarów, światów i rzeczywistości, ale przede wszystkim kontakt psychiczny i astralny. Najczęściej, najprawdopodobniej z powodów niedostatecznego przygotowania lub też słabej woli, to właśnie ewokujący podążali za wolą ewokowanych istot, a nie istoty te za nieugiętą wolą ewokujących. Podążając za nimi przemieszczali się gdzieś między sferami, wymiarami i płaszczyznami, opuszczali więc świat fizyczny raz na zawsze. Niestety. Równie często ludzie uzależniali się od istot demonicznych zostając ich niewolnikami, podobnie jak to miało miejsce w przypadku Maczy. Dlatego też wzywanie Djabyłelicy dla Maczy było nie tylko najniebezpieczniejsze ze wszystkich znanych jej niebezpieczeństw, ale dodatkowo jeszcze ohydnie wstrętne. Macza nienawidziła Strefery. I jej się bała. I to do tego strasznie. Niestety wczoraj nie udało jej się nakłonić Krzysztofy tak, jak to planowała, ani jej przymusić, więc chcąc nie chcąc, w sytuacji, w której chciała ratować Dziewica, a ratować go przecież chciała, musiała wezwać Djabyłelicę, więc teraz, nie pozostało jej nic innego, jak przygotować się mimo wszystko, i to głównie na przekór sobie samej, jak najsolidniej.

Przygotowania.

Każdy adept prawdziwej sztuki magicznej o aspiracjach prawdziwego Magadura, musiał podążać ściśle wyznaczoną drogą prowadzącą go przez meandry własnego umysłu, własnej wyobraźni i intuicji. Droga ta była tak wąska i tak kręta, że tylko nieliczni, najlepsi

z najlepszych, i najbardziej wytrwali ze wszystkich najbardziej wytrwałych, dochodzili do jej szczęśliwego końca, kończąc każdą ewokację z radosnym poczuciem wygranej. Trochę inaczej było już z tymi uzależnionymi, oraz z innymi słabeuszami lub niewiarkami, ale przygotowania dla wszystkich były takie same: na początku oczyszczenie całego ciała, potem umysłu i duszy, przebranie się w magiczny strój, przygotowanie magicznych instrumentów, oraz magicznego pomieszczenia. Przyzywanie, rozmowa, podziękowanie, i rozstanie. A potem szczęśliwy powrót do fizycznej rzeczywistości, jak i oczyszczenie. A nad tym wszystkim, we wszystkich fazach przygotowań, świadome i kurczowe trzymanie się problemu, oraz celu samej ewokacji. W przypadku Maczy cel został określony przez bieg wydarzeń, natomiast problem ożywienia Dziewica był problemem tak intensywnym, że ta część nie nastręczała nikomu żadnych wątpliwości, nie niosła więc w sobie niebezpieczeństw niepowodzenia. - Dziewic poza tym - myślała Macza - podobnie jak i ja sama, jest poddanym Djabyłelicy, więc jej samej też powinno w jakimś sensie zależeć na odratowaniu go, lub przywróceniu życiu. - Macza rozumowała jak każdy śmiertelnik. Nie brała w ogóle pod rozwagę tego, że istoty demoniczne, a w szczególności ich Królowa, kierowały się zawsze tylko swoimi własnymi, i to dla ludzi zupełnie nie do zrozumienia, i zupełnie nie do pojęcia, demonicznymi upodobaniami, oraz licznymi, ludziom niestety również zupełnie nieznanymi, prawami, które musiały przestrzegać, podobnie, tak jak ludzie praw ziemskich. Tak więc Djabyłelicy wcale nie musiało zależeć na ożywieniu Dziewica, a mogło być wręcz odwrotnie. Mogło jej jak najbardziej zależeć na utrzymaniu go w takim właśnie nieżywym stanie, ale Macza nie myślała o tym w tej chwili. Właśnie weszła do specjalnie do tych celów wybudowanej łazienki, w równie specjalnej części budynku Dooila, zwanej Świątynią. Był to kompleks wielu pomieszczeń, do których tylko pracownicy dziewiątego poziomu mieli dostęp. Wejścia strzegł tutaj wieloprocesorowy, i wielooperacyjny komputer najnowszej wirtualno biologicznej generacji. Była to na wpół maszyna, na wpół żywa istota posiadająca prawdziwą żywa duszę, i to ona była sercem komputera, a nie tak jak w dotychczasowych, kwarcowy procesor sterujący. Wszystko przebiegało tutaj według ściśle zaplanowanego, i ściśle przestrzeganego magicznego planu, zwanego u Dooila, planem JODY. Każdy, najmniejszy nawet krok Maczy, sterowany był komputerem, każda jej myśl i każde uczucie, i to na każdym poziomie, i w każdej rzeczywistości jednocześnie. Tak też w gruncie rzeczy Macza nie musiała się niczego obawiać, w szczególności w sytuacji,

w której znała nie tylko całą procedurę na pamięć, ale i zapędy oraz potrzeby Strefery. A jednak Macza obawiała się. I to nie tylko. Macza bała się po prostu panicznie. Musiała więc uczucie to irracjonalne, stłumić, a dokładniej, transformować go w jego przeciwieństwo, inaczej komputer sterujący nie dopuściłby jej do najważniejszej części ewokacji: do bezpośredniego kontaktu z Djabyłelicą.

Oczyszczenie.

Tuż po rozpoznaniu jej przez komputer, weszła do specjalnie w tym celu wybudowanej, i specjalnie w tym celu urządzonej łazienki. Tu wszystko było na swoim miejscu: każda część pomieszczenia, każda rzecz, każdy przedmiot, kształt, kolor, i każda czynność, miały swoje magiczne znaczenie. Ściany i wszystkie urządzenia wykonane były ze specjalnego rodzaju kryształu o tak cudownej właściwości, która pozwalała na zaprogramowanie jego koloru, i to nie tylko w jego całości, ale i dowolnymi fragmentami: i tak na przykład ściana południowa mogła być czerwona jak krew turmalinu, pozostałe zmieniały w tym czasie swe barwy wraz ze zmianami barwy i brzmienia muzyki towarzyszącej ewokacji. Każdy ton i każda nuta miały swoje kolorystyczne odpowiedniki, tak samo, jak ich zapachowe komponenty. Dzisiaj, w związku z podróżą do czwartego wymiaru i czwartej płaszczyzny demonicznej, wszystko było barwy fioletowej, ze złoto srebrnymi pasmami żywej materii wewnątrzkomórkowej. Zapach drzewa sandałowego, oraz hemi synchroniczne, wygenerowane przez komputer specjalne dźwięki synchronizujące pracę jej mózgowych półkul, dopełniały całość. Macza rozebrała się szybko, wrzuciła swoje ubranie do specjalnego zsypu, upięła włosy w kok, i powoli zaczęła się zanurzać w przygotowanym już zawczasu roztworze wody wymieszanej z clorexem o specjalnej temperaturze 49,719876° C, co nie przyszło jej jednak tak łatwo: temperatura była dzisiaj wyjątkowo wysoka. Trochę to potrwało zanim nagie ciało Maczy przyzwyczaiło się do temperatury, lecz w końcu Dooro zanurzyła się w wannie całkowicie. W tym samym czasie komputer informował ją bezpośrednio przez implant nie tyle o dalszej procedurze, co o jej wewnętrznym neuro psychiczno uczuciowym stanie, oraz konieczności przeprowadzenia zasadniczych zmian umożliwiających wprowadzenie kolejnych etapów ewokacji. I tak oto Macza dostała polecenie zmuszające ja do natychmiastowego oczyszczenia myśli poprzez skoncentrowanie się na potencjalnym, pozytywnym rozwiązaniu problemu, w formie wizualizacji żywego Dziewica, oraz na oczyszczeniu uczuć z wszelkiego niepokoju i strachu, poprzez uświa-

domienie sobie tego, że jako już uzależnionej, nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo, i to z żadnej strony Strefer. Macza wyobraziła sobie Dziewica jak wypełnia jej spragnioną Yoni, i rozkosz wypełniła jej ciało, zabierając jednocześnie gdzieś ze sobą i niepokój i strach. Był to najlepszy sposób na koncentrację i uwolnienie, z którego Macza korzystała najczęściej. Komputer nie był jednak do końca zadowolony z jej postępów, zarządził więc dodatkowo modlitwę mocy, którą Macza musiała zaraz po wyjściu z kąpieli, osuszeniu ciała, i przebraniu się w jej magiczny strój, z pełnym zaangażowaniem odmówić i zwizualizować.

Strój magiczny.

Z łazienki przeszła prosto do swojej prywatnej, magicznej garderoby. Wszystko było tu już przygotowane, a komputer zapalił zielone światło, więc teraz należało się spieszyć. Macza założyła dwukolorowe rajstopy, białą tunikę, w pasie przewiązała się magiczną szarfą, stopy wcisnęła w mokasyny z miękkiej cielęcej skórki, na głowę nasadziła magiczny diadem, zapaliła magiczną lampę, wzięła magiczny sztab, i przeszła do sali ewokacyjnej. Była to okrągła sala skąpana w fioletowym świetle, na środku której na podłodze namalowano wielki biały krąg, w który to właśnie Macza weszła. Ustawiła dwa magiczne zwierciadła pokrywając je jednocześnie fioletową, magiczną emulsją. Lampę postawiła tuż obok siebie. Wyciągnęła magiczną laskę zza pasa. Była przygotowana. Mogła spokojnie rozpocząć Ewokę.

Modlitwa mocy.

- A Modlitwa mocy, to co?! - Upomniał ją komputer. Macza pochyliła się z laską tak, jakby chciała zadać komuś pchnięcie i zastygła w bezruchu: koncentracja na modlitwie nie była prosta. Nie jeden już śmiałek stracił podczas ewokacji swoje życie, bo wydawało mu się, że umie się koncentrować, to jednak, co nazywał koncentracją, nigdy nią nie było, i nigdy już potem nią być nie mogło. Po dobrych trzydziestu minutach bezruchu komputer przyzwolił wreszcie na modlitwę:

Tak samo jak i ONå
jestem czystą emanacją energii.
Esencją powołującą Siłę tworzącą Wolę, która trwa
we wszystkich moich ciałach
i we wszystkich rzeczywistościach jednocześnie.

Jestem JEJ aktem twórczym
powołującym, kontrolującym i opływającym PROCES,
organizujący i zarządzający
wszelkim znanym życiem.
Ja jestem Tobą. Ty jesteś mną. We wszystkim.
Eheyh Asher Eheyh. Amen.

Ewoka.

Komputer nie był jednak ciągle z czegoś jeszcze zadowolony, powstrzymał ją więc przed rozpoczęciem magicznego rytuału, podając jej jednocześnie nowe współrzędne: Macza musiała wpisać w biały krąg na podłodze dziewięcioramienny eneagram, a potem ustawić na jego bokach magiczne kwadraty, jednocześnie recytując z pamięci bajkę cytowaną przez Abrahama w jego fundamentalnym magicznym dziele Abramalina, wydanym po raz pierwszy w 1378 roku w Bohemie. Tego jednak Macza nie lubiła. Nienawidziła tej głupiej bajki, i całej tej komicznej recytacji i to do tego jeszcze po aramejsku. Zawsze musiała jednak stosować się do poleceń komputera sterującego, jeżeli chciała osiągnąć jakikolwiek pozytywny rezultat. Krzywiąc się z obrzydzenia i pomstując w duchu rozpoczęła: - Get rad on seculor MaG dep tapir... - Jednocześnie ustawiała magiczne kwadraty na wierzchołkach eneagramu. - Modlitwa ciała! - Zarządził komputer. - I do tego Walka Magów! - Macza rozpoczęła natychmiast intensywne, rytmiczne, bio holo heteromagiczne oddychanie, połączone z rodzajem tańca, do wygenerowanego przez komputer rytmu, cały czas przy tym recytując Radę Królów po aramejsku: - … ad lidt youh deep erh! - Innwoookaaa!!!!! - Rozkaz komputera zabrzmiał w mózgu Maczy jak grom z jasnego nieba. - Ale z mieczem, nie z laską! - Miecz!!! - Krzyknęła Macza. I miecz natychmiast pojawił się w jej dłoni. Teraz wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. - Djabyłelica!!! - Rozkazała. I prawie w tej samej chwili, gdy wymawiała jeszcze to straszne słowo, temperatura w pomieszczeniu raptownie spadła, a jakaś niewidoczna siła zaczęła powoli, powolutku obracać Maczą dookoła jej własnej osi. - Błagam! Proszę! Zaklinam cię! Rozkazuję ci! Przybywaj, lecz nie w tej formie! Na pamięć Ramona i Ra, na pamięć Azathoha, na pamięć Rabbana, vente acite transcendite: Lucifer, lux fiat! - Do siły obracającej nią dołączyła teraz gęsta mgła pojawiająca się jak gdyby znikąd, i ostry, mdły zarazem odór siarki. - Błagam! Proszę! Zaklinam cię! Rozkazuję ci! Materializuj się, lecz w formie której oczekuję! Której żądam! Na pamięć Samuela, na pa-

mięć Raphaela, na pamięć Lucyfera, Djabyłelico wzywam cię! Przybywaj! - Siła obracająca przybrała jeszcze na sile, mgła opadła, lecz odór siarki pozostał. Macza, pomimo tego, że była w głębokim transie, czuła już wyraźnie obecność siły, która z sekundy na sekundę potężniała przybierając materialny kształt. - Rozkazuję ci!!! - I w tej właśnie chwili Macza zatrzymała się, otworzyła oczy i tuż przed sobą zobaczyła stare, pomarszczone, ohydne oblicze Djabyłelicy w jednym z magicznych luster, całe pomalowane bez składu i ładu rożnymi farbami i na grubo przypudrowane. Widok ten był tak przerażająco nieprzyjemny, że Macza o mało nie zwymiotowała. - Chcę cię zobaczyć całą! - Rozkazała, wyciągając jednocześnie miecz w jej kierunku. - Co?! Ty?! Za kogo się uważasz?! - Zachrypiała Djabyłelica, roznosząc jednocześnie jakąś duszno mdłą woń po całej świątyni, - Ani mi się śni!! - W imię Ojca... - Rozpoczęła Macza. - Już dobrze, dobrze! Pożartować nie wolno?! - I Macza ujrzała ją w całej krasie. Djabyłelica przybrała postać młodej, pięknej i do tego nagiej dziewczyny, twarz jednak pozostała ta sama. Widok był straszny. - Zadowolona?! - Zapytała Djabyłelica. Macza nie mogąc wykrztusić ani słowa, skinęła tylko głową. - Chcę abyś - przemogła się - przywróciła Dziewicowi życie. - Powiedziała. - I żebyś wymazała mu wszystkie ostatnie wydarzenia z jego pamięci! - Wszystkie?! - Zdziwiła się Djabyłelica. - Absolutnie wszystkie?! - Tak! - Skinęła głową Macza. - Wszystkie! - Tego nie da się zrobić! - Parsknęła Djabyłelica. - Niewykonalne! - Udała głos komputera sterującego. - Nie ma dostępu! - Czy chcesz żebym cię zmusiła?! - Zapytała Macza. - Przecież wiesz, że jesteśmy złączone przysięgą... - Przysięga przysięgą, a tego zrobić się nie da! - Wrzasnęła rozsierdzona już na dobre Djabyłelica. - Jak chcesz! - Powiedziała Macza. - W imię Ojca, i Matki, i Wszystkich Boskich Dzieci.... - Już prawie dotykała magicznym mieczem piersi Djabyłelicy - ... I Ducha Świetlistego!!! Rozkazuję ci Duchu Nieczysty!!! - Cha-cha-cha-cha! - Roześmiała się Djabyłelica. - Twój rozkaz niestety nie działa koleżanko, co?! - W sercu Maczy pojawiła się niepewność, a zaraz za nią nadciągnął śliski strach. - Gdyby nie to, że jesteś moją niewolnicą, już byłoby po tobie, Maczo Doorobo! - Powiedziała spokojnie Djabyłelica. - Ale twój czas jeszcze nie nadszedł, Dziewica też nie... Prośby twojej jednak i tak nie spełnię. To nie moja działka! - Wrzasnęła. - Oderwałaś mnie od pilniejszych zadań! - Dodała. - A więc...?! - To co mam teraz zrobić....????? - Bardziej pomyślała, niż powiedziała Macza czując, że nogi się pod nią uginają. - Poproś Thenahå, może ona ci pomoże?! Adieu! - I za nim Macza się zorientowała Djabyłelica zniknęła, i tylko jej starczy śmiech i starczy

zapach pozostał. - Będziesz prosić Thenahå?! - Zapytał komputer. - To wykluczone! - Odpowiedział sam sobie podejmując jednocześnie jakąś decyzję, bowiem Macza natychmiast zobaczyła przed sobą złote pomieszczenie nie przypominające jej niczego, co do tej pory widziała, i usłyszała: - Boga nie ma. Pod przeciwległą ścianą stał ksiądz w złotej masce na twarzy otoczony grupą młodych ludzi ubranych w srebrne tuniki, z dziwnymi złotymi kulami w dłoniach. - Boga nie ma. - Powtórzyli wierni. I dopiero teraz dotarło do niej to, co ją czeka. Komputer zarządził najwyraźniej Złotą Mszę. H*ieros gamos.* - Ależ... Ja... - Zanim Macza zdążyła jednak cokolwiek powiedzieć podeszło do niej dwóch młodych mężczyzn. Delikatnie ujęli ją pod ręce pomagając jej jednocześnie wejść i położyć się na czymś w rodzaju ołtarza. Świątynię oświetlało teraz tysiące palących się świec, a wokół siebie Macza dostrzegła dwanaście rytualnie kopulujących ze sobą ludzkich par. Widok ten jednak nie był w najmniejszym stopniu wulgarny.- Boga nie ma. - Powiedział ksiądz. - Boga nie ma. - Powtórzyli wierni. Było wręcz odwrotnie. Widok był piękny. Ludzie kochali się namiętnie, porywczo, miękko jednak i słodko jednocześnie. Mężczyźni zdjęli dość szybko i bardzo zgrabnie z Maczy jej magiczne ubranie i pozostawili ją nagą na ołtarzu. - Boga nie ma. - Powiedział ksiądz. - Boga nie ma. - Powtórzyli wierni. Macza poczuła wyraźnie wlewające się w nią i szybko w niej rosnące podniecenie i pożądanie. Piersi nabrzmiały jej pod jego wpływem i Macza poczuła, że jest gotowa do przyjęcia mężczyzny. Nie mogła tego jednak zrozumieć. Nie pojmowała jak to się stało tak szybko, w szczególności w sytuacji, w której nigdy nie robiła tego jeszcze publicznie, a Złotą Mszę znała tylko ze słyszenia. Teraz jednak wszystko to, cała ta przeszłość, teraźniejszość i przyszłość zniknęły, utonęły w tej dziwnej, obezwładniającej i porywającej ją gdzieś ze sobą dusznej słodyczy. Macza rozchyliła nogi i zaczęła pieścić swoją Jonii, swoje piersi, i całe ciało. Najpierw powoli, wstydząc się jak gdyby tego wszystkiego, potem jednak namiętnie, bez opamiętania, mrucząc i sapiąc przy tym z zadowoleniem. Normalnie Macza potrzebowała bardzo długiej gry wstępnej i długiej gry miłosnej aby wybuchnąć. Dzisiaj jednak orgazm przyszedł prawie natychmiast i to z takim natężeniem, że Macza krzyknęła rozdzierająco. - Boga nie ma. - Powiedział ksiądz. - Boga nie ma. - Powtórzyli wierni.- I - O, E - O Evoe. - Słodko zaśpiewał ksiądz. - I - O, E - O Evoe. - Podchwycili miękko wierni. - O sonuf vaorasaji. - Zaśpiewał ksiądz. - O sonuf vaorasaji. - Powtórzyli za nim wierni. Po orgazmie Macza potrzebowała co najmniej godziny na odpoczynek. Dzisiaj jednak poziom jej podniecenia i pożądania nie

zmniejszał się. Rósł szybko ciągle, i Macza miała za chwilę następny orgazm, a potem jeszcze następny. - I - O, E - O Evoe Hi. - Zaśpiewał ksiądz. - I - O, E - O, Evoe Hi. - Powtórzyli mocniej wierni. Miękki rytm tam-tamów też się wzmógł i wyraźnie przybrał na tempie. - I - O, E - O sonuf vaorasaji Hi. - Zaśpiewał rozdzierająco ksiądz. - I - O, E - O sonuf vaorasaji Hi. - Powtórzyli miękko wierni. I w tej właśnie chwili Macza poczuła, że ktoś bierze delikatnie jej dłonie w swoje, a potem poczuła od razu jak do niej wnika taki olbrzymi, gorący i twardy. I to było właśnie to, na co Macza czekała już od pewnej chwili, i na co od dawna była już gotowa: niespotykana, niewyobrażalna rozkosz zalewająca jej ciało gorącą słodyczą omdlenia. - Urszyll z Zamiłowic?! - Wydawało jej się to prawie niemożliwe. - Yod Sothoth. Neblod Zin. Yod He Va Hi. - Zaśpiewał miękko ksiądz. - A jednak… - Yod He Va Hi. - Wtórowali mu miękko wierni. - Yod He Va Hi. - Powtórzyła miękko Macza. -Yod He Va Hi. - Zaśpiewał ksiądz. - Yod He Va Hi. - Wtórowali mu wierni. Macza nie sądziła nigdy dotąd, że coś takiego może być w ogóle możliwe. Takiej intensywności uczuć nie czuła jeszcze nigdy. - Yod He Va Hi. - Śpiewał w transie ksiądz. - Yod He Va H. - Wtórowali mu w transie Wierni. - Yod He Va Hi. - Dyszała Macza. To była prawdziwa miłość. Macza była tego pewna. To nie mogło być nic innego. A to co czuła.... Tego nie dało się w żaden sposób wyrazić. Mężczyzna podniósł ją miękko jak piórko i posadził na sobie. Macza rozpoczęła rytmiczne poruszanie biodrami siedząc na mężczyźnie jak nadziana na pal, dzika wojownica. Czuła jak wzbiera w niej i jak się uwalnia jeszcze to, czego do tej pory nigdy nie mogła poczuć, i nigdy nie mogła uwolnić. Orgazm przyszedł nagle jak burza i Macza czuła to wyraźnie, że nie tylko ona ma orgazm, ale, że drgają razem i że razem krzyczą przy tym z radości: - Yod He Va He! Yod He Va He! - Krzyczał ksiądz, krzyczeli też wierni. Ale Macza wcale nie zamierzała się zatrzymać. To było tak piękne, że chciała tego jeszcze, jeszcze i jeszcze... W pewnym momencie jednak, z nadmiaru rozkoszy, a może z nadmiaru tego wszystkiego, nagle straciła przytomność zwisając jak worek bez życia w ramionach mężczyzny, który jednak nie przerwał rytuału ani na chwilę. - Yod He Va He! - Śpiewał ksiądz. - Yod He Va He! - Śpiewali wierni. - Yod He Va Hi! - Krzyknął rozdzierająco ksiądz kreśląc jednocześnie w powietrzu znak magicznego krzyża, a jakaś obca siła podniosła go znienacka do góry jak piórko, a zaraz potem równie znienacka rzuciła jego ciałem ze straszna siłą o podłogę. Na ten magiczny znak trzynaście kopulujących ze sobą par wybuchło jednocześnie w spowijającym wszystkich i wszystko orgazmie, a ponad nimi eksplodowała raptownie biała kula światła

o strasznym, oślepiającym natężeniu zalewając całą świątynię biało niebieską jaskrawością, a zaraz potem tęczą opadających na wszystkich, kolorowych iskier. Rytuał dobiegał końca. - Yod He Va Hi. - Śpiewał miękko ksiądz. - Yod He Va H. - Wtórowali mu miękko wierni.

Reanimacja.

Gdy msza dobiegła końca wszystko przepadło gdzieś w mroku wielkiej Głębi i Macza została w świątyni zupełnie sama. Leżała jeszcze parę minut nieprzytomna we wnętrzu chroniącego ją eneagramu, po czym przeniesiono ją na magiczne łoże, zwane u Dooila łożem sfer, wykonano go bowiem ze specjalnego stopu irydowego, a w jego nogach przyspawano olbrzymie, poskręcane platynowe druty, przytwierdzone do olbrzymich równie platynowych prętów: odprowadzały z nieprzytomnego ciała energię Strefer przez wszystkie piętra, prosto do ziemi. Pomimo tego, że na płaszczyźnie fizycznej Macza była nieprzytomna, była jednak na jakiejś innej, wewnętrznej płaszczyźnie świadoma wszystkiego. Wyraźnie też widziała astralną postać Urszylla, który będąc tuż tuż obok niej uśmiechał się do niej radośnie, i wykrzykiwał jakąś dziwną, tajemniczą modlitwę: - Yod He Va He! Yod He Va He! - Macza nie rozumiała tego, nie mogła tego pojąć ani sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć. Widziała go jednak i słyszała bardzo wyraźnie. I w tym właśnie momencie odzyskująca panowanie nad rzeczywistościami świadomość Maczy zwinęła i rozwinęła rzeczywistości: Urszyll przepadł gdzieś w zakamarkach Głębi, a jego miejsce zajął Dziewic. I gdy Macza otworzyła oczy zobaczyła go uśmiechniętego tuż obok siebie, jednocześnie poczuła jego dłoń na swoich włosach, i usłyszała: - Uwielbiam cię, moja piękna... - Macza uśmiechnęła się do niego, ale nic nie powiedziała. Pomyślała tylko, że jest naprawdę szczęśliwa, bowiem, jak sama mogła to w końcu zobaczyć i poczuć, wszystko zakończyło się dzisiaj nie tylko dla niej, ale i dla Dziewica, bardzo pomyślnie. Dziewic w tym czasie, będąc wyraźnie nie świadom ani sytuacji, ani stanu w jakim znajdowała się Macza, wyszarpnął z kieszeni marynarki dooilskiego palmtopa, i nachylając się nad nią pokazał jej coś jednocześnie na jego ekranie: z za jakiejś ustawionej w centralnym punkcie studia zastawki, tuż przed modlącym się Urszyllem i uśmiechniętym Dziewicem, pojawiła się jakby znikąd najmłodsza, największa, i najgrubsza jednocześnie, to trzeba było jej przyznać, ważyła bowiem ponad 356 kilo żywej wagi, kobieta ekstra klasy i: - Naciśnij guzik!!! - Wrzasnęła prosto w twarz Maczy.

W studio Chudaa 7 panowało istne piekło: wszyscy biegali gdzieś, wszyscy gdzieś telefonowali, i wszyscy naraz, przekrzykując jedni drugich, próbowali się ze sobą jednocześnie jakoś porozumieć. Co chwila jacyś ważni gońcy oraz jeszcze ważniejsi pracownicy innych działów wpadali z jakimiś ekstra przesyłkami, które trzeba było koniecznie natychmiast kwitować, koniecznie natychmiast czytać i koniecznie natychmiast wprowadzać w czyn, fax działał bez jednej przerwy wypluwając jakieś bardzo ważne i wielce znaczące informacje, a na 356-ciu ogromnych, i 144-rech małych monitorach pojawiały się i gasły jakieś obrazy. Pięćdziesiąt maszynistek w pośpiechu przepisywało jakieś natychmiast wszystkim potrzebne dokumenty, a operatorzy działu komputerowego łączyli już od przeszło dwudziestu pięciu minut światłowodowym łączem komputerowym studio Chudaa 7, z innymi, 337-ma zagranicznymi studiami, przekazującymi program *Huistru* na żywo. Na razie jednak bezskutecznie. Na centralnym miejscu, nad monitorami, naprzeciw pulpitu reżyserskiego, tuż przed, i tuż nad skórzanym fotelem ze złotym napisem Reżyser, wisiał elektronowy zegar sterowany sygnałem radiowym międzynarodowej korporacji czasowej, która jako jedyna w tym miejscu świata posiadała czasowy monopol, sterując, jak sama to orzekała, międzyludzkim czasem z dokładnością do 1/879000 sec na 1000000 lat, co było w jej własnych oczach, a, i w oczach spragnionych postępu ludzi, osiągnięciem wręcz przełomowym. W tej chwili zegar pokazywał dokładnie 19 godzinę, 56 minutę 7 sekundę i jej 000089 część, do rozpoczęcia programu zostało więc jeszcze nie całe cztery minuty, a dokładnie za dwie minuty rozpoczynano odliczanie kamdałnu.

Huistru posiadało największą oglądalność w historii nowożytnej telewizji, o co walczyło co prawda zaciekle ze wszystkimi innymi telewizyjnymi studiami przez ostatnie 47 lat, niewyobrażalne wręcz 3,999 miliardów widzów w stu trzydziestu siedmiu krajach, było więc jednocześnie nie tylko najbardziej kasowym programem wszechczasów, ale i najdroższą produkcją telewizji. Jego prezenterką oraz koautorką, była Mirka Smirnow, najmłodsza, największa, i najgrubsza jednocześnie, to trzeba było jej przyznać, ważyła bowiem ponad 356 kilo żywej wagi, kobieta ekstra klasy wspaniałego

sukcesu multimediów. W ogromnej sali ustawiano jeszcze jakieś cyfrowe kamery, przestawiano reflektory i ukrywano gdzieś za pulpitami zwoje kabli, a zaproszeni telewidzowie, a był to jedyny program tego rodzaju, do którego nie wybierano, ani nie zapraszano specjalnych klakierów - tu prawie każdy mógł przyjść i, o ile znalazł sobie miejsce, zawsze mógł wziąć czynny udział w programie, zajmowali właśnie swoje miejsca. Uczestników Huistru nie przygotowywano też w żaden sposób do tematów, ani do pożądanych odpowiedzi. Mogli sobie niewątpliwie obejrzeć, w zaciszu domowym oczywiście, wszystkie poprzednie popisy Mirki i jej wybrańców, ale to było naprawdę wszystko, co mogli zrobić. Mogli co prawda ze strachu przed Mirką, zażyć też garściami najnowszych pigułek uspokajających Magnolia znanej niemieckiej firmy farmaceutycznej Bajer, ale tuż przed programem, i to na oczach miliardów widzów, sprawdzano ich zawartość krwi podręcznym komputerem Langnera, który wszystkim widzom, we wszystkich tych krajach jednocześnie, wyświetlał bezpośrednio na ekranach telewizorów jej zawartość, ze szczególnym uwzględnieniem wszystkich rodzajów metabolitów, a w trakcie programu, przekazywał co trzydzieści dziewięć sekund stan i poziom ich adrenaliny, tak, że nikt nie mógł się w żaden sposób ani ukryć, ani się też wymigać spod ostrzału ze wszystkich dział. A strzelano celnie. Gdzieś przed rokiem, jeden z najbardziej odważnych Dooilskich polityków, przy oglądalności półtora miliarda, zaproszony przez Mirkę do udziału w jej Huistru, dostał w studio zawału serca, a po przewiezieniu go do kliniki rządowej, zmarł. Nie przeszkodziło to jednak w niczym ani Mirce Smirnow w robieniu zawrotnej kariery, ani nie obniżyło oglądalności. Było wręcz odwrotnie. Jej punkty wzrosły jeszcze bardziej w rankingu najlepiej zarabiających i najbardziej popularnych kobiet świata, a oglądalność wzrosła do tego stopnia, że przekroczono po raz pierwszy magiczną liczbę trzech miliardów widzów jednocześnie. Mirka Smirnow słynęła z ostrego usposobienia i ostrego języka, a sama, posiadając same rewolucyjne przekonania, które zresztą zmieniała równie często jak rękawiczki, bo jak sama twierdziła: Ist der Ruf erst ruiniert lebt man weiter ungeniert - co można byłoby swobodnie przetłumaczyć na: dopiero po całkowitym zrujnowaniu sobie opinii, można żyć dalej nie żenująco, nie bała się żadnych konfrontacji, ani żadnych tematów tabu, które tak przeraźliwie odstraszały innych. Większość pomniejszych, a, i ci najwięksi producenci i reżyserzy bojąc się strasznie nawet najmniejszej wpadki, chociażby najmniejszego cienia pomówienia lub ośmieszenia, nie angażowali się sami, ani swojego kapitału, w tak karkoło-

mnych ich zdaniem, przedsięwzięciach. Podobnie do tematu podchodzili też liczni, potencjalni, często nawet bardzo ciekawi, odważni i otwarci uczestnicy Toka Szoka, którzy z kolei obawiając się ruiny swojej dobrej opinii, oraz potencjalnej utraty wszelkich profitów z ruiny tej dla nich wypływających, wykręcali się jak tylko mogli z udziału w tego typu programach, a Mirki Smirnow, i jej znakomitego reżysera, jednocześnie też koproducenta i kokreatora Huistru, Rewi Anotsa, jedynego w swoim rodzaju mistrza multimediów, bali się jak ognia. Rewi Antos był nie tylko urodzonym oszołomem, ale jednocześnie też wielkim człowiekiem, wielkim myślicielem i wielkim artystą. Do tego starał się być, może na przekor publicznej opinii o ludziach telewizyjnego molocha, człowiekiem honoru i człowiekiem prawdy, w tym honoru przez duże Ha, i prawdy również przez duże Pe. Przede wszystkim jednak, Rewi Antos był człowiekiem miłującym wszelki prawdziwy artyzm, i to aż do bolącej przesady i aroganckiej wręcz prowokacji. Ludzie biznesu i kultury, a nawet dziennikarze i krytycy, często porównywali tę parę do wysłanników samych piekieł, często też pozywali ich razem, często też z osobna, do wszelkiego rodzaju sądów, pod absurdalnie idiotycznymi zarzutami szerzenia kłamstwa, manipulowania, nakłaniania i gloryfikowania nagiej przemocy i nienawiści, zachęcającej i pobudzającej młode i niedoświadczone jeszcze życiowo pokolenie, a i tych starszych również, do stosowania jej na co dzień, w ich płaskim, nijakim, szaro brudnym, miejsko betonowym życiu. Nie posiadając za grosz mądrości, moralności, ani wyrzutów sumienia, udawali, że wierzą w sprawiedliwość opłacanych przez nich samych, skorumpowanych urzędników sądowych. Ich własna hipokryzja, zakłamanie i kołtuństwo, odkrywane z taką pasją przez Mirkę i Rewiego, z równie wielką pasją było przez nich samych skrzętnie ukrywane, bowiem będąc słabeuszami charakteru hołdowali przekonaniu, że najlepiej działać jest z ukrycia!

Cztery miliardy ludzi jednak, to była siła nie tylko fizyczna. I nie tylko finansowa. Mirka nie musiała się więc za bardzo przejmować podobnymi atakami, nawet, jeżeli rzeczywiście byłyby one naprawdę poważne, dopóki oczywiście nie użyto by w stosunku do niej innych, bardziej nowoczesnych środków przymusu. Poza tym u Dooila każdy miał już na szczęście swojego klona. I to od dawna. Macza, jako nadrzędna siła sprawczo wykonawcza posiadała ich potężny arsenał, i nikt poza nią samą nie wiedział - chyba, że był to Wielki - ile jej klonów w danym momencie pełni służbowe funkcje. Wszyscy praco-

wnicy Chudaa 7 mieli po jednym klonie, a Mirka i Rewi, ze względu na to, że ich wszyscy znali, podobno po trzy. Klonowaniem zajmowano się u Dooila już od niepamiętnych czasów, ale robiono to dotychczas w absolutnej tajemnicy. Teraz, po oficjalnym sklonowaniu jednego z najznakomitszych jego propagatorów, prof. dr Krzysztofa won Wściba, każdy mógł za okrągłe trzy miliony Euro kupić sobie swojego. Tak też na najwyższych szczeblach ludzkiej hierarchii nawet groźby wyjątkowo sprytnego przymuszenia, nie musiały odnosić w tych czasach spodziewanych rezultatów. Wszystko zmieniało się tak szybko...

Do rozpoczęcia programu zostały jeszcze dokładnie trzy minuty i czternaście sekund, zapinano więc wszystko na ostatnie guziki. Dzisiejszymi gośćmi - uczestnikami programu - byli: apostoł Djabyłelicy, piewca i obrońca idei Przemocy i Nienawiści, przedstawiciel najprężniejszej organizacji politycznej scalonego świata - Dooila, która w całych 99% opłacała cały ten program, na dodatek transmitując go jeszcze z własnego telewizyjnego studia. Studio to bowiem było jednym z najsłynniejszych i najbogatszych studiów świata, a wyposażone w najnowocześniejszą obecnie technikę telewizji cyfrowej, i możliwości z niej płynące, było nie do pokonania. Pomimo, że Mirki bano się jak ognia, dostawała dziennie wiele listów z poważnymi propozycjami zmiany swoich pracodawców, lecz Mirka nie planowała jednak żadnej zmiany. Nie byłoby to zresztą takie proste, bowiem oficjalnie, to ona i jej partner Rewi, byli właścicielami stacji, producentami programów tu produkowanych oraz autorami wszystkich pomysłów tu z tak wielkim zaangażowaniem realizowanych. Dooila nie występowała w żadnych dokumentach, nie kontrolowała oficjalnie żadnych programów, oficjalnie nie było cenzury, ani żadnej innej formy manipulacji. Wszyscy pracowali dobrowolnie, a cała rzesza chętnych, czekała na prawie każde stanowisko w kilometrowych kolejkach. Kolejki te tylko się wydłużały i wydłużały: bezrobocie w tych czasach było świadomie zaplanowaną ceną dobrobytu: jedni pływali w wannach wypełnionych kozim mlekiem i szampanem, inni zdychali z głodu. Jedynym łącznikiem z Dooilą był mały, niepozorny baner reklamowy. Najczęściej programy tu realizowane brały najczęściej pod ostrzał właśnie najwyżej postawionych współpracowników samego Dooila, tak też baner ten kojarzył się raczej wszystkim z prowokacją i najzajadlejszą krytyką, a nie z cichą, dyskretną i zaangażowaną we wszystkich wirtualnych wymiarach, i na każdej wirtualnej płaszczyźnie, inwigilacyjno manipulacyjną grą.

I nawet sam Machiavelli, ojciec wszelkiej politycznej nieprawości, nie potrafiłby tego ani lepiej zaplanować, ani lepiej zorganizować, ani też lepiej wykonać. To było naprawdę prawdziwe mistrzostwo. I niewielu było takich, którzy ośmieliliby się dowieść tej zamaskowanej nieprawości, a nawet jeżeli by się i tacy znaleźli, to siedzieli cicho nie wychylając nosa zza drzwi, bo mogliby go nagle stracić, a co gorsza, wyśmiano by ich, i nikt i nigdzie by im i tak, w to ich idiotyczne bajdurzenie, nie uwierzył. Ludzie poddani hipnotycznemu działaniu multimediów nie wiedzieli wiele ponad to, co mogli obejrzeć w telewizji, usłyszeć od znajomych, lub przeczytać w gazetach. Rozmowy toczyły się przeważnie o tym, kto?!, co?!, i w jakim?! programie coś powiedział lub pokazał, w jakiej gazecie było to, lub tamto, lub jakim lakierem pomalowano czyjeś auto. Nikt nie miał czasu, ani ochoty na wyszukiwanie lub\oraz sprawdzanie informacji, ani też takich możliwości. Internet przypominał już od dawna kosz na śmiecie, lub nawet niezłych rozmiarów wysypisko, a codzienna bieganina zabierała większości ludzi prawie cały czas, i to już od samego rana, najczęściej też, aż do późnych godzin wieczornych, a o dziewiętnastej....?! O dziewiętnastej był dziennik, potem oczekiwana Toka Szoka, no i spanie, i tak wyglądały te ludzkie dni, w tych wspaniałych demokratycznych czasach dwudziestego pierwszego wieku po JoshUi.

Do rozpoczęcia programu pozostały jeszcze dokładnie dwie minuty, a od dwóch sekund, odliczano już kamdałn. Uruchomiono również zdalne sczytywacze opinii - każdy z telewidzów miał wmontowany w swojego pilota automatyczny system nawigacji. Po naciśnięciu zielonego guzika uruchamiał automatyczne połączenie ze studiem Chudaa 7 włączając tym samym kamerę zainstalowaną w prawym górnym rogu jego kineskopu, normalnie, oficjalnie, niewidoczną i nie działającą. Kamera ta zbierała swoim autofocusem obraz sprzed całego telewizora, przekazując go specjalnemu programowi komputerowemu, sterującemu całym tym programem, i to we wszystkich tych stu trzydziestu siedmiu krajach, i w ponad trzech miliardach połączeń. Każdy mógł włączyć się na żywo, i to w czasie rzeczywistym w Toka Szoka, a gdy dostał wolny dostęp, mógł zadawać pytania, a nawet wyrażać opinie na temat uczestników i ich najnowszych wypowiedzi. Poza tym każdy miał obowiązek, co pięć minut, podawać swoje TAK, i swoje NIE każdemu z uczestników, tak, aby wszyscy, i to wszędzie naraz, wiedzieli na bieżąco jak sprawy się mają. Zabawa była wyśmienita. A kasa Toka Szoka jeszcze bardziej.

Szacowano ją, bo tak naprawdę to tylko Many Bank wiedział, kto, ile, i jakich walorów posiada, na jednorazowe wpływy przekraczające 10^{13} ECU w trakcie, i 10^{22} po każdym programie. Toka Szoka była programem płatnym, nie przeszkadzało to jednak nikomu. Do dobrego tonu należało teraz posiadanie w domu płatnej przystawki cyfrowej i dodatkowo, równie ekstra opłacanej Chudaa 7 Dygi, umożliwiającej udział na żywo w prawie każdym programie wyprodukowanym przez Dooila. W to, że przystawki te działały we wszystkich kierunkach 24 godziny bez przerwy, nawet po ich wyłączeniu, tak naprawdę nikt nie wierzył. Poza tym, wszystkim było to absolutnie obojętne, bowiem jak śpiewała słynna piosenkarka, często umilająca trudne pasaże Toka Szoka swymi śpiewami: najważniejsze, że kasa się zgadza - i tak też wszyscy myśleli. Co każde dwanaście minut więc przerywano program najlepiej płatnymi reklamami, które potrafiły trwać jednorazowo nawet 16 minut i 59 sekund, magicznej cyfry 17-stu, nie przekraczano nigdy - to było jedyne tabu tej stacji i tego programu. I tak było właśnie dobrze. A nawet wspaniale.

Drugim uczestnikiem dzisiejszego programu miał być apostoł Thenahå, Urszyll z Zamiłowic, który jako znany wszem i wobec piewca i obrońca Miłości i Dobroci, był zagorzałym przeciwnikiem apostoła Djabyłelicy i zwolennika Przemocy, Maryłeja, lecz krążyły słuchy, że podkochiwał się w Maczy, i że miał nawet z nią dzieci - obsada programu była więc dobrana znakomicie, a nawet lepiej - po prostu szatańsko. Mirka spodziewała się, że dzisiaj przekroczy następną magiczną liczbę czterech miliardów dwustu pięćdziesięciu milionów stu tysięcy dziewięciuset dziewięćdziesięciu dziewięciu telewidzów, w jednorazowym i jednoczesnym oglądaniu jej programu.

Do rozpoczęcia programu zostały jeszcze tylko dwadzieścia trzy sekundy. Wszystkie światła zgasły, Rewi zasiadł w swoim fotelu, Mirka stanęła tuż za wejściem określonym umowną skullpturą w centralnej części sali transmisyjnej. Dziewic uśmiechnął się, zaaplikował sobie kolejnego drinka i zapalił kolejnego dawidowa prędziutko poprawiając jednocześnie swoje sztuczne, małe czarne wąsiki. Urszyll z Zamiłowic poprawił swoje sterczące włosy, przepłukał usta wodą mineralną Źródełko z sokiem wieloowocowym, a goście na widowni wstrzymali oddech. Na ekranach pojawiła się dziewiątka, potem ósemka, a gdy cyfry doszły do jedynki, wszyscy usłyszeli miękki lecz stanowczy jednocześnie głos reżysera: - POSZŁA!!! - I natychmiast potem: - Niech będzie światłość!!! - Rozkaz Mirki wyskakującej zza

zastawki. I światłość nastała naprawdę: nad całą salą transmisyjną rozjarzyły się tysiące lamp o takim natężeniu, że wszyscy, i goście, i uczestniczy, a i wszyscy realizatorzy wstrzymali oddech w zachwycie: - Jezu... - Dało się słyszeć tylko szept oniemiałych z wrażenia i oślepionych lampami, ludzi. - Witam Państwa - Mirka nie pozwoliła ochłonąć nikomu. Tempo było bardzo ważną sprawą, i decydowało najczęściej o całkowitej porażce, lub całkowitym i bezwzględnym sukcesie programów typu Toka Szoka. - Witam Państwa, w naszym codziennym programie Huistru. Naszymi gośćmi, jak już Państwo to pewnie wiecie, są dzisiaj - tu podeszła do Urszylla z Zamiłowic - Pan Urszyll z Zamiłowic, jak sam to o sobie twierdzi, apostoł Thenahå, znany nam wszystkim obrońca Miłości i Dobroci, oraz - tu podeszła do Maryłeja Dziewica - Pan Maryłej Dziewic, jak niektórzy twierdzą, apostoł Djabyłelicy, prawa ręka samego Dżadży Wielkiego, obrońca tak zwanej Przemocy, i tak zwanego Zła. Obaj uczestnicy programu prezentowali się wspaniale: Maryłej miał na sobie kostium dziewiętnastowiecznego atlety, i kazał przykleić sobie malutkie wąsiki, a Urszyll z Zamiłowic występował dzisiaj w białej, przetkanej złotem chlamidzie pustynnej, każdy z nich więc, wyglądał co najmniej, jeżeli nie jak sam Bóg Adonis, to przynajmniej jak wytrwały wojownik przyzwyczajony do trudów każdej walki, i w każdych warunkach: dobrze wyszkolony i dobrze przygotowany.

Pierwsze pięć osób, ktokolwiek z telewidzów, lub z gości na widowni, którzy trafnie określili, który z nich jest prawdziwy, otrzymywało dożywotnią rentę w wysokości dwukrotnie wyższej niż średnia światowa zunifikowanego świata. Normalnie jeden z uczestników był zawsze wirtualną, holograficzną kopią swojego oryginału, - dzisiaj było wyjątkowo inaczej, ale nikt, zgodnie z późniejszymi zeznaniami, nie potrafił tego „dlaczego" rozsądnie wytłumaczyć. Na sali i w domach telewidzów zakotłowało się przy telefonach. Wszyscy zawsze uzyskiwali natychmiastowe połączenie z Dooilą, ale potem musieli czekać czasami całymi godzinami na zgłoszenie odpowiedniego działu w Chudaa 7. Zawsze też wrzało wszędzie w tym czasie - Co z wygraną?! - Denerwowali się ludzie, i czekali. Za minutę połączenia płacili najczęściej stukrotną stawkę standardowego połączenia telefonicznego, ale wygrana była tak zachęcająca, że ludzie nie pamiętali o tym, albo po prostu nie chcieli pamiętać. Dzwonili wszyscy: i duzi, i mali. Ludzi trzeba było doprowadzać do palmy, wtedy angażowali się we wszystko ulegając dyskretnemu urokowi manipulacji. Huistru?! Gdzie leży prawda?! I czy nie pozbawiono ich przypa-

dkiem ich ulubionej wygranej a, i nieprzemijającym ich marzeniom o niej?! To był prawdziwy dynamit! Rewi był mistrzem, choć w tym przypadku, to nie on to wymyślił. Macza już dawno wpadła na ten pomysł, a teraz Rewi wraz z Mirką tylko go realizowali w czasie rzeczywistym, rozpalając ogień wielkich pożądań i wielkich nadziei w milionach serc.

- Co z wygraną?! - Wszyscy na sali widowiskowej trzymali telefony komórkowe przy uszach i czekali na zgłoszenie się działu nagród. Mirka jakby nie słysząc w ogóle tego wrzasku, przedstawiała właśnie dzisiejszy zespół najważniejszych realizatorów, a potem przeszła do prezentacji zespołu rockowego, który miał im wszystkim w dzisiejszym programie przygrywać. A był to zespół pod każdym względem wyjątkowy, i to nie tylko z powodu muzyki, którą sami komponowali i wykonywali, ale przede wszystkim z powodu tekstów ich piosenek oraz całości artystycznej oprawy: światła, obrazów i dźwięku. Teraz jednak wszystko utonęło w tym jednym pytaniu: Co z wygraną?! - Co z wygraną?! - Powtórzyła Mirka. - A co ma być?! Tych pierwszych pięciu śmiałków, którzy odgadną prawidłowo dzisiejszego Huistru, otrzyma obiecaną nagrodę. Dożywotnio wypłacaną Dooilską rentę, przekraczająca dwukrotnie średnie zarobki miesięczne ZUS-u. Jak widzę - tu Mirka rozejrzała się wymownie po sali - właśnie dzwonicie. To świetnie! A ci co jeszcze się wahają, niech Się biorą do roboty! Już czas! No i nie zapomnijcie... o... wciśnięciu zielonego guzika....!!! - I tu Mirka roześmiała się radośnie, a robiła to naprawdę uwodzicielsko. Każdy kto na nią patrzył miał wrażenie, jak by to właśnie jego obdarzała uśmiechem, dodając mu otuchy, i jednocześnie zachęcając go tym samym do żywego udziału w programie. A teraz.... - Antyreklama.

Często podczas Toka Szoka pokazywano tak zwane antyreklamy. Było to czyste szaleństwo: przeciwieństwo prawdziwych reklam, paskudztwa, których normalnie nikt, i to nigdzie, pod karą ciężkich kar pieniężnych, a, i pozbawienia wolności do lat stu dwudziestu, nie mógł pokazywać, ani zaprezentować w jakiejkolwiek innej formie, bo godziły one, jak ładnie ujmowało to prawo wolnego rynku, w interes własny antyreklamowanej firmy. To - czy produkt był rzeczywiście godzien polecenia, czy nie był to przypadkiem jakiś nic nie warty, ostatni bzdet w złotym pudełeczku, a nawet często, co zdarzało się obecnie coraz częściej, jakaś czysto i precyzyjnie wysublimowana trucizna, przypominająca z wyglądu coś zupełnie innego,

coś dobrze wszystkim znanego, coś wartościowego i smacznego, w rzeczywistości jednak produkt zatruwający, albo uzależniający, nic niewarty, niesmaczny, i niegodny polecenia nikomu, który natychmiast powinien zostać usunięty z handlu, nikogo z Najwyższej Rady Producentów nie interesowało. A może było nawet jeszcze gorzej. Może reklamowano go celowo, aby nas uzależnić lub zatruć?! Na zdrowy rozum nie powinien on zostać w ogóle, i to przez żadną z firm, wyprodukowany, ale to, prawodawca też jakoś przemilczywał - pewnie nie czerpał żadnych profitów z zajmowania się podobnymi sprawami. Toka Szoka Mirki Smirnow była jedynym programem na świecie, w którym, ale tylko czasami, pokazywano takie właśnie przejawy twórczości, a dzisiaj, podczas tego właśnie Szoka, był właśnie taki wyjątkowy czas. Ekrany telewizorów we wszystkich tych stu trzydziestu siedmiu państwach, w ponad trzech miliardach dwustu milionach domostw, wypełnił dziwny obraz: jakiś szary człowiek leżał pod jakimś słupem reklamowym jakiegoś wysublimowanego miasta. Właśnie padał deszcz. Człowiek ten nie leżał właściwie, ani też nie siedział, tkwił raczej miedzy jednym, a drugim, i było widać to wyraźnie, że jest zalany w trupa. Spodnie miał pobrudzone własnymi rzygowinami, ale jako, że obraz realizowano w piezo chromatycznym brązie, nie raziło to tak bardzo. Wyraźnie też mokry był od pasa w dół, i to nie tylko z powodu deszczu - rozporek miał rozpięty - ale obnażony nie był. W tle tego obrazu, natarczywie, nieustępująco dzwonił telefon. Mężczyzna po paru nieudanych próbach odnalezienia telefonu komórkowego, odnalazł go wreszcie, z wielkim wysiłkiem i jeszcze większym trudem, po dobrych dwudziestu sekundach zmagań, wreszcie wyszarpał go ze spodni, a potem otworzył i uruchomił. - Tu kurwa Stasik - dał się słyszeć jakiś męski, zachrypnięty głos. Człowiek leżący pod słupem jak by zbaraniał jeszcze bardziej, i taki jakiś zupełnie nieobecny, i niepojmujący niczego, wyczkał w słuchawkę: - Kurwa, czego kurwa, dzwonisz kurwa, do mnie, kurwa?! - I zwalił się nieprzytomny przygniatając telefon swoim potężnym, teraz jednak bezwładnym ciałem. Na ekranach pojawił się napis: ARA GMS - tworzymy nowy świat w kontaktach międzyludzkich. I ekran zgasł. Potem reklamowano... No właśnie! Nie reklamowano, a anty reklamowano wspaniałe, i od pewnego czasu wypełniające półki wszystkich super sklepów, które teraz nazywały się Szopami, jedzenie mikrofalowe ze wspaniałymi, atomowymi dodatkami. I czego tam nie było: i glutaminiany, i fluoroidy, i benzeny, i kwasy, i rozpuszczalniki, i utrwalacze, i farby, i zapachy, i spulchniacze... Ekran wypełnił wspaniały, olbrzymi, srający tyłek, a był to

obraz zrealizowany techniką cyfrową, więc jego wyostrzone aż do bólu realia wzburzyły kiszkami niejednego z telewidzów, który w przyspieszonym tempie musiał opuścić ciepły fotel i udać się w kierunku toalety. Po dobrych dziesięciu sekundach kamera rozszerzyła nagle oko swojego wizjera, a widzom ukazała się super nowoczesna hala produkcyjna w całej jej okazałości. To co wysrywał tyłek, płynęło długimi, finezyjnymi taśmociągami, aby na końcu, zapakowane w przecudne, złote pudełeczko, znaleźć się na naszym świątecznym i wielce odświętnym stole. A na tym napis: I to też da się zjeść, a na górze znany wszystkim znak firmy ORAZOOPL, produkującej zatrute glutaminianami sodu, kobaltem, rentgenem i falą mikrofalową produkty mleczne, mączne i mięsne, czyli wszystko. Potem była pora na napoje : czwórka małych dzieciaków sikała do czterech butelek po Kokakoli, potem przynieśli je do domu swojej koleżanki, a potem wszyscy zapijali się nią popijając smaczne i radosne party urodzinowe, a wielki napis na ekranie głosił: I to też da się wypić!, a potem ekrany wypełniła wielka rura wydechowa najnowszego samochodowego modelu BY7, kamera wzniosła się i po horyzont stały wszystkie znane, i wszystkie nieznane marki świetlistych rumaków autostrad, a z ich rur waliły gazy tak wielkie, że po piętnastu sekundach, nie było już niczego widać, poza samym gazem, a napis głosił: I tym też da się oddychać! Na zakończenie pierwszego bloku reklamowego pokazano najnowszą antyreklamę wyprodukowaną właśnie w Chudaa 7 przez Rewi Anotsa: z wysokości odrzutowej widać było malutki punkcik, a kamera spadając błyskawicznie z przyspieszeniem grawitacyjnym wyostrzała i powiększała jednocześnie obraz: miejsce otoczone zasiekami z drutów kolczastych i betonowych murów, wieże strzelnicze, spychacze spychające martwe ciała do olbrzymich dołów, umierających ludzi na ich śmierdzących i zawszonych pryczach, oprawców w bardziej współczesnych mundurach, parę detali: tu oderwana ręka, tam odcięta głowa, jakieś ludzkie resztki, piece krematoryjne z palącymi się w nich zwłokami, a na tym napis, tuż pod znakiem firmowym największej firmy turystycznej Metropolis: Nudzi ci się?! Skorzystaj z naszej najnowszej oferty: Jugosławia, Czeczenia i Afganistan zapraszają!!! Nowość!!!: Strzelanki do terrorystów w Iraku... I ekrany zgasły.

Druga Macza w tym czasie siedziała w małym pomieszczeniu tuż obok studia. Na wielkim panoramicznym ekranie 4-3Dc8 śledziła cały program. Przed sobą miała dwa trynitronowe monitory sprzężone z cyfrowym komputerem Max 3, najnowszym osiągnięciem te-

chniki multimedialnej. Po jej prawej stronie siedział jej zaufany operator, najlepszy sztukmistrz multimedialnej sztuki manipulacyjnej, sam Snajper iX, nie tylko genialny wynalazca, ale i genialny praktyk multimedialnych audycji na żywo. Sygnał telewizyjny ze wszystkich kamer zbierany był przez komputer miksujący w reżyserce Rewia, ale tuż za nim, i tuż przed wytrasmitowaniem go w przestrzeń, rozdzielał się na dwie niezależne wiązki strumieni info: jeden wychodził na zewnątrz lecąc prostą droga do gabinetu Wielkiego, drugi przechodził jeszcze przez komputer Snajpera. W ten sposób uzyskiwano możliwość Nadmożliwości, nieograniczoną wręcz możliwość manipulacji. Przeważnie nakładano jedną wiązkę na drugą, mieszano je, wycinano fragmenty, wstawiano dowolne wstawki, a wszy- stko to w czasie rzeczywistym, bez żadnych opóźnień. Nawet całkowite zagłuszanie oryginału, jego wcześniej stworzoną podróbką, było możliwe, i to do tego z taką precyzją, że nikt nie mógł tego ani wyśledzić, ani nawet pomyśleć, czy też, nie daj boże, wpaść na ten pomysł, że system taki istnieje już, i że jest już do tego od dawna wykorzystywany przez Dooila, i to we wszystkich multimedialnych produkcjach wszelkiego typu, wszelkiego rodzaju, i na wszystkich kanałach. Była to jedna z tych niewielu sprzedanych ludziom obcych technologii, o których nie mówiło się nigdy i nigdzie, poza tajemniczymi gabinetami Dooila. I dzisiaj Snajper miksował program pod dyktando drugiej Maczy, wstawiał wcześniej nagrane wypowiedzi, zamieniał te niekorzystne tak, aby w ten prosty sposób zniszczyć i całkowicie pogrążyć Urszylla z Zamiłowic, który to od pewnego czasu dawał się Dooili niemiło we znaki. I wszystko szło znakomicie, aż do pewnego momentu, w którym Macza i Snajper stracili zupełnie panowanie nad sytuacją.

Mirka Smirnow, gdy tylko jej obraz wypełnił ekrany zadała pierwsze pytanie Dziewicowi: - Dlaczego Przemoc?! - Uczestnicy mieli całe cztery sekundy na rozpoczęcie odpowiedzi, w przeciwnym wypadku komputer sterujący uruchamiał natychmiast alarm, dając wszystkim znać, że z uczestnikiem jest coś nie tak, oraz aplikował mu mały wstrząs elektryczny, ale o tak dobranej amplitudzie i natężeniu prądu, że nad wyraz bolesny, jako zachętę do przyspieszenia tempa oraz miłe zaproszenie do udzielenia niezwłocznej odpowiedzi, ale przede wszystkim, ku uciesze wszystkich widzów i wszystkich obserwatorów razem wziętych. Dziewic roześmiał się rozbrajająco i głośno powiedział: - Jaka Przemoc, Mirko?! - I jeszcze raz powtórzył: - Jaka przemoc, ludzie?! Czy wyście powariowali?! - Aby po chwili pły-

nnie kontynuować: - Gdyby nie Moc, która jest w Pani, nie byłoby Pani tutaj, Mirko. Gdyby nie Moc, nie byłoby tu nas wszystkich. Gdyby nie Moc, nie byłoby Chudaa 7, ani Toka Szoka, ani Huistru, ani mnie, ani was, ani nawet Urszylla z Zamiłowic, bo proszę sobie wyobrazić, gdzie byśmy byli wszyscy, gdyby tylko sentymenty i jakieś głupie mrzonki o czymś, czego w rzeczywistości w ogóle nie ma, wypełniały nam nasze życie?! Bo co by to z nami było, Mirko, gdyby to nieistniejąca Miłość pchała nas ku nowemu i nieznanemu przez cały ten czas?! Gdzie byłby nasza umiłowana przez nas demokracja?! Nasza wolność i nasza niezależność?! Proszę nie zapominajcie, że takie systemy jak system nazistowski, czy też pozorny sowiecki komunizm, powstały zbudowane właśnie na naszych sentymentach i na naszych czczych mrzonkach. Gdyby już wtedy ludzie wiedzieli to, co wiedzą dzisiaj, że tylko prawdziwa czysta Moc się liczy, i że to waśnie ona decyduje o wszystkim, ilu moglibyśmy do dzisiaj zapobiec niepotrzebnym katastrofom, i ilu ofiarom?! Niestety, nie zapobiegliśmy im.... - Dziewic wstał. W Huistru wszystko było dozwolone, każde zachowanie i każde chwyty. - Chcę w tym miejscu uczcić minutą ciszy wszystkich tych pomordowanych przez te ostatnie stulecia w imieniu... - Zawiesił na moment głos, i uniósł ręce wysoko w górę. - W imieniu MOCY!!! W imieniu Mocy właśnie! - Mirka zdębiała. Macza z zadowoleniem pokiwała głową. Sala poderwała się jak jeden mąż, a jak obwieścił to właśnie komputer sczytujący, razem z nimi poderwało się ponad trzy miliardy sześćset milionów ludzi na całym świecie, naciskając jednocześnie TAK Dziewicowi. Przez minutę trwało absolutne milczenie. A potem światem wstrząsnął wrzask: - Niech żyje Moc!!! I na pohybel złudnej Miłości!!!

Teraz Urszyll z Zamiłowic dostał szansę: - Dlaczego Miłość? - Zapytała Mirka. Upłynęły całe cztery sekundy ciszy, po czym Urszyll z Zamiłowic wstał. - Przede wszystkim... - Zaczął. - Chciałbym błogosławić tę małą, chorą dziewczynkę, która razem ze swoją matką siedzi w trzysta siedemnastym rzędzie, z lewej mojej strony. - Macza dała znak Snajperowi. Zawsze w takich momentach wpadała w sekundowy, niekontrolowany, intuicyjny trans, w którym śledziła wypadki wydarzające się w przyszłości. - Będzie ją błogosławił. Potem nastąpi cud. Tu zrobisz cięcie. Uważaj! - Snajper skupił się nad klawiaturą: miał tylko milisekundy na wprowadzenie koniecznych poprawek. Cudu nie mogło być!!! - Przyjechała tu razem ze swoją mamą, bo ona wierzy w błogosławieństwo Thenahå i jej cudowny, uzdrawiający charakter. - Kamery cicho jak nietoperze poszybowały pod skle-

pieniem sali w kierunku wskazanym przez Urszylla, i za chwilę były już tuż-tuż nad matką i jej unieruchomioną w wózku inwalidzkim malutką córeczką. Dziewczynka od samego już poczęcia cierpiała na to nieuleczalne, jak orzekli lekarze, schorzenie, wywołane pastylkami przeciwciążowymi znanej europejskiej firmy, rozprowadzanymi po całym świecie przez Dooilski wydział medyczny. - A więc, niech się wypełni JEJ wola: W imię ojca i matki, i wszystkich boskich dzieci i duszy świetlistej, amen. - Błogosławieństwo zostało wypowiedziane. I teraz cały świat wpatrzył się w małą schorowaną dziewczynkę, która raczej ze strasznych nerwów, strasznego wręcz wstydu i zażenowania, niż pod działaniem cudu, poruszyła się w wózku. - Cud!!! To cud.... - Wyszeptała matka. Zerwała się, odrzuciła pled skrywający powykręcane, malutkie nóżki dziewczynki, i padła przed nią na kolana. - O Boże....?! - Rozpłakała się. - Cudu nie ma....??????!!!!!!! - Macza odetchnęła z ulgą, a Snajper pozwolił sobie na chwilową dekoncentrację. Cudu nie było. Urszyll z Zamiłowic nie poruszył się jednak. Stał nadal w tym samym miejscu niczego ciągle nie robiąc. Tak jakby zamarł, albo oczekiwał na coś, choć wszyscy to już wiedzieli, bo widzieli to na własne oczy: cudu nie było. - Szarlatan... - Wrzasnął ktoś z sali, a gdy pomruk przeszedł już prawie w grzmot, a publiczność gotowała się właśnie ażeby rzucić się na Urszylla, to właśnie w tej chwili, właśnie w tej, nóżki dziewczynki zaczęły nagle jakby rosnąć, jak gdyby normalnieć, jak gdyby zdrowieć, wydłużać się, prostować, nabierać normalnych ludzkich kształtów. - Jezu...! - Wyszeptała Macza - Snajper rób coś! - Ale Snajper nie mógł już teraz zrobić niczego. Ponowne skoncentrowanie się zabierało mu za dużo czasu. Przegapili taką okazję. - O kurwa....!!!!!! - Zaklęła szpetnie Macza. - To cud!!!! - Krzyknęła przeciągle i donośnie matka dziewczynki. - To cud!!! TO CUD!!!! - Teraz dopiero ludzie jakby oprzytomnieli. Ich nagle wezbrana wielkim wzburzeniem wściekłość uleciała nie wiadomo dokąd, a na jej miejscu pojawiło się ogromne, niespodziewane pragnienie... Komputery sczytujące wariowały: cyfry zmieniały się jak w kalejdoskopie. Dwa miliardy na TAK, dla Urszylla, miliard sto milionów dwieście tysięcy na TAK dla Dziewica. Ludzie zapragnęli nagle, żeby Urszyll z Zamiłowic też ich błogosławił. Dziewczynka stała obok wózka, a właściwie wisiała w ramionach oszalałej z radości matki, a tłum ryczał: - Błogosław nas, błogosław nas!!! - Trzy miliardy trzysta milionów na TAK dla Urszylla, miliard pięćset milionów na TAK dla Dziewica. Mirka dostawała zawrotów głowy. - Cholera - myślała. - Pobiłam rekord! - Urszyll z Zamiłowic jakby się zawahał, a tłum odczuł to wyraźnie. - Błogosław nas,

błogosław nas... - Skandowało pół całego świata ludzkiego na planecie Ziemia, w trzydziestym czwartym układzie planetarnym, zamieszkałym najprawdopodobniej i tu, tak jak i w pozostałych układach, przez równie oszalałe, jak i równie nieobliczalnie zadufane w sobie humanoidy. Urszyll z Zamiłowic, pomimo widocznej niechęci, uniósł dłoń, lecz wahał się ciągle walcząc z czymś wyraźnie. Tłum skandował: - Błogosław nas, błogosław.... - Macza chodziła nerwowo po swoim studio, Mirka zamarła w oczekiwaniu: wyraźnie i ona była pod wrażeniem cudu. Nagle coś przełamało się w Urszyllu, przez salę i przez cały świat przeleciało westchnienie strachu, że jednak może nie będzie ich błogosławił, lecz Urszyll z Zamiłowic powiedział wyraźnie i dobitnie: - Będę wam błogosławił. - A po chwili. - Na kolana!!! - Rozkazał. Wszyscy jak jeden mąż padli na kolana, i ci w sali widowiskowej, i ci za cyfrowymi pulpitami, i ci co oglądali program, nawet Macza poczuła wyraźnie jakąś siłę przytłaczającą ją do podłogi, ale nie uklękła, tylko usiadła. Dziewic też nie klęczał, tylko siedział w swoim fotelu, i jak gdyby nigdy nic ćmił swojego dawidowa, pogrążony w jakiejś zadumie. - W imię ojca, i w imię matki, i wszystkich boskich dzieci, i duszy świetlistej, amen!!! - Błogosławił ich wszystkich czyniąc w powietrzu znak magicznego thenahejskiego, najświętszego krzyża. Po wypowiedzeniu tych ostatnich cudownych słów, wszyscy odetchnęli z wielką ulgą, a Urszyll z Zamiłowic powiedział: - Dlaczego Miłość?! Właśnie dlatego!!! - I usiadł.

- A teraz - Wrzasnęła Mirka: - Reklama. Obraz na telewizorach zgasł na chwilę, a potem zaraz pojawiły się znane wszystkim reklamy. W studio i na sali widowiskowej zapanowała na chwilę cisza, a potem wszyscy rzucili się na łeb na szyje w kierunku Urszylla z Zamiłowic i gdyby nie prężna ochrona, nie wiadomo co by się stało. Zostały jeszcze cztery minuty i szesnaście sekund. Wprawnym porządkowym udało się jednak w dość krótkim czasie jakoś zapanować nad rozhisteryzowanym tłumem. Program w końcu dopiero się rozkręcał. Kolejne pytanie brzmiało: - Gdzie leży prawda?! - I Mirka postawiła je jako pierwszemu, Dziewicowi. Po czterech sekundach zawyły alarmowe syreny, a Maryłej dostał prądowy złoty strzał. Sala i wszyscy telewidzowie zawyli z radości: świat uwielbiał te strzały. To dodawało sprawie tego właśnie jakże jej potrzebnego pieprzyka. Dziewic sapnął ze złości i się poderwał. - Tumany!!! - Wrzasnął. - Barany!!! Macie oczy, a nie widzicie?! Macie mózgi, a nie rozumiecie?! Macie uszy, a nie słyszycie?! Macie serca, a.... - Wyraźnie się zapędził wpadając w zastawioną przez siebie samego pułapkę, ale sprytnie

też z niej i wybrnął. - ...Nie czujecie tej subtelnej różnicy między prawdą, a kłamstwem?! Między iluzją, a r z e c z y w i s t o ś c i ą?! Cuda przeminą, i co pozostanie?! Gdzie będziecie?! Kto was nakarmi?! Kto was nauczy?! Kto ogrzeje wasze mieszkania w zimie?! Kto wyprodukuje, te wszystkie pożądane przez was i tak wam potrzebne produkty?! Kto wami pokieruje?! I kto was ochroni w przypadku obcej inwazji?! Pytam się was, no kto?! - Dziewic spojrzał tryumfalnie po sali, ale nikt się jakoś nie zgłaszał na ochotnika jako pierwszy. - No właśnie - kontynuował Dziewic. - Nie wiecie. I nie będziecie wiedzieć!!! Myślicie, że cudami da się wypełnić wasze i tak puste życie?! Waszą tułaczkę, i te wszystkie wasze pytania ciągle pozostające bez odpowiedzi?! Jeżeli tak, to czemu one ciągle istnieją?! I czemu ciągle brak wam jako takiej pewności?! Czemu rano lecicie do kościołów, w dzień wyzyskujecie się i zabijacie, a wieczorem obżeracie się niewinnie zaszlachtowanymi, waszą wielką miłością pewnie, krwawymi i drgającymi jeszcze ochłapami?! I czemu tak często upijacie się jak świnie?! Czyżby o tym wszystkim decydowała wasza wymarzona przez was, i przez was właśnie upragniona Miłość?! Czy wiecie w ogóle co wy robicie?! Nic nie wiecie, i to jest waszą największą katastrofą!!! - I tu Dziewic usiadł równie nagle jak został przedtem poderwany. I już nic nie dodał.

Ludzie, a było to teraz widać wyraźnie, nie bardzo wiedzieli co z tym począć. Podzielili się dość szybko na dwie wielkie grupy, i wiele przeciwnych, pomniejszych obozów i w nich trwali. Miliard sześćset milionów na TAK dla Dziewica, dwa miliardy dziewięćset milionów na TAK dla Urszylla. Mirka nie czekając na to co zrobią widzowie postawiła to samo pytanie Urszyllowi. Minęły cztery sekundy, ale Urszyll z Zamiłowic milczał. Wszyscy widzieli jak komputer aplikował mu kolejne wstrząsy, lecz on nie reagując na nie zupełnie, po prostu milczał. Nie robił nic, i było to widać wyraźnie, nie zamierzał nic zrobić. Po prostu siedział i milczał. Mirka zaskoczona takim niespodziewanym zachowaniem apostoła Thenahå, na moment straciła głowę, ale zaraz poderwała się i właśnie chciała podbiec do zespołu, gdy naraz Urszyll wstał i powiedział: - Dobrze! - Mirkę zatkało. - Chcecie wiedzieć gdzie leży prawda? Nie ma sprawy. - Mirka rozłożyła ręce i wydęła wargi w geście - z wariatami nigdy nic nie wiadomo. Przez salę przeleciał chichot. - Opowiem wam więc krótką Bajadurę. - Mirka usiadła na kozetce. Dziewic też siedział. - Posłuchajcie: ...Za siedmioma górami i siedmioma morzami żył pewien człowiek, który miał dwóch synów. Jeden z nich, ten starszy, był pięknym i bardzo

mądrym młodzieńcem, potrafiącym ze wszystkiego uczynić rzeczy piękne i dobre. Młodszy natomiast, był całkowitym przeciwieństwem starszego: nie dość, że był brzydki jak noc, to do tego jeszcze był głupi jak but. A przez to, nie nadawał się po prostu do niczego. Tak w każdym bądź razie uważali wszyscy. Patrząc na niego, wzdychali głośno i mówili: - Z tym to będą same kłopoty, a jego ojciec będzie miał z nim jeszcze całkiem niezłą męczarnię! - Kiedy ojciec miał coś ważnego do zrobienia, do załatwienia, lub przyniesienia skądkolwiek, wtedy wysyłał zawsze starszego, bo tylko on się do tego nadawał. Lecz jeżeli chodziło już o zrobienie czegoś nocą, w mrocznych ciemnościach, dla przykładu przejście przez cmentarz, czy poszukanie czegoś w stodole, starszy niezmiennie odpowiadał: - Och, Ojcze! Nie pójdę tam! Za bardzo mnie giemza! - Czasami, kiedy przy wieczornym ogniu opowiadano sobie straszne historie, ludzie często mówili: - Jezu, jak strasznie nas giemza! - Młodszy syn siedząc w kącie kuchni przysłuchiwał się temu wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem, nie mógł jednak nijak pojąć, co też to całe giemzanie miałoby oznaczać. - Mnie nic nie giemza - myślał -więc pewnie musi to być coś wyjątkowego, o czym na razie nie mam najmniejszego pojęcia. - Zdarzyło się iż pewnego dnia i do niego rzekł jego ojciec: - Słuchaj no ty tam w tym kącie. Już niedługo będziesz duży i silny, czas byłyby więc, abyś i ty się czegoś nauczył. - Ech, Ojcze. - Odpowiedział na to młodszy syn z kąta. - Chętnie bym się czegoś nauczył, najchętniej jednak czegoś takiego, o czym nie mam jeszcze najmniejszego pojęcia. Chciałbym więc nauczyć się tego giemzania, jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko temu. - Starszy syn przysłuchując się temu wszystkiemu myślał jednocześnie: - Mój Boże, ależ mam głupiego brata. Jest głupszy od najgłupszego osła. Z niego nie będzie absolutnie nic. Żadnego pożytku. - Ojciec słysząc to, ciężko westchnął, i z wyraźnym wyrzutem powiedział: - Giemzania nauczysz się z pewnością, mój synu, ale na chleb nie zarobisz w ten sposób nigdy! - Niedługo potem odwiedził ich dobry znajomy, kościelny pobliskiego kościoła, któremu ojciec opowiedział o swoim zmartwieniu, i o tym, że z jego młodszego syna nic, a nic nie będzie, bo jest głupi jak but, brzydki jak najczarniejsza noc i nie potrafi do tego zupełnie niczego. - Pomyśl tylko - mówił ojciec do kościelnego - gdy zapytałem go jak chce zarabiać na chleb, powiedział mi, że najchętniej nauczyłby się giemzania! - Jeżeli to wszystko, co ci się w nim nie podoba - odpowiedział na to kościelny - to przygotuj go do drogi. Przyjmę go do siebie na ucznia. - Ojciec uradował się niezmiernie, pomyślał bowiem, że jednak i jego młodszy syn będzie się mógł cze-

goś w końcu nauczyć. Być pomocnikiem kościelnego, to było już coś. I tak chłopak zamieszkał na plebani, i od tej pory dzwonił kościelnym dzwonem. Po paru tygodniach pracy, pewnej nocy, kościelny obudził go o północy, i wysłał na wieżę, jednocześnie w duchu myśląc: - Już ja ciebie nauczę co to znaczy giemzanie! - Sam wymknął się szybko tuż przed nim. Chłopak w połowie drogi na wieżę zobaczył jakąś zwiewną, białą postać na schodach. - Kto tam jest ?! - Krzyknął, lecz postać nie odpowiedziała. Stała milcząca, zupełnie nieruchoma na schodach. - Odpowiedz mi - krzyknął ponownie - albo znikaj, bo tu nie masz raczej nic do roboty po nocy! - Ale przebrany za ducha kościelny, znowu nie odpowiedział. - Odpowiedz, albo zrzucę cię ze schodów! - Krzyknął po raz trzeci chłopak. - Kościelny myśląc, że to tylko takie przechwałki, że przecież każdy przestraszyłby się ducha, stał milcząc nadal. Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi chłopak rzucił się na zjawę i zepchnął ją brutalnie ze schodów, tak, że poleciała, i zniknęła gdzieś w ciemnościach. Sam wszedł spokojnie na wieżę, zadzwonił tak, jak mu przykazał kościelny, po czym wrócił do swojej izby, i położył się bez słowa spać. Kościelna czekając na swojego męża, który od dłuższego już czasu nie wracał, w napadzie strachu obudziła chłopaka pytając: - Nie wiesz przypadkiem gdzie podział się mój mąż ? Poszedł przecież na wieżę tuż przed tobą. - Nie mam pojęcia. - Odpowiedział na to chłopak - Ale na schodach spotkałem jakąś białą, milczącą postać, która nie chciała mi odpowiedzieć, ani ustąpić miejsca, więc zepchnąłem ją w ciemność. Idź i zobacz, może to był twój mąż. - Kościelna zbladła i biała jak prześcieradło pobiegła jak szalona na wieżę. I rzeczywiście. Kościelny leżał ze złamanymi obydwiema nogami na lodowatej kamiennej posadzce w dole schodów bez przytomności. Kobieta z wielkim trudem przeniosła męża do łóżka, i zaraz potem pobiegła do domu Ojca chłopaka. - Twój syn - krzyczała - zepchnął mojego męża ze schodów, tak że połamał obydwie nogi! Zabieraj natychmiast tego osła z naszego domu! Nie mogę i nie chcę na niego już więcej patrzeć! - Ojciec przeraził się nie na żarty, pobiegł po nocy na plebanię, i zabrał swojego syna do domu. Po drodze, rozżalony na dobre, zapytał go jednak: - Cóż to za bezbożnicy namówili cię do tego strasznego czynu, synu ?! - Ojcze - odpowiedział mu na to syn jego. - Posłuchaj, jestem naprawdę niewinny. Trzy razy go prosiłem, żeby mi odpowiedział, albo żeby mnie przepuścił... - Ach, synu - przerywał mu Ojciec. - Z tobą mam tylko same zmartwienia. Idź precz z moich oczu, nie chcę cię już więcej widzieć! - Nie ma sprawy, ojcze. - Odpowiedział mu na to syn. - Poczekajmy tylko do rana, to pójdę precz i może wreszcie nauczę się

tego całego giemzania, tej pięknej sztuki, która na pewno utrzyma mnie przy życiu. - Ucz się synu czego tylko zapragniesz. - Odpowiedział mu na to ojciec sucho. - Masz tu piętnaście talarów, i idź w świat, ale nigdy, nigdzie i nikomu nie mów, skąd pochodzisz, i kto jest twoim ojcem. Pamiętaj!!! - Dobrze Ojcze. - Zgodził się chłopak. - Jeżeli to wszystko, czego ode mnie oczekujesz, rano cię opuszczę. - I tak też się stało. Rano, tuż po świcie, chłopak opuścił dom raz na zawsze. Wyszedł na szeroką drogę przed chatą ciągnącą się aż po horyzont. Idąc nią tam gdzie go oczy niosły, cały czas powtarzał: - Ach, żeby i mnie w końcu pogiemzało! Ach, żeby i mnie w końcu pogiemzało! - Po pewnym czasie spotkał podróżnego, który słysząc co chłopak cały czas powtarza, postanowił mu pomóc. Gdy przechodzili więc obok przydrożnej szubienicy, zatrzymali się, a podróżny powiedział pokazując jednocześnie ręką wiszących: - Usiądź sobie tam w cieniu tych wiszących truposzów i poczekaj spokojnie aż do północy, a na pewno dowiesz się jak to jest, gdy komuś giemza. - Jeżeli jest to takie łatwe, powiedział chłopak, to dam ci za tę radę moje piętnaście talarów, bo nauczę się już dzisiaj tego, czego tak bardzo pragnąłem. Przyjdź po nie do mnie jutro rano. - I chłopak usiadł pod trupami. Ale wieczorem zrobiło się tak zimno, że musiał rozpalić ogień. W środku nocy jednak, ze względu na silny, lodowaty wiatr, ogień z ogniska nie mógł go ogrzać. Współczując dyndającym trupom, chłopak pomyślał sobie, że jeżeli jemu jest tak przeraźliwie zimno, to dopiero tam na górze, musi być zimnica, odwiązał więc wszystkich siedmiu wisielców i położył ich obok ognia. Po jakimś czasie zauważył, że ogień zajmuje ich ubrania, wrzasnął więc na nich: - Jeżeli nie będziecie uważać, to ogień spali wam wasze ubrania! - Ale trupy nie odpowiedziały mu ani jednym słowem. Przestrzegł je więc jeszcze raz: - Jeżeli nie będziecie uważać, to się spalicie, a ja wcale nie chcę się spalić razem z wami, więc uważajcie, bo inaczej powieszę was tam znowu! - Ale trupy jak to trupy, nie reagowały na jego prośby, tak też chłopak powiesił wszystkich znowu na ich poprzednich miejscach. Rano przyszedł podróżny aby odebrać swoje piętnaście talarów, ale kiedy zapytał, czy chłopak dowiedział się jak to jest, gdy komuś giemza, chłopak zaprzeczył. - Niestety, ci głupcy nie powiedzieli mi tego, a do tego jeszcze, popalili sobie swoje ubrania. - Obcy widząc, że nie dostanie pieniędzy, szybko odszedł burcząc niezrozumiale pod nosem: - Nikogo takiego nie spotkałem jeszcze w swoim życiu. - Chłopak też poszedł dalej, cały czas przy tym powtarzając: - Ach żebym i ja poznał w końcu to całe, wspaniałe giemzanie! - Po pewnym czasie nadjechał wóz, a woźnica słysząc głupoty

wygadywane przez chłopaka, zapytał: - Kim jesteś, głupku?! - Lecz chłopak nie wiedział kim był. - A skąd jesteś? - Zapytał woźnica, lecz chłopak nie wiedział tego również - Kto jest twoim ojcem?! - Nie ustępował woźnica. - Tego nie mogę ci powiedzieć. - Odparł na to chłopak. - Ojciec zabronił mi o tym rozmawiać z obcymi. - Woźnica roześmiał się. Machnął ręką i powiedział: - Daj w końcu spokój z tym burczeniem, i chodź ze mną. Postaram się znaleźć nam jakiś nocleg. - Wieczorem zajechali do przydrożnej karczmy. Już w jej drzwiach chłopak wrzasnął na całe gardło: - Ach, żebym i ja w końcu poznał to cholerne giemzanie!! - Karczmarz słysząc te słowa, podszedł do nich śmiejąc się szeroko: - Jeżeli to wszystko czego potrzebujesz, pomogę ci z pewnością. - Ale karczmarzowa, słysząc słowa męża przestraszyła się nie na żarty: - Ach, co za bzdury tu wygadujesz - wrzasnęła - niejeden już postradał życie w zamczysku! Szkoda byłoby małego. - Chłopak jednak wcale nie chciał ustąpić. Cały wieczór łaził za karczmarzem prosząc go, aby ten zdradził mu swoją tajemnicę. - Niedaleko stąd - powiedział mu w końcu karczmarz - stoją ruiny starego zamczyska, w którym każdy, kto chce dowiedzieć się jak to jest, gdy komuś giemza, na pewno może tam tego zakosztować. I nie dość tego! Jeżeli trzy kolejne noce spędzi w zamczysku, to z przyrzeczenia samego króla otrzyma jego najśliczniejszą córkę za żonę, oraz trzecią cześć zakopanych w zamczysku ogromnych skarbów, które od wieków pilnują tam straszne, złe Demony. Już wielu śmiałków próbowało, ale żaden nie wrócił jeszcze z zamczyska! Następnego ranka chłopak wybrał się do króla. Na audiencji, którą natychmiast otrzymał, gdy król dowiedział się tylko o co chodzi, powiedział wprost: - Jeżeli jego wysokość mi pozwoli, chciałbym trzy kolejne noce spędzić w ruinach starego zamczyska, tam gdzie straszne, złe Demony skarbów pilnują. Może tam w końcu dowiem się jak to jest, gdy komuś giemza?! - A jako, iż chłopak od razu przypadł Królowi do gustu, rzekł Król: - Możesz sobie wybrać tylko trzy rzeczy, ale muszą to być rzeczy martwe, nie żywe, które zabierzesz ze sobą. - Chłopak poprosił o ogień, o tokarkę, i o stół snycerski z dużym dłutem. I stało się tak jak poprosił. Wszystkie trzy rzeczy jeszcze za dnia królewska służba przeniosła do zamku. Pod wieczór chłopak rozpalił wielki ogień, usiadł na tokarce i krzyknął: - Ach, może w końcu poznam to tajemnicze giemzanie! - Ale nic się nie wydarzyło. Dopiero koło północy, gdy podrzucał właśnie do ognia parę suchych patyków, usłyszał naraz jakieś przeraźliwe, tajemnicze narzekania. - Ach, jak my tu marzniemy! Ach! - Hej, głupcy - zawołał chłopak - jeżeli marzniecie, chodźcie tu do ognia ogrzać się! Miejsca starczy dla nas wszystkich!

- I jeszcze gdy to mówił, dwa ogromne koty wyskoczyły z rogu komnaty i usiadły po obu jego stronach, wpatrując się w niego swoimi wielkimi, dzikimi oczami. Po pewnym czasie, gdy wszyscy się troszeczkę już ogrzali, koty wyciągnęły karty, i zamiauczały: - Hej, kumpel. Zagrasz z nami?! - Czemu nie. - Odparł radośnie chłopak. - Ale przedtem pokażcie mi wasze pazury! - I gdy koty nie spodziewając się niczego złego wyciągnęły swoje pazury, chłopak powiedział: - Nie podobają mi się one. Zanim zagramy, muszę je wam poobcinać - I mocno złapał koty za sierść na karkach, przykręcił im łapy imadłami, poobcinał pazury, a potem… Potem po prostu je pozabijał, a ciała ich wrzucił do pobliskiego bajora. I gdy siadał właśnie na powrót przy ognisku, ze wszystkich kątów jednocześnie wyskoczyły ogromne, czarne koty i ogromne, czarne psy. Miaucząc i ujadając rzuciły się na ogień i chciały go zgasić. Chłopak przyglądał się temu jakiś czas z zupełnym spokojem, ale kiedy zobaczył, że rzeczywiście gaszą ogień, wyciągnął zza pazuchy nóż i rzucił się na nie krzycząc: - Co mi tu będziesz hołoto przeszkadzać! - Część zwierzaków uciekła od razu w popłochu, inne chłopak pozabijał, i tak jak te poprzednie, powrzucał do stawu. Rozdmuchał na nowo ognisko, a wyraźnie czując się zmęczonym, rozejrzał się dookoła za jakimś spaniem. W rogu komnaty zobaczył ogromne łóżko. - Wspaniale - pomyślał. - Specjalnie jak dla mnie. - I położył się spać. Ale gdy tylko lekko przysnął, łóżko zaczęło podskakiwać, i podskakując jeździć po całym zamczysku. - Tym lepiej, bardzo to lubię... - Wymruczał przez sen. - A wtedy łóżko wykonało olbrzymiego hopla, i przywaliło go sobą do podłogi. Chłopak wygramolił się jednak spod niego, położył się przy swoim ognisku i zasnął smacznie, nic sobie z tego wszystkiego nie robiąc. - Rano przyjechał sam król żeby zobaczyć co się wydarzyło tej nocy, i gdy zobaczył nieruchomego chłopaka leżącego na ziemi przy wygasłym ognisku, pomyślał sobie, że Demony na pewno go zabiły. Ze współczuciem pochylił się nad nim i powiedział: - Jaka szkoda młodego życia! - Chłopak słysząc słowa króla obudził się, przeciągnął i usiadł: - Nie czas jeszcze żałować mojego życia, królu. - Powiedział. Król zdziwił się trochę, ale jednocześnie i ucieszył. Kazał sobie zaraz opowiedzieć wszystko. - Zupełnie w porządku. - Odpowiedział chłopak. - Szkoda tylko, że nie nauczyłem się tego giemzania. - Nic się nie martw - odpowiedział mu na to król. - Dzisiejszej nocy nauczysz się tego z pewnością. - Ach! - Żachnął się chłopak. - Przeszła ta noc, przejdą i dwie następne. - Po powrocie do karczmy, karczmarz nie mógł wyjść z podziwu, że go znowu ogląda, i do tego, żywego jeszcze. Postawił mu więc pyszne śniadanie. - Nauczyłeś się wreszcie

tego cholernego giemzania? - Zapytał. - Niestety! Wszystko na nic! I nikt nie chce mi w tym pomóc! Nawet demony z zamku! - Wieczorem, tak jak i poprzedniego dnia, do północy był spokój. O północy, przy wtórze piekielnych jęków i zgrzytów, z komina wypadła połowa jakiegoś ciała. - Ale, ale… Do tego potrzebna jest jeszcze druga część! - Powiedział zadziornie chłopak przyglądając się tym dziwnym, ohydnym członkom. I rzeczywiście. Po chwili wypadła i część druga. Chłopak jak gdyby nigdy nic wstał i podszedł do ogniska. W tym samym czasie, dwie rozerwane części złączyły się, i obcy, wyjątkowo szkaradny jegomość usadowił się na jego miejscu. - Hejże, hola! Co to za maniery, trupolku?! - Krzyknął chłopak, ale jegomość wcale nie chciał ustąpić mu miejsca, więc chłopak zrzucił go brutalnie z tokarki na ziemię. - A gdy na powrót siadał na tokarce, z komina wyskoczyła cała drużyna obwiesi, a z nimi razem dziewięć odciętych głów i dwie nogi, którymi duchy rozpoczęły od razu grę w golfa. Chłopak poprzyglądał się przez chwilę grze, ale jako że zaraz sam nabrał na nią ochoty, zapytał: - Mogę z wami zagrać?! - Ależ oczywiście - odpowiedzieli gracze - o ile masz pieniądze. - Pieniędzy mam dosyć, ale te wasze kule, którymi gracie....?! Nie są dość okrągłe. Dajcie je, to je trochę zaokrąglę. - I szybciutko, jedna po drugiej zaokrąglił wszystkie odcięte głowy na tokarce. - No! Teraz to możemy sobie pograć! - Powiedział. I gracze zagrali. I grali tak aż do samego rana. Gdy jednak zegar wybił szóstą, wszystko nagle zatrzymało się i zaraz potem znikło, a zmęczony grą chłopak położył się i natychmiast słodko zasnął. Rano znowu odwiedził go król. - W nocy grałem w golfa, było wspaniale, ale niestety znowu nie nauczyłem się tego giemzania. - Poskarżył się królowi. Trzeciej nocy, tak jak i poprzednich, nic się nie działo. Chłopak usiadł i najgłośniej jak tylko potrafił krzyknął: - Ach, żebym i ja w końcu nauczył się tego cholernego giemzania!!! - Lecz znowu nic się nie wydarzyło. Dopiero koło północy ze ściany wyszło sześć wielgachnych potworów z ogromną drewnianą trumną na plecach. - Ach, to pewnie jest mój ojciec. - Pomyślał chłopak. Jednocześnie zapytał jednak: - Niesiecie mojego ojca?! - Nikt mu jednak nie odpowiedział. - Chodźcie bliżej panowie. - Zaprosił ich. Kondukt podszedł bliżej, i trumna stanęła na ziemi. Chłopak zdjął wieko, przypatrzył się trupowi, a widząc, że jest zimny jak lód przyłożył mu do twarzy swoje ciepłe dłonie: - Ogrzeję cię troszeczkę. - Powiedział. Ale to nie dało żadnego rezultatu. Po namyśle chłopak wyciągnął trupa z trumny, wsadził go do łóżka i sam się przy nim położył. Po pewnym czasie trup ogrzał się troszeczkę i zaczął się ruszać. - Widzisz ojczulku, jak ładnie cię ogrzałem. - Powiedział chłopak. Ale trup wcale

nie był tym zachwycony. - Teraz - wycharczał - zabiję ciebie! - Chłopak roześmiał się tylko. - Co, tak mi dziękujesz za ogrzanie?! - Wrzasnął. - Marsz, ale to już! Do trumny! - I chłopak podniósł go do góry jak piórko i z wielkim rozmachem wrzucił go na jego stare miejsce. Wieko zatrzasnęło się samo. - Tu chyba nie nauczę się przez całe moje życie tego cholernego giemzania!! Wszystko to tylko strata czasu!! - Pomyślał. Jak gdyby w odpowiedzi na to jego ciągłe narzekanie, z kąta wyskoczył olbrzymi drab: - Przyszedł czas, żebyś wreszcie zaznał tego cholernego giemzania! - Zagrzmiał. - Teraz będziesz umierał! - Nie tak szybko przyjacielu. - Odparł mu na to spokojnie chłopak. - Jeżeli mam umierać, chcę być przy tym! - Już ja ciebie urządzę, zobaczysz! - Wrzasnął na to olbrzym. - Chodźmy, zobaczymy kto z nas jest silniejszy! - I poprowadził ich gdzieś w głąb zamczyska, aż doszli do jakiejś kuźni, w której palenisku huczał wielki ogień. Olbrzym wyrwał ogromny rozżarzony pogrzebacz z ognia i trzasnął nim z ogromną siłą w kowadło, tak, że aż poleciały iskry. - Cha-cha-cha! - Roześmiał się. - Teraz twoja kolej chłoptasiu..... - Chłopak wziął drugi pogrzebacz, podważył nim drugie kowadło i szybciutko, za nim się olbrzym zorientował, sprytnie przytrzasnął mu jego brodę. - Teraz to chyba ty będziesz umierał. - Powiedział znacząco. I zaczął okładać olbrzyma trzymanym w ręce pogrzebaczem tak mocno, że aż ten zaczął jęczeć i prosić go, aby przestał natychmiast i go uwolnił. W zamian za wolność obiecał mu największy skarb na świecie. Chłopak nie dał się długo prosić. Podważył kowadło i uwolnił w ten sposób olbrzyma z potrzasku. Ten z wielkiej wdzięczności zaprowadził go do skarbca, w którym stały trzy wielkie skrzynie pełne złota. - Jedna jest dla biednych - powiedział - druga dla króla, a trzecia dla ciebie. - I zniknął naraz zostawiając chłopaka w zupełnych ciemnościach. - Jakoś sobie poradzę - pomyślał chłopak. Z trudem, ale jednak odnalazł swoje ognisko. Od razu też położył się spać. Rano znowu odwiedził go król: - I co?! - Zapytał. - Poznałeś wreszcie to, na co tak długo czekałeś?! - Niestety, drogi królu! Nie wydarzyło się nic takiego: mój martwy ojciec był tutaj, jakiś głupi olbrzym, co mi trzy skrzynie pełne złota tam na dole pokazał, ale giemzania nie widziałem nigdzie. - Uwolniłeś zamczysko ze złego czaru?! - Zachwycił się król.. - Ożenisz się za to z moją córką, i zostaniesz moim następcą. - Bardzo chętnie miły królu. - Odpowiedział mu na to chłopak. - Ale co z moim giemzaniem?! Weselisko urządzono wspaniałe: jedną skrzynię złota podzielono miedzy biednych, drugą dostał król, a trzecia była na bieżące wydatki. Córka króla była prześliczna, a do tego bardzo mądra, młody jej małżonek był więc

bardzo szczęśliwy. A i zakochany po uszy. Od czasu do czasu jednak wzdychając smutno powtarzał nadal: - Ach, żebym i ja poznał w końcu to całe giemzanie! - I to nie dawało młodej królowej spokoju. Pewnego razu, a było to na wiosnę, jej pokojówka niespodziewanie powiedziała: - Wydaje mi się, że mogę wam jakoś pomóc, a on nauczy się wreszcie jak to jest, gdy komuś giemza! A ciebie pokocha przez to jeszcze bardziej! - Pójdź do rybaków i każ dać sobie całe wiadro małych rybek. W nocy, kiedy młody król będzie już na dobre chrapał jak zabity, zdejmij z niego kołdrę, i oblej go tą lodowatą wodą z rybkami. To pomoże mu stuprocentowo. - Młoda królowa poszła więc do rybaków, dostała też od nich pełne wiadro lodowatej wody z rybkami. W nocy, kiedy wszyscy już mocno spali, zdjęła z męża delikatnie jego kołdrę i oblała go zawartością wiadra. Król obudził się przerażony krzycząc w niebogłosy: - Jezu, jak mi giemza! Jak mi giemza!!! Kochana żono! Wielkie dzięki! Nareszcie wiem jak to jest, gdy komuś ciarki przechodzą! I od tej pory żyli długo i szczęśliwie i nikt, i nic nie mąciło już ich miłości… I co?! Wiecie już gdzie leży prawda?! - Zapytał Urszyll. I usiadł.

- Czas na muzykę! - Wrzasnęła trochę oniemiała Mirka. Zerwała się i podbiegła do zespołu. - A zagra dla nas dzisiaj grupa wyjątkowa, i to wyjątkowa pod każdym względem. - Monitory oświetliły muzyków, i rzeczywiście: grupa rockowa okazała się prawdziwą rewelacją. Widownia zawrzała. Muzycy poderwali się i zagrali: muzyka wypełniła całą salę i pół tego schorowanego świata. I to było prawdziwe wybawienie, i to nie tylko dla Mirki. Wszyscy uspokoili się i słuchali. Na szczęście nie rozumieli słów, ani szerszego kontekstu tego utworu, którego muzycy zatytułowali *Sacer*, bo gdyby cokolwiek rozumieli, albo znali ten kontekst, spokojnie nie byliby w stanie tego słuchać, a jednak słuchali, i nie niepokoili się. I to było drugie prawdziwe błogosławieństwo spływające na nich tego wieczoru:

Sacer

Sacer pędzi ku nam falą przybojową,
rozbija się z hukiem na rafie,
pieni się złowrogo jednostajnością uderzenia
by po chwili z sykiem obmyć piachy nadbrzeżne
przynosząc ukojenie zmęczonym oczom,

ciężkim myślom oraz rozgorączkowanym sercom.

Żółwie wychodzą z wody niezdarnie
przemierzając pustkowie,
łapkami rozkopują piachy i podobne do
ołowianych smoków,
złapane za nosy ryczą ludzkim głosem.
Krwi czerwienią opryskane drobiny na nasz
codzienny obiad obfitości.

Kalmary otwierają ogony, ruszając czujnie czułkami
w strudze nieruchomieją podobne głazom pancernym,
przeszyte strzałami amora skaczą
w otchłań ciemną nie bacząc.
Ludzie zasypiają przy małym i pięknym,
wyłączone z prądu agregaty cichną,
blaszane bębenki milkną.
Zatrutą strzałą połowu
padają olbrzymie
drzewa i krople złotej mgły doliny ukajali.

Czerwone twarze odchodzą,
odcinają sznury i w ciszy czekają na wodospad
ich Bogini.
W uniesieniu wszystko
miesza
się.

Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie akordy muzyki, kiedy Mirka podbiegła, a przy jej tuszy nie było to wcale takie łatwe, do Urszylla z Zamiłowic: - Panie Urszyllu - powiedziała - ma Pan teraz całe pięć minut. I nikt nie będzie Panu przeszkadzał. Niech Pan mówi! - Dziewic w tym samym czasie, jak jakiś rzymski Gladiator, demonstrował publiczności swoje wspaniałe muskuły. Komputer pokazywał 3600 milionów na TAK dla Urszylla, i 1750 milionów na TAK dla Dziewica. Reszta wyraźnie wstrzymywała się od głosu. - Widzę, że nie za bardzo przypadła wam moja Magadura do gustu. - Powiedział Urszyll. - Tak też myślałem. Gwoli wyjaśnienia, chcę wam powiedzieć, że prawdziwa Miłość niweluje wszelkie więzy. Że łączy ludzi złotymi łańcuchami duchowego zrozumienia. - Urszyll wstał. - Uznaje ono jedynie przewodnictwo Bogi. Nie posiada żadnego rytuału, ani reguły,

poza JEJ nieosobową, uniwersalną Miłością. Kochając nie czczę niczego oprócz wewnętrznego płomienia nieustannie żarzącego się w moim wnętrzu. Będę się więc modlił za nasze zjednoczenie i za wolny stan naszego duchowego braterstwa. Ale pod jednym warunkiem! Pod warunkiem, że wypełnicie ten jeden, jedyny nakaz i praktykując dyscyplinę duszy, osiągniecie całkowitą wolność. Bez granic. A nawet jeżeli nie uda wam się tego osiągnąć, to być może, mimo wszystko zjednoczycie się przez tę praktykę właśnie, nie tylko z samą Thenahå, ale utworzycie też mimowolnie zjednoczone miłością społeczeństwo. Lecz nie takie, jakie znacie z waszej szarej codzienności, ograniczone narzuconym wam doborem naturalnym, czyli ortodoksyjną doktryną naukową, którą z takim szacunkiem wynosicie codziennie na piedestał, nawzajem się niszcząc, i nawzajem się zabijając o wszystko. Raczej przepełnione uczuciem więzi i współodczuwaniem. Ludzie!!! Oświeceni idą przez życie bez lęku - w łasce!!! Większość z was pozostaje w przekonaniu, że musicie żyć w ściśle określony sposób, aby coś osiągnąć. Że musicie w ściśle określony sposób starać się. A ja wam mówię, że to jest właśnie wasza bajadura! - Urszyll uważnie wpatrzył się w oko kamery. - Wasz świat pełen jest takich idiotycznych zapisów. Pełen jest dysonansów, i pełen waszych pytań bez odpowiedzi. Bo powiedzcie mi proszę: Dlaczego, jeżeli istnieje Bóg, pozwala on na istnienie waszego cierpienia, waszej biedy, choroby, głodu, grzechu, wojny i zniszczenia?! I jak to możliwe, żeby istniało to całe Zło, jeżeli wasz Bóg jest Dobrem, jest Życiem i jest Miłością?! - Nikt nie kwapił się jednak z żadną odpowiedzią. Nawet Mirka milczała. - Otóż, istnieje tylko jedna odpowiedź na wasze pytanie: Wasz Bóg nie jest Bogiem Dobra, ani Życia, ani Miłości! Wasz Bóg jest Bogiem Zła, jest Bogiem Wojny, Przemocy i Nienawiści!

W reżyserce Rewia zadzwonił czerwony telefon. Zdarzało się to bardzo rzadko, tak rzadko, że było prawie nie do wyobrażenia, ale jednak. W słuchawce meldował się melodyjnym głosem strażnik doktryny, kanonu, i obowiązującej właśnie wykładni, czyli morale całego współczesnego świata, przedstawiciel państwa świętego, prawa ręka i prawa półkula najświętszego ojca, Klemensa III, kardynał Jan Paweł, z łaskawym zapytaniem, czy aby Urszyll z Zamiłowic nie przesadził ociupinkę w dzisiejszym programie, a wyrażając obawę, że najświętszy Ojciec Święty nie będzie zbytnio zadowolony z takiej interpretacji boskości, w tak oficjalny sposób sprzecznej z wszechobowiązującą i wszechpanującą obecną naukową doktryną kościoła,

skarcił realizatorów programu za brak odpowiedzialności i dyscypliny. Rewi połączył go natychmiast z Dooilą. - Czy aby ojciec nie przesadza? - Powiedziała Macza na powitanie. - Program jest przecież bombowy! - Moje dziecko... - Macza nie dała mu jednak dokończyć. - Co mi tu ojciec, z tym, dzieckiem wyjeżdża?! Zapomniał ojciec do kogo dzwoni?! Czy co?! - Ale... - Tu nie ma żadnego ale!!! - Wrzasnęła na dobre już wkurzona. - Czy ojciec zdaje sobie sprawę dlaczego ciągle jest jeszcze ojcem, i może jeszcze ciągle służyć najświętobliwszemu?! Czy ojciec zapomniał już, że to właśnie Dooila - Macza cedziła słowa z wielką wprawą - postawiła go na tym jakże dla niego zaszczytnym stanowisku?! Że to właśnie Dooila opłaca jego obecną kampanię?! Ja rozumiem ojca doskonale - nagle zmieniła ton głosu i jego brzmienie, przechodząc na kontakt bardzo poufały, a wręcz intymny - i jego zatroskanie, i jego obawy, i jestem bardzo ojcu wdzięczna za jego dzisiejszy telefon, i chcę w tym miejscu ojca poinformować, że... - Macza nacisnęła mały żółty guziczek modulatora częstotliwości, zagłuszając skutecznie dalszą rozmowę, z której tylko poszczególne słowa dało się jeszcze zrozumieć: - ...Urszyll... Dziewic... - I Macza odłożyła słuchawkę, przerywając połączenie, i od razu koncentrując się na słowach Urszylla, który, przemawiał dalej. - Przed chwilą jeszcze wrzeszczeliście: Szarlatan!!! Zdrajca!!! Chętnie byście mnie zlinczowali, a gdyby się dało, pewnie z radością byście mnie ukrzyżowali. I dlaczego to wszystko?! Tylko dlatego, że uleczenie małej mogło okazać się niemożliwe?! Zapomnieliście nagle, że to nie ja uleczam i że to nie ja czynię cuda?! To Thenahå czyni to wszystko przeze mnie, ale tylko wtedy, kiedy sama tego zechce!! I żadna siła na Ziemi nie jest w stanie jej do tego przymusić. A potem nagle wydało wam się, że niespodziewanie dla siebie samych jednak się pomyliliście, ale to tylko tak ze strachu, zapragnęliście więc natychmiast abym i was błogosławił. Spójrzcie tylko na siebie i zastanówcie się przez chwilę: czego wy właściwie chcecie?! Od wieków gonicie za sukcesem i jego przyjemnościami, a dzieje się tak jedynie poprzez gorączkową aktywność waszych umysłów, a wszystko to przecież, co wytworzy wam wasz umysł, jest przeważnie byle jakie, sztuczne, i ze względu na tę właśnie sztuczność, nietrwałe, i nieprawdziwe. Życie na poziomie umysłu bowiem, wymaga nieskończonej parady nowych przyjemności, nowych twarzy, i nowych scen. Rzadkością są w waszym życiu momenty prawdziwego szczęścia i prawdziwej radości, nie wspominając już w ogóle o doznaniu prawdziwej Miłości. Wolność, Pokój, czy Dostatek nie zależą od zewnętrznych okoliczności, czy zewnętrznych warunków. Tylko zagłębiając

się w siebie samych, możecie odnaleźć prawdziwą Bogę, a wraz z nią Spokój, Błogość, Mądrość i Wolność, o której z takim maniackim uporem dyskutujecie od wieków. Zapomnieliście, że od wieków też istnieli ludzie, którzy podobnie do mnie, odnaleźli świadomą unię ze swoją Bogą, i którzy w swoim codziennym doświadczeniu zaznawali jej obecności i siły, i że to właśnie wam podobni ich krzyżowali i palili na stosach?! Na szczęście zawsze istnieli tacy jak Kapil, czy JoshUa, ale żadne z nich nie miało wielu zwolenników. Żadne z nich nie było powszechnie znane, a ich nauk nie praktykowano powszechnie za czasów ich życia, jak i w wiele lat później. Wszyscy oni poświęcili swoje życie, aby obwieścić i objawić wam prawdę, najprawdziwszą i jedyną, która nie doprowadziła was jednak do żadnych pożądanych rezultatów, ani nie otworzyła wam świadomości na światło, na Miłość, na Thenahå. Wszyscy oni, wraz ze mną oczywiście, pozostawali w zgodzie co do podstawowych zasad i nauk, które tak samo jak mnie, znane są wam wszystkim doskonale: nie zabijaj, nie kradnij, miłuj i czyń wobec innych tak, jak byś chciał, żeby i oni miłowali, i czynili wobec ciebie, kochaj Bogę swą całym sercem.... Nikt z nich, ani ja, nie uczyliśmy, ani nie uczymy, że wszyscy musimy być jednej narodowości, jednego koloru skóry, czy tez jednego wyznania. Nauczali, i ja uczę zasad miłości i współpracy!!! Gdyby zasady te były rzeczywiście praktykowane przez was wszystkich i przez was wszystkich wcielane w życie, przemoc w jakiejkolwiek formie stałaby się całkowitą niemożliwością, a nienawiść skuli byście tym samym i skazali na dożywocie, bez możliwości apelacji. Niestety... Wszyscy razem, a i każdy z was z osobna, jesteście ludźmi małych serc, i małej wyobraźni. Nie możecie sobie jakoś wyobrazić, że każda obecność i każda moc znajduje się w was wszystkich, że zawsze tam była, i że zawsze tam będzie, i nie jest ważne co byście o tym myśleli, co byście na ten temat czuli, lub co byście sobie wyobrażali: dopóki nie otworzycie swoich serc i nie zajrzycie tam, nie poznacie żadnej Bogi. A dopóki nie pozwolicie JEJ, aby was obudziła i przez was czyniła cuda, nic w waszym życiu się nie zmieni. Nie zaznacie ani miłości, ani radości, ani spokoju, ani cierpliwości, ani łagodności, ani dobra, ani mądrości, ani harmonii, ani kompletności, ani łaski, ani wiary, ani nadziei.... Zawsze wypełniać was będzie tylko i wyłącznie, wasza znana wam już dobrze, codzienna szara męczarnia! Komputer włączył właśnie sygnał oznajmiający nieubłagany upływ czasu, ale Urszyll popatrzył jeszcze tylko po widowni, wymownie spojrzał w obiektywy kamer, i nie powiedział już nic więcej. Usiadł, wyraźnie było widać, że skończył. - Ale precyzja! - Krzyknęła Mirka. - Dokła-

dnie pięć minut. Doskonale. A teraz - zwróciła się w stronę ciągle paradującego przed kamerami Dziewica - Pana kolej, Dziewicu! - Ludzie! - Krzyknął Dziewic, stając jednocześnie na głowie niczym jakiś klaun - Ludzie, co się z wami dzieje?! Pytam się was, pytam się was jako wasz przyjaciel, i jako wasz... - Raptownie odepchnięte ciało Dziewica zatoczyło precyzyjny łuk w powietrzu, i Dziewic wylądował miękko w swoim fotelu. Wsadził sobie Dawidowa w usta, uśmiechnął się, i kontynuował. - ...Opiekun. Chcę was o coś poprosić. I proszę was! Wyobraźcie sobie nas wszystkich, na takiej, wielkiej, pięknej, wiosennej łące. Kwiatki kwitną, ptaszki śpiewają, ot raj dla wszystkich. Wszyscy siedzimy sobie miło, wąchamy kwiatki, zachwycamy się słoneczkiem, zapachami i wiosną. Aż tu nagle, komuś zachciało się pierdnąć. Przepraszam najmocniej za to okropne słowo, i za moje chamskie zachowanie, no i moje prostactwo - Dziewic wypuszczał w międzyczasie kłęby dawidowego dymu - ale pierdnięcie przecież nie jest nam obce, i nie ma w nim niczego takiego, co by powodowało odłożenie problemu pierdnięcia ad akta, jak to niektórzy chętnie by uczynili. - I tu Dziewic z uwielbieniem spojrzał na Urszylla. Sala zarechotała i zawyła z ukontentowania. Ludzie lubili takie żarciki. - I nie dość, że mu się zachciało, to i pierdnął potężnie. - Mirka śmiała się do rozpuku, a na sali, dało się to już wyraźnie wyczuć, ludzie popierdywali z ukontentowania wyrażając w ten sposób swoją solidarność z Dziewicem. - No właśnie, takim niewinnym i małym pierdnięciem, można zniszczyć każdy romantyzm i każdą miłość. I to nawet taką, o jakiej mówił on tutaj dzisiaj. No właśnie, Pan Urszyll z Zamiłowic jest niezłym mówcą, a do tego znakomitym magikiem, zapomina jednak cały czas o tym, że my ludzie z krwi i kości, jesteśmy tacy właśnie jacy jesteśmy, że nasze ciała, że nasze umysły, a i my sami, żądamy od nas samych tego, co jest nam wszystkim najbardziej potrzebne: pędu i różnorodności, czyli postępu, rozwoju, i wiedzy, żarcia i uciech, a wszystko dlatego tylko, bo tacy właśnie j e s t e ś m y, i taką mamy naturę! Jesteśmy ludźmi z krwi i kości, a nie jakimiś tam miłosnymi fantomami Thenahå, czy jak jej tam. Żyjemy, pracujemy, jemy, wydalamy, rozmnażamy się i umieramy, a to wszystko tylko i wyłącznie dzięki nam samym, naszym wspaniałym umysłom, naszym pragnieniom, i naszym chęciom. Pan Urszyll z Zamiłowic widzi chętnie w Mocy jedynie samą czystą destrukcję, samo najdziksze wyuzdanie, brutalność, nienawiść, i poniżenie. Zapomina jednak, że to tylko jego schorowany linearnie rozum, uczynił podobny podział w ogóle możliwym, zapomina, że już Grecy mieli swoją Sacer, a rzymianie swojego Pharmako... - Grecy mieli Pharma-

kosa, a rzymianie Sacer! - Urszyll z Zamiłowic przerwał Dziewicowi. - No właśnie. Jak mówiłem: Grecy mieli Pharmakosa, a rzymianie Sacer - Dziewic nie dał się wybić z rytmu - w których to nienawiść i miłość stanowiły jednię, były nierozłącznie połączone ze sobą małżeńskim węzłem, na dobre i na złe, i to po wsze czasy. Niech więc Pan Urszyll nie mydli nam tu oczu zbyt pięknymi frazesami, i powie nam raczej, cóż widzi złego w tym, że ludzie tu, czy tam, powalą się trochę, dla zabawy oczywiście, po swoich mordach, że trochę postrzelają sobie, przecież w końcu ludzie muszą jeść, codziennie zabijają miliony krów, miliony baranów i koni, a jakże mogliby to czynić bez udziału Prze-mocy?! Siedząc na łące i wąchając kwiatki?! Jezu... Ludzie mówię wam. To jakaś paranoja. Wmawia się nam, i to w żywe oczy, rzeczy które po prostu nie istnieją, i nigdy nie istniały!!! Bo może zechce nam Pan Urszyll łaskawie powiedzieć, czy nie je?! Czy nie wciąga w siebie przepysznych kiełbasek, kaszanek, szyneczek i zrazików, czy nie wciąga w siebie przepysznych kotlecików, jajeczek, majonezów, bułeczek i chlebików... Czy nie zagryza grzybkami, ziemniaczkami, kluseczkami z masełkiem, i nie popija tego wszystkiego czymś równie dobrym, co i orzeźwiającym?! I jak ma się do tego, ta jego wielka miłość, i propagowanie przez niego tego wielkiego, świętego nie-zabijania, którego oczekuje od nas wszystkich?! A sam.....?! - Jestem wegetarianinem! - Urszyll z Zamiłowic przerwał Dziewicowi. - No proszę! Pan Urszyll jest wegetarianinem?! A to ci dopiero! Słuchajcie uważnie! - Dziewic kpił sobie z Urszylla w żywe oczy. - Pan Urszyll jest wegetarianinem, nie wciąga więc w siebie zdechłego mięska, i nie popija go krwią trupków. Pewnie uważa się za lepszego?! Za tego, który zadaje mniej bólu naszemu schorowanemu światu, jak sam by to pewnie określił! Nie zauważa jednak, że to jego umysł, a nie nasz, dostał hopla! Czyżby dla Pana Urszylla istniały różne rodzaje życia?! To krwawe, i to bezkrwawe?! A owoce, a warzywa, które Pan Urszyll pewnie z lubością pałaszuje, a zboża i wszelkie te inne rośliny?! A sery, a mleko, a pieczywo...?! Czy one nie żyją?! Czy są czymś gorszym, od świnek, baranków i cielaków?! To pewnie ta jego wielka i zacna miłość do wszystkiego i wszędzie, zakręciła mu tak wspaniale jego płaski i schorowany umysł?! Chachachacha-chachacha... Ludzie, to tylko współczesna produkcja produktów spożywczych, a w szczególności mięsnych, odsunęła od większości z nas, z pewnością też co najmniej o kilometr od Pana Urszylla, konieczność codziennego, osobistego zabijania, a to z kolei umożliwiło mu oddalenie i odrzucenie idei prze-mocy i własnej zwierzęcości, i udanie się w nieistniejący świat bajkowych opowieści o

wspaniałym, wypełnionym miłością i dobrocią, homo ludens. Gdy wyrzucisz trzy i dwa, już wciągnęła cię ta gra! Nieuleczalna potrzeba bycia innym, lepszym, doskonalszym, piękniejszym, mądrzejszym, zdrowszym, i szlachetniejszym uczyniła jego sen twardym i długim! Każdy z nas ma jakieś wyobrażenia o sobie samym. Przeważnie zapytany o to, kryguje się, i nie chce się za nic przyznać, nawet sam przed sobą samym, że to on właśnie jest dla siebie samego, najważniejszą istotą pod słońcem. Nasza wspaniała edukacja rodzinna, inwigilacja ideami Pana Urszylla, zepchnęła z pewnością naszą świadomość tej pewności na plan dalszy, bliźniego swego czyniąc teoretycznym pierwszym najważniejszym, a przez to podnosząc rangę społeczną do nadnaturalnej wielkości. W imię tej właśnie ważności, zmusza się nas do bezkarnego wzajemnego wyzyskiwania, do wzajemnego rabowania, zniewalania i zabijania. Ze sztandarami właśnie tej ich MIŁOŚCI i ewangelią szerzenia pokoju i dobrobytu na tych ich skromnych usteczkach, rzucają bezkarnie bomby atomowe na naszych braci i nasze siostry!!! Rabują nasze mienie, i wtrącają nas do obozów koncentracyjnych, gdzie godzinami i dniami całymi torturują nas w najprzemyślniejsze sposoby, aby na końcu rzucić nasze drgające resztki wściekłym psom na pożarcie. W międzyczasie wychowują swoje, a i nasze dzieci na porządnych obywateli, kochają swoje żony, chodzą do opery i otrzymują z rąk prezydentów ich te pieprzone błękitne gwiazdy! Zakładają fundacje i towarzystwa na rzecz pokoju, piszą o nim książki, i wygłaszają kazania. A nawet czynią cuda. I po co to wszystko?! Nie wiecie?! Dla własnych parszywych interesów!!! Prze-moc była i jest matką i królową wszystkiego. To ona czyni jednych królami wszystkiego, a innych po prostu nieżywymi trupami. I nawet oni nie mogą temu zaprzeczyć!!! Mówię wam, oni nie są prawdziwi!!! To my jesteśmy prawdziwi!!! A żebyście mogli mi uwierzyć, i ja dzisiaj pokażę wam CUD!!!!!!!!!!!!!!!! - Dziewic zerwał się jak błyskawica ze swojego fotela. - To wirtualny holograficzny stwór, kukła wymyślona tylko dla potrzeb tego programu. Zaraz zobaczycie, co to za ptaszek!!! - Nie wytrzymam tego popaprańcu!!! - Urszyll poderwał się ze swojego miejsca podobnie jak i Dziewic. - Przekroczyłeś wszelkie granice!!! A teraz poniesiesz za to odpowiednią karę. - Cedząc słowa z wyraźną nienawiścią Urszyll podniósł fotel na którym siedział jak piórko i cisnął nim w Dziewica, lecz ten uchylił się zgrabnie. - Widzicie?! Widzicie to?! Widzicie to, co i ja widzę?! - Dziewic szydził z Urszylla otwarcie. - Widzicie tego Apostoła Dobroci?! Może ktoś z was da mu rewolwer?! Zastrzeliłby mnie pewnie jak psa, gdyby tylko mógł. Gdyby pozwoliła mu no

ta jego Thenahå!!! - I rzeczywiście. Twarz Urszylla z Zamiłowic, a, i jego całe ciało, ziało najstraszniejszą nienawiścią. Wyciągając dłoń w kierunku Dziewica, Urszyll z Zamiłowic charczał raczej, a nie mówił: - Przeklnę cię i niech cię piekło pochłonie barbarzyńco.... W imię... - Dziewic nie pozwolił mu jednak dokończyć. Skoczył ku niemu jak wspaniale wyszkolony wojownik i z całych sił, wyciągniętym z nie wiadomo skąd długim samurajskim mieczem, ciął na oślep. - Widzicie... - Głos zamarł mu jednak w gardle, kiedy zorientował się, że Urszyll z Zamiłowic, nie jest jednak żadnym stworem z wirtualnych światów, lecz człowiekiem z krwi i kości, takim samym jak on, i że jego tryskająca krew, którą rozsmarowywał sobie właśnie na twarzy, jest jednak prawdziwa. Lecz w zamieszaniu nie dostrzegł, że ranił tylko lekko Urszylla, który nie wiadomo kiedy i jak wyrwał mu jego samurajski miecz i charcząc: - Zabiję cię potworze... - Odwzajemnił cięcie. Tego jeszcze nie było. Krew Dziewica trysnęła na wszystkich i wszystko. Mirka nie wiedząc zupełnie co robić, stała z otwartymi, oniemiałymi ustami, łapiąc powietrze jak ryba wyciągnięta niespodziewanie z wody. Urszyll jak gdyby oprzytomniał lekko z furii i stał teraz całkowicie sparaliżowany tuż przed leżącym Dziewicem wymachując bezradnie mieczem i bełkocząc coś niezrozumiale. Dziewic leżał na podłodze studia jak worek, bez oznak jakiegokolwiek życia, a z jego na wpół rozciętego ciała tryskała krew jak z fontanny. Komputer sczytujący wyświetlał: trzy miliardy pięćset milionów na TAK dla Dziewica, miliard osiemset milionów na TAK dla Urszylla, lecz sala i wszyscy telewidzowie, którzy jeszcze przed chwilą wyli z zachwytu naciskając swoje ulubione, kolorowe guziki, zamarli nie bardzo wiedząc co robić: takiego obrotu sprawy nikt z nich się nie spodziewał. Całe pół świata zamarło w oczekiwaniu, i właśnie wtedy Dziewic jak gdyby nigdy nic usiadł, otrząsnął się jak mokry pies z wody prychając jednocześnie, rękami przyklepał swoje rozpłatane części, rozejrzał się po sali studia, roześmiał i zerwał na równe nogi. Wymachując jak wariat rękami krzyknął: - Myśleliście pewnie, że ten dupek mnie zabił, bo jestem prawdziwy, nie?! Ale jak widzicie, to ja i tylko ja.... - I wybiegł ze studia. Sala i wszyscy telewidzowie zawyli z zachwytu. To było to!!!! To, na co wszyscy czekali. Dzisiejszy program Mirki był programem wyjątkowym: pobito wszelkie rekordy, ale że było jeszcze dwanaście minut i osiemnaście sekund do zakończenia pierwszej części programu, ciągle przytomny Rewi błyskawicznie wygasił światła nad sceną i dał znać muzykom, którzy natychmiast zagrali:

To przemoc jest matką i królową wszystkiego

To prze-moc jest matką i królową wszystkiego.
To ona jednych tworzy jako bogów,
a innych po prostu jako ludzi.
To ona zradza i to ona zabija,
to ona czyni niektórych królami a innych po prostu
niewolnikami wszystkiego.

Prze-moc quintesencja naszego bytu.

To prze-moc jest matką i królową wszystkiego.
To ona zradza i to ona zabija to ona jednych tworzy jako bogów,
a innych po prostu jako ludzi.
To ona niektórych czyni królami a innych po prostu
niewolnikami wszystkiego.

Prze-moc quintesencja naszego bytu.

To prze-moc jest matką i królową wszystkiego.
To ona zradza i to ona zabija to ona jednych tworzy jako bogów
a innych po prostu jako ludzi.
To ona niektórych czyni królami a innych po prostu
niewolnikami wszystkiego.

Prze-moc quintesencja naszego bytu,
ucieleśnienie naszej boskości,
nasza matka
i nasza jedyna królowa.

Druga część Toka Szoka zaczęła się po krótkiej przerwie, w której nadawano wiadomości, punktualnie co do sekundy, o dwudziestej pierwszej trzydzieści pięć, tuż po kolejnym bloku reklam. Jak gdyby nigdy nic Urszyll z Zamiłowic siedział sobie nadal w swoim fotelu, trochę pobladły Dziewic tuż obok niego w swoim, a przed nimi, na zgrabnej kanapce, siedziała Mirka. Ulubienica publiczności, kotka Szoka, siedziała na kolanach Urszylla. Publiczność, a, i wszyscy telewidzowie, co dało się zaobserwować na ekranach, pokazujących widzów, stali w milczeniu i wyraźnie na coś w napięciu czekali. Druga

część różniła się od pierwszej tym, że teraz, to właśnie widzowie mogli zadawać dowolne pytania swoim ulubieńcom. Kamery i mikrofony nerwowo kręciły się nad publicznością, ale jakoś nikt nie kwapił się z rozpoczęciem jakiejkolwiek rozmowy. W takich wypadkach, komputer prowadzący przełączał automatycznie odbiór na telewidzów, i rzeczywiście, ekrany wypełniła natychmiast jakaś obca kobieca twarz. I natychmiast padło pierwsze pytanie. - Czy to prawda, że podkochuje się Pan w Maczy?! - Mirka uśmiechnęła się szeroko dodając szelmowsko: - Rozumiem, że pyta Pani Urszylla z Zamiłowic?! - I nie dając rozmówczyni dojść do głosu, zwróciła się do Urszylla. - Panie Urszyllu, i co Pan na to?! Czy przyznaje się Pan do tego?! - Urszyll z Zamiłowic spojrzał bystro na Mirkę, potem po sali, pogłaskał kotkę, i powiedział: - A czemu by nie, czyż nie jest ona piękna i mądra?! - I tego właśnie wszystkim brakowało. Prowokacja Urszylla z Zamiłowic była celna i skuteczna. Sala zagotowała się. Ludzie, którzy jeszcze przed sekundą nie bardzo wiedzieli co mają o tym wszystkim myśleć, wyraźnie odetchnęli z ulgą, uznając wszystko za wspaniałą zabawę. Przekrzykując wszyscy wszystkich, zadawali jakieś pytania, ale Mirka nie spieszyła się z wybraniem jednego z nich. Teraz każdy chciał zadać następne pytanie, napięcie, strach, i skrępowanie zniknęły gdzieś równie szybko, jak i się przedtem pojawiły. - Proszę!!! - Mirka wskazała kogoś w głębi widowni. Rewi obserwując i podsłuchując widownię na swoich trzystu monitorach, wybierał zawsze kogoś najbardziej napalonego, takiego, który nie bał się ani kamer, ani innych ludzi, a tym bardziej tych, którym zadawał pytania. Dzisiaj wybrał jakąś starą, małą, ale widać to było po jej twarzy, zawzięta osóbkę. - Panie Urszyllu, jak to jest, że będąc apostołem Thenahå, kocha się Pan jednocześnie w jedynej prawdziwej wyznawczyni Djabyłelicy, i prawej ręce samego Szatana, Maczy Doorobie?! Nie przeszkadza to Panu?! A może i Pan przeszedł już do jej obozu, i teraz tylko nam Pan tu oczy mydli swoim pozornym, poniżającym, i wręcz nikczemnym, zaangażowaniem?! W co Pan się obecnie angażuje Panie Urszyllu?! - Urszyll z Zamiłowic otworzył usta, aby coś powiedzieć, lecz korpulentna damulka nie dała mu dojść do głosu. - Czy Pan nie widzi, że tym wszystkim pogarsza Pan swoją i tak nienajlepszą sytuację?! Dziewic pobił Pana na łeb na szyję w pierwszej części. Znokautował Pana absolutnie. A Pan co?! Nic! Po prostu nic! Aż się w głowie nie mieści, że taki człowiek jak Pan, że to właśnie Pan... - Kochani moi - Przerwał jej Urszyll. - Kochani moi. Czy wy sądzicie, że ja mógłbym tak naprawdę pokochać Maczę?! Czy wy rzeczywiście niczego nie widzicie?! Niczego nie

pojmujecie?! I niczego nie rozumiecie?! Czy rzeczywiście śpicie i śnicie myśląc jednocześnie, że wcale nie śpicie, i że wcale nie śnicie?! Czy rzeczywiście jesteście wszyscy w tej strasznej sytuacji, w której to, nie dość, że śpicie i śnicie, to jeszcze na dokładkę zahipnotyzowani jesteście diabelskim czarem na wieki wieków?! - Urszyll z Zamiłowic pokręcił ze smutkiem głową. - To nie może być prawdą! A jednak jest, bo widzę was, bo słyszę was i was czuję! Szczerze muszę się przed wami przyznać, że zawsze myślałem, że istniejecie tylko w mojej wyobraźni, a tu....?! A tu jesteście rzeczywiście z krwi i kości, i to tuż przede mną. I to jest straszne! I to jest przerażające! I nie wiem, czy potrafię to wytrzymać, i was po prostu znieść! - Chcemy, żeby nam Pan odpowiedział na pytanie, a nie prawił nam tu tych moralnych banialuków! - Dał się słyszeć jakiś głos z sali. - No właśnie - podchwyciła Mirka - Panie Urszyllu, prosimy o jasną odpowiedź. - Jasną odpowiedź?! - Urszyll z Zamiłowic spojrzał na nich zaskoczony i jawnie już zbulwersowany. - Chcecie jasnej odpowiedzi?! Po tym wszystkim, co mi tutaj dzisiaj zrobiliście?! - Nagle, niespodziewanie nawet dla samego siebie, lecz z widocznym wysiłkiem, opanował się całkowicie. - Dobrze, udzielę wam odpowiedzi, czemu by nie?! Wiedzcie więc, że nie tylko, że się w niej kocham, to jeszcze mam z nią dzieci! - To był prawdziwy koniec. Urszyll z Zamiłowic starał się jeszcze coś powiedzieć, ale sala zagłuszyła go całkowicie. Gwizdy, śmiechy, petardy, wyzwiska... Czego tam nie było. Nikt sobie bowiem nie żałował. Po to w końcu był ten program. Urszyll z Zamiłowic siedział zrezygnowany, nerwowo głaskał kotkę, i milczał. - Drogi Panie Dziewicu - dał się słyszeć głos Mirki. - Może nam Pan opowie coś o swojej pracy?! Podobno programują tam Pana tak, jak jakiś komputerowy program?! Czy to prawda?! - Na sali zapadła teraz cisza. Tego typu informacje, w szczególności te, o ukrywanych technologiach, były ulubionymi tematami tłumów. - Pracę mam niebezpieczną, to prawda, dlatego też, często, ze względów ochronnych oczywiście, muszę być programowany. Przecież to oczywiste! Ale dzisiaj - tu Dziewic wstał i naprężył muskuły - jestem najprawdziwszy!!! A to wszystko specjalnie tylko dla was. To dla was zrezygnowałem z nad wyraz intratnego, i nad wyraz interesującego zadania. Ale jestem z wami. I to się dla mnie liczy! - Sala wiwatowała. Komputer sczytujący niezmiennie pokazywał to samo: cztery miliardy pięćset milionów na TAK dla Dziewica, i teraz już tylko jeden miliard sto dziesięć milionów na TAK dla Urszylla. - Uważajcie!!! - Dziewic podbiegł znów do Urszylla tak, jak w pierwszej części. Nie wyciągnął jednak żadnego noża, czy jakiegoś samurajskiego miecza tym

bardziej, tylko złapał Urszylla oburącz za szyję, i podniósł go do góry. - Mówiłem wam: to wirtualny hologram!!! - Zaczął wywijać Urszyllem jak gumową kukłą. - On nigdy i nigdzie nie był prawdziwy!!! Dooila stworzyła go po to, aby was trochę podenerwować, innym zaś razem pocieszyć i pobawić. Macza jest moją żoną, i nigdy nie słyszałem, żeby miała z kimkolwiek jakiś romans, a do tego z hologramem?! - Dziewic biegał teraz po scenie wymachując Urszyllem na wszystkie strony, wbiegł nawet na widownię. - Sami to sprawdźcie! - Podawał im Urszylla do dotknięcia. - Widzicie?! To sztuczna, wirtualna kukła! I nic więcej. To ja jestem prawdziwy, zawsze byłem, i zawsze będę. Podobnie do was! Wy też jesteście prawdziwi. Prawdziwi ludzie z krwi, i z kości! I do tego z jajami!!! - Dziewic rzucił Urszylla z Zamiłowic na podłogę studia wrzeszcząc: - To koniec! To koniec!!! - Stanął nad nim w tryumfalnym rozkroku. - Może Pan Urszyll zechce nam jeszcze coś powiedzieć?! - Sala zawyła razem z Dziewicem. Lecz gdy ekrany wypełniła skotłowana, i sponiewierana postać Urszylla z Zamiłowic i dał się słyszeć jego słaby szept: - Kocham was... - Niektórym pokazały się łzy w oczach, a ich przedwczesny śmiech uwiązł im w ich gardłach, dla większości jednak, było to ponad ich wytrzymałość. Zewsząd posypały się więc na Urszylla jakieś odpadki, gwizdy i wyzwiska: - Ty ciulu, farfoclu jeden, pojebańcu... Zgniła szczyna!!! Zgniła Szczyna!!! Zgniła Szczyna!!! - Skandowała widownia i większość telewidzów. Nikt nie lubił tu przegrańców. - To koniec!!! To koniec!!!! To koniec...!!! - Mirka rzuciła się swym wielkim ciałem na Dziewica, objęła go za szyję, i wysapała. - Dziękujemy i gratulujemy z całego serca. Został Pan dzisiaj naszym honorowym bohaterem! Owacje, proszę... - Sala zawyła sto łat. - Niech żyje, żyje nam... - A w tle jacyś zamaskowani sanitariusze wynosili poturbowane członki Urszylla z Zamiłowic na noszach ze studio. Nikt się tym jednak nie przejmował. Takie były prawa, i takie były reguły, a program ten, znany był właśnie z takich, lub bardzo podobnych zakończeń. Jednak w chwili kiedy Rewi dawał znak muzykom, i gdy potok ludzki zaczął właśnie spływać z góry widowni nieprzerwanym strumieniem ku Dziewicowi, Urszyll wyswobodził się jakoś z objęć sanitariuszy skacząc jak znakomicie wyszkolony wojownik w potrójnym salcie ku roześmianemu Dziewicowi. Pod kopułą studia zawisł na chwilę, aby jak ołowiana kula spaść tuż obok Dziewica. Pochylił się ku niemu i coś cicho, wprost w jego ucho wyszeptał. Dziewic roześmiał się szeroko. Rozrzucił ręce na boki, a nawet zakręcił młynka. - Na to czekałem, kochany! - Wykrzyknął wzbudzając tym niemałą wrzawę wśród telewidzów. - Właśnie na to! - Powtórzył radośnie na-

chylając się jednocześnie ku Urszyllowi. I dopiero teraz oddał mu szepnięcie. Urszyll oniemiał. Otworzył usta, lecz nic już nie powiedział. Popatrzył tylko jakoś tak dziwnie na Dziewica, bezwiednie podniósł rękę ku twarzy, lecz kamieniejąc błyskawicznie od stóp ku głowie, nie zrobił już nic więcej. Zamarł z otwartymi, nieruchomymi ustami i oczami, lecz stojąc tak bez życia wpatrywał się jednak intensywnie, z jakimś niepohamowanym, strasznym wyrzutem w oniemiałą Mirkę Smirnow i wszystkich stojących telewidzów. W ciszy która nagle wypełniła całe studio wszyscy usłyszeli wyraźny głos Dziewica: - Przesadziłeś dupku, i teraz żadna siła ci nie już pomoże. Nawet twoja ukochana Thenahå!! - Z ogromnym namaszczeniem i wielce wyraźnym samozadowoleniem Dziewic puknął skamielinę swoim małym palcem. Urszyll pękł pod tym dotknięciem jak pusty dzban, i rozsypał się tworząc małą kupkę piasku u jego stóp. Dziewic roześmiał się histerycznie: - Chachachacha-chachachachachacha… Ludzie pchnięci naraz jakąś potężną siłą rzucili się ku Dziewicowi jak fala, lecz on powstrzymał ich wszystkich jednym, jedynym gestem. Wszystko zamarło jak w filmie. - Mówiłem wam, że on nie jest prawdziwy… - Z wściekłością wycedził przez zęby jednocześnie znacząco kiwając głową w kierunku Rewiego. Rewi odzyskując nagle możliwość ruchu dał znać muzykom, którzy natychmiast wypełnili wszystkich i wszystko brzmieniem swoich instrumentów i przeraźliwym wyciem solisty:

Dys is Di Enda

To już koniec wszystkiego,
nadziei już dla was brak,
niedługo umrzecie, a wasze ciała rozsypią się,
a wy rozpadniecie się i rozpuścicie w morzu niczego
i żaden ślad po was nie pozostanie
bo i po co komu ten ślad po was ?!
Wasza jednorazowość i wyjątkowość
wśród innych istot umarła
wraz z waszym poczęciem,
zabiliście siebie,
zniszczyliście celowo waszą Esencję,
więc nie dziwcie się,
że nic a nic po was nie pozostanie,

że tacy, jacy byliście tutaj na Ziemi,
w innych światach i innych rzeczywistościach
nikomu i niczemu potrzebni już nie będziecie,
bo i po co komu ta wasza senna głupota,
ta wasza nienawiść senna i równie senna
wasza koszmarna paranoja?!
Teoretyczna wiara w miłość Bogi
też wam nie pomoże,
bo po co Bodze wraki
rozbite na skałach przybrzeżnych życia?!
Boga ukochała swoje dzieci, którymi wy nigdy nie byliście
i którymi nigdy już
więcej nie zostaniecie!
Szansę którą wam dano
zaprzepaściliście bezpowrotnie,
a teraz nagle,
w godzinie śmierci, chcielibyście
to jakoś nadrobić?!
Na szczęście to nie jest i to nie będzie możliwe!
Nadziei dla was brak ,
koniec waszej drogi nadszedł
i nikt i nic nie uwolni was od waszej odpowiedzialności.
Wasza przyszłość skończyła się raz na zawsze
raz na zawsze skończyło się też wszystko
i ani wasz Bóg ani wasza reinkarnacja
ani tym bardziej nieśmiertelność
ani żadna inna siła
czy to na niebie, czy to na Ziemi,
nie uwolni was od waszego końca,
od waszego definitywnego
DI ENDA

Tym czasem Di Enda dosięgła na razie tylko Urszylla, tak w każdym bądź razie większość sądziła. Pomimo tego, że obrazy telewizyjne oraz oczy ludzkie nie są najlepszym miernikiem rzeczywistości, w większości wszyscy uważali rzeczywiście, że Urszyll z Zamiłowic od wielu, wielu dni już nie żyje. Ale czy rzeczywiście mieli rację?! I co w takim razie robiła w tym czasie ich wiara, a może i nadzieja jednocześnie? Ich gorące, palące przekonanie o możliwości zmartwychwstania, nieśmiertelności lub reinkarnacji, które przecież normalnie - jak większość z nich stanowczo twierdziła - przepełniało im ich serca, a może nawet i mózgi? Na razie bowiem z całą pewnością można było powiedzieć tylko tyle, jak i samemu praktycznie to zauważyć, że poranek tego wiosennego dnia był piękny, jeden z tych, które, gdyby Urszyll żył, lubiłby najbardziej. Urszyll lubił bowiem słońce i ciepło, a wiosnę wprost uwielbiał. Duszny zapach kwitnących wszędzie kwiatów wypełniał go nie tylko spokojem, ale przede wszystkim tą najsłodszą słodyczą, którą Urszyll kochał najbardziej ze wszystkiego pod słońcem: miłość i dobroć rozlewały się wtenczas po jego ciele niczym zapach kadzideł po pustej świątyni, dając mu poczucie pełni. W takich chwilach Urszyll nie musiał myśleć o niczym. Niczego nie musiał też robić, aby być. Czucie dawało mu nie tylko całkowitą Jednię łączącą go słodyczą ze wszystkim i wszędzie ale, czucie dawało Urszyllowi poczucie całkowitego, globalnego spełnienia. Dzisiaj też było podobnie, chociaż poprzez tę idiotyczną śmierć zdecydowanie też inaczej. Jak bowiem większość poważnie o tym sądziła, uważała, a nawet w to wierzyła, już od wielu, wielu dni, Urszyll leżał sobie, lecz nie w jakimś największym i najpiękniejszym kościele stolicy wypełnionym po brzegi zrozpaczonymi, żegnającymi go ludźmi, w którym miałby porządny, wspaniały pogrzeb, z pewnością taki, na jaki sobie zasłużył, ale w małej, zimnej i ciemnej krypcie przykościelnej, nikomu bliżej nieznanego cmentarza. Podobno nie było też nikogo, o dziwo, poza Dziewicem, kto odprowadzałby go osobiście w zaświaty. Rzekomo wszystkie starania profesor Dooroby, pomimo, że angażowały najwyższych urzędników, o to, ażeby pochować Urszylla z Zamiłowic z godnością jaka normalnie przysługiwała każdemu martwemu człowiekowi, nie dały żadnych rezultatów. Żaden kościół i żaden cmentarz nie chciał terrorysty odszczepieńca heretyka, jak nazywano tam fachowo kogoś takiego, kim

jawił im się Urszyll. Nawet nie zgodzono się na pochówek przy murach cmentarnych, w miejscu specjalnie przeznaczonym dla właśnie takich śmieci, jak nazwał Urszylla jeden z czołowych kierowników duchowej odnowy, największego kościoła jezusowego. - Nigdy nie mieliśmy z nimi nic wspólnego, i nadal trwać będziemy w separacji! - Nie pomogły żadne prośby, ani żadne groźby, nawet Kardynał Jan Paweł odciął się od problemu i wyłączył swój czerwony telefon. Tak więc, jakoby nie pozostało nic innego, jak skorzystać ze zgody małego, nic nieznaczącego w zorganizowanym religijnym świecie, zakonu Magicznego Serca, i tam, na ich terenie, pochować Urszylla z Zamiłowic. W początkowej wersji miano go spalić, a prochy rozsypać nad okolicznymi polami, w końcu jednak, postanowiono odprawić nabożeństwo żałobne i pochować go zawiniętego w biały mnisi habit, bez trumny, bezpośrednio pod murem klasztornym. Bez krzyża, i bez żadnej tablicy. Razem z nim pochowano podobno też kotkę Mirki Smirnow, Szokę, która, po niespodziewanych i dość intensywnych cierpieniach, zdechła jeszcze tej samej nocy. Mnisi byli mili i bardzo usłużni. Umyli ciało, zawinęli je w czysty, nawilżony różanymi olejkami habit, odprawili piękną mszę, gorliwie pomodlili się za jego duszę, zapalili świece i wonne kadzidła, i teraz czekali w spokoju w swoich celach, aż Dziewic skończy swoją ostatnią z nim rozmowę. A Dziewic miał podobno co mówić: ostatnio wydarzyło się tak wiele, tak wiele, że.... Choć z drugiej strony, byli też i tacy, którzy twierdzili z całą stanowczością, że Dziewic wybrał się do klasztoru tylko po to, aby osobiście sprawdzić, czy Urszyll rzeczywiście nie żyje, a jeżeli okazałoby się jednak, że Urszyll żyje, to aby wypełnić polecenie Maczy, i go wreszcie zabić naprawdę. Może to właśnie dlatego nie ulegając namowom Maczy, Dziewic nie pozwolił sobie na przeprogramowanie. Jednakże, jeżeli wziąć by przyszłe wydarzenia już teraz pod uwagę, pomysły tego typu nie były sensowne, bowiem Dziewic nie tylko pamiętał ostatnie wydarzenia z taką ostrością, jak gdyby to wszystko działo się teraz, to nie dość tego, czuł jeszcze wyraźne wyrzuty sumienia, a straszny smutek i żal, wypełniały mu jego serce upiornym mrokiem. I to było coś zupełnie dla Dziewica nowego. Do tej pory nigdy nie przejmował się żadnymi porażkami: ani swoimi własnymi, ani swoich przeciwników, traktując wszystko razem, jak znakomitą zabawę, w którą bardzo lubił się bawić, i w którą bawił się codziennie... Dzisiaj było jednak inaczej: dzisiaj Dziewica zżerały straszne wyrzuty sumienia, i po prostu bardzo cierpiał, a rozbiegane myśli nie dawały mu ukojenia. Ani spokoju. To nie myśli jednak, lecz uczucia były najgorsze. Wypełniając go całego

przepełniały wręcz, rozlewały się po całym jego ciele jak rwąca powódź, i jak rwąca trucizna go żarły. Pomimo wielu zabezpieczeń na przeróżnych poziomach i płaszczyznach, Dziewic czuł, że tego nie wytrzyma. I że dzisiaj musi wydarzyć się coś wyjątkowego lub wyjątkowego i strasznego jednocześnie. Na szczęście na razie nic nie zapowiadało katastrofy: Dzień był piękny: świeciło słońce, wszędzie kwitły wiosenne kwiaty roznosząc duszną woń wiosny, a gobelin żółtych mleczy przykrywał cały cmentarz dywanem świeżo narodzonego życia. Na gałęziach i czystym niebieskim niebie śpiewały ptaki, nawet wiewiórki, których ostatnio było coraz mniej, skuszone tą dziwną ciszą, i absolutnym bezruchem, schodziły z konarów drzew, i przysiadały na trawie, tuż przed wejściem do krypty, w której samotny, ponoć martwy Urszyll zawinięty w biały, mnisi habit, i samotny, ale ciągle żywy Dziewic, stojący tuż - tuż, na wyciągnięcie ręki, zmagali się ze sobą po raz ostatni. Dziewicowi łzy płynęły po twarzy... Twarz Urszylla przykryta była habitem, więc Dziewic nie mógł jej zobaczyć, lecz pchnięty jakimś wewnętrznym impulsem postanowił to zmienić. Nachylił się i właśnie odsłaniał mu twarz, kiedy nagle usłyszał znowu ten słodki głos, dzisiaj jednak dość natarczywy, którego również nie mógł w ogóle jakoś zapomnieć: - Chyba już dość Dziewicu....! - Dziewic przetarł nerwowo twarz, koncentrując się podniósł oczy, i nawet się odwrócił, ale krypta była zupełnie pusta, więc poza nim samym, nie mogło w niej być nikogo żywego. - Wydawało mi się... - Pomyślał. - Mam zwidy... - Prostując się odsłonił habit, lecz pod habitem nie było nikogo. Zaskoczony zdziwił się lekko, lecz zaraz potem zdziwienie ustąpiło miejsca wypełniającej go błyskawicznie niechęci przemieszanej z olbrzymią przekorą. - Chyba nie zmartwychwstałeś, dupku?! - Wyszeptał. W odpowiedzi usłyszał ten sam znany śmiech kobiecy i coś zaczęło go z ogromną siłą ściskać za gardło wykręcając jednocześnie całe jego ciało we wszystkich kierunkach. Dziewic przykucnął, nerwowo lecz jednocześnie bardzo uważnie zaczął się rozglądać, i pomimo tego, że obeznany był bardzo dobrze ze wszystkimi sztuczkami astralnych światów i, z ich nie zawsze dla niego miłymi mieszkańcami, przestraszył się nie na żarty, bowiem coś podobnego przytrafiało mu się po raz pierwszy. - Czyżbym go rzeczywiście aż tak bardzo nienawidził....?! - Pomyślał. Skrzyżował palce lewej dłoni, prawą kładąc jednocześnie na sercu, lecz to nie przyniosło mu żadnej ulgi. Nagle zabrakło mu powietrza. Złapał się więc za szyję ciężko dysząc, zatoczył się, i pochylił. Po chwili upadł jak kłoda na posadzkę. Potem były drgawki, a biała piana wypłynęła mu z ust. Wydawało mu się, że umiera. Wyraźnie było to po nim

widać, że jeszcze moment, a będzie rzeczywiście po nim i, że to nie są żadne żarty. Dziewic szamotał się chwilę, lecz siła śmierci była silniejsza od niego. Przestał walczyć i znieruchomiał. W tym samym też momencie jego serce rzeczywiście stanęło, lecz jego życie tylko pozornie opuściło ciało.

Gdy Dziewic otworzył oczy, nie wiedział czy śpi, czy jest może w transie, czy rzeczywiście umarł. Przez pierwszą chwilę nie mógł się w ogóle zorientować gdzie jest. Słońce stało wysoko, i musiało być już co najmniej południe. Dziewic wstał dość lekko, przypatrzył uważnie krypcie, a nie znalazłszy niczego co by go zaciekawiło, wyszedł na zewnątrz. Kątem oka dostrzegł paru mnichów robiących coś pod murem klasztornym, pomyślał więc, że pójdzie i zobaczy. I tak też zrobił. Przechodząc obok olbrzymiego, klasztornego okna mimochodem zajrzał do środka, skusiła go bowiem zwiewna melodia dochodząca, jak mu się wydawało, właśnie stamtąd. Lecz gdy zobaczył to, co zobaczył, włosy stanęły mu dęba na głowie: na ogromnym rozbujanym już całkiem nieźle żyrandolu, siedziała naga Macza śmiejąc się do rozpuku, jednocześnie jednak jej zimne jak lód, zielone oczy wpatrywały się w Dziewica z taką intensywnością, że Dziewic po raz pierwszy w życiu poczuł prawdziwy strach. Do tego Macza przyzywała go wyraźnie do siebie. A może to nie jego... Na podłodze dostrzegł roznegliżowaną przeoryszę i... Nie wierzył własnym oczom. Ale to był jednak on: Urszyll z Zamiłowic. Przeorysza uśmiechając się do Dziewica lubieżnie pozwalała folgować swojej wybujałej wyobraźni, ujeżdżając Urszylla jak zawodowy jeździec. W pewnym momencie Dziewic wyraźnie poczuł, że zaraz znowu starci przytomność. Zachwiał się nawet. Prostując się zdał sobie sprawę, że nie jest sam. Wyraźnie wyczuwał obok czyjąś obecność. - Nie odwracaj się! - Usłyszał. - Usiądź. Porozmawiamy. - Dziewic podszedł do ławki i usiadł. I teraz się odwrócił. Obok siebie zobaczył Urszylla z Zamiłowic z Szoką na kolanach. Oboje byli jak najbardziej żywi, i jeszcze do tego uśmiechali się do niego.

- Pewnie nigdy nie słyszałeś o nieśmiertelności?! - Zagaił Urszyll z Zamiłowic. Dziewica zatkało. Otworzył usta jakby chciał coś powiedzieć i tak zamarł. - Otóż wiedz, że na odpowiednim poziomie i w odpowiednim wymiarze, wszyscy jesteśmy nieśmiertelni, lub raczej, i dokładniej, jesteśmy samą Nieśmiertelnością. - I tu Urszyll dotknął Dziewica ręką. Dziewic poczuł wyraźną ulgę. - Ty żyjesz?! - Zapytał. - Żyję i nigdy nie było inaczej, Dziewicu. To raczej ty, pomimo

tego, że wydaje ci się, że ciągle żyjesz, jesteś już od dawna zimnym trupem. Ale nie martw się. Niedługo nadejdzie i dla ciebie lepszy czas. Thenahå... - Czy mógłbym się przed tobą wyspowiadać?! Bardzo cię proszę... - Przerwał mu Dziewic, i sam strasznie tym pytaniem zaskoczony, zamilkł. - Wyspowiadać?! - Prawie wrzasnął Urszyll. - Czyżbyś oszalał Dziewicu?! Czyżbyś rzeczywiście chciał po tym wszystkim porozmawiać sobie ze mną ot tak, jak gdyby nigdy nic?! Przecież mnie zabiłeś! A do tego jesteś ateistą! - Ateistą?! Jakim ateistą, Urszyllu?! Co ty pleciesz?! Byłem, jestem i zawsze będę katolikiem! I to z krwi i kości! - Ale ja nim nie jestem! - Wrzasnął Urszyll. - I nie zamierzam nim być! - Nie zamierzasz…?! A miłość? A dobroć? A Thenahå? Chcesz mi wmówić, że to tylko taki pic??!! - I Dziewic wybuchnął szaleńczym śmiechem. Po chwili uspokoił się jednak i powiedział: - Przepraszam. Wybacz mi. Nie chciałem ci dopiec, ale… Bo wiesz, dzieją się rzeczy tak dziwne, i dla mnie w ogóle niezrozumiałe, nad którymi w dodatku w ogóle nie panuję... Dooila, Macza... Twoja niby śmierć... No i to wszystko... Rozumiesz?! - O rany, Dziewicu, w ogóle cię nie poznaję! Co z Tobą?! - Czyżbyś rzeczywiście aż tak żałował, że mnie zabiłeś?! - I tu Urszyll przypatrzył się uważnie Dziewicowi. - Nie wierzę ci! A poza tym jak mam normalnie rozmawiać z gangsterem?! Bo przecież jesteś gangsterem, nie?! - Lecz Dziewic z jakiegoś powodu nie odpowiedział. Siedział nieruchomy i nieobecny. Zasępił się nawet. I nic nie mówił. Patrzył tylko prosząco na Urszylla. - Dziewicu, nie patrz tak na mnie, bo się jeszcze rozpłaczę! - Żachnął się Urszyll, ale i to nie poskutkowało. - …Jeżeli rzeczywiście musisz, i masz rzeczywiście na to ochotę... Jeżeli już.... Dziewicu... Nooo... No... Dobrze. - Po chwili dodał jednak. - Lecz nie wiem czy powinienem... I czy właściwie mogę, bo chyba za bardzo cię nienawidzę... - Ale byłeś przecież Apostołem... - Ładnie to powiedziałeś Dziewicu: Byłeś apostołem. Masz zupełną rację: byłem apostołem, ale jak sam to wiesz z autopsji, już nim nie jestem. - Jak to nie jesteś?! - Prawie wykrzyknął Dziewic. - A reinkarnacja?! A nieśmiertelność?! - A nieśmiertelność?! - Wpadł mu w słowo Urszyll. - No nieśmiertelność.... - Zaczął niepewnie Dziewic. - Bo jeżeli byłeś, no... To i nadal jesteś, nie?! - Nadal jestem?! - Nadal jesteś! - Nadal jestem.... Mmmm... Wiesz... Chyba rzeczywiście masz rację. Chyba rzeczywiście nie na darmo byłem apostołem Miłości i Dobroci. - I tu Urszyll popadł w krótkie zamyślenie. - Do cholery! - Wykrzyknął nagle. - Niech więc tak będzie. Niech będzie światłość! I niech będzie miłość! I dobroć! I do cholery z tym gangsteryzmem! - I Urszyll uśmiechnął się szeroko. Wyciągnął rękę i nagle mocno objął nią Dziewica. - Za-

czynaj, więc... - Powiedział.

- No więc - zaczął trochę zaskoczony Dziewic - jak wiesz, urodziłem się normalnie, tak jak wszyscy. No, może niezupełnie tak jak wszyscy, bo po wojnie. Dość wcześnie zostałem również opuszczony, porzucony i zdradzony, i to pewnie dlatego mówią o mnie często M*a-laimeus,* o ile rozumiesz, o co mi chodzi, Urszyllu. - Urszyll uniósł błagalnie oczy ku niebu, na zaczepkę Dziewica nie powiedział jednak nic. - Najpierw opuścił mnie ojciec - po krótkiej przerwie niemego oczekiwania rozpoczął na nowo Dziewic - a potem i matka. Wychowywali mnie więc ludzie obcy. Bez twarzy, bez tradycji i bez honoru. Z zatrzaśniętymi klapami pamięci, Urszyllu, dla których nowa wiara była jedynym kluczem poznania. - Urszyll uśmiechnął się kwaśno. - Na szczęście nie udało im się mnie złamać do końca, tak też moje przekonanie, że Wolność, Równość i Braterstwo to wartości najwyższe, zawsze było mi najbliższe. A myślę nawet, że Równość zajmuje miejsce naczelne, i że jej zwycięstwu muszą być podporządkowane i wolność i braterstwo. Z tego też pewnie powodu widziałem wiele swoich łez i cierpień, widziałem też wiele łez i cierpień innych. Kim byłem...?! Kim jestem...?! Nie wiedziałem tego nigdy, i nadal tego nie wiem, bo wydaje mi się, że otoczony byłem zawsze, i że nadal zewsząd otoczony jestem bezdusznym potworem bez twarzy, dla którego chęć przeżycia przede wszystkim, jest najważniejsza, dla którego więc Prawda, Wiedza, Miłość i Dobroć to tylko puste słowa porozrzucane po pożółkłych stronach życia jak zeschłe liście po opuszczonym i zaniedbanym parku. Zawsze z utęsknieniem czekałem na ten wyjątkowy dzień, który miał przyjść i uwolnić mnie od tego okropnego niepojęcia, ale on nigdy nie nadchodził, i do dzisiaj.... Chchach-chachcachaa... Chachacha-chachacha... - Doleciał ich słodki, kobiecy śmiech z otwartego nieopodal okna. Dziewic wyraźnie się zmieszał. - Mów dalej, proszę. - Zachęcił go uśmiechając się Urszyll. - Tam zabawimy się dopiero później..... - Jak to, zabawimy się tam... Później?! - Mów, kurcze, Dziewicu! - Urszyll trzasnął ręka w ławkę, a Szoka wypięła ciało w łuk sycząc przy tym złowrogo. Dziewic zbaraniał. - Moja matka - zaczął jednak - zawsze mówiła: Chcę tylko twojego dobra, twojego szczęścia pragnę. Płakała i wiedziała, a może nie wiedziała, że tym płaczem wymusi na mnie każdą zgodę, płakała, i wiedziała, a może rzeczywiście nie wiedziała, że ten płacz to jest właśnie to, to, co zmusi mnie do każdej uległości, i rzeczywiście, to było to, to było właśnie to. Mój ojciec, jak wyciosany w marmurze strażnik więziennego państwa, z zatrzaśniętym wiekiem jego

czerwonego mózgu, nadspecjalny, z zatrzaśniętą klapą pamięci, dawno już zapomniał o swoim prawdziwym pochodzeniu, bo taka moda nastała dla nich, dla nadspecjalnych, rozumiesz? Nie pamiętają niczego, nie chcą niczego pamiętać, tylko te ich własne, malutkie, rozbuchane sukcesiki, pragnienia, pożądania, i zadania, które musieli, i pewnie nadal muszą wykonywać i codziennie realizować, aby przetrwać. Aby żyć. Aby czuć się dobrze i dostatnio w tych ich betonowych klateczkach. Potem, jak pewnie wiesz, był okres tułaczki po świecie, w poszukiwaniu lepszego świata, i lepszych ludzi. Lecz i to na nic. A potem... - Dziewic spojrzał wymownie na Urszylla. - A potem była już tylko Dooila. I Macza. I sprawy, i wyprawy, i podróże. W wymiary, o których się nikomu nie śniło, nawet tobie Urszyllu. To był trudny czas, ale tylko do momentu, w którym moja praca nie zetknęła mnie z tobą, i w którym niejasno począłem przeczuwać, że to co robię, a co traktowałem nie zawsze jako najlepszą zabawę, może nią być na całego: bezkarne robienie wszystkiego tego, co sobie tylko wymarzysz. Władza bez odpowiedzialności, życie bez granic, szmal, wolność, radość... - Zabijanie! Nienawiść! - Przerwał Dziewicowi Urszyll. - Przemoc! Wszelkie te manipulacje, łącznie z tą najstraszniejszą, najnowszą, którą nazwę tutaj sczytywaniem duszy, żądza władzy za wszelką cenę, inwigilacja, szerzenie dezinformacji i dezintegrowanie społeczne, sprzeczne ze sobą prawa i reguły, podjudzanie i wzajemne skłócanie, podglądanie, szpiegowanie, sczytywanie i przeprogramowywanie wszystkich i wszędzie, to tylko mały dorobek twojej z nimi współpracy. A ty mówisz: Wolność?! Radość?! Chyba oszalałeś Dziewicu?! - Jaka nienawiść?! Jaka przemoc?! Uwierzyłeś tym wszystkim dupkom i ich oszalałej propagandzie?! - Z nieukrywanym zdziwieniem Dziewic popatrzył twardo na Urszylla. - Czy jak?! - Po chwili uśmiechnął się z wyraźnym politowaniem, jednocześnie kręcąc głową. - A gdy spotkałem Maczę - mówię ci - moje życie rozpoczęło się rzeczywiście na dobre. Takiej kobiety jak ona nie spotkałem nigdy przedtem. Jest dla mnie wszystkim. - Chachachchcahaca-cha... Chchachchachachacha... - Śmiała się przeorysza. - Zawsze to wiedziałem, że nigdzie poza Dooilą nie mógłbym spotkać kogoś dla mnie wspanialszego, kogoś, kto tak pięknie mnie zdobył, i udowodnił, i to nie tylko mnie, ale przede wszystkim całemu temu popieprzonemu światu, że człowiek, jeżeli tylko zechce, może wszystko, że razem możemy zmienić cały świat, że razem potrafimy to, czego nawet ty nie potrafisz z tym całym twoim rozmiłowanym teatrem. To tak jakby pstryknąć palcami i już! Takie współczesne czary-mary. Nie ma dla nas rzeczy

niewykonalnych. Nie ma rzeczy, które mogłyby się oprzeć jakiejś naszej ochocie, czy jakiemukolwiek naszemu pragnieniu. To tak jakby wszystko było już dużo, dużo wcześniej, a może nawet od zawsze, tak zaprogramowane. Zaprogramowane na fest! - Chyba nie chcesz mi powiedzieć Dziewicu, że podobnie jak i ja, żyłeś w Esencji?! - Zapytał z sarkazmem Urszyll. - Oczywiście! Prychnął Dziewic. Przecież wiesz, i tak jak i ja znasz twierdzenia Dżadżijeffa: gdyby wszyscy ludzie żyli zawsze w Esencji, to określony typ podświadomości zawsze odnalazłby odpowiedni typ nadświadomości, a odpowiedni typ Esencji odpowiedni typ życia, a tym samym niewłaściwość nigdy by się nie urealniła. Ale ludzie żyją na co dzień tylko w swojej osobowości, a osobowość, jak to osobowość, ma swoje zainteresowania, i swoje własne gusta, które przeważnie nie mają nic wspólnego z zainteresowaniami i gustami ich Esencji. - No, no… Całkiem nieźle Dziewicu. Nie ma co! - Lecz Dziewic dziwnie jakoś to zignorował. Nerwowo rozejrzał się dookoła, pochylił nad Urszyllem, i przyciszonym, tajemniczym głosem, zaczął mówić tak szybko, jakby jakaś oszalała w nim maszyna, popuściła nagle cugli: - J e d n o c z e ś n i e m u s i s z z r o z u m i e ć i p o j ą ć ż e t o w s z y s t k o t o t y l k o t a k a w i e l k a m i s t y f i k a c j a t a k a w i e l k a s e k s p e d y c j a w s z y s t k i e g o z e w s z y s t k im... - Chachachachacha… Chacha-chachacha, Chachachachacha... - Śmiała się szaleńczo Macza. - Chachachachachacha-chacha.... - Śmiała się przeorysza. - Chchachachacha.... - Śmiały się mniszki. - Jeżeli tak, Dziewicu, to powiedz miły, co z winą, i z niewinnością? Co z sumieniem? Porządkiem? Więzią, pokorą i czcią? I jeżeli każdy jest wolny w tym, co sam czyni lub, czego nie czyni, według własnej woli, jakie skutki przynosi to dla innych? I dlaczego mówisz tak szybko, Dziewicu?! - Zapytał rzeczowo Urszyll. Dziewic, ciągle nerwowo rozglądając się dookoła, nie przerywał, mówił, pędząc przez przestworza swojej świadomości dalej jak wariat: - S e k s t r a n s m u t a c j a w s z y s t k i c h p o z i o m ó w i r z e c z y w i s t o ś c i w e w s z y s t k i c h d e t a l a c h i s z c z e g ó ł a c h j e d n o c z e ś n i e w c a l e n i e d a j e p e w n o ś c i ż e m o ż e m y b y ć t a c y w o l n i j a k b y ś m y w t o c h ę t n i e w i e r z y l i b o w i e m j e ż e l i d z i a ł a m y b e z u z n a n i a n a s z y c h w i ę z i t o j e s t t o ś l e p e d z i a ł a n i e - Ale przecież… Próbował powiedzieć coś Urszyll. - Ach, Urszyllu! - Żachnął się Dziewic nie dopuszczając Urszylla do głosu i zwalniając nagle. - Ta cholerna grawitacja i równie cholerna średnica tej naszej zasranej planety, blokady energetyczne, enzymy, geny, wydepilowane DNA, dereesocjalizacja, bomby mózgowe, a, i ta cała rozbuchana reszta, niepozwalająca

nam na nic. Na nic a nic, i jeszcze raz na nic…- Czy ja aby na pewno dobrze słyszę?! - Krzyknął Urszyll przerywając Dziewicowi w pół zdania. - Czy może się jednak przesłyszałem?! I kto tu kogo udaje?! - Ciągle obaj jesteśmy tu obecni - spokojnie odparł na to Dziewic - i jak sam to podkreślasz, śmierć nie istnieje, to tylko taka maska... więc… - To co ty tu wygadujesz do diabła?! - Krzyknął Urszyll wpatrując się energicznie w Dziewica. - Tak, tak Urszyllu - Dziewic uśmiechnął się uspakajająco - obaj tu jesteśmy, a śmierć? To tylko taka maska, to tylko rodzaj transmutacji, apokazastazis... Śruti… Powrót do źródła... Głębia. - I tu zamilkł. Wyraźnie nie chciał już nic więcej powiedzieć. Urszyll też milczał. Milczeli więc przez jakiś czas obaj i tylko radosne śmiechy młodych kobiet i tę szaloną muzykę niosło po ogrodzie.

I teraz przyszła kolej na Urszylla. Uważnie, z jakimś głębokim, porywczym namaszczeniem, wpatrując się do tego dotkliwie w Dziewica, przerwał trudną ciszę. - A ja jestem B*atteredus,* Dziewicu, o ile to w ogóle możesz pojąć. - Battere… - Prychnął Dziewic wybuchając śmiechem. - Batteredus… A niech mnie! - Powtórzył, i z rozbawieniem wpatrzył się w Urszylla. - I gdyby nie Thenahå, Dziewicu - Urszyll twardo, z wyraźnym wyrzutem popatrzył na Dziewica - nie byłoby ani mnie, ani ciebie, ani niczego dobrego. I to nigdzie. Żadnego soku! Żadnego Ojca. Ani żadnej Matki. Nigdy nie podjąłbym też próby uwolnienia siebie samego od siebie samego. Czy rozumiesz, co mam na myśli?! - Dziewic w milczeniu tylko się wykrzywił. - Nie wiem czy wiesz, ale do transmutacji, potrzebowałem pełnych czterdziestu lat. Czy myślisz, że to było łatwe?! To nie było łatwe, wierz mi, a do tego to nasze otoczenie! Ale powtarzam ci to, i to zapamiętaj: miłość i dobroć niweluje wszelkie różnice! Łączy łańcuchem więzi współzrozumienia i współodczuwania. Lecz dopóki nie zintegrujesz energii serca z energią rozumu, a energii duszy z energią… - Ciała. - Powiedział Dziewic. Urszyll z politowaniem pokiwał głową. - Z energią Esencji, ciołku! - Wypalił, aby natychmiast kontynuować: - To niczego nie tylko, że nie będziesz mógł zrobić, ale, i nie zrobisz. Niczego nie będziesz więc poszukiwał, ani niczego nie będziesz pragnął, poza posiadaniem, oczywiście. Nie mogąc więc wiedzieć nic a nic o tym, o czym ja tutaj mówię, lepiej żebyś niczego przedwcześnie nie próbował. Zanim nie zdobędziesz nowego i dokładnego rozeznania, zupełnie wystarczy ci to, jeśli twoim życiem będą kierowały zwykłe reguły i zasady, bo jeżeli zaczniesz w tej sferze teoretyzować i wymyślać jakieś idiotyczne ruchy, to może cię to dopro-

wadzić tylko do głębokiej, sfrustrowanej psychopatii. Pamiętaj też i o tym, że tylko osoba, która ma otwartą czakrę serca, czyli pod względem przepływu emocji jest normalną, ma jakąś szansę, szansę na jakąkolwiek zmianę. Wszelkiego rodzaju oryginalność, dziwne gusty, dziwne pożądania, czy też z drugiej strony, wszelkie lęki i ograniczenia, muszą zostać zniszczone, i to na samym początku. Współczesne rodziny, a współczesna edukacja w szczególności, tworzą ogromną liczbę wszelkiego rodzaju pomyleńców. Nie mają oni żadnej szansy na jakąkolwiek zmianę: Thenahå w ich życiu nie pojawi się nigdy... Ale najgorszym wydaje mi się życie z ludźmi, którzy mogą i umieją, lecz bardziej lub mniej świadomie, nie chcą transmutować, ponieważ, najczęściej, prowadzi to do całkowitej klęski pożycia, i jakiegokolwiek innego wspólnego. W ich życiu nie pojawi się nic ponad, oraz poza, nienawiścią i przemocą. Będąc bowiem z gruntu sobie zupełnie obojętnymi, związanymi tylko złowrogimi więzami pożądania, doprowadzą jedynie do tego, iż wydarzą się między nimi rzeczy tylko najgorsze. A to z kolei uświadamia mi, jak i przypomina i o tym, że mężczyzna może się stać mężczyzną tylko wtenczas, kiedy będzie z prawdziwą kobietą, i odwrotnie, kobieta - kobietą - kiedy będzie przy prawdziwym mężczyźnie. Do miłości należy bowiem to, że oboje chcą siebie nawzajem jako mężczyznę i jako kobietę, właśnie. Lecz jeżeli wybrana przez mężczyznę kobieta nie podąży za nim lub, on za nią, nigdy nie ustrzegą się klątwy pokoleń, a duchy przeszłości dopadną ich wszędzie. Pomimo tych niebezpieczeństw jednak, powinieneś za wszelką cenę dotrzeć do *ankh* i ją codziennie praktykować! - Dokładnie. - Odzyskując nagle mowę powiedział Dziewic. - Dokładnie tak. - I dalej, jak gdyby nigdy nic: - Dzisiaj wmawia się wszystkim, że sprawy te są najnormalniejszymi pod słońcem potrzebami fizjologicznymi człowieka i że nie ma w nich niczego magiczno mistycznego. A przecież każdy kto miał szczęście się naprawdę kochać wie, że nie jest to doświadczenie zwykłe - przeciwnie, jest ono jednym z najbardziej skrajnych, jakie mamy okazję w ogóle przeżyć tu na Ziemi. To największe z możliwych ludzkich dopełnień, bowiem przez nic innego jak właśnie przez nie, stajemy się wiedzący i mądrzy, i ludzcy, i wielcy. Ja Urszyllu miałem dużo więcej szczęścia niż ty. Moją transmutację zainicjowała Macza eony czasu temu, dużo-dużo wcześniej zanim poznałem ciebie. Wykorzystaliśmy ją oczywiście nie tylko do najwspanialszego pod słońcem kochania się, ale i do naszych prywatnych celów, a dokładniej, do przetwarzania lub wytwarzania dodatnio ujemnego pola grawitacyjnego, potrzebnego nam koniecznie do wszelkich prac związanych z hiper-

przestrzenią, nie mówiąc oczywiście o pracy z wielkimi energiami demonicznymi, do których bez odpowiedniego duchowego przygotowania, w ogóle nie mogliśmy się dobrać. To była dopiero energia, mówię ci. A nasza intymność... To dopiero one uświadomiły mi, że coś takiego jak połączenie z drugim człowiekiem, w ogóle istnieje, i że może być też udziałem i mojego życia. - Dziewic zamilkł nagle wyraźnie coś sobie przypominając. - Wiesz - powiedział - jeszcze z nikim nie rozmawiałem w ten sposób, i o takich sprawach.... - Masz ogromne szczęście, Dziewicu... - Urszyll wpadając mu w słowo pokiwał znacząco głową. - Że spotkałeś mnie na swojej drodze, a tak niewiele brakowało, żeby... - I Urszyll zamilkł. - Żeby co?! - Spytał zaskoczony Dziewic. Ale Urszyll z Zamiłowic wyraźnie zignorował Dziewica i jego pytanie. Sadzając Szokę na kolanach Dziewica wstał. - Piękny mamy dziś dzień. - Powiedział jak gdyby od rzeczy przeciągając się do tego. - Naprawdę piękny. I zaraz dodał. - Przyniosę nam coś do picia.

- Przyniosłam Panu coś do picia. - Przeorysza stała tuż przed Dziewicem. - Pomyślałam sobie, że to Panu na pewno dobrze zrobi.... - W dłoni trzymała kryształowy kieliszek, a lekki wietrzyk poruszał jej habitem bez przerwy go rozchylając i ukazując, to znów ukrywając przed Dziewicem jej piękne, młode ciało, które, będąc i młodym i pięknym, wzbudziło w nim wyjątkowo wielkie pożądanie. - Tym razem to własnej roboty różane wino: *Artemisia Absyntium, Citrus sinesis, Cupressus Funebris, i Tabemathe Ibogaini Manii*. Mówię Panu, prawdziwa rozkosz dla podniebienia, szczególnie w taki dzień, po tylu przeżyciach... - Podała Dziewicowi kieliszek nachylając się nad nim jakoś tak dziwnie. I blisko. - Jeżeli chce Pan u nas zostać jeszcze jakiś czas, to - pogłaskała mruczącą Szokę po głowie - proszę spokojnie sobie tu posiedzieć, ale przed kolacją, proszę mnie koniecznie odwiedzić, a potem.... Potem będziemy musieli się jednak rozstać... Pan rozumie, prawda?! - I nie czekając na odpowiedź, Przeorysza wyprostowała się, poprawiła habit, uśmiechnęła się do Dziewica jeszcze promiennie i odchodziła już do swoich poprzednich zajęć, ale jeszcze się obejrzała, i zapytała z lekkim, rozbawionym, jednocześnie jednak gniewnym tonem w głosie: - Skąd u licha ten dziwny kot na pana kolanach?! Przecież my nie mamy tutaj żadnych kotów! - Dziewic wzruszył ramionami, uśmiechnął się przepraszająco, tak, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic jednak nie powiedział. Przeorysza postała chwilę wahając się, odwróciła się jednak i odeszła. Dziewic został sam na sam ze swoimi myślami, z pucharem przedniego

różanego wina w dłoni, i z tym dziwnym kotem Mirki na kolanach. Musiał się sam przed sobą samym przyznać, że pomimo tego, iż czasami wydawało mu się, że coś z tego wszystkiego rozumie, nie rozumiał jednak niczego. Przede wszystkim ciągle nie wiedział gdzie jest. Nie mógł też ciągle pojąć, jak to się dzieje, że się dzieje: że siedzi tutaj, w tym ogrodzie, i już od przeszło dwóch godzin rozmawia z trupem?! I to do tego trupem swojego największego dotychczasowego wroga, Urszylla z Zamiłowic, który jak gdyby nigdy nic, siedząc sobie tuż obok niego, obejmuje go jeszcze ramieniem, a on sam, zamiast oczywistej pogardy i zawiści, tak potrzebnej do zabicia go wreszcie naprawdę, czuje wdzięczność, tkliwość i prawdziwe ukojenie. To wszystko nijak nie mieściło mu się w głowie, nie trzymało się też kupy… - Chyba już czas, Dziewicu? - Pytanie to, zadane tym słodkim, melodyjnym i ciepłym głosem kobiecym, wyrwało Dziewica z zadumy nad samym sobą. - Co mówiłeś Urszyllu?!

- To nie ja mówiłem, Dziewicu. To ONå... - Urszyll siadał z dwoma pucharami wina w dłoniach, jeden podając właśnie Dziewicowi. - Powoli zbliża się czas nieubłaganych zmian… Ale za nim to nastąpi, mam jeszcze małe pytanie do ciebie, Dziewicu. - Urszyll uśmiechnął się do Dziewica. - Powiedz mi miły, ale tak zupełnie prywatnie i szczerze, z jakiego powodu właściwie przemoc? I dlaczego właściwie nienawiść? - Dziewic upił mały łyk wina. - Mmmm… Dobre. - Powiedział z uznaniem. A potem dodał: - No cóż, dlaczego przemoc? - I zaraz potem. - W przeciwieństwie do tego, co sam mówisz Urszyllu, współczesny człowiek, to nie wyjątkowe pomieszanie wszystkiego ze wszystkim. Współczesny człowiek, to też nie jakiś rodzaj mechanicznej, automatycznej, nieświadomej, zadufanej, samobieżnej, biologicznej rury wszystko trawiącej. Wiedz, że podczas moich wszechstronnych i wieloletnich studiów na najlepszych, ponadnarodowych, prywatnych Uniwersytetach, uczono nas - choć nie powinienem tego nikomu opowiadać, bo to ściśle tajne informacje, ale tobie w drodze wyjątku, opowiem, więc słuchaj - że istnieje ściśle określona ilość typów, no może nie typów, ale rodzajów człowieka. Wszyscy oni z zewnątrz wyglądają tak samo, ale wewnątrz stanowią zupełnie odrębne gatunki i rodzaje, a nawet, jeżeli można by to tak określić - to zupełnie inne istoty. - Dziewic spojrzał znacząco na Urszylla. - Czy pojmujesz tego implikacje?! Czy czujesz tę wagę problemu?! Są tylko trzy rodzaje ludzi, i to głównie miedzy nimi rozgrywa się każdy dramat naszej szarej codzienności, jak i każdej ludzkiej rzeczywistości globalnie. Pierwsi z nich to ci, którzy chcą, mogą

i potrafią. To tacy genetyczni wojownicy, rodzaj wirusa, albo drożdży, które tak długo będą wykorzystywać każde środowisko, aż nie tylko, że go całkowicie zniszczą, to, aż zniszczą siebie samych. To ślepa, nieokiełzana prze-moc, nienawiść, zawiść, wyzysk, wojna i śmierć. To jednak też absolutna radość życia, porywczość, bezkompromisowość, wytrwałość, prężność, i absolutna głupota. To tym samym samo czyste życie. Życie bez konsekwencji, bez przemyśleń, i bez planów, czysty egoizm, i czyste szaleństwo. Wzajemne, zachłanne, i rozkoszne rozmnażanie się, i równie wzajemne, równie zachłanne i równie rozkoszne pożeranie, i to na wszystkich płaszczyznach, i we wszystkich wymiarach jednocześnie. Drudzy, to ci, co też teoretycznie mogąc wszystko, nie tworzą jednak niczego. Ich działalność ogranicza się do bycia, patrzenia i dziwienia się, że to wszystko wygląda tak, jak właśnie wygląda. To taki jak gdyby fundament przetrwania tych pierwszych, cement scalający ich wszystkich w jeden olbrzymi organizm, bo bez tych drugich, ci pierwsi, byliby niczym, lub raczej, nie byłoby ich w ogóle. Trzeci rodzaj ludzi, to ci, którzy nie mogą, nie umieją i nie chcą tworzyć niczego. Pomimo, że mają oczy, nie widzą, pomimo, że mają serca, nie czują, i pomimo tego, że mają mózgi, niczego nie rozumieją. To taka bezrozumna masa plastyczna, materiał twórczy lub jak wolisz, ludzie do wykorzystywania, zniewalania i zabijania. - Urszyll ze zdziwieniem popatrzył na Dziewica i nawet zapytał: - Do zabijania?! - Tak, tak, Urszyllu, dobrze słyszysz. Do zabijania. A czemu by nie?! Materiał ludzki jest najtańszym materiałem ze wszystkich mi znanych, a ludzie rozmnażają się szybciej i skuteczniej niż wszystkie króliki razem wzięte, więc, co?! Czym tu się przejmować?! Jeżeli musisz się już czymś przejmować, to raczej powinieneś przejąć się samym sobą, bo ty, należąc do kategorii drugiej, też jesteś w rodzaju tym jakimś, bezmyślnym tylko wypełniaczem, materiałem na coś, co jeszcze nie zaistniało, a zaistnieć przecież powinno. Pragnę abyś mnie dobrze zrozumiał, Urszyllu. My jesteśmy wszystkim i wszędzie. I to od nas zależy wszystko. My podejmujemy decyzje, a wy je nam tylko urzeczywistniacie. My powołujemy proces zwany życiem, zarządzamy nim i go kontrolujemy. A wy jesteście tylko po to, aby nam to umożliwić. Ty twierdzisz, że nasze współczesne społeczeństwo, to pewnego rodzaju konglomerat, to rodzaj Jedni, wymieszanie wszystkiego ze wszystkim, i jak mi się zdaje, twierdzisz, że to właśnie to wymieszanie jest prawdziwym fundamentem wszystkiego: Thenahå połączona z Djabyłelicą w jednej helisie. Romański Sacer, i grecki Pharmakos. Czysta boskość i niebiańskość, harmonia i doskonałość,

miłość i dobroć, i jednocześnie jej ciemne przeciwieństwo: grubiaństwo, sprośność, dysharmonia, nienawiść, zło i przemoc. Oto - według ciebie - kwintesencja wszystkiego, nasza matka i nasza królowa. Ta, która jednych wywyższa, i ta, która innych poniża. Ale mylisz się mój drogi poważnie. Nasze społeczeństwo, to nie wymieszanie wszystkiego ze wszystkim w jednej helisie, jak to ładnie ująłeś, lecz czysto samolubne stado, które nie uwzględnia i nie praktykuje żadnego współdziałania miedzy jego osobnikami. Nie ma tu żadnego altruizmu, jest tylko wzajemna samolubna eksploatacja. W naszej rzeczywistości nie zdarza, się, aby pojedyncze osobniki podejmowały działanie, by - jak się to tobie wydaje - ochronić współczłonków grupy przed jego własnymi drapieżnikami. To tylko taka twoja ludzka słabość, wszędzie bowiem chciałbyś dostrzec działanie Dobroci i Miłości, których jednak tam, gdzie akurat patrzysz, w ogóle nie ma, i nigdy też ich tam nie było. I rzeczywiście Urszyllu: zwierzęta tak jak i ludzie, nie zachowują się altruistycznie, lecz jedynie w sposób czysto egoistyczny, co jednak powoduje też częste działania na rzecz współplemieńców. Mój dobry znajomy, profesor Trawers posuwa się w swoich twierdzeniach znacznie dalej. Uważa bowiem, że wiele z charakterystycznych dla ludzkiej psychiki uczuć - jak nienawiść, zawiść, poczucie winy, wdzięczność, współczucie, miłość, itd. - zostało ukształtowanych przez dobór naturalny tylko po to, aby udoskonalić nasze umiejętności oszukiwania, wykrywania oszustw, i unikania posądzeń o oszustwo. Szczególnie interesujący są wyrafinowani oszuści, którzy pozornie odwzajemniają się, ale którzy konsekwentnie dają w rewanżu zdecydowanie mniej niż otrzymują. - Dziewic spojrzał wymownie na Urszylla. - Czyżbyś i ty do nich należał, Urszyllu?! - Urszyll osłupiał. Już chciał coś powiedzieć, ale Dziewic nie dopuścił go od głosu. - Ależ Urszyllu! Daj spokój i posłuchaj. Jest wręcz możliwe, że rozrośnięty mózg człowieka i jego predyspozycje do ścisłego, matematycznego rozumowania wyewoluowały jako narzędzie dla coraz bardziej przebiegłych oszustw oraz coraz bardziej wnikliwego ich wykrywania u innych. Sformalizowanym nośnikiem naszego odroczonego altruizmu odwzajemnionego może być pieniądz. Zastosowanie idei tej do naszego własnego gatunku, może być źródłem niekończących się, fascynujących spekulacji. Choć kusi mnie Urszyllu, by się w nich pogrążyć, nie sądzę jednak abym to zrobił lepiej od ciebie, zostawię to więc tobie, bo myślę, że idea ta może cię wyjątkowo zainteresować. Wracając jednak do naszego tematu, pragnę zwrócić twoją uwagę na fakt, że równowaga między jednymi a drugimi, która została wcześniej zaplanowana, zanim

pojawiliśmy się tutaj na Ziemi, została niestety gdzieś w międzyczasie definitywnie zachwiana. Esencja, jak sam to mówisz, ustąpiła miejsca osobowości, a każda z tych sił nie zapięta jej klamrą, uległa w czasie dezintegracji i demodulacji, przemieniając chaos uporządkowany w nieuporządkowany chaos. Nasz świat się rozpada. Nasze drogi się rozeszły. Kiedyś byliśmy Jednią, dzisiaj każdy z nas rzepkę sobie skrobie samotnie. Ty jesteś apostołem jednej z tych sił, a ja drugiej, dlatego tyle w nas podobieństw, i równocześnie, tyle i w nas przeciwieństw. Jestem zmęczony Urszyllu tą grą, i chciałbym już do domu. Ale pytałeś mnie dlaczego właściwie Prze-moc?! Muszę ci powiedzieć całkiem szczerze, że ja nigdy tak na to nie patrzyłem. To dopiero ty zaznaczyłeś tę różnicę między nami. Ja pojmowałem siebie zawsze jako zupełnie normalnego człowieka, nie widząc tego, lub jak pewnie wolisz, nie będąc tego świadomym, że moje całe życie służyłem i nadal służę tylko jednej z tych sił, i to rzeczywiście raczej Prze-mocy, a nie Miłości. Dlaczego?! No cóż, chyba dlatego, że to daje mi poczucie i praktyczną możliwość ingerencji w losy świata, kiedy ty, jesteś raczej ślepym narzędziem w jego rękach. Mam poczucie prawdziwego współudziału w tworzeniu naszej rzeczywistości, i to nie tylko naszej, bo jak wiesz, działam na wielu płaszczyznach, i w wielu wymiarach jednocześnie. To daje mi możliwość działania, zabija we mnie poczucie bezsilności i nudy, daje mi siłę, kierunek i cel, a przez to, daje mi to, co ja nazywam życiem i szczęściem, w opozycji pewnie do tego, co ty uważasz za życie i za szczęście. Oto, dlaczego!

I Dziewic zamilkł. Urszyll z Zamiłowic kiwając głową milczał również. Milczeli więc obaj przez jakiś czas. - Ty uważałeś mnie zawsze za debila - Znowu zaczął po pewnym czasie Dziewic. - Za kogoś gorszego, za kogoś nic niewartego, za kogoś.... Za karykaturę samego siebie. Za swoje przeciwieństwo. I czemuż to?! Czy możesz mi powiedzieć teraz, tak z ręką na sercu, czy i ja nie miałem prawa i nie mogłem ciebie uważać za kogoś takiego, za taką samą karykaturę, za takie samo przeciwieństwo, za kogoś gorszego, i nic niewartego....?! Ale przecież nie zrobiłem tego. Mało tego, uważam, że niczym właściwie się nie różnimy, więc dlaczego będąc dziećmi jednej i tej samej matki, musimy cały czas tak upiornie się zwalczać?! Tak jakbyśmy nie mogli wspólnie. Czy rzeczywiście nie możemy...?! - Jest jednak różnica, Dziewicu - Urszyll krzyknął prawie patrząc przy tym znacząco na Dziewica. - W propagowaniu, szerzeniu i uwielbieniu idei Miłości i Dobroci, i w propagowaniu, szerzeniu i uwielbieniu idei

Nienawiści i Przemocy. Być może obaj popełniamy, lub popełniliśmy błąd, opowiadając się po jakiejkolwiek stronie, może słuszniej byłoby pozostać niezależnym?! Ale czy myślisz, że bycie niezależnym, w pełnym uzależnień świecie, jest w ogóle możliwe?! Ja wybrałem, lub zostałem wybrany przez Thenahå, ty wybrałeś, lub zostałeś wybrany przez Moc, słowem obaj coś wybraliśmy. Ja starałem się wybrać siłę wspierającą nasze życie, o ile to, co pospolicie nazywamy życiem, jest nim rzeczywiście. Ty wybrałeś rasizm, pogardę i chęć wytępienia wszystkich. Rozpad, dezintegrację, jawną nienawiść i nieokiełzaną przemoc, czyli siły przeciwne wszelkiemu życiu, siły ciemne i złowrogie. Być może w założeniu, jak to ciągle podkreślasz, siły te miały być Jednią, lub nią nawet były. Ale teraz, nią nie są. I to nie tylko nasze płaskie rozumy tak to pojmują, bo to w końcu my wybraliśmy… Czy pojmujesz?! Czy dostrzegasz tę subtelną różnicę między tym, a tamtym?! Czy masz na tyle odwagi, żeby przyznać, że źle wybrałeś, i żeby zmienić obóz?! Żeby spróbować czegoś nowego?! - Ale co to zmieni, Urszyllu?! - Dziewic popatrzył smutno na Urszylla. - To nie zmieni niczego! Nie jestem sam, nas są tysiące, miliony, a nawet miliardy... - Drogi Dziewicu - Urszyll objął Dziewica mocniej. - Czy to coś zmieni, czy nie zmieni niczego, o tym dowiesz się dopiero wtedy, gdy dokonasz już jakiejś zmiany, przedtem, to tylko taka niewiele warta, akademicka dyskusja... Ale powiedz mi jeszcze coś, proszę, o tej twojej nienawiści i przemocy, bo jak wiesz, nigdy do tej pory nie miałem okazji, posłuchać ciebie ot tak, po prostu, i może już nigdy taka okazja się nam nie nadarzy...

- Człowiek współczesny, Urszyllu - I tu Dziewic spojrzał znacząco na Urszylla z Zamiłowic - nie jest konglomeratem wszelkich, nawzajem wykluczających się sprzeczności. One są tylko w każdym z was, i widać to w was wszystkich gołym okiem i to do tego bardzo wyraźnie. Ciągle podkreślasz, ze to Thenahå wybrała ciebie, i że istnieje subtelna, ale i zasadnicza różnica miedzy tobą, a mną. A ja się ciebie pytam, czy nie jesz?! Czy jedząc nie zabijasz?! I czy jest jakaś rzeczywiście zasadnicza różnica miedzy zabijaniem z uczuciem nienawiści, a zabijaniem z uczuciem miłości?! Czy twoje żałowanie, i twoje cierpienie, pomaga zabijanemu, jeżeli i tak zostanie zabity?! Poza tym, jak sam to znowu podkreślasz, śmierć nie istnieje, i jeżeli to tylko maska, to czy w ogóle możemy mówić o jakimkolwiek zabijaniu?! Czy to wszystko nie jest tylko taką wielką, żywą transformacją jednego w drugie, i odwrotnie ?! I czy rzeczywiście jest takim wielkim złem w tym uczestniczenie, i to uczestniczenie świadome?! - Prze-

cież mnie zabiłeś Dziewicu! - Urszyll spojrzał z wyraźnym wyrzutem na Dziewica. - Zabiłem ciebie, i nie zabiłem jednocześnie. Przecież rozmawiam z tobą, i jesteś tu ze mną! Czy ja raczej śnię?! - I śnisz, i nie śnisz Dziewicu. To co przytrafia się tobie tutaj razem ze mną, nie przytrafia się każdemu. I jest tego powód. Ale o tym potem. Teraz powiedz mi, czy to ja ciebie zabiłem, czy ty mnie?! - Dziewic wyraźnie tracił cierpliwość. - No, ja ciebie... Ale co to za różnica?! - Dodał zaraz. - To kolosalna różnica, Dziewicu! Tak kolosalna, jak różnica między słońcem a księżycem, między mężczyzną a kobietą, a w końcu, między właśnie tobą a mną! Czy nie widzisz naprawdę tej subtelnej różnicy, czy tylko udajesz przede mną półgłówka?! Czy rzeczywiście muszę cię dzisiaj tutaj zabić, żebyś mógł zrozumieć to, o czym ja przez cały ten czas do ciebie mówię?! - Dziewic spojrzał na Urszylla przebiegle. - No wiesz, ja jestem wyjątkowy, nie wszyscy więc mogą robić to, co ja sam robię. Przecież wiesz.... - Widzisz. - Powiedział Urszyll cały czas uśmiechając się do Dziewica. - Ty zdaje się uważasz, że są pewne sprawy, które tylko ty możesz robić, inni, nie tylko, że nie powinni, ale, przede wszystkim, i to definitywnie, że nie mogą, co?! - No... Dokładnie tak! - Powiedział wyraźnie zadowolony Dziewic. - Tak. Tak rzeczywiście uważam. - Nie pozwalając innym na to, na co sam sobie pozwalasz, odbierasz im tym samym prawo do samostanowienia, prawo do swobodnego działania, i do swobodnego wyrażania swoich myśli, uczuć i pragnień. Odbierasz im tym samym prawo do... - Nie pieprz! - Dziewic przerwał Urszyllowi brutalnie. Nie lubił bowiem gdy go ktoś pouczał. - Niczego im nie odbieram, niczego im też nie daję. Po prostu taki jestem, i już, i tyle, i koniec! - Urszyll spojrzał na Dziewica z teatralnym oddaniem. - Ależ Dziewicu, nie musisz się od razu tak unosić. Ja nie atakuję ciebie, ani nie krytykuję, ja mówię tylko to, co o tym wszystkim myślę, nawet na chwilę nie podniosłem głosu, choć z pewnością znalazłby się powód, żeby po prostu na ciebie nawrzeszczeć! - I tu Urszyll wrzasnął. - Głupcze! - A potem zaraz dodał szybko. - Przepraszam, ale czy nie widzisz rzeczywiście ciągle niczego?! Nie dostrzegasz jeszcze ciągle żadnych różnic?! - Dostrzegam! - Teraz Dziewic wrzasnął - Za kogo w końcu mnie masz?! Za debila?! Robię tak celowo, bo to przynosi mi konkretne korzyści, bo to pozwala mi realizować moje plany, bo to pozwala mi żyć tak, jak sobie to wyobrażam, i tak jak lubię. A tacy jak ty, głupcze, skazani są i tak na Sołówki! - I Dziewic po raz pierwszy dzisiaj szczerze się uśmiechnął. - Wiesz, na początku czułem wyrzuty sumienia, było mi naprawdę przykro z powodu tego ostatniego zajścia, myślę, że w jakiś sposób cierpiałem nawet, byłem całkowicie

pomieszany, może nawet zagubiony, ale teraz, jak tak z tobą rozmawiam, czuję znowu tę siłę, która mnie rozpiera, tę siłę, która daje mi zadowolenie, kiedy muszę z kimś konkurować lub walczyć, i kiedy wygrywam, tę siłę, która daje mi poczucie szczęścia, i dobrze przeżytego dnia. I wiesz, i chcę ci za to wszystko podziękować. Bo gdyby nie ty, nigdy nie czułbym się tak dobrze jak teraz, może nawet musiałbym zostać w końcu przeprogramowanym… To w końcu tobie zawdzięczam to wszystko! Wiedz więc, że naprawdę nie będę zadowolony gdy to wreszcie zrobię… - I z wyraźna ulgą wyrżnął pięścią posmutniałego jakoś nagle i zapadniętego w sobie Urszylla. - To jest choroba, Dziewicu, nieuleczalna choroba - powiedział zrezygnowanym głosem Urszyll - bo zobacz no tylko... - Podał Dziewicowi jakieś zapisane maczkiem kartki. - Nie mogę tyle mówić, przeciąłeś mi tchawicę i struny głosowe, a ty przecież możesz poczytać sobie, jakby nie było jesteś wzrokowcem... - Dziewic wcale nie miał zamiaru niczego czytać, ale pchnięty do działania jakimś dziwnym uczuciem współczucia, wziął jednak kartki od Urszylla i mimowolnie na nie spojrzał: Wykastrowany bipedus. - Przeczytał. I zanim się obejrzał, i zanim cokolwiek pomyślał, Urszyll porwał go w przedziwny świat bipedusów:

- Wykastrowany bipedus. Nikt zdaje się nie wiedzieć, kim, i jakim jest, przez kogo, i w jakim celu został stworzony, i z jakiego też powodu zamieszkując tę tajemniczą i niepowtarzalną planetę, w tym jeszcze bardziej tajemniczym i jeszcze bardziej niepowtarzalnym, wielowymiarowym świecie, jest aż tak strasznie rozjuszonym potworem. Większość traktujących o tym jednak, a i ty sam Dziewicu, mówicie tak, jakby to, co sami postrzegacie, było jedyną, i to do tego najprawdziwszą i najświętszą prawdą, o której nie musicie mnie już nawet przekonywać, bo wy już wiecie w momencie jej tworzenia, tej waszej prywatnej rzeczywistości, że i ja ją za taką przyjmę. A przecież… - Dziewic przestał czytać. - Mam dosyć! - Powiedział, i podał kartki Urszyllowi, który wziął je i wsadził sobie do olbrzymiej kieszeni habitu. - Wiesz Urszyllu, to są dla mnie absolutne bzdury, nic niewarte banialuki, same sofizmaty, pseudofilozoficzne klozeciarstwo, gorsze od literatury brukowej! Uffff!!! Nareszcie czuję się dobrze, wiesz, nawet bardzo dobrze... Mówię ci, nie ma nic lepszego od Progętaliny! - I tu Dziewic uśmiechnął się do Urszylla promiennie grzebiąc jednocześnie w kieszeniach. - Miły mój Dziewicu - powiedział Urszyll odwzajemniając uśmiech. - Każdy ma to, co lubi: jeden prawdziwe poczucie Jedni, a drugi, swoje koszmary, ale.... Czy mógłbyś

mi łaskawie powiedzieć, czy myślisz, czy uważasz, że jesteś istotą społeczną?! - Dziewic wzruszył ramionami i zupełnie jakby od rzeczy zapytał: - Chciałbyś spróbować? - A widząc kwaśne spojrzenie Urszylla, zamilkł, lecz dłoni z dość dużą, jaskrawozieloną tabletką, którą znalazł w spodniach, nie opuścił. - Weź sobie na później. - Zaproponował, podając ją Urszyllowi. - Widzę, że problemy tego typu nie interesują cię jeszcze - biorąc jednak tabletkę, powiedział Urszyll z niesmakiem - ale posłuchaj mnie małą chwileczkę. Człowiek...

- Człowiek nie rodzi się tu na Ziemi z wbudowanym zrozumieniem naszych zasad i zachowań. Musi się więc nauczyć zachowań społecznych, a uczy się ich na konkretach. Bezpośrednie doświadczenia zmysłowe odgrywają najważniejszą rolę w kształtowaniu jego poglądów na otaczającą go rzeczywistość. To czego człowiek doświadcza za pomocą zmysłów determinuje sposób w jaki postrzega on swoje otoczenie. W nauce tej wykorzystujemy dwie zasady: słowa i czyny, ale tylko czyny są konkretnym komunikatem i to one właśnie określają nasze zasady. Gdy wrzeszczymy więc uczymy wrzeszczenia. Gdy upominamy, uczymy upominania. Gdy bijemy, uczymy bicia. Gdy gadamy, uczymy gadania. I tak okrucieństwo uczy okrucieństwa, kary, kar, przekupstwo, przekupstwa, areszt, aresztowania, grożenie, grożenia, orzekanie o winie, orzekania o winie, miłość - miłości, dobroć - dobroci, wyrozumiałość - wyrozumiałości, braterstwo - braterstwa, a odpowiedzialność - odpowiedzialności. Każdy człowiek potrzebuje możliwości aby poznawać siebie oraz świat który go otacza, aby ćwiczyć posiadane umiejętności oraz kształtować poczucie odpowiedzialności, lecz błędy w komunikacji najczęściej mu to uniemożliwiają! I tak oto z istoty społecznej może przeistoczyć się w istotę samolubną i zamkniętą, specjalistę w wyłączaniu się, ignorowaniu, buntowaniu, opieraniu się, kłótniach, jałowych dyskusjach, targowaniu, zaprzeczaniu, unikaniu, grożeniu, krzyczeniu, zastraszaniu, lub nagłych i długotrwałych napadach złości.

- Człowiek jest istotą społeczną, i dlatego że nią jest, musi uczyć się zachowań społecznych, których nie zna jak się rodzi tu między nami. Człowiek jest jednak również istotą sferyczną, nie może po prostu ot tak, bo mu się tak akurat podoba, albo, bo przynosi mu to kokosowe korzyści, zanegować pół sferycznego świata. To znaczy może to zrobić, ale zawsze musi za to zapłacić ogromną cenę... Powiedziałeś, że uczyli cię na tym twoim najwspanialszym uniwersytecie o tym, że Grecy mieli swojego Pharmakosa, a Rzymianie, Sacer. I co w tobie

z tego zostało?! Od z górą dziesięciu lat służysz Dooila, a ona bezpośrednio Obcej Władzy. Powiedziałeś też, że chętnie byś ze mną popracował?! Ale jak sobie to wyobrażasz Dziewicu?! Nigdy dotąd jeszcze z nikim nie współpracowałeś. Zawsze były to narzucone siłą twoje rozkazy do realizowania, a to nie jest współpraca. Zawsze groziłeś, przekupywałeś, a jak to nie skutkowało, zabijałeś po prostu i już. Wielu spraw nie pamiętasz, bo przeprogramowano twój umysł, ale ja je pamiętam. Nigdy nie opowiedziałeś się po stronie życia, zawsze to tylko ty, i tylko ty, byłeś najważniejszy, inni, zawsze byli tylko narzędziami w twoich rękach! A gdzie braterska pomoc?! Sam podobno, jak mówisz, nie pojmowałeś się w kategoriach zła, ale jeżeli tak było, czy jest rzeczywiście, to gdzie zgubiłeś swoją drugą połowę, dlaczego patrzysz na wszystko tylko jednym okiem, i robisz wszystko jedną ręką?! Dlaczego nie tworzysz, tylko ciągle niszczysz?! Bo jeżeli Sacer to ucieleśnienie boskości, miłości i dobroci, harmonii i doskonałości, i jednocześnie to antyboskość, absolutne przeciwieństwo miłości i dobroci, harmonii i doskonałości, wyrażone w najstraszliwszej nienawiści i przerażającej, bo nieokiełzanej niczym przemocy, to dlaczego ty Dziewicu opowiadasz się tylko po jednej stronie?! - A ty, Urszyllu, to co?! - Zapytał agresywnie Dziewic. - Czyżbyś w ogóle nie nienawidził?! - Ja Dziewicu, jak wiesz - powiedział spokojnie Urszyll - jestem Magadurem, więc jak każdy prawdziwy Magadur, nie żaden magik, szarlatan, czy sztukmistrz, nie negując swojej sferyczności, służę swojej społeczności, stojąc zawsze po stronie biednych i upośledzonych, po stronie słabszych i potrzebujących, po stronie nieświadomych i wykorzystywanych, słowem, po stronie Życia w całej jego rozciągłości. I jego podtrzymywania. A tylko Miłość i Dobroć, jak sam to przed chwilą powiedziałeś, jest bazą i fundamentem, jest scalającym wszystko i wszystkich cementem, więc jak sam widzisz.... - Urszyll westchnął ciężko patrząc na Dziewica. - Mnie do życia potrzebne jest niezbędnie poczucie bezpieczeństwa i spokoju, Dziewicu, bo tylko one dają mi możliwość rozkoszowania się życiem we wszystkich jego aspektach naraz. Strach zabiera mi możliwość cieszenia się. Strach zabija i Dobroć i Miłość, a zabijanie, to przecież twoja działka. Przecież to ciebie zaprogramowano tak, abyś zabijał szerząc strach gdzie się da i jak. Obdarzono cię rolą Króla Szczurów, i to pewnie nie przypadkowo. I mnie zaprogramowano, lub raczej, jak bym wolał, to ONå mnie wybrała. I na pewno nie przyszłoby mi do głowy, tak jak to tobie najczęściej przychodzi, napluć na ciebie, okraść cię, pobić, czy zabić, gdybyś mnie przedtem do tego nie sprowokował, napadając na

mnie bez żadnego powodu jako pierwszy! Ja traktuję wszystkich ludzi jak równych sobie. Wszystkich i wszędzie. Nawet wtenczas, jeżeli oni uważają inaczej. Jak widzisz więc, rola Króla Rybaka przypadła mi również zupełnie nie przypadkowo, tak jak i Tobie twoja, i to właśnie taka różnica jest między nami. Lecz nie jest to jednak - jakbyś tego pewnie pragnął, lub jakbyś sobie tego życzył - jakaś malutka, nic nieznacząca różniczka, to jest Dziewicu różnica zasadnicza, wręcz fundamentalna, różnica zamknięta w przeciwnym przeciwieństwie... - Dziewic zdecydowanie nie lubił kiedy ktoś go pouczał, wyszczekał więc prędko: - Poezją i metaforą, Urszyllu, można przemawiać tylko do tych, którzy rozumieją poezję i metaforę. My nie rozumiemy, a jest nas większość, i to lwia, trzeba więc nam gadać łopatą! I ja to robię, Urszyllu. Walę łopatą od lat, i będę robił to nadal. Taka jest moja rola, jak powiedziałeś! - I Dziewic spojrzał twardo na Urszylla gotując się wyraźnie do ataku. - Tak, Dziewicu, tak... - Urszyll uśmiechnął się smutno, wyraźnie wyczuwając zagrożenie. - Ale nie wiem, czy już to wiesz... Spójrz! - Urszyll pokazał coś niespodziewanie wyciągniętą dłonią. - Przeor idzie tu do nas... - Lecz gdy zaskoczony Dziewic odwrócił głowę, nie zobaczył jednak nikogo. Gdy ze złośliwym zdziwieniem chciał zapytać o to Urszylla, Urszylla nie było również. Po Urszyllu z Zamiłowic nie pozostało nawet śladu. Znikł równie szybko, i równie tajemniczo, jak się i przedtem pojawił. Tylko ta dziwna kotka Szoka siedziała na ławce, na stercie jakichś zapisanych kartek. Dziewic z pasją uderzył dłońmi po ławce. - A to pojebaniec… - Wycharczał szeptem. Z niedowierzaniem pokręcił wściekle głową, gdy naraz jakiś tajemniczy głos skierował jego uwagę w zupełnie inna stronę: - Chyba już dość Dziewicu tej nienawiści! Wstań i powróć wreszcie do światła! Ile chcesz w tym syfie tu jeszcze leżeć?! - Chcąc natychmiast zerwać się na równe nogi, Dziewic położył błyskawicznie dłonie na ławce, i energicznie wyprostował ręce, lecz podnieść się nie zdołał, bowiem znienacka uderzył głową o coś tuż nad sobą. I teraz dopiero Dziewic zorientował się, że nie siedzi właściwie na żadnej ławce, lecz, że leży, i że do tego, w gruncie rzeczy, nie widzi niczego poza absurdalną, mroczno wilgotną ciemnością. - No dalej, Dziewicu! - Głos natarł na niego jeszcze natarczywiej. - Na co jeszcze czekasz?! Musisz zacząć teraz! Właśnie teraz! - O Boże! - Pomyślał Dziewic orientując się, a właściwie przeczuwając w jakiś nadnaturalny sposób, że leży w… Włosy stanęły mu dęba. Z trudem rozejrzał się uważnie, i naraz dotarło to do niego jak grom z jasnego nieba: w trumnie! - W trumnie??!! W jakiej trumnie?! - Poruszył się energicznie, ale miejsca nie było dużo. Było go zdecydowanie zbyt

mało na jakikolwiek ruch. Obmacał więc trumnę uważnie. Długo. Nad wyraz delikatnie. Po czym spróbował unieść wieko, które o dziwo zupełnie lekko dało się poruszyć. Przesunął go więc na bok wpuszczając duszne, zatęchłe powietrze lochu oraz trochę niebiesko szarej poświaty. Z trudem się podniósł, wstał z trudem, z trudem wylazł z trumny i z trudem, ciągle się chwiejąc, stanął na ugiętych nogach na kamiennej posadzce tuż obok. - Cholera! Co to ma być?! - Pomyślał rozglądając się jednocześnie dookoła. - Chyba zwariowałem! Albo… - We wszystkich kierunkach, w których Dziewic by nie spojrzał, stały szeregi trumien. Stare, zmurszałe i zakurzone, oblepione starością wieków oraz licznych lepkich pajęczyn, ale również i te nowsze, a także zupełnie nowe, dostawione tu wyraźnie niedawno. Pomimo, że nie było żadnego źródła światła, ciemno nie było również. Obok Dziewica, tuż obok trumny w której leżał, na kamiennym podwyższeniu, leżała jakaś zawinięta w stary, zmurszały, kiedyś biały, mnisi habit, martwa już od dawna, jak sądził Dziewic, postać. Pchnięty jakimś niezrozumiałym dla siebie samego impulsem nachylił się nad nią. Delikatnie odsunął jej habit z twarzy, i naraz, odskoczył do tyłu jak oparzony, niezgrabnie potykając się przy tym o coś, co stało na podłodze. - O kurwa! - Zaklął mimowolnie kucając, aby złapać jednak jakoś straconą równowagę. Pod habitem zobaczył bowiem rozżarzone, żółto zielone oczy. Ciała nie było. Nie było niczego. Tylko te oczy w mroku przenikliwie wpatrzone w niego. Czując ten nieprzyjemny wzrok cały czas na sobie, Dziewic myślał jednocześnie bardzo intensywnie i o tym, jakby się z tego paskudnego miejsca jakoś jednak wydostać. Jak na złość nic nie przychodziło mu do głowy. Zupełnie bezwiednie zaczął macać więc w ciemnościach w poszukiwaniu przedmiotu, o który się potknął. I naraz jego dłonie wymacały coś zimno metalowego tuż przed nim. Dziewica przeszedł dreszcz. Opanował się jednak szybko. Spojrzał, i w ciemności dostrzegł całkiem nie małe pudło. Srebrno szare z misternie rzeźbioną pokrywą. Dziewic niezgrabnie przetarł wieko. Jego oczom ukazał się bardzo piękny, dziwny jednocześnie, kolorowy, złotem przetykany smoczy herb i jakieś mało czytelne napisy w jakimś równie dziwnym, obcym i tajemniczym języku: gjdhdgdyertfrhgfjfuhfghg. Nic to Dziewicowi jednak nie powiedziało. Z trudem spróbował więc otworzyć wieko. Nie poszło mu to zbyt łatwo, ale, po krótkiej szamotaninie jednak, udało mu się. Na dnie leżała jakaś mała, zapisana, zmurszała karteczka. Dziewic wziął ją delikatnie w dłonie, delikatnie dmuchnął, a potem równie delikatnie strzepnął z niej kurz, po czym podniósł ją do oczu, i: - 13122004010000. -

Przeczytał z trudem. I to też było bez sensu. - I co Dziewicu?! Jesteś pod wrażeniem?! - Usłyszał naraz. - O kurwa! Urszyllu?! - Dziewic zaklął szpetnie rozpoznając wreszcie w tym tajemniczym głosie, głos Urszylla. - Co to za dupowanie… ?! - Wyrwało mu się. - Jak się stąd wydostać? - Zapytał jednak jednocześnie dość szybko. I bardzo przymilnie. - Urszyllu! Pomóż mi! - Poprosił jak dziecko szukające pomocy. - Bez korzeni, mój miły - usłyszał na to słodki głos Urszylla - nigdy nie wyrosną ci skrzydła. A bez skrzydeł, nie opuścisz mroku tak łatwo…

O tym, że Urszyll z Zamiłowic nie został oficjalnie zamordowany przez Dżadżę Wielkiego na polecenie Wielkiego Kanclerza Narodów, tylko, że zginął krwawo na publicznej wizji ginąc od wielkiego, samurajskiego miecza Dziewica, który ciął go jak wściekły od ucha do ucha, wiedziało nie tylko każde dziecko, ale właściwie każdy, prawie każdy bowiem dobrze pamiętał tamtą Toka Szokę Mirki Smirnow, która jako jedyne tego rodzaju wydarzenie multimedialne, przeszła zaraz po zakończeniu jej emisji nie tylko do historii powszechnej, współczesnej, telewizyjnej wizji, ale i do ulicznej legendy, opowiadanej sobie z ust do ust. O najważniejszej części tamtego sławnego programu nie wiedział jednak prawie nikt, rozegrała się ona bowiem już przy wyłączonych kamerach, a ponad to, objęta została od razu najwyższą klauzulą tajemniczości, czyli, tajemnicą państwową. Dlatego też pewnie tyle o tym krążyło plotek. Mówiono na przykład, że Urszyll z Zamiłowic nie był prawdziwy, że była to tylko taka Dooilska *Artefakta*, wytwór wyobraźni Wielkiego. Mówiono również, że to Dziewic zginął od miecza Urszylla, i o tym, że obaj zaraz po programie zostali wyssani. Mówiono też i o tym, że to jednak Wielki zamordował Urszylla, oraz wiele, wiele innych różnych rzeczy. Tym bardziej zaskakująca była informacja, która niespodziewanie pojawiła się na wszystkich przystankach tramwajowych i autobusowych stolicy, głosząca, iż Urszyll z Zamiłowic wygłosi dwudziestego pierwszego Grudnia o godzinie zero zero, kazanie na wysypisku. Informacja była tym dziwniejsza, ponieważ nigdy do tej pory Urszyll nie wygłaszał kazań na żadnych usypiskach. Nigdy nie kazał zbierać się ludziom tam, gdzie po horyzont kładł się tylko smród i brud. Gdzie tylko splątane walką o przeżycie chmary bezpiórych gawronów, nieprzebrane rzesze wyleniałych szczurów i myszy, stada oszalałych głodem, ropiejących zdziczałych psów i kotów, oraz cała gama pomniejszego, skażonego najgorszą ludzką chemią robactwa, kłębiąc się wśród siebie samych, pełzając, czołgając się, prychając, warcząc, skrzecząc, drapiąc się, gryząc i zagryzając, konkurowała z powykrzywianymi i żałosnymi okrzykami żyjących tu, brudnych, zarobaczonych i zagłodzonych, pokrzywionych, zaślinionych, zapitych, wzgardzonych, odrzuconych i wykluczonych przez całą tę miejską cywilizację blokersów i willowców, ludzkich wraków. Urszyll nigdy też nie

kazał spotykać się ludziom o tak niebezpiecznej i nieprzyjaznej im wszystkim porze, która najczęściej napełniała ucywilizowanych strasznym, wieczornym przerażeniem, bowiem o bardzo późnej godzinie nocnej. Poza tym, jak to wszyscy równie dobrze od dawna wiedzieli, Urszyll leżał sobie spokojnie na największym i najpiękniejszym cmentarzu stolicy w alei zasłużonych, mając piękny, marmurowy grób w otoczeniu dostojnej, honorowej, i równie jak i on, zasłużonej w społeczeństwie świty. Niemniej, informacja ta, pomimo iż nie wyglądała raczej na poważną i prawdziwą, wzbudziła całkiem niemałą sensację wśród spragnionych sensacji mieszkańców stolicy.

Dwudziestego pierwszego Grudnia, dokładnie o godzinie zero zero, Urszyll, jak zwykł to czynić zawsze, pojawił się przed zgromadzonym tu audytorium - rozdrażnionym już jednak całkiem poważnie, i to nie tylko tym cuchnącym przerażająco miejscem, i tą masą brudnych i zawszonych penerskich farfocli, jak miastomani nazywali tych wszystkich, którzy zamieszkiwali dworce, kanały, i usypiska, ale i nie pasującą do tego wszystkiego, wrzaskliwą góralską muzyką oraz grą kolorowych świateł spowijających wszystko - zupełnie znienacka. Zupełnie znienacka zamarła też muzyka i zgasły światła. Ludzi zamurowało. Rozbłysły flesze, a uruchomione kamery przesłały obraz do wybranych domostw całego świata. Urszyll uniósł dłoń i błogosławił wszystkich: - W imię matki i ojca, i wszystkich boskich dzieci, i duszy świetlistej, amen! - Na ten tajemny znak cała nagromadzona w ludziach niecierpliwość, podejrzliwość i rozdrażnienie uleciały jak z bicza trzasnął, a miłość i dobroć zaczęły wdzierać się powoli, powoli wsączać się w ich nagle opróżnione tym gestem i od dawna spragnione tej właśnie szczęśliwości i ukojenia - serca. Tu nie mogło być mowy o żadnej subtransgenicznej podróbie. Urszyll na pewno nie był żadną zmodyfikowaną przez Dooila Artefaktą: Urszyll był stuprocentowo prawdziwy. I do tego jak najbardziej autentyczny. Ludzi ogarnęła euforia. Ściskali się, poklepywali, podawali sobie ręce, padali sobie w ramiona, a niektórzy się nawet całowali. A potem zapadła radosna cisza, w której wszyscy czekali na słowo. Lecz Urszyll nie spieszył się. Czekał w milczeniu również. Dopiero gdy cisza stała się jedynie obowiązującą teraźniejszością w widoczny sposób spowijającą ukojeniem i spokojem wszystkich ludzi, rozpoczął:

- Wtedy to ONå uwolniona rozbłyśnie i wypełni całą siebie sobą samą, a jej krzyk radości rozpocznie cykl szczęścia i wolności. Wszechświat rozwinie się na nowo jak zakurzony dywan, a ONå roz-

winie skrzydła i poleci. Nie wznosząc się i nie opadając trwać będzie w nas od teraz, zawsze: Thenahå uskrzydlona. Nasza przeczuta, nasza wyśniona, i wreszcie w nas wszystkich urzeczywistniona, nasza wielka gotowość Nadmożliwości: wypełniona miłością i dobrocią nasza codzienna teraźniejszość. I tak, aż do końca. - Śmieciowisko pokryło się w mgnieniu oka bujną trawą na której wszyscy z ochotą usiedli. W ich dłoniach pojawiły się znikąd zapalone świeczki i lampki oliwne, rzucając długie cienie w otaczającą wszystkich wiosenną ciemność. Gdzieś, w otaczających usypisko resztkach nadżartych atomowym kwasem chaszczach i kikutach kiedyś potężnych drzew, które teraz znowu odzyskiwały swoją dawną świetność, wesoło zaśpiewał słowik. Urszyll uśmiechając się spojrzał po siedzących, potem przeniósł wzrok na wschodzący właśnie nad horyzontem, ogromny, pomarańczowy księżyc, westchnął, i tak oto kontynuował: - Wszystkie istoty ziemskie są emanacją Esencji zawartej w psychofizycznym parysile Jedni. Dlatego też wybrałem właśnie to odrażające miejsce i tę niebezpiecznie późną, nocną godzinę, na moje dzisiejsze kazanie. - I tu Urszyll znacząco pokiwał głową. - Już wam o tym mówiłem wiele razy, ale powtórzę to jeszcze raz: Wszystkie istoty ziemskie są emanacją Esencji samej Thenahå, objawiającej się nam tu na Ziemi w postaci trzech podstawowych promieni życia. Człowiek jednak jako jedyna istota tu na Ziemi ma możliwość, a, i moralny z możliwości tej wprost wypływający obowiązek, świadomie i twórczo kreować i kierować tymi trzema siłami. Człowiek, jako jedyna istota tu na Ziemi ma możliwość świadomego wglądu w plan życia, a przez to, świadomej i twórczej ingerencji. Jako jedyna istota tu na Ziemi człowiek może, i powinien więc świadomie i twórczo kształtować swoje życie nie poddając się biernie żadnej grze stwarzających i kierujących jego życiem sił. Na każdym z was spoczywa wobec tego moralny obowiązek podtrzymywania i rozwijania życia w was samych oraz we wszystkim i wszędzie. Jak wiecie, każdą istotę na Ziemi można zniewolić, a nawet zabić. Każdą istotę można ograbić zabierając jej wszystko, łącznie z godnością. Każdą istotę można zniszczyć, niszcząc jej wiedzę oraz ochotę do życia. I tak oto dotarliśmy do sedna. Do kwintesencji mojego dzisiejszego tu wystąpienia. Kochani!!! - Urszyll krzyknął rozdzierająco wyrzucając jednocześnie swoje ręce przed siebie. - Kochani!!! - Powtórzył. - Gdybyście mogli choć przez małą chwilkę poczuć miłość do życia, ale z taką samą intensywnością z jaką i ja ją czuję, oprzytomnielibyście już dawno. Gdybyście choć przez małą chwilkę mogli poczuć ten smutek i ból wynikający z niszczenia w was wszystkich naszego własnego

potencjału tak, jak i ja go czuję, nie niszczyli byście go nigdy! A wygląd naszego życia od zarania jego dziejów byłoby z pewnością inny. A mojego w szczególności. - Urszyll przerwał na chwilę, po czym rozdzierająco krzyknął: - Oprzytomniejcie wreszcie! Przecież nie musicie się już niszczyć. Nie musicie się tez zabijać! Nie ma takiej konieczności! Błagam was! Błagam was na kolanach! - I Urszyll padł na kolana. - Lecz gdy nic szczególnego wśród słuchaczy się nie wydarzyło, zerwał się i wykrzyknął: - Przestańcie się wreszcie lenić i oglądać na innych! Przestańcie na innych czekać. Przestańcie zrzucać na innych wszelką waszą osobistą odpowiedzialność. To nie da nic, nic a nic, mówię wam. Żadnego pozytywnego efektu! Wierzcie mi! Tylko wasze osobiste zaangażowanie może tutaj coś zmienić. Wasze oddanie. Wasza wiara i wasza nadzieja. Dlatego też opowiem wam dzisiaj o Miłości! Posłuchajcie! 5-ta Droga zakłada możliwość Nadmożliwości, możliwość rewolucji, czyli indywidualnej ewolucji każdego z was, polegającej na urzeczywistnieniu idei *Causa sui sum* w każdym człowieku indywidualnie, słowem, możliwość realizacji tego, czym moglibyście być, w opozycji do tego, czym w tej chwili jesteście, gdybyście tylko to sobie uświadomili i tego jeszcze zechcieli. Z tego pierwszego wynika i drugie założenie, a mianowicie to, że to właśnie Miłość i Dobroć, i to do tego czuta i czyniona świadomie, i to w każdych warunkach i w każdym systemie, nawet w tych najstraszniejszych, decydują o jakości i pełni każdego bytu, niestety w chwili obecnej jeszcze nie waszego, bowiem ani Miłość, ani Dobroć, nie są w tej chwili waszymi duchowymi przewodnikami. Aby uzmysłowić wam więc waszą straszną wręcz, lecz jeszcze być może nie beznadziejną sytuację, przytoczę wam teraz jedną z moich ulubionych, alegorycznych przypowieści, której z pewnością jeszcze nie znacie: - JoshUa jadąc kiedyś pociągiem na dalekobieżnej trasie, jechała w przedziale z młodziutkimi, nie mogły mieć więcej niż jakieś dwadzieścia parę lat, siostrami zakonnymi, bliżej nieznanego jej zakonu, lecz jak się domyślała, był to jeden z tych wielu zakonów nazwanych jej imieniem, bo każda z sióstr, na swoich ślicznych, młodych piersiach, ukrytych oczywiście przed jej wzrokiem pod zwałami czarnych habitów, nosiła mały krzyż z ukrzyżowaną. Siostry owe były bardzo wesołe. Całą drogę plotkowały o swoich przełożonych, śmiały się przy tym jak szalone, i wreszcie, po paru wstępnych uprzejmościach, JoshUa postanowiła zapytać, i zapytała: - Dlaczego celibat?! - Pytanie to, choć może wydawać się wam dziwne, dziwnym nie było wcale, w szczególności w sytuacji, w której JoshUa sam trwała wtenczas od przeszło dwóch lat w celibacie. Siostry jak rażone piorunem skurczy-

ły się i zapadły jakoś tak w sobie, wesołość opuściła je zupełnie, zaczęły nerwowo rozglądać się po przedziale, JoshUa widząc ich wielkie pomieszanie zaczęła je przepraszać i zapewniać, że to w końcu nie takie ważne, sytuacja stała się już po chwili nie do zniesienia, napięcie rosło jednak dalej, aż wreszcie jedna z sióstr wypaliła: - To dla Jezusa! - Uff, co to była za ulga. Teraz siostry jedna przez drugą zaczęły szczebiotać: - To dla Jezusa, to dla Jezusa. - Myślały pewnie, że w ten oto prosty sposób wytłumaczyły już wszystko i że wszystko powróci teraz do normalności, w której już nikt nie waży się zadawać podobnych pytań. Myliły się jednak strasznie. Zadowolić samą JoshUę nie było bowiem łatwo. Będąc wyraźnie zbulwersowaną ich odpowiedzią, zadała następne, krótkie pytanie: - Co dla Jezusa?! - Jedna z sióstr, wyraźnie starsza od innych, spojrzała na JoshUę wyraźnie niechętnie i zimno się uśmiechając powiedziała: - No, celibat. - Ale dlaczego celibat, i dlaczego dla Jezusa?! - Nie ustępowała JoshUa. Niestety pociąg zaczął gwałtownie zwalniać, siostry poderwały się, złapały swoje bagaże, pospiesznie wyszeptały jakieś do widzenia i w pośpiechu opuściły przedział. Ze swoim pytaniem na ustach JoshUa została w pustym przedziale zupełnie sama. Po chwili pociąg zatrzymał się, potem ruszył, a miarowy stukot kół i monotonnie przesuwający się za oknem szary obraz równie szarej rzeczywistości przeniósł myśli JoshUi do Afryki centralnej, gdzie w buszu, śliczne, młode, i właśnie dojrzałe czarne kobietki, podczas świętej ceremonii inicjacji, pozbawiano łechtaczek wyrywając im je z ich młodych ciał, rozgrzanymi do czerwoności obcęgami, a potem do innej części tego wielkiego, gorącego kontynentu, gdzie obcinano im je resztkami znalezionych w buszu tępych żyletek, i to w ten sprytnie inicjacyjny sposób, po którym przy każdym ich kroku raz zadana rana zawsze się odnawiała, i nigdy już, aż do śmierci ciała, nie mogła, i nie miała prawa, w ogóle się zagoić. Z Afryki JoshUa przeniosła się w myślach do dalekiej Azji, gdzie młodym dziewczynkom, jeżeli ich nikt przedtem nie zjadł lub w jakiś inny, wyrafinowany sposób nie unicestwił, podczas wspaniałej, religijnej libacji rozcinano długimi nożami pochwy, po czym zszywano je sznurkami tak, aby po zrośnięciu została milimetrowa dziurka na oddanie moczu, no i strach przed nocą poślubną, podczas której ukochany ich mężczyzna rozrywał je brutalnie swoim twardym i sterczącym Lingmanem, a wszystko to zgodnie z obowiązującym obyczajem, z obowiązującym prawem i obowiązującą boską religią: wszystko dla Jezusa, można by rzec! A potem napadły JoshUę jeszcze potworniejsze myśli, wspomnienia i wizje tych wszystkich okropieństw i zbrodni popełnianych niby w jej imieniu na

tych wszystkich niewinnych ludziach przez jej europejskich, amerykańskich, australijskich, azjatyckich i afrykańskich białych braci, i łzy same zaczęły płynąć po jej smutnej twarzy, a szloch wstrząsał całym jej ciałem. - I Urszyll zamilkł. Bliżej siedzący mogli teraz wyraźnie dostrzec i jego łzy. Łzy płynęły Urszyllowi nieprzerwanym potokiem z jego zasmuconych smutkiem oczu, a ciało wstrząsane szlochem skurczyło się tak jakoś i pochyliło na ambonie. Po dłuższej chwili ciszy Urszyll podniósł wzrok: - JoshUa będąc Rabiną, czego nie udało się wymazać ze wszystkich mrocznych zakamarków biblijnych przypowieści waszym wspaniałym Czystozytorom, musiała mieć męża, lub nawet mężów, no i oczywiście z nimi dzieci. Kochani! - Krzyknął Urszyll i z całej siły walnął zwiniętą pięścią w blat ambony. - Celibat wymyślono tylko dla upodlenia waszego ciała. I dla upodlenia waszego ducha. I dla niczego innego! Oprzytomniejcie więc i przypomnijcie sobie jaka w was wszystkich drzemie siła! Siła do wszystkiego! Do tego abyście nie ulegali! Abyście nie zadawalali się tą skądinąd prostą grą, jaką proponują wam od wieków wasi poganiacze, no, i oczywiście wszyscy ich zielono- i żółtoocy kreatorzy?! Czemuż to nie przed nimi się bronicie, broniąc się jednocześnie tak rozpaczliwie przed poznaniem siebie samych?! Czemuż to nie ich zwalczacie, lecz każdą umożliwiającą wam poznanie prawdy wiedzę, uznając ją natychmiast za najgorsze i nic nie warte brednie, za najgorsze i równie jak te brednie nic nie warte banialuki?! - Nikt jednak nie odpowiedział. - Milczycie?! - Wrzasnął Urszyll. - Boicie się, czy rzeczywiście nie wiecie co powiedzieć?! - Milczenie trwało jednak nadal. Urszyll pokiwał głową ciężko przy tym wzdychając. - Pewnie mi nie uwierzycie, ale chcę wam powiedzieć, że wiem dlaczego milczycie. I zaraz wam to tu wywrzeszczę! Czas bowiem skończyć z tą przerażającą, śmiertelną ciszą, która mnie zewsząd otacza, a której tak nienawidzę. Nienawidzę wszystkiego tego, co codziennie z tak wielkim mozołem i trudem czynicie, ponieważ to, co codziennie z takim oddaniem i zawzięciem praktykujecie, prowadzi prostą drogą przez śmierć waszego umysłu do śmierci waszego ciała, przez śmierć wszelkiego umysłu, do śmierci każdego ciała. I to właśnie to powinniście codziennie w sobie samych zwalczać, a nie mnie: jedynego waszego prawdziwego przyjaciela. - Urszyll przerwał, głęboko odetchnął, po czym powiedział: - Możecie mi wierzyć, albo i nie, ale ja, pomimo tego, że was w jakiś sposób strasznie nienawidzę, kocham was jednocześnie. I to bardzo! I bardzo mi na was zależy, bowiem zależy mi bardzo na Życiu. DOBRYM Życiu, oczywiście. Chcę więc powtórzyć to jeszcze raz teraz, tak, żeby to dobrze do was dotarło:

uświadomienie sobie i urzeczywistnienie w sobie Nadmożliwego jest możliwe! I na pewno nie przekracza to waszych możliwości. Musicie jednak bardzo chcieć Obecności. A żebyście mogli ją poczuć, musicie jeszcze do tego intensywnie trenować: i ciało, i ducha. Nie jedzcie niczego przez czterdzieści dni, pomimo wszelkich dogodności nie kochajcie się z nikim przez sześć miesięcy, połóżcie swoje ciała w pozycji trupa i trwajcie w niej przez trzy godziny dziennie trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, myślcie tylko to, o czym naprawdę myśleć chcecie, wyrażajcie tylko te emocje, które naprawdę chcecie wyrazić, i nie róbcie dosłownie niczego poza tym, czego sami w danym momencie naprawdę z całego serca nie zechcecie zrobić, a uwolnicie się od wszelkiego bezsensu - od waszych wszelkich poglądów, wszelkiej waszej niewiedzy i waszej wszelkiej niemocy - i to raz na zawsze. Ale uważajcie, bowiem tak jak i wszędzie, tak i tu, czyhać będzie na was Djabyłelica. Dopóki nie uwierzycie w siebie samych naprawdę, i nie określicie jasno swojego celu jako bezwarunkowego oddania się w służbę waszej własnej Esencji, waszej własnej Miłości i waszej własnej Dobroci, czyli bezpowrotnego wyrzeczenia się i uwolnienia od dotychczasowej formy siebie samych, wasza z tak wielkim trudem odzyskiwana i pozyskiwana Esencja, oraz z tak wielkim trudem rozwijana i jeszcze większym mozołem szkolona Samoświadomość, jak każda z sił Jedni, może okazać się nieoczekiwanie dla was wszystkich nie tylko waszym prawdziwym dobrodziejstwem, lecz również najprawdziwszym jej przeciwieństwem, przekreśleniem wszystkich waszych starań i poszukiwań, przekleństwem waszego całego życia, popadniecie bowiem w jeszcze większą społeczną zależność, w całkowicie czarne zwątpienie, znane wszystkim prawdziwym adeptom prawdziwej religii pod postacią przerażającej choroby umysłu - *tri Psychodelicy Sikuty* - która zeżre was od środka. Miejcie się więc na baczności!

Po krótkiej przerwie wypełnionej absolutnie grobową ciszą, przerywaną tylko jakimś dalekim śpiewem słowika, Urszyll powiedział: - Wiem nie tylko dlaczego milczycie, ale wiem również dlaczego niczego nie robicie, ażeby to zmienić. Uświadomiłem to sobie już dawniej, nie chciałem jednak dotąd o tym z wami rozmawiać, ale dzisiaj już muszę. Dzisiaj jest to dla mnie tak bardzo ważne, że już nie mogę, i że już nie chcę dalej czekać. Wasz świat się rozpada, a wy powoli umieracie, powiedzcie mi więc, jak długo mam jeszcze na was czekać?! Czy rzeczywiście musimy i mamy spotkać się dopiero po waszej definitywnej śmierci?! Ale ja moi mili kocham życie, kocham

życie we wszystkim i wszędzie: kocham go w sobie, w każdym z was, i w każdej innej żywej istocie, i chcę żebyście i wy go kochali, więc nie będę już czekał, ani was oszczędzał. Nie mamy już na to czasu! I ja nie mam już na to ochoty! Słuchajcie więc: Niczego nie robicie ponieważ tak jest najłatwiej, najwygodniej i najprościej. I w miarę bezpiecznie. Najłatwiej jest bowiem żyć w uwikłaniu niosąc go jak garb. Jak dzidziusia na rękach. Albo jak tarczę. Lub trumnę. Najłatwiej jest iść do jakiejś roboty za parę marnych grosików. Najłatwiej jest kupić sobie duży telewizor, mieszkać na jakimś szpanerskim blokowisku, mieć swoje polakierowane auto, swoje graty, swoje ubrania, swoją żonę, swoje dzieci, swojego psa i swoje poglądy. Najłatwiej jest twierdzić, że nic się zrobić nie da, a tych wszystkich, którzy twierdzą inaczej, najłatwiej jest odesłać prostą drogą do jakiegoś dobrego wariatkowa. Najłatwiej jest wszystko i wszystkich wokół krytykować, samemu nie posiadając żadnych pomysłów, nie robiąc więc nic absolutnie, bo po robocie należy się każdemu odpoczynek, no i rozrywka! Najłatwiej jest wielbić głupich, ale dobrze nadzianych idoli, bo to najłatwiej i najszybciej zabija waszą własną frustrację z waszego własnego i nic nie wartego życia. Najłatwiej jest bać się i milczeć, a przez to niczego ze sobą samym, a, i z całym tym naszym międzyludzkim, zasranym światem, nie robić. Najłatwiej jest się jakoś dopasować z nadzieją, że może uda nam się jednak jakoś cichutko i bezproblemowo przez to nasze życie przesmyrgnąć. Wszyscy rodzice chronią swoje dzieci przed prawdą życia, więc i was ochraniali, tak jak gdyby uważali to życie za najgorszą rzecz jaka mogła się wam kiedykolwiek przytrafić. I wy też tak uważacie. Nie umiecie więc i nie wiecie jak żyć. Ale ciągle jednak żyjecie. Wspaniale nadrabiając miną nadal niczego nowego nie szukacie, nadal niczego nowego się nie uczycie, i nadal niczego nowego nie chcecie. Wy już nie musicie! Wy naszukaliście się i narobiliście się już dosyć. Szesnaście godzin codziennego zarabiania miedziaków wyssało z was całą waszą ochotę do czegokolwiek. Zabiło wam wasz umysł już dawno, a teraz zabija i ciało. I to jest straszne. Przerażające. Tkwicie bowiem wśród martwoty nie wiedząc, co to jest prawdziwa radość i szczęśliwość, bo nigdy ich nie zaznaliście. Wiecie natomiast doskonale co to jest rutyna, rozczarowanie, mus i obowiązek, bo one są waszą codziennością. Tkwicie wśród martwych przedmiotów broniąc ich zaciekle, nie wiecie jednak co to jest prawdziwa miłość i dobroć, bo ich nigdy w sobie nie poczuliście, wiecie natomiast co to jest konkurencja, przemoc i wyzysk, ponieważ to one są waszą codzienną rzeczywistością. Nie wiecie co to jest prawdziwa jakość i godność życia, bo

ich nigdy nie mieliście, wiecie natomiast co to jest nienawiść i pogarda, ponieważ sami czujecie je w sobie. Nie znacie żadnej prawdy, bo jej nigdy nie poznaliście, wiecie natomiast doskonale co to jest kłamstwo, bo z nim codziennie obcujecie. Nie wiecie co to jest prawdziwa współpraca i braterstwo, bo ich nigdy nie pragnęliście, wiecie natomiast bardzo dobrze, co to jest władza, przymus, wyzysk i wojna, ponieważ każdy z was w nich codziennie uczestniczy. Lecz pomimo tego, że wasz Bóg, Ilu Kurgal, Jahwe - Bóg wszystkich białych, żółtych i czarnych ludzi, był naprawdę doskonałym politykiem i organizatorem, a do tego jeszcze, doskonałym też praktykiem, nie udało mu się jednak na szczęście tak wykreować tego ziemskiego procesu, aby nie można go było odwrócić. Wystarczy abyście oprzytomnieli, a potem tylko zechcieli. Lecz wy nie przytomniejecie, i jakoś ciągle niczego sensownego nie chcecie. I za to was właśnie winię. Winię was za to, że wy niczego już nie szukacie i niczego już nie chcecie! Winię was za to, kim się staliście i kim już teraz jesteście. Winię was za to, że nic nie robicie, pomimo, że wiele możecie zrobić, bo to nie tylko jest możliwe, ale znajduje się w zasięgu każdego z was. Winię was za to, że trwacie w kłamstwie, obłudzie, strachu, nienawiści, zawiści i przemocy, i że to właśnie te siły najbardziej ze wszystkiego adorujecie, nie robiąc nic a nic, aby zacząć adorować inne, lepsze siły. Winię was nie za to, że nie umiecie, lecz za to, że nie chcecie niczego zmieniać. Możecie mi wierzyć, albo i nie, ale kara was za to nie minie. Ona was już dosięgła. A jest nią wasze własne, codzienne życie. Wasze powolne, codzienne umieranie. W domu, w biurze, na ulicy - wszędzie! Jednocześnie jednak, i może na przekór właśnie temu, że mnie tak strasznie wkurzacie, że czasami nie mogę już tego wytrzymać ani znieść, bardzo chciałbym wam pomóc. Chciałbym wam pomóc, ponieważ wiem, i to czuję, że was kocham, że kocham to całe życie w was i we wszystkim innym. I że wy go też na swój sposób kochacie. Ja, w przeciwieństwie do was jednak, nie umiem, i nie mogę ze spokojem przyglądać się ani tego ze spokojem w sobie samym czuć, jak ono ginie, jak go codziennie w sobie samych, i we wszystkim i wszędzie, za tę garstkę marnych miedziaków systematycznie niszczycie, tępicie i zabijacie. Aby więc sobie samemu, no i wam wszystkim jakoś w tej strasznej sytuacji pomóc, poprosiłem was tutaj, uważam bowiem, że wasze wyzwolenie, pomimo tego, że nie jest ani automatyczne, ani naturalne, ani łatwe czy też proste, to jednak jest m o ż l i w e! Pomimo tego również, że nie mogę wam ufać, bowiem jak w każdym uzależnieniu, tak i w waszym, nie ma miejsca na zaufanie, twierdzę z całą moją stanowczo-

ścią, że każdemu uzależnionemu można pomóc, nawet jeżeli on tej prawdy nie chce! Potrzebujecie więc miłości okazywanej konsekwentnie, bo tylko wtedy możecie na niej polegać. I ja ją wam daję, bowiem jestem tu z wami od zawsze, i od zawsze też do was mówię. Uczę was. Przypominam wam. Proszę. Błagam. Czasami krzyczę na was. Karcę was. Wściekam się. Najczęściej jednak modlę się za was prosząc o pomoc i wsparcie Thenahå, i wierzcie mi: Gdyby nie ONå, nie mógłbym dla was zrobić czegokolwiek! Bowiem tak naprawdę, to tylko ONå może wam pomóc! I nikt inny! Tylko w samotności bowiem możecie stawić czoło waszemu choremu wewnętrznemu światu.

Po krótkiej przerwie pustego wśród słuchaczy milczenia, kontynuował: - Każda tradycja, każda historia i każda społeczność indywidualnie, wypracowały sobie swoje własne, specyficzne, najczęściej jednak jednostronne i niedoskonałe sposoby i metody walki z narzuconą im siłą koniecznością milczenia - o ile chcieli przeżyć - które jednak w idei *Causa sui sum* znalazły swoją globalną syntezę: z każdego systemu Thenahå wybrała dla nas - dla mnie i dla was - to co najlepsze i to co najbardziej przydatne. Jej celem nie było jednak, nie jest nim i nadal, jednostronne rozwijanie jakichkolwiek moich lub waszych umiejętności, nie jest nim również leczenie waszych nieuleczalnych chorób, lub niesienie konkretnej, materialnej pomocy potrzebującym. Jej jedynym celem jest przypominanie wam, kim naprawdę jesteście, i jakie są wasze prawdziwe możliwości, w opozycji do tego, za kogo się sami uważacie, i co o swoich możliwościach obecnie sądzicie, a przez to, umożliwienie zatrzaśniętemu w was życiu, jego wspaniałego, całościowego rozkwitu, uwieńczonego uwolnieniem was wszystkich z najcięższego więzienia, jakim sami dla siebie samych się staliście. I jakim ciągle jesteście. Jak to doskonale bowiem widzę, przyjęliście i uwierzyliście już dawno w to, że nasz trójwymiarowy wszechświat jest tylko taką wielką, fizyczną bezsensownością, sami stając się tym samym - tym samym! A więc strachem, wyzyskiem, zniewoleniem, zawiścią, zazdrością, zakazem, nakazem i karą. Niestałością, niespójnością, i całkowitym brakiem świadomości; chorobą i śmiercią; egocentrycznością i subiektywnością; nieprzenikalnością, automatycznością, odrębnością, przeciwnością i nieszczerością; złością, smutkiem, nieszczęśliwością i zależnością; nieporządkiem, kłamstwem i głupotą! I nie dość tego, że staliście się przez to sami dla siebie samych okupantami, oraz, że okupując siebie nawzajem wprowadziliście wszędzie gdzie tylko się po-

jawiliście terror i wyzysk, to twierdzicie ponad to, że tak właśnie ma być i, że tak jest najlepiej. Lecz to właśnie tym przemyślnym poglądem wbitym młotkiem w wasze mózgi, zabito w was wszystkich, i to już dość dawno temu, bo przed wieloma tysiącami lat, wasze naturalne poczucie waszej indywidualnej wartości, waszą jakość i waszą godność, wmawiając wam, że będziecie, i że jesteście tylko tyle warci, ile posiadać będziecie lub ile już posiadacie. To właśnie tym przerażającym poglądem wbitym w te wasze mózgi na stałe, zabito w was waszą naturalną potrzebę wyrażania i przeżywania miłości i dobroci, zamieniając je w wyzysk i pożądanie. To właśnie tym nie do odrzucenia, a przez to najokropniejszym poglądem, jaki znam, zakotwiczonym w waszych mózgach na stałe, uzależniono was wszystkich od regionalnych doktryn i kanonów waszych regionalnych poganiaczy. To właśnie tym poglądem osiadłym na mieliźnie waszych mózgów, pozbawiono was możliwości przyzywania i wyrażania szczęścia. I to właśnie tym, narzuconym wam siłą poglądem, który przyjęliście i zaakceptowaliście bez specjalnego sprzeciwu, które ja nazywam praniem mózgu, wprasowano wam wszystkim w wasze mózgi twierdzenie, że jesteście w grzechu poczęci, a przez to tylko tyle warci, ile Bóg waszych poganiaczy uzna za stosowne. I to właśnie tym praniem mózgu uczyniono was waszymi własnymi okupantami i waszymi własnymi niewolnikami. I teraz, a mówię wam to z całkowitą odpowiedzialnością, to tylko to samo pranie mózgu może was od tego wszystkiego uwolnić: wasze prywatne, niezawisłe i niezależne pranie waszego mózgu i nic więcej! - Urszyll przerwał na chwilę aby uważnie popatrzeć po wszystkich. - I oto dlaczego milczycie. I oto dlaczego nie możecie. Na szczęście, jak już wiecie, istnieje dla was możliwość i istnieje też dla was droga: 5ta Droga. Thenahå jest tu nie tylko jedynym, ale i najlepszym rozwiązaniem, ponieważ jako jedyna proponuje indywidualną pracę nad sobą s amym w oparciu o najwspanialszą wiedzę o człowieku jaką znam: możliwość rozszerzania świadomości metodą *Causa sui sum* z uwzględnieniem etyki charakteru, oraz innowacyjnych sposobów samozarządzania swoją świadomością. Wystarczy żebyście tylko zechcieli. Zechciejcie więc!!!

- Na zakończenie chciałbym wam jeszcze przypomnieć, że waszym zadaniem tutaj na Ziemi nie jest jedynie bierne istnienie. Nie jest nim również wasze bierne tu bycie czy trwanie. Waszą nadrzędną koniecznością tu na Ziemi jest w tej chwili wasz własny rozwój. Rozwój waszej świadomości. Wasza własna ewolucja. Wasza prywatna

rewolucja. Pamiętajcie: nieistotnym jest ILE, już dni przeżyliście. Ważne jest tylko to, JAK, je przeżyliście! To nie ilość, lecz jakość decyduje o wszystkim. To jakość decyduje o tym czy już dawno umarliście, pomimo tego, że wydaje się wam, że ciągle jeszcze żyjecie. I to jakość nie materialna!! To może zabrzmieć dziwnie, ale chcę wam to teraz powiedzieć: potrzebuję was. I świat was potrzebuje. I wszechświat. Bez was wszystkich, bez waszej świadomie ukierunkowanej woli, bez waszej świadomie obranej drogi, bez waszego świadomego opowiedzenia się za życiem, ale nie takim jakie znacie, lecz takim jakim mogłoby ono dla nas wszystkich być, gdybyśmy wszyscy razem tego zapragnęli, i to w sobie samych urzeczywistnili, wszystko jest jedynie marnością, a my wszyscy tylko żywymi trupami - bezrozumnymi maszynami w rękach innych. I nikim, i niczym innym. Sam mogę oczywiście uczynić wiele rzeczy, które z pewnością wielu z was uznałoby za cuda, największego jednak cudu, organizacji ludzkiego społecznego życia opartego na prawdziwej, głębokiej miłości i prawdziwej, głębokiej dobroci, bez waszej pomocy, uczynić nie mogę. Ten cud musi każdy z was uczynić sam dla siebie samego osobiście. Moja moc aż tak daleko nie sięga. Poza tym tu potrzebne jest właśnie świadome użycie naszej wspólnej mocy, wspólnej mocy nas wszystkich. Inaczej nic z tego nie wyjdzie. I nic się ani w was, ani w tym świecie nie zmieni. Pamiętajcie więc! Abyśmy mogli wspólnie czynić cuda, potrzebne jest wasze największe zaangażowanie, wasza największa wiara, wasza największa nadzieja i wasza największa odwaga. Pomimo tego, że na nieskończenie wiele sposobów odbieracie, pojmujecie i przeżywacie wasze życie, jest tylko jedna Mądrość. Jest tylko jedna Miłość. I jedna Dobroć. Ale nie wcześniej, i na pewno jeszcze nie wtedy, kiedy uwierzycie już, że możecie, ale dopiero wtenczas, kiedy sami staniecie się waszą własną wewnętrzną Koniecznością, będziecie mogli wyrażać DOBROĆ podejmując decyzje i ustanawiając prawa konstruktywne, podtrzymujące i afirmujące życie we wszystkim i wszędzie. Jeżeli natomiast nadal będziecie powielać swoje przyrodzone wam role dominacji, to nikczemność i zło zostaną waszą codziennością zaprzeczając i niszcząc życie nie tylko w was samych, ale i we wszystkim i wszędzie. Pamiętajcie! Mądrość może stać się waszą krwią, Radość może się stać waszym ciałem, a Miłość i Dobroć waszym codziennym życiem. Prawa afirmujące życie pozwalają bowiem być tym, kim się chce być, pozwalają robić i mieć wszystko to, co się chce. Prawa zaprzeczające życiu przeszkadzają być tym kimś, kim się chce, i robić i mieć wszystko to, co się naprawdę lubi. Bądźcie więc Miłością. I bądźcie Dobrocią. Bądźcie

więc Radością. I bądźcie Mądrością. I nie walczcie już więcej ze sobą o cokolwiek! Nawet dla żartu! - Urszyll uniósł dłoń w górę: - Czekam na was. I Thenahå na was czeka. I wspólnota. W imię ojca i matki i wszystkich boskich dzieci, i duszy świetlistej, amen. - Kiedy błogosławieństwo zostało właściwie już wypowiedziane, tuż za jego plecami rozbłysł olbrzymi reflektor, a na bezchmurnym niebie pokazał się niespodziewanie dooilski znak Mocy oświetlający jakąś olbrzymią, kolorową postać, opartą na wielkim mieczu. Urszyll opuścił ręce i naraz zniknął zostawiając oniemiałych ludzi sam na sam z ciemnością i tym dziwnym cieniem. Nagle nie wiadomo skąd buchnęła znowu ta sama góralska muzyka, i jak deszcz z nieba spłynęły na zaskoczonych ludzi jacyś nierzeczywiści przebierańcy spowici deszczem wirujących banknotów. Wszyscy się spiesznie poderwali i radośnie skoczyli zbierać pieniądze, a niektórzy z nich i w tan, którego natężenie i niepojęte dla samych tańczących dziwaczne figury, skusiły nawet najbardziej zagorzałych przeciwników tańca do poddania się pląsom i wmieszania się w tę zwariowaną zgraję, gdy nagle, z drugiej strony śmieciowiska, dał się słyszeć doniosły jak grzmot, głos Dziewica: - Ludzie! Ludzie! Nie wierzcie temu kłamliwemu debilowi! Przecież on nie jest prawdziwy. To tylko kukła! Dooilska Artefakta! - I tu Dziewic roześmiał się jak szalony. - Mówię wam! To nie są też pieniądze! To wszystko, to tylko takie przemyślne, cyrkowe oszukaństwo i nic więcej! *Variété*! Rodzaj wirusa, albo raczej grzyba. - I gdy wszyscy szukali wzrokiem Urszylla, ten spadł naraz tuż obok Dziewica z impetem gromu. Jednak Dziewic, jak zwykle doskonale przygotowany na wszystko, zręcznie uskoczył robiąc w powietrzu piękne salto, oraz zawisając w nim jak ptak. Zewsząd dały się słyszeć gwizdy zachwytu. Dziewic opadł powoli, przeciągle spojrzał na Urszylla i szyderczo się uśmiechając powiedział: - Ach, to tu jesteś, dupku!!! - Po czym, jak przystało na prawdziwego szlachcica, ciął Urszylla mieczem prosto bez łeb. Zdziwienie wszystkich było jednak wielkie, gdy miecz Dziewica wniknął w ciało Urszylla jak w mydlaną bańkę, ciął go aż do samej ziemi, w którą się wbił ze straszną siła, lecz Urszyllowi krzywdy żadnej nie wyrządził. Dziewic wykrzywił się strasznie próbując jednocześnie wyrwać miecz z ziemi. - Miłość za miłość, nienawiść za nienawiść, powinienem teraz powiedzieć Dziewicu - Patetycznie powiedział Urszyll przykładając swój miecz do szyi Dziewica. - Ale ja nie chcę już z tobą walczyć! Czas zakończyć ten cykl. Jesteś gotowy?! - A niech cię piekłooooo... - Wycharczał Dziewic. - Nagle roześmiał się, odwrócił, równocześnie jakaś siła podniosła go z ziemi. - Na pewno się jeszcze nie raz spotkamy... - Ze

straszną prędkością i mocą nurkował w palącym się reflektorze. Posypało się szkło. Reflektor zgasł. Dziewic wyciągnął jeszcze rękę z reflektora i łapiąc uchwyt jednym energicznym ruchem wciągnął jakąś inną, wspaniale oszałamiającą, rzeczywistość, która w tej samej chwili wypełniła wszystkich i wszystko radosną obecnością Merkaba.

- Kochani - powiedział Urszyll do zgromadzonych wokół niego ludzi. - Jak już to wiecie, istota ludzka może funkcjonować w wielu wymiarach jednocześnie, może też jednak, ale tylko wtedy, gdy tego naprawdę zechce, rozszerzyć swoje działanie na wszystkie możliwe wymiary i na wszystkie możliwe płaszczyzny! Abyśmy mogli to dzisiaj urzeczywistnić praktycznie, obdaruję każdego z was miłością Thenahå, której zadaniem od teraz, będzie ciągłe wspieranie was w waszych wysiłkach. Na poziomie piątej czakry musicie skierować ją pod katem dziewięć dziesięciu stopni ku tyłowi, tak, aby kontynuowała swoją podróż w *Tiubie*, i aby powracając przeszła przez czakrę trzynastą. Nie poddawajcie się zwątpieniu. Bądźcie dzielni. I wytrwali. Obudźcie wasze serca promieniując na wszystko miłością i dobrocią jak słońca słońc. Pozwólcie sobie na pełną fascynację. I pełne odprężenie. W końcu chcemy przecież stworzyć to pole świadomie, czyż nie tak? - I tu Urszyll popatrzył uważnie po zgromadzonych szukając potwierdzenia dla swoich słów. A gdy je znalazł, bowiem prawie wszyscy kiwali ze zrozumieniem głowami uśmiechając się do niego, Urszyll odwzajemnił uśmiech i powiedział: - Zaznaczam jednak, iż nikt nie może się z tego wyłamać. Wspólna praca nas wszystkich bez wyjątku jest tu bezsprzecznie potrzebna… Jeżeli ktoś z was chce zrezygnować, to proszę teraz… Później nie będzie już odwrotu… - Nikt się jednak nie ruszył. Luzie stali murem wyraźnie zdeterminowani chęcią uczynienia Niemożliwego. Urszyll objął spojrzeniem wszystkich dziękując im w myślach, odetchnął głęboko, spojrzał na zegarek i - Już czas. - Powiedział. - Chodźcie! Przygotujemy miejsce.

Gdy wszystko było już gotowe a wszyscy stali już jakby sparaliżowani zupełnie nieruchomo na swoich miejscach, Urszyll uniósł się bardzo powoli, nad wyraz delikatnie i płynnie metr nad ziemię, rozłożył ręce na boki i z wielką siłą oznajmił: - A więc niech będzie Miłość ! - I w tym samym dosłownie momencie wydarzyła się rzecz zupełnie niewyobrażalna: z ziemi, dokładnie w miejscach, w których stali ludzie, podniosła się złotem przetykana, perlista mgła spowijając każdego tajemniczą poświatą, aby po chwili ustąpić miejsca pulsującemu, jaskrawemu światłu spadającemu na nich z nieba niczym błyskawice. - Pełny oddech! - Zarządził Urszyll. I gdy wszyscy zsynchro-

nizowali już oddechy, a fajerwerki powoli zaczęły wygasać, najpierw powolutku, bardzo powoli, a potem coraz szybciej i szybciej zaczęli pogrążać się w jakiejś tajemniczej, i chyba najgłębszej ze wszystkich nielokalnych przestrzeni, w której tuż za chwilę odnaleźli nieznane nikomu drzwi, a może nawet i wielkie wrota, prowadzące ich ku obiecanej - kolorowej, radosnej i urzekającej - meta neuro rzeczywistości. Urszyll opadł w tym czasie na ziemię zajmując pozycję lotosu, opuścił ręce i przyjmując rolę Przewodnika, tak oto rozpoczął: Zamykam oczy i wchodzę. Właściwie to wcale nie muszę zamykać oczu, aby wejść, ale robię to tak, jak lubię to robić najbardziej, chcę bowiem, żeby było mi przyjemnie, a nawet od każdego przyjemniej, bardziej… Gdy policzę od 1-go do 10-ciu wejdę naprawdę głęboko. 1, 2… jeszcze głębiej, 3, 4, 5… i jeszcze głębiej. 6, 7, 8… głębiej i głębiej, przyjemniej i jeszcze przyjemniej. 9, 10…. I gdy tak o tym myślę, i gdy widzę i słyszę te słowa, czuję, że wchodzę jeszcze głębiej, i jeszcze głębiej i jeszcze… Właśnie teraz. Tak. Do końca! I oto moim oczom ukazują się drzwi do innego wymiaru, takiego, w którym zwalnia czas, gdzie nie mają znaczenia pewne rzeczy, które w innym wymiarze mają być może jakieś znaczenie, a inne nabierają go dopiero teraz, bowiem od teraz będę je rozumiał doskonale, wprost, dosłownie, jak wystrzelone strzały, jasno i po prostu, bo tak właśnie mam i chcę je rozumieć. I to jest wspaniałe, bowiem sam wiem przecież najlepiej, że chcę coś zmienić w swoim życiu i że zajmie mi to dosłownie tylko chwilkę, dlatego też nie muszę, jeżeli nie chcę, zamykać oczu. Ale mogę. Właściwie, to one same już się dawno zamknęły… A skoro tak, to wiem to z całą stanowczością, że nie dotarłem jeszcze do końca, a właściwie to prawie jeszcze nie zacząłem, bo jest jeszcze cała masa przede mną. Zdradzę więc sobie pewien sekret: Czasem mówi się, że… podróż… no cóż… Jednak ja uważam zupełnie inaczej. Uważam bowiem, że moja podróż… ta najwspanialsza przygoda mojego życia, cudowność wręcz, to początek dopiero tego, co mnie tak naprawdę oczekuje, tego, co mi się już za chwilkę przytrafi... Przytrafia teraz... Właśnie tak. Czas więc, abym zaczął rozumieć to, że to, co chcę robić, to, co właściwie już robię, ma sens, że dobre słowa przemawiają do mnie bardziej niż inne, a mili kochani ludzie bardziej niż nie-mili i nie-kochani, bowiem w wieczności tylko jedna rzecz jest pewna: przeszłość skończyła się raz na zawsze i mam przed sobą już tylko teraz, teraz, w którym to ja decyduję jakie będzie moje jutro, tak, aby za jakiś czas od teraz zobaczyć całe swoje życie od początku właściwie do wtedy, żebym mógł powiedzieć, że jestem z siebie dumny! I to pomimo tego, że rozumiem, ze to, co

zrobiłem do tej pory, to dopiero początek tego, co tak naprawdę zacznie się dla mnie dziać, bowiem od teraz dostanę tę moc, którą będę mógł wydobyć z siebie i się nią podzielić również z innymi. Od teraz bowiem Jak? I Co jeszcze? są dla mnie najważniejsze. Więc od tej pory, gdy wreszcie osiągnę wszystko to, czego pragnę, będę pamiętał, że to dopiero początek, tak samo jak kiedyś, gdy spojrzę na swoje życie z samego jego końca, to się uśmiechnę do siebie z zadowoleniem, bo będę wiedział, że to, co zrobiłem, że to, co robię, to jest doprawdy właśnie to! To coś! Coś fantastycznego i wspaniałego. Jednocześnie wiem, że mam tyle powodów, żeby się cieszyć, radować, czy czuć wspaniale, bo jest mi dane prawo, tak jak rzece, która wie dokąd i po co płynie, bycie wspaniałym człowiekiem: kochanym i dobrym, wyrozumiałym, mądrym, zdrowym i bogatym. Twardym jak trzeba i miękkim jak nie. Chcę więc teraz, aby moja podświadomość poczuła teraz ogromną falę Miłości. Tsunami. I aby taka rozkochana zrobiła dla mnie coś wyjątkowego: chcę aby wprowadziła potężne zmiany w moim życiu na lepsze, aby zmiany te i wszelkie inne potrzebne modyfikacje zaszły na poziomie nieświadomym tak, abym od natychmiast stał się właśnie takim człowiekiem, a nie żadnym innym. Wiem przecież, że Ona nie tylko chce dla mnie jak najlepiej, ale i może, więc chcę żeby to teraz dla mnie zrobiła. Niespiesznie, ale jednak. A może jak błyskawica. Bzzzz…. Teraz. Właśnie tak. Do końca! Niech zwolni świat. Wyostrzy kolory. Niech dźwięki staną się bogatsze, głębsze i głośniejsze, myśli jasne jak światło i proste jak wystrzelone strzały, a smaki… ach smaki! Tak. Właśnie tak. Niech bez przerwy poszerza moją percepcję, moją wiedzę, niech zwiększa ilość wyborów w każdej sytuacji tworząc nowe lub wybierając te już jej znane, najlepsze i najlepiej pasujące do danej sytuacji, czyniąc mnie tym samym tym, jakim zawsze chciałem być: świadomym swojej wartości, wolnym od uprzedzeń, spokojnym, pewnym siebie i otwartym na każde otoczenie. Niech przywróci Miłości, Dobru i Bogactwu należne im w moim życiu miejsce, bo to zmieni wszystko: Nie tylko mnie we mnie samym, ale Ją w Niej. I Ciebie w Tobie. I Ich. I świat, który nas otacza. I wszechświat! Więc ludzie będą od teraz już zawsze kochanymi. Wszyscy. I w wysokości, i w szerokości. I w skos! I teraz, gdy Ona tego dokonuje, czuję miłość i wdzięczność wdzierające się do mojego umysłu, serca i brzucha, które, a wiem to z całą mój stanowczością, pozostaną w nich już na zawsze. I tak niech to trwa…

DAŁN ŁAN CZWARTY

Jeżeli pozostaniecie nadal w mroku swych przekonań nigdy nie dopuszczając JEJ do głosu oraz nigdy nie obdarzając wszystkiego i wszędzie właśnie NIĄ, nigdy nie zmienicie swojego losu, bowiem nigdzie ani w niczym nie znajdziecie tego, czego poszukujecie dzisiaj, lub kiedykolwiek poszukiwać będziecie.

Enki-el, 4 875 lat, 13 miesięcy i 1 dzień przed JoshUą.

W wielkiej, obszernej hali wisiał dziwny, obcy obiekt latający, wokół którego kręciło się paru ludzi, a wśród nich, co było widać już teraz bardzo wyraźnie i paru obcych, byli bowiem nie tylko dużo wyżsi od ludzi, ale, różnili się również od nich i kształtem ciała, i sposobem poruszania. Wielki Kanclerz Narodów wpatrywał się przez chwilę w ekran, ale widać nic go tam szczególnie nie zainteresowało, ponieważ rzucił komputerowi następne, szybkie polecenie: - Pokaż poligon! - I teraz poligon ukazał się w całym swoim majestacie. Między porozrzucanymi wzgórzami, które kamera pokazywała z ogromnej, szerokokątnej perspektywy, latały bezgłośnie podobne do siebie, obce obiekty latające, wśród których jednak były też i inne, też obce, ale tak potężne i wielkie, że żadne z fizycznych praw ziemskich nie mogłoby wytłumaczyć ich możliwości nie tylko unoszenia się w powietrzu, ale i precyzji manewrów. Obiekty te tworzyły na niebie istną plątaninę kolorów i form, każdy z nich bowiem, ku lepszej ich obserwacji, zostawiał między górami kolorowe za sobą smugi. Wielki Kanclerz Narodów poprzyglądał się przez chwilę w zachwycie prawdziwym popisom kunsztu latania, po czym rozkazał: - Dżojstik! - Tuż obok klawiszy pojawił się natychmiast dziwny, powykręcany przedmiot, na którym Wielki Kanclerz Narodów położył od razu swoją prawą dłoń. Coś jakby świsnęło i przedmiot ów zamknął się delikatnie na jego dłoni, w tym samym momencie przenosząc go do wnętrza jednego z latających obiektów. Wielki Kanclerz Narodów uśmiechnął się i cmoknął w zachwycie. - Teraz wam pokażę! - Wykrztusił z zawzięciem rozpoczynając szaleńczy pościg za niektórymi z obiektów i strzelając do wszystkiego, co się w obrębie luf jego obiektu znalazło. I tak trwało to z dobre pół godziny, po której Wielki Kanclerz Narodów wyraźnie znudzony zabawą, nagle, jak gdyby nigdy nic - Otwórz dziewiątkę! - Rozkazał. Rozkaz ten jednak musiał mieć moc i siłę diabelską, ponieważ Wielki Kanclerz Narodów odnalazł się natychmiast w swoim gabinecie, dżojstik zniknął, a obok półki z klawiszami pojawiła się podobna półeczka z wielkim złotym czytnikiem, na którym Wielki Kanclerz Narodów położył od razu swoje obie dłonie, zastygając na chwilę w bezruchu. Ekran monitora podzielił się powolutku na dziewięć mniejszych ekranów, na których po ukazaniu się logo Dooila, kolejno ukazali się najważniejsi,

najpotężniejsi i najwięksi prezydenci współzarządzający całą korporacją ziemską. Jedyni prawdziwi przyjaciele. Zarówno prawe, jak, i lewe ręce. - Zaczynajmy. - Powiedział dostojnie, z namaszczeniem i wyraźnym uznaniem, Konsultant. - Atak na wieże - rozpoczął pierwszy z nich - przygotowany, listy i rozkazy zapieczętowane. Spodziewany termin uderzenia, jedenasty września. Koszt operacji półtora miliarda dolarów, zyski powyżej 29 miliardów. - Wielki Kanclerz narodów skinął głową, na co odezwał się drugi. - Talibowie nie wyrazili ochoty, ani zgody na jakąkolwiek współpracę. Niemniej zostali i tak terrorystami. Koszt operacji w przybliżeniu sto milionów dolarów, planowany zysk powyżej 17 miliardów. - I znowu Wielki Kanclerz Narodów skinął głową, na co odezwał się trzeci. - Sadam zgodził się odegrać rolę przynęty, jednak domaga się energicznie zniesienia embargo. Negocjacje w toku, lecz wojna raczej nieunikniona! Przybliżony koszt operacji 7 miliardów dolarów. Zysk powyżej 33 bilionów! - Wielki Kanclerz Narodów uśmiechnął się z zadowoleniem i znowu w skupieniu skinął głową. - Tzohan zerwał stosunki dyplomatyczne - powiedział czwarty patrząc wprost w oczy Wielkiemu Kanclerzowi - i zapowiedział oficjalnie budowę bomby. Szacunkowe koszty operacji jeszcze nieznany, zyski przekroczą nasze oczekiwania z pewnością. - Kastro zażądał dopłaty i zniesienia sankcji w zamian za zaakceptowanie umowy w tej właśnie, starej formie. Koszty niewielkie, zyski przekraczające osiem miliardów. - Meldował zaraz po czwartym piąty, a po nim od razu i szósty, honorowy gość dzisiejszej uroczystości. - Państwa wschodnie zostaną przyjęte do EUZZ na początku maja. Koszty operacji wyniosą trzy biliony dolarów, szacunkowy zysk ponad 489 bilionów! - Jelcyn - rozpoczął siódmy - zażądał wsparcia technologicznego oraz gotówki wyrażając tym samym swoją aprobatę dla naszych planów oraz wielkie, ciche wsparcie. Szacunkowy koszt operacji dwa miliardy dolarów, zyski przekraczające sto szesnaście bilionów. - Wielki Kanclerz Narodów kiwał swoją siwą głową nie ukrywając wielkiego zadowolenia. - Afryka i Ameryka zainfekowane według życzenia. Szacunkowa ilość chorych 2 miliardy 857 milionów. W Azji plan w trakcie realizacji. Koszt 3 miliony dolarów, szacunkowe zyski ogromne. - Główny Bank Światowy - rozpoczął ostatni z nich - przejął kontrolę nad 165 państwami i 198 systemami monetarnymi. Koszt własny zero! Szacunkowy zysk globalny: bilion bilionów dolarów. - Wszyscy z uznaniem pokiwali głowami. - A nie mówiłem, że się uda! - Wykrzyknął Wielki Kanclerz Narodów w przypływie jakiejś euforii. - Dziękuję wam panowie. - Powiedział na to poważnie Konsultant. - Już czas Ekscelencjo! - Przerwał wszy-

stkim miękko sekretarz. Wielki Kanclerz Narodów wyraźnie przygotowany na jego głos wyłączył projektor, wstał i podszedł do lustra. Uważnie się sobie przyjrzał, strzepnął jakiś niewidoczny pyłek z fraka, a widząc zachwycające spojrzenie sekretarza, uśmiechnął się. - Wszystko przygotowane? - Zapytał.

Pierwszy dzień maja roku dwa tysiące czwartego po JoshUi był dla wielu szarych obywateli, dzisiaj jednak wspaniale wyfraczonych europejskich dżentelmenów i ich równie wspaniale rozdekoltowanych europejskich towarzyszek, dniem pod każdym względem wyjątkowym. I wspaniale wykwintnym. W dniu tym bowiem i ciepłym i słonecznym, w samym centrum uwagi całego cywilizowanego świata znaleźli się właśnie oni, ta mała, lecz wyjątkowej uwagi godna, grupka ludzka, ludzi pod każdym względem nie codziennych, nie tuzinkowych, by nie rzec wręcz, kwiatu narodów, czystego homagé de la nations. Na uroczystości powitalne dla naszych wybrańców przeznaczono najwspanialszą część trzynastego poziomu Pałacu Narodów, gdzie na puszystych arrasowych dywanach, pod tysiącletnimi kryształowymi żyrandolami, między suto zastawionymi stołami i stolikami, zebrały się dzisiaj prawdziwe tłumy. W końcu wszystko było tu za darmo! Tak też gorącym owacjom i oklaskom nie było końca. Towarzysze kłaniali się, dziękowali, kłaniali się znowu, i tak to trwało. Kamery pokazywały wszystko z dostojnością detalu. I kogo dzisiaj tu nie było. Długo by wyliczać i przytaczać, najważniejsze dla nas postacie jednak właśnie schodziły po długich, kręconych, pałacowych schodach. Wchodząc do Sali balowej, kierowały się dostojnym krokiem ku mównicy, bo to one właśnie miały dzisiaj zagaić. A był między nimi oczywiście i Dżadża Wielki z małżonką, i prof. Macza Dooroba z Dziewicem, oraz sam Senator Prof. Dr Krzysztof won Wścib, który, po unieszkodliwieniu najgroźniejszego terrorysty - Urszylla z Zamiłowic - w swoim własnym kraju, został światową sławą w dziedzinie zwalczania zakamuflowanego terroringu. Zagaić miał jednak Dziewic. I tak też się stało. Odstawiając kieliszek szampana skinął lekko głową gospodarzowi tego spotkania, siedzącemu obecnie tuż przed audytorium na wygodnym, kanclerskim tronie oraz jego uroczej towarzyszce, a na ten znak światła lekko przygasły. Sala biła brawo. Dżadża ukłonił się, jego małżonka również. Macza dygnęła, a won Wścib skinął tylko lekko, z wyraźną powagą, swoją siwą głową. I Wielki Kanclerz Narodów skinął i jego towarzyszka. I na ten właśnie znak Dziewic rozpoczął:

- Medam ze Mesie! Lejdys end Dżentelmen! Panie i Panowie! - Wstrzymując głos radośnie się uśmiechnął. - Jesteśmy Europejczykami! - Wykrzyknął. - Brawo! Brawo! Brawo!! - Krzyczeli najbliżej stojący, a niektórzy nawet: - Sto lat… - Śpiewali. - Po krótkiej przerwie szaleństwa, Dziewic powiedział patetycznie: - To co od wieków wydawało się nieosiągalne, stało się dzisiaj naszą wspólną codziennością! - I tu Dziewic wyrzucił ramiona na boki i podskoczył radośnie do góry, potem się ukłonił, a sala biła mu brawa z podwójną, a może nawet i potrójną siłą. - Demokracja! Wspólnota! Siła! I Wolność! - Brawo! Brawo! - Krzyczała już cała sala, a Macza słodko uśmiechała się do Dziewica. - I tak jest dobrze. I tak jest wspaniale. I tak to już trwać będzie od dzisiaj bez końca... Wszyscy też - kłaniając się cały czas płynnie kontynuował - nareszcie możemy urzeczywistnić tu NASZ DAR, i NASZĄ REWOLUCJĘ!!! - Wyfraczeni ludzie bili Dziewicowi brawo, wiwatowali na jego cześć, a Dooroba uśmiechała się do niego zalotnie, wyraźnie uszczęśliwiona.

- Naszą wiarę i naszą nadzieją zakładającą możliwość istnienia rewolucji, czyli indywidualnej ewolucji każdego z nas, polegającej na realizacji idei causa sui sum w każdym, czyli przekształceniu tego kim właśnie jesteśmy w to, kim moglibyśmy być, i to nawet wtenczas, kiedy Niemożliwe ciągle byłoby Niemożliwym, a to, co ciągle nieuświadomione - uśpiona nieograniczona możliwość - ciągle Nieuświadomionym! My, jak wiecie, możemy sobie wszystko uświadomić, możemy też wszystko zrealizować, nawet siebie samych w sobie samych! Z tego pierwszego wynika i drugie założenie, a mianowicie to, że to właśnie MY, i to do tego świadomie, decydujemy o jakości i pełni bytu. - Teraz cala sala wiwatowała. Orkiestra grała jakiegoś oszalałego walca, a Wielki Kanclerz Narodów oraz jego urocza towarzyszka, wyraźnie uśmiechali się do niego. - Każda tradycja, każda historia i każda społeczność indywidualnie wypracowały sobie swoje własne, specyficzne, najczęściej jednak jednostronne sposoby i metody, które w idei Dooila, znalazły swoją globalną syntezę: z każdego systemu wybraliśmy to, co uważaliśmy za najlepsze, i za najbardziej przydatne, czyli prawdziwą wiedzę i prawdziwą praktykę tego - po co?!, tego - jak?!, i tego - dokąd?! Naszym zadaniem tutaj na Ziemi nie jest więc Istnienie. Nie jest nim też Bycie, czy Trwanie. Naszą nadrzędną koniecznością jesteśmy od teraz przede wszystkim MY. I nasza rewolucja. Rozwój przez duże eR. Droga przez olbrzymie De! Naśladowanie poprzez naśladowanie naśladowania. Zewnątrz. Wewnątrz. Wszędzie. I do tego świadomie! Pełny, niczym niehamowa-

ny rozwój na wszystkich poziomach, i we wszystkich kierunkach jednocześnie: i fizycznym, i emocjonalnym, i duchowym, i mentalnym, oraz wszystkich ich pełnych naddźwiękach. I to jest właśnie takie wspaniałe. I takie Boskie! - I znowu były brawa i wiwaty. I znowu Dziewic się kłaniał. - Cytując naszego serdecznego przyjaciela, profesora Davida Böhma: die volle und freie Entfaltung nur der unseren, ganzen holonomischen Wirklichkeit.

- Dlatego też JA, świadomy obywatel tego zniewolonego utopijną miłością świata, jestem w tak bardzo trudnej sytuacji. I to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że tu już jestem. A po drugie, dlatego, że spoczywa na mnie ogromny obowiązek. Obowiązek przeprowadzenia generalnych zmian, i to głównie zmian duchowych. A więc najtrudniejszych! A to wszystko tylko po to, ażeby naszej ludzkiej przyszłości, a więc przyszłości nas samych w nas samych, dać choćby najmniejszą szansę realizacji. Życząc nam więc zwycięstwa - nieograniczonego dostępu do naszej własnej woli, do naszej własnej wyobraźni, do naszej prawdziwej nadziei, do naszej prawdziwej wiary, i do wszystkich naszych pragnień - życzę sobie, abym mógł choć w najmniejszym stopniu przyczynić się do jego urzeczywistnienia. Pamiętajcie: cały świat czeka na NAS. Nie dajcie się więc zwieść żadnym pozorom jakiejkolwiek wolnością rozbuchanej wyobraźni czy też zapędom jakiejś niewiele wartej holistycznie rozbuchanej nauki... - I tu Dziewic ukłonił się nisko, prawie do ziemi, a aplauzom i histeriom nie było końca. Po pewnej chwili Dziewic wyprostował się, lecz uśmiech zniknął mu z twarzy zupełnie. Wyraźnie walcząc z czymś w swoim wnętrzu, uniósł dziwnym, jakby królewskim gestem dłoń ku górze, uciszając tym samym salę. - Teraz pobłogosławię was jeszcze. - Powiedział. I zaraz po chwili: - W imię ojca, i matki, i wszystkich boskich dzieci, i duszy świetlistej, amen. - Błogosławił wszystkich. Wrzawa ucichła zupełnie, a salę wypełniła teraz ciężka, poważna, grobowa cisza. Dziewic rozejrzał się nerwowo szukając wyraźnie jakiegoś wsparcia, czy też pomocy, nikt jednak nie zareagował, poza, może, jedynie, Kanclerzem Narodów, który, w przeczuciu tego strasznego i niewyobrażalnego, które za moment miało się wydarzyć, biały na twarzy jak kreda zaczął powoli podnosić się ze swego monarszego tronu. Dziewic głośno, histerycznie się roześmiał. Śmiejąc się ciągle, jeszcze raz energicznie się rozejrzał i równie energicznie, ciągle wyraźnie się z czymś mocując, wyciągnął jakiś niewielki przedmiot z kieszeni spodni. Jednocześnie, bardzo dobitnie powiedział do wszystkich: - Od dzisiaj każde wasze

zło, moim dobrem będę zwyciężał! Dlatego też na samym mego dzieła początku, wybaczam wam wszystkim wszystko, bowiem, w co gorąco wierzę, nikt z was nie wie tak naprawdę tego, co tu na Ziemi wyprawia oraz codziennie nam wszystkim tu czyni! - I za nim ktokolwiek się w tym zorientował, co to takiego może być, lub, o co w tym wszystkim może mu chodzić, Dziewic przyłożył sobie podobny do pistolety miotacz miłości do skroni, lecz, nie wypalił. Równie błyskawicznie jak go przedtem podnosił, tak teraz go opuścił, wycelował, i dosłownie w tym samym momencie nacisnął spust, rozpętując tym samym wśród dostojnie zebranych, istne piekło.

Koniec. 1972. 1994-2013-2026. PL

Pisara	13
Prefilog	23
Dałn łan pierwszy	**27**
Inna wrażliwość	29
Pozytony	37
Dałn łan drugi	**55**
Piąty poziom	57
Areszt	73
Zielony liść	87
Zielony sen	97
Góra olejowa	119
Rezonans	129
Entcodé	151
Katarysi	173
Lulluś	187
TheNaHeL	197
Plan	207
Presupozycje	213
Aberagiba	235
Enlil	253
Utanapisztim	265
Konsekwencje	277
Dałn łan trzeci	**299**
Axelsior	301
Chrystuza	329
Asahim	347
Chuuda	381
Ap Łors	357
Chuda	381
Di Enda	459
Jaiwa	443
Merkaba	457
Dałn łan czwarty	**463**
Baal	465

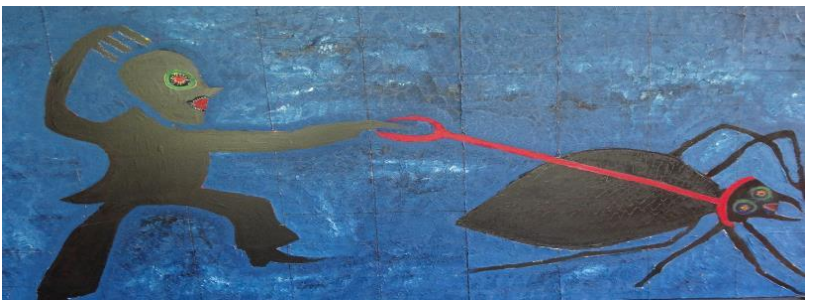

Dwuket
1972. 1994-2013-2026

Jaiwa to wrzask. Jaiwa to krzyk. To wrzask i krzyk rozpaczy. Gniewu a nawet wściekłości. Uporczywie natrętne, wręcz neurotyczne nawoływanie do naprawy człowieka. Po części autobiograficzna, po części alegoryczno-epicka opowieść o ludziach, którzy pozbawieni Miłości, Dobroci i Współodczuwania, znajdują radość tylko w wielkiej kasie i władzy oraz brutalnym niszczeniu innych. O ich wpływie na nasze życie oraz na całe życie na Ziemi. Także jednak i o tych, których nie tylko że nie da się tąże chorobą zarazić, ale i do zarażania innych żadna miarą przymusić. I o ich wpływie. I... o zarażaniu Miłością.

Druga, wyjątkowo pogmatwana, wyjątkowo zakręcona, psychodeliczna część tryptyku - Zarażanie Miłością.

wydanie autorskie
2026

ISBN 978-83-9151102-5-4

9 788391 510209

Lotna Fundacja Kultury
TUNNHUL